



PIOŁUN
I NA ZAPOMNIENIE

ANNA TROJANOWSKA


PIOŁUN
I NA ZAPOMNIENIE

ANNA TROJANOWSKA

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Część I

16 maja (3 maja) 1904 roku₁

Z mojego punktu widzenia jest on bez zarzutu. Nie powiem, że bez skazy, ale nie jestem moralistą. Pani prośba, dosyć oryginalna, przyznaję, dała mi do myślenia, więc jeśli chce pani tam pojechać, to tak jak obiecałem, ułatwię to pani. Dam pani stosowne pismo, będzie mogła pani dowiedzieć się wszystkiego na miejscu. Dokumentacja musi być zachowana, to nie było aż tak dawno, osiem czy dziewięć lat temu, jeśli się nie mylę. Ale to nie jest miejsce, które powinna pani oglądać. Lepiej w ogóle o nim nie wiedzieć. Nie chcę pani straszyć, ale proszę się jeszcze zastanowić. Może nie warto? Sądzę, że gdyby sięgnęła pani do swojej pamięci, znalazłaby pani odpowiedź na wiele pytań. — Popatrzył na nią wzrokiem ciężkim jak pochmurne niebo i przymglonym zasłoną papierosowego dymu.

Ona też zapaliła. To był chyba trzeci, a może czwarty papieros w jej życiu. Spodziewała się, że tak jak kiedyś rozjaśni jej umysł i złagodzi niepokój, który dręczył ją od tygodni.

— Oczywiście nie jestem bezinteresowny, nie powinna pani na to liczyć — mówił dalej spokojnym, niemal przyjacielskim tonem.

— Nie, nie liczę. Ale nie rozumiem, co miałabym sobie przypomnieć. Nic w tej sprawie nie wiem.

Siedziała sztywno przy stoliku i starała się nie okazywać, jak bardzo jest spięta i jednocześnie zdeterminowana, żeby dotrzeć do końca spotkania. Gdyby była tu z kimś innym, na pewno spodobałby się jej ogród, w którym ustawiono gabinety w kształt drewnianych szwajcarskich domków, doceniłaby dyskretną obsługę i wykwintne dania, ale w zaistniałej sytuacji cały urok tego miejsca ulotnił się jak kamfora, pozostawiając jedynie wrażenie próżni i odosobnienia. Nie cieszyły jej ani dźwięki modnego walca, ani rzucany przez lampy miodowy krąg światła, w którym wszystko miało wydawać się słodsze i łatwiejsze do przełknięcia. Nawet słowa.

Restauracja Pod Rakiem była całkiem przyzwoitym lokalem, a jej położenie na nadbrzeżu po praskiej stronie Warszawy sprawiało, że znajdowała się nieco poza głównym nurtem ciekawskich spojrzeń. Aleksander Fiodorowicz Trichonow wybrał ją nie przypadkiem, a teraz rozparł się na krześle i pozwolił sobie na lekki, dwuznaczny uśmiech.

— Dziś będzie pani ze mnie zadowolona. To miejsce to nie jest speluna, w której kiedyś się spotkaliśmy. Starałem się uszanować pani zmysł estetyczny. Proszę przyznać, że stanąłem na wysokości zadania. Całkiem tu przyjemnie. Kuchnię też mają dobrą. Koniecznie musi pani spróbować sandacza w sosie rakowym. Namawiam — dodał lekkim tonem. Był w wyjątkowo dobrym humorze. — Do tego weźmiemy sałatę, butelkę białego Chablis i mus poziomkowy.

Czekała, aż skończy zamawiać i kelner zniknie za drzwiami gabinetu, równie bezszelestnie jak się pojawił, nie licząc szelestu wykrochmalonej koszuli.

— Czego pan w zamian oczekuje?

— Rozmowy, madame, tylko rozmowy. I proszę się nie obawiać, przy mnie jest pani bezpieczna jak ciastko pod kloszem. — Nie zabrzmiało to przekonująco, jednak on ciągnął dalej tym samym żartobliwym tonem: — Nie tak dawno obiecałem pani, że porozmawiamy sobie całą noc. To może być dzisiejsza noc. Co pani na to?

Nie miała najmniejszej ochoty na żarty, nie po to tu przyszła.

— Co właściwie miałabym panu powiedzieć?

— Nic groźnego, ale liczę na pani zrozumienie. Otóż mam takie spaczenie, że tak powiem. Interesuje mnie pewne zjawisko, a może raczej osoby, które z takich czy innych względów wyrzucono poza margines pamięci, przeznaczono na zapomnienie. Zbieram o nich informacje, tak jak kolekcjonuje się minerały albo osobliwości anatomiczne, fotografie przestępców czy prostytutek. Ciekawość, może wykraczająca poza normę, ale kto z nas nie ma słabości... — znów się uśmiechnął.

— Ma pan rację, nie ma takich — przyznała. — A może ja takich nie znam.

Trichonow zawsze był konkretny, mówił prosto z mostu, o co mu chodzi, nie wdawał się w zbędne dywagacje. Ale dziś naszło go na gadanie. Ta przemowa wcale jej nie uspokoiła. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Zmarszczyła brwi i popatrzyła na niego z dużą dozą podejrzliwości.

— No nie, proszę nie robić takiej miny, to tylko przyjacielska rozmowa. Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda? — Na chwilę położył swoją dużą kościstą dłoń na jej drobnej dłoni, jakby chciał dodać jej otuchy. Tak jak wtedy, gdy pierwszy raz zaproponował jej układ. Jego oczy mówiły jednak, że będzie bolało, ale tak trzeba. — Nie chodzi mi o tych, którzy zapisali się w kartotekach, w każdym razie nie tylko o nich. Mnie interesują jeszcze nieodkryci, perełki, że się tak wyrażę, starannie zapomniani przez zacnych i szanowanych, usunięci z domowych albumów i kronik. W każdej rodzinie znajdzie się czarna owca, pani zapewne wie o kilku takich, nie licząc oczywiście interesującej panią osoby. Proszę mi o nich opowiedzieć. Przy okazji przypomni pani sobie niektóre szczegóły istotnych dla pani zdarzeń. Powiedziałbym, że będzie to dla pani ćwiczenie umysłu. Sama pani na tym skorzysta, bo jak rozumiem, zanim się zapomni, trzeba poznać prawdę.

— Co miałabym sobie przypomnieć?

— Wszystko, madame, wszystko. Nawet to, o czym pani zapomniała w sposób naturalny.

— Nie wiem, czy to możliwe. Jak mam to sobie przypomnieć?

— Pomogę pani. Myślę, że można przywołać nasze wspomnienia, nawet te nieistotne, a po nich, jak po nitce do kłębka, można dojść do sedna sprawy. Zauważyła pani, że czasem jakiś smak, zapach, dźwięk albo widok otwiera naszą pamięć, nagle przypominamy sobie o rzeczach dawno zapomnianych, wymazanych z pamięci. Dlatego dzisiejszą kolację zaczniemy od ryby i raków, to będą smaki pani dzieciństwa. Wychowała się pani nad rzeką — mówił z zadowoleniem, a po chwili dodał: — A może coś prostszego? Co pani proponuje?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie trafił pan, z dzieciństwem kojarzą mi się miód, jabłka, konfitury wiśniowe i piolun.

— Dojdziemy i do tego. Potem oczywiście herbata. Myślałem jeszcze o czymś prostym jak zupa dyniowa, ale to już by była przesada, w tym miejscu to nie uchodzi.

Zastanawiała się, kiedy on mówi poważnie, a kiedy żartuje. Nie potrafiła go rozgryźć, ale wiedziała, że czegoś od niej chce.

— Naturalnie, herbata jest niezbędna — przytaknęła. — Ale o co panu konkretnie chodzi? Nie będę przecież opowiadała całego swojego życia.

— Dlaczego nie? Mamy dużo czasu, nic nie ubędzie ze wspomnień, jeśli się pani nimi podzieli. Proszę zacząć od siebie. O kim chciała pani zapomnieć, kogo wykreśliła pani z pamięci?

Dotknęła ręką czoła, jakby chciała wycisnąć z niego potrzebne informacje.

— Ojca.

— Tylko ojca?

Popatrzyła mu w oczy, teraz już to potrafiła.

— Nie, nie tylko. Jeszcze kuzyna, a może i pana.

— To już jest coś. Mnie może sobie pani darować. Ale chyba o kimś pani zapomniała.

Przez chwilę wpatrywała się w puste oko ryby, która spoczywała na półmisku. W końcu powiedziała niepewnie:

— Może rzeczywiście jest jedna osoba, o której mogłabym panu powiedzieć, a wobec której mam pewne podejrzenia, raczej cień podejrzenia, który można by sprawdzić.

— Podejrzenia bywają zgubne, trzeba je z siebie wyrzucić, jak grzechy. Będę jak spowiednik, ulżę pani duszy. Ale po kolei, po kolei... — Przerwał jej łagodnym tonem i z miną dobrotliwego wujaszka dodał: — Najpierw proszę skosztować ryby. Założę się, że będzie pani smakowała — jego głos stracił ostrość. — A swoją drogą pani dociekliwość jest trochę spóźniona. Co pani robi, kiedy pani tam pojedzie i dowie się wszystkiego?

18 maja (5 maja) 1904 roku

Na Dworcu Głównym Kolei Nadwiślańskiej do porannego pociągu wsiadła kobieta w średnim wieku. Wyglądała blado i poważnie, a na jej prawym policzku można było dostrzec niewielką bliznę od oparzenia. Niczym więcej nie różniła się od pozostałych pasażerów — średnio eleganckich pań i średnio zamożnych panów. Miała na sobie szarą podróżną suknię i żakiet, nieprzesadnie duży kapelusz z kremową woalką, trzewiki z cienkiej skórki, a do tego kremowe rękawiczki, parasolkę i woreczek, w którym znajdował się bardzo istotny dla niej list, podpisany przez Aleksandra Trichonowa. Zajęła miejsce przy oknie, nie obserwowała jednak widoku za szybą, tylko pograżyła się w rozmyślaniach. Próbowwała przypomnieć sobie, jak to się zaczęło, ile w tym było przypadku, a ile złej woli i kłamstwa.

Zaczęło się chyba od tego, że chciała przechytryć los i wyjechała do Warszawy. A może jeszcze wcześniej? Może wtedy, gdy nauczyła się, że można zapomnieć.

7 października (25 września) 1895 roku

Nie odwracała wzroku od okna. Siedziała wyprostowana i spięta, kilka razy wygładziła swoją nową suknię podróżną, poprawiła rękawiczki z beżowego kordonku i dalej wpatrywała się w umykający za szybą krajobraz, jakby chciała nauczyć się go na pamięć — nanizać na nitkę jak koraliki, by potem, kiedyś w przyszłości, odnaleźć drogę powrotną do domu. Umykały w dal sosnowe lasy, zagajniki, pastwiska i pola rozmokłe po niedawnych deszczach, wsie i miasteczka, które pociąg mijał bez zatrzymywania, jakby były tylko płaskim obrazem, namalowaną na tekturze dekoracją, podobną do tej, jaką widziała podczas szkolnego przedstawienia.

To, co było znane i bezpieczne, musiała teraz zostawić, iść na swoje, opuścić bliskich i dom, w którym wychowywała się od czternastego roku życia; ogród i sad za domem, gdzie rosła rodzajna jabłoń, pod którą wypłakiwała swoje smutki. Musiała zostawić cały swój świat. Nie spodziewała się tego, nie teraz, kiedy skończyła dwadzieścia siedem lat i pogodziła się z myślą, że na zawsze zostanie w Korytnicy, gdzie dorastała i spędziła swoje najlepsze lata. Lubiła duży drewniany dom z gankiem, mały pokój na pięterku, ogród i sad z drzewami wiśni i jabłoni oraz stary młyn nad Orzycem. Przyzwyczała się do tego miejsca, wydawało się jej nawet, że jest jego częścią, że tu się zestarzeje i tu umrze. Ale nieoczekiwanie dla wszystkich stało się inaczej. W sobotę 5 października 1895 roku wzięła ślub i teraz jedzie do Warszawy, by zamieszkać tam ze swoim świeżo poślubionym mężem. I kto by się tego spodziewał? Może tylko ciotka Anastazja nie straciła nadziei i wierzyła, że jej wychowanka znajdzie kiedyś odpowiedniego kandydata.

— Żal ci wyjeżdżać? — Józef przerwał jej rozmyślenia. Jego głos zabrzmiał jeszcze bardziej obco niż wtedy, gdy wypowiadał słowa małżeńskiej przysięgi.

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć, nie chciała uchodzić za prowincjuszkę, która nie zna nic poza najbliższą okolicą, ale taka była prawda — rzeczywiście nic więcej nie widziała oprócz kilku sąsiednich wsi i Mławy, gdzie jej siostra była nauczycielką.

— Tak, trochę żal — przyznała po chwili. — Myślałam, że do końca życia zostanę w Korytnicy.

Józef przyglądał się jej z ciekawością. Sprawdzał, jak zmienia się jej twarz wraz z wypowiedzanymi słowami.

— W mieście nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Przyzwyczaisz się, zobaczysz — uśmiechnął się do niej wyrozumiale.

Jego oczy mówiły, że niczego nie musi się obawiać, bo on jest z nią i będzie ją prowadził tam, gdzie trzeba, pilnując, żeby nie zboczyła gdzieś na manowce emancypacji, dekadencji czy innych nieprzystojnych rzeczy.

— Chyba tak — przytaknęła.

Wziął ją za rękę i lekko pogładził, starając się dodać jej otuchy.

— Zobaczysz, Leo, spodoba ci się. Z początku możesz się czuć zagubiona, bo Warszawa jest duża i tętni życiem. Ciągłe się coś dzieje, coś się zmienia, rozwija, przebudowuje, są wodociągi, zakładają kanalizację, jest duża nowoczesna gazownia na Woli, lampy gazowe na ulicach, osiem szpitali — wyliczał, jakby te higieniczne urządzenia były najważniejsze w mieście.

Dla niego widocznie tak jest, pomyślała. Każdy inaczej to widzi. Dla ciotki, kobiety pobożnej i praktycznej, byłyby to kościoły i może targi, dla ojca knajpy i szulernie, no i wyścigi, a dla wuja zapewne targ zbożowy albo sieć powinowatych i znajomych, których można odwiedzić. A dla niej... Tego jeszcze nie wiedziała.

— A Stare Miasto — mówił dalej Józef — no cóż, sama zobaczysz, nie jest takie eleganckie jak Krakowskie Przedmieście, ale za to ma bogatą przeszłość i wszędzie stamtąd blisko. Dwa kroki na Rynek, a tam od rana jest duży targ, są owoce, jarzyny, drób, ryby i zwierzyna, pieczywo, nabiał od kolonistów i włościanek. Na Piwnej też masz sklepy i dobrą piekarnię. Piwna jest wybrukowana, wieczorem zapalają latarnie, dom porządny, mieszkanie mamy na pierwszym piętrze, ładne, trzy pokoje, meble solidne, orzechowe, robione na obstalunek — westchnął na to wspomnienie i zaczął wyliczać krzesła, szafy i komody. — Masz wszystko, co potrzebne w domu, a z czasem coś pozmieniasz, bo teraz ty będziesz tam panią — dodał. — Urządysz po swojemu. Moja siostra, Felutka, chętnie ci pomoże, wkrótce ją poznasz, bo ona bardzo ciebie ciekawa. To dobra dusza — zaczął opowiadać o swojej rodzinie, o nieżyjących już rodzicach i o rodzeństwie, które rozproszyło się po świecie i tylko siostra zamieszkała w pobliżu Warszawy. Ani słowem nie wspomniał o zmarłej żonie.

Słuchała, nie chciała mu przerywać. Przyglądała się jego dłoniom, które położył na kolanach — były silne, zadbane, z krótko przyciętymi paznokciami. To były dłonie człowieka, który jest zdecydowany, pewny siebie i spokojny, oceniła. Potem ukradkiem zerknęła nieco wyżej, w miejsce, którego przyzwoita dziewczyna nie powinna absolutnie dostrzegać, i szybko odwróciła wzrok. Czowała, że się rumieni. Jak to będzie dziś w nocy, przemknęło jej przez myśl. Będzie, jak ma być, odpowiedziała sobie, choć wcale jej to nie uspokoiło. Przecież prawie go nie знаła. W myślach nie nadawała mu imienia, był tylko „on”, obcy, z którym trzeba się oswoić. Przed ślubem widziała go dwa razy. Nie zdążyła go ani polubić, ani znieubić. Gdyby ją ktoś zapytał, co o nim myśli, powtórzyłaby chyba słowa ciotki, że to porządny człowiek. Wszystko stało się tak niespodziewanie szybko. Nie zdołała jeszcze wyobrazić sobie, jak to będzie z nim w małżeństwie. Jeszcze nie przyzwyczała się do tej myśli, że będzie jego żoną, że on będzie wypełniał jej dni i noce. Te noce najbardziej ją niepokoiły.

Co innego, gdyby to był kuzyn Leon, ale o nim już dawno przestała nawet marzyć. Bo tak po prawdzie Leon nigdy nie zwracał na nią uwagi. Przez tyle lat czekała na jakiś znak od niego, ale nic takiego się nie stało.

— Fanaberie — powtarzała ciotka, patrząc na nią spod zmarszczonych brwi. — Wybij go sobie z głowy. Dziewczyna taka jak ty, bez posagu i bez urody, nie powinna nawet myśleć o miłostkach. Tyle razy tłumaczyłam ci, że nie wolno ulegać słabościom, to dobre dla niemądrych panienek, które czytają romanse i marnują czas na głupstwa. Masz już swoje lata, a za grosz rozsądku. Kto to słyszał, żeby ciągle wdychać do mężczyzny, który nawet na ciebie nie spojrzy. Lepiej o nim zapomnij i módl się, żeby pan Bóg dał ci dobrego męża.

Tak mówiła ciotka, wierząc, że tylko modlitwa i ćwiczenia charakteru pomogą Lei znaleźć męża. I mówiła to z dobrego serca, dbała o nią prawie jak o własną córkę, której nigdy nie miała. Lea słuchała rad ciotki, uważała ją za kobietę mądrą i praktyczną, która swoje przeżyła i niejedno widziała, ale do modlitwy nie bardzo się przykladała. Dlaczego miałyby zawracać Panu Bogu głowę takimi sprawami? Kim ona jest, żeby jej modlitwa mogła się przebić wśród innych błagań i lamentów? A nawet gdyby jej się to udało, to kogo ona może sobie wymodlić? Mogła liczyć najwyżej na małżeństwo gwoli wiktowi i opierunkowi, a z tym nie musi się aż tak spieszyć. Ale czasami, gdy przypomniawszy sobie o radach ciotki, dawała znać Panu Bogu, że ma do niego sprawę, nie bardzo pilną, z gatunku tych lżejszych. Klękała wtedy przy swoim łóżku na chodniku utkanym z resztek szarej wełny i do wieczornych pacierzy dodawała kilka szybkich słów prośby względem przyszłego ślubnego. Jaki on miałby być, tego nie wiedziała, wiedziała za to, jaki być nie powinien. Jeśli to nie może być kuzyn Leon, to niech będzie

według twego uznania, Panie Boże, byle nie pił za dużo i nie grał w karty, i nie był takim utracjuszem jak ojciec, dodawała zazwyczaj. I tak wymodliła sobie Józefa.

Tego lata zaraz po żniwach ciotka dostała list od swojej przyjaciółki z młodych lat. Przeczytała go w skupieniu raz, a potem drugi i oznajmiła Leokadii, że za dwie niedziele odwiedzi ich daleki krewny czy powinowaty jej kochanej Klementyny. Lea kiwnęła głową, zastanawiając się, co to za sprawa sprowadza do nich takiego gościa. Nie docierało do niej, dlaczego ciotka mówi o nim z takim rozgorączkowaniem.

— Pisz mi droga Klementyna, że to bardzo porządny człowiek, wdowiec i jeszcze w sile wieku. Czterdzieści trzy lata dla mężczyzny to jest dobry wiek, a do tego aptekarz z Warszawy. No i najważniejsze, moja Leo, on szuka kandydatki na żonę, skromnej, roztropnej i pobożnej panny. Klementyna pyta wprawdzie o Manię, ale ja myślę, że ty bardziej się nadajesz — spojrzała przy tym krytycznie na swoją siostrzenicę. — No Leo, musimy się na tę wizytę dobrze przygotować. Trzeba uszyć ci jakąś sukienkę, ta już całkiem do niczego, spłowiła i przykusa w stanie.

I uszyły, z niebieskiego perkalu, prostą, ale z małymi bufkami i z wiśniowymi lamówkami.

— A to nie za strojne dla mnie? — dopytywała się skromnie Lea.

Sukienka bardzo jej się podobała, jeszcze nigdy nie miała takiej ładnej. Zawsze nosiła proste, szyte w domu ubrania, czasami przerabiane z dawnych sukien ciotki.

— Na taką okazję suknia może być trochę przyozdobiona, nie ma w tym nic złego. Chyba nie chcesz, żeby cię wziął za jakąś kuchetę? — odparła ciotka.

Potem uszyły jeszcze jedną, ślubną, już nie kolorową, ale kremową i przybraną koronkami. Ciotka wypruła je ze swojej starej sukni, namoczyła na noc w przekwaśnionej serwatce, a potem wygotowała w mydlinach, żeby odzyskały biel w miarę nieskazitelną; na koniec już lekko podeschłe wyglansowała wilczym zębem — no i wyglądały jak nowe.

Tę drugą suknię też szyły w wielkim pośpiechu, bo pan Józef szybko zdecydował się na ożenek, już przy pierwszej wizycie. Widać było, że poważnie myślał o małżeństwie. Przyjechał w południe na obiad, przywiózł butelkę czerwonego wina, a dla Leokadii pudełko czekoladek od Loursa przewiązane kolorową wstążką. Czekoladki jak czekoladki, ale co to było za pudełko! Prawdziwie eleganckie cacko, wyłożone czerwonym jedwabiem. Pan Józef też był elegancki, pachniał wodą kolońską, a włosy i wąsy miał ułożone na pomadę.

Po obiedzie porozmawiał z wujostwem, po czym zabrał Leo-kadię na spacer, wypytał ją o rodziców, na co odpowiedziała, że jest sierotą, bez ojca i matki, dodając, że ojca zesłano na Syberię i wszelki ślad po nim zaginął. Pan Józef nie wnikał w szczegóły, nie chcąc psuć odświętnego nastroju. Zapytał, jak się jej mieszka u wujostwa, czy zna się na prowadzeniu domu, a potem czy chce za niego wyjść.

Lea przystanęła z wrażenia, nie przypuszczała, że sprawy przybiorą taki błyskawiczny obrót. Spuściła wzrok i gorączkowo szukała jakiejś stosownej odpowiedzi. Nic nie przychodziło jej do głowy.

— Nie wiem — przyznała z wahaniem. — Jak ciotka uważa, że pan się nadaje, to chyba tak.

— A panna Leokadia jak uważa, nadaje się na męża? — zapytał Józef.

Lea przyjrzała mu się. Był niewysoki, tęgawy, twarz miał bladą i wydatny nos, włosy blond, na czubku głowy już mocno przerzedzone, za to wąsy i brodę gęste, rudawe i przystrzyżone zgodnie z najnowszą modą, przez co wydawał się jej nieco podobny do cara Mikołaja II ze zdjęcia w „Kurierze”. Oczy miał Józef zupełnie szare i łagodne, a mimo grubych krzaczastych brwi nie robił wrażenia człowieka zaciętego, skłonnego do gniewu czy gbur. Wygląda schludnie, pachnie też przyjemnie, wodą kolońską i apteką, ale do Leona nawet się nie umywa, stwierdziła w duchu. Ocena nie wypadła specjalnie korzystnie dla Józefa. Wygląd to nie wszystko, tłumaczyła sobie Lea, to porządny człowiek. Po chwili zastanowienia odparła:

— No chyba tak.

— Jak panna Lodzia tak łaskawie mnie ocenia, to nie ma co zwlekać ze ślubem.

— Tylko nie Lodzia! — zaprotestowała gwałtownie. — Proszę mi mówić Lea albo Leokadia. Spojrzał na nią rozbawiony.

— O, to mi się podoba! Z takim zdecydowaniem pannie do twarzy, panno Leo — zaśmiał się i wziął ją pod ramię.

Potem, po dwóch tygodniach, na Siewną przyjechał jeszcze raz, przywiózł jej pierścionek zaręczynowy, nieduży, ale ładnej roboty, i wtedy omówili sprawy ślubu.

Takie było jej narzeczeństwo, krótkie i bez uniesień. Lea wiedziała, czego od niej oczekiwał — że będzie wypełniała małżeńskie obowiązki, że urodzi mu dzieci, zajmie się domem, posprząta, ugotuje, upierze. Nie liczyła na wiele, o miłości wcale już nie myślała. Starła się być rozsądna, a ślub z panem Józefem był dla niej dobrym rozwiązaniem. Bo gdyby ciotka, nie daj Boże, umarła, a wiadomo, że na każdego przychodzi pora, to co by się z nią, Leą, stało? Chyba musiałaby się przenieść do siostry i szukać jakiejś posady w mieście. Tak więc zgodziła się wyjść za Józefa, którego prawie nie znała i z którym jechała teraz do Warszawy, do swojego nowego domu.

— Daleko jeszcze? — zapytała, spoglądając nieśmiało w jego szare oczy.

O końcu podróży myślała z obawą i ciekawością. Im bliżej była celu, tym więcej miała obaw, a jednocześnie była ciekawa, jaki będzie jej nowy dom.

— Jeszcze z godzinkę jazdy. Spod dworca weźmiemy dorożkę i migiem będziemy u siebie. — Odparł z dumnym uśmiechem wprowadzającego nowicjuszkę w szeroki świat. — Zmęczona jesteś?

— Trochę — przyznała i naciągnęła na siebie gruby wełniany szal. Chciała się w nim zatopić, ukryć jak za zasłoną.

Pogodny październikowy dzień dobiegał końca, widoki za oknem rozmywały się w szarości, a gdy wraz z zapadającym zmierzchem wróciły wspomnienia, przymknęła powieki. Wiedziała, że nie powinna się zamartwiać i nie powinna tyle rozmyślać o przeszłości. To, co minęło, już nie wróci, ciotka często jej to powtarzała.

— Chodź, nie gap się — powiedziała i zabrała ją z ganku, gdy żandarmi przyszli po ojca i prowadzili go przez podwórze. — Nie ma za kim się oglądać, zmarnował życie twojej matce i nam wszystkim. Tylko wstyd przyniósł i pohańbienie — mówiła, a jej twarz przybrała jeszcze bardziej surowy wyraz niż zwykle. Grube brwi ścigały się, tworząc na czole groźny, podobny do czarnego ptaka znak. — Lepiej by było, gdyby twoja matka nigdy go nie spotkała. Taki wstyd przez niego spadł na rodzinę, taki wstyd — powtarzała z odrazą. — A płacz też nic nie pomoże. Na nic to wszystko.

Dlaczego ciotka była w ich domu właśnie tego dnia, gdy zabrano ojca, tego Lea już nie pamięta. Mogła się jedynie domyślać, że chciała wesprzeć swoją siostrę, matkę Lei, która zwykle uciekała przed kłopotami w sen zaprawiony kroplami na uspokojenie albo dodawała sobie otuchy kieliszkiem wiśniówki wypijanym po kryjomu za drzwiczkami starego kredensu.

— Teraz za późno na żale. Nie ma co rozpaczać, wyroki boskie trzeba przyjmować z pokorą, zwłaszcza jeśli nic się wcześniej nie robiło, żeby się przed nimi ustrzec.

Ciotka wypowiadała te gorzkie słowa surowym tonem, w którym nie było ani żalu, ani litości, tylko przyczajony gniew. Patrzyła przy tym na swoją siostrę, która płakała rzewnymi łzami, nie próbując ukryć rozpacz i bezradności i nie zważając na obecność przestraszonych dzieci.

Bo tak po prawdzie to matka Lei była ulepiona z zupełnie innej gliny niż ciotka i do niczego się nie nadawała, była delikatnej urody i konstytucji, łatwo się wzruszała, łatwo łapała katary, była lękliwa i wiecznie zmarznięta. Przez tę swoją delikatność, którą wzięła nie wiadomo po kim, nie miała siły wziąć się w garść, otrzeć łzy i zakasać rękawy. Nie była z tych, co walczą o swoje, jak jej starsza siostra Anastazja — stanowcza, uparcie dążąca do celu i pozbawiona złudzeń.

To ciotka zdecydowała, że zabierze Leę do siebie, a kiedy coś postanowiła, konsekwentnie wprowadzała to w czyn. Była silna duchem, a do tego rozsądna. Jej chłodny, wyważony sąd sprawiał, że to do niej spieszono po pomoc i radę. Jej małżeństwo też było rozsądne i bardziej udane od małżeństwa siostry. Anastazja wyszła za właściciela kilku młynów, człowieka pracowitego, z głową do interesów, jednak bez koneksji i pretensji do dobrego pochodzenia. Jej mąż, wuj Kacper, nie był lubiany w rodzinie, uchodził za gbura i skąpca, człowieka przebiegłego, chytrego i pospolitego, który nie nosił kapelusza

nawet do kościoła.

— Wiadomo, kto się chamem urodził, chamem zostanie — twierdził ojciec Lei i powtarzał to za każdym razem, gdy ten nie chciał mu pożyczyć pieniędzy, a potem wykupić jego weksli.

A wuj Kacper nie zamierzał wspierać hulaki i utracjusza.

— Nic nie dam, nie po to harowałem całe życie, żeby taki nieudacznik miał za co pić i grać w karty. Nie dostanie ode mnie nawet złamanego grosza. — Tak powiedział i słowa dotrzymał.

Było, minęło, pomyślała z westchnieniem Lea. Wpatrywała się w umykający za oknem pociąg krajobraz i czuła się coraz bardziej niepewnie.

— O czym tak rozmyślasz? — zapytał Józef. — Może zjesz ciasto albo napijesz się herbaty? Zaraz powinniśmy zatrzymać się na stacji w Jabłonie, tam jest bufet, można napić się i coś zjeść przed dalszą podróżą.

— Nie, dziękuję, głodna nie jestem, ale napiłabym się herbaty — odparła z niepewnym uśmiechem. — Chociaż nie, nie rób sobie kłopotu.

— Jaki to kłopot? Poczekaj, zaraz ci przyniosę — poderwał się z siedzenia. Pociąg zaczynał zwalniać i zatrzymał się na stacji. Józef wysiadł, a po kilku minutach zastukał do okna przedziału. Lea zwolniła pasek podtrzymujący szybę.

— Herbata z sokiem dla łaskawej pani — powiedział z uśmiechem i podał jej szklanekę.

Herbata była słodka jak ulepek. Lea piła małymi łykami, bo też trudno to było przełknąć — chyba dostała podwójną porcję soku. Zerknęła na Józefa i zauważyła, że przyglądał się jej z zadowoleniem. Na razie jest dobrze, ale czy zawsze będzie mi z nim tak słodko? — zapytała samą siebie w myślach. Zawsze będzie taki uprzejmy? I jak ja z nim w ogóle wytrzymam zamknięta w czterech ścianach? Przecież wcale go nie znam. Co ja będę tam robiła?

Nigdy nie myślała o tym, że zamieszka w mieście. Nie pasowała do miasta, lubiła świeże powietrze i otwartą przestrzeń, nieograniczoną rzędami domów i murów. Lubiła pola, łąki i ogród, tam czuła się u siebie, nawet w zimowe dni chętnie wychodziła na dwór i patrzyła na drzewa i uspione ule. A miasto, czyli Mława, bo innego nie знаła, to był dla niej labirynt ulic, podwórek i skwerów, na których rosły rachityczne drzewa obskubane przez dorożkarskie konie. Warszawa musiała być jeszcze gorsza, ale klamka zapadła i nie było odwrotu. Teraz Józef będzie prowadził ją przez ten labirynt, musi zdać się na niego, zaufać mu. Musi ułożyć sobie z nim życie, starannie i z namysłem, tak jak ściele się łóżko dla nowożeńców.

Na noc poślubną, którą Lea i Józef spędzili w domu u wujostwa, ciotka kazała przyszykować dla nich gościnny pokój, ten, w którym kiedyś mieszkał jeden artysta, co malował świętych, a w przypiływie natchnienia wiejskie pejzaże. Stało tam podwójne łóżko, stare, ale z nowym siennikiem i zasłane świeżą bielizną, wykrochmaloną i wyprasowaną przez Agatę.

Późno w nocy, kiedy wesele dobiegało końca, pan młody został w stołowym z wujem Kacprem, wypił z nim kieliszek wódki — jeden, a może dwa, i czekał, aż poproszą go do sypialni. A Lea poszła z ciotką przygotować się.

— Założysz koszulę i położysz się, a reszta to już sprawa męża — powiedziała ciotka.

— Ale jak? Mam tak leżeć jak kłoda?

— Już ty nie udawaj naiwnej — burknęła ciotka — swoje lata masz i wiesz, w czym rzecz. Tylko z niczym się nie wrywaj. To do niego należy inicjatywa, więc rób, co ci każe. Jak dziewczyna za bardzo wrywna do tych rzeczy, to tylko źle o niej świadczy. Małżeństwo to nie jakaś tam miłostka, nie jest dla uciechy, to sakrament święty i wszystko musi być po bożemu. I pamiętaj, żeby zawsze być skromną, zakrywać się, zakładać koszulę i gasić lampę, tak żeby wstydu nie było. To dobranoc — powiedziała poważnym tonem i wyszła z pokoju.

Lea została sama. Ciężko jej było na sercu, bo wcale nie spieszyła się do tego, by poznać małżeńskie rozkosze. Mimo to posłusznie ściągnęła z siebie suknię, gorset i koszulę. Nalała wodę do miski, ochlapała twarz, potem przetarła myjką całe ciało, w końcu wytarła się i włożyła długą białą

koszulę, zawiązywaną pod szyją. Podeszła do łóżka i poprawiła koszulę, żeby dokładnie ją okrywała. Położyła się i naciągnęła kołdrę pod samą brodę, przytrzymując ją rękami, i czekała. Kręciło się jej w głowie od wina i od tańca, zdawało się, że pokój krąży wokół niej. Czuła, jak serce jej wali z emocji. Chciałaby mieć już za sobą tę pierwszą noc, ale była też ciekawa, jak to będzie.

Pan młody, którego wuj Kacper już dobrze zaprawił kilkoma kieliszkami, wszedł do pokoju nieco chwiejnym krokiem, usiadł na łóżku i spojrzał na Leę.

— Jesteś tam czy cię nie ma? Ledwo cię widać spod tych piernatów — zaśmiał się i odsunął kołdrę, którą ona starała się przytrzymać.

— No, myszko, nie chowaj się, to nie takie straszne, potem ci się spodoba, zobaczysz — szepnął, nachylając się nad nią. — Nie bój się, nic złego ci się nie stanie — dodał i zaczął rozwiązywać jej koszulę.

Lea wstrzymała oddech. Była już zupełnie trzeźwa i najchętniej uciekłaby od niego, ale wiedziała, że co się odwlecze, to nie uciecze.

— Lampa! — jęknęła.

— Co?

— Zgaś lampę. Ciotka powiedziała, żeby gasić lampę.

— Też pomysły — mruknął, ale zgasił lampę. Usiadł na łóżku, ściągnął z siebie ubranie i odrzucił kołdrę, a potem przysunął się do Lei, odwiązał troczki jej koszuli i włożył rękę za dekollet. Dłonie miał ciepłe, pożądlive. Słyszała, że coś do niej szepcze — łagodnie, pieszczotliwie, jakby chciał ją uspokoić, ale nic do niej nie docierało, bo serce wciąż waliło jak młotem, zagłuszając jego słowa. Po chwili poczuła, jak Józef przesuwając dłońmi po jej wykrochmalonej koszuli i podciąga ją do góry, odsłaniając jej nogi i brzuch. Za moment opadł na nią, wciskając się między jej uda z taką zachłannością, że jęknęła z zaskoczenia. Poddawała mu się, bojąc się nawet oddychać. Łóżko skrzypiało, a jej serce wciąż waliło, miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Najpierw zamknęła oczy, a potem je otworzyła i wpatrywała się w ciemność. Utkwiła wzrok w tym punkcie sufitu, w którym rano dostrzegła resztki pajęczyn.

— Moja mała myszka — wyszeptał w końcu Józef i z westchnieniem położył się obok niej na wykrochmalonych poduszkach.

Oddychał ciężko, a jej dudniło w skroniach. Leżała bez ruchu i czuła, jak strużka krwi wypełzła na jej udo. Łaskotała ją jak mucha wędrująca po nodze, znacząc koszulę i ją samą. Czuła się zawstydzona i upokorzona, tak jak wtedy, gdy zachorowała na solitera i felczer stawiał jej bańki na brzuchu. Ale już po wszystkim, pomyślała z ulgą. Już się stało. I o co tyle gadania? Teraz jestem inna? Naznaczona? Gorsza czy lepsza? Należę do niego, a nie do siebie?

Czekała, aż on zaśnie. Kiedy usłyszała jego równomierny oddech, ostrożnie odsunęła kołdrę i wstała. Odeszła w kąt pokoju, gdzie stała miska i dzbanek z wodą. Rogiem umoczonego w wodzie ręcznika zaczęła zmywać krew z uda. Potem przebrała się w czystą koszulę, która leżała na skrzyni. Obejrzała się za siebie i przez chwilę nasłuchiwała, a gdy się upewniła, że on śpi, narzuciła chustę i wyszła z pokoju.

Dom był pogrążony w ciszy. Goście odjechali, zostali tylko domownicy i najbliższa rodzina. Chciała pójść na górę do swojego starego pokoju, w którym teraz spała Mania, chciała trochę tam posiedzieć i żeby było tak jak dawniej, żeby nie musiała stąd wyjeżdżać. Kiedy wchodziła do sionki, drzwi zaskrzypiały i usłyszała za sobą cichy, karcący głos ciotki Anastazji:

— A ty gdzie? Wracaj do męża!

— On śpi — odparła.

— A jak się obudzi i zobaczy, że ciebie nie ma?!

— To powiem, że poszłam za potrzebą.

— Już ty nie musisz za żadną potrzebą. Idź do niego, tam teraz twoje miejsce — powiedziała szybko, a potem dodała łagodniej: — No, idź, dziecko, idź spać.

— Kiedy nie mogę zasnąć.

— Jak będziesz łaźła po nocy, tym bardziej nie uśniesz — burknęła ciotka i znowu złagodniała: — Chodź do kuchni, dam ci coś na spanie.

W kuchni pod płytą jeszcze się żarzyło, ciemnoczerwone światło ledwo zarysowywało kontury

stołu, sprzętów i śpiących ludzi. Urszulcia, wsparłszy głowę na stole, zasnęła wśród resztek weselnej uczty, w kącie obok kosza z drewnem spała Agata, a tuż obok niej Wojtek, pomocnik wuja. Ciotka popatrzyła na to ze zgrozą, ale nic nie powiedziała.

— Zaczekaj — powiedziała i znikła za drzwiami pokoju stołowego. Po chwili wróciła z kieliszkiem nalewki. — Masz, wypij.

Lea wypijała bez słowa, skrzywiła się i odstawiała kieliszek.

— Teraz wracaj do niego i spróbuj zasnąć — powiedziała z westchnieniem. — Tak trzeba, dziecko. No idź już, idź.

Gdy Lea wróciła do pokoju, Józef spał, lekko pochrapując. Nie czuła zmęczenia. Położyła się na skraju łóżka, jak najdalej od niego, i wsłuchiwała się w dźwięki uspiętego domu. Nad ranem wreszcie zasnęła.

Wyjechali dwa dni po ślubie. Cała wyprawa Lei zmieściła się do drewnianego kufra — jej dwie sukienki, kaftanik, koszule i pantalone, lniane prześcieradła, powłoczki, ręczniki, a do tego różaniec ze szklanych liliowych paciorków, książeczka do nabożeństwa, stara kantyczka i dwa obrazki, jeden z Matką Boską Częstochowską, a drugi ze świętym Franciszkiem z Asyżu, który Lea kupiła kiedyś na odpuszcie. Na wierzchu położyła niebieską wełnianą lizeskę, którą Mania zrobiła dla niej na szydełku.

— Bądź szczęśliwa, siostruniu — powiedziała Mania na pożegnanie i wcisnęła jej do ręki zawiniątko z pieniędzy. — Schowaj to na czarną godzinę. Gdyby było ci źle, to przyjedź do mnie — wyszeptła Lei do ucha i ucałowała w policzki, a potem się rozplakała.

Dobra z niej dziewczyna, może to ona powinna wyjść za Józefa, pomyślała Lea, może lepiej by się dla niego nadawała i doceniła szczęście?

Ciotka też żegnała Leę ze łzami w oczach, a jej głos jeszcze teraz dźwięczał Lei w głowie:

— Kamień spadł mi z serca, Leo. W końcu wyszłaś za męża, więc nie będę się dłużej zamartwiała, że po mojej śmierci zostaniesz sama, zdana na łaskę innych. Bogu trzeba za to dziękować, a najbardziej Matce Boskiej, bo ona łaskawa dla sierot. Pamiętaj, módl się do niej, niech tobą kieruje. Teraz też ci nie będzie łatwo — mówiła szybko, jakoś niespokojnie. — I pamiętaj, czego cię uczyłam: bądź mądra i wyrozumiała, żeby mąż nie musiał się na ciebie gniewać, bo i bez tego kłopotów ci nie zabraknie. No a jak Pan Bóg wam pobłogosławi i dzieci przyjdą na świat, to będziesz miała jeszcze więcej zmartwień. Ale nie myśl teraz o tym, ciesz się ze swego szczęścia. I napisz, jak ci się wiedzie — dodała, ocierając łzy.

Wuj odwiózł ich na pociąg i dopilnował, żeby dobrze zapakowali kufer i kosze z wiktuałami, które przygotowała im Urszulcia.

— Jedźcie z Bogiem — pożegnał ich pobożnie, choć nigdy pobożny nie był. — Jedźcie z Bogiem.

I tak Lea pojechała na swoje.

Przed wieczorem zajechali na Dworzec Główny Kolei Nadwiślańskiej. Kiedy wysiedli, Lea czuła się oszołomiona hałasem i wszechobecnym tłokiem. Wszyscy się dokądś spieszyli; ktoś ją potrącił, gdy stanęła i rozglądała się niepewnie.

— Chodź — Józef wziął ją pod ramię. — Chodź, bo jeszcze mi się zgubisz — dodał zatroskany.

Do domu przyjechali dorożką. Podczas jazdy objaśniał jej, gdzie są i jak daleko jeszcze do domu. Lea słuchała i potakiwała, patrzyła na mijane po drodze ulice, place, domy i kościoły trochę z obawą, a trochę z podziwem. Im dłużej jechali, tym gorzej się czuła — coraz mniejsza, zagubiona i przytłoczona wielkością miasta. Jak tu się nie zgubić? — myślała zaniepokojona. I jak się odnaleźć?

— Już niedaleko. Zaraz będzie plac Krasińskich — trzymał ją za rękę jak dziecko, które pierwszy raz idzie do szkoły. — A potem to już tylko kilka minut i będziemy na miejscu.

W końcu dorożka zatrzymała się na wąskiej uliczce wyłożonej kocimi łbami. Z obu stron wznosiły się rzędy starych kamienic. Na jednej z nich, przy której się zatrzymali, wisiał duży szyld wypisany po rosyjsku, a obok po polsku: APTEKA.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył uroczyście, podając jej rękę, gdy wysiadała z dorożki.

Weszli do środka. Lampy naftowe oświetlały wnętrze, zastawione szafami sięgającymi aż pod sufit. Zza lady wyszedł do nich młody mężczyzna i nie zwracając uwagi na klientów stojących przy kontuarze, powiedział:

— Pan prowizor z żoną! — powitał ich i skłonił się przed Leą. — Rączki całuję wielmożnej pani aptekarzowej. I winszuję państwu z całego serca.

Za nim dwóch chłopaków wyjrzało z pomieszczenia na tyłach apteki: jeden wysoki, z burzą kręconych rudych włosów i zuchwałym uśmiechem, a drugi drobny, nieśmiały blondyn z twarzą pokrytą młodzieńczymi krostami. Józef przedstawił Lei swoich pracowników, a ona uśmiechała się do nich i dziękowała za życzenia, ale nie zapamiętała nawet ich imion ani twarzy. Tyle się działo, tyle nowych rzeczy! Była tak podekscytowana, że na niczym nie mogła się skupić.

Mieszkanie znajdowało się tuż nad apteką; prowadziły do niego wąskie drewniane schody. Kiedyś były to schody kuchenne, ale teraz korzystali z nich wyłącznie pracownicy apteki. Do mieszkania można było wejść również z głównej klatki schodowej, ale Józef zazwyczaj korzystał z przejścia przez aptekę i tędy też poprowadził Leę na górę. Zanim zdjęła płaszcz podróżny, już pokazał jej mieszkanie.

— Teraz to twoje gospodarstwo, jesteś tu panią — powtarzał, prezentując pokoje i kuchnię, która wydawała się jej mała i ciemna.

Podeszła do okna i wyjrzała na podwórze. Zrobiło się ciemno, widziała tylko światła w oknach sąsiednich domów i kontury dachów pod granatowym rozgwieżdżonym niebem. Najgorszy był jednak zapach, który wypełniał całe mieszkanie — obcy, przesycony terpentyną i czymś jeszcze, czego Lea nie umiała zidentyfikować.

— No, jak ci się podoba? — zapytał z dumą w głosie i wygładził swoje wąsy.

— Nie myślałam, że będzie takie... — zaczęła i zamilkła, szukając odpowiedniego słowa. Nie chciała powiedzieć „puste”, więc uśmiechnęła się zakłopotana. — Takie duże... — wystękała w końcu.

Zjedli zimną kolację, którą przezornie zapakowała im Urszulcia. Resztki weselnej uczty, mięs i ciasta. Smakowała jej, pachniała domem. Zmęczenie dawało się jej we znaki, więc siedziała spięta w oczekiwaniu, co będzie dalej.

Józef podszedł do kredensu i wyciągnął z niego butelkę. Napełnił dwa kieliszki ciemnym ziołowym eliksirem i podał jej jeden.

— *Elixir ad longam vitam* — powiedział tajemniczo i zaraz wyjaśnił: — Elixir na długie życie, specjalnie dla nowożeńców, wypij do dna. — Popatrzył na nią z uśmiechem i sam wypił trunek jednym haustem.

Spróbowała, ale nie smakował jej. Miał ostry posmak, jednocześnie słodki i gorzki, jak życie, które ją czekało. Skrzywiła się.

Józef wydawał się rozbawiony.

— Wypij do dna, żeby nam się dobrze działo — zachęcał.

Wypiła posłusznie, aż zrobiło jej się ciepło w żołądku. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Poczula smak ziołowej nalewki i łaskotanie jego wąsów na swojej twarzy.

Odsunęła się od niego. Lekko oszołomiona usiadła z powrotem na krześle.

— Kręci mi się w głowie — usprawiedliwiła się.

— Mocna wódka, to musi się w głowie zakręcić — powiedział i spojrzał jej w oczy. — Może będziesz trochę weselsza. Postaraj się. Postaraj się być szczęśliwa — dodał i poprowadził ją do sypialni. Potem czekał, aż się przygotuje.

Nie spieszyła się i próbowała o niczym nie myśleć. Starannie złożyła ubranie na krześle i myła się długo, jakby chciała odwlec tę chwilę, gdy będzie gotowa, żeby go przyjąć. W końcu stanęła przed nim wyprostowana i nieruchoma jak słup soli obleczony w płócienną koszulę.

Uniósł lekko brwi i popatrzył na nią jakby zatroskany.

— Lea, nie ma się czego wstydzić, przed mężem niczego nie musisz ukrywać — mówił, dotykając jej małych piersi. Jego głos stał się chropawy i głęboki, jak wabik na dzikie kaczkę. — Zdejmij to — poprosił.

— Nie — pokręciła przecząco głową i przytrzymała koszulę pod szyją. — Nie mogę.

— Możesz — odparł i nie czekając na jej ruch, ściągnął z niej koszulę. — Teraz jest znacznie lepiej.

Zamknęła oczy i czekała, poddając się jego dotykowi. Próbowwała sobie wyobrazić, że jest gdzieś indziej, gdzieś daleko stąd, że pływa w rzece, a woda obmywa jej ciało i rozpryskuje się na ramionach. Nie na wiele się to zdało: była z nim w obcym pokoju, w cudzym łóżku, w pościeli o obcym zapachu; on też był wciąż obcy i czuła go każdym fibrem swojego ciała, każdy jej nerw był napięty do granic możliwości i buntował się przeciw temu, co z nią robił. Zagryzała wargi, żeby nie pisnąć. Trudno, tak trzeba, mówiła sobie. Zasnęła zmęczona, ale w nocy obudziła się z uczuciem niepokoju. O Boże, jak ja z nim wytrzymam? Nie było na to innej odpowiedzi niż ta, że tak trzeba. Więc tak trzeba, powtarzała potem często.

Mieszkanie znajdowało się nad apteką. Składało się z trzech pokoi, a okna dwóch z nich wychodziły na ulicę Piwną. Z okien sypialni i przylegającej do niej kuchni był widok na podwórze, na którym od rana krzatali się ludzie — słyhać było rumor i pokrzykiwania domokrażców.

— Wengle do samowara! Wengle!

— Noże ostrzem, nożyczki, garnki drutujem!

— Szmaty kupujem! Stare szmaty, gałgany! — wołali na różne tony, wchodząc na podwórze.

Ich głosy dopasowywały się do siebie i przechodziły jedno w drugie; mieszały się ze skrzypieniem wózków, szuraniem miotły i kubłów oraz trzaskaniem zamykanych okien. W południe przychodziła pora na katarynki i smętne ballady podwórkowych muzykantów. Od rana do wieczora towarzyszył temu szelest gołębih skrzydeł, ćwierkanie wróbli i soczyste zarazy, cholery i psiekrwie wyfruwające z ust mniej eleganckich mieszkańców.

Lea, nawykła do wiejskiego życia, zwykle budziła się wcześniej, ale pierwszego dnia na nowym miejscu zasnęła. Obudziło ją bicie kościelnych dzwonów. Gdy otworzyła oczy, stwierdziła, że Józef już wstał i mył się za parawanem. Kiedy skończył, podszedł do niej i ucałował ją w czoło.

— Jak się dziś masz? — zapytał.

— Zasnęłam — zaczęła się tłumaczyć, odgarniając włosy. — Taka byłam zmęczona.

Słuchał z pobłażliwym uśmiechem, bardziej zwracając uwagę na jej całkiem ładne ramiona niż na słowa usprawiedliwienia. Zawstydzona okryła się kołdrą, żeby nie dostrzegł jej nagości. Nie mogła siał zgorzenia. Golizna to dopust boży, ciotka tyle razy jej to powtarzała.

— Wstawaj, zjemy śniadanie, bo potem muszę zejść do apteki.

Gdy wyszedł z sypialni, wyskoczyła z łóżka, szybko się ubrała i poszła do kuchni. Wyjęła z kosza bochenek domowego chleba i zanim ukroiła pierwszą kromkę, nakreśliła na jego spodniej stronie znak krzyża, tak jak robiła jej babka, a potem ciotka.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, oby nam nigdy chleba nie zabrakło — powiedziała uroczyście i podała mu kromkę, masło, ser i konfitury.

— Nasze pierwsze śniadanie w domu — odparł z lekkim westchnieniem i dodał: — Trochę późno się zrobiło, zwykle jem przed siódmą.

— Dobrze, będziemy jeść wcześniej — odparła zgodnie.

Pomyślała, że teraz każdy dzień będzie się tak zaczynał, wspólnym śniadaniem, herbatą, do której pewnie przyzwyczai się tak jak do niego. A co potem? Co będzie dalej? Tego nie mogła przewidzieć.

— Ja tak rano nie jadłam, najwyżej mleka się napiłam — powiedziała, byle coś powiedzieć, byle nie zaległa między nimi cisza.

Józef nie zwracał na to uwagi. Nie był zbyt rozmowny, myślami był już gdzie indziej, zjadł i wstał pospiesznie.

— Muszę iść, zobaczyć, co tam w aptece. Kilka dni mnie nie było, mój wspólnik pewnie nie może się już mnie doczekać. Bo z tych dwóch chłopców, których wczoraj widziałas, nie ma żadnej wyręki. Dopiero uczą się, stale trzeba patrzeć im na ręce, kontrolować, żeby czegoś nie pomiesza —

wyjaśniał. — Zajrzę do ciebie w ciągu dnia, jak tylko znajdę chwilę. Teraz rozejrzyj się, rozpakuj — dodał. Pocałował ją, ścisnął dłoń i wyszedł.

Apteka to nie było miejsce dla kobiet. Tak jak w młynie wuja, tak i w aptece Józefa Lea tylko zawadzała. Nawet jeśli nic nie mówiła, to rozpraszała uwagę, burzyła spokój i naruszała harmonię, wewnętrzny układ sił między pracownikami. Kiedy Józef po raz pierwszy zaprowadził ją wąskimi schodami na dół, żeby pokazać swoje miejsce pracy, szybko to wyczuła. Męski świat, logiczny i poukładany, skatalogowany jak leki i lecznicze substancje, które przechowywano w aptecznych repozytoriach, olbrzymich szafach naszpikowanych szufladkami. Nie było tu miejsca na babski rozgardiasz, rozgadanie i nieuwagę. Każda czynność musiała być wykonana zgodnie ze sztuką aptekarską, *lege artis*, z najwyższym skupieniem. Lea chodziła niemal na paluszkach, wstrzymywała oddech, mówiła szeptem, nie chciała rozproszyć powagi malującej się na twarzy Józefa i jego uczniów. Nawet przez myśl jej wtedy nie przeszło, że apteka nie jest wcale spokojnym i bezpiecznym miejscem, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, a nawet na drugi. Musiało upłynąć nieco czasu, nim się zorientowała, że i tu mogą dziać się rzeczy, o których będzie chciała zapomnieć. Ale jesienią 1895 roku, kiedy Józef oprowadzał ją po aptece, nic tego nie zapowiadało.

Najpierw pokazywał jej izbę ekspedycyjną, gdzie za solidnym kontuarem z dębowego drewna, zajmującym niemal całą szerokość izby, stał elegancki i wymowny pan Emil Zydlewicz. Obsługiwał klientów, wyjmując z półek, przegródek i stojących za nim szaf tabletki, krople, syropy, maści i różnego rodzaju gotowe specyfiki, a następnie półgłosem objaśniał kupującemu, jak należy stosować lekarstwo. Lea patrzyła na niego z uznaniem, był drobny, jasnowłosy, nieco niższy od Józefa, ale poruszał się szybko i z gracją gibkiego tancerza, w mig odnajdując pożądaną produkt. Czy to był krem do pielęgnacji delikatnej kobiecej cery, czy proszek na karaluchy, czy środek na laksowanie, pan Emil podawał go z miną godną i wyrażającą absolutną dyskrecję i powagę sekretnej chwili, gdy klient zwierzał mu się ze swych trosk, potrzeb czy zachcianek i prosił o poradę. Pan Emil słuchał uważnie, ze zrozumieniem kiwał głową i od pierwszego wejrzenia budził zaufanie.

— Pan Emil jest naszym głównym ekspedytorem. Klienci, a zwłaszcza panie, bardzo go chwalą — szepnęła jej Józef i dalej oprowadzał po swoim królestwie.

Pokazał jej piękną nową kasę, która stała na stole obok pulpitu pana Emila. Kosztowała majątek i z każdym dotknięciem klawisza wydawała dźwięk zbliżony do cmoknięcia. Potem pokazał przeszklone gabloty z kosmetykami i zegar o białej tarczy podobnej do księżyca, umieszczony w zwieńczeniu największej z szaf.

Z ekspedycji wrócili do przedpokoju, z którego wchodziło się także na schody na górę i do piwnicy, do gabinetu i do laboratorium, czyli receptury, gdzie przy masywnym laboratoryjnym stole przygotowywano leki. Panował tam lekki bałagan, Lea nie zwróciłaby na to uwagi, ale Józef był wyczulony; jakby miał dodatkowy zmysł, zaraz wyczuwał atmosferę nieładu. Drobne naruszenie porządku, a nawet jego zapowiedź były dla niego nie do przyjęcia, niczym zwiastuny anarchii i bezprawia. Spojrzał groźnie na uczniów, Filipa i Tymona, którzy z zapałem wzbudzonym jego obecnością zabrali się właśnie do pracy. Filip przesypywał biały proszek do papierowych torebek, posypując przy tym siebie, stół i podłogę. Grzywka opadała mu na oczy, ale Lei wydawało się, że zrobił zeza w momencie, gdy Józef go upominał.

— Co ty robisz! Uważaj, wszystko rozsypujesz. — Józef nie krzyczał. Mówił cicho, ale z naciskiem, a odwracając się do Lei, dodał: — Stale trzeba ich pilnować, żeby czegoś nie zepsuli, żadnej z nich pomocy. Tacy mi się trafili.

Filip miał szesnaście lat, był wysoki i szczupły. Jasnorude włosy, długie rzęsy i zielone oczy dodawały mu uroku, ale poruszał się niezdarne, jakby rozsadzała go nieujarzmiona jeszcze młodzieńcza energia. Józef nie powierzał mu subtelniejszych prac — uważał, że dopóki chłopak nie poskromi swej wybujałej zamaszystości, powinien wykonywać prace wymagające siły fizycznej. Zatrudnił go do rozdrabniania suchych kłączy pięciornika, rzewienia i kory chinowej, które należało rozcierać w dużych

moździerzach. Dopiero gdy Filip się zmęczył, Józef zlecał mu przyrządzanie prostych leków, roztworów i proszków.

Tymon wydawał się przeciwieństwem Filipa, był od niego starszy o rok, ale dużo bardziej dojrzały, poważny, dokładny i uważny. Miał krótki wzrok, stale nachylał się nad robotą, żeby lepiej widzieć, ale dłonie o szczupłych palcach i wiecznie obgryzionych paznokciach miał bardzo zręczne. Józef dawał mu do wykańczania apteczne pigułki, żeby były równiutkie i dokładnie posypane zarodnikami widłaka bądź sproszkowanym korzeniem irysa. Tymon potrafił też zgrabnie formować czopki, gałki i pręciki. Pod czujnym okiem Józefa uczył się robienia leków złożonych, mieszanek, syropów, proszków i win leczniczych, gdy tymczasem Filip musiał w wielkim garnku mieszać klej kostny, z którego sporządzano plastry i opatrunki na wrzody. Filip uważał, że zawsze dostaje czarną robotę. Tak było, bo Filip miał jeszcze jedną wadę, która irytowała Józefa: lubił dyskutować, i to nie tylko o recepturze. Teraz w obecności Lei chciałby coś powiedzieć, ale Józef spojrzał na niego groźnie.

— W aptecce obowiązuje cisza — upomniał go.

Chłopak zamknął usta. Tymon zarumienił się za niego, spuścił głowę i z uporem mieszał maść w porcelanowym moździerzku, dokładnie i starannie, żeby nie uронić ani odrobiny. Ale Józef nie był dziś zadowolony z uczniów. Podeszedł do Tymona, zajrzał do moździerza i pokręcił głową.

— I co to ma być? — zapytał surowym tonem.

— Maść na odleżyny, panie prowizorze — wybąkał chłopak.

Józef spojrzał na niego z niezadowoleniem.

— Maść? A wygląda gorzej niż... Podgrzej to lekko, bo nic z tego nie będzie.

— Może za dużo od nich wymagasz? — zapytała później Lea.

Józef obruszył się.

— Ależ Lea, to nie jest zabawa. Lków nie można zrobić byle jak, na oko. Wszystko musi być przygotowane dokładnie, według recepty. Muszę od nich wymagać, a oni muszą się nauczyć, żeby potem zdać egzaminy — tłumaczył jej z powagą i przekonaniem, że to najważniejsza rzecz na świecie. — A tu jeden roztrzepany, a drugi gapowaty — krytykował uczniów, aż zrobiło się jej przykro, że tak ich gnębi.

Pomyślała, że pewnie są speszeni jej obecnością, a jak się człowiek peszy, to nic nie wychodzi.

Ją peszył i onieśmiała Józef.

— Lea, tu obowiązują pewne zasady — powiedział, akcentując każde słowo. Zmarszczył przy tym lekko brwi i przypomniał, że apteka to nie miejsce dla kobiet. Niczego nie można zrobić tu ot tak sobie, zwyczajnie. Wszystko musi być zgodne ze sztuką aptekarską, której ona nie zna. I gdy to mówił, patrzył jej w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy pojawi się w nich błysk zrozumienia.

Rozumiała, oczywiście, że rozumiała. To szklana góra, lodowiec, na który można wejść tylko pod warunkiem, że nosi się spodnie. Tego jednak nie miała odwagi mu powiedzieć; kiwnęła zgodnie głową w myśl zasad wpajanych jej przez ciotkę Anastazję, że z mężem powinna się zgadzać, a jeśli jest to niemożliwe, przynajmniej powinna mu przytakiwać. Co potem robi, to już inna sprawa.

O nic więcej nie pytała, a przecież było tam wiele rzeczy, o których chciałyby się czegoś dowiedzieć. Chociażby... co jest w tych szafach? Chciałyby też zobaczyć, co jest w magazynie, jednym i drugim, co trzymają w piwnicy.

— Szkło, opakowania kartonowe, zapasy płynów... — wyliczał pospiesznie Józef. — Nic, co by cię mogło zainteresować.

— A tam co jest? — podeszła do drzwi po drugiej stronie, na wprost ekspedycji.

Małe pomieszczenie obok receptury oświetlone wąskim oknem wychodzącym na podwórze, które Józef nazywał biurem, pełniło rozmaite funkcje. Było pokojem do pracy, biblioteką, miejscem, gdzie przyjmował interesantów. Tu stała szafka, w której przechowywano silnie działające leki i trucizny, oczywiście zamykana na klucz, a także przeszkłona gablotka z wagą analityczną. Na dużym blacie biurka Józef trzymał notatnik i księgę apteczną, do której wpisywał wykonywane recepty, odnotowywał zużycie surowców i ich koszt. Była tam też lampa osłonięta zielonym półkloszem i przybory do pisania. To tu, w otoczeniu półek i szaf zapełnionych książkami i manualami Józef

przesiadywał na krześle obitym brązową skórą, ślęcząc do późna nad zamówieniami, receptami i rachunkami.

Józef był pedantyczny, każda rzecz musiała leżeć na miejscu do tego przeznaczonym. Lubił, żeby wszystko było przewidywalne — przedmioty i ludzie, a nawet pogoda. Przy wejściu do apteki kazał zainstalować termometr, a w biurze na ścianie umieścił barometr i sprawdzał jego odczyty kilka razy dziennie. Pukając w drewnianą obudowę palcem, sprawdzał, czy aby nie przekłamuje, a po tym rękoczynnie zapisywał wyniki w kajecie.

Teraz rzucił tylko na niego okiem, omiół wzrokiem apteczne wnętrza, sprawdził, czy zegar się nie późni, skontrolował porządek w laboratorium i wyglądając lewą brew, zapytał:

— No i co powiesz, jak ci się podoba? — Na jego twarzy malował się wyraz dumy popartej przekonaniem, że na to wszystko zapracował, może nie sam, ale w połowie.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Podoba mi się, ale... To jest dla mnie takie obce, tyle tu tego, tych szaf i półek, szufladek, niczego nie potrafiłabym znaleźć — przyznała zawiedziona, że nic mądrego nie przychodzi jej do głowy. — I pachnie, jakbyś miał w tych szafach wszystkie przyprawy — dodała, chcąc sprawić mu przyjemność. Czuła się niemal jak w kościele, niepewnie, jakby znalazła się w obliczu tajemnicy, którą celebrował Józef.

— Przyprawy? — popatrzył na nią z pobłażaniem. — To nie jest kuchnia, Lea. To laboratorium apteczne.

Pewnie, że to nie kuchnia, odparła mu w myślach. Obco tu, tyle sprzętów, tyle wszystkiego, ale pusto i zimno. Nieznośnie pusto. To twój świat, nie mój.

Czuła się zagubiona i onieśmielona. Wszechobecne łacińskie napisy na słojach, flaszach, puszkach i białych emaliowanych plakietkach przymocowanych do frontów szuflad wyglądały nieprzystępnie: *Cera alba*, *Talcum Venetum*, *Extractum Opii siccum*, próbowała zrozumieć, ale знаła tylko zwykły talk i ekstrakt z kości wołowych, który Urszulcia czasami dodawała do zupy, żeby była bardziej mięsna. W ogóle u ciotki w kuchni było zawsze głośno, życie aż kipiało, jak potrawy w garnkach, chyba że akurat piekły się baby wielkanocne, to wtedy nie, wtedy trzeba było chodzić na paluszkach, uważać na przeciągi, nie trzaskać drzwiami, żeby nie opadły. Ale tak na co dzień zawsze coś się tam działo. A w aptecce panowała cisza, przerywana tylko rytmicznymi uderzeniami pistla².

Tu obowiązuje cisza, cisza i skupienie, powtarzał jej Józef, kładąc wymownie palec na ustach. W aptecce wszystko trwało w ciszy, względnej oczywiście, bo nie sposób bezszelestnie rozbijać w móżdżerzu twardych korzeni rzewienia ani rozcierać maści czy kruszyć kryształów tymolu i grudek pachnącej żywicy, ale rozmowy przy pracy były ograniczone do niezbędnego minimum. Cisza wisiała w powietrzu. Uczniowie mówili półgłosem, Józef odpowiadał im półtonem lub szeptem miarowym jak kapanie destylowanej wody, poważnym jak łacińskie formuły *ad usum internum*, *ad manus medici*, *quantum satis...*³ *Amen*, chciałyby odpowiedzieć Lea. Wszystko było dla niej nieprzystępne i niemal wrogie. Nawet zwykła dziewanna nazywała się tu *Verbascum*, a pięciornik *Potentilla tormentilla*.

Ale pracownicy apteki wydawali się jej sympatyczni, zwłaszcza pan Emil zrobił na niej dobre wrażenie człowieka uprzejmego i godnego zaufania. Prawdziwy dżentelmen, myślała o nim. Uczniowie też nie byli tacy najgorsi, jak mówił Józef, na pewno dużo grzeczniejsi od chłopaków, którzy pracowali u wuja we młynie, przynajmniej na takich wyglądali. Jedynie współwłaściciel apteki, pan Reutowicz, od pierwszego spotkania wzbudził w niej nieufność. Z pewnością wiele kobiet uznałoby go za przystojnego mężczyznę. Był kilka lat młodszy od Józefa, wysoki, szczupły, włosy miał czarne, gęste i lekko falujące, wybrylantynowane. Wysokie czoło, ciemne oczy i szerokie, ładnie zarysowane brwi nadawały jego twarzy wyraz powagi i skupienia, a silnie zaznaczony pod-bródek wskazywał, że jest to człowiek uparty, mocnego charakteru, i tylko zakręcone z fasonem wąsy pozwalały domniemywać, że nie jest całkowicie pozbawiony fantazji. Właściwie nic nie można było mu zarzucić, był uprzejmy, miał przyjemny, można nawet powiedzieć, że wypieszczony głos, ale kiedy się z nią przywitał, jego oczy pozostawały zimne jak lód. Dotyk jego dłoni również był zimny, pełen rezerwy.

— Miło mi panią poznać. Cieszę się ze szczęścia mojego przyjaciela, a pani gratuluję —

powiedział bardzo uprzejmie i gładko. Lekki uśmiech wyższości, który nie zniknął z jego twarzy, mówił jej jednak coś innego.

Lea odczytała to jako ostrzeżenie: uważaj, dziewczyno, z nim mogą być kłopoty. I było to słuszne spostrzeżenie. Kiedy kilka dni później zeszła powiedzieć Józefowi, że wychodzi na zakupy, przez uchylone drzwi biura dobiegł ją głos Reutowicza.

— Ta twoja Leokadia, przykro mi mówić, ale uważam, że bardzo niefortunnie wybrałaś. Co ty w niej widzisz? Przecież to wiejska dziewczynina, zupełnie nieokrzesa, nie dorasta ci do pięt, nie wiem, czy wziąłbym ją na gosposię. Nawet nie jest ładna, chociaż to już kwestia gustu, ale nie musiałeś od razu się z nią żenić.

Być może powiedział szczerze, co myśli, ale dotknęło ją to do żywego; nie mogła puścić tego mimo uszu. Z impetem weszła do środka i zmierzyła go wzrokiem.

— Dobrze, że tego nie słyszałam, panie Reutowicz, bo pomyślałabym, że chce mnie pan obrazić. Reutowicz wcale się nie przejął nagłym pojawieniem się Lei.

— Pani wybaczy, to nie było przeznaczone dla pani uszu — odparł, obdarzając ją przelotnym lodowatym spojrzeniem.

— Może jestem wiejską gęsią, ale nawet ja wiem, że przy otwartych drzwiach takich rzeczy się nie mówi — powiedziała zdenerwowana, odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę, zapominając, że potrzebuje kilku rubli na zakupy. Najchętniej trzasnęłaby drzwiami, ale powstrzymała się ze względu na Józefa, który ruszył za nią.

— Lea! — zawołał na schodach. — Nie bierz sobie tego do serca, czasem go poniesie.

— Pozwalasz na to!

Była zła i na niego, że nie zaprotestował, nie stanął po jej stronie. Może zresztą nie zdążył, bo szybko weszła. Ale pan Reutowicz nie zaskarbił sobie jej sympatii.

Przez cały tydzień Józef pracował od rana do wieczora, przychodził tylko na posiłki. Dopiero w niedzielę miał dla niej więcej czasu. W pierwszą niedzielę po przyjeździe Lei do Warszawy dzień był brzydki, deszczowy. Rano wybrali się na poranną mszę do katedry, a potem poszli do kawiarni.

Zabrał ją do jednej z tych eleganckich kawiarni na Nowym Świecie, do których od jakiegoś czasu mogły chodzić kobiety. Przybytki mieszczące się na Starym Mieście miały tradycyjny charakter i inną klientelę. Jedne, choćby czynna przez całą noc kawiarnia Pod Słońcem, były popularne w sferach artystyczno-literackich, inne wśród politycznych oszołomów i wysłużonych konspiratorów, od których Józef wolał trzymać się z daleka. Artyści i literaci to ludzie podejrzani, niepoważni, bez grosza przy duszy, za to z głową pełną oparów wina i niezdrowych pomysłów; piją dużo, jedzą mało, kawę biorą za pięć kopiejek, rozwodnioną, drugiego parzenia i trzeciego sortu, a konspiratorzy w sumie są bardzo do nich podobni. W Warszawie były także cukiernie chętnie odwiedzane przez rosyjskich wojskowych i te również należało omijać z daleka. Z innych powodów Józef unikał lokali zasiedziały przez gadatliwych adwokatów, rentierów i bankrutów zastanawiających się nad ostatecznością, lekarzy czy aptekarzy kontynuujących zawodowe dysputy przy filiżance kawy albo herbaty i kieliszku wina. Z Leą poszedł więc do kawiarni bez tradycji, która zapewne po kilku sezonach zniknie z mapy Warszawy, tak jak zniknęło wiele efemerycznych lokali, nagle opuszczonych przez goniących za modą klientów. Kawiarnia była nowoczesna, ale bez przesady, pachniało w niej świeżo paloną kawą (filiżanka za dwanaście kopiejek, a herbata za sześć), obsługa wyglądała całkiem schludnie.

Kiedy usiedli przy malutkim stoliku z marmurowym blatem, Lea rozglądała się jak ciekawska sójka, przekręcała głowę i zerknęła na ludzi, którzy pili kawę i rozmawiali swobodnie, z uśmiechem lekkim i beztróskim jak niedzielne przedpołudnie. Zauważyła, że modnie ubrane kobiety noszą się całkiem inaczej niż ona. Do tej pory nie przejmowała się swoim strojem, lubiła letnią niebieską sukienkę, ale lato już minęło. Dziś włożyła grubszą, szarą, którą miała na podróż. Ta sukienka była prosta, bez ozdób, więc wydawała jej się stosowna na różne okazje. Teraz jednak, siedząc w eleganckiej cukierni i obserwując inne panie, uznała, że wygląda w niej jak służąca, która dopiero co przyjechała z prowincji.

I to mało urodziwa służąca.

Nigdy nie miała złudzeń co do swojej urody. Była niska, twarz miała okrągłą, smagłą cerę, małe, ciemne, lekko skośne oczy i zadarty nos. Kiedy była mała, babka mówiła, że powinna delikatnie go pociągać, żeby nabrał szlachetnego wyglądu, ale na nic się to zdało, nos nie zmienił swojego kształtu. Po matce, która swego czasu uchodziła za urodziwą kobietę, nie wzięła ani odrobiny urody. Nawet włosy miała inne, wprawdzie też czarne, ale proste, grube i sztywne jak druty. Rano spletała je w warkocz, lecz kosmyki zaraz wymykały się z niego, rozłaziły jak witki w rozsypującej się miotle. Najczęściej była więc lekko rozczochrana.

— Dziewczyno, jak ty wyglądasz? Nawet uczesać się porządnie nie potrafisz — ciotka załamywała nad nią ręce.

Nie pomogło smarowanie olejkiem rycynowym; włosy były sztywne i trudne do opanowania. Teraz upinała warkocz wysoko na czubku głowy, ale włosy nadal były niesforne i uciekały spod kontroli spinek i grzebyków. Panienko Przenajświętsza, nie ma we mnie nic ładnego, westchnęła, spoglądając w jedno z luster, którymi przyozdobiona była kawiarnia, i widok, jaki tam zobaczyła, jeszcze bardziej utwierdził ją w tej ocenie. Poczula się zawiedziona, wydawało się jej, że po ślubie będzie wyglądała lepiej, chociaż trochę ładniej, tak jak wyglądają szczęśliwe młode mężatki, tymczasem w jej wyglądzie nic się nie zmieniło.

— Smakuje ci? — zapytał Józef.

Jadł rogaliki z różaną konfiturą, popijał herbatę i uśmiechał się do niej.

Kiwnęła głową, upiła łyk słodkiej kawy ze śmietanką i kozuszkciem. Spojrzała na Józefa. On też nie był specjalnie przystojny, ale wyglądał dostatnio, poważnie, a nawet dostojnie. Z pewnością mógł sobie znaleźć dużo ładniejszą żonę.

— Dlaczego się ze mną ożeniłeś? — zapytała znad filiżanki.

— Co takiego? — podniósł na nią wzrok i przyglądał się jej, jakby właśnie zaczął się zastanawiać nad swoim wyborem.

— Pytam, dlaczego się ze mną ożeniłeś. Dlaczego mnie wybrałeś?

Uśmiechnął się, a tęczęwki jego oczu jeszcze bardziej posiwiały.

— Lea, nie potrafię mówić gładkich słówek. Spodobałaś mi się, jesteś taka zwyczajna, naturalna i nie udajesz lepszej, niż jesteś, nawet tego nie potrafisz.

Zatkało ją. Znów poczuła zawód, nawet nie starał się powiedzieć jej czegoś miłego, choćby to było grubą przesadą. Gdyby ciotka usłyszała, że nazywa mnie prostaczką, byłaby święcie oburzona. Tyle trudu włożyła w moje wychowanie, a on mówi, że jestem zwykłą prowincjuszka.

Bo też ciotka Anastazja miała z Leą niemały kłopot. Na początku, gdy Lea zamieszkała u wujostwa, nie lubiła ciotki, podejrzewała nawet, że i ona w jakiś niezrozumiały sposób przyczyniła się do upadku rodzinnego domu. Czasami udawała, że nie słyszy, co ciotka mówi, zwłaszcza gdy były to słowa krytyki. Odwracała wtedy głowę, żeby uniknąć jej wzroku, i nie odzywała się. A nasłuchiwała się wtedy za wszystkie czasy.

— Bój się Boga, Leo, ty nic nie umiesz! — ciotka kręciła z niedowierzaniem głową, gdy dziewczyna płała się podczas odmawiania różańca albo nie znała jakiejś pobożnej pieśni. — Co ta twoja biedna matka tak cię zaniedbała? Jedną córkę wykształciła na nauczycielkę, a o drugiej całkiem zapomniała. Pozwoliła, żeby wyrósł z ciebie taki dzikus, co to samopas po polach lata i nic porządnie zrobić nie umie.

— Ale ja dużo umiem — protestowała Lea ze łzami w oczach. — Do szkoły chodziłam, ciotka się przekona, że rachować całkiem dobrze potrafię, i czytałam dużo, i znam wszystkie zioła i kwiatki, co rosną w ogrodzie i w lesie, i na łące za rzeką. Babcia mi pokazała.

— Wszystkie kwiatki! I komu to potrzebne! — prychnęła ciotka. — Może starym babkom, co to niby na wszystkim się znają. Już ja dobrze wiem, czego cię mogła nauczyć babka, świeć Panie nad jej duszą. Powiem ci Leo, że to nic nie znaczy, jak ktoś zna wszystkie zioła czy kwiaty. Nie ma w tym mądrości ani bojaźni bożej. A bez tego w życiu ani rusz. Trzeba być roztropnym, liczyć na siebie, a w Bogu pokładać nadzieję, a nie trwonić czasu na głupstwa, bo to grzech, rozumiesz? A twoja babka

wolała zajmować się ziołami, niż myśleć o domu i dzieciach.

Lea oburzała się w duchu na takie słowa. Babka rzeczywiście miała dziwne obyczaje. Codziennie rano wypijała kubeczek barszczu, a potem zjadała dwa włoskie orzechy i odrobinę obsuszonego sera. W swojej skrzyni trzymała gromnicę na wypadek burzy i wilków, miała tam też swoją suknię ślubną, starą kantyczkę oraz wiekowy zielnik z odręcznymi dopiskami na marginesach. To była jej przeszłość, o której nie mówiła za dużo. Była osobą skrytą, małowówną i upartą. Przez długie miesiące, podczas których ojciec Lei ostatecznie schodził na psy, babka nie odezwała się do niego ani słowem, jakby w ogóle nie istniał. Córce przypominała, że krzyż Pański trzeba nosić z godnością, a wnuki dyscyplinowała za pomocą trzcinki, klęczenia na grochu i solidnego policzka wymierzanego ze smutkiem i determinacją w małych oczach o świdrującym spojrzeniu. Mimo surowego obejścia Lea ją lubiła. To babka ją wychowała, a gdy dostrzegła w niej tę samą ciekawość, która pozwoliła jej samej w latach młodości zgłębiać sekrety ziół, zaczęła uchylać przed Leą rąbka ziołowych tajemnic. Była osobą wymagającą, ale sprawiedliwą i solidną, dla Lei niemal opoką, kimś, kto jest na co dzień.

Bo matka była tak pół na pół. Zamykała się w drugim pokoju albo w sypialni, gdzie zasłony dawały kojący półmrok, odgradzały od nowych nieszczęść i kłopotów. Cierpiała na migrenę, melancholię i czkawkę, z każdym dniem stawała się coraz bardziej blada, cicha i nieobecna. Nie miała siły, żeby zajmować się dziećmi, ale zawsze była gdzieś w pobliżu i za to Lea ją kochała — i to bezgranicznie. Ale babkę lubiła bardziej.

Ciotka miała jednak inny punkt widzenia.

— Mądra kobieta nie pozwoliłaby wyjść córce za takiego nicponia, jakim jest twój ojciec — zamyśliła się na moment i przełknęła ślinę. — Nie powiem, przystojny był, ale nicpoń i hulaka, zresztą sama wiesz, jak to się skończyło. A twoja matka też rozumu nie miała, że tak cię zapuściła! Katechizmu nie znasz, pacierza porządnie zmówić nie umiesz, ledwo co Ojczy nasz i Zdrowaś Mario. I jak ty masz być mądra i rozsądna, skąd masz wiedzieć, co dobre, a co złe, jak ty tylko kwiatki i rachunki znasz — zaciskała usta i kręciła z niezadowoleniem głową. — Trzeba temu jakoś zaradzić, moja Leo. Będę cię uczyła katechizmu codziennie wieczorem, żebyś umiała co trzeba — zapowiedziała. A co rzekła, musiało się stać, bo wyjątkowo rzadko zmieniała zdanie i odstępowała od swoich postanowień.

Lea uczyła się więc litanii i modlitw na różne okoliczności, powtarzanych codziennie przed zaśnięciem. Ciotka najwyraźniej znajdowała w tych modlitwach upodobanie. Dla Lei klepanie pacierzy było uciążliwe jak noszenie gorsetu, ale można się było do tego przyzwyczaić. Lubiła tylko Litanię Loretańską, bo było w niej tyle pięknych, słodko brzmiących słów i dobrze się ich słuchało przed snem, jak kołysanki. Zbyt pobożność ciotki drażniła ją i szczerze ją za to nienawidziła. Dopiero później, przypadkiem, podsłuchiwała rozmowę ciotki z wujem i zrozumiała, że ciotka nie jest jej wrogiem, lecz wręcz przeciwnie, trzyma jej stronę.

— Żadnego pożytku z tej dziewczyny nie ma — narzekał wuj Kacper. — Je za dwóch, a do niczego się nie nadaje.

— A co ty byś chciał, wziąć ją za służącą? To dopiero ludzie mieliby gadanie, że nas nie stać na kogoś do pomocy — głos ciotki był pełen oburzenia.

— Ale widziałaś, ile dziś zjadła? To Adaś tyle nie je!

— Co ty jej chleb wyliczasz, jakby nam go brakowało! Nie wiesz, że to chrześcijański obowiązek sieroty w biedzie wspomagać?

— Chrześcijański obowiązek — prychnął wuj. — Ale ile nas to kosztuje!

— Boga chyba w sercu nie masz! Że też takie myśli przychodzą ci do głowy, nic tylko wszystko przeliczasz. Ale pamiętaj, że i tobie będzie policzone.

— Przeliczam, przeliczam, a co chcesz? Gdyby nie ja, to nic by w domu nie było. Ty w kółko litanie z nią tłuczesz, a ona i tak ani do tańca, ani do różańca się nie nadaje. Mogłaby ci chociaż z Adasiem pomóc, nie trzeba by brać dziewczyny do niego.

Wujostwo mieli trzech synów — starszego Jerzego i Klemensa, a Adaś był od nich dużo młodszy. Podobno był jeszcze jeden, bliźniaczy brat Adama, ale umarł zaraz po urodzeniu i nikt o nim nie wspominał. Adasia też już potem nikt nie wspominał, trzeba było o nim zapomnieć.

Starsi uczyli się w Warszawie, a Adaś jeszcze do tego nie dorósł. A tak po prawdzie to z Adasiem wujostwo mieli prawdziwe skarcenie boskie. Lea nie lubiła o nim wspominać.

To było prawie dziesięć lat temu, uprzytomniła sobie. Adasia już dawno nie ma, a Jerzy i Klemens są daleko w Ameryce. Jerzy w ostatnim liście nawet wieszował jej zamążpójścia i życzył szczęścia. Dobry z niego chłopak. On zawsze był dla niej dobry, pamiętał o niej i traktował jak rodzoną siostrę. Kiedy przyjeżdżał do domu na wakacje, przywoził jej jakiś podarek, a to wstążki albo lusterko, a to obrazek, cukierki, a potem książki. Szkoda, że wyjechał.

Najpierw pojechał Klemens. Mówił, że tam, w Ameryce, każdy może się dorobić, nieważne, czy Polak, Rosjanin, czy Żyd. Że ludzie wykształceni, zwłaszcza tak jak on, po szkole politechnicznej, znajdują dobrą pracę. Klemens pojechał, żeby się dorobić, a po roku Jerzy pojechał do niego. Ciągnęło go w świat, a brat, który zatrudnił się przy budowie mostu, ciągle pisał, żeby Jerzy przyjechał, bo tam lepiej się żyje. Ciotka nie chciała się zgodzić, a wuj zaciął się w sobie.

— Niech jedzie, jak mu ojcowizna zbrzydła, zobaczy, czy tam tak dobrze.

I pojechał.

Po wyjeździe Klemensa i Jerzego ciotka przygasła, jakby uszła z niej jakaś część sił witalnych, i nie miała już nic pilnego do zrobienia. Czekwała na listy od synów, z nich czerpała energię. Czytała je po kilka razy, potem chowała starannie w pudełku po czekoladkach i brała się do roboty, ale nie z taką determinacją jak dawniej, tylko by za dużo nie rozmyślać.

Może tak właśnie trzeba, uznała wtedy Lea, zakrzętnąć się koło gospodarstwa, trzymać się tego, co terazniejsze, nie rozpamiętywać strat i niewykorzystanych szans? Ale ona tak nie umiała. Co i raz oglądała się wstecz, przypominała sobie to, co było jej bliskie i drogie, a potem spuszczała głowę, markotniała i żeby odzyskać właściwy ogląd rzeczy, biegła do ogrodu. Zaglądała pod jabłoni i oddychała głęboko, chłonąc zapach kwiatów i ziół, wilgotnej ziemi, gnijących liści i nawozu dojrzewającego w przyzmacach za oborą — swoistą mieszkankę sekretów życia i przemijania.

A teraz, kiedy siedziała z Józefem w kawiarni, czuła zapach kawy, wanilii, mieszanki tytoniu i różnorodnych perfum. To były zapachy miasta, do których jeszcze nie przywykła.

— Naprawdę myślisz, że jestem taką prostą dziewczyną ze wsi? — zapytała, marszcząc czoło.

Józef dotknął jej dłoni.

— Nie, wcale tak nie myślę — powiedział poważnie. — Uważam, że trzeźwo patrzysz na świat i nie brak ci zdrowego rozsądku, potrafisz się dostosować. Uznałem, że pasujemy do siebie i będziemy żyć zgodnie. — A po chwili namysłu dodał: — I mogę ci zaufać.

Nadal była rozczarowana jego słowami, ale czego mogła się po nim spodziewać? Aptekarze wszystko potrafią odważyć i odmierzyć, skrupulatnie, dokładnie aż do przesady, taka ich natura i nie ma w tym nic romantycznego. Może tak jest lepiej, bez złudzeń, westchnęła cicho i nawet się uśmiechnęła. Waniliowy zapach, który rozchodził się po cukierni, łagodził jej rozczarowanie, nadawał myślowi lżejszy wymiar. Pomyślała, że sama miałaby problem, gdyby Józef postawił jej takie pytanie. Co mogłaby mu powiedzieć? Chyba tylko tyle, że nikt inny jej się nie trafił. Dobrze, że nie zapytał.

Była ciekawa wielu rzeczy, ale jej pytania mogły tylko utwierdzić go w przekonaniu, że jest niewykształcona, niezbyt mądra i nieobyta. Rozejrzała się po sali. Przyglądała się kobietom — pięknym, uśmiechniętym i eleganckim, i pomyślała, że skoro Józef ją tu przyprowadził, to chyba nie zrobił tego przypadkiem, chyba chciał jej pokazać, jak wiele jej jeszcze brakuje do bycia kimś na poziomie, choćby na pierwszy rzut oka. A niech sobie myśli, co chce, nie będę udawała lepszej, uznała i zaczęła go wypytywać: czy często bywał w tej cukierni i w ogóle gdzie lubi chodzić, do teatru, na koncerty, a może do parku, i co robi w niedziele, czy odwiedza znajomych, a może jeździ za miasto?

Nie rozwodził się nad odpowiedzią; dla niego było oczywiste, że poza apteką nie ma nic interesującego, a jego jedynym przyjacielem jest Reutowicz, z którym może mówić o interesach i innych ważnych sprawach, czyli o aptece i Towarzystwie Aptekarskim, do którego obaj należą i są z tego powodu niezmiernie dumni, bo na to trzeba zasłużyć, byle kogo tam nie przyjmują. Słuchała go coraz bardziej rozczarowana i sięgnęła po kolejne ciastko, żeby osłodzić sobie tę gorzką prawdę. Józef jest arcynudzianem, pomyślała, wgrzyzając się w pączek, a potem oblizwała wargi ze słodkiego lukru.

Patrzył na nią z zadowoleniem.

— Piękna jesteś, wiesz? — powiedział cicho i wziął ją za rękę, która w jego dużej, mocnej dłoni wydawała się malutka, prawie dziecinna.

Zaśmiała się.

— W to akurat nie uwierzę — odparła z przekonaniem, ale chciała, żeby czasami tak pomyślał. Wystarczy, że od czasu do czasu.

Kiedy wyszli z cukierni, znów się zachmurzyło. Mimo niepewnej pogody pojechali do Ogrodu Saskiego. Józef zapłacił takse za wejście i trzymając Leę pod rękę, poprowadził ją mniej i bardziej pustymi alejkami pod arkady, gdzie zbierali się amatorzy wód mineralnych, pijąc je przez cienkie rurki z pękatych szklanek. Potem przeszli alejką pełną budek z owocami, cukierkami i wodą sodową. Lea zażyczyła sobie śliwek dalmatynek, a kiedy je jadła, powiedziała, że dobre, ale nie takie jak w domu.

— W domu? Myślisz o Korytnicy? A tego miejsca, gdzie się wychowałeś, nie uważasz za swój dom? — zapytał dociekliwie.

O dzieciństwie opowiedziała mu przed ślubem, nie rozwodząc się nad szczegółami. Rodzinną katastrofę przedstawiła oględnie, raczej w zarysie, dodając kilka frazesów. Teraz zastanawiała się, co mu odpowiedzieć. Poprawiła kosmyk za uchem.

— Nie do końca.

— Dlatego, że twój ojciec wszystko przehulał?

Nie było sensu zaprzeczać.

— Może dlatego.

To było dawno temu, Lea miała wtedy czternaście lat, ale nadal pamiętała tę chwilę, kiedy po raz ostatni widziała ojca. Przed jej oczami często pojawiały się obrazy z dzieciństwa, jakby były schowane głęboko pod powiekami i spływały do oka ze łzami i smutkiem. Nadal tkwił tam widok obrośniętego winem ganku i ojca, który ledwo zdążył zarzucić coś na siebie, żeby nie wyjść w samej koszuli do żandarmów w mundurach z błyszczącymi guzikami. Obok w cieniu stała ciotka Anastazja, wyprostowana i milcząca jak głaz.

Ten obraz wpisał się Lei w pamięć na zawsze, był jak znak wypalony na skórze, szpecąca blizna. To wtedy uświadomiła sobie, że świat, w którym w miarę spokojnie przeżyła kilkanaście lat, przestał istnieć, rozpadł się na kawałki jak stary paltot kupiony na tandecie. Wtedy zdała sobie sprawę, że jej matka jest jeszcze bardziej bezsilna i bezradna niż ona.

Ojca wolała nie wspominać, to on był wszystkiemu winny. Nie miał daru ani do gospodarstwa, ani do interesów, wolał więc nic nie robić, bo i tak do niczego dobrego to nie prowadziło. Jedyne gra w karty przynosiła mu trochę zadowolenia; grał dobrze, ale nie zawsze wygrywał. Chciał jednak wierzyć, że kiedyś się odegra i odzyska należną mu pozycję, a może nawet spłaci długi. Sądził, że wszystko przecież może się zdarzyć, a jeśli jest na tym świecie boska sprawiedliwość, to zły los musi się od niego odwrócić. Stało się wręcz odwrotnie.

— Chodźże, nie ma się za czym oglądać. To już nie wasze — powiedziała ciotka, gdy rodzinny dom Lei przestał istnieć. — Zamieszkasz u mnie, źle ci nie będzie. Chodź już, szkoda czasu na próżne rozmyślania. Twój żal nikomu się nie przyda, nie ma co oglądać się za siebie.

Lea nie potrafiła jednak tak po prostu odejść, odfrunąć jak przelotny ptak. Odwróciła głowę i po raz ostatni spojrzała na dom, ogród i stajnię, która już od dawna stała pusta, bo musieli sprzedać konia. Popatrzyła na rozwalający się gołębnik, na którym przysiadł jeden z szarych gołębi i z gniewnym błyskiem w bursztynowych oczach obserwował wyprowadzkę. W tym domu urodziła się i wychowała, ona, starsza siostra i młodszy brat, Kazik, a babka pod progiem zagrzebała ich pępowiny na znak, że są związani z tym miejscem na zawsze, ale na nic to się zdało.

A wszystko przez ojca, złe zaczynało się od niego, tkwiło w nim jak zawiązek robaka, czarci pomiot zaszyty gdzieś pod skórą. Miejsca, w których Lea czuła się bezpieczna, nagle stały się cudze, mogła najwyżej zachować je w pamięci, przechować jak kamyk wygrzebany na rabacie i kilka orzechów

ze starego drzewa, które rośło w sadzie. Dlatego musiała jeszcze raz obejrzeć się za siebie.

— I na co ci to? — pytała ciotka. — Lepiej zapomnieć o tym, co było, nie ma czego rozpamiętywać — tłumaczyła jej znużonym głosem. — Duża już jesteś, a niemądra jak dziecko. Twoja matka też taka była, jej też zawsze wszystkiego było żal, ale nic utrzymać przy sobie nie umiała — nawet waszego ojca, który latał za dziewczuchami i wolał zgrać się w karty, byle tylko do niej nie wracać — ani o dom zadbać nie potrafiła. Dobrze, że Marynia dostała posadę nauczycielki, a ty u mnie kąt znalazłaś, ale ona z tym małym Kaziem musiała wrócić na Czajki i nie wiem, jak jej tam będzie.

W resztówce na Czajkach mieszkał wuj Janusz, starszy brat matki Lei i ciotki Anastazji. Trzymał się na uboczu, z dala od wsi i miasteczka. Siostry odwiedzał rzadko, zazwyczaj latem i jesienią, kiedy przywoził do nich na zimę jabłka, suszone grzyby, a nawet miód i orzechy. Szybko owdowiał. Żona umarła po urodzeniu syna, Leona. Wtedy wuj Janusz zupełnie odsunął się od świata i odtąd wiódł żywot samotnika, zapuścił się i zagrzebał wśród bagien i rozlewisk nad Orzycem. Przemierzał swoje niewielkie włości, włócząc się na koniu po łąkach w towarzystwie psów i wiatru, a kiedy nastawały deszcze czy roztopy, dotrzeć do niego było nie sposób. Lea była u niego tylko kilka razy i miejsce to wydawało jej się bardzo zabawne, ale i zapomniane przez ludzi, jakby to był koniec świata.

Ciotka Anastazja, trzeźwo patrząc na świat, w pobycie na Czajkach nie dostrzegała żadnych uroków.

— Jak ona wytrzyma tę wilgoć i chłody? I żeby chociaż wdową była, mogłaby jeszcze znaleźć kogo, ale nie, waszego ojca do więzienia wsadzą albo i na zsyłkę pójdzie. I to za co?! Za długi karciane i awantury. Wstyd i hańba! I nikt jej nie będzie współczuł. Życie ma przez niego zmarnowane, wszystko roztrwonił, wszystko zniszczył. Do niczego innego się nie nadawał.

Ciotka się nie myliła, ojca Lei zesłano, a matka trzy lata później umarła. Ludzie mówili, że ze zgryzoty, inni, że z przeciągu i zawiania, w jednym i w drugim było nieco prawdy, bo zgryzot i przeciągów jej nie brakowało.

Na pogrzebie ciotka powiedziała do Lei:

— Nie płacz, nic już nie zmienisz — i pociągnęła ją za rękę, a ona posłusznie szła obok ciotki za skromnym wozem, który wiozł drewnianą skrzynię z jej nieszczęsną matką, tak jak pół roku wcześniej wywiózł na cmentarz małego Kazia, zmarłego na suchoty, a jeszcze wcześniej babkę. — Płaczem niczego nie zmienisz, tylko ludzie będą cię palcami wytykali. Co się stało, to się nie odstanie. Chodź, trzeba wracać do domu, zająć się czymś, zakrzętać się koło jakiejś roboty, dopilnować gospodarstwa. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie — mówiła twardym tonem, bez sentymentów. — Bezczytność i czcze rozmyślanie do niczego dobrego nie prowadzą, głowa cię tylko od tego rozboli. Z próżniactwa złe myśli się lęgną. Lepiej idź i sprawdź, czy Urszulcia już barszczu nastawiła i czy nie dała za dużo czosnku, bo ona zawsze czosnku nie żałuje, a twój wuj tego nie znosi.

Lea słuchała ciotki, pociągała nosem, popłakiwała po kątach, ale chciała być twarda i silna jak ona. Pilnowała Urszulci, która była za kucharkę, sprawdzała, czy niczego nie brakuje w spiżarni i składziku; na strychu liczyła bieliznę, płótna, koszule i obrusy; układała jabłka na drewnianych półkach w spiżarni i na strychu, chowała herbatę w pudłach wybitych ołowiem. Uczyła się, jak zrobić ser, konfitury miodowe i baby wielkanocne, jak wygubić myszy marchwią posypaną arsenikiem, jak wytruć pchły perskim proszkiem, korzeniem lilii wodnej albo słodkim mlekiem zaprawionym kobaltem. Codziennie poznawała zasady i sekrety porządnego utrzymania gospodarstwa, bielenia płótna, prania pierza i wywabiania plam tłustych i krwawych, robienia octów, drożdży i wielu innych, zdaniem ciotki Anastazji, przydatnych rzeczy. Czasami miała wszystkiego dość. Wtedy wymykała się do sadu albo na łąki i do lasu, znikwała na godzinę lub dwie, odłączając się od stada jak zabłąkana owieczka.

— Gdzie ty się znowu włóczysz — narzekała ciotka. — Dziewczyna w twoim wieku musi mieć więcej rozsądku, znać swoje miejsce, a nie jak jakiś dzikus ganiać po polach. Jeszcze cię ludzie wezmą na języki.

Jakoś nie wzięli. Na językach długo pozostawał ojciec Lei, tak spektakularnej katastrofy w okolicy jeszcze nie było i jego wyczyn wspomniano nawet po wielu latach. Historię opowiadano ku przestrodze młodym, dodając do niej w miarę potrzeb pewne wychowawcze, a nawet patriotyczne

elementy. Bywalczy szynków zazwyczaj przyprawiali ją jakimś pikantnym szczegółem, najczęściej wyssanym z palca, ale nie zawsze. Postać pana Szumańskiego przeszła nawet do miejscowej legendy, nabierając coraz bardziej diabolicznych cech, zaczerpniętych z dawnych i wysłużonych opowieści o Borucie. A potem gadano o Adasiu, a nawet dziwnym trafem łączono te historie. Na Leę i jej chodzenie samopas nikt nie zwracał uwagi.

Teraz Józef prowadził ją pod rękę. Pod butami chrzęścił żwir, czasem zaszeleściły jesienne liście, które zaczęły opadać z lip i kasztanowców, i przez chwilę wirowały w powietrzu, w takt muzyki dochodzącej z muszli koncertowej. Antraktowa orkiestra Teatru Rozmaitości kończyła sezon, muzycy grali ostatnie mazurki, walce i polki, a w przerwach grzali sobie dłonie, trzymając w nich papierowe tutki z pieczonymi kasztanami. Pogoda nie sprzyjała ani muzykom, ani spacerowiczom; znów się rozpadało. Przy pierwszych kroplach deszczu Józef otworzył parasol, ale Lea stanęła obok i podniosła twarz ku zachmurzonemu niebu, aby zimne krople lechtały jej policzki i czoło. Deszcz wszędzie jest taki sam, pomyślała i po raz pierwszy, odkąd przyjechała do Warszawy, poczuła spokój.

Następne dni nie były wesołe. Józef od rana siedział w aptece, w ciągu dnia wpadał na górę tylko po to, żeby coś zjeść, a wieczorem przychodził zmęczony. Przy kolacji dużo opowiadał o pracy, o dostawcach, klientach, o nowym urządzeniu do robienia tabletek. Lea szybko pojęła, że apteka niemal całkowicie pochłania jego uwagę. Ona była na drugim, a może i na trzecim miejscu. Czuła się zagubiona i samotna, obca. Któregoś dnia, gdy została sama w mieszkaniu, długo siedziała w kuchni, trzymając w dłoniach kubek z gorącą herbatą, i nie mogła przełknąć ani łyka. W gardle ścisnęła ją żałość, łzy napłynęły jej do oczu i spływały po policzkach, leciały na suknię jak groch. Płakała z całego serca, czuła, że ma w sobie tyle smutku, tyle zawiedzionych nadziei, które musi wypłakać, żeby zrobić miejsce na nowe łzy na bieżące potrzeby. Sama tego chciałam, wymawiała sobie. Teraz mam mieszkanie, z którego świata bożego nie widać, i męża, który nie ma dla mnie czasu.

Józef nie był ideałem — albo był stale zajęty, albo drażnił ją swoim zachowaniem, skrupulatnością, czepianiem się drobiazgów. Był wręcz pedantyczny; nie lubił, gdy przestawiała jego rzeczy, wszystko miało być na miejscu, dokładnie tam, gdzie to położył, jakby najmniejsze przesunięcie jakiegoś drobiazgu, choćby szczotki do czyszczenia ubrania, mogło zachwiać jego równowagę, zaburzyć sen czy trawienie, rozstroić wewnętrzny domowy ład, a nawet stać się zarzewiem większego bałaganu na świecie.

U ciotki wszystko było inaczej, był ruch i gwar, pod kuchenną płytą palił się ogień, syczała kipiąca woda, rumieniła się cebula, Urszulcia zawijała rękawy i ocierała ręką pot z czoła, a Agata siadała z robotą przy oknie. Przychodziły kobiety ze wsi, przynosiły sery i śmietanę, do ciotki przybiegały po radę albo z jakąś nowiną. Bałagan był częścią kuchennego życia, ale to nie był bałagan absolutny, nad którym nie można zapanować, lecz po prostu stan przejściowy między starym a nowym porządkiem. Trzeba było tylko kontrolować sytuację i ciotka to potrafiła.

Ciotka zawsze miała dużo do powiedzenia; wygłaszała swoje mądrości z namaszczeniem jak uzdrawiające modlitwy, lubiła mówić o Bogu, powoływać się na niego, czasami miała wręcz kaznodziejskie zapędy. Niektórym to było nie w smak i pewnie dlatego opowiadano o niej niestworzone rzeczy. Plotki o ciotce Anastazji krążyły po okolicy jak zgłodniałe ptaki szukające żeru. Do Lei dotarły całkiem przypadkowo, gdy podsłuchiwała rozmowę kucharki z kobietą przynoszącą kiszki do robienia kielbas, dobrze wymyte, żeby nie śmierdziały. Ciotki akurat nie było w domu, więc Urszulcia i Agata razem z tą kobietą od kiszek zaczęły rajcować. Najpierw mówiły szeptem, ale potem rozgadały się na całego. Lea usłyszała, że plotkują o ciotce. Stojąc w sieni, nadstawiła ucha i wtedy dotarły do niej słowa, które święcie ją oburzyły. Ciotka miała zadawać się z księdzem z sąsiedniej parafii, tym starym opojem i zbereźnikiem? Przecież to niedorzeczność! Podłe oszczerstwo, które rodzi się w chorych umysłach. Lea wpadła do kuchni jak furia i krzyknęła:

— Wstydu nie macie, żeby takie rzeczy wygadywać!

— A pannie Leokadii co do tego?! — odparła bojowo Urszulcia.

— Życia nie zna, wzdycha tylko do tego swojego Leoncia i nic z tego nie ma — zaśmiały się. — Jakby się pannie jaki kawaler do rzeczy trafił, toby wiedziała w czym rzecz.

Lea czuła, że robi się czerwona na twarzy, z gniewu i z zażenowania. Leon to była jej tajemnica i nikomu nic do tego.

— Już wy mnie życia nie będziecie uczyły. Jeszcze same czegoś się nauczycie, jak ciotce poskarżę — rzuciła gniewnie i wybiegła z kuchni na dwór.

Agata wybiegła za nią.

— Co też panienka bierze sobie do serca takie babskie gadanie. Nie wie panienka, że w kuchni baby plotą, co im ślina na język przyniesie? Ale Urszulcia zła nie jest, nie trzeba się na nią gniewać. Nie ma potrzeby powtarzać tego pani, boby się tylko zmartwiła, i po co to komu? Mało to zmartwień na świecie? No, niech panienka zapomni — prosiła.

Lea przystanąła, już spokojniejsza, dziwiąc się sobie, że wybuchnęła takim gniewem.

— Wymowna Agata jak jaki adwokat. Dobrze, nie powtórzę ciotce, ale więcej nie chcę słyszeć takich rzeczy ani w kuchni, ani gdzie indziej.

— Nie powie panienka? Nie powtórzy ciotce?

— Tym razem nic nie powiem, ujdzie wam na sucho — obiecała, robiąc przy tym groźną minę.

Ucieszona Agata wróciła do kuchni, a Lea się zastanawiała, czy dobrze zrobiła. Chyba słusznie, bo po co irytować ciotkę? Nie zapomniała jednak o tym zdarzeniu, plotki o ciotce mogła jeszcze wybaczyć, ale to, że wysmiewały się z Leona, to ją ubodło i zapadło w pamięć. Od tej pory spoglądała na kucharkę gniewnie, a i kucharka z Agatką patrzyły na nią inaczej. Wiedziały, że Lea pod wpływem ciotki zmieniła się, nie jest już zastraszoną dzieciakiem i nie da sobie w kaszę dmuchać.

Ciotka wyczuła, że coś musiało zajść pod jej nieobecność. Nie wiedziała co, ale nie uszło jej uwadze, że coś się stało. Wieczorem, gdy po kolacji siedziały same w pokoju, powiedziała:

— Lea, ty nie spoufalaj się z byle kim. Z tymi dziewczuchami, co przychodzą do kuchni, nie rozmawiaj. Jak sama nie będziesz się ceniła, to i ludzie nie będą cię szanować. Z nimi trzeba krótko, bo będą cię wysmiewać. Już ja wiem, jak z nimi jest. Leniwe to i pyskate, tylko się odwrócisz, a już coś tam szepczą za plecami, już coś knują, ozorami młóca — ostrzegała. Potem spojrzała na nią i marszcząc czoło, dodała karcąco: — Gdzie ty się chowasz po kątach? I jak ty siedzisz? Nie garb się, wyprostuj! — Zerknęła na robótkę, przeliczyła oczka i mówiła dalej: — Każdy musi znać swoje miejsce, naucz się, jak z nimi postępować, póki pora, bo jak pójdiesz na swoje, to ci wejdzie taka na głowę i będzie rządzić w twoim domu.

— Ale gdzie ja tam pójdę na swoje? Kto by mnie chciał? — Lea spuściła wzrok.

— Oj, już ty się nad sobą nie użalaj. Robimy z wujem, co możemy, żeby ci źle nie było. Dbam o ciebie jak o córkę rodzoną, a Bóg da, że i męża ci znajdziemy. Swoje lata już masz, rozsądku też trochę więcej, głupia całkiem nie jesteś, nie żadna tam koza, co ma pstro w głowie i tylko się śmieje i oczami strzela. I nie zapominaj, kim jesteś! W końcu nie wypadłaś sroce spod ogona. Twój ojciec, jaki był, lepiej nie mówić, ale rodziny matki nie musisz się wstydzić. Twoja babka nazwisko miała dobre, z dobrego domu była. — Znowu zerknęła na Leę i chwilę się zastanowiła, co jeszcze jej powiedzieć. — A tobie trzeba by znaleźć kogoś statecznego, może jakiegoś urzędnika — rozmarzyła się. — Takiego, który nie ogląda się tylko za ładną buzią, a doceni, kiedy kobieta zna się na prowadzeniu gospodarstwa i potrafi zadbać o dom i męża. Ja cię tego wszystkiego nauczyłam i możesz być pewna, że mądry mężczyzna to dostrzeże.

— I gdzie takiego znajdę?

— Pomódl się do Świętej Panienki i do świętej Małgorzaty, ona też w kobiecych sprawach się wyznaje. A o Leonie zapomnij, on nie dla ciebie.

— Ale co też ciotka! — zaprotestowała Lea i znowu poczuła, jak jej płoną policzki.

A prawda była taka, że kuzyn Leon ogromnie jej się podobał, i to od dawna, ale ona jemu nie. Właściwie nikomu się nie podobała, może tylko Adasiowi, ale jemu podobały się wszystkie.

I tak to było. Teraz tęskniła za rozmowami z ciotką, za gwarem w kuchni, bo tu nie miała nawet z kim porozmawiać. Przeciwnie, musiała się pilnować, żeby nie powiedzieć za dużo i nie wydać się

śmieszna i naiwna.

Wyjrzała przez okno; na podwórzu stróż przysiadł na ławce i skręcił papierosa, oddzierając kawałek papieru z jakiejś gazety. Nasypał tytoniu, poślinił brzeg papieru, zawinał i zapalił, puszczając z dymem litery i słowa.

Wszystko kiedyś się kończy, pomyślała, obserwując nikłą smużkę dymu unoszącą się w powietrzu. Wszystko przemija. Te dni też miną, byle dotrzeć do świąt. Na święta pojedzie do Korytnicy w odwiedzinę, to będzie nagroda za wytrwałość. To już niedługo, przez te trzy miesiące wiele się może zmienić, a potem się zobaczy. Wprawdzie nie bardzo wiedziała, co mogłaby zrobić, gdyby małżeństwo kompletnie jej nie odpowiadało, ale uznała, że nie ma co się użalać nad sobą, i powtarzała to sobie codziennie.

Były jednak sprawy, które ją niepokoiły, a tego niepokoju nie łagodziła myśl o świętach. Nie spodziewała się, że Józef zawsze będzie dobry, opiekuńczy i wyrozumiały, ale nie wyobrażała sobie też, że będzie dla niego tak niewiele znaczyła, że przeznaczy dla niej tylko skrawek swojego życia. Wiedziała już, że apteka jest dla niej obszarem niedostępnym, niebawem zaś przekonała się, że przeszłość Józefa też była dla niej niedostępna.

Początkowo nie zastanawiała się nad tym, że Józef nigdy nie wspomina o swojej pierwszej żonie. Dobrze, że mniej do niej nie porównuje, a przynajmniej o tym nie mówi. Nie muszę wysłuchiwać, jaka to była nadzwyczajna, dobra i piękna, myślała. Jednocześnie uświadomiła sobie, że nic o niej nie wie, nie zna nawet jej imienia, nie wie, kiedy i jak umarła, co się wydarzyło. A kiedy w komodzie znalazła pościel ozdobioną wyszytymi białym atłasem monogramami J.K. i S.K., domyśliła się, że S.K. to musiały być jej inicjały. Na pewno, bo kogo by innego?

Wieczorem przy kolacji zagadnęła Józefa.

— W komodzie znalazłam pościel i ręczniki, to rzeczy twojej poprzedniej żony? Powiedz mi coś o niej — poprosiła.

Milczał. Cisza była niepokojąca.

— Widziałam monogram S.K. — dodała wyczekująco. — Jak miała na imię?

Spojrzał na nią niezadowolony.

— Jeśli już o to pytasz, rzeczywiście to rzeczy mojej pierwszej żony. Zapomniałem, że tam zostały, powinienem dawno się ich pozbyć.

— Nie, dlaczego, można ich używać, są bardzo dobre, dużo ładniejsze niż moje. Wypruję monogram i będą nam jeszcze służyły.

— Jak uważasz — powiedział szorstko, a potem dodał: — Ale nie chcę o niej mówić. To dla mnie bardzo bolesna sprawa. Nie chcę do tego wracać.

Zaskoczył ją ton, jakim to powiedział, jakby się na nią gniewał za te pytania.

— Nie jestem wścibska — odparła urażona. — Ty znasz całą moją przeszłość, a ja o tobie prawie nic nie wiem. Nie wiem, co przedtem robiłeś, jak wyglądało twoje życie. Opowiedz coś.

Spojrzał na nią jak na niepojętnego ucznia, który źle wykonał proste polecenie i któremu jeszcze raz trzeba wszystko wyjaśnić.

— Mówiłem ci, tamto to przeszłość i nie chcę do niej wracać. Najważniejsze jest tu i teraz, to, że jesteś ze mną. A o tym, co było, zapomnij — powiedział już łagodniej i wziął ją za rękę. — No rozchmurz się. Moja mała Lea złości się na mnie?

Lea przyjrzała się jego szarym oczom. Nie były już takie łagodne, tlił się w nich jakiś żal.

— Nie, skądże — skłamała. Może trochę, ale bez przesady, to nie była złość, nie złościła się na niego, było jej tylko przykro, że coś przed nią ukrywa.

Na jego twarzy znów pojawił się dobrotliwy uśmiech.

— Pewnie się wynudziłaś. Siedzisz tu sama cały dzień. W niedzielę znów pójdziemy na spacer, pokażę ci miasto. Obiecuję.

— Dobrze — odparła zgodnie.

Dobrze. Każdy ma swoje sekrety, pomyślała. W każdej rodzinie są tacy, o których się nie mówi, żywi i umarli, których imienia nie wymawia się nawet w wieczornych modlitwach. U ciotki w domu nie mówiło się o ojcu Lei, bo był rozpustnikiem, hulaką i utracjuszem, a potem nie mówiło się o Adasiu. Może i z żoną Józefa też było coś nie tak? Pomyślała i zaczęła się zastanawiać, co to by mogło być. Nie zamierzała go o to pytać, już nie, ale nie umiała powstrzymać swojej ciekawości. Następnego dnia poszła do małego pokoju, nie oparła się pokusie i znowu zajrzała do komody. Między poszewkami i narzutką zszywaną z kawałków kremowego jedwabiu i delikatnych koronek znalazła płócienny woreczek. W środku były zasuszone zioła, drobne gałązki z ciemnymi listkami i wyblakłe kwiatki. Roztarła kilka w palcach, zapach był nikły, zwietrzały, ale go rozpoznała. Macierzanka, macierduszka, dobrze ją znała; nie raz płukała w niej włosy, żeby były bardziej miękkie i lśniące.

— Małe ziółko, ale zacne — twierdziła babka. — Piją ją na kaszel i na żołądek, oczyszcza krew i płuca, dobra jest dla suchotników i bardzo pomocna w sprawach kobiecych. Dawniej zamężne panie, co chciały mieć dzieci, kąpały się w naparze z macierzanki, a panny, żeby dzieci nie chciały mieć, piły ją podczas czyszczeń miesięcznych — mówiła ścisłym głosem i zaraz dodawała, patrząc na nią srogo: — Ale ty w to nie wierz, bo na te sprawy środków lepszych nie ma oprócz czystości.

Babka wierzyła w zioła, ale wierzyła też w czystość, niewinność i nieznaną rzecz, a kiedy ktoś nieuchronnie zbliżał się do utraty niewinności lub, nie daj Boże, już ją utracił, nie pozostawało nic innego jak poważna rozmowa i solidna modlitwa.

Wieczorne modlitwy, odmawiane półgłosem po zgaszeniu lampy, były niekiedy jedynym sposobem radzenia sobie ze światem, a wymodlić można było różne rzeczy i załatwić wszystkie sprawy, choćby męża, dzieci, dobre zdrowie i dobrą śmierć. Tylko w kwestiach finansowych było trudniej, choć niektórym i to się udawało. Babka Lei uważała jednak, że jeśli istnieją inne sposoby na załatwienie jakiejś życiowej sprawy, to nie ma co zawracać głowy Niebiosom, o zdrowie można, a nawet trzeba się modlić, ale bez szczegółów i wyliczania wszystkich dolegliwości.

Lea sądziła podobnie i wierzyła w moc ziół, choćby tej niepozornej macierzanki. Wierzyła też, że kobiety znają się na nich najlepiej. Teraz obracała w dłoniach woreczek wypełniony wysuszonym ziołem, które kruszyło się pod jej palcami. Może pierwsza żona Józefa też tak myślała? Jaka była? Subtelna i skromna jak macierzanka czy raczej wyrafinowana jak te koronki i hafty? A może podobna do mnie? Nie. Zdecydowanie musiała być ładniejsza. Ładniejsza i mądrzejsza. Józef na pewno ją kochał i nadal nie może o niej zapomnieć. Sam to przyznał. A niewygaszone uczucie zżera człowieka od środka, aż zagryzie na śmierć albo zadusi, tak mówiono na wsi. Kiedy pomocnik wuja powiesił się na belce w stodole, gadano, że to z żalu za dziewczyną. Józef też cierpiał, może nadal tęskni, dlatego nie potrafi o niej mówić; nie chce nawet przywoływać jej imienia, tylko zapomnieć. To ja nic mu nie powiem o Leonie. Właściwie to nie ma o czym mówić, tylko sobie wyobrażałam, że to miłość, a to się nie liczy. Ale Józefowi i tak nic nie powiem, to moja sprawa, uznała, podbudowując sobie tym postanowieniem obite nieco poczucie godności. Wiedziała, że rozumuje dziecinnie, ale mała tajemnica o kuzynie poprawiła jej humor.

Z Leonem znała się od dzieciństwa. Kiedy mieszkała w starym domu z rodzicami i babką, Leon przyjeżdżał do nich z ojcem w odwiedziny. Towarzystwo młodszych dzieci nie bardzo mu odpowiadało, wykręcał się od zabaw. Bywało jednak, że dał się namówić na chowanego albo wymyślał na poczekaniu jakieś zawody, w których zazwyczaj okazywał się lepszy od dziewczyn i małego chłopca. Ćwiczyli się w skokach z daszku przybudówki na rabatę z kwiatami, robili wyścigi na czworakach ścieżką wzdłuż sadu albo poddawali się smaganiu pokrzywami po nogach, patrząc, kto dłużej wytrzyma. To było bardzo dawno temu. Potem przez kilka lat Lea go nie widziała; pojechał do szkół, do Warszawy. Zobaczyła go ponownie, gdy już zamieszkała z ciotką. Prawie go nie poznała, tak się zmienił, wydorósł. Już nie był tym chłopakiem, który łązi po drzewach i kąpie się w rzece. Wyrósł, zmężniał, skończył szkołę i podobno miał dalej studiować na uniwersytecie, ale dla niej i tak już był poważnym i mądrym mężczyzną. Miała wtedy piętnaście lat i przeżyła objawienie własnej kobiecości, zakochała się w nim bez pamięci, oczekując z wiarą i nadzieją właściwą dla niewinnych i ufnych serc, że Leon niebawem przyjdzie i wyzna jej swoją miłość, że połączy ich uczucie tak piękne jak to, o którym śpiewała jej babka

w jednej z rzewnych piosenek, choćby w tej o Wandzie i Edwinie, bo tę najbardziej Lea lubiła. *Pośród drzew w gęstej altanie Edwin Wandy ścisnął dłoń*, nuciła sobie czasami i czuła, że i ona jest zdolna i gotowa na takie uczucie, które łączy ludzi aż do grobowej deski.

Ale Leon do niej nie przyjechał, nigdy nie wyznał jej miłości, nigdy nawet nie spojrzął na nią inaczej niż na małą biedną kuzynkę.

— Mała Lea — mówił, jakby przypominał sobie o jej istnieniu tylko na chwilę, a potem odwracał głowę i nie zwracał uwagi na jej cichą obecność. Rozmawiał z wujem i z ciotką i wydawał się taki mądry, że Lea mogłaby go słuchać całymi godzinami. Opowiadał o szkole, o kolegach, o Warszawie. Czasami ścisnął głos, żeby dodać jakąś historię nieprzeznaczoną dla uszu skromnej dziewczyny, a wtedy wuj wypraszał ją z pokoju.

— Dziewczyno, co ty tu robisz? Nic tu po tobie, zajmij się czymś, to nie są sprawy dla ciebie. Już cię tu nie ma! — Spoglądał na nią surowo, a ona nie śmiała nawet podnieść na niego wzroku, by jeszcze bardziej go nie rozgniewać.

Potem Leon znowu zniknął i nie odwiedzał wujostwa przez długie miesiące. Studiował, a Lea niecierpliwie czekała na jakieś wieści o nim. Było ich niewiele, tyle co z listów do ciotki. A gdy Leon pojawiał się latem, Lei znowu mocniej biło serce na jego widok.

— Myślisz, że nie widziałam, jak się w niego wpatrujesz? — ciotka próbowała przemówić jej do rozsądku. — Kiedy był tu ostatnim razem, z oka go nie spuszczałaś, ale on o ciebie nie dba. On woli ładniejsze i głupsze. Podobno teraz biegnie do tej Róży, której ojciec dzierżawi folwark Na Stogach. Widziałam ją kiedyś w kościele, ładna, ale nic więcej, rozumu za grosz. Na pensji może nauczyła się francuskiego i rysunku, ale niczego pożytecznego, i o bożym świecie nie ma pojęcia. I po co komu taka żona? Tylko do ozdoby się nadaje — wstała od stołu, sygnalizując, że skończyła przemowę, ale dodała jeszcze: — A o nim zapomnij, mówię ci, wybij go sobie z głowy, dziewczyno. Przystań wdychać i bierz się do roboty. Jutro pomożesz w kuchni Urszulci, pora zrobić konfiturę z wiśni.

Uwagi ciotki o kuzynie nie dawały jej spokoju. Najpierw wmawiała sobie, że to wszystko nieprawda, że ciotka się pomyliła, że to tylko pogłoski. Chciała o nich jak najszybciej zapomnieć, ale nie mogła. Wgryzały się w jej serce jak robaki, niszcząc obraz ukochanego. Gdy z samego rana pobiegła do kuchni, kucharki jeszcze nie było. Przyszła tylko Agata, która pomagała w kuchni — ona znała się na sprawach sercowych, bo miała paru narzeczonych, chociaż na krótko, ale lepsze to niż nic.

— Nie wiesz, co to za panna mieszka w folwarku Na Stogach? — zagadnęła ją. — Ciotka mówi, że taka ładna i że od adoratorów opędzić się nie może.

Agata popatrzyła na Leę zdziwiona.

— Bo ja tam wiem — wzruszyła ramionami i zajęła się rozpalaniem ognia pod kuchnią.

— A ładna i z posagiem — odparła kucharka, wchodząc właśnie z sieni. — Mówią, że pan Leon do niej chodził, ale ona ma wyjść za innego, za urzędnika od kolei z Mławy, co mu żona na wiosnę zmarła. Podobno już się zaręczyli, a pan Leon, jak się o tym dowiedział, zagrzebał się zaraz w książki i uczy się. Może nawet księdzem zostanie albo doktorem.

— Kuzyn Leon księdzem, no co też Urszulcia? — przestraszyła się Lea.

Urszulcia popatrzyła z politowaniem na Leę i dodała:

— Tak ludzie gadają, a prawdy w tym tyle co zawsze w ludzkim gadaniu. Ale tak z niczego to by nie gadali — dodała z miną doświadczonej i bywałej w świecie.

Leę bardzo zabolowały te słowa. Jej Leon, na którego tyle czekała, którego tyle wyglądała, łąził do jakiejś głupiej pannicy! A teraz, gdy go odtrąciła, biedak uczy się na księdza? Tak ją to zabolowało, że przepłakała wtedy kilka nocy, zanim uznała, że lepiej gdyby został księdzem, niż ożenił się z jakąś inną. Ale Leon księdzem nie został.

I tak to było z Leonem. Kiedyś myślała, że jest jej przeznaczony, ale widocznie się pomyliła. Widocznie przeznaczony był jej Józef, chociaż tylko w połowie, bo tę pierwszą zajęła już inna kobieta, o której nie chciał mówić.

Pewnie przeszłaby nad tym do porządku dziennego i zgodziła się na sekret Józefa, na jego osobistą przeszłość, do której nie miała wglądu, nie była przecież wścibska, ale sprawy potoczyły się

inaczej, niż można się było spodziewać. Zupełnie inaczej niż mogła przypuszczać na początku, kiedy stosując się do rad ciotki Anastazji i poradnika dla młodych małżeństw, który dostała od siostry, starała się być dobrą żoną.

Potem nadszedł listopad — dziwny, inny niż w Korytnicy. W Korytnicy wszystko było jak trzeba, a w Warszawie różnie bywało. W Korytnicy w Zaduszki Lea zawsze szła z ciotką na cmentarz i przy cmentarnej bramie dawała parę groszy biedakom, żeby zmówili pacierz za babkę, matkę i brata. To babka jej powiedziała, że tak należy, że za zmarłych najlepiej modlą się biedacy albo „z uma szsedwszy”, niespełna rozumu, bo im bliżej do nieba. I tak było co roku, w Zaduszki szło się na cmentarz do swoich. Myślała, że i w Warszawie tak będzie. Spodziewała się, że Józef pojedzie odwiedzić grób swojej pierwszej żony. Chętnie by się z nim wybrała, przynajmniej dowiedziałyby się, kiedy umarła, ale Józef o cmentarzu nawet nie wspomniał, może uznał, że nie wypada ciągnąć młodej żony na grób poprzedniczki. Może tylko dał na wypominki? W każdym razie na cmentarz się nie wybrali, w niedzielę pojechali za to do Felutki, siostry Józefa.

Lea poznała ją zaraz po przyjeździe do Warszawy i polubiła od pierwszych chwil, kiedy to Felutka w granatowym kapelusiku i wełnianym płaszczu ze złotymi guzikami, obładowana sprawunkami wpadła do nich z wizytą. Była niska, korpulentna, miała blond włosy skręcone jak sprężynki, a kiedy się uśmiechała, w policzkach robiły jej się małe dołeczki. Do tego była gadatliwa, ale w taki serdeczny sposób, że trudno było mieć jej to za złe. Ucałowała Leę, jakby znały się od lat, i obsztorcowała Józefa, że Lea nie ma nawet gosposi do pomocy.

— Co ty, Józek, tak skąpisz, wstydzilibyś się! Lea na pewno potrafi wszystko zrobić sama, ale bój się Boga, przecież to nie uchodzi! Co to, nie stać cię?

Lea zaśmiała się zażenowana. Tłumaczyła, że jej gospodarstwo jest nieduże, a i tak do pomocy przychodzi kobieta. Ale Felutka wiedziała swoje. Siedzieli we troje w pokoju, Lea podała herbatę i ciasto. Felutka cały czas mówiła, zerkając to na brata, który od czasu do czasu cicho protestował (Ależ co ty mówisz, Felutka!), to na Leę, która uśmiechała się pod nosem, widząc, jak Józef daje się przegadać siostrze. Po godzinie, gdy już całe ciasto zniknęło ze stołu, Felutka powiedziała:

— A w ogóle chciałabym, żeby Lea wybrała się teraz ze mną na zakupy. Daj jakieś pieniądze, zajrzemy do kilku sklepów.

Lea chciała zaprotestować, ale Felutka ją powstrzymała.

— Nic nie mów, niech pokaże, że ma gest.

Józef westchnął ciężko.

— No wiesz, nie przypuszczałem, że twoja wizyta będzie mnie tyle kosztowała — powiedział żartobliwie i wyciągnął kilka banknotów z pugilaresu.

— Na pewno nie więcej niż zakrapiane kolacyjki z twoim współnikiem — odparła Felutka ze zwycięską miną i porwała Leę na miasto.

Odwiedziły różne magazyny, kupując rzeczy ładne i nie zawsze przydatne. Felutka rozgadała się i co chwilę zerknęła na Leę, pytając, co sądzi o futrzanych mufkach i czy ma już najnowszy model gorsetu, bez metalowych usztywnień, bo podobno bardzo wygodny. I czy lubi krem czekoladowy, bo chciałyby ją zaprosić do kawiarni na krem albo na mus, i chyba przy takiej okazji mogą sobie pozwolić na odrobinę likieru, najlepiej cytrynowego, a może kawowy będzie lepszy?

Taka była Felutka — gadatliwa, wesoła i życzliwa, ani trochę nie przypominała brata. Przy niej Lea poczuła się pewniej i weselej, widząc, że zyskała sojuszniczkę. Felutka przywróciła jej właściwe spojrzenie na otaczający świat i pokazała, że Józef nie jest znowu takim nieomylnym i surowym człowiekiem, jak się Lei wydawało. Kiedy więc Józef zapowiedział, że w listopadzie pojedą do niej z wizytą, Lea ucieszyła się i z samej podróży, i z tego, że zobaczy się z Felutką.

To była prawdziwa wyprawa. Felutka z mężem i synem mieszkała na drugim brzegu Wisły. Wyruszyli rano. Na placu Zamkowym, o tej porze już tętniącym życiem, wsiedli w tramwaj konny, przejechali przez most Aleksandryjski, zwany też mostem Kierbedzia, na prawy brzeg Wisły. Stamtąd

musieli wziąć wóz, który jechał traktem Moskiewskim. Lea pierwszy raz znalazła się w tych okolicach. Patrzyła na zmieniający się krajobraz, który coraz bardziej przypominał wiejski widoczek z chałupami otoczonymi drewnianym płotem. Niekiedy wśród wiejskich zabudowań pojawiał się dworek albo baraki małych fabryczek, w których wyrabiano świece i mydło.

— Za tymi drzewami będzie fabryka Wysockiego — objaśniał Józef i kazał zatrzymać wóz, zapłacił woźnicy i pomógł Lei wysiąść. — Stąd mamy już tylko dwa kroki.

Lea rozejrzała się dookoła.

— I gdzie ten dom? Takie pustkowie jak u nas na kolonii — dodała.

— Chodź, chodź — wziął ją pod rękę i poprowadził odbijającą od traktu drogą, prowadzącą w kierunku Wisły.

Po kilkudziesięciu metrach Lea zobaczyła szczyty dachu wyłaniającego się zza otaczających go drzew. Była dwunasta, gdy stanęli przy bramie, za którą ujadły dwa tłuste jamniki. Nie zważając na jazgot, Józef wszedł do ogrodu, a za nim nieśmiało wsunęła się Lea. Szczekanie zmieniło się w radosne podszczekiwanie i biegi dookoła gości.

— Nora, Ralf! Do domu! — Na ganku pojawiła się niewysoka postać gospodyni, która przywoływała psy. — No, chodźcie, chodźcie. Lea, nie bój się, one tylko tak hałasują, nic ci nie zrobią. Bałam się, że nie przyjedziecie, taka brzydka pogoda — witała ich, prowadząc do domu.

W przedpokoju pojawił się Henryk, mąż Felutki. Był to starszy szpakowaty mężczyzna o wydatnym orlim nosie i niebieskich oczach przysłoniętych okularami w metalowej oprawie. Przywitał ją z delikatnym uśmiechem, pomógł zdjąć płaszcz i zapytał o podróż. Wydawał się zamyślony, jakby jego uwagę zaprzętał jakiś nurtujący go problem, od którego nie mógł się oderwać nawet dla gości.

Syn gospodarzy zupełnie nie przypominał ojca. Stanął przy drzwiach i nieśmiało, ale z zaciekawieniem zerkał na przybyłych. Na upomnienia matki podszedł do Lei, szurnął nogą, skłonił się przed nią i powiedział:

— Pani jest moją nową wujenką? A ja jestem Tadzio Tyszkowski, proszę wujenki — wytarł ręką resztki szarlotki spod nosa i ucałował Leę w dłoń.

— Tadzio! — upomniała go matka.

— Słodki chłopak — zaśmiała się rozbawiona Lea.

Chłopak zarumienił się, ale widząc, że nowa wujenka nie gniewa się na niego, powiedział półgłosem:

— Zjadłem kawałek szarlotki, moja mama robi najlepszą.

Tadzio miał jedenaście lat, pogodne, lekko łobuzerskie wejrzenie niebieskich oczu i tak jak matka był bardzo rozmowny. Chciał pokazać gościom nową encyklopedię, którą dostał od ojca, i pióro ze szklaną stalówką, i ołowiane żołnierzyki. Dopiero gdy Józef zapytał go, co tam w szkole, jak mu idzie nauka, Tadzio zamilkł.

— Nie chce mu się uczyć, nicpoń jeden — rzekł za niego ojciec.

— Najgorsze oceny ma z religii i z historii świętej, same pały — dodała zmartwiona Felutka i pokręciła niezadowolona głową. — Nie rozumiem, jak można mieć pałę z religii?

— Ja rozumiem — przyznał Józef z nostalgicznym uśmiechem. — Powiedziałem kiedyś księdzu, że nie wierzę w piekło, no i miałem potem za swoje.

Małemu oczy rozblęły z ciekawości i spojrzął na Józefa jak na prawdziwego bohatera.

— Wuj opowie — poprosił.

Józef zamyślił się i spochmurniał.

— Myliłem się — odpowiedział chłopcu, podnosząc na niego wzrok. — Piekło istnieje, i to tu, na ziemi — dodał zachrypniętym, nieswoim głosem. Z jego twarzy znikł uśmiech, rysy wyostrzyły się, jakby jakieś ponure wspomnienie zwarzyło mu krew.

Lea, która stała przy biblioteczce i przeglądała encyklopedię, aż wzdrygnęła się, słysząc zmieniony głos Józefa, i spojrzała na niego zdziwiona. Zauważyła, że bezwiednie zacisnął dłonie, jakby chciał zgnieść w nich przykre wspomnienia. To trwało tylko chwilę, potem powiedział, że idzie zapalić, i wyszedł na ganek.

— Czym byłaby szarlotka bez cynamonu, czym schab pieczony bez majeranku, a czerwony barszcz bez ziela angielskiego i pieprzu? — zapytał przy obiedzie Józef, odzyskując nadszarpięty wcześniej dobry humor.

Powiódł wzrokiem wśród stołowników, zajął głęboko w oczy Lei i uśmiechnął się, zdradzając tym, że zna odpowiedź na te pytania.

— Zapachy i przyprawy są duszą potraw — dodał z miną znawcy — to one przyjemnie łechcą podniebienie i poprawiają smak choćby najzwyczajszego krupniku. Ale tylko ich rozumne użycie, proszę was, jest kluczem do utrzymania zdrowia w stanie czerstwym i trwałym — zaznaczył, akcentując wyraźnie ostatnie zdanie.

Sztuka kulinarna wydawała się tematem lekkim i bezkolizyjnym, co najmniej jak letnia pogoda. Tajemnice dobrej kuchni, wykwintnej i tej na co dzień, były kołem ratunkowym niejednego rodzinnego spotkania. Rozmowy o potrawach pobudzały apetyt i rozwiązywały języki. Zasadniczo, zdaniem Józefa, ludzie dzielili się na takich, którzy potrafią o jedzeniu mówić, i takich, którzy potrafią gotować, no i oczywiście na takich, którzy niczego nie potrafią.

Mimo że kuchnia była zdecydowanie kobiecym terenem, mężczyźni uważali się za jej prawdziwych koneserów, wykwintnych smakoszy i wybitnych kucharzy, mistrzów obdarzonych ogromną fantazją, wyrafinowanym zmysłem smaku i powonienia, a także instynktem samozachowawczym. Mało tego, panowie czuli się wprost powołani do snucia filozoficzno-kulinarnych dyrdymałów suto okraszonych samouwielbieniem. Józef nie był wyjątkiem; z zapałem wieszcza głosił, że powinnością kobiety jest dbać o szczęście i zdrowie męża, winna zatem karmić go zdrowo i posilnie, wieprzowinę dawać od młodego wieprza, drób młody i tłusty, kapłony jednoroczne, rosoly gorące, a przekąski rozkoszne jak smażone rydze.

— Szczęście domowego ogniska nie byłoby wiele warte, gdyby nie było podtrzymywane dobrym obiadem i sosem beszamelowym oraz przystawkami sporządzonymi oczywiście kobiecą ręką — powiedział, rzucając Lei ciepłe spojrzenie i dokładając sobie na talerzyk kawał szarlotki.

Pan Henryk nie wydawał się zainteresowany tematem. Wypił kieliszek wina, a raczej dwa, i wpatrywał się nieobecny wzrokiem w jakiś cień za plecami Józefa. Może pod wpływem tego cienia ni z gruszki, ni z pietruszki wypalił:

— Szwagier zdaje się zmienił preferencje, bardziej teraz ceni rodzinne obiady niż handlowe koneksje i możliwości kredytowe.

Józef zamarł z łyżeczką w rękę i zerknął na niego, mrużąc oczy.

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy?

Pan Henryk poprawił okulary na nosie i zaniepokojony spojrzął na żonę, po czym, widząc jej konsternację, rozluźnił węzeł krawatu i z zatroskaną miną próbował się wytłumaczyć.

— Chciałem powiedzieć, że pani Lea z pewnością zna się na kuchni dużo lepiej...

— Ty już nic lepiej nie mów — przerwała mu Felutka. Uśmiechnęła się do Lei i powiedziała: — Pamiętaj, że Józef nie znosi podrobów, wątróbki nigdy nie jadł, za to bardzo gustuje w rybach — wyliczała, przypominając dawne domowe historyjki, zabawne i mniej, na które Józef reagował machnięciem ręki.

Nikt ani słowem nie wspomniał o pierwszej żonie Józefa i o tym wrywku przeszłości, o którym Lea nic nie wiedziała, bo Józef zamknął go i zasklepił w swojej pamięci jak sól eteryczną w szczelnie zalakowanej ampułce. Pozostały tylko kręgi na wodzie. Może tak jest lepiej, pomyślała, bez komplikacji i wątpliwości co do istnienia piekła.

— To już wszystko o mnie wiesz — żartował Józef, kiedy późnym wieczorem, zmęczony, ale i zadowolony z wizyty, wrócili do domu. — Felutka wszystko ci o mnie powiedziała, nawet to, że nie lubię wątróbki.

Nie wszystko, pomyślała Lea, nie wszystko.

Starala się więcej nie rozmyślać, jakie było pierwsze małżeństwo Józefa i co ma do tego piekło, czasami miała jednak wrażenie, że jej poprzedniczka nadal jest gdzieś w pobliżu, że zaraz wejdzie do pokoju albo do kuchni i zapyta, co Lea robi w jej domu. Szeptany pospiesznie wieczny odpoczynek za jej duszę niewiele pomagał. W mieszkaniu wciąż odnajdywała jej ślady, meble, naczynia, pościel, wszystko to nosiło jej piętno i zapach, zwietrzały wprawdzie, ale nadal wyczuwalny dla kogoś tak wyczulonego jak Lea. To była obca nuta, której nie można było wywietrzyć, drażniąca jak kołatek, który zagnieździł się w belach domu i kołacze, gdy nastaje cisza. Gdyby Lea poszukała lepiej, zapewne znalazłaby jakieś drobiazgi tamtej kobiety. A może nawet głęboko w lustrze, z dala od światła, wciąż krył się jej obraz?

To nic nie znaczy, to fantazja płata mi figle i szepcze do ucha, tłumaczyła sobie. W gruncie rzeczy nie ma się czym przejmować — przecież to oczywiste, skoro była jego żoną, mieszkała tu i umarła, jej rzeczy zostały, bo co miałyby się z nimi stać? Ale teraz ja tu jestem gospodynią, powtarzała sobie, i aby oderwać się od przykrych myśli, zajmowała się domem. A gdy zbliżał się wieczór, za oknami szarzało i zacinał deszcz, zapalała lampę z zielonym kloszem i przeglądała gazety. Czytała „Tygodnik Ilustrowany”, w którym publikowano w odcinkach *Faraona*, a z szafy Józefa wyciągnęła *Botanikę lekarską* Ignacego Czerwikowskiego z opisem roślin lekarskich. Czytała tylko o znanych sobie roślinach, jakby chciała sprawdzić, ile z tego wie, ile potrafi zrozumieć, ale jej ciekawość rosła w miarę zagłębiania się w lekturę.

— Co czytasz? — zapytał kiedyś Józef, gdy przyszedł niespodziewanie na górę i zastał Leę siedzącą przy stole i pochyloną nad książką.

Odłożyła ją szybko, niepewna jego reakcji.

— Nie, nic takiego, tylko rzuciłam okiem.

Zajrzał jej przez ramię.

— To cię interesuje czy nie masz już nic lepszego do roboty? — zdziwił się, widząc, że to podręcznik botaniki.

— Interesuje mnie. Trochę — przyznała ostrożnie.

Powiedział, iż wolałby wiedzieć o tym, że bierze jego książki, więc od razu przyznała, że chciałby jeszcze coś przeczytać. Józef dopytywał się, po co jej to, ale wyciągał dla niej kolejne tomy o leczniczych ziołach. A kiedy zostawała sama w mieszkaniu i miała wolną chwilę, chętnie po nie sięgała, odrywając się od rzeczywistości, do chwili aż jakiś odgłos, niepokojący szmer czy poruszenie firanką sprowadzały ją na ziemię. I znów była w kuchni albo w pokoju, i łapała się na tym, że myśli o kobiecie, która była tu przed nią u boku Józefa.

Zdawała sobie sprawę, że w tym domu nadal są ludzie, którzy znali jej poprzedniczkę, widywali ją na co dzień i z nią rozmawiali. A teraz, spotykając na schodach Leę, spoglądali na nią i porównywali z tamtą pierwszą. Mimo to nigdy nie posunęłaby się do tego, żeby wypytywać kogoś obcego. Hamowała swoją ciekawość, myśląc, że to nie wypada i co on by o niej pomyślał. Z drugiej strony była przekonana, że dopóki nie dowie się, co właściwie się stało, tamta kobieta będzie stać między nią a Józefem.

Zaraz po przyjeździe do Warszawy przypadkiem usłyszała słowa, które rozżłościły ją i podsyciły ciekawość. Właśnie wróciła z rynku z zakupami i weszła na klatkę schodową (wtedy jeszcze rzadko korzystała z przejścia przez aptekę), gdy z góry, jak z olbrzymiej tuby, dotarły do jej uszu strzępki rozmowy. Przystanęła i nasłuchiwała.

— Widziała pani tę nową? — Jaszowa, żona stróża, miała chropawy głos osoby wszystkowiedzącej, znającej życie od podszewki, i to niejednej. — Pani kochana, takie to jakieś niepozorne, tylko przemyka po schodach i zaraz chowa się do mieszkania. Złamanego grosza bym za nią nie dała. Nie to co poprzednia, tamta to była prawdziwa pani i piękna kobieta, a jak się umiała nosić. Aptekarz świata poza nią nie widział, okręciła go sobie wokół małego palca i umiała zrobić z tego pożytek — zaśmiała się nieprzyjemnie.

— I co jej z tego przyszło? Wywieźli ją nie wiadomo gdzie i podobno on musiał słono zapłacić, żeby w poświęconej ziemi ją pochować. Lekkiego życia z nią nie miał, oj nie miał, i jeszcze na koniec

taki wstyd — odpowiedział kobiecy głos z poddasza. — Pewnie dlatego tak długo zwlekał z nowym ożenkiem, bo ta pierwsza zalała mu sadła za skórę.

— Ale gdzież tam, ślepy był na wszystko, tak go omotała. Ona umiała sobie z każdym poradzić i o siebie zadbać. Ta nowa to pozał się Boże...

— To racja, mógł znaleźć lepszą, przecie jeszcze niestary i grosza mu nie brak. Całkiem ładny dochodzik ma z apteki.

— No i patrz pani, taką wiejską gęś wziął sobie za żonę, jakby w Warszawie lepszych nie było.

Lea słuchała, wstrzymując oddech. O mnie mówią, pomyślała oburzona. Plotkary! Weszła do mieszkania i ze złością trzasnęła drzwiami. Stała w ciemnym przedpokoju i odetchnęła kilka razy, żeby się uspokoić. Potem poszła do kuchni i odstawiła kosz z zakupami. Po chwili usłyszała pukanie do drzwi.

— Pani aptekarzowa, pani otworzy! — zaczęła Jaszowa, wciskając się do środka. — Zapomniałam powiedzieć, że tu na górze pod piątką mieszka taka jedna, Fijałkowska się nazywa, dobrze szyje i haftuje, naprawić bieliznę potrafi i uprasować. Jakby pani co potrzebowała, to można jej zanieść. Poprzednia pani aptekarzowa zawsze jej jakąś robotę dawała, bo ona lubiła pięknie się ubrać, a bieliznę miała z najlepszego materiału i haftowaną, i ciągle czegoś potrzebowała — gadała i próbowała zajrzeć do kuchni.

Lea nie dała po sobie poznać, że cokolwiek ją to obchodzi. Stała w przejściu i nie przepuściła dalej wścibskiej kobiety.

— A co to sama tak koło kuchni chodzi? — Stróżka łypała na nią małymi oczkami. — Pani Klonowska to miała dziewczynę ze wsi do pomocy.

— Ja sama ze wsi jestem — odparła szorstko Lea. — Gotować i sprzątać umiem, a jak trzeba, to i powozić potrafię, i krowę wydoję. I teraz to ja jestem pani Klonowska, a Jaszowa do kuchni niech mi się nie pcha i pilnuje swoich spraw. Niech lepiej pójdzie i zobaczy, czy w podwórzu nie trzeba sprzątnąć! — rzuciła jej ze złością i wyprosiła z mieszkania.

Zamknęła za nią drzwi i wróciła do kuchni. Zajęła się szykowaniem obiadu, ale nie mogła zapomnieć podsłuchanej rozmowy. Raz rozbudzona wyobraźnia nie dawała jej spokoju. Wszędzie jest tak samo, u ciotki w domu też tak było, baby każdego obrobiły i każdy temat był dobry, a sprawy małżeńskie wyjątkowo rozpały wyobraźnię i rozwiązywały przydługie języki.

Przypomniała sobie, co usłyszała na kilka dni przed swoim ślubem. W tym czasie dużo ludzi przewinęło się przez dom wujostwa, a każdy chciał się czegoś dowiedzieć i coś mądrego powiedzieć, dodać od siebie. W kuchni wrzało jak w ulu, słowa fruwały jak pszczoły albo kąśliwe osy, mieszały się z zapachem kielbas, kapusty i weselnego ciasta, a były wśród nich słowa dobre i złe, a nawet wieszczce. Lea stała wtedy w dużym pokoju na stole, a krawcowa pod czujnym okiem ciotki sprawdzała, czy suknia ślubna równo podłożona. Drzwi od kuchni były uchylone i słychać było, o czym tam mówią.

— Patrzcie no, za aptekarza idzie. I to do samej Warszawy — zaczęła któraś z kumoszek.

— A ja wam mówię, że jeszcze tu wróci, i to z płaczem. Zobaczycie, nie wytrzyma tam w mieście, u obcych.

— Niby za mąż idzie, a służącą będzie, bo kto by taką chciał.

— Ale tam, będzie se żyła jak jaka pani. Dobrze będzie jej jak w niebie — dodała któraś.

— Byle za szybko do tego nieba nie poszła — zaśmiała się inna.

Wtedy Urszulcia zgromiła je:

— Wyplujcie zaraz te słowa, co za durnoty chodzą wam po głowie!

— A bo to Urszulcia tyle lat żyje na świecie i nie wie, że aptekarz ma różne proszki... I takie na chorobę, i takie na śmierć... Jak mu się kto nie spodoba, to dosypie i po kłopotcie.

— Stare baby, a głupie. Pytlują i pytlują, plotą, co im ślina na język przyniesie, żeby tylko ozorem mielić! — uciszała je.

Lea słuchała ubawiona, czuła się nawet dumna, że to o niej gadają, ale nie brała sobie do serca tych słów. Aptekarz zawsze wydawał się jej kimś porządnym, dokładnym i solidnym. I Józef doskonale pasował do tych wyobrażeń, dlaczego miałby być inny?

— Wyprostuj się — upomniała ją ciotka — i obracaj się powoli. Powoli, mówię.

Lea, wciąż stojąc na stole, zaczęła się obracać wokół i już nie słuchała rozmów z kuchni. Pochłonęła ją przymiarka sukni i własne myśli.

Kuchenne plotki szybko wyleciały jej z głowy, ale teraz, kiedy i tu gadano różne rzeczy, a Lea nie znajdowała odpowiedzi na pytanie, co się stało z pierwszą żoną Józefa, zasłyszane niegdyś słowa powróciły do niej, mieszały jej w głowie i siały wątpliwość. Nie trzeba brać sobie wszystkiego do serca, przekonywała samą siebie, ale chciałyby wiedzieć, jak było naprawdę.

Proszek na śmierć to dobre w teatrze, uznała, ale w tym, co usłyszała na schodach, mogło być ziarno prawdy. „Słono zapłacił, żeby pochować ją w poświęconej ziemi” — te słowa wzbudziły w niej podejrzenie. Czy to znaczy, że się zabiła? Ale Józef powiedział, że umarła. Niechętnie o tym mówił, to fakt, więc może coś jest na rzeczy? Może zapytać tamtą z góry? Mogłabym jej dać coś do roboty, choćby te monogramy do wyprucia, i przy okazji pociągnąć za język.

Po namyśle postanowiła jeszcze raz porozmawiać z Józefem. Ciotka mówiła, że najlepsze są proste rozwiązania. Jeśli ma się problemy czy wątpliwości, to najlepiej mówić o nich prosto z mostu, bez owijania w bawełnę. Od tej reguły znalazło się kilka wyjątków, mianowicie problemy, o których mówić absolutnie nie wypadało, no i były sytuacje beznadziejne, a wtedy, by dotrzeć do sedna sprawy, stosowało się różne sposoby. Ale zasadniczo złota zasada mówienia prosto z mostu była uniwersalna i tego właśnie Lea chciała się trzymać. Tak muszę zrobić — zapytać wprost Józefa, niech mi to wreszcie powie i sprawa będzie załatwiona.

Józef wrócił około trzeciej. Usiedli do obiadu, a Lea czekała na właściwy moment, żeby zadać niepokojące ją pytanie. Nie chciała zaczynać od tego rozmowy, wolała zapytać o to tak, jakby to nie było nic ważnego, jakby jej się coś przypomniało. Kiedy skończyli jeść pieczeń wołową z kiszonym ogórkiem i kartoflami, Lea zebrała się na odwagę i zapytała o swoją poprzedniczkę: co się z nią stało, jak umarła, czy się zabiła?

Józef przesunął cukiernicę odrobinę w lewo, żeby stała tam, gdzie stać powinna, ale w jego głosie pobrzmiwało niezadowolenie.

— Lea, prosiłem cię, żebyś do tego nie wracała! Skąd ci to przyszło do głowy? — popatrzył na nią rozgniewany.

— Jaszowa coś tak powiedziała. To nieprawda?

Usztywnił się.

— Po co w ogóle z nią rozmawiasz! Przecież prosiłem cię, żebyś dała temu spokój, nie chcę o tym mówić i już — uciął szorstko.

— Wolę usłyszeć to od ciebie — odparła zgodnie z prawdą i czekała na odpowiedź.

Nie odezwał się, próbując opanować irytację. Kilka razy pociągnął za palce lewej ręki, aż chrupnęły w nich stawy. Dla Lei był to sygnał ostrzegawczy, przenikający aż na tył głowy, ale nie mogła i nie chciała się teraz wycofać.

— Więc co się stało? — powtórzyła i wpatrywała się w niego jak ciekawskie dziecko, które właśnie odkryło, że zabawka w środku ma trociny.

— Mówiłem już, że umarła. Chorowała i umarła — był zniecierpliwiony. Szybko wstał od stołu, najwyraźniej wolał uniknąć dalszych pytań.

— Poczekaj, jeszcze herbata! — poderwała się do samowaru, który stał na stoliku przy drzwiach. Obok na tacy czekały już filiżanki i koszyczek z cukrem.

Potrząsnął głową.

— Nie trzeba. Mam dużo pracy — mruknął i zniknął za drzwiami, zostawiając ją samą na pastwę domysłów, podszeptów rozdygotanej wyobraźni.

Stała na środku pokoju nieszczęśliwa i zawiedziona. I co ja takiego zrobiłam? O co mu chodzi, co on przede mną ukrywa?

W końcu usiadła przy stole. Chyba po raz pierwszy w dorosłym życiu nic jej się nie chciało. Czowała się rozgoryczona i oszukana przez Józefa, a może i przez los. Co ja tu w ogóle robię, zastanawiała się. Do niczego się nie nadaję, nie potrafię nawet zgodnie żyć z Józefem, wszystko robię nie tak, jak

uczyła mnie ciotka.

— Lepiej nic nie mówić, niż powiedzieć za dużo — mawiała i miała świętą rację.

Wieczorem długo na niego czekała. Dawno minęła już godzina kolacji, a on nie przychodził. Zeszła na dół zapytać, kiedy skończy pracę. Nie było go, wyszedł gdzieś z Reutowiczem.

— Nie mówił, kiedy wróci? — zapytała i zrobiło jej się jeszcze bardziej przykro, że wyszedł, nic jej nie mówiąc.

Pan Emil starał się ją uspokoić.

— Nic nie powiedział, ale jak pan prowizor ma jakieś sprawy z panem Reutowiczem, to zwykle siedzą do późna.

— Pan Reutowicz to znawca win, pewnie siedzą w piwnicy u Fukiera — wtrącił Filip, robiąc przy tym wymowną minę.

— Proszę nie słuchać tego chłopaka — ostrzegął pan Emil. — Panowie poszli pewnie do Towarzystwa Aptekarskiego na Długą, to niedaleko stąd, ale jeśli mają zebranie, trochę może to potrwać.

Nie było już klientów. Pan Emil zamknął aptekę, pracownicy rozeszli się do domów. Został tylko Filip, który nocował w aptece — spał na zapleczu na rozściełanym sienniku. Teraz wyglądał na zakłopotanego obecnością Lei; czekał, aż ona pójdzie na górę.

Ruszyła niespiesznie przez korytarz do schodów, ale puste mieszkanie, zwłaszcza wieczorem, wydawało jej się obce i ponure. Przy drzwiach obróciła się i spojrzała na Filipa. Przyszło jej do głowy, że on pewnie czuje się tak samo samotny jak ona.

— Chodź do kuchni, usmażyłam placki — powiedziała.

Filipowi oczy błysnęły z zadowolenia.

— Placki, oj zjadłoby się. Zaraz przyjdę. Sprzątnę migiem, żeby pan prowizor nie mówił potem, że się objam.

— To mój mąż taki srogi?

— Nie. Tylko czasami, jak ma zły humor.

Wróciła do mieszkania, a po dziesięciu minutach przyszedł Filip. Usiadł przy stole w kuchni, a ona podała mu talerz placków z jabłkami posypanych utłuczonym cukrem. Jadł, aż mu się uszy trzęsły.

— Ale dobre, pani aptekarzowa, palce lizać. Zupełnie jak w domu — chwalił z błogością w głosie.

— Skąd jesteś? — zaciekała się.

— Spod Łowicza, ojciec ma warsztat stolarski, ale mnie do nauki posłał. Najpierw byłem w aptece w Łowiczu, ale myślałem, żeby dalej się uczyć i zdać egzaminy na pomocnika — zaczął opowiadać o rodzicach i o nauczycielu, który pomógł mu dostać się do Warszawy.

Lea słuchała i przyglądała się chłopcu, jego piegowatej twarzy i długim jasnym rzęsom, pod którymi kryły się inteligentne zielone oczy. Z zadowoleniem patrzyła, jak pałaszuje placki. Sama nabrała apetytu, nałożyła sobie kilka na talerzyk i zjadła. Od razu poprawił jej się humor.

— Pan Reutowicz często przychodzi? — zmieniła temat.

Chłopak przełknął kęs i oblizał palce z cukru.

— Latem, jak pani Reutowiczowa była na leczeniu, to ciągle zaglądał, namawiał pana prowizora, żeby razem jakiś interes rozkręcić, co dokładnie, to nie wiem. Słyszałem tylko, że ma głowę do takich spraw i wie, na czym można zarobić. Ale ja bym tam u niego nie chciał być — dodał, zerkając na nią spod oka.

— A to dlaczego?

— Jemu lepiej nie wchodzić w drogę.

— Nie wchodzić w drogę? Co ty mówisz? — zaciekała się.

Zawahał się, najwyraźniej bijąc się z myślami, czy mówić dalej.

— Ale nie powtórzy pani tego nikomu? Bo pan prowizor bardzo uważa swojego współnika. — Obserwował ją bacznie i z błyskiem w oczach.

— Nikomu nic nie powiem. Możesz mi zaufać — zapewniła i spojrzała na niego z oczekiwaniem. Wytarł brodę, na której pozostało nieco tłuszczu.

— Bo pan Reutowicz, niby taki elegancki i grzeczny, ale po mojemu to on bardzo jest łasy na pieniądze. Często pożyczka gotówkę od pana prowizora, sam słyszałem, jak o tym rozmawiali. A jak się dowiedział, że pan prowizor żenić się chce i nic nie będzie z tego nowego interesu, to był bardzo zły, taki wściekły, że jak wychodził z apteki, a ja akurat balon z parafiną niosłem z piwnicy i nie zauważyłem go, to popchnął mnie, aż poleciałem na drzwi, i jeszcze od głupców i różnych takich wyzwał, że lepiej nie powtarzać. A ja przecież nie chciałem, nie widziałem go przez ten balon; patrzyłem pod nogi, żeby się nie potknąć. A on mnie popchnął — powiedział i zacisnął usta, aż stały się wąską kreską. — I myślę, że przez złość to zrobił, specjalnie, a potem jeszcze mnie zwymyślał — żalił się. — Pan prowizor aż tak się na mnie za ten balon nie gniewał jak on, tylko powiedział, że będę musiał odpracować — dodał i wgrzył się w kolejnego racucha z taką zaciętością, jakby to był sam Reutowicz.

— Popchnął cię? Naprawdę specjalnie cię popchnął? — dopytywała z niedowierzaniem.

Filip na chwilę przestał jeść i popatrzył na nią z wyrazem skrzywdzonej niewinności w oczach, więc Lea nie miała już wątpliwości, że było tak, jak powiedział.

— Paskudnie postąpił. Nie wiedziałam, że on taki jest — powiedziała odpowiednim tonem, świadczącym, że całkowicie bierze stronę Filipa. — Nie martw się, kiedyś to się skończy, sam zostaniesz aptekarzem i nikt nie będzie tobą pomiatał — próbowała go pocieszyć, podsuwając mu kolejną porcję placzków, którą chowała dla Józefa.

Filip nie wyglądał już ani trochę na zmartwionego. Z apetytem zjadł resztę placzków, suto posypując je cukrem. Lea pomyślała, że niewiele mu potrzeba do szczęścia.

— Ja pani powiem jeszcze coś, co kiedyś słyszałem — dodał, rzucając jej porozumiewawcze spojrzenie. — Pan prowizor wysłał mnie do składu Reutowicza po balsam peruwiański, bo u nas akurat zabrakło. Ten skład to jest koło Dworca Petersburskiego, no i jak tam pojechałem, chwilę musiałem poczekać, żeby mi naszykowali. A tam na praktyce był taki jeden chłopak, który powiedział, że jego pryncypał, znaczy się Reutowicz, jest dziś w złym humorze i trzeba mu schodzić z drogi, bo ma ciężką rękę. To ja go pytam, skąd to wie i czy kiedyś dostał. Wtedy mi powiedział, że jak jego poprzednik coś tam przeskrobał, to dostał taki wycisk, że aż musiał się potem kurować. I podobno pani Reutowiczowa wcale nie jest chora na suchoty, tylko mąż ją tłucze — dodał, ściszej głoś.

Lea spojrzała na niego podejrzliwie.

— Nie, w to nie uwierzę. Zmyślasz!

— Naprawdę, tak mi powiedział. Jak Boga kocham! — zarzekał się chłopak z błyskiem w oczach.

Lea machnęła ręką.

— Bzdur ci naopowiadał i tyle — stwierdziła z przekonaniem, chociaż wcale nie była tego pewna.

Potem zapytała Filipa o pracę w aptece, a on, wyczuwając w niej pokrewną, nieco zagubioną w obcym miejscu duszę, opowiadał o swoich przypadkach z życia ucznia aptekarskiego, ubarwiając je w miarę możliwości i przechwalając się swoimi umiejętnościami z nieskrępowaną przesadą.

Zrobiło się późno, na zegarze w dużym pokoju wybiła jedenasta wieczór. Filip poderwał się od stołu, podziękował i zbiegł na dół, przeskakując po parę stopni. Lea pomyślała, że nie będzie dłużej czekała na męża, z kolacji i tak nic już nie zostało. I dobrze, woli kolację ze współnikiem, to niech sobie z nim siedzi. Nie będę się zamartwiać i czekać nie wiadomo do której, zbuntowała się. Mimo to czekała jeszcze godzinę. Dopiero o północy położyła się, przykręciła lampę i naciągnęła kołdrę pod samą brodę. Nie mogła jednak zasnąć. Wsłuchiwała się w odgłosy domu i czuła, że jest tu obca, że nie pasuje do tego mieszkania, do mebli, dużego małżeńskiego łóżka, atlasowych poduszek i haftów z cudzym monogramem. To nie był jej świat, tu nie sprzyjał jej ani dzień, ani noc. Nie pasowała też do apteki, przeszkadzała na każdym kroku. Nie udało się, nie nadaję się na jego żonę, pomyślała rozżalona i przestraszyła się tej myśli. Przecież nie wrócę do ciotki. I co teraz? Zwijając się w kłębek, zaczęła rozmyślać o Józefie i o tym, co powiedział jej Filip. W końcu zasnęła zmęczona długim dniem pełnym

rozczarowań.

Obudził ją odgłos otwierania drzwi. Józef niepewnym krokiem wszedł do pokoju i usiadł na łóżku. Zastygła w bezruchu. Nie wiedziała, czy udawać, że śpi, czy ostentacyjnie odwrócić się plecami, a może powiedzieć coś, co go zrani, tak jak on ją zranił. Nie zostawił jej wyboru, gdy położył dłoń na jej ramieniu i powiedział:

— No, myszko, śpisz już?

Nie wytrzymała, słowa same z niej wyskoczyły.

— Nie dotykaj mnie, jesteś wstrętny! — krzyknęła.

— Lea, nie bądź dzieckiem. Przecież byłem na zebraniu... — zaczął się tłumaczyć. Powiedział, że po zebraniu zasiedział się z Reutowiczem. — Nie wiedziałem, że tak się to przeciągnie. Uspokój się, jutro porozmawiamy — dodał zmęczonym głosem i popatrzył na nią wzrokiem ciężkim jak ołów.

Usiadł na łóżku, przysunął się do niej i znów położył rękę na jej ramieniu. Strząsnęła jego dłoń i odwróciła się plecami. Nie rozumieli się, ale ona nie zamierzała we wszystkim mu ulegać. Nie mogła sobie na to pozwolić. Nie można pobłażać mężowi ani tak do końca mu wierzyć. Wyprze się wszystkiego jak żaba błota, ostrzegająca ciotka. Raz popuścisz cugle, przymkniesz oko na jakiś zew wolności i pomyśli, że jak raz się udało, to i drugi przejdzie. A tak być nie może. I na to jest tylko jedna rada — trzymać go krótko i być czujną.

Rano usłyszała odsuwanie zasłon przy oknie, a przyćmione światło jesiennego poranka wpadło do pokoju. Podniosła głowę. Józef szykował się do pracy, ale wyglądał na przygnębionego.

— Za dużo wczoraj zjadłem — przyznał z cierpiętniczą miną, zapinając kamizelkę.

— Raczej za długo siedziałeś u swojego przyjaciela i za dużo wypijeś — odpowiedziała kwaśno.

— Daj spokój, Lea. Nie widzisz, że się spieszę? A ty się nie ruszysz, nic mi nie pomagasz, wszystko muszę robić sam. — Był rozdrażniony, bo nie mógł znaleźć kluczy, które wieczorem gdzieś położył. Był zły sam na siebie.

— Wczoraj czekałam z kolacją i jakoś ci się nie spieszyło — wypomniała mu.

Westchnął ciężko.

— Wiesz, co mówi Reutowicz? Że kobieta nigdy nie zrozumie mężczyzny, i ma rację. Czasami zachowujesz się tak, jakbyś w ogóle nie starała się mnie zrozumieć — spojrzał na nią niemal z bólem, jakby właśnie odkrył, że ułamał mu się ząb.

Lea usiadła na łóżku.

— No rzeczywiście nie rozumiem. A może mi powiesz, dlaczego on jest dla ciebie taką wyrocznią? W czym on jest taki dobry? Chyba w smaganiu różgą — wyrwało jej się w złości.

Teraz i on zaczął się irytować.

— Kto ci takich bzdur naopowiadał? Filip? Już ja mu wygarnę! I dlaczego go wypytujesz?

— Ty nie chcesz mi nic powiedzieć, jakbyś coś ukrywał. Nie dziw się, że słucham innych. A myślisz, że ludzie nie plotkują, nie gadają o tobie i o mnie, że taka biedna i głupia, bo z prowincji, to nic nie wie? I czego ja nie wiem? Może mi wyjaśnisz, o co tu chodzi?

Rozgniewał się.

— Przestań! Proszę cię, przestań! Powiedziałem, że nie chcę do tego wracać, więc daj mi spokój!

Obrzucił ją kłującym oskarżycielskim spojrzeniem, w którym krył się niemal cały arsenał skarg i pretensji — niezbędny arsenał skrzywdzonego mężczyzny.

Każdy mężczyzna miał na podorędziu pewien zasób pretensji przydatnych na różne okazje, praktyczny jak podręczny opatrunek na rany. Być może powstał on w wyniku ewolucji, był odziedziczonym po przodkach dodatkiem do instynktu samozachowawczego. Jakkolwiek by było, nakazywał wierzyć w lenistwo, rozmemłanie i głupotę, i wiele innych kobiecych przywar, przed którymi mężczyźni musieli się zawsze bronić. Była to wiedza przekazywana z krwią ojca i dziadów, wyssana z mlekiem matki razem z przekonaniem, że chłopiec nie może płakać, dłużyć w nosie, okazywać słabości i broń Boże strachu. Bojownicy, ojcowie rodzin bądź kandydaci na takich, ludzie honoru i interesu, mogli przelewać krew, ale nie łzy. Od czasu do czasu mogli zalać robaka albo zalać się w trupa, ale zasadniczo powinni być twardzi; mogli kochać, ale bez przesady, żeby nie stracić do siebie szacunku,

gdy miłość się wypali albo nie wypali w ogóle. Ta mądrość pozwalała im przetrwać z godnością trudy życia i patrzeć na kobiety z dystansem oraz z ironią, z chłodem, wreszcie ze wzgardą lub gniewem, a w końcu z obojętnością i olimpijskim spokojem, który należy się zwycięzcom.

— Nawet nie zrobiłaś mi śniadania — powiedział znużonym tonem, jakby powtarzał jej to codziennie.

Wyszedł z pokoju. Słyszała za drzwiami jego kroki, które przybliżały się i oddalały. Wrócił po chwili. Patrzył na nią szarymi oczami, w których złość już wygasła. Podał jej filiżankę złocistego naparu

— Rumianek. Wypij, dobrze ci zrobi.

— Nie potrzebuję — odparła. Nie patrzyła na niego, uciekała wzrokiem w bok, za linię światła. Postawił filiżankę na szafce obok łóżka.

— Wypij, póki ciepłe — powiedział łagodnie. — I już się nie złość. — Pochylił się nad nią i pocałował w czubek głowy.

Powoli podszedł do drzwi. Czekał, aż ona coś powie, zawoła go. Chciała go zapytać, czy przyjdzie na obiad i czy od tej pory między nimi będzie się lepiej układać, ale jeszcze nie mogła się przemóc. Milczała, i tak powiedziała za dużo, a reszta ugrzęzła jej w gardle, rozmyśla się we łzach. Próbowwała je powstrzymać i kilka razy pociągnęła nosem. Nie ma co płakać, to niczego nie zmieni, pomyślała. Wytarła nos rękawem koszuli. Tyle niepotrzebnych słów zawisło między nimi, jej słów. On niczego nie powiedział, tylko ona nie potrafiła w porę zamilknąć, opanować się. Zawsze musiała coś odpowiedzieć, odpyskować jak prostytutka, nieokrzesa, kłótniwa baba. Ciotka ostrzegała ją, żeby dwa razy pomyślała, zanim coś powie, ale tego nie potrafiła. Nie jestem ani wyrozumiała, ani rozsądna. Do niczego się nie nadaję, wyrzucała sobie. Wszystko zepsułam.

Po skromnym śniadaniu zabrała się do pisania listów. Chciała napisać do siostry i ciotki Anastazji. Do tej pory napisała do nich tylko raz, zaraz po przyjeździe. Zapewniała wtedy, że podoba się jej mieszkanie i Warszawa, że Józef jest dobrym mężem, a ona też się stara i żyją dobrze, co oczywiście dalekie było od rzeczywistości, ale zgodne z oczekiwaniami ciotki. Dodała również parę słów na temat katedry i cudownej figury Jezusa, której odrosły włosy, a siostrze opisała warszawskie modnisie i modne tej jesieni kapelusze. Te pierwsze listy napisała z nadzieją, że w jej słowach jest nieco prawdy, ale dziś pisanie szło jej wyjątkowo opornie. Nie miała nastroju na to, aby zapewniać ciotkę, że wszystko układa się znakomicie i pod każdym względem dogaduje się z mężem. Wiedziała, że ciotka czeka na te dobre wieści, że będzie potem czytać jej list kilka razy, żeby wszyscy domownicy słyszeli, aż w końcu złoży go i schowa do ozdobnego pudełka po czekoladkach. A potem wyjmie przy kolejnej okazji, będzie się nim chwalić i z dumą pokazywać list od siostrzenicy, która wyszła za aptekarza z Warszawy.

Gdyby mogła porozmawiać z ciotką, to byłoby zupełnie co innego. Powiedziałyby jej o gnębiących ją sprawach, ale napisać jej tego nie mogła. W liście muszą być słowa ważne i porządne, które przetrwają lata. List nie był tylko do użytku ciotki, ale i do pokazania domownikom, a co ważniejsze — dla niedowiarków, sąsiadów i krewnych, którzy uważali, że z tej małej nic dobrego nie wyrośnie, że zdziczeje jak jej matka albo pójdzie na zatracenie jak ojciec. Lea dobrze wiedziała, co o niej mówili, dlatego teraz łamała sobie głowę, jakie to mają być słowa mądre i wyważone. W końcu napisała, że życie ma spokojne i dobre, dodała, że była na spacerze w Ogrodzie Saskim i że bardzo tam ładnie i elegancko; jest kiosk ze słodyczami i pijalnia wód mineralnych. Nie dodała, że wołałaby wybrać się do lasu i że podczas spaceru w Ogrodzie Saskim czuła się jak pies prowadzony na przykrótkiej smyczy.

Siostra też czekała na list. Jej Lea mogłaby się przyznać, że nie wszystko wygląda tak dobrze, że nie jest tak arcyszczęśliwa, jak to się może wydawać, bo on nadal jest dla niej obcy i tylko w nocy zbliża się do niej, ale bardziej ciałem niż duszą. Ale o tym nie wypadało pisać nawet siostrze, zresztą Mania była ponad to.

W południe Józef przyszedł na górę. Zaskoczył ją, gdy po cichu wszedł do pokoju. Drgnęła na głos jego słów.

— To na przeprosiny — powiedział i podał jej paczuszkę.

Spojrzała na kolorowy papier i jedwabną wstążkę.

— Co to jest?

— Zobacz — uśmiechał się. Czekał, aż odwinie paczuszkę, a kiedy wyciągnęła z niej metalową puszkę, oznajmił dumnie: — Herbata, najlepsza w Warszawie. Specjalnie posłałem po nią Filipa. Zaparz, napijemy się — dodał. — I nie złość się już, nie chciałem zrobić ci przykrości. Nie pomyślałem, że się tak tym przejmiesz. Zagadałem się z Reutowiczem, on zawsze ma głowę pełną pomysłów. Teraz namawia mnie, żebyśmy rozwinęli laboratorium apteczne i robili preparaty leczniczo-kosmetyczne. Mamy kilka dobrych receptur.

— I tak do trzeciej nad ranem rozmawialiście o laboratorium? — powątpiewała, patrząc na niego podejrzliwie.

Rozłożył ręce w bezsilnym geście.

— Trochę nam zeszło — przyznał.

Podeszła do samowaru. W wypukłościach i zagłębieniach błyszczącego metalu zobaczyła zwielokrotnioną postać Józefa. Wyglądał, jakby się podzielił na kilku mniej udanych Józefów. Jeden dla mnie, drugi dla Reutowicza, a trzeci dla niej?

— A co chcecie robić? — zapytała przez grzeczność.

Przy herbacie, którą podała w filiżankach ze złoconym brzeżkiem, opowiedział jej o pomysłe utworzenia na zapleczu apteki wytwórni-laboratorium, w której robiliby preparaty lecznicze i środki do pielęgnacji włosów, a może i kremy kosmetyczne.

— Można by na to przeznaczyć pomieszczenie za recepturą, teraz jest tam podręczny magazyn, ale można go przenieść. Jeszcze nic nie jest przesądzone, ale zastanawiam się nad tym — powiedział takim tonem, jakby już zdecydował.

— Ja się na tym nie znam, ale pracy chyba ci nie brakuje. Na nic nie masz czasu, od rana do wieczora jesteś zajęty. Kiedy miałbyś zajmować się jeszcze laboratorium?

Józef popatrzył na filiżankę, a potem podniósł wzrok na Leę.

— Sam nie wiem, zastanawiam się. Widzisz, to jest szansa na rozwój.

Wyjaśnił, że dawniej aptekarze zajmowali się wytwarzaniem leków, a teraz dużo środków leczniczych jest produkowanych przez wytwórnie farmaceutyczne i fabryki chemiczne. Apteki sprzedają coraz więcej gotowych leków, tracąc przez to swoje znaczenie i dochody. W wielu aptekach powstają więc laboratoria wytwórcze, w których — zazwyczaj na niewielką skalę — aptekarze produkują preparaty galenowe, specyfikiki, sztuczne wody mineralne albo kosmetyki. Wczoraj wieczorem Józef i jego wspólnik dyskutowali o tym, czy nie jest to szansa również dla ich apteki. Oczywiście sprawę trzeba jeszcze dobrze przemyśleć i przekalkulować.

Lea nie zamierzała się do tego wtrącać, ale nie podobało jej się, że to pomysł Reutowicza. Po tym, co usłyszała od Filipa, wydawał się jej coraz mniej idealnym wspólnikiem. Sama rozmawiała z nim zaledwie kilka razy, ale to wystarczyło, żeby uznać go za człowieka niemilego, zadufanego w sobie i drażliwego. Józef usprawiedliwiał go, mówił, że domowe kłopoty oraz długoletnia choroba żony niekorzystnie odbiły się na systemie nerwowym przyjaciela i obciążły jego niegdyś kryształowy charakter drobnymi rysami i niedoskonałościami. Może łatwo się irtuje i bywa czasami przykry, dodawał jakby od niechcienia, ale w jego położeniu nie można mu tego mieć za złe, bronił go.

— W sumie to porządny człowiek i prawdziwy przyjaciel. Zawsze mogę na nim polegać — deklarował jak wyznanie wiary.

Lea przyjęła to do wiadomości i uznała, że lepiej nie wchodzić Reutowiczowi w paradę. Józef oczywiście może zakładać z nim wytwórnię, robić kremy i pomady, to nie jej sprawa. Ona nie będzie się do tego wtrącała, ale pewnych spraw nie mogła całkiem ignorować.

— Rozumiem, że z tego są pieniądze — powiedziała po namyśle — ale mógłbyś trochę mniej pracować. Nie musisz wszystkiego robić sam, masz wspólnika i pracowników. Może ja mogłabym ci jakoś pomóc?

Niedawno widziała w gazecie notatkę o uruchomieniu w Petersburgu kursów dla kobiet

na pomocnika aptekarskiego. Pomyślała nawet, że chętnie poszłaby na taki kurs. To oczywiście były tylko fantazje.

W laboratorium aptecznym czuła się zagubiona, łacińskie nazwy i sprzęty oraz chemikalia były dla niej całkowicie obce, i pewnie nie dałaby sobie rady z nauką, ale chciałaby spróbować.

— Warszawa to nie Petersburg — odparł jej wtedy Józef i więcej nie chciał o tym nawet słyszeć.

Ale ona nie chciała zapomnieć. Robienie maści i proszków nie wyglądało na coś szczególnie trudnego; chyba potrafiłaby to robić — pigulek może nie, ale maści na pewno. Mało to razy widziała, jak jej babka szykowała domowe specyfiki, nalewki, maści i plastry, a nawet tabakę na wykichanie choroby? I to nie były żadne zabobony, ciotka Anastazja mogła sobie tak mówić, ale sama też tak robiła, i kiedy wuj paskudnie potłukł nogę, że mu spuchła jak bania, sama kazała jej biec po pijawki, a gdy ciotkę bolała głowa, to też kazała Lei narwać łopuchowych liści za stodołą, a raz to nawet z Urszulią okadzały małego Adasia, bo przestraszył się krowy. Lea zapamiętała to i owo z praktyki swojej babki. Nie znała się na ziołach tak jak ona, ale swoje wiedziała. Wiedziała, gdzie można znaleźć przestrach i wrotycz, i co dać na robaki, a co na kolkę w boku. I gdyby poszła wiosną nad Wisłę, to z pewnością znalazłaby różne zioła przydatne w leczeniu, o których Józef nawet nie słyszał. Ale wcale nie zamierzała się do tego przyznawać, jeszcze ją wyśmiejże albo skrytykuje. W Korytnicy był inny świat, a tu jest inny i nie ma co gadać, uświadomiła sobie.

Teraz Józef popatrzył na nią z uśmiechem.

— Nie zwracaj sobie tym głowy. I nie martw się. Dziś nigdzie nie idę, wieczorem zajmę się tobą. Obiecuję.

Zarumieniła się.

— Nie o to chodzi — zaprotestowała. — Wydaje mi się, że jesteś zmęczony — popatrzyła na niego znad filizanki.

— Wiem, czego nam potrzeba — dodał z filuternym uśmiechem.

Miał rację, ale tylko po części. Chciała, żeby został z nią, ale on opacznie zrozumiał jej słowa. Uważał, że łóżko jest kluczem do rozwiązywania wszystkich problemów, które wyrastają między nimi. Może tylko to nas łączy, pomyślała, może jemu tylko na tym zależy? W tych okolicznościach trudno jej było wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu dla jego starań. Miała wrażenie, że kładąc się z nim w pościeli, poddaje się jakiemuś higienicznemu zabiegowi, dyscyplinowaniu ciała i umysłu według sekretnych aptecznych reguł, które mają z niej uczynić prawomyślną drugą połowę Józefa, trochę mniejszą i mniej udaną, ale posłuszną i uległą, jak dobrze wytresowany i pozbawiony pazurów cień.

Im bliżej było do świąt i na ulicach przybywało śniegu, tym dni wydawały się Lei jaśniejsze, a miasto czystsze. Mniej dokuczały jej brzydkie zapachy z podwórkowej wygodki i ze śmietnika.

Warszawa w śniegu wygląda ładnie jak świeżo pobielony dom, napisała do siostry. W Ogrodzie Saskim jest ślizgawka, byłam tam z Józefem, przyglądaliśmy się tyżwiarzom. Zupełnie jak u nas na rzece, nawet weselej, bo jest orkiestra i bufet, gdzie można dostać gorący poncz. Można też kupić mandarynki i pieczone kasztany — pisała podekscytowana.

A kiedy Józef obiecał, że na święta Bożego Narodzenia pojedą do Korytnicy, Warszawa stała się dla Lei całkiem znośna. Już nie zwracała uwagi na to, że mąż nie znajduje dla niej czasu, że ma swoje sprawy, o których z nią nie rozmawia. Darowała mu i to, że zapomniał o obiecanych nowych butach. Wcześniej irytowała ją jego małowówność, dopatrywała się w niej chęci ukrycia dawnych spraw, sekretów, które krążyły wokół i umykały przed jej spojrzeniem jak spłoszone ptaki. Teraz to wszystko stało się nieważne, błahe, za to przyszłość, ta niedaleka, nabrała konkretnych kształtów. Nie była już niewyobrażalna i obca, ale taka jak dawniej.

Na dwa tygodnie przed świętami przyszła nagła odwilż. Topniejący śnieg zmieniał się w czarne kałuże i plamy wilgoci. Lea pomyślała, że wszystko tamto było ułudą, tandetną przedświąteczną dekoracją, że dała się nabrać na święta jak dziecko. Jej dobry nastrój topniał wraz ze śniegiem. Coś wisiało w powietrzu, niby mgła, mżawka raczej, a do tego dym z pieców i kuchni nie ulatywał

z kominów do góry, ale opadał i snuł się po ulicach, wdzierając przez nieszczelne okna i lufty. Powietrze nie było już przejrzyste i lśniące. Czaiły się w nim niezdrowe miazmaty, zawiązki chorób.

Do apteki przychodziło coraz więcej chorych, których dopadło przeziębienie, zawianie, katar kiszek, reumatyzm, skrofuły albo niepokoje umysłu i inne plagi. Tymon i Filip przygotowywali leki na gorączkę i kaszel, uczyli się robić rozgrzewające maści i plastry, syropy i pigułki z kreozotem. Pan Emil z wrodzonym sobie wdziękiem proponował nowe tabletki z chininą oraz cukierki wykrztuśne z lukrecją i anyżem. Reutowicz krążył chmurny między swoim domem, składem i apteką, narzekał na rosące ceny, rewizje, czyli kontrole aptek, oraz oszukańcze specyfiki reklamowane w gazetach jako cudowne środki przywracające moc i sprężystość różnym rejonom ciała. I właśnie w tym niespokojnym gorączkowym okresie Józef musiał wyjechać na kilka dni do Lublina, a kiedy wrócił, był zmęczony i przemarznięty.

— Taka mgła gorsza niż mróz, zimno przenika aż do kości — przyznał, niemal szcękając zębami.

Lea zaparzyła mu herbatę malinową. Pił, grzejąc ręce o kubek. Następnego dnia czuł się trochę niezdrow. Początkowo wyglądało to niegroźnie, pokasływał i prychał. Przy kolacji Lea przyglądała mu się podejrzliwie. Miał wypieki, a jego oczy wydawały się smutne i zgaszone, jakby nie docierało do nich światło.

— Czy ty aby nie masz gorączki? — położyła mu dłoń na czole. — Chyba masz. I nic nie mówisz, że źle się czujesz?

Pokręcił głową i odpiął guzik przy wysokim kołnierzyku koszuli.

— Nie. To nic takiego. Wezmę na noc coś od kaszlu i do jutra mi przejdzie — uspokajał ją zachrypniętym głosem.

Przeziębienie jednak nie mijało. Lea parzyła mu napar z malin i z kwiatów czarnego bzu osłodzony lipowym miodem, taki, jaki robiła jej babka. Józef wypijał to i połykał jakieś proszki zamknięte w opłatki, ale nadal kasłał i gorączkował. Nie nadawał się do pracy, jednak codziennie wstawał i upierał się, że do jutra mu przejdzie. W końcu pan Emil przemówił mu do rozsądku.

— Idźże pan, panie prowizorze szanowny, połóż się i wychoruj, bo to wstyd dla apteki, żeby w takim stanie pan się tu pokazywał i oferował leki. Wyglądasz pan jak śmierć na chorągwi, wszystkich klientów pan odstraszyasz.

Józef niechętnie posłuchał rady i poszedł położyć się do łóżka. Miał wysoką temperaturę i paskudny kaszel. Wieczorem przyszedł doktor Mroziwicz.

— Co to, panie Józefie, chorujemy? — zapytał żartobliwie, ale gdy przyjrzał się choremu, spoważniał. Postawił swoją czarną torbę koło łóżka, wyjął pukadła i stetoskop, po czym przyłożył go do piersi chorego. Nasłuchiwał szmerów, chrząstów i półtonów, czujny jak stroiciel fortepianów, a w końcu pokręcił niezadowolony głową.

— Oskrzela, panie Józefie, coś tam się dzieje, i gardło masz pan chore. Trzeba poleżeć, wygrzać się w łóżku, poczekać, aż gorączka minie. Z takim paskudnym kaszlem nie ma żartów, trzeba uważać, żeby nie zeszło na płuca — ostrzegął z surową miną.

Przysiadł przy stole, wypisał receptę i zwrócił się do Lei:

— Proszę koniecznie przypilnować męża, pani Leokadio, poważny z niego aptekarz, ale o siebie zadbać nie potrafi. Tak jest za każdym razem. Niesubordynowany pacjent, ciągle trzeba go upominać. Mam nadzieję, że przy pani to nie będzie jednak potrzebne.

Przez następne dni Lea pielęgnowała Józefa, podawała leki, gotowała lekki bulion i przygotowywała ziołowe napary. Martwiła się, że choroba nie mija i mąż tak długo niedomaga. Kiedy do świąt zostało tylko kilka dni, a Józef nadal kasłał i gorączkował, zdecydowała, że muszą odwołać wyjazd. To przekreśliło wszystkie jej plany. Była niepokojona i zła, nie wiedziała, czy bardziej martwi się o Józefa, czy tym, że nie pojedzie na święta do domu. Że też akurat teraz musiał się rozchorować, przez niego nie zobaczę bliskich, myślała rozżalona i z coraz większym niezadowoleniem patrzyła

na Józefa i cały świat. Potem zawstydziła się swoich myśli, nie chciała być niesprawiedliwa. To nie jego wina, pomyślała, po prostu los tak chciał. Nie umiała jednak wyobrazić sobie, co będzie robiła podczas świąt w Warszawie.

W czasie choroby Józefa Reutowicz codziennie był w aptece, a wieczorami zaglądał do przyjaciela i zdawał mu relację z całego dnia. Chwilę z nim siedział i rozmawiał. Któregoś razu, kiedy Lea do nich zajrzała, Józef chwalił ją, że tak dobrze opiekuje się nim w chorobie, i powiedział, że nakleiła mu papier posmarowany smalcem na piersi, zapewniając przyjaciela, że to pomogło.

— Zabobony! Dobrze, że nie okadzała cię krowim łajnem — odparł Reutowicz z pobłażaniem, a widząc, że Lea weszła do pokoju, dodał z ironicznym uśmiechem: — Pani Leokadia nie wyzbyła się jeszcze wiejskich obyczajów.

— A pan nie przepuści okazji, żeby nie powiedzieć jakiejś złośliwości — zauważyła.

— Złośliwość? O co mnie pani posądza? Ostrzegam tylko mojego przyjaciela, żeby nie ufał kobietom, które próbują brać się do czegoś, na czym się nie znają.

Lea wzruszyła ramionami.

— Niech pan nie będzie taki uszczypliwy, zawsze słyszałam, że to kobieca przypadłość.

Józef się niecierpliwił.

— Lea, proszę, daj spokój.

Zaszeleściła suknią i wyszła. Nie zamierzała z nimi dyskutować, a tym bardziej nie chciała pokazać, że Reutowicz ją irytuje. Nie wiedziała, czy jest nieprzyjemny z zasady, czy stara się specjalnie dla niej. Jakkolwiek było, potrafił zepsuć jej humor.

Od samego początku dawał jej odczuć, że powinna trzymać się z dala od apteki, bo już sama jej obecność w tym miejscu narusza ład i ustalony porządek rzeczy, psuje szyki, rozprasza i drażni męskie zmysły szelestem sukni, zapachem, a nawet cieniem rzucanym przez kobiecą postać. Lea była przekonana, że takie poglądy powinny dawno odejść do lamusa, najlepiej razem z ich wyznawcami, swój sąd zachowała jednak dla siebie.

Do tej pory Reutowicz nie pojawiał się w aptece zbyt często, ale podczas choroby Józefa bywał codziennie i trudno było nie natknąć się na niego. Któregoś dnia omal się z nim nie pokłóciła.

Józef drzemał wtedy złożony gorączką. Lea zeszła po kwiat lipowy, a przy okazji zajrzała na recepturę. Receptura, czyli laboratorium, jak mówił Józef, szczególnie przyciągała jej uwagę, może dlatego, że było to miejsce dla niej zakazane.

Zazwyczaj tylko przystawała w drzwiach i czekała na zapraszający gest Józefa, przychylnie spojrzenie. Najczęściej nic takiego nie napotykała, ale gdy go w pobliżu nie było, nabierała śmiałości i sprawdzała, jak sobie radzą uczniowie.

Kiedy zeszła po kwiat lipowy, w laboratorium był tylko Tymon. Stał przy stole i w białym porcelanowym moździerzu rozcierał ostro pachnącą masę. Zapytała go, nad czym tak się trudzi, a on rumieniąc się i mrużąc krótkowzroczne oczy, wyjaśnił, że zagniata masę na pigułki z kreozotem i że to nic trudnego, trzeba tylko na końcu pokryć je balsamem tolutańskim.

Podeszła bliżej, usiadła na taborecie obok stołu i z zafascynowaniem patrzyła, jak chłopak zręcznie formował z masy wałeczek, a potem dzielił go na małe kawałki. Jego ruchliwe dłonie poruszały się precyzyjnie jak dłonie szulera, który potrafi płynnie przekroczyć granicę prawdopodobieństwa i ułudy. Pochwaliła go i stwierdziła, że miło na niego patrzeć, gdy tak się uwija. Właśnie wtedy pojawił się Reutowicz, zrobił niezadowoloną minę i powiedział, żeby nie przeszkadzała chłopakowi w pracy.

Policzki zapiekły ją z oburzenia, jakby przyłapał ją na jakimś niecnym uczynku.

— Musi być pan taki nieprzyjemny? — zapytała, rzucając mu spojrzenie niesłusznie pokrzywdzonej.

Popatrzył na nią zdziwiony, jakby nie wiedział, o co jej chodzi.

— Nieprzyjemny? To nie jest proszona herbatka, łaskawa pani, żebym bawił się w uprzejmości. Uniosła dumnie głowę.

— Uprzejmości od pana nie oczekuję, wystarczy trochę grzeczności — odparła szorstko. — Przyszłam po kwiat lipowy, a pan zaraz wytacza działa bojowe, jakby nie wiadomo co się stało.

Zreflektował się i zmienił ton.

— Przepraszam, ale to naprawdę nie jest miejsce dla pani — powiedział łagodniej i podszedł do Tymona, który zabierał się do wykańczania pigułek i rozpuszczał właśnie czerwonobrunatne kryształki balsamu tolutańskiego w spirytusie. Reutowicz stanął tuż za nim, patrzył mu przez ramię i podpowiadał, że powinien wziąć mniejszą parowniczkę, wlać do niej trochę rozpuszczonego balsamu i obtoczyć w nim pigułki.

Lea miała już wyjść, na chwilę jednak przystanęła kilka kroków od nich i z zainteresowaniem przyglądała się, co robią, a w końcu zapytała:

— A po co właściwie ten balsam?

Reutowicz odwrócił się gwałtownie i potrącił łokciem Tymona, któremu parownica wyleciała z rąk i spadła na podłogę, rozsypując się w drobny mak wraz z zawartością. Zrobiło się cicho. Lea śledziła jedną z pigułek, aż ta znikła pod szafką przy oknie. Nie śmiała podnieść wzroku; nie wiedziała, co powiedzieć.

— Wystawia pani moją cierpliwość na ciężką próbę — usłyszała opanowany głos Reutowicza, jego spojrzenie mówiło jednak, że chętnie wyrzuciłby ją za drzwi, i to własnoręcznie.

Wzruszyła ramionami.

— Bez przesady, przecież nic nie zrobiłam — powiedziała, siląc się na rozbajający uśmiech.

Zatkało go na moment. Mięśnie jego twarzy stężyły i z trudem powstrzymywał złość.

— Oczywiście typowo kobiece wytłumaczenie — odparł ostrym tonem i spoglądając na Tymona, dodał: — Trudno, będziesz musiał zrobić to jeszcze raz.

Speszyła się, bo zrobiło się jej żal Tymona, który starał się zrobić wszystko zgodnie ze sztuką, a teraz musiał od nowa przygotować lek.

— To nie jego wina — powiedziała zakłopotana.

Reutowicz chwilę milczał, a potem, wymawiając każde słowo bardzo dokładnie, powiedział:

— Niech pani nie przeciąga struny. Bardzo proszę, niech pani już stąd idzie.

Wyszła. Musiała być rozsądna, grzeczna, miła i układna. Zawsze w końcu ustępowała, wycofywała się do kuchni, do drugiego pokoju albo do sypialni — tam, gdzie było jej miejsce. Nie chciała kłótni, nie warto było strzępić sobie nerwów przez takiego typu.

Dziwny człowiek, niemiły i drażliwy, myślała o nim. To, że ma ciężko chorą żonę, wcale go nie usprawiedliwia. Dlaczego Józef się z nim przyjaźni, tego nie wiedziała, ale szybko pojęła, że łączą ich nie tylko interesy. Reutowicz był dla Józefa kimś ważnym, niemal bratem, kimś ważniejszym niż ona. I to jej się nie podobało, jednak nie zamierzała się nim przejmować. Trzeba go ignorować, pomyślała i wzruszyła ramionami.

Teraz też wolała się wycofać, zostawiła go z Józefem. Wróciła do kuchni i zabrała się za pieczenie świątecznych pierników. Miały być takie jak u ciotki, według starego przepisu od Żyda z Husiatynia. W Korytnicy pierniki zagniatano zaraz po wykręceniu z plastrów ostatniego miodu. Urszulia zarabiała wtedy ciasto w drewnianej dzieży, do którego ciotka lała miód złotą strugą, a Lea w mosiężnym moździerzu tłukła cynamon, goździki i gałkę muszkatołową; potem dodawały pieprzu, a czasem i trochę anyżu. Nie mogło zabraknąć prawdziwych przypraw, ognistych i mocnych jak lipcowy żar. Ciotka mówiła, że pierniki muszą być słodkie i korzenne, żeby rozgrzewały w zimowe dni, a Urszulia kiwała głową i dodawała, że pierniki to i duszę krzepią, która zimą staje się bardziej lękliwa, skłonna do zamyślenia, a z zamyślenia to różne choróbska się biorą i w ogóle.

— Co też Urszulia za głupstwa wygaduje — strofowała ją ciotka, ale łagodnie, bo wiadomo, że przy robieniu ciasta nie może być swarów. W końcu zanosili ciasto do piwniczki, tam dojrzewało w spokojności aż do świętego Mikołaja, gdy przychodziła pora na pieczenie. Tak było w domu ciotki. Co roku musiały zrobić pierniki. W dawnym domu, kiedy jeszcze żyła babka Lei, też robiły pierniki. Lea lubiła jej pomagać, a babka dawała jej łyżkę miodu i mówiła, że kiedyś pannom na noc poślubną smarowano piersi miodem, żeby mąż znalazł w nich upodobanie. Lea nie wiedziała, czy wierzyć w to, czy nie. Przecież to głupie, koszulę sobie pobrudziły. I teraz, kiedy sobie o tym przypomniła, znów nie wiedziała, co o tym sądzić. Głupstwa.

Zapach pierników rozniósł się po całym mieszkaniu. Musiał też dotrzeć na dół do apteki, bo Lea usłyszała ciche pukanie i zobaczyła rudą głowę Filipa, który zaglądał do kuchni.

— Ale pachnie! Pierniki pani aptekarzowa piecze. Ja nie mogę! A nie znajdzie się jakaś okruszyna dla skromnego ucznia? — zagadywał. — Lepiej dla dwóch — dodał, gdy zza jego pleców wyjrzał Tymon.

Było jej miło, że do niej zajrzeli, z nimi przynajmniej mogła chwilę zwyczajnie porozmawiać. Zapytała, co dziś robili, i poczęstowała ich jeszcze ciepłymi pierniczkami, a potem pomyślała, że tym się nie najedzą. Ukroiła im więc razowego chleba, posmarowała miodem i posypała czarnuszką.

Filip jak zawsze miał coś wesołego do opowiedzenia. Nawet Tymon odważył się powiedzieć, że kiedyś występował w szopce bożonarodzeniowej jako wół.

— Panie Boże mój, jam jest wołek twój, nic nie umiem, tylko orać, i to trzeba za mną wołać, mu, mu, mu! — wyrecytował.

W kuchni zrobiło się gwarno i wesoło, gdy uczniowie opowiadali o domowych świętach. Nagle ucichli, poderwali się i stanęli wyprostowani jak żołnierze przed dowódcą. Reutowicz stał w drzwiach i przyglądał się im bez cienia życzliwości w oczach. Po chwili jednak twarz mu się lekko rozpogodziła, jakby pod wpływem zapachu pierników rozprostowała się gniewna zmarszczka na jego czole.

— W tym domu dawno tak przyjemnie nie pachniało — zauważył uprzejmie, omiatając kuchnię czujnym wzrokiem.

Lea spojrzała na niego nieufnie.

— O co chodzi? Józef mnie potrzebuje?

Pokręcił głową.

— Nie. Wychodzę, chciałem się pożegnać, ale ten zapach...

Podsunęła mu miskę z piernikami.

— Proszę się poczęstować, jeszcze ciepłe — powiedziała, nie kłopotząc się tym, że nie wypada przyjmować go w kuchni. Trudno, sam się tu wepchnął.

Podszedł do stołu, ale nie sięgnął po pierniki.

— Za moich czasów nikt tak uczniom nie dogadzał — dodał tonem lekkiej przygany. Wziął do ręki metalową puszkę z przyprawą i powąchał. — Czarnuszka siewna, a może damasceńska? Lekko pikantna, aromatyczna. — Spojrzał na uczniów i tym samym niemal gładkim tonem zapytał: — Tymon, co powiesz o czarnuszcze? Słucham — wbił w niego wzrok.

Tymon stał jak sparaliżowany, a Filip przewracał oczami, jakby z tyłu głowy miał wypisaną odpowiedź. Zatkano ich. Zadawanie pytań poza apteką i po godzinach pracy to był cios poniżej pasa. Cisza aż pulsowała, słychać było tylko trzaskanie ognia pod blachą i bulgotanie wody w imbryku.

— Ściąga pioruny do kuchni — bąknął głupio Filip.

Reutowicz spiorunował go wzrokiem.

— Chciałeś coś powiedzieć? — jego głos stał się twardy i nieprzyjemny.

Lea z trudem powstrzymywała śmiech, widziała jednak, że zaraz może dojść do scysji. Reutowicz nie miał poczucia humoru.

— Słyszałam, że kiedyś czarnuszkę nazywano dziewicą w zieleni; ładnie, prawda? — powiedziała, starając się ratować sytuację. — Na wsiach sieją ją w ogrodach i dają zamiast kminku do potraw. Poprawia trawienie, bierze się ją na wzdęcia i kolkę, i na laksację — mówiła szybko. Chciała go zagadać. — A jeszcze na robaki podają czarnuszkę z sokiem z kiszonych ogórków albo z kiszonej kapusty. Trzeba to pić na czczo. Ale tak zwyczajnie to się używa do chleba, żeby ładnie pachniał. Ja bardzo lubię, a z miodem jest niebywała. Może pan spróbuje? — zapytała w końcu.

Reutowicz przyjrzał się jej z niezgłębionym wyrazem twarzy. Zawahał się, ale w końcu sięgnął do miski z piernikami.

— No proszę, pani i pierniki upiecze, i odpowie za tych nieuków — rzucił im spojrzenie pełne dezaprobaty, a potem znów przeniósł wzrok na Leę i spróbował się uśmiechnąć. — I jeszcze kusi mnie pani dziewicą w zieleni. Pocieszna pani jest — powiedział i wyszedł.

Wzruszyła ramionami. Pocieszna? Też coś. Nikt nigdy tak o mnie nie powiedział. I co

to właściwie znaczy? Nie zastanawiała się jednak nad tym długo. Zaczęła się śmiać, najpierw po cichu, a potem coraz głośniejsz. Śmiał się również Filip, tylko Tymon wyglądał na zmartwionego.

— Jutro da nam popalić za te twoje pioruny — powiedział smętnie, a potem roześmiał się na przekór swoim przewidywaniom.

Wieczorem Józef dopytywał się, co się działo w kuchni, że było tak wesoło. A kiedy odparła, że rozmawiała z uczniami, powiedział, żeby nie spoufalala się z nimi, bo to nie wypada.

— Każdy musi znać swoje miejsce — dodał z powagą na bladej twarzy.

Święta na Piwnej pachniały zupełnie inaczej niż u ciotki. Co z tego, że Józef wysłał Filipa na Rynek po choinę do ustrojenia pokoju; co z tego, że Lea upiekła pierniki i łamańce, przygotowała mak, kapustę i śledzie, wyciągnęła orzechy i grzyby, które przywiozła z domu, ale to i tak nie były prawdziwe święta, czegoś w nich brakowało. Wprawdzie nie było najgorzej, starała się — jak mogła, ale to i tak nie było to.

Przed samymi świętami Józef, jakby dotknięty ożywczą siłą, poczuł się lepiej. Może była to też zasługa ziół wykrztuśnych, które Lea serwowała mu kilka razy dziennie i które wypijał bez mrugnięcia okiem, a może rozmowy z przyjacielem dodawały mu sił. Tak czy siak rano w Wigilię wstał, ogłaszając, że to koniec chorowania, gorączka minęła, a w taki ważny dzień dobrze jest pokazać się klientom. Z samego rana ogolił starannie blade policzki i nałożył odświętne ubranie. Wychodząc, poprosił Leę, żeby na wieczór przygotowała mały poczęstunek dla wszystkich pracowników apteki.

— Zawsze łamiemy się opłatkami i daję im dodatkową wypłatę na święta — wyjaśnił i sprawdzając godzinę na zegarku z dewizką, dodał, że jest już spóźniony.

Popatrzyła na niego z niepokojem.

— Jak to na wieczór? Nie mogłeś mi tego wcześniej powiedzieć?! Co ja mam teraz zrobić? — przestraszyła się nagłą wizją przygotowania kolacji dla kilku osób.

Józef przygładził włosy, zapiął ostatni guzik marynarki i beztrudno odparł.

— No myszko, wyciągniesz coś ze spiżarki i będzie dobrze — uspokajał ją. — Nie musi być nic wielkiego, jakiś tam śledzik, rybka, no i te pierniczki, jeśli jeszcze zostały. Zobaczysz, i tak będą zadowoleni.

Wieczorem po zamknięciu apteki zebrali się w dużym pokoju. Józef powiedział kilka uroczystych słów. Potem pan Emil, Filip, a nawet nieśmiały Tymon składali jej życzenia i dziękowali za zaproszenie na świąteczną kolację. Zjedli wszystko, co naszykowała, i uśmiechali się do niej życzliwie. Pomyślała, że zrobiła im przyjemność tą kolacją, namiastką domowych świąt, do których pewnie tęsknią. Dopiero wtedy zrobiło jej się lżej na sercu i wzruszyła się, aż zaszklily jej się oczy.

Józef był zadowolony.

— Dawno nie było tu takiej wigilii — powiedział, wręczając jej wełniany szal w kolorze chabrów.

— Piękny — ucieszyła się. — Naprawdę piękny — rozłożyła go i zawirowała z nim, znacząc wokół siebie niebieski okrąg.

Przez chwilę sama czuła się piękna i szczęśliwa, ale szybko opadła z obłoków na ziemię. U ciotki nikt jej nie chwalił, nikt nie zwracał na nią uwagi, nie dawał prezentów, ale i tak wołałaby tam być, wśród swoich; tu nadal czuła się obco.

Po wigilii się nie sprząta, nie zmiata okruchów, jeszcze inni będą tu gościć. Tak mówiła babka; ciotka tak nie mówiła, ale i u niej wigilijny stół zostawał na noc niesprzątnięty, taki zwyczaj, tak bywało dawniej, to i niech tak zostanie przez pamięć dla zmarłych. Lea myślała, że i u niej tak będzie. Kiedy wróciła z Józefem z pasterki, w dużym pokoju na stole stały talerze i półmiski, resztki maku, chleba i kapusty. Stała w progu pokoju i zastanawiała się, dla kogo to zostawiła, kto tu do niej zajrzy, kto ją odnajdzie z dala od domu, od Korytnicy. Najwyżej moja poprzedniczka, pomyślała smutno i wyniosła talerze do kuchni.

— Lea, tylko bardzo proszę, bez żadnych zbędnych uwag, chociaż dziś — Józef utkwiał w niej wzrok, oczekując zrozumienia.

Czekali na Reutowicza, który miał ich odwiedzić w pierwszy dzień świąt.

— Zawsze przychodził do mnie z Michaliną. Teraz przyjdzie sam, bo z nią jest naprawdę niedobrze. Już nigdzie nie wychodzi, a on wciąż szuka dla niej ratunku, jeździ po lekarzach, był z nią nawet na Krymie, ale poprawy nie ma. Ja go znam od lat i widzę, jak go to zżera. Zmienił się, zrobił się zgorzkniały, rozdrażniony. Czasami musi się wyrwać z domu, z tej atmosfery choroby. Rozumiesz? Nikogo więcej tu nie ma oprócz mnie — przekonywał ją spokojnie, a jednak w jego głosie były jakieś drobne wahnięcia, zdradzające odrobinę emocji.

— Rozumiem, ale nikt nie jest temu winny, że jego żona choruje. A on jest za to obrażony na cały świat.

— Dajże spokój, proszę cię. I nie mówmy już o chorobach, mamy święta — dodał, spoglądając na nią niemal przymilnie.

Wyjął nalewkę z kredensu i postawił na tacy obok kieliszków. Sprawdził, czy w dużym pokoju piec jest wystarczająco ciepły, przykładając dłoń do zielonych kafli.

Lea ustawiła na stole świąteczne specjały.

— Naturalnie — odparła z mocnym postanowieniem zachowania niewzruszonego spokoju, nawet w sytuacjach skrajnych. Poprawiła kosmyki, które wysuwały się z upięcia, poluzowała pod szyją ostatni guzik ciemnoniebieskiej sukienki i zarzuciła na nią szal, który dostała od Józefa. Była gotowa, gość mógł przychodzić.

Reutowicz najwyraźniej uznał, że na czas świąt obowiązuje go poprawność w zachowaniu i starał się być uprzejmy. Przywitał się z Leą niemal przyjaźnie, dotknął jej dłoni zimnymi ustami, spojrzał na nią z nic niemówiącym wyrazem twarzy i równie przezroczystym tonem głosu złożył jej życzenia wesołych świąt. Gdyby te święta miały być takie wesołe, jak jego życzenia, to nie daj Boże. Nie poświęcił jej więcej uwagi, tak jak i ona udawał, że nie pamiętał o niedawnych nieporozumieniach. Potem, siedząc przy kolacji, pochwalił ciasto i pierniki. Józef częstował go ziołową nalewką, a on powiedział, że żona czuje się gorzej, dlatego nie mogła przyjść. Mówił to z całkowitą obojętnością, jakby pozbawiony wszelkich emocji. Ożywił się dopiero, gdy zaczęli rozmawiać o aptece, o cenach leków i surowców leczniczych. Dyskusja o szafranie i korze chinowej, której ostatnia dostawa do warszawskiej komory celnej okazała się beczelnie zafałszowana, rozgrzała obu panów.

— Dawniej to było nie do pomyślenia, oszustwo na taką skalę! Pomyśl, jak to musi być zorganizowane i ile na tym zarabiają. Mimo wpadek to musi się im opłacać! — Józef z błyskiem oburzenia w oczach dowodził, że fałszerstwa są coraz częstsze i coraz beczelniejsze, co dobitnie świadczy o upadku moralności, bo co jak co, ale fałszowanie leków to jest draństwo najgorszego gatunku. — Dajmy na to kora chinowa; robimy z niej wyciąg, proszki i sprzedajemy chorym, a to nie działa. Przecież to woła o pomstę do nieba!

Podczas swojej choroby Józef nadrobił braki w fachowej lekturze i teraz chciał omówić z przyjacielem sytuację na rynku.

— Na dodatek wszystko jest coraz droższe, moim zdaniem stanowczo za drogie i dlatego fałszują — podsumował.

Reutowicz przełknął kęs piernika i spojrzał na przyjaciela.

— Czym ty się przejmujesz? Tak jest co roku, zimą zawsze wszystko drożeje, komunikacja jest fatalna, to i płacić trzeba podwójnie, dopiero na wiosnę coś się ruszy. Nie warto teraz niczego kupować.

— Ruszy albo nie ruszy — Józef poluzował kołnierzyk, jakby zrobiło mu się gorąco z emocji. — W Chinach ciągle niepokoje i nie wiadomo, kiedy to się skończy. Nie ma co liczyć na chińskie towary. A od Niemców lepiej niczego nie kupować, z nimi absolutnie nie można się układać. Czytałem, że mają wprowadzić cło zaporowe na towary z Rosji, nas to też dotyczy. Zobaczysz, będą problemy ze zbytem.

— Na razie to niewiele im zbywamy — zauważył z przekąsem i odsunął się nieco od stołu, żeby

mieć więcej miejsca na długie nogi. Przy okazji zlustrował poziom trunku w karafce.

Zniecierpliwiony Józef machnął ręką.

— Mniejsza o to, ale myślę o naszym udziale w Wystawie Higienicznej. Już powinniśmy to zaplanować. Nie mamy znowu tak dużo czasu, jak się wydaje.

Wtedy Lea pierwszy raz usłyszała o wystawie, która zdaniem Józefa miała być furtką — jeśli nie bramą — do rajów, czyli do szerokiego rynku zbytu dla ich produktów aptecznych. Powinni zatem zarezerwować stoisko i wystawić swoje preparaty, bo konkurencja nie śpi. Trzeba pokazać się z najlepszej strony, nawet jeśli będzie to trochę kosztowało, by zyskać odbiorców spoza Warszawy, najlepiej z całego Królestwa, a może i z Rosji. Lea słuchała jednym uchem i nawet nie podejrzewała, że wystawa okaże się dla nich brzemienne w skutki. Nie przypuszczała, że spokojny i wyważony, jak jej się zdawało, świat apteki kryje w sobie różne mętne interesy i niebezpieczeństwa. Bardziej interesowało ją, czy niczego nie brakuje na stole i czy Józef doceni jej starania. Przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie i czuła się coraz bardziej zbędna. Nie dlatego, żeby była ignorantką i nie wiedziała, co się dzieje na świecie. Przeciwnie, ostatnio przeglądała gazety Józefa, ale sprawy handlowe, rynki europejski i azjatycki to już było ponad jej siły. Cóż to ją mogło obchodzić, zwłaszcza podczas świąt? Może wuj Kacper miał rację. To nie jest rozmowa dla ciebie, mówił w takich sytuacjach. Mężczyźni muszą pomówić w swoim gronie, a kobiety w swoim. I tak było. Kobiety mogły rozmawiać o kuchni, strojach albo o dzieciach, czasem o miłostkach, ale wtedy to już było plotkowanie. Najczęściej tylko plotkowały, pytowały albo szły na pogaduszki, tak twierdził wuj. Może Józef też tak uważa?

Znów wzbierała w niej złość. Gdyby nie choroba Józefa, siedziałyby teraz w dużym pokoju u ciotki i słuchała nowin. Pewnie zobaczyłyby się z Leonem, bo on często odwiedzał wujostwo w święta. Zawsze taki przystojny, czarnowłosy i z zabójczym wąsikiem. A jakie ma oczy, tajemnicze jak sierpniowa noc. I nie mówi ciągle o interesach, o jakichś taksach i korze albo o czopkach. Nie, Leon opowiedziałby o czymś przyjemnym i na poziomie, o teatrze albo o podróży do Wilna. Podawałaby mu filiżankę herbaty i łamańce z makiem, a on pewnie by zapytał, jak znajduje Warszawę, jak jej się podoba życie w mieście. Zamyśliła się, poprawiła swój szal i przymknęła oczy.

— Lea, zasnąłaś? — głos Józefa dobiegł do niej z daleka, jakby z innego pokoju. Nie miała ochoty tam wracać. Józef delikatnie dotknął jej dłoni.

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Przez chwilę nie była pewna, co jest snem, a co jawą, czy pokój w Korytnicy, czy przy Pivnej. Zmarszczyła nos i zamrugnęła, chcąc odzyskać właściwy ogląd spraw.

— Tak?

Józef przyglądał się jej z rozbawieniem.

— Lea, zmęczona jesteś? Wincent zapytał, czy zaśpiewamy kolędy.

Przez moment nie wiedziała, o kim mówi. Musiała wziąć się w garść. Spojrzała na gościa, więc to on jest Wincent, uprzytomniła sobie.

— Tak, naturalnie, możemy zaśpiewać — zgodziła się i poprawiła na krześle.

Podejrzewała, że Reutowicz specjalnie czekał na ten moment; chciał popisać się swoim głosem, a ona nie zamierzała psuć mu tej chwili. Kiedy zaczął śpiewać, nie mogła wyjść ze zdziwienia, że ma taki ciepły ton głosu, zupełnie niepasujący do ponurego wyglądu i charakteru. Z jego twarzy znikł grymas niezadowolenia i abnegacji, śpiewał z uczuciem i widać było, że sprawia mu to przyjemność. Wydawał się nawet przystojny, poważny i lekko melancholijny. Ubrany był na czarno, tylko wiśniowa kamizelka przyciągała wzrok, intrygowała swoim kolorem i zdawała się mówić o właścicielu, że nie jest takim ponurakiem, na jakiego wygląda.

Wyczuł, że na niego patrzy. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment, a jego oczy szybko przybrały barwy ochronne chłodnej ironii podszytej rozczarowaniem, ale przez chwilę było w nich jeszcze coś, co ją ukłuło, jakaś przyczajona i niedyscyplinowana siła, gniew, żal czy dzikość, które zaraz ukrył pod długimi czarnymi rzęsami. Zmieszała się, to spojrzenie zaniepokoiło ją bardziej niż wszystkie wypowiedziane przez niego słowa. No cóż, jest tylko mężczyzną, a mężczyźni inaczej patrzą na świat, wytłumaczyła sobie.

Gdy skończyli śpiewać, przyznała, że ma ładny głos, i obdarzyła go łaskawym uśmiechem Madonny przymykającej oko na ludzkie słabości. Nie miała jednak odwagi spojrzeć mu w oczy i nie chciała znowu znaleźć się w zasięgu tego spojrzenia, którym przenikał niemal do szpiku kości. Dla świętego spokoju przyrzekła sobie, że postara się być dla niego uprzejma i nie będzie wchodziła mu w drogę, a najlepiej by było, gdyby ich drogi nigdy się nie krzyżowały.

Do Korytnicy wybrała się z Józefem dopiero w lutym, na Gromniczną. Wuj Kacper wyjechał po nich na dworzec w Mławie. Lea była uszczęśliwiona nie tyle widokiem wuja, ile przejażdżką saniami. Kiedy wyjechali z miasta na gruntową drogę, wiodącą wśród ośnieżonych pól, lasków i zagajników, czuła, że wraca do domu. W Warszawie brakowało jej przestrzeni i powietrza, dopiero tu jej myśli nabierały rozpędu, tu odnalazła dystans, który pomagał jej właściwie ocenić sytuację. Wreszcie mogła odetchnąć pełną piersią i być sobą, zwykłą i prostoduszną, bez pogmatwanych myśli, podejrzeń i sekretów. Otrząsnęła się z miejskiego zaduchu jak pies, który wyskoczył z wody. Cieszyły ją mijane po drodze widoki, stadko kuropatw szukających ziarna na zaśnieżonym polu, krzywe wierzby przy drodze, które, jak starzy znajomi, czekały na jej powrót.

— Pięknie tu — powiedziała do Józefa.

Józef rozejrzał się i odparł zdziwiony:

— Ale tu nic nie ma.

Przejechali z fasonem przez całą Korytnicę, żeby wszyscy widzieli, jak wuj Kacper wiezie do domu gości, i to miastowych. Kiedy zatrzymali się przed domem, ciotka Anastazja wyszła na ganek. Szczupła, wyprostowana, w wełnianym szalu zarzuconym na prostą szarą suknię. Stała i czekała, aż wysiądą z sań. Potem wyściskała Leę i przyjrzała się jej uważnie.

— Ładna kobieta się z ciebie zrobiła — powiedziała z zadowoleniem. — Najwyraźniej małżeństwo ci służy.

Wuj Kacper też się ucieszył, zwłaszcza z podarków od Józefa, który nie zapomniał o butelce wódki Baczewskiego i dobrym tytoniu.

— No, Józefie, dobry z ciebie aptekarz, akuratywny lek mi przywozisz, dobry na wszystkie choróbka.

— Po kieliszeczku w sam raz na mrozy — Józef podchwycił żartobliwy ton wuja.

Lea rozglądała się z ciekawością po domu; obeszła wszystkie kąty.

— Nic się tu nie zmieniło — powiedziała z zadowoleniem.

Ciotka popatrzyła na nią zdziwiona.

— A co się miało zmienić? Wszystko po staremu, tylko pusto. Ciebie nie ma, Jerzego i Klemensa też nie ma, to pusto i cicho.

Ciotka traktowała ją jak dawniej, prawie jak dawniej, bo nie pozwoliła jej niczego się dotknąć.

— Już ty to zostaw — powiedziała, gdy Lea chciała nakryć do stołu. Agacie kazała na ich przyjazd wyciągnąć świąteczną zastawę z niebieskim szlaczkiem, która była schowana głęboko w kredensie. A obiad był jak dla gości, z herbatą i ciastem, żeby można było posiedzieć przy stole i porozmawiać, dowiedzieć się, co tam ciekawego w mieście.

Opowiadali o Warszawie, Józef rozgadał się o aptecę, a wuj raczył go miejscową dyszlówką i wypytywał o sprawy polityczne. Potem skupił się na cenach mąki, cukru i chleba. W końcu oświadczył: Bóg mi was zesłał, i patrzył przy tym na Józefa.

Ciotka rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie, ale wuj zaraz zaczął mówić.

— Przyobiegałem pojechać do krewnych, zobaczyć, bo tam na wiosnę mój siostrzeniec stawia dom i trzeba mu doradzić, czy dobrze miejsce wybrał. Wezmę Józka i pojedziemy, bo co dwie głowy, to nie jedna.

— Ja się na stawianiu domów nie znam — zaśmiał się Józef zaskoczony propozycją.

— Szkoły kończyłeś? Kończyłeś. To coś przecież wiesz. Przejedziemy się, zobaczymy co i jak, a ty rodzinę poznasz — uciął wuj Kacper i patrząc na niego porozumiewawczo, dodał: — Lea zostanie

z ciotką, będą miały czas, żeby się nagadać.

Pojechali w czwartek rano, bo w środę zrobiła się taka zadymka, że nikomu nie chciało się wyściubiać nosa za drzwi. A w czwartek świeciło piękne słońce, mróz był niewielki, w sam raz na podróż saniami. Wuj wziął ze sobą pomocnika, młodego chłopaka z młyna, żeby i on się przewietrzył, a w razie czego był pod ręką. I pojechali. Lea została z ciotką, ale wszystko to, co ułożyła sobie w głowie, o czym chciała jej opowiedzieć, wydało się jej nic nieznaczące, błahe. Wołała przejść się po zaśnieżonym sadzie, zobaczyć, co w obejściu, albo zajrzeć chociaż do kuchni, gdzie Urszulcia akurat robiła uszka do barszczu.

— Niech no pani Lea tu mi się nie kręci, jeszcze se suknie poplami — mruknęła Urszulcia.

Lea nic sobie z takiego gadania nie robiła. Usiadła przy kuchennym stole i zapytała, co szykowały na święta, czy makowce się udały i kto przyjechał. O to, o tamto, i Urszulcia zaczęła mówić. A Lea słuchała, bo przez te miesiące, które spędziła w Warszawie, brakowało jej tych kuchennych rozmów, narzekania Urszulci, szumu i śmiechów. Ale ciotka zawołała ją na pokoje, bo przyszedł ktoś z sąsiedztwa, więc Lea musiała się pokazać i opowiedzieć, jak to w tej Warszawie się żyje, jak się ubierają panie, co podają do stołu, jakie są ceny. Kumoszki ciotki patrzyły teraz na Leę jak na kogoś, kto otarł się o wielki świat, przekroczył granicę tutejszości. Lea była taka do połowy, niby jeszcze swoja, ale już trochę obca.

Dopiero wieczorem, kiedy goście wyszli, a Lea też już chciała iść spać, ciotka wzięła ją do stołowego i zapytała:

— Powiedz no, jak tam ci się z nim układa?

Lea przysiadła na krześle.

— Nie skarżę się, całkiem dobrze mi się z nim żyje — powiedziała ze stosownym, zadowolonym uśmiechem.

— A mówiłam ci, że wszystko się ułoży — stwierdziła ciotka z zadowoleniem i ulgą. — Teraz najlepszy czas dla was. Jak przyjdą na świat dzieci, to zaraz zapomnisz, co to wolne chwile. Ale powiedz mi, kogo ty tam poznałaś, jak ci się widzi szwagierka?

— Felutka życzliwa mi — ze szczegółami opowiedziała o wizycie u Felutki, choć już pisała o tym ciotce w listach. Potem musiała opowiedzieć o pracownikach Józefa. Bąknęła coś o Reutowiczu, że uprzejmy, ale sztywny.

— I wszyscy tacy grzeczni dla ciebie? — ciotka spojrzała na nią podejrzliwie. — No to co cię gryzie? Widzę, że coś idzie nie po twojej myśli.

Lea zawahała się.

— Nie wiem, co o tym myśleć — zaczęła ostrożnie, zerkając na ciotkę siedzącą przy lampie. — Józef w ogóle nie wspomina o swojej pierwszej żonie, jakby jej nigdy nie było.

— Masz tobie! — ciotka odłożyła robótkę i rozłożyła ręce. — Zastanów się, dziewczyno, co ty wygadujesz! A co ty byś chciała, żeby mówił, jaka to była gospodarna, oszczędna i pobożna? To byś miała dopiero zmartwienie. A tobie źle, że o niej nie mówi! Przynajmniej nie stawia jej za wzór cnót, nie każe ci robić wszystkiego tak jak tamta, nie porównuje, która lepsza. To już nie masz na co się żalić?

— No tak — mruknęła Lea — ale kiedy zapytałam o nią Józefa, nasrożył się, powiedział, że nie chce o tym rozmawiać, że to dla niego bolesne i nie chce do tego wracać.

— Daj temu spokój, Lea. Zawsze ci mówiłam, że nie ma co spoglądać za siebie, bo nic dobrego z tego nie będzie. Czego od niego chcesz? Masz tam wszystko, czego dusza zapagnie. Dba o ciebie, wyglądasz całkiem jak miastowa pani i jeszcze ci źle?

Lea kiwnęła głową, ale po chwili zapytała:

— A ta ciotki przyjaciółka nie napisała o nim czegoś więcej?

Ciotka zamyśliła się.

— Tyle że wdowiec i że porządny, uczciwy człowiek. I tego się trzymaj, a nie doszukuj się dziury w całym. Zajmij się czymś, a nie wymyślaj Bóg wie czego — zakończyła karcącym tonem.

Więcej już nie wracały do tego tematu. Ciotka w milczeniu zrobiła kolejny rząd szydełkowej serwetki, po czym złożyła ją na kolanach i powiedziała:

— Leon był i pytał o ciebie.

— O mnie? — zdziwiła się Lea. — Nigdy mnie nie zauważał, a teraz pyta. I co mu ciotka powiedziała?

— Powiedziała, że ty teraz warszawianka, a twój mąż ma aptekę przy Pivnej.

— A co u niego słyhać, co u wuja Janusza?

Ciotka podzieliła się nowinami, a w końcu wyciągnęła z komody pudełko po czekoladkach i przeczytała listy od synów.

— Tak się tam zasiedzieli, nic nie wspominają o powrocie. Czasem myślę, że już ich więcej nie zobaczą — dodała z westchnieniem.

— Ale co też ciotka mówi! — zaprotestowała gorąco. Zrobiło się smutno, chciała podnieść ją na duchu. — Wrócą i jeszcze może z rodziną. Zobaczysz ciotka i synów, a może i wnuki.

— Daj Boże, żeby tak było — odparła ciotka. — Najważniejsze, że zdrowi są i dobrze się tam mają. No i że są razem, to też lżej — powróciła do swojego zwykłego mentorskiego tonu. — A ty też nie narzekaj. I na Józefa uważaj, żeby znów się nie rozchorował.

— Może niepotrzebnie pojechał z wujem? — zastanowiła się Lea.

— Dobrze im to robi, pogoda ładna, to się przewietrzą. Wuj chce się tym twoim Józkiem pochwalić, pokazać, że takiego szanowanego aptekarza ma w rodzinie. Prędko nie wrócą — dodała z ledwo widocznym pobłażliwym uśmiechem, którego Lea wcześniej u niej nie dostrzegała.

Wrócili w sobotę wieczorem. Lea dziwiła się, że Józefowi odpowiadało towarzystwo wuja Kacpra, którego ona nigdy nie lubiła. Widocznie znaleźli wspólny język, bo obaj byli w doskonałych humorach, jakby dopadała ich lekkość bytu, przejściowa, wzniecona alkoholem, jazdą wśród ośnieżonych pól i wesołym towarzystwem.

— Dobrze, że nie macie więcej krewnych, bo chyba za tydzień bym stąd nie wyjechał — żartował Józef. — Gościnni ludzie, nie sposób im odmówić. Najadłem się i wypilem za trzech — dodał z westchnieniem, które mogło być zapowiedzią nadchodzącej ciężkości głowy i żołądka. Wyglądał jednak na zadowolonego i wesoły błysk migotał w jego oczach.

Teraz Lea mogłaby powiedzieć mu, że chciałyby zostać jeszcze kilka dni dłużej. Przed wyjazdem planowała, że zostanie u wujostwa ze trzy tygodnie. Józef wróci do Warszawy, a ona posiedzi, ale zmieniła zdanie. Co by tu robiła? To już nie mój dom, nie jestem tu potrzebna, uświadomiła sobie. Tylko bym zawadzała. Może latem, jak będą porzeczkki i wiśnie w ogrodzie, przyjadę i pomogę przy konfiturach. Z tym zawsze jest dużo pracy, pomyślała wsłuchana w odgłosy starego domu, wtopiona w jego zapachy i smaki, które po trosze wywiezie stąd zamknięte w słojach i paczkach, i w swojej głowie.

Nazajutrz Józef obudził się w kiepskim humorze, skłaniającym w dalszej konsekwencji do refleksji nad smakiem i niesmakiem życia. Cierpiał też na pewnego rodzaju zastój, trudno było mu się ruszyć z miejsca.

— Za dużo, stanowczo za dużo wypilem — przyznał ze zboląłą miną.

Nic nie pomogła kuracja ciotki Anastazji, która ratowała go barszczem i sokiem z kiszzonej kapusty. Nawet wyjście na mróz, za przykładem wuja, żeby ostudzić sobie głowę, nie przyniosło mu ulgi.

— Sam sobie jesteś winny, każdy powinien znać umiar — burknęła niezadowolona Lea.

Nic nie odpowiedział, machnął tylko ręką, żeby dała mu spokój.

— Uważaj na tego swojego Józia — powtarzała ciotka, gdy wreszcie zebrali się do wyjazdu. Dodała kilka dobrych rad, jak Lea powinna dbać o zdrowie męża, i ucałowała ją serdecznie.

Wuj, po którym prawie nie było widać skutków biesiadowania u krewnych, odwiózł ich na popołudniowy pociąg. Józef nadal był cierpiący i prawie się nie odzywał. Kiedy wsiedli do pociągu, zajął miejsce w kącie przedziału i przymknął oczy; nic go nie obchodziło. Lea musiała wszystkiego dopilnować, wiozła ze sobą kosz zimowych jabłek i worek mąki, w drugim koszu miała pęta podsuszanej kiełbasy i serek, sok malinowy, miód i pikle.

— Bierz, kiedy ci dają, co tam będziesz miejskie kupowała, nie wiadomo co i od kogo, a tu masz

swoje. Domowe najlepsze — powiedziała ciotka, wciskając jej jeszcze słój z wiśniami.

— Pewnie, że najlepsze — przyznała Lea, a teraz się martwiła, jak się z tymi wszystkimi kosztami i pakunkami zabrają w Warszawie do dorożki.

Pociąg coraz bardziej się rozpędzał. Szarzało, a umykający krajobraz za szybą był pogrążony w śniegu, zmarznięty jak kuropatwy w bruździe na polu. Lea próbowała uchwycić go wzrokiem, ale z każdą chwilą widok tracił ostrość. Kontury rozmywały się w szarości, a ona znów oddalała się od domu, który już nie był jej domem, ale we wspomnieniach na zawsze nim pozostanie — nawet gdy strawi go pożar, a rosnąca za nim jabłoń rodzajna, pod którą wylewano krew z zarżniętych zwierząt, przestanie rodzić.

Wyciągnęła jabłko z koszyka i ugryzła, rozkoszując się jego smakiem. Wyczuwała w nim aromaty miejsc, do których przez lata należała, a które stały się już jej przeszłością. Przestała do nich pasować, wyrosła z nich jak z przyciasnej sukienki. Korytnica, sad i ogród — to już minęło, zostało poza nią. Nigdy nie będzie mieszkała na wsi i zajmowała się gospodarstwem, jak jej babka i ciotka, nawet takim małym jak to, które przehulał ojciec. Małżeństwo z Józefem przekreśliło tę wizję. Jej gospodarstwo jest mniejsze niż chusteczka do nosa, nie potrzeba go obchodzić kilka razy dziennie, żeby sprawdzić, czy służba się nie objęła i czy wszędzie panuje porządek, nie ma w nim zbyt wiele do roboty. W aptece też jej nie chcą, ale ona nie przywykła do bezczynności ani do samotności, nie przywykła do tego, żeby siedzieć zamknięta w pudełeczku po czekoladkach. Musi znaleźć dla siebie coś innego, wymyślić się na nowo, a to nie było proste.

— Puść ją — powiedział Józef. — Lea, puść już! — powtórzył ostrzej.

Ale Lea trzymała mocno, jej palce zacisnęły się na ręce kobiety i ani na chwilę nie rozluźniła uścisku.

— Chciała wyciągnąć pieniądze z kasy — wysapała przez zacisnięte zęby. — Złapałam ją na gorącym uczynku.

— Ale już puść — powiedział stanowczo Józef, kładąc swoją dłoń na ramieniu i tym gestem przywołując do porządku.

Czasami Lea działała odruchowo, jak kura, która macha skrzydłami, choć odcięto jej głowę. Zanim pomyślała, już coś powiedziała, zwłaszcza w złości; zanim się zastanowiła, już coś zrobiła. I właśnie tak było, kiedy zobaczyła w aptece złodziejkę.

To zdarzyło się pod koniec lutego, kiedy nastąpiły siarczyste mrozy. Ludzie zakutani w grube kapoty tylko przemykali ulicami. Kto mógł, siedział w domu i nie wyściubiał nosa na zewnątrz. Lea wychodziła do piekarni i na Rynek, ale i tam rzadko kto teraz handlował. Przekupki, zwykle odporne na niepogody, w te mroźne dni pozamykały swoje stragany. Czasem pojawiała się tylko jakaś baba z koszem serków czy osełek masła, opatulona w kilka chust i zapasek, tak że trudno było się jej ruszyć; postąpiła trochę, przytupując dla rozgrzewki ciężkimi butami, i po półgodzinie odchodziła albo zniknęła w jednej z okolicznych knajp. Do apteki przychodziło mniej ludzi, za to doktor Mroziewicz podwoił zamówienie na środki przeciwgorączkowe, maści rozgrzewające i plastry. Józef i jego uczniowie stale byli zajęci.

Ktoregoś wieczoru, kiedy Lea zeszła do apteki zerknąć, co się dzieje, przez otwarte drzwi prowadzące na ekspedycję zobaczyła jakąś postać. W pierwszej chwili pomyślała, że to cień zawieszony nad stołem; ale ręka, która wysunęła się z tego burego cienia jak zza zasłony, miała bardziej rzeczywisty, cielisty kolor. Nie zastanowiła się i już była przy kasie. Złapała za rękę, kiedy kobieta odziana w ciemny, przyduży płaszcz usiłowała wyciągnąć pieniądze.

— Złodziejka! — krzyczała, ile sił w płucach.

Kobieta wrywała się, kopała ją po nogach, próbowała gryźć, ale Lea trzymała ją mocno i za nic nie chciała puścić. Szamotały się, aż strąciły z półki butelki z przygotowaną do wydania wodą karbolową. Nadbiegł Józef i powiedział, żeby Lea puściła kobietę. Nie mogła tego zrobić, to była złodziejka, ale Józef tego nie rozumiał.

— Lea, puść już! — powtórzył głośniej, jakby to ona była sprawczynią zamieszania.

W końcu, kiedy Lea zwolniła uścisk, Józef postraszył kobietę policją i wyrzucił za drzwi.

— Wynoś się stąd, żebym cię tu więcej nie widział! — krzyczał za nią.

Lea patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Co ty robisz? Dlaczego pozwoliłeś jej odejść? Złapałam ją na gorącym uczynku — powtarzała zasapana i zdenerwowana. Nie mogła zrozumieć, dlaczego puścił ją wolno.

Józef machnął ręką.

— Nic się nie stało, niczego nie ukradła — odparł i kazał służącemu uprzątnąć stłuczone flaszki i słoje, a Filipowi pozbierać rozsypane papierosy dla astmatyków.

— Ale dlaczego ją puściłeś?

— Nie teraz, Lea, widzisz, co tu się narobiło. Później porozmawiamy, teraz musimy jeszcze raz przygotować lekarstwa dla doktora.

Później, jak zawsze, później, pomyślała niezadowolona. Poprawiła włosy, które wymknęły się z koka podczas szamotaniny, wygładziła spódnice, ale nadal była wzburzona. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego tak postąpił.

Wieczorem Józef był jakby nieobecny myślami, nieswój, wyglądał, jakby coś go gnębiło. Jego szare oczy stały się smutne jak gasnący zimowy dzień. Zajście w apteczkę musiało wytrącić go z równowagi, ale kiedy go o to zagadnęła, znów ją zbył.

— Powiedz, o co chodzi? — prosiła. Chciała się dowiedzieć, czy Józef miał jakiś szczególny powód, żeby pozwolić odejść tej kobiecie. A może ma taką fantazję i puszcza wolno każdego złodzieja? — Dlaczego nie zawiadomiłeś stójkowego?

Rzucił jej kłujące spojrzenie i nieco zbyt gwałtownie odstawił talerz z naleśnikami. Nic innego nie wskazywało, że jej dociekliwość go irytuje.

— A chciałabyś zeznawać w sądzie? — zapytał po chwili, unosząc nieznacznie brwi, jak to miał w zwyczaju czynić, gdy dostrzegał niuanse i podteksty w oczywistych z pozoru sprawach.

— Jak to w sądzie? — popatrzyła na niego zdumiona. Jeszcze nie w pełni uświadamiała sobie, że byłaby świadkiem oskarżenia. — Zresztą czego mam się obawiać? Nic nie zrobiłam, nie mam nic do ukrycia. — Wyrzucała z siebie i zamilkła, widząc, że to nie jest odpowiedź, której oczekiwał. A kiedy chwilę się zastanowiła, przyznała mu rację. Nie miała najmniejszej ochoty składać zeznań w sądzie i on najwyraźniej też.

Rano już nie wrócili do tej rozmowy. Józef szybko zjadł jajecznicę i zszedł do apteki. I dobrze, niech sobie idzie do tych swoich pigulek, tam jest jego miejsce. Nadal była na niego zła. Poszła do kuchni i zrobiła sobie kawę. Przyzwyczaiła się do picia kawy, prawdziwej, nie zbożowej. Sama męła ziarna w młynku z korbką zakończoną okrągłą gałką. Ziarna chrupały, jakby tykał stary zegar. Przesypywała je do garnuszka, zalewała wrzątkiem i stawiała na rozgrzanej płycie. Było w tym coś fascynującego, obrządek, który celebrowała z uwagą, czekając, aż zapach kawy wypełni kuchnię. Nalała sobie filiżankę i usiadła przy kuchennym stole, przymknęła oczy i pozwoliła swoim myślom płynąć swobodnie. Chyba właśnie wtedy w jej głowie pojawiło się pytanie: czy Józef rzeczywiście ma coś do ukrycia? Każdy ma, odpowiedziała sobie, ale lepiej nie oglądać się za siebie, nie drażnić.

Funt mąki zaparzyć pół kwaterką gorącego mleka i rozbijać, aż ostygnie; wlać ¼ funta drożdży... 10–12 żółtek ubijać z ½ funtem pudru, Lea przypominała sobie przepis na pączki, które robiło się w Korytnicy.

W ostatki chciała przygotować coś specjalnego, żeby zapomnieć o domowych nieporozumieniach i dobrze zakończyć mijający karnawał. Pomyślała, że pączki będą najlepsze. Zaprosi pracowników Józefa, bo w ostatki musi być gwarno i wesoło. Przyjdą Filip i Tymon, zaprosi też pana Emila, on zawsze taki na uboczu, stołuje się Pod Zieloną Papugą i je tam byle co, a domowe pączki to zupełnie coś innego.

Rano zrobiła ciasto i postawiła koło pieca, żeby podrosło. Kiedy Józef zajrzał do niej w południe,

układała już pierwszą porcję gorących pączków na tacy.

— Szykujesz coś słodkiego na wieczór? — ucieszył się. — Świetnie, bardzo dobry pomysł.

— Pączki, takie jak u nas w Korytnicy, z wiśniami, przepis mam od ciotki, lepszego w całej Warszawie nie znajdziesz — zapewniła z uśmiechem i poprawiła fartuszek, który wkładała do kuchennych robót. — Zaprosimy wszystkich na wieczór, dobrze?

Józef zacierał ręce z zadowolenia i popatrzył na nią filuternie.

— Wszystkich? A nie wystarczy ci chłopcy z apteki?

— No i pan Emil oczywiście — dodała, z premedytacją zapominając o Reutowiczu.

Chciała, żeby choć przez kilka chwil było u nich tak jak w starym domu. Ostatki były wesołe, nawet wuj Kacper, zawsze taki srogi i dusigrosz, mówił, że w tłusty czwartek i w ostatki trzeba się tłustości najeść, bo inaczej cały rok będzie chudy. I Urszulcia z Agatą smażyły pączki albo racuchy z jabłkami. Ale częściej pączki. Lea pomagała, nakładała małą łyżeczką konfiturę, którą ciotka wydzielala ze spizarki.

— Tylko nie kładź za dużo, żeby nie wyleciało — strofowała, patrząc jej na ręce.

Ale pączki, które zrobiła Lea, zawsze były trochę nieforemne, jakby przetrącone. Agata kładła je na spodzie talerza, żeby nie rzucały się w oczy, kiedy przyjdą goście.

— Nie starasz się — upominała ją ciotka, kręcąc z niezadowoleniem głową.

— Mogę sama zjeść — śmiała się Lea.

— No już, na pewno!

Nikt jednak nie narzekał, Jerzy i Klemens jedli, aż im się uszy trzęsły. Goście też sobie chwalili. A gdy przychodził stary Jezierski, który umiał grać na wszystkim, co mu wpadło w ręce, a najlepiej na akordeonie, wtedy były nawet tańce.

— A niech się zabawią, wyskaczą, nie żałuj im — mówił wuj, który nie tańczył, za to zajadał się pączkami i zapijał je wódką.

Bawili się w kółku albo w korowodzie, który przemykał galopkiem po całym domu.

— Głośno się robiło i wesoło, a z sąsiedztwa nieraz ktoś zajrzał — opowiadała Lea z błyskiem w czarnych oczach. Tak było przez kilka lat, dopóki Klemens i Jerzy nie wyjechali, potem już zabaw nie było, przypominała sobie.

— Tańców raczej u nas nie będzie — stwierdził Józef. — Pączki i wino powinny wystarczyć, i dokup jeszcze coś słodkiego. Tymon i Filip mają apetyt jak wilki — dodał, podając jej pieniądze na zakupy. — Kup jakieś ciastka w piekarni, tam mają świeże, a ja zajmę się winem.

Padał śnieg z deszczem, ulice pokryły się warstwą śliskiej brei. Lea ubrała się ciepło i poszła po zakupy do piekarni. Żałowała, że nie włożyła starych zimowych butów, tylko nowe kalosze, które tak się jej podobały, że prawie się z nimi nie rozstawała. Ładne, miastowe, ale jedynie od parady. Nogi ślizgały jej się na kocich łbach, musiała więc stąpać ostrożnie, żeby nie stracić równowagi. W piekarni kupiła kruche makaroniki oraz paluszki z makiem i cynamonem. W drodze powrotnej nie było lepiej, w dodatku zmarzła i chciała już szybko wrócić do domu, usiąść w kuchni, ogrzać się i wypić małą filiżankę kawy. Nie zajrzała nawet na Rynek, nie oglądała straganów, od razu skręciła w Wąski Dunaj. Cały czas patrzyła pod nogi, żeby się nie poślizgnąć.

Nagle tuż przed nią wyrosła ubrana na czarno kobieta, jakby oderwała się od wilgotnych murów i stanęła na drodze. W pierwszej chwili Lea jej nie rozpoznała; pomyślała, że to jakaś uboga prosi o wsparcie, ale w jej ruchach było coś znajomego. Spojrzała na nią i wtedy się zorientowała, że to ta niedawno przyłapaną na kradzieży w aptece. Odskoczyła od niej.

— Odejdź, bo zawołam stójkowego — ostrzegła.

Spod obszernego kaptura patrzyły na nią rozbiegane oczy.

— Stójkowy nic ci nie pomoże; jak nie uciekniesz, to skończysz tak jak pani Sabina — powiedziała nieznajoma niemiłym zachrypniętym głosem.

Lea stanęła jak wryta.

— Jaka Sabina?

— Co, nic nie wiesz? Nie powiedział ci? Daj parę groszy, to się dowiesz.

— O czym ty mówisz, kobieto? Jesteś pijana, daj mi przejść! — rzuciła gniewnie, odzyskując zdolność rozumowania. Próbowwała ją ominąć, ale ta znów ją zatrzymała.

— Daj parę rubli, to dowiesz się wszystkiego.

Lea zawahała się; wiedziała, że nie powinna jej słuchać, ale zżerała ją ciekawość. Wysupłała z torebki kilka drobniaków.

— Mało — stwierdziła kobieta, nawet nie patrząc na monety.

— Nie mam więcej.

— Nie masz? — prychnęła. — Aptekarzowa i nie ma pieniędzy? To postaraj się, za pięć rubli powiem ci, co się stało z pierwszą panią Klonowską. Przynies w Popielec. Dasz pięć rubli i flaszkę eteru, przez ciebie nic nie mam.

— Jeszcze czego! Nic nie dostaniesz — oburzyła się Lea.

— To niczego się nie dowiesz — odparła kobieta z chytrym uśmiechem. — A za pięć rubelków wszystko ci powiem.

— Za dużo chcesz za swoje bajki!

— Zastanów się, czy taka wiadomość nie jest tego warta. Pięć rubelków to dla ciebie niewiele, najwyżej weźmiesz z kasy, nikt się nie połapie — popatrzyła na nią wyzywająco. — Przyjdź o szóstej, ale nie tu, do karmelitów. I pamiętaj o eterze — rzuciła jeszcze i odeszła, znikając za zasłoną deszczu.

Lea obejrzała się niespokojnie i upewniła, czy nikt nie widział, że rozmawiała z tą złodziejką. Kim ona jest — zastanawiała się. Zaważyła, że kobieta miała na sobie płaszcz i suknię mocno już zniszczone, ale to nie były łachmany, w które przyodziewają się żebracy, żeby wyglądać jeszcze bardziej nędznie i wzbudzać litość. Nie, ta kobieta próbowała zachować pozory, że jest kimś lepszym, wystawiała się też inaczej niż prostytutki. Twarz miała wychudzoną, oczy rozbiegane, jakby palone gorączką, ale nie wyglądała na wariatkę. Kto to jest i dlaczego Józef pozwolił jej odejść? Może ją znał? Może ona rzeczywiście coś wie o jego pierwszej żonie, Sabinie?

Zamyślona wróciła do mieszkania. Weszła do kuchni i rozpakowała zakupy. Trzy tace pączków czekały na stole, wyjęła z szafki duży talerz z szafirowego szkła i ułożyła na nich ciastka, ugotowała kompotu, ale cały czas zastanawiała się nad propozycją kobiety. Nie mogła o niej zapomnieć. Gdy wieczorem przyszli pracownicy Józefa, spoglądali na nią niepewnie, widząc, że straciła humor. Pomyślała, że musi wziąć się w garść, żeby nie zepsuć zabawy. Powinna mimo wszystko być wesoła i zajmować się gośćmi jak dobra pani domu.

Józef bacznie się jej przyglądał.

— Stało się coś? Zmęczona jakaś jesteś — dopytywał się.

Pokręciła głową.

— Nie. Napiję się wina i zaraz będzie lepiej — odpowiedziała z przygaszonym uśmiechem.

Wino pomogło i pączki też; wszyscy się ożywili, rozmawiali z coraz większą swobodą, a Lea dbała, żeby na stole niczego nie zabrakło. Każdego o coś zagadnęła, o nowy przebój z wodewilu, który już podchwycili uliczni śpiewacy, o pieczone kasztany, których jeszcze nie próbowała, o to, o tamto, byle było przyjemnie, lekko i słodko. Byle zapomnieć o słowach, które rozpały jej ciekawość i wiodły na manowce. Jakże Józef może mieć tajemnice, on, taki prostolinijny i wiecznie zapracowany, ciągle tkwiący w aptece? Zerknęła na niego. Naprawdę wyglądał poczciwie i patrzył na nią z zadowoleniem, a nawet z dumą na twarzy, która wydawała się szczerą aż po końce jego jasnorudych wąsów i brody. Spojrzenie jego szarych oczu mówiło jej, że może mu bezgranicznie ufać.

Niespodziewanie pan Emil wrócił do incydentu ze złodziejką. Przyznał, że nie powinien wtedy wychodzić i zostawiać jej samej w izbie ekspedycyjnej. Nie podejrzewał, że kobieta ma złe zamiary; poprosiła go o tanie świece, więc poszedł do piwnicy, gdzie odkłada się lekko uszkodzone sztuki.

— To był dosłownie moment — tłumaczył się zatroskany.

— No właśnie — mruknął Józef. — Pan, panie Emilu, ma miękkie serce, a okazja czyni złodzieja, wiadomo. Ja nie mogę się rozdzielić, ale już zapowiedziałem — podniósł nieco głos — trzeba bardziej uważać i pilnować ludzi, którzy przychodzą do apteki. Teraz mamy takie czasy, że nikomu nie można ufać, zwłaszcza takim nieciekawym osobom jak ta kobieta.

— Kto to w ogóle jest? — zainteresowała się Lea.

Józef próbował się uśmiechnąć, ale tylko się skrzywił.

— Lea, to nie jest małe miasteczko, gdzie każdy zna każdego. Już nie zawracaj sobie nią głowy, w końcu nic się nie stało, nic nie zginęło, a policja też nic na to nie zaradzi. Mało to takich nieszczęśników kręci się po okolicy? I co z nimi zrobisz? Wszystkich nie da się zamknąć się w areszcie.

— Nieszczęśników? — zdziwiła się, że on, zwykle surowy i krytyczny, patrzy na ten incydent przez palce. — To zwykła złodziejka. Chciała cię okraść, a ty jej żałujesz? Znasz ją?

Pokręcił z niezadowoleniem głową i poluzował kołnierzyk koszuli, jakby go uwierał.

— Oj Lea, ty znowu swoje! Różni tu się kręcą. Dlaczego tak cię to niepokoi?

Zawahała się, potarła palcami koniuszek ucha i zerknęła niepewnie na Józefa. Nie wiedziała, czy mu powiedzieć, że znów ją spotkała.

— Wydaje mi się, że widziałam ją na Rynku — przyznała, nie wdając się w szczegóły.

Józef pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Pewnie ci się wydawało.

— Teraz sobie przypominam — wtrącił pan Emil, odstawiając kieliszek na stół obok tacy z pączkami. — Ona przychodziła kiedyś do apteki, to było kilka lat temu, dopiero zaczynałem pracować. Pamiętam, że chciała kiedyś kupić eter bez zlecenia lekarskiego — zamyślił się, próbując odgrzebać w pamięci starą historię. — Wydaje mi się, że pracowała u modystki, pamiętam, bo raz poszedłem tam odebrać kapelusz...

— Możliwe — przerwał Józef, posyłając mu dyscyplinujące spojrzenie. — Zapewne pijaczka. Nic na to nie poradzimy, tacy ludzie sami sprowadzają na siebie nieszczęście — dodał poważnym tonem nauczyciela i popatrzył na swoich uczniów, którzy w najlepsze objadali się pączkami.

Pan Emil niczego już nie dodał, nie wrywał się z żadnymi rewelacjami, a jego spojrzenie stało się nieobecne. Lea wychwyciła jednak moment wahania, gdy już miał powiedzieć coś więcej o kapeluszu, ale Józef go powstrzymał, szybko zmienił temat i wyciągnął z kredensu jeszcze jedną butelkę malagi.

— W końcu to ostatki, nie można cały czas zajmować się poważnymi sprawami — powiedział, stawiając butelkę na stole.

Lea podejrzewała jednak, że Józef nie powiedział wszystkiego, że wie coś więcej o tej kobiecie i z jakiegoś powodu woli zachować to dla siebie. Jaki mógłby mieć powód? Może to dotyczy jego pierwszej żony, Sabiny, o której nie chce mówić, bo chyba nic go nie łączyło z dziewczyną od modystki? Domysły i wątpliwości piętrzyły się w jej głowie jak sterty starych gazet, które zalegały w składziku. W nocy zasypały jej sny szmerem niedopowiedzianych słów, niedokończonych spojrzeń i gasnących szeptów. Przebudziła się nad ranem, słuchając szmerów starego domu i orzechowych mebli. Obok Józef spał niespokojnie; wsłuchiwała się w jego oddech, jakby się spodziewała, że przez sen wyszepta jakieś słowa, imiona, które uchylą rąbka tajemnicy. Słów jednak nie było, tylko ciche westchnienia. Wróciła do swoich rozmyślań, do tego, co ją niepokoiło i urastało w jej wyobraźni do skrywanej przed nią tragedii, niejasnych okoliczności śmierci pierwszej żony Józefa. Co ta złodziejka może o tym wiedzieć? Powtórz mi same plotki i za to mam jej płacić? Pięć rubli i jeszcze eter! Nie, tego nie zrobię! Nie będę płaciła za jakąś zmyśloną opowieść. Ale z drugiej strony...

Przez kilka dni biła się z myślami, co zrobić; raz się wydawało, że najlepiej pójść, dać parę rubli i wreszcie dowiedzieć się, o co chodzi; potem znowu uznawała to za śmieszne i wręcz nie na miejscu. Miałaby słuchać wymysłów pijaczki i jeszcze za to płacić? Nie, to nie jest dobre wyjście.

Kiedy zbliżał się wyznaczony termin, zdecydowała się jednak pójść. Nikt mnie tam nie zobaczy, a jeśli nawet, to zawsze mogę powiedzieć, że spotkałam ją przypadkowo, że mnie zaczepiła, bo właściwie tak było. Ale eteru ode mnie nie dostanie. Jeszcze czego! Pięć rubli to i tak za dużo, dam dwa i koniec.

Szykowała się do wyjścia, gdy na górę przyszedł Józef i zapytał, dokąd się wybiera.

— Do kościoła, przecież dziś Popielec — odpowiedziała z niewinną miną, nakładając kapelusz.

Józef skubnął swoją brodę i z zakłopotaniem przypomniał sobie, że wypada pokazać się

w kościele.

— Pójdę z tobą — zaproponował niespodziewanie.

Zastygła w bezruchu. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Zaskoczył ją.

— Jak chcesz — powiedziała po dobrej chwili, udając, że jest jej to obojętne. — Ale musimy już wyjść, późno się zrobiło.

Józef włożył ciężkie zimowe palto, wziął futrzaną czapkę i rękawiczki. Czekala na niego coraz bardziej niezadowolona; nie miała pomysłu, jak się go pozbyć. Wyszli razem, wziął ją pod rękę i ruszyli w stronę katedry. Trudno, widocznie tak miało być, może to i lepiej, uznała zrezygnowana.

W kościele nie było dużo ludzi, panował w nim ziąb, który przenikał aż do szpiku kości. Lea czuła, jak zamienia się w sopel lodu, i z trudem powstrzymywała się, żeby nie przytupywać dla rozgrzewki. Nie potrafiła się skupić na nabożeństwie, ksiądz mówił niewyraźnie przez zatkany nos, a łacińskie słowa modlitw przelatywały przez nią jak suchy piasek, którego nie sposób utrzymać w dłoni. Szukała wzrokiem czegoś, co pozwoliłoby zapomnieć o zimnie. Zerknęła na Józefa, który zdawał się drzemać z otwartymi oczami. Uprzytomniła sobie, że mija pół roku od ich ślubu. Pół roku mieszka z nim pod jednym dachem i nadal niewiele o nim wie, nadal nie czuje się jak u siebie i trudno było jej uwierzyć, że to się szybko zmieni. Wzdrygnęła się, a Józef spojrzał na nią pytająco.

— Zimno — szepnęła, a obłoczek wydobywającej się z ust pary na moment rozdzielił jej świat na dwoje, na ten z Józefem, w którym oboje starają się zachowywać reguły gry, i ten, gdy każde z nich działa na własną rękę. Zresztą może tych światów było więcej, może były i takie, o których nie miała zielonego pojęcia i do których lepiej było nie zaglądać.

Właściwie to nawet jej ulżyło, że nie poszła do karmelitów. Pomyślała, że Opatrzność ustrzegła ją przed nierozsądnym krokiem. Teraz mogła zapomnieć, tak, teraz powinna dać temu spokój. To już nieważne, powtarzała sobie, ale wiedziała, że dopóki nie dowie się, o co chodzi, jej wyobraźnia nie spocznie.

Dni mijały, jeden podobny do drugiego, szare i pełne wilgoci jak ciężkie chmury przeganiane przez wiatr. Od czasu do czasu sypał śnieg, częściej śnieg z deszczem, zmieniając ulice w strumienie brudnej mazi. Nic się nie działo. Lea nie widziała już więcej kobiety w ciemnym płaszczu i nie chciała jej spotkać. Ale ilekroć wychodziła z domu, za każdym razem zerkala, czy gdzieś jej nie dostrzeże. Jednak nie, nikt na nią nie czekał. Ludzie przemykali między kałużami i mżawką. Tylko przy Zakroczymskiej biedacy tłoczyli się w kolejce po chleb i darmową zupę, po czym znikali w kruchtach kościołów, by tam przeczekać najgorszą slotę. Gdy ktoś przechodził, wyciągali brudne ręce, podobne do oskubanych ptasich głów, prosząc o wsparcie.

Zobaczyła ją dopiero po kilku tygodniach. Zrobiło się ciepło, więc chciała przewietrzyć mieszkanie. Uchyliła okno i przyglądała się ludziom spieszącym dokądś ulicą, i wtedy zobaczyła tę beczelną kobietę. Nie miała wątpliwości, że to ona, ten sam obszerny płaszcz, te same gesty. W pierwszym odruchu chciała zbiec na dół i powiedzieć Józefowi, że znów się tu kręci, żeby uważali. Rozmyśliła się jednak, nie ma co zawracać mu głowy. Ona ma sprawę do mnie i sama sobie z nią poradzę; dowiem się, o co chodzi, ale nie będę jej szukać; znajdzie mnie, jeśli będzie chciała.

W południe wyjrzało słońce, Rynek Starego Miasta zaroił się od straganów i wozów z jarzynami, kaszą, z beczkami kiszonej kapusty, ogórków i solonych śledzi; w przejściu ustawiły się przekupki z koszami pełnymi jaj, serów i pomarszczonych jabłek. W powietrzu unosił się gwar targowiska — pokrzykiwania ludzi mieszały się z odgłosami koni, które parskały i chrupały owies, zanurzając głowy w workach zawieszonych u szyi, a czasem uderzały kopytem o bruk. Skrzypiały wozy, tupwały buty, szurały przesuwane beczki i skrzynie. Przy studni wróble i szare gołębie wydziobywały z bruku rozsypane ziarna i okruszki. Pachniało kapustą, końmi, przepoconymi kozuchami, tytoniem, skórkami po mandarynkach i wódką. Lea weszła między stragany; nie spieszyła się i rozglądała, czy gdzieś ją zobaczy. Zwlekala, wybierając cebulę, próbowała twarogu, rzuciła okiem na orzechy. Przeczukiwała, że tamta kobieta czeka na sposobność, żeby się z nią spotkać, nigdzie jednak jej nie było. Zrobiła zakupy,

chwile pokręciła się wśród straganów, niby szukając pestek dyni, i ruszyła do domu. Kiedy skręcała w Zapiecek, jakiś wyrostek podbiegł do niej i podał złożoną we czworo kartkę.

— To dla pani — powiedział.

Zaskoczona dała mu kilka kopiejek, ale nie zdążyła o nic zapytać. Chłopak wmieszał się w tłum i zniknął. Wsunęła kartkę do kieszeni i po powrocie do domu, gdy zaszyła się w kuchni, odczytała: *Jutro kwadrans przed dwunastą u karmelitów. Teraz to będzie dziesięć rubli.* Pismo było nieporządne, rozchwiane i koślawe, podpisu nie było. Zmięła kartkę i wrzuciła ją w ogień pod kuchnią. *Dziesięć rubli! Niedoczekanie twoje!* — oburzyła się. Wiedziała jednak, że pójdzie i jeśli kobieta powie coś naprawdę ważnego, to jej zapłaci, ale nie dziesięć rubli, to gruba przesada, tyle dostaje uczeń za tydzień pracy w aptece. Mogła dać jej najwyżej pięć, a to i tak za dużo. A jak się nie dogadamy, powiem o wszystkim Józefowi, niech i on się martwi, co z nią zrobić.

Wieczorem znów była niezdecydowana; zastanawiała się, co tamta kobieta może jej powiedzieć. To ją niepokoiło. W nocy śniły jej się koszmary, przypomniawszy jej Adaś, najpierw jako dziecko, miły i ładny, ale ze szklanym wejrzeniem martwej ryby; potem już duży, silny, napastliwy, śmierdzący mułem rzeczny; podbiegł do niej i podał jej kartkę, na której nabazgrano jakieś słowa. Nie mogła ich odczytać, ale wiedziała, że chcą od niej sto rubli. Sto rubli, a Adaś zniknie z jej snów i wspomnień na zawsze. Nie będzie już jej przeszkadzał i dręczył, a wtedy Lea odzyska spokój i będzie miała własne dzieci. Obudziła się wystraszona, usiadła na łóżku i ciężko oddychała.

— Co się stało? — zapytał zaspany Józef.

— Nie, nic, przysniło mi się coś — wyszeptała zapatrzona w ciemność.

Wstała i poszła do kuchni napić się wody, potem przeszła do dużego pokoju i wyjrzała przez okno. Ulica zdawała się pusta, tonęła w mroku rozświetlonym drżącym światłem gazowej latarni. Sen mara, Bóg wiara, pomyślała. Mrok się jednak nie rozproszył, zły sen nadal tkwił w jej głowie, towarzyszył jej jak cień rzucany przez niesioną w rękę lampę. Wróciła do łóżka. Józef spał twardo snem sprawiedliwych. Widocznie jego sekrety nie są tak mroczne jak moje, pomyślała.

Od rana wszystko leciało jej z rąk, omal nie stłukła talerzyka z niebieskim szlaczkiem, na którym zazwyczaj przygotowywała swoje śniadanie. Próbowwała sobie wytłumaczyć, że nie powinna się przejmować i okazywać emocji, bo to przyciąga różnego rodzaju krwiopicców i oszustów. Nieraz przecież słyszała, że są takie indywidua o podejrzanym kondycji, u których można odnaleźć pozostałości zwierzęcej natury. Rodzą się z dodatkowym wilczym palcem u stopy, zdziczałym zawiązkiem trzeciej ręki albo z ogonem, instynkty i zmysły są u nich nadzwyczaj wyczułone, mają słuch absolutny, sokoli wzrok i wilczy apetyt albo krańcowo wyczułony czy też wytrenowany zmysł powonienia; czują zapach strachu, lepkiego potu, drżenie serca i dłoni, a nawet niespokojny szum myśli, i jest to dla nich znak do działania. Do takich kreatur należała z pewnością złodziejka z apteki, która wiedziała coś ponoć bardzo ważnego o pierwszej żonie Józefa, coś, co miało kosztować aż dziesięć rubli.

Jak mogę być taka naiwna, aby wierzyć we wszystkie plotki i bzdury dotyczące Józefa, powtarzała sobie Lea, co chwila zaglądając do dużego pokoju, żeby sprawdzić, która godzina. Akurat tego dnia czas płynął powoli, wstrzymał oddech, zwolnił, jakby dawał jej jeszcze chwilę do zastanowienia. Ale ona już się nie zastanawiała, musiała poznać prawdę nawet za tak wygórowaną cenę.

Na spotkanie wyszła wcześniej, do woreczka włożyła pieniądze (z tych, które odłożyła na czarną godzinę) i poszła, zdecydowana, że zapłaci dopiero wtedy, gdy się przekona, czy ta wiadomość jest tyle warta.

Zegar na wieży zamkowej pokazywał wpół do dwunastej, kiedy Lea wyszła z Pivnej i przecinając na ukos plac Zamkowy, ominęła wozy handlujących węglem i drzewem, potem studnię, przy której tłoczyli się ludzie w wiadrach, i zmierzała w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Przyspieszyła kroku; wprawdzie do karmelitów było niedaleko, ale nie chciała się spóźnić. A droga jakby się rozciągała. Minęła magazyn książek, cukiernię, skład materiałów i wełny, wydawało się jej, że idzie już dosyć długo, a kościoła nie widać. Pomyślała, że się zagapiła i minęła go. Nie, niemożliwe,

uspokajała się. Kiedy zobaczyła charakterystyczny budynek Dziekanki i wyłaniającą się za nim fasadę kościoła, trochę jej ulżyło; teraz myślała już tylko o czekającej ją rozmowie. Przed wejściem zawahała się na moment, a potem weszła do malutkiej kruchty i dalej do ciemnego wnętrza.

Kościół był prawie pusty; rozglądała się, szukając wzrokiem kobiety. Zobaczyła ją koło ołtarza Matki Boskiej Dobrej Śmierci. Podeszła, powtarzając sobie w myślach, że musi być stanowcza i opanowana.

— Masz? — szepnęła tamta.

Wyglądała tak jak wtedy, gdy pierwszy raz zaczęła Leę. Może tylko oczy miała ciemniejsze i mocniej podkrążone, jakby zapadały się w głąb twarzy.

— Daj!

— Najpierw powiedz, potem zapłacę.

— Daj, bo niczego nie powiem! — wyciągnęła rękę.

— Jak mówię, że zapłacę, to zapłacę — Lea usiadła w ławce i wyjęła pieniądze, żeby jej pokazać, że ma, i zaraz schowała z powrotem do haftowanego woreczka. — No mów, chyba że nie masz nic do powiedzenia. Za dziesięć rubli to musi być długa historia — dodała, a jej głos rozniósł się po kościele jak szelest zeschniętych liści.

Kobieta usiadła w ławce za nią, nachyliła się i zaczęła szeptać jej do ucha. Lea poczuła nieświeży oddech; wzdrygnęła się, ale słuchała.

Matka Boska Dobrej Śmierci przyglądała im się podejrzliwie.

— Wie pani, co się stało z pani poprzedniczką? — zaczęła tamta.

— Umarła.

— Tak pani powiedział? — zaśmiała się niemilo. — Chciał, żeby tak było, ale to nieprawda. Nie umarła i wcale nie chciała się utopić. Chciała uciec, potem to zatuszowano, że niby przez wypadek wpadła do rzeki, że się poślizgnęła na pomoście. Ale to nieprawda, chciała uciec, ale jej się nie udało. Zniknęła.

— Skąd wiesz?

— Wiem i już.

— Ale skąd? Byłaś tam, widziałaś?

— Znałam ją, wiedziałam, co się święci. Mieszkałam niedaleko, miałam posadę u modystki na Miodowej, a ona tam przychodziła. Lubiła ładne rzeczy, umiała się ubrać, ładna była, ale ja widziałam, co się z nią dzieje, mówiła mi o różnych sprawach. A potem, jak zginęła, to przyszedł taki jeden i wypytywał, czy czego nie wiem. Nic nie powiedziałam, ale już wcześniej wiedziałam, że to tak się skończy. Mówiłam nawet do takiej Hanki, co razem pracowałyśmy, że pani aptekarzowa długo tak nie wytrzyma. Przez niego tak skończyła. Dlatego chciałam panią ostrzec, żeby pani wiedziała, bo jak się za panią weźmie, to nie odpuści. Najpierw nie będzie pani mogła bez niego żyć, a potem on pani nie da żyć, tak dopieczę, że będzie się pani bała własnego cienia, tak jak ona — zaśmiała się gorzko. — Wiem, co mówię, on ją wyrzucił, znudziła mu się, dlatego chciała uciec, ale wcale nie próbowała się utopić, to wiem z pewnością. Ona zniknęła...

— Kłamiesz! — syknęła wzburzona Lea i poderwała się z ławki.

— Moje pieniądze!

Lea wyjęła z woreczka i rzuciła jej pięć rubli.

— To i tak za dużo za te kłamstwa!

W spojrzeniu kobiety była gorączka i złość.

— Głupia jesteś! Jeszcze sobie przypomnisz moje słowa. Zobacysz, skończysz jak ona! Zapytaj, gdzie jest pochowana. Zapytaj go! — powiedziała i wyrwała Lei woreczek z pieniędzmi.

Lea nie zważała na to, nie mogła więcej jej słuchać, wybiegła z kościoła, przepychając się między ludźmi, którzy schodzili się na nabożeństwo. Patrzyli na nią zgorszeni. To kłamstwo. Kłamstwo! Po co tu przyszedłam i słuchałam łgarstw, i jeszcze dałam jej pieniądze? Głupia jestem, głupsza od niej! Co za diabeł mnie podkusił, żeby tu przyjść? Wszystko przez to, że nie mogę mu ufać, że on coś ukrywa. Miała ochotę się rozplakać, ale te łzy byłyby nieprawdziwe, nie takie, które wylewa się z żalu, lecz ze złości

na siebie samą, że była gotowa wysłuchiwać najgorszych plotek o Józefie. Zagryzła wargi. Powinna teraz powiedzieć mu o wszystkim, przyznać się, że rozmawiała ze złodziejką, oszustką, która go oczernia. Ale nie może tak postąpić, nie może go rozczarować. Co by wtedy o niej pomyślał. Tyle razy prosił, żeby nie pytała o przeszłość, a ona co? Zawiodła go. Dlatego nie mogła mu nic powiedzieć. Musi być rozsądna. Nie jest mądra ani ładna, więc musi być chociaż rozsądna, tak jak uczyła ją ciotka. Rozsądna i wyrozumiała dla męża. I życzliwa, dobra. Tylko że jej to nie wychodzi, nie umie trzymać w ryzach swoich myśli i uczuć. Nie potrafi.

Lodowaty podmuch wiatru uderzył ją prosto w twarz, aż zaparło jej dech w piersiach. Nie zwracała uwagi na zimno; szła szybko, przytrzymując pod szyją poły kołnierza. Zatrzymała się dopiero przy kaplicy Dobroczynności, kiedy z granatowej chmury sypanął grad. Był jak zamrożone łyżki, które piekły ją pod powiekami i nie chciały wypłynąć, pełne złości i rozczarowania. Kiedy doszła do apteki, próbowała przemknąć na górę, nie zwracając na siebie uwagi. Drzwi biura były jednak otwarte i Józef zatrzymał ją, kiedy przechodziła obok.

— Jak ty wyglądasz? Cała przemokłaś. — Patrzył na nią zaniepokojony. — Coś się stało?

— Nic — jej głos był cichy i niepewny.

Odgarnął jej z twarzy kosmyk mokrych włosów, spojrzał w oczy.

— Jak nic? Widzę, że się czymś martwisz. Coś ci dolega? — zapytał z troską, która nadawała jego twarzy prawie szlachetny rys.

— Nic mi się dziś nie udaje — odparła. — Nic mi nie wychodzi — dodała smutno, zastanawiając się, co powiedzieć, jeśli zainteresuje się, gdzie była. Nie przychodziło jej do głowy wiarygodne wytłumaczenie, a powinna kłamać jak z nut, jak jej ojciec, lekko i bez mrugnięcia okiem. Ale tego też nie potrafiła.

— A gdzie ty w ogóle byłaś?

Utkwiła wzrok w szafie z truciznami.

— Poszłam pomodlić się za zmarłych — skłamała. — Śnili mi się dziś w nocy. — A to już była prawda.

— I tym się tak martwisz? — popatrzył na nią zdziwiony, a potem przytulił do siebie. — Ach ty moja myszko, wszystkim tak się przejmujesz. I po co ci to? Jeszcze cię głowa rozboli.

Oparła czoło na jego piersi i uspokoiła się, wdychając ziołowy apteczny zapach, którym przesiąkła jego marynarka i on sam. Ten zapach był całkiem swojski, znała go z dawnych lat, gdy suszyła z babką zioła na strychu. Wtedy wydawało jej się, że jest bezpieczna, że wszystko jest tak jak trzeba. Ale wtedy nie słuchała plotek i nikt nie szeptał jej do ucha kłamliwych słów, które teraz zajmowały jej myśli. Najpierw nie będziesz mogła żyć bez niego, a potem z nim, brzęczało jej w głowie. Wyrzucił ją... To nieprawda, to nie może być prawda. Westchnęła i odsunęła się od męża.

— Już dobrze, wracaj do pracy. Nic mi nie jest — powiedziała.

Popatrzył na nią łagodnie.

— To idę. — Przy drzwiach odwrócił się i dodał: — Może mi kiedyś powiesz, za kogo tak się modlisz.

— Może — odpowiedziała niepewnie.

Wcale nie się modliła za Adasia, jemu i tak nic nie pomoże, myślała. Był przeznaczony na zatracenie i tak skończył. Zresztą kto wie, co by zrobił, gdyby żył dłużej. Pewnie nic dobrego.

Adaś był kilka lat młodszy od Lei, ale to i tak nie miało żadnego znaczenia, bo był inny. Całe dnie biegał po ogrodzie i do nauki ani do żadnego zajęcia zapędzić się nie dawał. Póki był mały, Lea bawiła się z nim. Chodzili razem na grzyby albo na jagody, ale chłopak nawet do tego nie miał cierpliwości. Łatwo wpadał w złość, rzucał koszyk na ziemię, gryzł i kopał swoją opiekunkę, gdy próbowała go uspokoić. Innym razem zamyślał się, był zupełnie nieobecny, jakby żył w innym świecie.

Widać było, że coś z nim jest nie tak, ale ciotka, zawsze tak trzeźwo patrząca na świat, zdawała się tego nie dostrzegać. Jej najmłodszy i ukochany syn, jej słodki pulpecik z kasztanowymi lokami nie

mógł być słabym na umyśle niedojdą, za jakiego go uważano.

— Do terminu go posłać, niechby się chociaż jakiegoś zawodu wyuczył — mówił wuj Kacper, ale ciotka słyszeć nawet o tym nie chciała.

Ale prawdziwy krzyż pański z Adasiem nastąpił wtedy, gdy chłopak zaczął dorastać. Nic innego nie miał w głowie, jak tylko uganiać się za dziewczynami i dokazywać z nimi. A to uszczyptał którąś w pośladki, a to złapał za piersi albo zadarł spódnice, i to nie zważając na obecność innych, a śmiało się przy tym i ślinił jak pies do kości. Kiedyś Urszulcia tak się na niego zeźliła, że przepędziła go z kuchni na cztery wiatry.

— Nie będzie mi tu Adaś bezceństw wyprawiał — powiedziała i chlasnęła go ścierką przez głowę. — Wynocha mi stąd, ale już!

— Co tu się dzieje! — Ciotka Anastazja wpadła do kuchni.

— A bo paninego Adasia nijak upilnować nie można, tak go w spodniach pali, że go aż roznosi, byle spódnice zobaczy!

— Co też Urszulcia wygaduje! — oburzyła się ciotka.

— Mówię, co jest, a jak jeszcze na oczy pani nie przejrzała, to przejrzy, kiedy jaka dziewczucha tu z brzuchem przyjdzie.

Ciotka musiała wziąć sobie do serca te słowa, bo pojechała z Adasiem do miasta do doktora, żeby coś zarządził na te jego ciągoty, i potem przez jakiś czas z Adasiem był spokój. Ojciec brał go ze sobą i dawał robotę we młynie, zazwyczaj ciężką, żeby chłopak się zmęczył i o innych sprawach nie myślał. Chłopak, choć miał dopiero trzynaście lat, był silny i duży, a kiedy miał zły humor, rzucał wszystko na ziemię i wpadał w gniew. Raz omal nie pobił własnego ojca. Dostał wtedy porządne cięgi i przesiedział noc zamknięty w loszku.

— Skaranie boskie z tym chłopakiem — rozsierdzony wuj Kacper nie umiał pohamować gniewu. — Jeszcze raz rękę na mnie podniesie, to wyrzucę szczeniaka z domu, do zakładu oddam.

Ciotka nic nie odrzekła; wiedziała, że mąż ma rację, ale ciężko jej było na duszy.

Kiedy przyszło lato, Adasiowi zbrzydła robota we młynie. Wolał się włóczyć albo chodzić nad rzekę i podglądać dziewczyny, ale i stamtąd go przepędzano. Wtedy wziął się na Leę. Nie mogła się od niego opędzić, pilnowała się, żeby nigdy nie być sama, ale któreś soboty, gdy zbierała porzeczki w ogrodzie, Adaś wyskoczył za krzaków i przewrócił ją na ziemię. Broniła się jak mogła, on był jednak silniejszy. Na szczęście odgłosy szamotaniny usłyszeli starsi bracia, którzy spędzali wakacje w domu, i odciągnęli go od Lei.

— Nic ci nie zrobił? — dopytywał się Jerzy, starszy z braci, a widząc, że dziewczyna jest cała posiniaczona i dygocze ze strachu, zaprowadził ją do domu.

— Jezus Maria! — zawoła ciotka na jej widok.

— To Adaś — powiedział Jerzy grobowym głosem.

— Nic mi nie zrobił — zapewniała Lea, dzwoniąc ze strachu zębami. — To tylko zadrapania.

Zadrapania i sińce wkrótce się zagoiły, ale wewnątrz, w duszy Lea czuła jakąś rysę, zwątpienie. Nie mogła pojąć, dlaczego Adaś, którym niedawno się opiekowała, któremu nieraz ocierała łzy i starała się koić żale, teraz rzucił się na nią jak wściekłe zwierzę. To ją bolało bardziej niż wszystkie siniaki i otarcia. Znienawidziła go i to też ją przerażało, do swojej wieczornej modlitwy dorzuciła więc prośbę o surową karę dla kuzyna.

Jeszcze bardziej się przerażyła, kiedy kilka tygodni później, pod koniec lata, Adaś utopił się w rzece. Nikt nie wiedział, jak to się stało; wyszedł rano i znikł, cały dzień go nie było, a nazajutrz znaleziono go w przybrzeżnych szuwarach, jakby zaplątał się w zielone trawy i nie mógł wypłynąć. Kiedy ludzie ze wsi przynieśli go do domu, Lea po raz pierwszy zobaczyła, jak ciotka Anastazja płacze. Łzy płynęły jej po policzkach i skapywały na suknię jak krople z topniejącego śniegu, spokojnie i równomiernie. Ciotka płakała, a Lea sama czuła się okropnie, jakby odnalazła w swojej duszy zawiązek złego, bo chociaż współczuła ciotce i wujowi, Adasia nie żałowała wcale.

Położono go na stole w pokoju; patrzyła na niego, stojąc w progu. Bała się podejść bliżej, bo wyglądał strasznie. Wydawał się większy niż za życia, a oczy miał otwarte, jakby załzawione. Nie mogła

rozpoznać w nim małego chłopca, z którym kiedyś bawiła się w ogrodzie. I tak pozostał w jej pamięci, a im bardziej starała się o nim zapomnieć, tym częściej powracał w jej snach, wypływał na powierzchnię najczarniejszych nocy jak śnięta ryba.

O słowach, które usłyszała u karmelitów, też nie mogła zapomnieć. Ciągłe do niej powracały i wiodły na manowce, jak złe, co czyha na zbłąkanych i ciągnie w krzaki. Były jak plama, której w żaden sposób nie można wywabić z białego obrusu. Wiedziała, że to same kłamstwa, wierutne bzdury, ale nie mogła się ich pozbyć, tłukły się w jej głowie jak grzechotka. To nieprawda, Józef nie jest niczemu winny, Sabina umarła, zwyczajnie umarła. I po co mi to było, po co słuchałam tej pijaczki? Szkoda było na to pieniędzy, ale straciłam je na własne życzenie, z własnej nieprzymuszonej woli, i mam nauczkę. Wypominała sobie głupotę i naiwność. Jak mogłam zrobić coś takiego? — pytała samą siebie i nie znajdowała na to właściwej odpowiedzi. Lepiej wyrzucić z głowy wszystkie fałszywe słowa i podejrzenia, usunąć wraz z pajęczyną zza zegara, sadzą z pieca i nieczystościami ciała i duszy, tak jak robiła to ciotka.

Na Wielkanoc dom musi być wymyty, wybielony jak dusza z grzechów, czysty jak panna młoda przed ślubem; z każdego kąta trzeba powymiać śmieci, resztki zimy, zgnilizny i starych spraw, mówiła ciotka. Lea uważała, że tak być musi, zakasała więc rękawy, do dużej miski naląła ciepłą wodę, dodała trochę octu i zabrała się za mycie okien w małym pokoju — jakby przy okazji porządków mogła oczyścić się ze zwątpienia, podejrzeń i natrętnych myśli, które zasiała tamta kobieta. Kiedy skończyła jedno okno, zgrabnie zeskoczyła z parapetu na podłogę i odeszła parę kroków, przyglądając się szybom, czy nie zostały na nich smugi. Cofnęła się od okna, a wtedy za jej plecami otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Józef.

— Lea, na litość boską, zostaw to! Dlaczego robisz to sama? Co ci przyszło do głowy? Zawsze robi to Jaszowa! — krzyczał zirytowany.

— Myślisz, że ja nie umiem?

Pokręcił niezadowolony głową.

— Ależ Lea, nie o to chodzi, ale trzeba myśleć o innych. Dać im zarobić trochę grosza na święta, dla nich to ważne.

— Nie chcę, żeby mi tu Jaszowa myszkowała po kątach. Gorszej plotkary w całym domu nie ma.

— Teraz na pewno będzie rozpowiadała, jaki to ze mnie sknera, że kazałem ci samej sprzątać, żeby zaoszczędzić na jej robocie.

— Mogłeś mi powiedzieć wcześniej — zauważyła.

A tak w ogóle, czy jest się o co złościć? O mycie okien i Jaszową? — pomyślała.

— To co mam teraz zrobić?

— Idź i powiedz, że masz dla niej robotę. Albo sam pójdę — zdecydował i szybko wyszedł.

Jaszowa przyszła po godzinie, umyła okna w dużym pokoju i wzięła się do szorowania podłogi. Narzekała przy tym, że życie ciężkie, nafta droga, a do tego lokatora z poddasza, tego muzyka, ciągle przychodzą kobiety.

— Dawniej to było nie do pomyślenia. Bo jakże to tak, żeby wszyscy wiedzieli? — Rozwodziła się nad upadkiem przyzwoitości, dobrych obyczajów i ogólnym zdziczeniem. Ubarwiała swoją opowieść, rzucając pod nos cholery, psiekrwie i inne zarazy.

— W moim domu się nie klnie — upomniała ją Lea.

Jaszowa się wzdrygnęła.

— Jezusie Nazaretański, czy ja klnę? Jakby pani Klonowska mojego posłuchała, toby dopiero jej uszy spuchły.

— Imienia Bożego też nadaremno nie trzeba wzywać.

Jaszowa wytrzeszczyła oczy.

— No, jakoś człowiek musi sobie ulżyć, całe dni haruje, że Bożego świata nie widzi... — zaczęła narzekać.

Lea nie słuchała, przeniosła się myślami do Korytnicy. Tam też szykują się do świąt. Agata sprząta, bo Urszulcia to tylko w kuchni. A drzewa w sadzie pewnie już mają pączki, mirabelki niedługo zakwitną... zamyśliła się.

— Tylko pan aptekarz, taki grzeczny, że złego słowa nie powie — gadała Jaszowa. — Nieraz to się dziwię, że on po tym wszystkim taki spokojny. Ale zawsze taki, nikt nigdy nie słyszał, żeby z żoną się kłócił, zawsze wszystko po cichu. Nie jak ten spod siódemki, ten to awantury dzikie urządza... — znowu zmieniła temat, najwyraźniej uznając, że lokator spod siódemki wart był kilku minut uwagi.

Lea nadstawiła ucha; mogła posłuchać, ale nie zamierzała o nic wypytować. Ciekawość zbyt wiele ją już kosztowała. Jak Jaszowa sama coś powie, to inna sprawa, ale nie będę ciągnęła jej za język. Niech sobie nie myśli, że zwracam uwagę na jej gadanie.

Jaszowa była dobrze poinformowana i lubiła informować innych, przeleciała przez wszystkich lokatorów i powróciła do wątku, który ciekawił Leę.

— A bo pani aptekarzowa nieboszczka, ona to prawdziwa pani była, a jakże, i swoje też powiedzieć umiała. I tak tu ładnie wszystko urządziła, i meble zamówiła, żeby były porządne, a pokoje kazała odmalować, wyszykować. No i jak święta były, to też mówiła, żeby wysprzątać. I grosza nigdy nie żałowała. Jaszowa, mówiła mi, pójdiesz, zrobisz to, tamto. No i robiłam, a ona była zadowolona i zawsze grzecznie do mnie. A jakże.

Nic mnie to nie obchodzi, pomyślała Lea.

— Niech Jaszowa tyle nie mówi, za robotę lepiej się weźmie. Drzwi jeszcze trzeba wyszorować i kuchnię — przypominała jej.

Ale Jaszowa niewiele sobie robiła ze słów Lei. Wrzuciła szczotkę do kubła, aż chlupnęła woda, podniosła się z klęczek, wytarła ręce w fartuch i wyprostowała się, kładąc dłoń na krzyżu.

— Matko Przenajświętsza! Jeszcze gadać nie można! Jakby od gadania komu co ubyło. Pani aptekarzowa, nieboszczka, to lubiła wiedzieć, co się wokół dzieje. Ona tak samiuśka tu by nie siedziała, poszłaby do miasta na zakupy albo do pani doktorowej Mroziewiczowej, tyle że ona teraz taka chora, jak i nieboszczka, co to przyszło na nią nieszczęście.

— Jakie nieszczęście? — nie wytrzymała Lea.

— A bo to pani nie wie? Nieszczęście, każdy ma swoje, a na nią jakby kto urok rzucił, tak się zmieniła biedaczka, marniała w oczach. I jakżem poszła zapytać, czy czego nie trzeba, bo ja to znam przecie wszystkich, wiem gdzie i co, a ona była już tak nie bardzo, to jeszcze mnie wysłała, żebym jej suknię przyniosła od krawcowej. Widocznie jeszcze sobie zamyślała, że ją nosić będzie, ale ja już swoje wiedziałam, strach było na nią spojrzeć. Tak było — przerwała na chwilę, wyginając palce, aż jej trzeszczało w stawach. — Co to ja mówiłam? A wtedy, jak ją zobaczyłam, to aż się przeżegnałam, tak zmizerniała. Słodki Jezu, mówię potem do starego, pani aptekarzowa to już cień, widzi mi się, że niedługo w ogóle jej nie będzie. No i wykrakałam. Tak było. A potem to różnie gadali, ale ja już jej nie widziałam — zamilkła nagle.

Lea czekała, aż Jaszowa dokończy, nie chciała jej spłoszyć, ale Jaszowa ucięła wątek.

— Wodę pójde zmienić. O Jezu, jak mnie krzyże bolą — dodała, złapała kubel i wyszła.

Lea odwróciła się i zobaczyła, że Józef stoi w drzwiach i patrzy na nią tak, że zrobiło jej się nieprzyjemnie.

— Coś się stało? — zapytała, starając się, żeby jej głos brzmiał zwyczajnie, bez emocji.

Nie chciała, by pomyślał, że wypytowała Jaszową, ale najwyraźniej Józef właśnie to podejrzewał. Obiad jadł bez apetytu i niemal się nie odzywał, wyraźnie coś go gryzło.

— Idę do Reutowicza, nie będę ci przeszkadzał — powiedział, sięgnął po płaszcz i kapelusz. Wychodząc, dodał tylko: — Pan Emil zamknie aptekę.

Przyglądała mu się, wydawał się zmieniony, obcy. Jakby nic ich nie łączyło, jakby znów oddalili się od siebie.

— Ale nie siedź długo — powiedziała łagodnie, niepewna, czy jej prośba może ustrzec od obcości, która znów wdzierała się między nich.

Czasami myślała, że Reutowicz jest temu winny, że chciałby zagarnąć Józefa dla siebie

na własność, a ją zepchnąć na margines, a najlepiej odizolować tak, jak zamknął swoją chorą żonę w pokoju obstawionym lekarstwami. Nie mogła go rozgryźć. Józefa też nie mogła rozszyfrować, za dużo kłamstw i niedomówień skupiło się wokół niego i jego pierwszej żony. Już nie wiedziała, co jest prawdą i komu wierzyć. Każdy mówił co innego, a Józef w ogóle nie chciał o niej mówić.

Wieczorem czekała na niego z kolacją; była zmęczona, ale chciała zamienić z nim choć kilka słów. W kuchni było ciepło, pachniało podsmażoną cebulką i świeżo wyszorowaną podłogą. Siedziała przy kuchennym stole; wypila kubeczek gorącego barszczu, ale głowa coraz bardziej jej ciążyła, więc w końcu oparła ją o stół i zasnęła.

— Lea — obudził ją głos Józefa. Położył dłoń na jej ramieniu. — Dlaczego jeszcze nie poszłaś się położyć?

Spojrzała na niego zaspana i roztarła dłonią zdrętwiały kark.

— Czekałam na ciebie — powiedziała i wstała, żeby podać mu z piekarnika ciepły barszcz.

— Idź spać. Sam potrafię wziąć sobie coś do zjedzenia. A w ogóle to nie jestem głodny.

Pewnie, że chętnie by się położyła, ale nie po to czekała.

— Tak długo cię nie było. Nic mi nie powiesz? — zapytała.

— Byłem u Reutowicza, potem musiałem jeszcze spotkać się z doktorem Mroziewiczem, miał do mnie sprawę. Idź już spać — odparł zmęczonym głosem.

Powiedział jej dopiero następnego dnia po obiedzie. Przyniósł gazetę i trzymał ją koło siebie, jakby z wahaniem, czy jej pokazać. W końcu podsunął ją i wskazał małą notatkę na ostatniej stronie.

— Ta kobieta, ta, którą przyłapałaś w aptece, nie żyje. Piszą o tym w „Kurierze” — powiedział takim tonem, że trudno było wyczuć, czy ta wiadomość zrobiła na nim jakieś wrażenie.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o kim mówi, a potem zaprzeczyła.

— Niemożliwe. — Przecież niedawno się z nią widziałam, omal nie powiedziała na głos.

— Wczoraj doktor Mroziewicz mi powiedział, nie chciałem ci nic mówić, ty tak się wszystkim przejmujesz, ale i tak byś się dowiedziała.

— Doktor Mroziewicz? Znał ją?

Józef pokręcił przecząco głową.

— Nie. Trafiła do szpitala, kiedy miał dyżur; była nieprzytomna, nie dało się jej odratować.

— To smutne — przyznała, przypominając sobie jej spojrzenie, palące i zimne jednocześnie, i słowa, które szeptała jej do ucha, znów zagrzechotały w jej pamięci jak zebrane w worku kości. — Co się stało?

— Doktor twierdzi, że piła od kilku dni, eter i wódka, pewnie zanieczyszczona alkoholem metylovym. To trucizna. Musiała zdobyć gdzieś pieniądze, inaczej nie miałyby za co pić — wyjaśnił i wrzucił sobie dodatkowy kawałek cukru do filiżanki z herbatą.

Patrzyła na Józefa, próbując zrozumieć sens jego słów; bardzo powoli docierało do niej to, co przed chwilą usłyszała. Więc na to potrzebowała pieniędzy, na wódkę czy eter, żeby zapisać się na śmierć. A ona jej w tym pomogła. Nie, nie musiało tak być, pieniądze mogła mieć skądinąd, natychmiast zaprzeczyła. Wiedziała, że to nieprawda, ale wolała się ludzić, żeby nie czuć się winna.

— Nie martw się — pocieszał ją — przecież nie masz z tym nic wspólnego. To musiało się dla niej źle skończyć, wcześniej czy później. Nic na to nie poradzisz, nie myśl już o tym — uspokajał ją i szybko dodał: — Druga wiadomość jest lepsza, żona doktora czuje się lepiej. Pomyślałem, że może do niej zajdziesz. Może to by jej pomogło otrząsnąć się po stracie dziecka.

— Tak, naturalnie — odpowiedziała, nie słuchając go. Myślni była gdzie indziej: u karmelitów, pod obrazem Matki Boskiej Dobrej Śmierci, jeszcze raz wsłuchiwała się w słowa kobiety, która już nie żyła.

— Zgrzeszyłam, ojcie — zaczęła niepewnie.

— Bóg jest miłosierny — odparł ojciec Barnaba, chcąc dodać jej otuchy i zachęcić do wyznania grzechów.

Lea zbierała się na odwagę, ale nie mogła wypowiedzieć tego, co ugrzęzło jej w gardle.

— Zgrzeszyłam — powtórzyła i znowu zamilkła.

Specjalnie wybrała się na poranną mszę do kościoła świętego Jacka na ulicę Freta. Wołała pójść dalej od domu, po drodze mogła jeszcze raz się zastanowić nad tym nieszczęsnym zdarzeniem, zrobić rachunek sumienia. Ale im bliżej była kościoła, tym przewiny wydawały się jej mniej znaczące, bardziej nieokreślone.

Od rana — a właściwie już w nocy, bo nie spała dobrze — rozmyślała, jak ma o tym powiedzieć spowiednikowi. Czuła, że musi to z siebie wyrzucić, że tylko w ten sposób może pozbyć się poczucia winy. Ale co powiedzieć? Że dała pieniądze pijaczce i to było jak gwóźdź do jej trumny? Przecież wcale tego nie chciała, nie takie były jej intencje, nawet się nie zastanawiała, co kobieta zrobi z pieniędzmi. Prawda była bardziej złożona, nie dało się jej streścić w trzech słowach, ale nie będzie opowiadała spowiednikowi, że nie ufa mężowi i chciała się dowiedzieć, co on przed nią ukrywa. Tego nie powie, to za długa historia. Może wyznać, że go okłamywała, ale on też ją okłamywał, nie mówił wszystkiego i odkładał te swoje tajemnice do szafki z napisem „substancje trujące”. Powie, że była zadufana w sobie, uważała, że wszystko potrafi sama rozwikłać. Tak było, ale ciotka zawsze jej powtarzała, żeby na nikogo nie liczyła, tylko na siebie. Chociaż mówiła też, żeby nie oglądać się za siebie, co było, to było. I miała rację, ale nie zawsze tak się układa.

— Skłamałam — ze skruchą szepnęła w zakratowane okienko, za którym nie widziała nawet zarysu ludzkiej twarzy. — Byłam pyszna i zadufana w sobie.

— Kłamstwo i pycha są jak robaki toczące ludzką duszę — powiedział ojciec Barnaba, przypominając sobie pewien stary sztych, który widział w klasztornej bibliotece w Rzymie. To przemawia do ludzkiej imaginacji, pomyślał i rozwinął ten wątek, nie szczędząc wysiłków, by obrazowo nakreślać przed Leą makabryczny obraz, a potem wznosił oczy ku niebu, pomodlił się i zadowolony, że pomógł jeszcze jednej zbłąkanej owieczce, wyznaczył pokutę. — Zmówisz koronkę do siedmiu boleści Matki Bożej — powiedział, gdyż w okresie Wielkiego Postu wszystkim zadawał podobną pokutę, a przy cięższych przewinach dorzucał jeszcze coś więcej.

— Całą koronkę? — upewniła się, starając się przeniknąć wzrokiem mrok konfesjonu, by dojrzeć oblicze spowiednika.

— Całą — potwierdził, zastanawiając się, czy kobieta przypadkiem nie zacznie się targować, bo i z takimi miał do czynienia.

Lea jednak nie odezwała się już więcej. Wróciła do domu, wyjęła ze swego kuferka podręczny modlitewnik, podarek od ciotki, która kupiła go latem u domokrażcy (zawsze to taniej). Przekartkowała go i znalazła wyznaczoną modlitwę. Sporo tego, oceniła i pomyślała, że odmówi ją po obiedzie. W ten sposób zamknie tę paskudną sprawę, która nie dawała jej spokoju.

Józef nie miał jednak zrozumienia dla jej nagłego przyływu religijności.

— Obiecałaś, że pójdziesz do doktorowej — przypomniał jej. — Bardziej się tym zasłużysz tam na górze niż klepaniem pacierzy.

Spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała. Lepiej dwa razy pomyśl, zanim coś powiesz. Mądra kobieta nie mówi dużo, słucha i robi, co do niej należy. I ciotka nie mówiła dużo, a jak coś powiedziała, to mądrze i wszyscy się jej słuchali, a robiła swoje. Teraz Lea postanowiła naśladować w tym ciotkę Anastazję.

Wizytę u Marianny potraktowała jako ciąg dalszy pokuty, może również *a conto* przyszłych przewinień, których nie planowała, ale z doświadczenia wiedziała, że są nieuniknione, jak choćby małe, niewinne, a ułatwiające życie kłamstewka, nie mówiąc już o tych większych, które czasami są po prostu konieczne.

Marianna, żona doktora Mrozewicza, dotąd nie zaskarbiła sobie sympatii Lei. Lea spotkała ją którejś jesiennej niedzieli, gdy wybrali się z Józefem do Ogrodu Saskiego. Pogoda była ładna, drzewa lekko zrudziały, w alejkach pojawiło się sporo spacerowiczów; był też doktor z żoną i dziećmi. Józef

przedstawił ich Lei, a ona od razu uznała, że Marianna nie pasuje do swojego męża, i w miarę jak poznawała doktora, przekonanie to się pogłębiało. Na pierwszy rzut oka było widać, jak się różnią. Doktor był szczupłym i niewysokim szatynem, oczy miał niebieskie, królewskie, jak mówiono, był miły i pełen energii. Marianna przeciwnie, była duża, gruba, poruszała się leniwie, prawie ślamazarnie i z trudnością podniosła się z parkowej ławki, by przywitać się z Leą. Uśmiechała się przy tym mizernie i z powrotem oklapła na ławkę. Od czasu do czasu przywoływała dzieci do porządku.

— Nie biegaj, bo się spocisz! Julciu, nie krzycz tak, bo dostaniesz różyczki! — wypowiadała ostrzeżenia i odwracała głowę w drugą stronę, by całą uwagę skupić na najmłodszym Ignasiu. On był jej oczkiem w głowie i to on umarł zimą na błonicę, a Marianna wciąż nie mogła się otrząsnąć ze smutku; zatonała w nim jak jaskółki kryjące się pod wodą na zimę. Lea już raz, po śmierci chłopca, odwiedziła Mariannę, a teraz nie miała ochoty na kolejną milczącą wizytę, ale Józef prosił.

— Idź, powiedziałem doktorowi, że przyjdiesz. Czekają na ciebie.

Poszła właśnie ze względu na doktora, którego uważała za człowieka wielce pożytecznego, a na dodatek życzliwego niemal dla wszystkich, i to w sposób całkowicie naturalny. Jego żony nie zaliczała ani do pożytecznych, ani do życzliwych, Marianna właściwie była nijaka, nieciekawa i mdła jak kluchowate ciasto. Co ja mam z nią zrobić? I dlaczego ja, przecież prawie jej nie znam, zastanawiała się tamtego popołudnia, gdy wybrała się z wizytą.

Marianna czekała na nią w pokoju, który pełnił funkcję saloniku. Wyglądała jak duża porcelanowa lalka ubrana w żałobny strój, nieruchoma i milcząca. Próbowwała coś powiedzieć, ale zdołała tylko szeptać.

— Dziękuję, że pani przyszła — powiedziała bezbarwnym głosem i zawołała gosposię, żeby podała herbatę, i znów zamilkła.

Lea czuła się skrępowana. Spojrzała jej w oczy, w których czały się żal i ból, jak w oczach kotek, którym potopiono kocięta.

Siedziała jak na szpilkach; upiła łyk herbaty, obejrzała wszystkie obrazy i obrazki wiszące na ścianach wyłożonych rezedową tapetą. Nie było na nich nic ciekawego. Wyblakłe zdjęcia w ciemnych ramkach były jak odbicia w głębokiej studni. Marianna wyglądała podobnie jak ludzie na tych fotografiach, jakby wpadła do studni.

— Nie musi pani nic mówić. Ja też nie wiem, co mam pani powiedzieć. Wszystkie słowa pocieszenia wydają się puste, zresztą słyszała je pani pewnie dziesiątki razy, a nic innego nie umiem wymyślić — przyznała i upiła kilka łyków herbaty.

Cisza była krępująca, jałowa jak żałoba, która weszła do tego domu i nie dawała się przegonić. Lea znowu zaczęła mówić, może nawet bardziej do siebie niż do Marianny.

— W dzieciństwie, kiedy miałam jakieś zmartwienie, zawsze chciałam być sama, wymykałam się wtedy do sadu, tam czułam się najlepiej — zaczęła opowiadać o Korytnicy.

Nie wiedziała, czy Marianna słucha, ale mówiła dalej, jakby opowiadała bajkę, a w końcu dodała:

— Mam taki pomysł; wypijemy herbatę, a potem pojedziemy do Ogrodu Saskiego. Jest ładna pogoda, powinna się pani trochę przewietrzyć.

— Nie, nie mogę — zaprotestowała spłoszona Marianna.

— Wiem, że pani nie może, ale trzeba, choćby dla córek. Na pewno dawno pani z nimi nigdzie nie wychodziła.

— Nie mogę — powtarzała Marianna.

Lea nie zważała na jej protesty, już zdecydowała. Albo się uda, albo nie, ale jeśli będą tylko siedzieć i pić herbatę, to na nic. Kazała gosposi ubrać dzieci i podać pani płaszcz i kapelusz. Dziewczyzna wytrzeszczyła na nią oczy i stała jak niemota.

— Co się gapisz? Rób, co mówię! — poganiała ją.

Zrobiło się zamieszanie. Gosposia nie mogła nic znaleźć, w końcu ubrała dziewczynki do wyjścia, założyła im buciki i palta. Lea pomogła młodszej pozapinać guziki, włożyć rękawiczki i czapkę; nie mogła spokojnie patrzeć na niemrawą gosposię, która ruszała się jak mucha w smole. U mnie nie zagrzałyby długo miejsca, pomyślała. Marianna też poruszała się powoli, z trudem, jakby dźwigała

na ramionach wielki ciężar. Lea się zawahała; wcale nie była pewna, czy dobrze robi, wyciągając ją na spacer. Może powinnam ją zostawić i pójść sobie? Ale nie, nie po to tu przyszedłam, trochę ruchu dobrze jej zrobi. Po dobrym kwadransie udało się im wyjść z mieszkania, Lea wzięła dorożkę i pojechały do Ogrodu Saskiego.

Zrobiło się ładnie, słońce połyskiwało w mokrych chodnikach i w kałużach. Parkowe alejki zapełniły się spacerowiczami, którzy nigdzie się nie spieszyli. Poważni rentierzy towarzysztw kredytowych, wytworne damy, blade panny i bony z dziećmi, wszyscy szukali pierwszych oznak wiosny. Przystawali przy bezlistnych jeszcze drzewach, wypatrywali stokrotek, które pojawiły się na trawnikach. Lea wzięła Mariannę pod rękę; musiały śmiesznie wyglądać, bo Lea była dużo mniejsza od Marianny, ale to ona nadawała tempo. Nigdzie się nie spieszyły.

Przejdziemy tą alejką do końca, obejdziemy studnię i wrócimy, i będzie po wszystkim, po kłopotcie. Odwiozę je do domu, Marianna będzie mogła znów się zamknąć w ciemnym pokoju i płakać. I nic nie będzie mnie to obchodziło, nic a nic. Tylko szkoda doktora, myślała rozczarowana, że jej wysiłki na nic się nie zdały. I tych małych też szkoda.

Szły powoli; Lea przyglądała się dziewczynkom, które nie wiedziały, co mają robić. Dreptały przy boku milczącej matki jak przestraszone zwierzątka. Po chwili młodsza wypatrzyła kałużę i podbiegła do niej z okrzykiem podziwu.

— Mamo, zobacz, ile wody!

Marianna drgnęła.

— Nie wchodź do wody — powiedziała, ale mała już stała w kałuży i rozchlapywała wodę, zadowolona, że udało się jej skupić na sobie uwagę matki.

Lea wzięła dziewczynkę za rękę i odciągnęła na bok.

— Chodź, przemoczysz buciki. Lepiej pokażemy mamie stokrotki.

Marianna nadal była obojętna na to, co działo się dookoła; chociaż starała się reagować na nawoływania córek, które rozbrykały się, biegały i skakały jak żrebaki po łące. Szła coraz wolniej i co parę kroków przystawała. Lea z trudem hamowała zniecierpliwienie. Nigdy więcej już z nią nie pójdę, żeby mnie Józef nie wiem jak prosił. Tylko do tej studni i zawracamy, myślała i ciągnęła ze sobą biedną Mariannę. Po drodze Marianna musiała znów się zatrzymać, wreszcie usiadła na krześle wystawionym właśnie przez dozorcę i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Mała Amelka podbiegła i przytuliła się do matki. Starsza wskakiwała na krawężnik i zeskakiwała. Lea obserwowała je i pomyślała, że Marianna ma takie udane córki i powinna być szczęśliwa, a nie tracić czas na smutek.

— O czym pani myśli? — zapytała, gdy Marianna spuściła głowę i zaczęła się wpatrywać w żwir alejki.

Odpowiedziała dopiero po chwili, kiedy Lei się wydawało, że nie wykrztusi z siebie ani słowa.

— Myślę o tym, co mi pani powiedziała, że nie powinnam oglądać się za siebie. Nawet nie wie pani, jakie to trudne.

— Pewnie nie wiem — przyznała Lea. — Ale i w moim życiu były takie zdarzenia, które zatrzymały mnie w biegu, jakby mi ktoś skrzydła podciął.

— Co się stało? — zapytała Marianna, nadal wpatrując się w ziemię.

— Nie będę pani zanudzać, może kiedy indziej opowiem, ale czułam się wtedy, jakbym zgubiła się w czarnym lesie.

— I co pani zrobiła? — zapytała tonem pozbawionym cienia zainteresowania.

— Zamieszkałam u ciotki i to ona ciągle powtarzała, że nie należy oglądać się za siebie, a kiedy za bardzo się zamyślałam, dawała mi piołun na zapomnienie. Mówiła, że chyba mi jest za dobrze na świecie, bo smucę się tym, co już minęło i czego nie można w żaden sposób zmienić. I że jeszcze poznam, co to jest prawdziwa gorycz.

— Prawdziwa gorycz — zastanawiała się Marianna. — Ja czuję, jakbym wciąż była w tamtym pokoju i nie potrafiła mu pomóc — zaczęła teraz mówić, nie mogła się zatrzymać, wysypywała z siebie słowa, które nazbierała w ciągu długich dni milczenia. Lea słuchała cierpliwie, ale czy to pomoże?

Wróciły późno; Julcia zasnęła w dorożce, przytulona do matki. Marianna wyglądała na bardzo

zmęczoną, jakby minęło nie kilka godzin spaceru, ale całe wieki. Kiedy szły po schodach do mieszkania, Amelka wsunęła rączkę w dłoń Lei.

— Przyjdzie pani jeszcze? — zapytała.

Lea uśmiechnęła się odruchowo.

— Przyjdę — przytaknęła.

— Kiedy?

— Może po świętach — odparła na przekór sobie.

Potem była na siebie zła, że zbyt pochopnie się zgodziła; wcale nie miała ochoty odwiedzać Marianny. Zrobiła, co mogła, i na tym sprawa powinna się zakończyć, ale nie potrafiła odmówić małej dziewczynce, która patrzyła na nią z przelotnym podziwem w oczach. Poza tym Marianna mogła coś wiedzieć o Sabinie, a to było warte nieco wysiłku. Ale minęło sporo czasu, zanim Lea spróbowała wydobyć te informacje od Marianny.

Odwiedzała ją jednak i za każdym razem, gdy Marianna wydawała się nieprzystępna i nieobecna, mówiła sobie, że już więcej do niej nie pójdzie, ale przy pożegnaniu Marianna pytała, czy Lea przyjdzie, czy zajrzy. A nawet jeśli nie pytała, to czekała, aż Lea powie: przyjdę w czwartek albo zobaczymy się we wtorek. I przychodziła. Jeśli była ładna pogoda, szły do parku i zabierały ze sobą dziewczynki. Marianna nadal nie mówiła wiele, ale Lei to nie przeszkadzało; przyzwyczajały się do siebie, do swojej obecności bez słów. Z czasem Lea polubiła Mariannę, tę odmienioną, bardziej zamyśloną, a kiedy Marianna pod koniec maja wyjechała z dziećmi do Nałęczowa, Lea poczuła się osamotniona.

Wielkanoc przeleciała szybko jak z bicza trzask. W Niedzielę Wielkanocną pojechali do Felutki i zostali u niej na noc. Tam było wesoło, zjechali się krewni. Nikt nie mówił o zmarłych. W pokoju stołowym, gdzie na ścianie wisiał nowoczesny niemiecki zegar, a podłoga została odmalowana na czerwono, ustawiono duży stół, który ugiął się odjadła, wędlin, jaj i ciasta. Prawie jak u ciotki, pomyślała Lea, chociaż u ciotki było skromniej, ale bardziej uroczyście, dostojnie. Ciotka celebrowała Wielkanoc; przy stole nie trzeba było zbędnych słów, śmiechów i przekrzykiwania, a u Felutki wrzało jak w ulu.

Jakie będą moje święta? — zastanawiała się Lea. Czy kiedyś do mnie też zjedzie cała rodzina? To wydawało się takie nierealne, bo kto właściwie miałby przyjechać. Może siostra? Ale co to za święta w Warszawie, nawet nie ma gdzie porządnie odetchnąć, brakuje przestrzeni. Na Wielkanoc trzeba otworzyć okna, poczuć zapach świeżo wypranych firanek poruszanych wiatrem od ogrodu, aromat ziemi i pękających pączków na drzewach, wierzbowych koćków. Wtedy jest jak trzeba. Tak uważała i chyba właśnie wtedy pomyślała, że chciałyby mieć dom, prawdziwy dom z ogrodem, w którym będą rosły drzewa owocowe i porzeczki. Taki jak u wujostwa w Korytnicy, może trochę mniejszy, albo taki jak Felutki, ale najlepiej drewniany i z dużą kuchnią.

Po bardzo obfitym świątecznym obiedzie wyszła do ogrodu. Chciała się przewietrzyć, zobaczyć, co kwitnie, poczuć powietrze i przestrzeń, zapach wiatru od rzeki. Wymknęła się z domu, a Józef poszedł za nią.

— Dlaczego uciekaś? — zapytał, poprawiając na głowie kapelusz, bez którego poważny, szanujący się mężczyzna nie mógł się ruszyć z domu, a Józef był szanującym się mężczyzną, dalekim od nonszalancji i ekstrawagancji.

— Uciekałam? Nie, nie uciekałam, ale ciągnie mnie na dwór jak wilka do lasu — rozejrzała się dookoła i odetchnęła głęboko. — Czujesz, jak tu pachnie?

Wziął ją pod ramię.

— Chodź, przejdziemy się. Ostatnio byłem ciągle zajęty, nawet nie spostrzegłem, że to już wiosna.

Lea pomyślała, że wielu rzeczy nie dostrzegają, może nie chciał, tak jak i rozmawiać o pewnych sprawach. Nie naciskała, starała się pogodzić z tym, że musi jej wystarczyć życie koło niego. Już nie prowokowała go pytaniami, nie dociekała, co się stało z Sabiną. Może kiedyś sam mi to powie, myślała

i starała się być wyrozumiała.

— No widzisz, jaki z ciebie mieszczuch — zażartowała, ale taka była prawda.

Wyszli z ogrodu i skręcili w drogę prowadzącą w kierunku Wisły. Minęli kilka domów i zabudowania starej fabryki wyrobów gumowych. Dalej ciągnęły się puste jeszcze pola i pastwiska. Wśród ledwo zieleniejącej trawy Lea dojrzała żółte plamki podbiału. Przystanąła i patrzyła na kępki roślin, które przebijały się przez zeszlóroczne liście i uschnięte badyle.

— Pięknie tu — powiedziała, wciągając głęboko powietrze. — Prawie tak jak u nas nad rzeką. Józef pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Wiem, wiem, co chcesz mi powiedzieć, ale ja nie mam czasu na spacer, w aptece jest praca od rana do wieczora, wiesz przecież. Teraz Filip pojechał do domu, pan Emil też prosił o wolne, chciał odwiedzić rodziców. A ludzie chorują i leki są potrzebne, na szczęście — zaczął rozwodzić się nad problemami ze znalezieniem porządnym pracowników.

— Mogłabym w czymś pomóc — powiedziała bez przekonania; знаła już jego zapatrywania w tym względzie.

— I co byś robiła?

— Mogłabym siedzieć na kasie — rzuciła bez zastanowienia i zerknęła na niego filuternie.

— Siedzieć na kasie! Dobrze sobie. Już to widzę — roześmiał się szczerze ubawiony. — Wiem, że masz dobre chęci, ale to nie wystarczy, Lea, nie wystarczy — odparł z nikiącym uśmiechem w szarych oczach.

— Nieważne — odparła zgaszona.

— Już się na mnie boczysz?

— Nie, to naprawdę nieważne. — Nie chciała się spierać. Nie dziś, przy święcie, w taki ładny dzień i w ogóle. Niepotrzebnie o tym wspomniała, nie powinna mówić wszystkiego, co jej ślina na język przyniesie. Nie powiedziała więc, że chciałaby mieć dom i urządzić go po swojemu, żeby nie było w nim śladów Sabiny, jej pięknej pościeli ani eleganckiej serwantki, ani jej porcelanowych filiżanek, z których można upić najwyżej dwa cholernie eleganckie łyki kawy. Wystarczyłyby tylko zwykłe rzeczy i zwyczajny dom, w którym urządziłyby święta. Tego mu nie powiedziała, ale wsunęła dłoń pod jego ramię i pozwoliła zaprowadzić się z powrotem do domu Felutki, bo przecież błoto i dalej iść nie sposób.

Po drodze opowiadał jej o przygotowaniach do Wystawy Higienicznej, które teraz niemal całkowicie go pochłaniały.

Nie ma w nim ani krzty romantyzmu. Nie jesteśmy przecież starym znudzonym małżeństwem, a traktuje mnie, jakby nie miał mi już nic innego do powiedzenia, tylko maści i proszki, a jak chcę coś więcej wiedzieć, to zaraz mi przypomina, że to nie są sprawy dla mnie, pomyślała z goryczą. Pozwoliła mu jednak mówić o naparach, filtrach, miksturach, o hurtowych cenach na *herba Cannabis*, *folium Digitalis purpurea* czy olejek miętowy. To był jego świat, tym żył, a ona mogła zaglądać tam jedynie przez uchylone drzwi. Myślała, że tak pozostanie, a jednak kiedy znowu zaproponowała, że mogłaby coś zrobić, popatrzył na nią z wahaniem i powiedział, że się nad tym zastanowi.

Od wczesnego rana, latem nawet od szóstej, w aptece roznosiły się różne zapachy. Niektóre były przyjemne, ziołowe i korzenne, inne odrażające i ostre, jak choćby karbol, z którego przygotowywano roztwory do odkażania miejsc zżartych przez zarazę: przytułków, sierocińców, domów dla podrzutek, domów publicznych oraz do nasączania płócien, w które zawijano podejrzanych nieboszczyków. Karbol był środkiem o wielkich możliwościach. Doktor Mroziewicz widział w nim środek zbawienny, niewiele mniej skuteczny niż czyścicowe męki, i zamawiał u Józefa w dużych ilościach roztwory karbolu, a gdy przygotowywano zamówienie, cała apteka przesiąkała tym zapachem niemal na wskroś. Józef twierdził, że w tych okolicznościach żadna choroba nie powinna go zmożyć. Zdarzało się jednak, że lekki wiatr wpadał przez uchylone okna i wywiewał z apteki mgiełkę karbolu; wtedy przestrzeń z powrotem wypełniały ziołowe aromaty mięty, tymianku albo anyżu. Wiosną, gdy robiono syrop sosnowy, w dużym szklanym naczyniu macerowały się sosnowe pędy zasypane cukrem, zmieniając się w zielonkawą

posokę. Pachniało wtedy choiną jak na święta. Potem Józef kazał uczniom zlewać ten płyn do ciemnych flaszek, szczelnie korkować i odstawiać do piwnicy; wtedy woń żywicy słabła, zastępowana przez inną. Czasem w powietrzu wyczuwało się balsam peruwiański albo masło kakaowe, innym razem goździki, koper lub nostryk. Te zapachy zwabiały Leę do apteki; zaglądała nieśmiało do laboratorium, marszczyła nos, przymykała powieki, a w końcu pytała: co tak pachnie?

Po Wielkanocy Lea wyczuła w aptece słodki zapach fiołków, jakby przeniosła się do wiosennego ogrodu.

— Co robisz? — zapytała Józefa, przystając w uchylonych drzwiach i szybko dodała: — Nie, poczekaj, nic nie mów! Znam ten zapach. Nic nie mów, wiem, mam na końcu języka — próbowała sobie przypomnieć. — Wiem, to korzeń irysa! — powiedziała z zadowoloną miną. — Mówią na to fiołkowy korzeń, ale to jest z irysa. Bierze się go do kadzidelka i daje dzieciom przy ząbkowaniu.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Zgadza się. Skąd wiesz?

— Babka mnie nauczyła. Mówiłam ci, że znała zioła.

— Ach tak, babka zielarka — przypomniał sobie, a w jego głosie pobrzmiwała nuta ironii.

Wzruszyła ramionami.

— A co ty myślisz, że tylko w szkołach się tego można nauczyć?

— I czego cię nauczyła? — dopytywał się z pobłażliwym uśmiechem zawieszonym w kącikach ust.

— Dobrze już nie pamiętam, sporo wiedziała. Zanim wyszła za męża, była panną apteczną we dworze u bogatych krewnych, mieli duży majątek pod Tarnopolem. A potem, kiedy zamieszkała we własnym domu, hodowała zioła w ogrodzie; dobrze wiedziała, co i od jakiej choroby — uważnie dobierała słowa, żeby nie powiedzieć zbyt wiele, nie narazić się na jego śmiech i krytykę. — Na wsi po doktora tak od razu się nie posyła ani nie biegnie do apteki; najpierw domowym sposobem trzeba próbować zaradzić chorobie, napić się gorącego barszczu albo kieliszek wódki z pieprzem czy rosółu z gołębia, a jak nie pomaga, to się idzie po radę do wiedzącej. I moja babka znała takie sposoby, ciotka też trochę, ale najwięcej to babka mnie nauczyła. Coś tam zapamiętałam.

— A na czarach też się znała? — zaśmiał się dobrodusznie.

— No wiesz, już nic ci nie powiem! — obruszyła się i poprawiła stójkę szaroniebieskiej sukni. — Tak jest zawsze, kiedy kobieta coś wie o ziołach, to zaraz muszą być czary.

Nadal się uśmiechał, ale tym razem łagodnie i ciepło.

— Lea, przecież żartowałem. Nie obrażaj się, no słucham, może dowiem się czegoś ciekawego od ciebie — powiedział pojednawczym tonem i sięgnął po jeden z białych porcelanowych słoików z granatowym oznakowaniem, które stały w równym rzędzie na półce. Wysypał z niego drobne wysuszone ziele i zapytał: — A to znasz?

Podszła do stołu, wzięła w dłoń kilka szarych drobnutkich gałązek, obejrzała je i uśmiechając się z politowaniem, powiedziała:

— Przecież to macierzanka, nawet dziecko by rozpoznało.

— Dziecko może tak, ale nie Filip — mruknął Józef. — A to? — podawał jej kolejne wysuszone zioła.

— Co ty mnie tak egzaminujesz? — popatrzyła na niego nieufnie, ale sama była ciekawa, czy uda się jej rozpoznać któryś z aptecznych surowców ukrytych w słoikach i szufladach z tajemniczymi napisami.

Brała do ręki wysuszone listki, kwiaty, kory, oglądała z każdej strony, rozcierała w palcach, wachała, kładła odrobinę na język, czasem przełamywała korzeń czy korę i po chwili znała odpowiedź — borówka brusznica, kurze ziele, ruta, rozmaryn, nasiona gorczycy, kocanka.

— Stulidupka, tak na to mówią, bo biorą, jak kto ma laksację — wyjaśniła. — Taka hubka, co rośnie na pieńkach.

— Dobrze — odparł, kiwając głową. — A to?

— Tego nie znam — przyznała. — Pewnie jakieś obce. Babka brała tylko to, co było w ogrodzie

albo rosło na łąkach czy w lesie, wyjątkowo czasami coś z apteki: kamforę, balsam peruwiański, gumę arabską, benzoës, ale to trzeba było zawczasu jechać do miasta i kupić na zapas, żeby było w potrzebie — opowiadała mu.

Już się nie śmiał; słuchał, gdy opowiadała, co babka i ciotka podawały na darcie w nogach, a co na kaszel u dzieci albo jak przyszedł pomór na kaczkę. I jakie zioła były w ogrodzie, a jakie zbierało się na łąkach i miedzach. Wszystkiego nie powiedziała, nie chciała, żeby znów się z niej wyśmiewał; niektórych rzeczy by nie rozumiał, zresztą mądra kobieta nie powinna za dużo mówić. Pewne sekrety lepiej zachować dla siebie. A i on nie mówił jej wszystkiego, więc byli kwita.

Z czasem Józef coraz bardziej wczuwał się w rolę nauczyciela i zapominając o aptecznych zasadach, pokazywał jej olbrzymie, sięgające niemal sufitu repozytorium, dzieło czeskich mistrzów meblarskich, jak zapewniał, zrobione z drzewa dwusetletniego dębu szypułkowego, w którego stu dwudziestu ośmiu szufladach i szufladkach kryły się lecznicze sekrety z czterech kontynentów — zebrane z trzech królestw natury: roślin, zwierząt i minerałów. Stojąc przed nim, Lea miała wrażenie, że znalazła się przed wielkim relikwiarzem skrywającym setki tajemniczych substancji o dziwnych, nieznanym jej nazwach. Patrzyła na to oszołomiona i aż westchnęła z przejęcia. Józef uśmiechnął się z pobłażaniem i wysunął jedną z szuflad, by mogła zobaczyć schowane w niej niepozorne bryłki o szarej chropowatej powierzchni. W innych, które uchylały się z lekkim oporem lub nawet ze skrzypieniem, była kora albo pokręcone kawałki korzeni, zasuszone owady, jaszczurki i muszle, odłamki skał.

— Dużo tego, bardzo dużo — przyznała jakby z niedowierzaniem.

Była zaciekawiona, a jednocześnie rozumiała, że stoi przed wiedzą niezgłębianą jak Morze Sargassowe i uświadomiła sobie, że to, co wie o ziołach, czego nauczyła się od babki i od ciotki, nikomu tu nie jest potrzebne.

— Tu masz cały świat lekarstw, wszystko, co może być przydatne do zrobienia leków — mówił, kładąc jej na dłoni złowrogie nasiona kulczyby wroniego oka. — To jest z Afryki, a to nasiona cytwarowe lewandzkie, które przywożą z Persji — wyliczał ze znanstwem i uśmiechał się zadowolony, że znalazł w niej uważną słuchaczkę. — Korę chinową sprowadza się z Andów peruwiańskich, a china królewska jest przywożona z prowincji Calisaya z południowego Peru. Ta znowu jest z Nowej Grenady. Kwasię gorzką mamy z wysp Surynamu, z Indii, a nawet z Brazylii — opowiadał z zaangażowaniem i pokazywał spękane, chropowate albo gładkie kory i kłęczka, nasiona podobne do kamieni, półprzezroczyste bryłki żywicy, kosmate liście i zasuszone pączki kwiatów, które kwitły o tysiące wiorst stąd. Starannie wymawiał ich łacińskie nazwy; brzmiały poważnie, niemal uroczyście, jak fragmenty modlitwy. Lea powtarzała je i próbowała zapamiętać, jakby były hasłami, bez których nie można się poruszać w aptecznym pomieszczeniu.

Potem znaczył jej dłoń kroplami wonnych olejków i balsamów, asfaltu i czarciego łajna, drobinami piżma albo szarej ambry. Kładł na jej język szczyptę benzoesu albo słodkiej lukrecji, pieprzu tureckiego, żywicy sosnowej czy macicznych goździków. Kazał wąchać i smakować aż od przesyty, kręciło się jej w głowie, a serce lekko przyspieszało poruszone mocą aromatów.

— Zobacz, myszko, spójrz, te bryłki nazywają benzoësem migdałkowym i cenią najbardziej. To jest zaschnięta żywica drzew, które rosną na Jawie i Sumatrze — wypowiadał niemal szeptem, jak sekret powierzany na ucho, i rozpałał w niej ciekawość. — Gdy takie drzewo ma sześć lat, robią w jego korze podłużne otwory, przez które wycieka sok i wysycha na powietrzu w czerwono-brunatne bryłki z białymi ziarnami w środku — dodawał, jakby opowiadał jej dzieje swojej rodziny, ojców i dziadów. — Woń ma przyjemną, zwłaszcza przy ogrzaniu. Skosztuj, weź odrobinę i rozgryź, smak ma słodkawy, balsamiczny. Spróbuj! — spoglądał na nią z oczekiwaniem — I co na to powiesz?

Próbowała, a potem czuła się oszołomiona, skołowana od nadmiaru różnych woni i smaków. Myślała, że te lekcje ulotnią się jej z głowy wraz z żywicznym aromatem, zwietrzeją jak zapach olejku neroli, jednak zapamiętywała je lepiej od innych. I tak oswajała się z obcymi nazwami, zapachami i smakami, z mapą leków, którą Józef odwzorowywał na jej dłoniach i palcach, a nawet, już przy drzwiach zamkniętych, na jej stopach i innych sekretnych miejscach. Płonęła z ciekawości, gdy dotykał jej kolana, gdzie umieścił wysokie Andy, albo gdy znaczył jej prawy łokieć, gdzie znajdowały się dzikie

Pireneje, odrobiną aromatycznego szafranu.

Częściej zaglądała teraz do apteki i jeśli Józef nie był bardzo zajęty, siadała obok na wysokim taborecie i słuchała jego lekcji. Objasniał jej, jak się robi proszki niedzielone i dzielone, syropy, proste maści i mikstury. To wcale nie takie trudne, myślała, chyba nie trudniejsze niż omlet à la George Sand, który był szczytem kulinarnych ambicji ciotki Anastazji. Powoli apteka przestawała być dla niej nieprzyjaznym terenem, najeżonym szklanymi kolbami i miedzianymi rurkami, labiryntem niezrozumiałych nazw, miejscem zakazanym, gdzie w alembikach kipią sekretne wywary.

— Ma pan nowego ucznia — żartował przyjaźnie pan Emil.

— Ja tam wolę, jak pani aptekarzowa placków robi — wtrącił Filip, — Takie dobre były te z jabłkami.

— Ciebie nikt o zdanie nie pytał — upomniał go Józef, marszcząc srogo czoło. — Może sam powinienes zająć się kuchnią, większy byłby z ciebie użytek niż w aptece.

Jednak chwile, gdy Józef miał dla niej czas, nie zdarzały się często. Zwykle pochłaniały go bieżące sprawy apteki i Towarzystwa Aptekarskiego, nierzadko znikał tam na całe wieczory, zostawiając Leę jej własnym zajęciom. Wtedy wyciągała książki Józefa i czytała.

Początkowo Józef traktował jej zainteresowania jak kaprysy dziecka, wybryk niezgodny z naturą kobiecą, w końcu, gdy się przekonał, że Lea trwa przy swoim, stał się jej nauczycielem i przewodnikiem po ziołowym ogrodzie, a ona już się nie buntowała, nie stawiała okoniem, gdy od czasu do czasu przypominał jej, że zasadniczo kobiety nie są stworzone do pracy w aptece, a niektórych spraw nie da się ot tak przeskoczyć. I tak wiedziała swoje, i chociaż w duszy buntowała się przeciw takim stwierdzeniom, cierpliwie słuchała jego wyjaśnień i pouczeń, gdy uchylał przed nią rąbka prawie tajemnej aptecznej wiedzy. Jeszcze nie wiedziała, co z tym robi, nie miała pojęcia, czy te wiadomości przydadzą jej się do czegokolwiek. Na razie była ciekawa i oszołomiona bogactwem leczniczych roślin, jakby zajrzała do wypełnionego po brzegi sezamu. Tak ją to wciągnęło, że zapomniała o nieporozumieniach i nie zastanawiała się nad tym, co było. Nie pytała o swoją poprzedniczkę, starała się nie drażnić Józefa, być rozsądna i patrzyła w przyszłość z nieprzesadną dozą optymizmu.

1 Data według kalendarzy gregoriańskiego i juliańskiego, który obowiązywał w carskiej Rosji. W Królestwie Polskim niekiedy podawano obie daty, w ten sposób datowano np. niektóre gazety i dokumenty.

2 Pistel — rodzaj tłuszczka.

3 Do użytku wewnętrznego, do rąk lekarza, ile potrzeba.

Józef lubił wszystko kontrolować, a różne rzeczy i sprawy lubił mieć zapięte na ostatni guzik. Tym bardziej się irytował, gdy coś nie dało się dopiąć lub odbiegało od ustalonego porządku, objawiało się nagle i zaskakiwało go swoją nieprzewidywalnością. Czasami stała za tym Lea, która nie była tak rozsądna i posłuszna, jak deklarowała przed ślubem; częściej były to sytuacje stojące na pograniczu pecha i złośliwości losu, których nie sposób było uniknąć ani się nie dało przymknąć na nie oka. Wywoływało to u Józefa ból głowy, zły humor i mniejszą odporność na obecność innych. I tak właśnie było w połowie kwietnia, gdy Józef coraz dłużej siedział w aptece i prawie stamtąd nie wychodził. Często wydawał się spięty, wszystko go drażniło. Lea nie wiedziała, co się stało; każde jej pytanie zbywał zwykłą wymówką.

— Jestem zajęty. Mamy dużo pracy, nie widzisz? — odpowiadał cierpkim głosem, szeleścił ostrzegawczo gazetą, której nie miał czasu przeczytać i zniecierpliwionym ruchem odkładał ją byle gdzie, co było u niego niepokojącą oznaką, odstępstwem od zasad.

To jeszcze bardziej niepokoiło Leę. Obserwowała go, od jakiegoś czasu wyczuwała jego napięcie i zdenerwowanie, gdy siedział milczący, pochylał głowę, wspierając ją na ręce opartej łokciem o stół, albo pocierał palcami zmarszczone czoło, jakby bolała go głowa.

— Masz jakieś kłopoty? Nic mi nie mówisz — zagadywała go.

Długo zwlekał z odpowiedzią.

— W interesach zawsze są jakieś problemy, ale ty sobie tym głowy nie zawracaj, nie znasz się na tym — odparł, nerwowo gładząc brodę, jakby chciał ją nieco wyciągnąć.

Naburmuszyła się.

— Oczywiście, że się nie znam, skąd mogłabym się znać, przecież jestem kobietą, bez szkoły, bez rozumu.

— Daj spokój! Jeszcze potrzeba mi twoich humorów! — prychnął zirytowany.

Zmarszczyła brwi.

— Więc powiedz, o co ci chodzi! Widzę przecież, że coś się dzieje.

Spojrzał na nią ciężkim, niemal oskarżycielskim wzrokiem.

— Z wystawą mamy kłopoty — przyznał w końcu.

Od początku roku słyszała o Wystawie Higienicznej, która miała odbyć się latem w Warszawie. Józef z Reutowiczem uznali, że oto nadarza się wyśmienita okazja do pokazania aptecznych wyrobów. Szczególnie zależało im na zaprezentowaniu eliksiru na porost włosów, którego recepturę Józef ulepszał od lat, zbliżając się niemal do doskonałości, a skuteczność wypróbował na sobie i to ze skutkiem co najmniej zadowalającym. Chciał pokazać także brylantynę i pomadę do wąsów własnego pomysłu, kilka maści i kremów o działaniu leczniczo-kosmetycznym. Eliksir, który cieszył się uznaniem wśród rosyjskich wojskowych stacjonujących na Zamku Królewskim, uważał jednak za najlepszy produkt. A gdyby ten wyrób dostał na wystawie nagrodę czy choćby wyróżnienie, na pewno zainteresowanie nim wzrosłoby i chętnych do zakupu by nie zabrakło.

— Eliksir na porost włosów? Co to jest? Nazwa jak z jarmarku — zauważyła Lea z lekką złośliwością.

Józef aż poderwał się z krzesła, gotów stanąć w obronie swojego sztandarowego wyrobu.

— Co ty mówisz! To nasz najlepszy produkt i nie ma w tym ani krzty szarlatanerii.

Powiedział, że w Niemczech robią podobny i polecają jako środek pobudzający siły organizmu do regeneracji, ale on opracował coś lepszego. Pokazał jej buteleczkę eliksiru, podkreślając, że kilka lat temu uzyskali na niego patent. Z zapałem tłumaczył działanie specyfiku, dodając, że doktor Mroziewicz sprawdził go też na swoich pacjentach i miał rezultaty.

— To jest znakomity środek — przekonywał — wymaga tylko odpowiedniego zareklamowania.

I właśnie wystawa miała być doskonałą sposobnością do takiej reklamy i pokazania światu, w każdym razie Warszawie i okolicom, najlepszych wyrobów, a jednocześnie miała ułatwić nawiązanie kontaktów handlowych. Już w lutym Józef zamówił stoisko w pawilonie wystawowym, wnosząc z góry opłaty; zaczął przygotowywać produkty i druki reklamowe. Ciągłe rozmawiał o tym ze współnikiem; Lea nie raz słyszała, jak dyskutują nad treścią ogłoszeń reklamowych.

— To trzeba dobrze sformułować, elegancko i prosto, tak żeby przemawiało do klientów — mówił Reutowicz, rozsiadając się wygodnie na krześle i sięgając po papierosa.

— Jak można elegancko reklamować płyn na wypadanie włosów? — powątpiewał Józef, dotykając ukradkiem swojej mocno przerzedzonej fryzury. — Łysienie to nie jest elegancka przypadłość, jeśli w ogóle jakakolwiek dolegliwość może być elegancka.

— Zawsze można użyć odpowiednich słów — odparł z przekonaniem Reutowicz i przyglądał się ze spokojem smudze papierosowego dymu.

— Więc użyj, ja do tego nie mam zdolności — odparł Józef, zostawiając przyjacielowi sprawy reklamy.

Sam był stale zajęty. Oprócz pracy w aptece musiał przygotować zapas eliksiru i pozostałych preparatów, które chcieli wystawić. Planował, że gdyby dobrze poszło im na wystawie, mogliby stworzyć laboratorium wytwórcze z prawdziwego zdarzenia, i kiedy o tym wspominał, rysy jego twarzy łagodniały; przymykał oczy, a na jego ustach pojawiał się marzycielski półuśmieszek.

— Byle tylko zdobyć odbiorców.

— Czy to jest wam takie potrzebne? — powątpiewała Lea. — I tak za dużo pracujesz.

Na te słowa marzycielski uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Józefa.

— To jest szansa, żeby nas dostrzeżono, rozumiesz? A mamy niewiele czasu, musimy przygotować wszystko do otwarcia wystawy — mówił z bojowym błyskiem w szarych oczach i podrywał się od stołu, żeby zaraz wziąć się do pracy.

Lea kiwała głową, że rozumie, i znów była gotowa mu pomóc, ale Józef machał tylko ręką. Widziała jednak, że jest coraz bardziej zmęczony i zdenerwowany. W końcu przyznał, że przygotowania nie idą dobrze.

— Co się stało? — dopytywała się, patrząc, jak Józef z bezsilności miota się w mieszkaniu i zagryza wąsy.

Przystanął przy krześle i popatrzył na nią badawczo, zastanawiając się, czy wtajemniczyć ją w swoje kłopoty. W końcu przyznał z napięciem w głosie, że wszystkiego nie można do cholery przewidzieć. Jak na złość zimą zatonał okręt, który wiozł dostawę surowca do Hamburga, a przez to ceny gwałtownie wzrosły. Reutowicz się uparł, żeby poczekać z zakupem, aż minie zamieszanie; Józef uważał, że lepiej nie ryzykować, ale przyjaciel go przekonał. Czekali i teraz nie mają z czego zrobić eliksiru, bo w całej Warszawie brakuje kory chinowej. Sytuacja przedstawiała się kiepsko, a nawet bardzo źle.

— I z czym wystąpimy? Chyba będziemy wystawiać puste opakowania. Reutowicz pojechał do Węgrowa, ma tam kogoś, kto obiecał mu odstąpić zapasy. Czekam na niego, ale on się nie pokazuje, nie daje znaku życia. Tak to wygląda! — popatrzył na nią z wyrzutem, jakby i ona przyczyniła się do tej katastrofy.

— Nie zamartwiaj się, przeżyjemy i bez tego — próbowała go pocieszyć, gdy siedział nachmurzony przy stole. — Do tej pory jakoś sobie radziłeś. Bez Reutowicza też sobie poradzisz — dodała z przekonaniem.

Popatrzył na nią zirytowany.

— Nie, Lea, nic nie rozumiesz, nie możemy przepuścić takiej okazji. Teraz jest dobry moment, żeby wejść na rynek z naszym preparatem. Świat się zmienia, coraz więcej aptekarzy przestawia się na produkcję; jeśli my tego nie zrobimy, jeśli nie spróbujemy, to zostaniemy tylko sprzedawcami leków. A ja wiem, że nasze wyroby są dobre, mamy szansę, żeby je pokazać, ale nie przewidziałem tego, że zabraknie surowca. Powinienem wcześniej zrobić zapas, powinienem być na to przygotowany — powtarzał zły na siebie i na cały świat.

Mogła tylko dodać mu otuchy.

— Może gdzieś jeszcze zdobędziesz. Masz tyle różnych znajomości.

— Może — westchnął ciężko. Wstał, wygładził marynarkę i wyszedł, jakby nie mógł znieść bezczynności i uciekał od niej do swoich recept, eliksirów, ekstraktów, pomad i proszków.

Reutowicz, który miał ściągnąć surowiec od znajomego z Węgrowa, nic nie wskórał. Wrócił po kilku dniach, przywiózł nędzne resztki i nawet się tym zbytnio nie przejmował. Józef musiał sam zdobyć surowiec. Pojechał na dwa dni do Lublina i dzięki swoim znajomościom z pewnym hurtownikiem sprowadził zapas kory. Praca w laboratorium ruszyła pełną parą. Wydawało się jednak, że jego starania pójdą na marne i nie zdążą przygotować na wystawę odpowiedniej ilości eliksiru. Wspólnik mu nie pomagał; jego żona miała kolejny krwotok, wyjechał więc z nią do Otwocka, pozostawiając Józefowi wyrób eliksiru.

— Tam jest idealny klimat dla chorych na płuca. Wokół lasy sosnowe, bardzo zdrowe powietrze, może ją podleczać — Józef tłumaczył przyjacielu.

Lea nie omieszkała powiedzieć, co o tym myśli.

— Jak to? Nie będzie pomagał ci przy wystawie? — oburzyła się — Przecież macie jeszcze tyle pracy, a on wszystko zostawił na twojej głowie i wyjechał?

— Zdrowie Michaliny najważniejsze, wiesz, jaka ona jest chora.

Lea nie wyobrażała sobie, żeby Reutowicz skakał koło swojej żony, ale mogła się mylić, za mało ich znała. Podejrzewała jednak, że dla niego wyjazd był tylko pretekstem, żeby wyrwać się z Warszawy.

— Mógł ją zawieźć i wrócić, żeby ci pomóc. Miał zająć się reklamą, a wszystko musisz robić sam.

Józef nie dał jednak powiedzieć złego słowa na przyjaciela. Kategorycznie ucinął rozmowę.

— Lea, to są nasze układy, ty się do tego nie mieszej. Zrobił, co do niego należało, reszta to moja sprawa — powtarzał z zacięciem na twarzy i nerwowym ruchem dłoni odganiał jakąś zabłąkaną muchę.

Pracował w dzień i w nocy, z krótką przerwą na sen, a mimo to na tydzień przed otwarciem jeszcze nie wszystko było gotowe. Pracownicy apteki zostawali do późna. Pan Emil zajmował się ekspedycją i częściowo recepturą; robił zamówienia na bieżące potrzeby, żeby odciążyć Józefa, który razem z Tymonem i Filipem zajął się produkcją eliksiru. Kiedy Lea zajrzała do nich wieczorem, Józef siedział na taborecie koło aparatu destylacyjnego, a światło lampy naftowej odbijało się w szklanych naczyniach i padało na jego twarz.

— Przyniosłam ci gorącej herbaty — powiedziała, podeszła ostrożnie i postawiła kubeczek na laboratoryjnym stole. — Kiedy kończysz?

— Jeszcze trochę mi zejdzie.

— Może jednak coś zrobię — spróbowała jeszcze raz.

— Ale co, Lea? W czym ty możesz mi pomóc — westchnął i rozmasował sobie ręką zdrętwiałą szyję.

— Chcesz powiedzieć, że jestem nieprzydatna, że nic nie potrafię? — Była zła, że nie dawał jej się do niczego dotknąć i uważał, że nie umie nawet umyć szkła laboratoryjnego.

Obrócił głowę i spojrzał na nią zniecierpliwiony tym marudzeniem. Plamy światła na jego twarzy zadrgały, udając poruszenie. Jego oczy wydawały się teraz jasne, jakby wypalone płomieniem palnika, a kosmyk żółtych włosów opadł mu na spocone czoło.

— Co ty mówisz? Nigdy nawet tak nie pomyślałem.

— Ale to prawda, nic nie umiem, a to, czego nauczyła mnie ciotka i babka, jest nieprzydatne — powiedziała zgaszona i spuściła głowę. Już nie była na niego zła, czuła się zmęczona i zniechęcona, nie lubiła czekać i patrzeć, jak inni wszystko robią.

— Daj spokój, Lea, umiesz wszystko, co trzeba — odparł i dodał półgłosem: — Oprócz prasowania koszul. — Wstał, podszedł do niej i objął ramieniem. — Czego ty jeszcze chcesz? Nie wymyślaj niestworzonych rzeczy, kiedy jest dobrze.

Oparła głowę na jego piersi i przez chwilę wdychała zapach eliksiru, potu i wody kolońskiej, którymi przesiąknięte było jego ubranie. Nadal nie wiedziała, czy może mu ufać, ale na chwilę chyba mogła, bo co innego jej pozostało.

— Jak chcesz, możesz jutro pomóc przy naklejaniu etykiet i pakowaniu towaru — zgodził się.

— Pewnie, że chcę — ucieszyła się niemal jak dziecko. — Widzę, co tu się dzieje, jak gonisz tych chłopaków do roboty, nie dasz im chwili odetchnąć.

— Więc to o nich ci chodzi? — zapytał z cieniem uśmiechu na zmęczonej twarzy. — Już ty ich nie broń. Gdyby bardziej się przykładali, wszystko byłoby zrobione na czas i nie musiałabyś pomagać. Ty byś ich rozpuściła jak dziadowski bicz.

Zawsze tak mówił, gdy próbowała wstawić się za którymś z uczniów. Był surowy i wymagający. Twierdził, że sam przeszedł taką szkołę i dzięki temu wyszedł na ludzi. Aptekarz musi być dokładny, perfekcyjny, musi skupić się na tym, co robi. W aptece nie można się spieszyć i nie ma czasu na głupstwa ani na myślenie o niebieskich migdałach — powtarzał, jakby chciał jej uświadomić, że to będzie dotyczyć również jej, gdy przyłączy się do pracy.

— Tak, wiem, mówiłeś: spiesz się powoli, *festina lente*.

Skinął głową.

— Właśnie tak powinno być.

Rano zeszła do apteki razem z nim i zabrała się do pracy. Miała zwinne ręce, rozlewała eliksir do butelek o barwie ciemnej zieleni, zatykała korkami i naklejała etykiety ze znakiem firmowym apteki, nazwą i składem eliksiru. Potem nakładała na korki kapturki z białego karbowanego papieru. Trochę jak przy konfiturach, pomyślała. Sprawnie uwinęła się z jedną partią leku. Józef uznał, że zrobiła to całkiem

dobrze, jak na kobietę oczywiście.

— Przynajmniej etykiety są prosto naklejone i nieupaprane klejem jak u tego nicponia, Filipa — pochwalił ją i dodał: — Możesz pomóc nam jeszcze przy filtrowaniu.

Filtrowanie było najgorszą robotą; sączki ciągle się zatykały albo źle przylegały do lejka i płyn nie chciał przez nie przechodzić albo przelewał się bokiem i rozlewał po stole. Trzeba było filtrować go jeszcze raz i nie dało się tego przyspieszyć. Pracowali od świtu do nocy, aż do ostatniej kropli eliksiru. Następnego dnia zapakowali towar do dużych drewnianych skrzyń wyłożonych trocinami i wyeksponowali na wystawę.

W przededniu wystawy Józef pojechał sprawdzić, jak wygląda stoisko i czy skrzynie z eliksirem oraz innymi wyrobami są już na miejscu. Lea chciała pojechać razem z nim, bo uważała, że może mu się do czegoś przydać, ale Józef wołał pojechać z uczniem.

— Nie, Lea. Przyjedziesz zobaczyć, jak już wszystko będzie gotowe. Teraz potrzebny mi jest ktoś do pomocy, więc wezmę Tymona. Rozłożymy część towaru i zorientujemy się, co jeszcze można zrobić, czy czegoś nie brakuje, rozejrzemy się, zobaczymy, co wystawiają inni.

Nie dał się przekonać i pojechał z Tymonem. Filip był niepokojony; on też chciał jechać, a przypadło mu w udziale sprzątanie laboratorium. Lea pomagała mu i pocieszała, że pojedzie następnym razem.

Filip spuścił głowę i kopnął korek, który leżał na podłodze.

— Nie, prowizor mnie nie weźmie, woli Tymona, bo on bez szemrania robi wszystko, co mu każe — żalił się, smętnie spoglądając na sterty nieużytych kartonów, które miał zanieść do piwnicy.

Potem się okazało, że nie miał czego zazdrościć Tymonowi, który przez cały czas musiał wysłuchiwać narzekań Józefa. Wrócili późno, Józef był niezadowolony, a Tymon przygaszony.

— Co tak długo? Ile czasu można rozstawiać kilka butelek i słoiczków? — dziwiła się Lea.

— Daj spokój, pechowo się dla nas zaczyna. Skrzynie z towarem gdzieś się zawieruszyły. Cały dzień zmarnowałem na szukanie — mówił zniechęcony, z irytacją skubiąc wąsy. — Dopiero wieczorem dozorca znalazł je w innym pawilonie. Przez pomyłkę trafiły do działu wodociągów i kanalizacji. To jakiś absurd! Co nasz eliksir ma wspólnego z kanalizacją? — mówił podniesionym głosem. Zdenerwowanie ciężkim dniem uchodziło z niego jak powietrze z dziurawego balonu. W końcu usiadł przy stole. — Tyle mnie ta wystawa kosztowała i ciągle jakieś problemy. Z tego wszystkiego nie zdążyłem już rozpakować ani poustawić towaru w gablotach. Jutro muszę pojechać tam wcześniej rano.

— Zdasz, na pewno dasz. Pojedziesz rano i poustawiasz, ale teraz odpocznij, zjedz kolację.

— Nie mam ochoty na jedzenie. Powinienem jeszcze sprawdzić, co tam w aptece — powiedział, gotowy od razu zejść na dół.

Lea z trudem go powstrzymała, ale gdy z kuchni rozszedł się aromat pieczonego schabu, przypomniał sobie, że jest głodny. Zasiadł przy stole, a ona stawiała przed nim talerze z granatowym szlaczkiem, na których ułożyła mięso zaprawione trzema ziołami, majerankiem, szałwią i rozmarynem, żeby żołądek nie był leniwy, ale spokojny, a umysł chłodny niczym górski strumień.

Rano pojechali z Tymonem na wystawę. Lea życzyła im powodzenia.

— Na pewno będzie dobrze — powiedziała, chcąc dodać Józefowi otuchy. Pocałowała go w policzek nieco powyżej starannie przystrzyżonej rudawej brody.

Ale i jej udzielił się niepokój, jakby nie bardzo wierzyła, że wystawa rzeczywiście będzie dla Józefa udana. Co chwilę zerknęła na zegar marki Gustaw Beker wiszący w dużym pokoju między oknami. Zastanawiała się, czy Józef już dojechał, czy zdążył z Tymonem ustawić w gablotkach preparaty, rozłożyć ulotki i zawiesić plansze informacyjne, żeby w południe na oficjalne otwarcie wystawy wszystko było gotowe. Kiedy tak rozmyślała, z niepokojem uświadomiła sobie, że przy pakowaniu skrzyń zapomniała o pudełkach z okazami surowców; o korze chinowej, z takim trudem zdobytej przez Józefa.

Józef chciał pokazać korę przy okazji reklamowania eliksiru. Uważał, że to może zainteresować

zwiedzających, bo wziąć do ręki surową korę, poczuć jej szorstkość, poznać zapach i kolor — to przemówi do wyobraźni lepiej niż najładniej nawet wymalowane plansze, które zamówił Reutowicz. Kora była przygotowana, Lea miała tylko zapakować ją do skrzyni, która pojechała na wystawę, i jak na złość o tym zapomniała. Józef już na pewno zdążył spostrzec brak i zastanawia się, co się stało.

O Boże, nie daruje mi tego! — pomyślała zdenerwowana. Nie zamierzała czekać bezczynnie. Może nie wszystko stracone, przecież sama może zawieźć te pudła. Nie zastanawiała się długo; wzięła klucze od laboratorium i weszła do środka. Nadal było tam trochę bałaganu, ale zapomniane pudełko stało nietknięte na szafie. W pośpiechu weszła na taboret, zachwiała się i pudło wypadło jej z rąk. Kora się rozsypała, wpadając do pustych butelek i skrzyń ustawionych obok szafy.

— Do licha! — zezłościła się na siebie za swoją niezgrabność. W pierwszym odruchu chciała wszystko zebrać i zapakować z powrotem, ale nie miała na to czasu. Sięgnęła do zapasów; wiedziała, gdzie są odstawione, wybrała najładniejsze kawałki kory i zapakowała do feralnego pudła. Potem pobiegła do mieszkania po duży wiklinowy kosz, włożyła do niego pudło, a z wierzchu przykryła je ściereczką z wyhaftowaną parą gołąbków.

— Panie Emilu! — zawołała, wbiegając do apteki. — Potrzebny mi Filip do pomocy.

Emil wysłuchał jej pospiesznych wyjaśnień, a na jego szczupłej twarzy pojawił się grymas współczucia godny żalobnika.

— Oczywiście, Filip może pojechać z panią, ja sobie poradzę — zapewnił.

Szybko ubrała się w szarą sukienkę i żakiet. Włożyła nowe zamszowe trzewiki i kapelusz z błękitną wstążką, który kupiła za namową Marianny. Popatrzyła w lustro, poprawiła włosy, żeby nie wystawały spod kapelusza, i zadowolona ze swego wyglądu o wpół do pierwszej wyszła z Filipem z apteki.

Na placu Zamkowym rozgrzanym majowym słońcem wsiedli w tramwaj konny, który zawiózł ich na plac Mokotowski, w pobliże wystawy. Kiedy wysiedli z tramwaju, Lea z daleka zobaczyła drewniany płot i potężną bramę wejściową z dwiema basztami, na której wisały obok siebie dwie tablice z napisem *Wystawa Higieniczna* w języku polskim i rosyjskim. Tam kupiła bilety wstępu dla siebie i dla Filipa po trzydzieści kopiejek każdy i zapytała o dział farmaceutyczny.

— Mój mąż tam wystawia — dodała z dumą, malującą jej policzki lekkim rumieńcem.

— To w głównym pawilonie, na placu Zdrowia — odpowiedział kasjer, młody mężczyzna z przyklejoną do czoła grzywką i wąsikami cienkimi jak szpicruta. — Nie sposób tam nie trafić, łaskawa pani. To ten murowany budynek na wprost.

Lea skinęła na Filipa, ruszyli przez bramę i po paru krokach znaleźli się na terenie wystawy, na którym rozmieszczono murowane parterowe pawilony oraz kilka drewnianych budek z cukierkami, wodą sodową i ciastkami. Lea rozejrzała się z zaciekawieniem. Inaczej to sobie wyobrażała. Myślała, że będzie bardziej uroczyście, co najmniej tak odświętnie jak na procesji w Boże Ciało. A tu wyglądało, jakby procesja przeszła obok, zostawiając po drodze trochę rekwizytów i rusztowań, koło których kręcili się robotnicy, kończąc jeszcze jakieś prace. Plac Zdrowia był prawie pusty, tylko kilku zabłąkanych zwiedzających zadzierało głowy do góry i podziwiała olbrzymie malowidła zdobiące główny budynek. Filip też się zagapił, aż przystanął i patrzył z niedowierzaniem, że w miejscu, które według słów prowizora miało służyć upowszechnianiu wiedzy higienicznej, znalazły się obrazki jakby wyciągnięte z innych, mniej godnych przybytków.

— Ale biusty! — szepnął z młodzieńczym podziwem.

Uosobienie żywiołów, kobiety o kształtach bujnych i prawie niczym nieskrępowanych, pobudzały męską wyobraźnię.

— Nie gap się, później sobie pooglądasz, teraz idziemy. Uważaj na kosz — upominała go. Chciała mieć już za sobą rozmowę z mężem, przeskoczyć ten moment, kiedy Józef zmarszczy gniewnie brwi i powie jej kilka słów do słuchu. Szła szybko, a za nią kroczył Filip, niosąc koszyk z pudłem kory chinowej. Weszli do budynku — wszystko było jeszcze w rozsypce, pachniało nowością, drewnem, farbą i świeżym tynkiem. Robotnicy wnosili skrzynie, przesuwali gabloty, słychać było uderzanie młotków i szelest trocin pod nogami. Stoisko Józefa wyglądało podobnie, jakby stolarze dopiero co wnieśli

zamówione witryny, w których miały być wystawione apteczne produkty. Józef stał blady, z cierpkim wyrazem twarzy, i dyskutował z jednym z majstrów. Lea od razu spostrzegła, że coś jest nie tak. Podniósł na nią wzrok, lecz wcale nie ucieszył się z jej widoku.

— Co tu robisz? — zapytał. Zmarszczył czoło i spojrzał na zegarek.

— Ładnie mnie witasz — odparła, starając się rozeznać, dlaczego jest taki niezadowolony i zdenerwowany.

— Widzisz, co tu się dzieje. Zwiedzających jak na lekarstwo, może to nawet lepiej, ale nie tego się spodziewałem. Bałagan gorszy niż na targowisku i jeszcze ciągle coś poprawiają, przenoszą, walą młotkami. Ciągły hałas, wytrzymać nie można — powiedział zagniewany i omiół wzrokiem salę.

— Chciałam zobaczyć, jak ci idzie, dotrzymać towarzystwa — spróbowała go zagadać, złagodzić jego rozdrażnienie.

— Już wystarczająco pomogłaś, zapomniałaś zapakować pudła z surowcami.

— Właśnie je przywiozłam — odparła, myśląc, że nic się jeszcze nie stało, że w porę spostrzegła swoje niedopatrzenie i Józef nie będzie się na nią gniewał. — Filip, podaj koszyk.

Józef nie dał się jednak ułagodzić.

— Niepotrzebnie się fatygowalaś. Niedługo kończymy, można to było przywieźć jutro, ale ty musiałaś zrobić po swojemu — zauważył niezadowolony, odwrócił się i wziął od Filipa pudełko, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście przywieźli, co trzeba. Potem kazał chłopakowi ustawić pudło z tyłu za gablotą.

Lea miała tego dosyć; odwróciła się na pięcie, aż jej suknia wzbiła w powietrze drobiny trocin. i ruszyła prosto do wyjścia, gniewnie stukając obcasami. Nie interesowały jej ani stoiska z czekoladą, ani z upojnie pachnącymi mydełkami, ani woda sodowa i maślane bułeczki prosto z nowoczesnej piekarni Antoniego Kurka. Wymalowane na froncie budynku żywiły, kobiety mocne ciałem i duchem, pełne witalnych sił, też zdawały się na nią gniewać, dając do zrozumienia, że jest niezaradną i głupią prowincjuską.

Wyszła z wystawy w kiepskim humorze i wcale nie spieszyło jej się do domu. Najchętniej zostawiłby to wszystko, Józefa z jego apteką, Warszawę i porządne mieszkanie z orzechowymi meblami, i to swoje niebywałe szczęście, że właśnie ją wybrał na żonę. Stary zrzęda!

— Tak trudno podjąć decyzję?

Lea usłyszała za sobą miękki męski głos z wyraźnym rosyjskim akcentem. Siedziała w małej cukierni przy Miodowej i zastanawiała się, czy wypić filiżankę kawy, czy raczej herbatę z cytryną. Zawsze jest jakiś wybór, myślała, rozszerzając swoje rozważania do innych ważnych dla niej spraw. Zawsze można coś zrobić, coś zmienić, trzeba tylko wiedzieć, dokąd się zmierza. A ja dokąd zmierzam? Co mam jeszcze zrobić? Wyszłam za Józefa, staram się go wspierać, pomagać mu, ale to nie wystarczy, żeby było dobrze. On nie uważa mnie za kogoś ważnego w swoim życiu, jestem tylko dodatkiem, namiastką Sabiny, najwyżej dziewczyną na noc i kucharką. Nie ufa mi, nie chce powiedzieć prawdy. W ogóle nie chce ze mną rozmawiać, traktuje jak służącą — gorzkie słowa pojawiały się w głowie jak chmara much, zjadliwych i natrętnych.

Po przykrej przeprawie z mężem postanowiła ukoić nerwy chwilą niesubordynacji. Nie wróciła prosto do domu; wstąpiła do cukierni, w której kiedyś była z Marianną. Nogi same ją tam zaniósły. Weszła do środka, usiadła przy stoliku nakrytym szydełkową serwetką i pogrążyła się w rozmyśleniach, które nieoczekiwanie przerwał jakiś obcy mężczyzna. Drgnęła i spojrzała na niego zdziwiona. Wyglądał schludnie, miał wojskowe buty, ciemne spodnie, długi płaszcz i jedwabny szalik pod szyją, ale kapelusz, który zdjął z głowy, był jednak miękki i lekko zdeformowany, a do tego palił smrodliwego papierosa. Nie zrobił na niej wrażenia człowieka solidnego.

— Nie znam pana i nie życzę sobie z panem rozmawiać — odprawiła go, dając do zrozumienia, że powinien pilnować swoich spraw, a nie zaczepiać przyzwoite kobiety i do tego mężatki.

— Już się spotkaliśmy — nie wysilił się na oryginalniejszą zaczepkę.

— Nie sądzę — odparła z naciskiem i odwróciła wzrok.

— Madame Klonowska, nie myślę się? — nie odpuszczał. — Aleksander Fiodorowicz Trichonow z policji lekarskiej — przedstawił się, nie zwracając uwagi na jej niechętnie spojrzenie. — Czasami bywam w aptece pani męża. Pani nie zwróciła na mnie uwagi, ale ja zawsze zapamiętuję twarz.

— Nie przypominam sobie — wstała od stolika. Nie miała zamiaru rozmawiać z tym natrętem, może rzeczywiście widziała go w aptece, ale wtedy miał na sobie mundur i wyglądał dużo lepiej.

— Czasami dobrze jest zapomnieć. Proszę jednak o chwilę rozmowy — zatrzymał ją, poczekał, aż ona usiadzie i sam przysiadł się do stolika, rzucając zdawkowe: — Pani pozwoli?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi — odparła zmieszana. Nie wiedziała jeszcze, że powinna go zignorować.

Zanim odpowiedział, zamówił dla niej kawę, a dla siebie herbatę z cytryną. Przez chwilę był pochłonięty wybieraniem ciastek, jakby to była najważniejsza dla niego decyzja. Potem jednak wrócił do rozmowy i przyglądał się Lei błękitnymi oczami, w których migotało światło wiedzy o grzechach głównych i pomniejszych.

— Nie wszystko można zrozumieć. Nie zawsze udaje nam się ułożyć logiczną całość z wielu wątków i uporządkować je w ciąg przyczyn i skutków. To tylko nasz umysł domaga się wyjaśnień, a jeśli ich brak, wtedy je tworzy — zaczął gawędziarskim tonem, przyglądając się jej obojętnie, jakby nie oczekiwał zrozumienia. — Na przykład moje spotkanie z panią w tym miejscu jest całkowicie przypadkowe, ale to, że rozmawiam z panią, to już nie jest przypadek, raczej wykorzystanie okazji. Pani też może ją wykorzystać, w ten sposób załatwimy sprawę od ręki.

Patrzyła na niego jak na kogoś niespełna rozumu. Jeszcze jeden bęcwał z filozoficznym zboczeniem, pomyślała. O co mu chodzi? — zastanawiała się, patrząc na niego podejrzliwie, coraz bardziej zdenerwowana.

— Zaraz pani wyłożę, w czym rzecz. Tak się składa, że prowadziłem sprawę Nadii Chabrowskiej, pijaczki i złodziejki, która nie tak dawno zmarła w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Zatrucie alkoholem i eterem, absolutnie nie ma co jej żałować. Chyba teraz wszystko jasne?

Czuła się coraz bardziej nieswojo.

— Po co pan mi to mówi?

— Właśnie dochodzimy do sedna sprawy. Otóż jest pewna kwestia, która wymaga wyjaśnienia, aby ułożyć tę przykrą historię w logiczną całość. Zastanawiam się, skąd Chabrowska wzięła wódkę i eter. Może je ukradła — spojrzał na Leę z oczekiwaniem, jakby to ona miała znać odpowiedź. — Jak pani myśli?

Czuła suchość w gardle, a jej głos brzmiał niepewnie i słabo:

— Nie wiem.

Zmrużył oczy i mówił znużonym głosem.

— Mogę się dowiedzieć, mogę kazać sprawdzić butelki, które znaleziono obok niej, powinna być na nich firmowa etykieta.

— Co pana powstrzymuje?

— Tak myślę, że Chabrowska nie jest tego warta. Po co robić zamieszanie z jej powodu, kiedy jest prostszy sposób. Wystarczy, że sprawdzi pani w aptece pewne recepty.

— Jakie recepty? — spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Dlaczego ja? Niech zwróci się pan z tym do mojego męża.

Trichonow nie spieszył się z odpowiedzią. Skupił się na ciastku, jakby nie chciał przerywać sobie przyjemności; smakował drożdżową babeczkę nasączoną ponczem.

— Bardzo dobre, wyśmienite — rozkoszował się niemal z lubością. Dopiero gdy skończył jeść, mówił dalej: — Pani wybaczy, ale mąż pani to skrupulant, służbista, a teraz jest taki zajęty, przyznam, że trudno się z nim rozmawia. Ponadto sądzę, że żaden solidny aptekarz nie byłby tak nierozważny i nie wydałby eteru bez zlecenia lekarskiego. I jest jeszcze jedna kwestia... — Zawiesił głos i spojrzał na nią. — Przypuszczam, że mogła kupić eter gdzieś na czarno, nasuwa się więc pytanie, skąd biedaczka miała na to pieniądze. A o tym pan Klonowski chyba nic nie wie. Pomyślałem, że załatwię to z panią. Ja nie

będę się interesował Chabrowską ani pewnym drobiazgiem, który przy niej znaleziono — dodał konspiracyjnym szeptem, spoglądając na jej rękę, w której trzymała filiżankę z kawą. — To nic specjalnego, haftowany woreczek, ładny, ale na pewno nie należał do niej, bo wewnątrz są inicjały L. K. Wydaje mi się, że to nie jest godne uwagi. Teoretycznie mógłbym o tym w ogóle zapomnieć, ale niepamięć wymaga nieco wysiłku. Rozumie pani, do czego zmierzam?

— Nie — odpowiedziała z gniewną miną, ale nie ruszyła się od stolika. Wiedziała, że rozgrywka jeszcze nieskończona.

Zastanowił się chwilę, popatrzył na jej zagniewaną twarz, a potem znów przeniósł wzrok na dłonie, drobne i ruchliwe, które teraz zbyt mocno zaciskały się na filiżance i znieruchomiały jak przyczajone ptaki.

— Wszystko ma swoją cenę, więc jeśli chce pani odzyskać woreczek, to dyskretnie przejrzy pani w aptece recepty wystawione przez doktora Gestlera w ciągu, powiedzmy, ostatnich dwóch miesięcy — uśmiechnął się, aż oczy mu pojaśniały. — Spisze pani nazwiska pacjentów i przepisane im leki. Nie powinno tego być dużo — zapewniał uspokajającym tonem. — I to wszystko.

Trichonow nie był człowiekiem tuzinkowym, nie należał do znudzonych i pozbawionych życiowego celu urzędników carskiego systemu nadzoru, nie wahał się też użyć zawołanych gróźb, słów grubych ani przesady, kreśląc przed Leą — równie obrazowo jak spowiednik — obraz klęsk i katastrof, do których mogłoby dojść, gdyby odmówiła jego prośbie. Inspiracją dla tych wizji nie było jednak stare malarstwo sakralne, lecz obserwacje upadku i skarlenia rodzaju ludzkiego. Swoją wymową potrafił przekonać Leę, że układ z nim to najlepsze i całkiem rozsądne wyjście z sytuacji.

Nadal była rozżalona na Józefa, uznała więc, że jest to nawet całkiem satysfakcjonujące rozwiązanie. Przystała na propozycję Trichonowa i nie dociekała więcej, jaki związek miała Nadia Chabrowska z receptami doktora Gestlera, który, jak się potem dowiedziała, leczył ludzi nieprzeciętnych i wystawiał im nieprzeciętnie wysokie rachunki, tym wyższe, im bardziej wstydliva była choroba.

Trichonow umówił się z nią za tydzień.

— Możemy wtedy skosztować kremu śmietankowego — zakończył lekko i poczęstował ją papierosem, żeby poznała inne przyjemności oprócz słodczy i odmawiania różańca. Tak powiedział. Był jak wąż kusiciel, a ona spróbowała, myśląc, że to pomoże jej się uspokoić, złagodzi wzburzenie umysłu, a wtedy będzie jej łatwiej ocenić sytuację i wymyślić, jak wyciągnąć potrzebne informacje o pacjentach doktora Gestlera, nie wzbudzając podejrzeń Józefa.

Stare Miasto nie ukrywało zbyt głęboko swoich sekretów. Obok kościołów działały tu inne przybytki o równie wiekowej tradycji, a może nawet starszej. Wokół Rynku nie brakowało spelunek otwartych w dzień i w nocy, domów schadzek i lupanarów z mrocznymi sieniami i izbami, których ściany przez stulecia chłoneły wilgotne oddechy i westchnienia. Na chętnych czekały uciechy dostosowane do zasobów niemal każdej kieszeni. Można było zgrać się w kraty, postawić sumkę na jakiś mniej czy bardziej szalony zakład, przepić wszystko i zabalować, jak się patrzy. Z pieniędzmi można było się rozstać również w mniej przyjemny sposób. Gdy zajrzało się do ciemnej bramy czy w wąskie przejście między domami, można było błyskawicznie stracić cały pugilares oraz kilka zębów wraz z co lepszymi sztukami odzieży i butów czy innymi akcesoriami, które nieroztropni poszukiwacze przygód nosili przy sobie.

W porównaniu do tych ciemnych zakątków apteka wydawała się niemal ostoją spokoju i ładu, choć klientela była równie barwna jak mieszkańcy okolicznych domów i ich goście. Bliskość Krakowskiego Przedmieścia sprawiała, że do apteki trafiali także klienci zupełnie obcy, którzy przypadkiem, a może zrzędzeniem losu, właśnie na Piwnej szukali dyskretniej pomocy na cierpienia duszy i ciała, zwłaszcza te bardziej wstydlive, niegodne ludzi porządnych, wymagające uciążliwych kuracji. Ich tajemnic Józef nie powierzał nikomu, proszki z rtęcią i arsenem, mieszanki z bromem i opium oraz inne silnie działające leki robił własnoręcznie. Ani Tymon, ani tym bardziej Filip nie byli na to gotowi, nie mieli dość wyobraźni, by w pełni pojąć siłę oddziaływania niebezpiecznych leków

i cudzych sekretów. Jedynie panu Emilowi Józef mógłby powierzyć takie zadanie, ale nie widział takiej potrzeby, wolał robić to sam. Własnoręcznie odważał substancje na aptecznej wadze, potem rozcierał, mieszał, łączył, aż lek przybierał formę doskonałą i zabójczą dla mikrobów oraz innych zjadliwych tworów niszczących ciała chorych.

Lea nie interesowała się tymi sprawami; do tej pory niewiele obchodziły ją cudze zmartwienia i sekrety, ale w propozycji Trichonowa dostrzegła możliwość odegrania się na Józefie za to, jak ją traktował, za swoje niespełnione nadzieje i obitą duszę. Zrobiła to z mściwą satysfakcją, o którą dotąd siebie nie posądzała.

Potrzebowała co najmniej pół godziny samotności w biurze Józefa, żeby zajrzeć do recept. Wystawa stwarzała jej po temu sposobność. Kiedy rano Józef wyszedł z Tymonem, a pan Emil i Filip zajmowali się ekspedycją, zeszła na dół i od razu ruszyła do biura. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś wszedł tam niespodziewanie, wyjęła kalendarz farmaceutyczny i przepisała z niego fragment recepty na ocet ziołowy, a potem zajęła się receptami. Wiedziała, że te z ostatniego kwartału Józef trzyma w szufladzie biurka, starsze zaś przechowuje w pudłach ustawionych w szafie. Wszystko było starannie posegregowane, pospinane i ułożone datami. Postępując zgodnie z instrukcją Trichonowa, odnalazła pożądane recepty i spisała potrzebne informacje. Nikt jej w tym nie przeszkodził; odłożyła wszystko na miejsce i odetchnęła z ulgą. Wychodząc, zajrzała do pana Emila, zamieniła z nim kilka słów, zainteresowała się tym, co robi Filip, i zadowolona z siebie wróciła do mieszkania. Kartkę z wypisanymi nazwiskami i lekami schowała do kufra za okładkę starej kantyczki. Zaparzyła sobie kawę, a potem usiadła w małym pokoju przy oknie, podciągając kolana pod brodę i opierając pięty o rant krzesła. Nie miała wyrzutów sumienia, w każdym razie nie większe niż wtedy, gdy robiła coś na przekór zaleceniom Józefa. Rozkoszowała się grzeszną satysfakcją, że mogła bezkarnie buszować po miejscu zakazanym, zastrzeżonym dla osób wtajemniczonych; że mogła zgłębić jego tajemnice. Do kawy zjadła pół słoika wiśniowych konfitur. Ciotka Anastazja powiedziała, że to rozpusta.

W kolejny czwartek spotkała się z Trichonowem i dała mu kartkę ze spisnymi informacjami. Spojrzał, przeczytał i pochwalił ją za ładne pismo.

— Zasłużyła pani na coś słodkiego — powiedział.

— Myślę, że zrobiłam swoje i jesteśmy kwita — odpowiedziała, chcąc zakończyć sprawę.

— Oczywiście, madame. Znakomicie wywiązała się pani ze swojego zadania — odparł z mdłym uśmiechem. — Rozumiem, że spieszy się pani do domu, a zjedzenie kremu śmietankowego w moim towarzystwie uważa pani za grzech śmiertelny i czyn głęboko niepatriotyczny, gorszy niż przekazanie mi poufnych informacji.

— Powiedzmy, że nie lubię kremu — odparła, pożegnała go skinieniem głowy i wyszła z cukierni.

Miała nadzieję, że nigdy więcej go nie spotka. Nie pamiętała wtedy słów ciotki Anastazji, która zwykła mówić, że złe lubi powracać. Nie myślała nawet, że on jest zły, w ogóle przestała o nim myśleć. Po wyjściu z cukierni, gdy tylko doszła do Krakowskiego Przedmieścia, myślała już o czymś zupełnie innym.

Trichonow jednak powrócił, ale dopiero po kilku latach od tego spotkania, kiedy Lea już prawie o nim zapomniała jak o nic nieznaczącym incydencie.

Wystawa miała trwać do października. Józef jeździł na nią niemal codziennie i zostawał nawet do wieczora. Czasami zastępował go Reutowicz, ale on wpadał na krótko, bo większość czasu spędzał w Otwocku. Zazwyczaj więc to Józef obsługiwał stoisko wystawowe. Nie sam oczywiście, miał pomocników; przeważnie jeździł z nim Tymon, pomagał i uczył się trudnej sztuki uwodzenia klientów, uprzedzania ich potrzeb, a nawet sugerowania takowych. Całe przedsięwzięcie spoczywało jednak na barkach Józefa. Początkowo był z tego zadowolony, przy okazji mógł zwiedzić inne pawilony, porozmawiać z wystawcami, sporo się dowiedzieć i zobaczyć nowości. Wieczorem opowiadał Lei o przepięknie urządzonej nowoczesnej mleczarni, łaźni dla ubogich, o arcyciekawym rozwiązaniu

szaletów miejskich i wodociągów.

— To na pewno cię zainteresuje — zapewniał z entuzjazmem, kreśląc przed nią wizję nowoczesnych urządzeń higienicznych.

— Na pewno — odparła z przekąsem.

Józef jednak nie przejmował się jej uwagami. Był w swoim żywiole. Pertraktował z odbiorcami zainteresowanymi jego eliksirem, czarował kroplami na niestrawność, pomadą do wąsów i czopkami glicerynowymi. Był skłonny uwierzyć w siłę reklamy, rzetelnej oczywiście, nieprzesadzonej, lecz trafiającej w istotę rzeczy, czyli — jak dopowiadał Reutowicz — w potrzeby klientów, ich próżność i dążenie do bycia istotami doskonałymi w każdym calu. Którejś niedzieli Józef wygłosił odczyt dla zwiedzających o eliksirze na porost włosów i jak sam potem opowiadał, słuchano go z uwagą, bo mówił rzeczowo, nie lał wody, zebrał więc zasłużone oklaski i gratulacje. Jednak eliksir nie cieszył się takim powodzeniem, jak się Józef spodziewał, a przy tym nie obyło się bez komplikacji. Jeszcze w maju, tydzień po otwarciu wystawy, włamano się w nocy do magazynu, gdzie stały skrzynie z eliksirem, i skradziono w celach konsumpcyjnych kilka butelek. Puste, starannie obetykietowane przez Leę flaszki odnaleziono potem za drewnianym ogrodzeniem wystawy. Przez kilka dni Józef się martwił, czy eliksir aby nie zaszkodził delikwentowi, który go wypił.

— Swoją drogą nie wiem, jak ktoś mógł to wypić. Chyba zupełnie nie ma smaku, przecież to gorzkie.

— Nie masz większych zmartwień? — dziwił się Reutowicz. — A niech mu zaszkodzi, będzie miał nauczkę, że kradzione nie tuczy.

Józef się denerwował.

— Co ty mówisz? Przecież to mogłoby się odbić na dobrym imieniu naszej apteki.

Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło, ale pod koniec czerwca, kiedy wystawa rozkręciła się na dobre, przydarzyło się coś znacznie gorszego, co na długo wytrąciło Józefa z równowagi. Tego dnia wrócił do domu milczący, najwyraźniej zdruzgotany jakąś katastrofą. Lea czekała na niego z kolacją, ale gdy wszedł na górę, przestraszyła się na jego widok.

— Wyglądasz jak z krzyża zdjęty — bezwiednie powtarzała powiedzonka ciotki, bo ona tak właśnie by powiedziała na widok Józefa. — Dlaczego nic nie mówisz? Co się stało? Jesteś chory? Okradli was? Napadli? — dopytywała się coraz bardziej niespokojna.

— Gorzej — powiedział i przygnębiony usiadł przy stole.

— Jak gorzej, co się stało? — podsunęła mu kieliszek krzepiącej nalewki, dobrej na nerwy, serce i humor.

— Wszystko diabli wzięli — wyrzucił z siebie. — Wszystko przepadło!

— Ale co ty mówisz? Co się stało?

Józef jednym haustem wypił trunek i zaczął mówić głosem zmienionym, niemal ciężkim od goryczy. Jego opowieść była zawiła; Lea zrozumiała, że nieszczęście zaczęło się od pudła z surowcem, który osobiście przywiozła na wystawę. Przez kilka tygodni kora leżała sobie spokojnie, czasami ktoś rzucił na nią okiem, obejrzał, dotknął, powąchał, zapytał o to, o tanto i odchodził ucieszony, że czegoś nowego się dowiedział. Ale w końcu wystawione surowce zaczęły wzbudzać większe zainteresowanie.

— To chyba dobrze, po to je przygotowałeś, żeby ludzie oglądali — wtrąciła.

— Byłoby dobrze, gdyby nie doszukano się, że są podrabiane! — prawie krzyczał. — Jeden ze specjalistów, znany farmakognosta twierdzi, że kora jest podrabiana, że to w ogóle nie jest kora chinowa, tylko z jakiegoś innego drzewa i całkowicie bez wartości. I pewnie się nie myli, jest największym autorytetem w tej dziedzinie. Rozumiesz, co to znaczy? — spojrzał na nią z wyrzutem. — Teraz będą mówić, że nasz eliksir jest bezwartościowy, że jest zrobiony z zafałszowanego surowca i nie ma żadnego działania. Zacznie się sprawdzanie, skąd go sprowadziliśmy, doszukiwanie. Nie spodziewałem się, że coś takiego może nam się przydarzyć, i to na wystawie. Wszystko przepadło!

Lea się zaniepokoiła. O Boże, jęknęła w duchu, to moja wina, musiałam coś pomieszać. Nie miała jednak odwagi się przyznać.

— Może nie będzie tak źle, przesadzasz — próbowała uspokoić męża i siebie.

— Nie przesadzam! Lepiej nic nie mów! Nie znasz się! — denerwował się Józef.

Zaskoczył ją tym wybuchem złości.

— To nie jest powód, żeby na mnie krzyczyć, zachowujesz się jak gbur — odpowiedziała urażona. — Możesz się wyłuszczać na swojego przyjaciela, on miał sprowadzić towar, ale zdaje się, że nie miał na to czasu — przypominała mu, kierując jego uwagę na inne tory.

Józef z trudem hamował wzburzenie; zaciskał dłonie, aż pobielala mu skóra na kostkach.

— Nie mieszaj do tego Reutowicza, ten towar ja sprowadziłem i ja go powinienem sprawdzić. I nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia. Tyle pracy i kosztów poszło na marne i taki blamaż. Taki wstyd. Nie powinienem się tak spieszyć — niemal załamywał ręce. W końcu spojrzął na Leę i powiedział pojednawczo: — Przepraszam, niepotrzebnie się uniosłem, to nie twoja wina. Nie mogę zrozumieć, jak to się stało; sam wybrałem najlepsze okazy z całej partii. Każdy kawałek miałem w ręku, byłem przekonany, że wszystko jest w porządku. Moja wina, nie sprawdziłem dokładnie — wyrzucał sobie, skubiąc nerwowo wąsy. — A Reutowicz nie ma z tym nic wspólnego.

Zrobiło się jej gorąco; czuła, że oblewa ją rumieniec. Powinna teraz powiedzieć, że pudło wypadło jej z ręki i ona włożyła inne, jej zdaniem ładniejsze kawałki kory. Przemilczała to jednak, nie starczyło jej odwagi, żeby teraz się przyznać. Może później, jak Józef nie będzie taki rozdrażniony, wtedy mu powie.

— Co teraz zrobisz? — zapytała, z trudem opanowując drżenie głosu.

— Musimy wycofać eliksir z wystawy. Zatelegrafowałem do Reutowicza, jutro powinien przyjechać.

Kiedy to usłyszała, zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco, a rumieniec dotarł aż do koniuszków uszu.

Reutowicz przyjechał nazajutrz i obaj naradzili się, co mają dalej robić. Józef uważał, że najlepszym rozwiązaniem byłoby wycofanie eliksiru z wystawy. Reutowicz sprzeciwił się temu, twierdząc, że wycofać trzeba tylko część, tę, która była przygotowana z zafałszowanego surowca. I tu sprawa się skomplikowała. Zaczęli sprawdzać, doszukiwać się, gdzie był ten fałszywy. Lea chodziła jak struta. Straciła apetyt, bo wiedziała, że katastrofa wisi na włosku. W końcu Józef znalazł torbę, do której schowała resztki rozsypanej przez siebie kory. Przyniósł ją do mieszkania i położył na stole. Minę miał zaciętą, zmienioną grymasem gniewu. Spojrzął na Leę jak na złoczyńcę.

— Możesz mi powiedzieć, co to znaczy? — zapytał oskarżycielskim tonem.

Teraz już nie miała wyjścia, musiała się przyznać.

— Upuściłam pudło, wszystko się wysypało, nie chciałam zbierać tego z podłogi, więc wzięłam inną korę z worka pod oknem — powiedziała niemal z płaczem.

— Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu?

— Próbowałam, ale byłeś taki zły, bałam się powiedzieć, co się stało — przyznała skruszona.

Józef popatrzył na nią tak, jakby była osobą nieczystą, skalaną fałszem i nieudacznictwem.

— Żebyś nigdy więcej nie wchodziła do laboratorium! Zrozumiałaś?!

— Więcej tam nie zajrzę. Możesz być pewny — odparła ze łzami w oczach i zagryzła wargi, żeby nie powiedzieć mu, co o nim myśli, że jest niesprawiedliwym i wstrętnym hipokrytą, który woli towarzystwo ponurego przyjaciela niż jej. Tego mu na szczęście nie powiedziała.

— Popłacz sobie, może zrozumiesz, co do ciebie mówię — rzucił jej jeszcze jedno gniewne spojrzenie i wyszedł.

Przez kilka dni wcale ze sobą nie rozmawiali. To nie było takie trudne: on wychodził rano i późno wracał. Wystarczyło udawać, że go nie dostrzega, wystarczyło mijać go, jak mija się cień — zimny i niechciany. W nocy też nie było mowy o porozumieniu. Ignorowała wszystkie jego starania, nie dała się złapać na lep czułości. Mało to razy słyszała, jak trzeba z mężem postępować? Wprawdzie nic o tym nie pisano w poradniku dla młodych małżeństw, ale Lea znała i takie nauki.

Dzień przed ślubem Urszulcia odczekała, aż Lea zajrzy do kuchni, wtedy podeszła do niej i powiedziała:

— Niech panna Lea idzie ze mną na stronę.

Zdziwiona Lea spojrzała na Urszulcię, a ona wytarła ręce w fartuch i poprowadziła ją do spiżarni.

— Ja pannie Leokadii coś powiem — mówiła ściszym głosem. — Bo ciotka to pannie nic nie doradzi, najwyżej modlić się każe. A jak już panna Lea za męża idzie i jedzie do tej Warszawy, i będzie tam sama jak palec, to musi wiedzieć, jak sobie radzić ze ślubnym. A ja trzech pochowałam, to niech mi panna Lea wierzy, że wiem coś o tym. Czy to prosty chłop, czy miastowy, to wszystkie jednakie i jedno im w głowie, lubią sobie dogodzić i pod pierzyną, i za stołem. Taka ich natura. Więc panna zrobi tak, z początku będzie układna i będzie robiła, co jej mąż każe, a jak już się dowie, jak go zadowolić, to będzie go miała w garści. Chce panna Lea nową chustkę czy sukienkę albo pójść gdzieś na zabawę, to niech powie mężowi, że potrzebuje to czy tamto. A jak on się z tym nie bardzo kwapi, no to nie ma miłości, bo głowa pannę boli albo na żołądku coś słaba. Niech on wie, gdzie jego miejsce, niech wie, że musi zasłużyć, że za darmo nic nie ma — wyszeptła Lei na ucho. — Wtedy będzie pannę uważał, po rączkach całował i będzie pannie Lei dobrze. Ot i cała babska mądrość. Tylko niech panna Leokadia robi tak, jak powiedziałam. — Lea kiwnęła głową, a Urszulcia zadowolona dodała: — Jak sobie panna Leokadia męża wychowa, żeby wiedział, gdzie jego miejsce, to będzie miała z niego pożytek.

Taka to była nauka Urszulci i Lea zaczęła wprowadzać ją w życie, dostosowując do potrzeb i okoliczności.

W czwartek Józef wrócił wcześniej, wyciągnął pudełko czekolady i butelkę wina i postawił przed nią na stole.

— To na zgodę, Lea. Nie kłóćmy się więcej, mam tyle spraw na głowie, a ty jeszcze mi dokuczasz. Zapomnij, co powiedziałem, wcale tak nie myślę, byłem zły na ciebie przez tę wpadkę z wystawą — tłumaczył się, a jego oczy znów były szare i spokojne.

Mówił szczerze, wierzyła w to, mogła mu wybaczyć. Pogodzili się, wypili słodkie wino, zjedli czekoladę, a Józef jakby nigdy nic zaczął opowiadać o wystawie i wyborowym asortymencie towarów aptecznych, o maściach, miksturach i proszkach, które zachwycają publiczność. Słuchała, potakiwała, czasem o coś zapytała, okazywała umiarkowane zainteresowanie. Przez jakiś czas było prawie tak, jak być powinno. Nie potrafiła jednak do końca zapomnieć, jak ją potraktował, w jej duszy pozostała mała kłująca zadra.

W czerwcu przyszyły upały, wraz z nimi sączyły się brzydkie zapachy ze śmietników i rynsztoków. Dorodne muchy wpadały do mieszkania, wciskając się w szpary niedomkniętych okien, i brzęczały uwięzione w firankach i blandynach albo krążyły w pokojach i kuchni, szukając resztek jedzenia, okruchów chleba, kropel rozlanej herbaty, krwi i mięsa, które nieomylnie wyczuwały pierwotnym zmysłem. Lea przeganiała je piołunem, ustawiała spodeczki z trującym mlekiem, w którym gotowała pieprz angielski, ale one uparcie powracały, podobnie jak jej myśli, niespokojne i dokuczliwe. Budziły ją nad ranem i wtedy przypominała sobie wszystkie złe słowa, które powiedział jej Józef. Potem, w blasku dnia, te myśli uciekały, kryły się po kątach, a ich miejsce zajmowały zwykłe wydarzenia związane z wystawą i apteką. Czuła jednak, że zbliża się jakiś przełom, nadciąga zmiana pogody, powietrze drgało jak podrażniony nerw.

Nigdy nie lubiła burzy, bała się piorunów i błyskawic. Jej lęk był instynktowny — nie miał z wiekiem, nie dawał się zapomnieć ani oswoić, trwał w niej głęboko. Z dzieciństwa zapamiętała burzę, która zastała ją na polu, kiedy zbierała z babką makówki. Niebo było granatowe i ciężkie, wydawało jej się, że w każdej chwili może się zawalić. Piękny to był widok i groźny; przypominał, że na pewne sprawy człowiek nie ma wpływu i prędzej czy później jakaś burza nadciągnie.

Po zażegnaniu kłótni z Józefem nie spodziewała się kolejnych niepokojów. Gdy na świętego Piotra i Pawła nad Warszawą przeszła gwałtowana nawałnica, nie podejrzewała, że jeszcze coś złego wisi w powietrzu. Wiatr wymiatał z ulic piasek i spłoszonych przechodniów, traskał niedomkniętymi oknami i drzwiami, przewracał kosze i stragany na Rynku. Dorożkarze postawili budy i szybko zjeżdżali do stajni. Błyskawice przesywały ciemne niebo i rozłupywały je z hukiem, jakby było z bazaltu. Na ziemię spadły pierwsze duże krople. Zanim zaczęło na dobre lać, Józef ze współnikiem wrócili

z wystawy.

Reutowicz dopiero co przyjechał z Otwocka od żony. Od rana był z Józefem i razem obsługiwali stoisko, a potem przyjechali do apteki. Kiedy rozszalała się burza, przyszli na górę.

— Lea, bądź tak dobra i zrób herbaty — poprosił Józef. — I może zostały jeszcze te rogaliki z marmoladą, które niedawno upiekłaś.

Przygotowała im rogaliki i herbatę. Weszła z tacą do pokoju akurat w chwili, gdy Reutowicz opowiadał o żonie. Stał z pochyloną głową, a wzrok miał utkwiony w podłozie. Wyglądał, jakby uszło z niego powietrze.

— Znowu krwotok... lekarze nie dają jej więcej niż kilka miesięcy, musiałyby zdarzyć się cud, żeby doczekała do...

Zamilkł, gdy weszła i postawiła tacę na stole. Józef się nie odzywał.

— Przykro o tym słyszeć, musi być panu ciężko — wtrąciła ze współczuciem.

Nie odpowiedział. Pomyślała, że nie usłyszał, że jej słowa stłumił poryw wiatru, który uderzył w okna, ale on spojrzał na nią tak, jakby chciał skarcić niegrzeczne dziecko, które przerywa rozmowę starszym. Wyszła, czując na sobie jego spojrzenie. Dlaczego on jest taki przykry, jakby miał do mnie pretensje, że jestem zdrowa i pełna życia, gdy jego żona umiera? Przecież to absurdałne. Nic na to nie poradzę, pomyślała.

Usiadła w kuchni przy oknie, podciągnęła kolana pod brodę i patrzyła przez szybę, na której krople deszczu rysowały zagmatwane meandry, zamazując obraz ulicy, gdzie przemoczeni ludzie przemykali, nie podnosząc wzroku ku niebu. Chciała pomyśleć o czymś przyjemniejszym. Przypomniała sobie, że jako dziecko po wiosennej ulewie wybrała się z babką na łąki. Szła z nimi Marysia i jeszcze któraś z tych starych kobiet, trochę szalonych i nawiedzonych, które umiały wróżyć z cieni, zamawiać choroby, leczyć jakim i skórą zdartą z lina. Szły na bosaka; ona też zdjęła buty. Kałuże były ciepłe, szybko wsiąkały w piaszczystą drogę, można było zanurzyć w nich stopy i rozchlapać wodę, w której przeglądało się słońce. Dalej na łąkach było błoto i babka nie pozwalała jej tam wchodzić. Lea stała z brzegu i zbierała niezapominajki, a one zrywały całe naręcza mięty i końskiego szczawiu. Zamyśliła się i przeniosła daleko. Słyszała wodę spływającą z rynny koło ganku starego domu, czuła zapach rozmokłej ziemi, pokrzyw i łopuchów wybujających w rowie przy drodze. O Boże, jak tam było ładnie, westchnęła.

Po godzinie Józef powiedział, że musi na chwilę zejść i poprosił ją, żeby zajrzała do gościa. Lea niechętnie wróciła do dużego pokoju. Reutowicz wydawał się zamyślony. Nie podniósł wzroku, gdy zapytała:

— Napije się pan jeszcze herbaty, a może kawy?

Odpowiedział dopiero po chwili.

— Nie, dziękuję.

Powinna wtedy wyjść i zostawić go samego, ale zamiast tego podeszła do okna, odsłoniła firanek i patrzyła na chmury, które kotłowały się nad miastem. Burza uciszała się, aby zaraz powrócić i znowu spuścić zasłonę ulewnego deszczu. Teraz jednak zaczęło się rozjaśniać.

— Już chyba mija — powiedziała — zaraz przestanie padać.

— Uważa pani, że powinienem już iść?

Teraz ona nie odpowiedziała. Co za głupie pytanie, chce mnie sprowokować, żebym powiedziała, co myślę. Przyglądała mu się kątem oka. Wyglądał jak zawsze, a jednak było w nim coś, czego wcześniej nie zauważyła, jakieś napięcie, które wyostrzyło mu rysy. Patrzył na nią czujnie, drapieżnie, jakby szukał na jej twarzy śladów lęku, analizował jej ruchy, czekając na potknięcia i błędy.

— Józef powiedział, że znowu są trudności z wystawą — starała się mówić swobodnie, a wcale tak się przy nim nie czuła.

Reutowicz bawił się łyżeczką od herbaty; był zbyt spokojny.

— Józef jak zwykle przesadza, a w interesach trzeba czasem ryzykować.

— Więc nie ma jeszcze katastrofy? — zapytała, odwracając się do niego z niedokończonym uśmiechem.

— Katastrofy nie ma, kiedy kobiety nie wtrącają się do nie swoich spraw — stwierdził, podnosząc na nią wzrok.

Mogła się spodziewać, że będzie pamiętał o jej niefortunnej pomocy i powie coś niemiłego na ten temat.

— Najłatwiej krytykować i nic nie robić — odcięła się.

Odsunął od siebie gwałtownie filiżankę z niedopitą herbatą, jakby chciał ją strącić ze stołu.

— Nie ma pani o mnie dobrego zdania. Na szczęście interesy prowadzę z Józefem, a nie z panią.

— Rzeczywiście, na szczęście — przyznała. — Chociaż nie wiem, jak Józef może się na to godzić, jak może pozwalać, żeby tak go pan wykorzystywał.

— Wykorzystywał? O co pani chodzi? — zmarszczył brwi. Patrzył na nią zdziwiony, jakby nie był pewien, czy dobrze słyszy.

Wzruszyła ramionami.

— Słucham, może dowiem się czegoś ciekawego — nie ustępował i już nie starał się być miły. Był spokojny, ale jego głos przybrał ostre rejestry.

Denerwował ją sposób, w jaki się do niej odnosił, jego ironia i ton wyższości.

— Nie domyśla się pan, to powiem. Przeszkadza panu, że Józef się ze mną ożenił i nie może się pan tu rządzić jak we własnym folwarku — powiedziała, rozkoszując się każdym zjadliwym słowem.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

— A mi się zdaje, że nie ma pani o niczym zielonego pojęcia. Przyjaźnię się z pani mężem od lat i nie sądzę, żebym go w jakiś sposób wykorzystywał. I proszę sobie darować ten napastliwy ton.

— Akurat! Niech mnie pan nie rozśmiesza. Panu bardziej zależy na jego rublach niż na przyjaźni!

— I kto to mówi? Pani, która przyssała się do Józefa jak pijawka — patrzył na nią z niesmakiem, jakby rzeczywiście była pijawką.

Aż nią natrzęzło ze złości, zacisnęła pięści.

— To nieprawda!

— Nie mam zamiaru z panią dyskutować — powiedział ze znużeniem i wstał od stołu. — Skończmy tę rozmowę. Dziękuję za poczęstunek.

Zerknęła na chmurne niebo nad dachami kamienic i brnęła dalej:

— Więc to prawda, co ludzie mówią, że pan go naciąga na pożyczki, bierze na litość, bo pana żona taka chora! — wyrzuciła z siebie, żeby mu dopiec, żeby mu poszło w pięty.

Podszedł tak błyskawicznie, że nie zdążyła się odsunąć, chwycił ją za ramię i potrząsnął.

— Przestań mnie prowokować! — powiedział rozżłoszczony. Patrzył na nią z niesmakiem i nagle pocałował w usta, mocno, bez czułości, jak zagryza się wargi, żeby nie krzyknąć z bólu.

Stała osłupiała, skurczyła się w środku do zamarłego ze strachu zwierzątka. Nie miała siły się poruszyć, odepchnąć go. Czuła, że jest nic nieznaczącą istotą, którą może stłamsić. Dopiero gdy ją puścił, mogła coś z siebie wykrztusić.

— Oszalał pan! — wystękała, wycierając z obrzydzeniem usta wierzchem dłoni.

— Jest pani małą wstrętną intrygantką! Te pół roku niczego pani nie nauczyło? Nie rozjaśniło w głowie, nadal woli pani słuchać plotek — powiedział i wyszedł.

Słyszała, jak oddalają się jego kroki, potem usłyszała zamykanie drzwi. Wyszedł. Ciszę przerywał tylko odgłos jej niespokojnego oddechu, brzęczenie zabłąkanej muchy, a krople deszczu znów uderzały w parapet. Po chwili, gdy była pewna, że nie wróci, odetchnęła i rozplakała się z wściekłości, z bezsilności, ze wstydu. Czuła się brudna i upokorzona. Chciała zmyć z siebie jego dotyk. Szorowała i tarła twarz, aż skóra zrobiła się czerwona i poczuła ból.

Wcale nie zamierzała go prowokować, nie w ten sposób. Wyrwało jej się kilka słów, ale nic takiego nie powiedziała. I o co mu chodzi? Wstrętny typ! Brudny wieprz! Przywoływała w myślach najgorsze obelgi. Co on sobie myśli, że ja nie powiem o tym Józefowi? Powiem, i to zaraz. Niech się dowie, jakiego ma przyjaciela.

Zbiegła na dół, głośno stukając trzewikami o drewniane stopnie. Józef stał przy ekspedycji i obsługiwał kobietę z opuchniętą twarzą, najwyraźniej cierpiącą na fluksję.

— Trzeba płukać tym trzy razy dziennie — tłumaczył cierpliwie, podając chorej ciemną butlę z lekarstwem.

Lea czekała w napięciu, aż Józef skończy. Potem odwołała go na bok.

— Reutowicz... — zaczęła, skubiąc rękaw sukienki ze zdenerwowania.

— Wiem, wiem — przerwał jej, wziął ją za ramię i poprowadził kilka kroków na korytarz. — Powiedział, że musiał już iść...

— Może tak ci powiedział, ale...

Nie słuchał jej, patrzył w stronę Filipa, który stawiał na półce słoje z lekarstwami.

— Lea, teraz nie mam czasu — zbył ją i podszedł do ucznia. — Przecież nie tak cię uczyłem! — upomniał go i zaczął mu tłumaczyć, gdzie ma ustawić lekarstwa.

Wciąż patrzyła na Józefa z nadzieją, że znajdzie dla niej chwilę, ale zajął się nowym klientem. Zdenerwowana wróciła na górę. Józef przyszedł po kwadransie i zastał ją w kuchni. Oczy miała zaczerwienione od płaczu. Zbierała z podłogi resztki potłuczonych filiżanki, która wyleciała jej z rąk. Tej, z której pił Reutowicz.

— Co się stało?

— Stłukłam filiżankę — przyznała drżącym ze zdenerwowania głosem. — Ładna była. Szkoda.

— Na przyszłość lepiej uważaj — upomniał ją. Potem, jakby coś mu się nie zgadzało, spojrzał na nią i zapytał: — I dlatego płaczesz?

Wzruszyła ramionami.

— Dlatego i nie dlatego.

— No więc o co chodzi?

— Reutowicz był dla mnie niemiły.

— Niemiły? — zdziwił się. — No wiesz, w jego sytuacji trudno być miłym. Słyszałaś o jego żonie, dlatego jest niespokojny, może i niemiły. Nie ma się czemu dziwić. To dla niego ciężki okres — jak zawsze tłumaczył przyjaciela. — Na dodatek z wystawą ciągle mamy kłopoty, a dziś jeszcze ta burza.

Zawahała się, czy powiedzieć, jak zachował się ten jego niezawodny przyjaciel, który podobno cierpiał z powodu beznadziejnie chorej żony i wyładowywał złość na niej. Filip miał co do niego rację, przypominała sobie jego słowa, ale Józef nie uwierzy albo pomyśli, że to jej wina, że sprowokowała Reutowicza. Lepiej nic nie mówić.

— Ty go nie lubisz, zawsze mu przypniesz łątkę — stwierdził Józef, przyglądając się jej badawczo.

— Tak, chyba go nie lubię — przyznała. Jeszcze jak go nie cierpię i on doskonale o tym wie, dodała w myślach.

— Znowu ktoś ci coś naopowiadał, a ty we wszystko wierzysz.

— Nikt mi o nim nic nie mówił — oparła. — Co miałby mi powiedzieć?

— Nic. O to chodzi, że nic. Nie wiem, co ty masz przeciwko niemu.

Mogła teraz powiedzieć, że ona nie wie, dlaczego Józef się z nim przyjaźni, ale nie miała już siły na dyskusję. Józef znów by się zirytował, nie lubił, gdy ktoś krytykował przyjaciela.

— Powiedziałeś mi, że to ja pomieszałam korę i przeze mnie trzeba było wycofać eliksir? — zapytała, patrząc na niego z wyrzutem w oczach.

— Naturalnie, że mu powiedziałem, miał prawo wiedzieć, co zawiodło. To była moja wina. Nie dopilnowałem wszystkiego jak trzeba, stąd nasze kłopoty — niecierpliwił się, że po raz kolejny muszą do tego wracać, potem dodał nieco łagodniej: — Już nie martw się tym. Wiem, że nie chciałaś, ale co się stało, to się nie odstanie — stwierdził z westchnieniem, a w końcu zapytał: — A co z kolacją?

Może rzeczywiście nic się nie stało, pomyślała, leżąc w małżeńskim łóżu na poduszce z monogramem tamtej kobiety, którego dotąd nie zdążyła wypruć. Józef spał obok, lekko pochrapując. Za oknem szumiał deszcz, zmywał brudy z ulic, splukiwał domy i rachityczne drzewa, przywiedłe trawy zaczezione w szczelinach między kamieniami bruku. Oczyszczał powietrze i ludzkie umysły, a myśli płynęły łagodniej, spokojnie. Lea nie mogła jednak spać. Mała, głupia intrygantka, tak o niej powiedział. Sam jest intrygantem, a do tego prostakiem i zarozumiałym draniem. Tak powinna była mu powiedzieć,

a nie stać jak kołek, ale takie odpowiedzi przychodzą do głowy dopiero później, po wszystkim. Jak mogła pozwolić, żeby ją dotknął? Jak mogła dać się nabrać na jego smutną opowieść o chorej żonie? Czuła się naiwną dziewczyną, zwykłą ignorantką.

Męczyło ją to przez kilka dni jak niestrawność po niedojrzałych śliwkach. W końcu uznała, że sama się z tym kłopotem nie upora. Potrzebowała słów, które przywróciłyby jej spokój umysłu i ciała. Poszła do kościoła dominikanów.

— Zgrzeszyłam — wyznała, klękając w konfesjonale. — Pozwoliłam, żeby pocałował mnie inny mężczyzna.

Spowiednik niejedno już słyszał, ale lubił, gdy mówiono konkretnie.

— Jak to inny?

— Nie mąż — szepnęła zawstydzona Lea.

Ojciec Barnaba zamrugał, podrapał się po źle ogolonej brodzie i wysłuchał jej ze skupieniem. Im bardziej wyznania Lei rozpałały jego wyobraźnię, tym bardziej płomienną wygłaszał naukę. Zakończył efektowną sceną mąk piekielnych, jaką podpatrzył na jednym z obrazów starych włoskich mistrzów. W końcu dał jej rozgrzeszenie i powiedział, żeby modliła się do świętej Małgorzaty i przyszła ponownie, gdyby sytuacja się rozwinęła.

To samo poradziłyby ciotka Anastazja i jeszcze kazałyby pić napar z piołunu na zapomnienie, pomyślała Lea. Gorliwie wypełniła jednak pokutę i poczuła się lepiej, jakby spadł jej kamień z serca. Teraz wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie, postara się zapomnieć, a raczej będzie udawać, że zapomniała i nic właściwie się nie wydarzyło.

Na początku lipca Lea pojechała w odwiedziny do ciotki. Józef odwiózł ją na stację, wsadził do pociągu, ucałował na pożegnanie, powiedział, żeby uważała na siebie, i wrócił do swoich obowiązków. Lea jechała z bijącym sercem, to była jej pierwsza samodzielna podróż pociągiem i wyobrażała sobie, że może ją spotkać wiele niespodziewanych komplikacji. Już sama myśl o nich sprawiała, że jej serce przyspieszało niespokojnie. O Boże, a jak przegapię stację? A jak zgubię bagaż albo bilet? Martwiła się, ale jednocześnie była podekscytowana, że zdecydowała się na taką eskapadę. Pierwszy raz najtrudniej, potem już będzie łatwiej, oswoję się, dodawała sobie otuchy.

Szczęśliwie podróż przebiegła spokojnie, można powiedzieć, że nic się nie wydarzyło oprócz tego, że była trochę spięta i zdenerwowana i zgubiła rękawiczkę. Przedział w wagonie był prawie pusty. Usiadła przy oknie, a kiedy pociąg ruszył, przyglądała się widokom. Najpierw brzydkim budynkom gospodarczym, które ciągnęły się za stacją, potem zaroślom i chaszczom, a w końcu polom dojrzewającego zboża, które przypominały jej wszystkie lata spędzone u ciotki, i wtedy poczuła, jak bardzo się za nią stęskniła.

Na stacji w Mławie czekał na nią wuj Kacper; pojechali do domu bryczką ciągnioną przez dwa kare konie. Wuj był z nich ogromnie dumny, bo wszystko miały jak trzeba — i oczy bystre, i nogi mocne, a zgrabne w pęcinach, i podobne były do siebie jak dwie krople wody. Lea pochwaliła je, że bardzo udane, a wuj zdradził tajemnicę — powiedział, że dla urody smaruje im ogony dubeltowym piwem, w którym gotował się tytoń.

— Widzisz, człowiek na wszystko znajduje jakiś sposób. Na wszystko jest jakieś lekarstwo, tylko na starość i na śmierć nie ma, nawet twój Józek takich leków nie zna. A co on tam porabia, że taki zapracowany? — dopytywał się i Lea zaczęła opowiadać mu o wystawie.

— Tak to jest, wszystkiego najlepiej samemu pilnować — stwierdził wuj z przekonaniem i cmoknął na konie. — Patrz, jakie dorodne, jakie udane. Każdy mi ich zazdrości, dlatego czerwone kity musiałem im zawiesić przy uździe, żeby było od uroku. Stary Jezierski mi doradził, strzeżonego Pan Bóg strzeże, powiedział, a od uroku to najlepsze czerwone. I tak jest, wszystkiego trzeba dopilnować, samo się nie robi — dodał wuj Kacper i z fantazją, o jaką Lea nigdy go nie posądzała, przejechał przez Korytnicę.

I tak zaczęło się dla Lei lato niezwykle, jak nigdy dotąd, które potem przez całe życie

przywoływała we wspomnieniach jako beztroskie i niewinne. Bo wystarczyło nieco zmienić punkt widzenia, nabrać dystansu albo przynajmniej przymknąć oko na to i owo, spuścić z tonu, poluzować gorset i było całkiem dobrze, nawet z Józefem.

Przez pierwszy tydzień po przyjeździe jeszcze czuła się trochę miastowa, nosiła miastowe stroje, odwiedzała jak gość znajomych i sąsiadów. Ale potem włożyła starą spłowiałą sukienkę i znów poczuła się tutejsza. Znowu zajęła swój pokój na poddaszu, gdzie odwiedzała ją ruda kotka o pięknych zielonych oczach, która bezszelestnie wchodziła przez uchylone okienko i układała się na kolanach, gdy Lea pisała listy.

W każdy poniedziałek pisała do Józefa. Drogi mężu, zaczynała sztywno, a potem opisywała zwykle domowe zajęcia, to że jabłoń obrodziła, a krowa u sąsiadów się ocielila i że właśnie robią pikle i wiśniową konfiturę. I że niedługo będzie odpust. Pisała, jakby on był swój, wtajemniczony w domowe zajęcia, znał wszystko i wszystkich, jakby nie było między nimi żadnych nieporozumień i nieudomówień. Nie chciała pamiętać ani o milczeniu Józefa, ani o Reutowiczu, ani o tej nieszczęsnej kobiecie, której już nie ma. Cieszyły ją domowe zajęcia. Niegdyś nudne i uciążliwe, teraz wydawały się ważne niemal jak święta, bez których lato byłoby zmarnowane, niepełne i nieprawdziwe. Nie oglądała się już za siebie i nie czekała na coś niezwykłego, najwyżej na przyjazd siostry, która miała spędzić kilka tygodni u wujostwa. Ale ciotki Anastazji ten pozorny spokój nie zwiódł.

— Chodź, dynie ci pokażę, rosną w tym roku jak na drożdżach — powiedziała któregoś popołudnia.

Poszły do ogrodu, daleko aż do góry kompostu, gdzie rozrosły się dynie o liściach jak wachlarze i dużych pomarańczowych owocach, z których robiło się zupę dyniową na mleku, lekko słodką i gęstą od zacierek. Nikt z domowników nie wyobrażał sobie, żeby któregoś lata dynie się nie urodziły i nie było dyniowej zupy. To było wprost nie do pomyślenia. Jak świat światem — w każdym razie ten mały, korytnicki — dyniowa co roku pojawiała się na stole i była sygnałem, że lato wkrótce będzie się kończyć, zanikać, niczym słońce coraz szybciej przechodzące od południa ku zachodowi. I właśnie przy tych dyniach ciotka zapytała ją o istotę rzeczy. Zaczęła zwyczajnie.

— Tylko zobacz, jak się w tym roku udały.

— Piękne, jak zawsze — odparła Lea, zaglądając pod rozłożyste, lekko kolczaste liście, gdzie schowały się owoce, te mniejsze i jeszcze blade.

Po tym wstępie ciotka szybko przeszła do sedna sprawy i zaczęła ją wypytywać.

— Nic nie mówisz, jak ci się układa z Józefem. — Przyglądała się jej uważnie.

— A jak ma mi się układać? Zwyczajnie.

— A kiedy babką zostanę, cioteczną wprawdzie, ale chciałabym tego doczekać, zobaczyć twoje dzieci?

Lea milczała. Co miała odpowiedzieć? Że próbują od czasu do czasu? Różnie to zresztą bywało. Zaraz po ślubie Józef był bardziej obowiązkowy, a nawet nadobowiązkowy. Kiedy miał rano czas, przychodził na śniadania i nieraz zostawał dłużej. Sadzał ją sobie na kolanach, a jego dłonie błędziły pod suknią, przekopując się przez halki i pantalony o długich nogawkach z rozcięciem w kroku, które Lea szyla razem z ciotką, żeby mieć wyprawę jak miastowa panna.

— Nie teraz, nie przy śniadaniu — broniła się przed jego pożądlivym dotykiem.

— A co ci szkodzi? Schrupię cię z apetytem. Jesteś taka słodka jak bułeczka z dżemem — śmiał się i nie wypuszczał jej z objęć. — Bądź grzeczna, przecież to lubisz — szeptał jej do ucha, łaskocząc w policzek wąsami. — Dobrze ci ze mną, Lea? — dopytywał się.

Całował ją i czekał, aż ona odpowie na jego pieszczoty. Nauczyła się tego, rozpiniała mu marynarkę i koszulę, powoli, leniwie i przesuwiała dłoń coraz niżej, tak jak ją uczył. Oswoiła się z nim, pozbyła się strachu, który na początku łomotał jej w piersi. Poddawała się jego woli, zastanawiała się przy tym, czy tak wygląda prawdziwa miłość, bo ona niczego specjalnego nie czuła oprócz skrępowania. Z niepokojem myślała, co by było, gdyby teraz wszedł na górę któryś z pracowników Józefa. Spaliłaby się ze wstydu. Ale tego Józef nie rozumiał.

— Nie mogę czekać do wieczora, cały czas myślałbym o tobie — tłumaczył jej. — Za bardzo

zajmujesz moje myśli, zawróciłaś mi w głowie, myszko — dodawał poważnie.

W końcu zostawiał ją. Poprawiał ubranie, przyczesywał włosy, wygładzał wąsy i brodę i zadowolony schodził do apteki. Te przedłużone śniadania tak mu się spodobały, że stały się częstym rytuałem, zwykle kończącym się na miłości przy stole w jadalni. Lea nie protestowała zbyt, ale przykro jej było, że postępuje z nią tak po prostacku, jakby nie była jego żoną, tylko jakimś tam skokiem w bok. Wieczorami w małżeńskim łóżu, nad którym wisiał obraz włoskiej Madonny z puciołowatym dzieciątkiem, Józef kochał się z nią rzadziej, ale po bożemu, poważnie i starannie, jakby i tu obowiązywała go reguła *festina lente*. Lea zastanawiała się nawet, czy w kalendarzu aptekarskim Józef nie oznacza jakoś specjalnie tych dni, kiedy to poświęcał się wypełnianiu małżeńskich obowiązków. Czy nie ma jakiejś aptekarskiej formułki, która pomogłaby uczynić go ojcem?

Ona też czekała, że spłynie na nią jakieś miłosne olśnienie, poruszą się w niej rodzajne soki. Czekala na sygnał od swojego ciała, że coś się w niej zmieni, coś zawiąże. Nic takiego jednak się nie działo. Może tak nie powinno się tego robić. Ciotka powiedziała, że to prostackie i nie uchodzi, w biały dzień i do tego w jadalnym pokoju. Może przez to nie zachodzi w ciążę? Ale czego to kobiety nie opowiadały o płodzeniu dzieci? Kiedyś Agata zapewniała ją, że jak się chce mieć dzieci, to po miłości trzeba zjeść jajko o dwóch żółtkach. Ale skąd tu wziąć jajko o dwóch żółtkach, zresztą to jakieś bzdury. W poradniku dla młodych małżeństw, tym od siostry, wyczytała, że żadne leki nie pomogą, ani wzmacniające nerwy, ani nawet opium, kantarydy czy fosfor, nic z tych rzeczy w sprawie małżeńskiej nie zadziała, trzeba być zdrowym i do obowiązków małżeńskich przystępować w pełni sił, ze sprężystymi mięśniami i spokojnymi nerwami, ze swobodą umysłu. Swoboda umysłu! Łatwo powiedzieć, ale co to w ogóle znaczy? Bezmyślność? A jak tu nie myśleć o niczym, kiedy wciąż coś się dzieje. Odłożyła książkę na półkę i więcej do niej nie zaglądała. Wszystko to tylko próżne gadanie, pomyślała.

Z początku wyobrażała sobie, że szybko zajdzie w ciążę i to rozwiąże wszystkie jej kłopoty. Ale jej ciało nie zmieniało się, pozostawało obojętne, tak jak i ona była nieczuła na pieszczoty męża. Czyszczenie miesięczne powracało regularnie, pozabawiając ją złudzeń na rychłe macierzyństwo. Józef pocieszał ją, mówił, że dopiero co się pobrali i nie ma czym się martwić, ale ona z niepokojem patrzyła na swoją zakrwawioną bieliznę i nieraz, gdy szła rozwieszać pranie na strychu, siadała na schodkach i płakała. Łzy sypały się jej jak groch, czuła się nieszczęśliwa. Nie pozwalała sobie jednak na nadmiar łez, szybko wycierała oczy rękawem, wstawiała i wieszala na sznurach pantalon i halki, białe niczym skrzydlate gołębie.

Po Wielkanocy Józef już nie miał czasu na długie śniadania, a wieczorami był tak zmęczony, że zasypiał niemal natychmiast, gdy tylko się położył. Nie domagała się czułości, dobrze jej było bez tego. Ale teraz ciotka ją upominała.

— Musisz się bardziej starać, Lea, inaczej nic z tego nie będzie. I dbaj o Józefa, żeby miał ochotę do tych spraw, żeby nie był ciągle zmęczony — pouczała ją. — A czemu on nie przyjechał z tobą? Taki zajęty? Mógł chociaż na kilka dni przyjechać, pokazać się. Jeszcze ludzie zaczną gadać.

— Przyjedzie później, teraz ma dużo pracy. — I znów opowiedziała o wystawie, a w końcu przyznała się do kłótni. Tak z niej to wyszło samo z siebie, wcale nie chciała się użalać. — Ale było, minęło. Już jest dobrze — zapewniła.

Ciotka oparła się o grackę, którą wzięła niby dla wzruszenia ziemi na grządce, i spojrzała na siostrzenicę z niepokojem.

— Wiedziałam, że coś ci leży na sercu, wiedziałam, że coś tam nie bardzo między wami się układa. Inaczej tak by cię samej nie puścił z domu. Teraz musisz zadbać, żeby o tym szybko zapomniał. Wystawa wystawą, ale nie wiadomo, co on tam sam robi. Koniecznie napisz mu, żeby przyjechał jak najprędzej, że się za nim stęskniłaś, i dodaj, że wuj Kacper i ja pytamy o niego i radzi będziemy go widzieć.

— Napiszę, napiszę, na pewno przyjedzie — powiedziała Lea, chociaż wcale nie była tego pewna.

— Tylko nie odkładaj tego listu na święty nigdy — przypominała ciotka, gdy następnego dnia

zapytała, czy Lea napisała już do męża.

— W poniedziałek napiszę. Zawsze piszę listy w poniedziałki — tłumaczyła Lea.

I napisała tak, jak ciotka jej podpowiadała, że tęskni, że go jej brakuje, chociaż to nie była całkiem prawda. Dobrze jej było u ciotki, lato zrobiło się upalne, ogród pachniał rumiankami, koprem i mięętą, w sadzie dojrzewały owoce. I czego więcej jej było trzeba? Była całkiem zadowolona z życia, a świadomość, że ma kogoś takiego jak Józef, który bądź co bądź dba o nią i zawsze, no, może prawie zawsze, jest w pobliżu, i może za nią tęskni, chociaż odrobinę, dodawała jej pewności siebie.

— A ty wiesz, że jesienią Leon się żeni? — powiedziała ciotka któregoś dnia przy śniadaniu.

Lea aż podskoczyła na krześle, kruszyna sera spadła jej z łyżeczki i potoczyła się po serwecie.

— Kuzyn Leon! Kiedy?

— Terminu jeszcze nie ustalili, ale pewnie we wrześniu. A nie pytasz, z kim?

Lea szybko przełknęła kęs chleba.

— No właśnie, z kim?

— Wyobraź sobie, że poznał w Warszawie jakąś miłą pannę. Nazywa się Helenka Karwowska, z porządnej katolickiej rodziny.

— Jej ojciec ma fabrykę mydła i świec na Pradze — dodał wuj Kacper. — Całkiem ładny interes, a jakby go jeszcze trochę rozkręcić...

— A gdzie zamieszkają, chyba nie na Czajkach? — dopytywała się Lea.

Wiadomość o ożenku kuzyna wcale jej nie zasmuciła. Co tam, było, minęło, teraz chętnie pozna wybrankę Leona. Ciekawa była, co to za panna, w czym była lepsza od niej. Na pewno jest ładna, no i z posagiem, pomyślała, ale i to jej nie zasmuciło.

Dwa tygodnie później, na świętą Małgorzatę, Leon odwiedził wujostwo, aby zaprosić ich i Leę na swój ślub. Wszyscy byli ciekawi nowin. Pili herbatę w saloniku, Lea podawała ciasto z malinami, wuj wyciągnął nalewkę porzeczkową i napełnił czerwonym jak krew trunkiem kieliszki na wysmukłych nóżkach, które wyjmowano tylko od święta, a Leon opowiadał o Helenie. Mówił jak zauroczony, że taka dobra, ładna i zgrabna, i oczy ma zielone jak rozlewiska na naszych Czajkach. Z dumą pokazał fotografię narzeczonej, uśmiechał się, a czarne oczy błyszczały mu ze szczęścia.

— Bardzo mnie to cieszy — zapewniała ciotka.

— Ho, ho, ładna dziewczyna — wuj Kacper pokiwał z uznaniem głową i podał Lei fotografię.

— Wygląda bardzo wdzięcznie — stwierdziła Lea. Przyglądała się jasnowłosej dziewczynie o uśmiechniętej, trochę pyzatej twarzy i musiała przyznać, że Helena rzeczywiście wyglądała uroczo. — Zamieszkacie na Pradze?

Kuzyn z zapałem opowiadał o mieszkaniu, które chce wynająć. Powiedział, że będzie pracował w fabryce teścia. Mówił o swoich planach na przyszłość z takim przekonaniem, jakby już wszystko było ustalone i zaklepane, skazane na powodzenie. Lea nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej był aż taki rozmowny.

— Ale odmieniony — powiedziała później do ciotki. — Zakochał się i świata nie widzi poza tą swoją Helenką — śmiała się, ale trochę mu zazdrościła wiary w szczęśliwą przyszłość i tej radości, która tak go uskrzydlała. Na ślub jednak nie pojechała i nie poznała uroczej zielonookiej Helenki. Na kilka lat straciła Leona z oczu, właściwie nic ich już nie łączyło, każdy miał swoje życie.

Pod koniec lipca przyjechała Marynia. Lea cieszyła się, że znowu spędzą z siostrą kilka dni razem. Nie przeszkadzało jej nawet to, że Marynia wciąż traktowała ją jak dziecko i lubiła pouczać.

— Jak ci się powodzi, siostruniu kochana, co słyhać w Warszawie? Dawno do mnie nie pisałaś, a obiecałaś, że będziesz pisać regularnie — powiedziała Marynia, kiedy wieczorem przysiadły na chwilę na ganku, żeby popatrzeć na kończący się dzień.

— Przecież od miesiąca siedzę tu w Korytnicy, to nic nie wiem, co w Warszawie.

— Widzę właśnie, że znów jesteś dziewczyną ze wsi, znowu ugrzęzłaś w konfiturach i dżemach. I jak ty bez tego wytrzymujesz w mieście... Powiedz, ale szczerze, dobrze ci przy mężu? Nie żałujesz czasem, że stąd wyjechałaś?

Lea zapatrzyła się na grządkę z floksami, a potem przeniosła wzrok na gęstniejącą szarość między drzewami w sadzie.

— Nie skarżę się, Maryniu, Józef jest dla mnie dobry, niczego mi nie brakuje, no, może tylko takiego ogrodu i sadu — odpowiedziała uspokajająco. I kiedy to mówiła, czuła, że właśnie tak jest, a wszystkie niepokoje i nieporozumienia z Józefem wydawały się błahe i wręcz śmieszne, niewarte rozpamiętywania. — Ale nie mówmy o mnie, ty nie masz lekko w tej szkole. Dobrze zrobiłaś, że przyjechałaś, wypoczniesz. Tu jest tak spokojnie, mimo że tyle się dzieje i tyle roboty, ale wszystko idzie swoim trybem, jak Pan Bóg przykazał. Wszystko we właściwym czasie i miejscu.

Marynia popatrzyła na nią zdziwiona. Lea zazwyczaj nie była skłonna do takich refleksji.

— A jednak się zmieniłaś. On cię zmienił — stwierdziła po chwili, a potem zapytała: — U ciebie na pewno wszystko dobrze?

— Na pewno — potwierdziła Lea i szybko zmieniła temat. — Patrz, jaki piękny zachód słońca. Jutro znowu będzie upał. Rano mamy zbierać maliny, trzeba wcześniej wstać.

Następnego dnia nad Korytnicą rozpętała się burza i malinowe żniwa trzeba było odłożyć na później. W domu zrobiło się zamieszanie, w kuchni dymiło, nie było cugu, ciotka była w złym humorze, a wuj wolał się ulotnić do młyna. Marynia zaszyła się gdzieś z książką, a Lea krążyła po domu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, jakby dom wujostwa nagle zrobił się dla niej za ciasny, a burza przywoływała złe wspomnienia.

Józef przyjechał w pierwszych dniach sierpnia. Lea czekała na niego z mieszanymi uczuciami, bo nie widziała, czego może się po nim spodziewać. Czy wciąż będzie ją traktował z góry i wypominał błędy? Bo jeśli tak, to może wcale do niej nie przyjeżdżać, chyba że porzucił już ten ton zrzędliwego opiekuna, wtedy owszem, może się dogadają.

— Tylko nie rób głupstw, Lea — przestrzegala ją ciotka. Przed nią nic się nie ukryło. Zauważyła, że Lea nie cieszy się zbytnio z przyjazdu Józefa. — Możesz się na niego boczyć, ale we wszystkim trzeba znać umiar. Ubierz się ładnie, niech wie, że na niego czekasz. Nie ignoruj go i trzymaj język na wodzy — przypominała, kiedy wuj pojechał po Józefa. — No, idźże się przebrać — poganiała ją.

Wiedziała, że ciotka ma rację. Przemogła się, włożyła swoją ulubioną niebieską sukienkę, uczesała się starannie i czekała. Kiedy bryczka zatrzymała się przed gankiem, wyszła mężowi naprzeciw. Z jego twarzy starała się odczytać, w jakim jest nastroju. Uśmiechnął się na jej widok.

— Ładnie wyglądasz — powiedział na powitanie i przyglądał się jej z zadowoleniem.

Więc nie jest źle, pomyślała, gdy ucałował ją, przytrzymując trochę dłużej, niż wypadało.

— Dobrze, że przyjechałeś — powiedziała jeszcze trochę ostrym tonem, bo nagle zaschło jej w gardle.

— Brakowało mi ciebie — szeptał jej do ucha.

I to była prawda. Przekonała się o tym, kiedy tylko poszli do pokoju gościnnego, bo na jego przyjazd przeniosła się do pokoju z dużym łóżkiem. I tam ledwo zamknęła drzwi, a on zaraz przyciągnął ją do siebie i całował.

— Pognieciesz mi sukienkę — zaprotestowała.

Nie słuchał, był niecierpliwy jak uczeń. Więc zależy mu na mnie, przynajmniej odrobinę, pomyślała. A potem, kiedy wręczył jej jedwabne pończochy, zaniemówiła z wrażenia. Następnego dnia pochwaliła się ciotce.

— Podarował mi jedwabne pończochy!

— Jedwabne pończochy? Zbytek i rozpusta — uznała ciotka. — Nie wiem, kiedy ty będziesz je nosić. Tu, na wsi, ich nie wkładaj, zaraz podrzesz, najwyżej do kościoła.

Lea też uważała, że to zbytek, ale pończochy bardzo jej się podobały. Były bardzo delikatne

w dotyku i miały w sobie coś wykwintnego z lekką nutą rozpusty. Może i tak, jednak to nie umniejszało faktu, że Józef sprawił jej tym prezentem przyjemność. A że nie były praktyczne, mogła mu to wybaczyć, był tylko mężczyzną.

Przez pierwsze dni po przyjeździe Józefa czuła się lekko skrępowana, musiała na nowo przyzwyczaić się do jego obecności. Ciotka trochę jej to ułatwiała. Zagadywała Józefa, pytała o podróż i o pogodę w Warszawie, a wuj Kacper stwierdził, że brakowało mu męskiego towarzystwa.

— Czekałem na ciebie, ale tyś się do nas nie kwapił. Tyle ważnych spraw się dzieje, ale z kobietami nie ma o czym mówić. One tylko o tych swoich fatałaszkach i o kuchni albo o ślubach i dzieciach, a jak zapytasz, co tam w szerokim świecie słychać, to zaraz baranieją — śmiał się, aż ciotka się obruszyła.

— No już nie wygaduj, jeszcze Józef gotowy pomyśleć, że to prawda, że my takie ciemne.

Ale wuj Kacper machnął na to ręką i z nikim nie chciał teraz rozmawiać, tylko z Józefem. Wuj całe życie siedział w swoim młynie, jeździł najwyżej na targ do Mławy i na jarmark do pobliskich Wyszyn. Niczego poza najbliższą okolicą nie widział i nic go nie obchodziło, co się dzieje gdzieś dalej na świecie. Gazet nie czytał w ogóle, bo i po co, kiedy wszystkiego mógł się dowiedzieć od wójta albo od starego Michała, który znał świat jak mało kto, bo żył długo i niejedno widział, a za młodu był nawet w Moskwie. No ale Moskwa to nie Boston, dokąd pojechali synowie wuja i skąd przychodziły od nich dłuższe lub krótsze listy. Od dnia ich wyjazdu szeroki świat zaczął wuja obchodzić; teraz chciał się dowiedzieć o różnych politycznych sprawach, co się dzieje w Petersburgu, co w Moskwie czy Wiedniu. Zaczął nawet czytać „Kłosy” i gdy tylko nadarzyła się sposobność, wypytywał Józefa, co tam w Warszawie, o czym się mówi i o czym się nie mówi, a co Józef sądzi o Niemcach i o Chinach, bo tam jakieś niepokoje, i czy będzie wojna? I jak teraz stoi pszenica na giełdzie towarowej? Na tych dyskusjach spędzał z Józefem całe wieczory, częstował go tytoniem, wyciągał coś mocniejszego, a Józef nie odmawiał. A w sobotę i niedzielę wuj obwoził go po krewnych i znajomkach, żeby pokazać, jakiego ma udanego powinowatego, który zna się na lekach i innych pożytecznych sprawach, dajmy na to na pędzeniu wódek. Wymyślił sobie, że Józef jest ekspertem w tym względzie i może udzielić fachowych rad. Wie, jak z szumówki otrzymać istne arcydzieło, równie dobre, a nawet lepsze od gdańskich wódek, które kosztują przecież ciężkie pieniądze. Józef chętnie jeździł z wujem, najwyraźniej znajdując w tym jakieś urozmaicenie; wracał potem na lekkim rauszu, wesoły i rozmowny.

— Ciebie to nie męczy? — spytała Lea.

— Powiedz lepiej, że na mnie czekasz — uśmiechał się i patrzył na nią z pożądlivym błyskiem w oczach.

— Może trochę — przekomarzała się z nim.

Polubiła jego pocałunki, szorstkie ukłucia wąsów i brody, polubiła jego zapach, lekko apteczny, z nutą zamorskich korzeni i wody kolońskiej. Obowiązki małżeńskie już nie wydawały się takie nieprzyjemne. Nie była sztywna i spięta, traktowała je jak ćwiczenia gimnastyczne, o których czytała w ulotce przyniesionej z wystawy.

— Zmieniłaś się, wiejskie powietrze ci służy — zauważył z zadowoleniem.

Po kilku dniach spędzonych z Józefem była zadowolona, że przyjechał. Dobrze poczuć, że nie jest sama, że nie muszą się zmagać z życiem w pojedynkę, a Józef nie jest taki zły, stara się. Tu nie pokłóciliśmy się ani razu, pomyślała. Co prawda wiele ze sobą nie rozmawiali, nie poruszali niebezpiecznych, drażliwych tematów. Józef nie mówił za dużo o aptece i spędzał czas na czytaniu gazet; twierdził, że musi nadrobić zaległości. Wieczorami rozmawiał z wujem, czasem z Marynią, którą uważał za dość mądrą kobietę. Podczas gdy Lea pomagała ciotce i zajmowała się ogrodem, on siadywał z Marynią na ganku i słuchał jej opowieści o szkole, a sam mówił o wystawie i potrzebie higienicznych urządzeń w miastach. Lea czasami przystawała i aż marszczyła brwi ze zdumienia, słuchając Józefa, który zabawiał Marynię opowieściami o dobroczynnych skutkach kanalizacji albo o środkach dezynfekcyjnych, a Marynia zdawała się tym prawdziwie zainteresowana. Co za nudziarze, myślała o nich i szła dalej, z głową zajętą miętą i rozmarynem, i zupą dyniową, którą Urszulcia lekko przypaliła. Dopiero późnym wieczorem, kiedy wszyscy rozchodzili się do pokojów, Lea mogła swobodnie

rozmawiać z Józefem, ale żadne z nich nie czuło takiej potrzeby.

Kilka razy Lea wybrała się z Józefem nad rzekę. Zaprowadziła go nad zakole za olszyną. Latem woda była tam ciepła, nagrzana, można się było wykapać albo choćby pochłapać. Lea nauczyła się pływać w dzieciństwie i ku zgorszeniu ciotki pływała razem z kuzynami w głębinie koło młyna. A gdy ciotka surowo jej tego zabroniła, chodziła na zakole. Zawsze czekała na lato, żeby popływać. Pomyślała, że kąpiel w rzece sprawi przyjemność Józefowi, ale on nie był uszczęśliwiony. Stał na brzegu niezdecydowany i patrzył, jak Lea ściąga z siebie suknię i wbiega do wody w zwykłej płóciennej koszuli, która przykleja się jej do ciała, uwypuklając piersi, brzuch i pośladki.

— Lea, jeszcze ktoś zobaczy — upominał ją.

— Kto zobaczy? Tu nikogo nie ma. No, chodź!

W końcu dał się namówić.

— Nie pływałem od dzieciństwa — przyznał zażenowany.

Zanurzył się na chwilę, a potem stał na brzegu i przyglądał się, jak ona pływa, jak śmieje się i rozchlapuje wodę, próbując zachęcić go do kąpeli.

Kiedy wracali zarośniętą ścieżką koło pastwiska, zapytał:

— To tam utopił się twój kuzyn?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

— Kto ci o tym powiedział? Ciotka?

— Nie, nie ciotka. Wuj Kacper, kiedyś wypił więcej i powiedział, że miał trzech synów, a teraz jakby nie miał żadnego, bo tamci wyjechali, a najmłodszy się utopił.

— To prawda, ale nie wiem, gdzie się utopił. I nie pytaj o to ciotki, w ogóle nigdy przy niej o nim nie mów — odparła. Tak jak ja nie mówię o Sabinie, nie pytam, jak to się stało, że chciała się zabić czy uciec, dodała w myślach.

Nie pora na to, nie ma co psuć porozumienia, Józef zaraz by się zdenerwował. Zresztą po co teraz wracać do tamtych spraw? Szkoda na to czasu, uznała zadowolona z ładnej pogody i kąpeli w rzece. Było, minęło, a życie toczy się dalej. Tu jest inaczej niż w Warszawie, wszystko dzieje się zwyczajną koleją rzeczy, tak jak dojrzewają owoce w ogrodzie, jak przylatują i odlatują ptaki, a na błękit nieba nasuwa się zmrok. Wszystko jest prostsze, śmierć też wydaje się prostsza, zwyczajna i łatwiejsza, bardziej sprawiedliwa, pomyślała, idąc z Józefem przez sierpniowy skwar.

Józef został w Korytnicy przez dwa tygodnie; potem musiał wracać do Warszawy, ale Lea poprosiła go, żeby pozwolił jej jeszcze zostać u wujostwa. Przyjechał po nią pod koniec września, gdy lato już całkiem odeszło. Wtedy wróciła z nim do Warszawy.

Tak minął pierwszy rok małżeństwa Lei z Józefem Klonowskim — małżeństwa, które przytrafiło się jej jak ślepej kurze ziarno i miało być dla niej prawdziwym szczęściem.

Gdyby teraz ktoś ją zapytał, czy jest szczęśliwa, odpowiedziałaby wymijająco albo zapytałaby: co to jest szczęście? Ale nikt rozsądny nie zadaje takich pytań, bo każdemu czegoś do szczęścia brakuje. Podobnie rzecz się miała z Leą; nie mogła powiedzieć, że jest szczęśliwa. Może zbyt wiele oczekiwała, myślała, że zmieni się w kogoś innego, lepszego, pozbędzie się lęków i niepewności, wymaże koszmary. Przeszłość jednak nie odeszła, wciąż były w niej te same wspomnienia, wpisane w jej umysł i ciało.

Po roku małżeństwa czuła się jak ozdrowieniec po przebyciu letniej gorączki, która rozkłada człowieka na jakiś czas, ale potem wraca się do zdrowia, choć w pamięci zostaje doświadczenie i mądrość, która niekiedy pozwala ustrzec się podobnych wypadków. W sumie jednak Lea niewiele się zmieniła, może nabrała nieco dystansu do siebie, a jednocześnie była bardziej siebie świadoma.

Drugi rok niewiele się różnił od pierwszego. Kiedy pojawiła się w aptece po dwumiesięcznej letniej nieobecności, wszystko wyglądało bardzo podobnie. Na stole w laboratorium leżały rozłożone korzenie łośnianu, pachniało garbnikami, miętą i kwasem octowym. Tymon pracował w skupieniu, Filip rzucał ukradkowe spojrzenia na boki, żeby nie przegapić czegoś bardziej ciekawego niż przekraplanie wody koperkowej. Pan Emil był jak zawsze uprzejmy i cierpliwy dla klientów, wydawał leki, polecał

plaster rozgrzewający na ból pleców, maść majerankową na sapkę u dzieci, olej rycynowy dla przejeżdżonych. Józef obchodził swoje królestwo, sprawdzał rachunki i zamówienia, pilnował i pouczał uczniów.

— Tymon, postawiłeś słój etykietą do tyłu, a tyle razy ci mówiłem, że cały czas musisz widzieć etykietę: kiedy bierzesz słój z półki, gdy masz go na stole, odważasz substancję i kiedy odstawiasz na półkę czy do szafki — upominał go. — Cały czas musisz mieć nazwę przed oczami, żebyś się nie pomylił.

— Ja się nie pomyłę — zapewniał Tymon, który przez letnie miesiące, a może i udział w wystawie zmęźniał, zapuścił maleńkie wąsiki i sprawił sobie okulary.

— Nikt nie jest bezbłędny, warto, żebyś o tym pamiętał i robił to, co ci mówię — gderał Józef, przenosząc swoją uwagę na drugiego ucznia. — Filip, co ty robisz, co to ma być? Od czego miałeś zacząć? No, od czego? I masz za duży mózdzierz. Przecież to ci się wszystko rozłazi — mrucał niezadowolony.

Filip nie odzywał się, ale za plecami prowizora wznosił oczy ku niebu, jakby z prośbą o wsparcie. Lea współczuła jemu i Tymonowi; wiedziała, że Józef jest wymagający i uczniom trudno go zadowolić. Skrupulatność w przygotowywaniu leków i dyscyplina w pracy to były hasła, które Józef stale przywoływał, a które urastały w jego mniemaniu do głównych cech dobrego aptekarza. Każda czynność musiała być wykonana zgodnie z regułami, każdy lek przygotowany tak uważnie, jak odprawia się nabożeństwo, gdzie nawet najmniejszy ruch i gest ma swoje znaczenie, a drobne odstępstwo od normy może zniweczyć całą pracę.

— Tu nie ma miejsca na improwizację, wszystko trzeba dokładnie odważyć i odmierzyć, od tego jest waga, są cylindry i kalibrowane zlewki — przypominał, krążąc koło stołu na recepturze i patrząc uczniom na ręce. — Najpierw musicie uważnie przeczytać receptę, zastanowić się, czy nie ma jakichś niezgodności — dodał, podając Filipowi jedną z recept. — Jak zamierzasz to zrobić? Od czego zaczniesz? — zapytał.

Filip zmarszczył z namysłem czoło pod grzywką rudych włosów.

— No, trzeba wymieszać olejek miętowy z roztworem... — odpowiedział bez przekonania.

— Żle! Tymon, a ty jak byś to zrobił?

— Trzeba dać eucerynę — odpowiedział po namyśle Tymon.

— To już powinniście dawno wiedzieć, znać na pamięć jak tabliczkę mnożenia, a nie zastanawiać się i stękać, jakbym pytał was nie wiadomo o co! — zganił obu uczniów.

Nie był skory do pochwał, od jakiegoś czasu dla nikogo nie znajdował miłego słowa. Stale był niezadowolony i podenerwowany. Lea zauważyła, że mimo tygodni spędzonych w Korytnicy znowu coś się między nimi psuło, jakby wakacyjne porozumienie było chwilowym zawieszeniem broni, które obowiązywało jedynie na neutralnym gruncie, z dala od apteki i śladów Sabiny. Józef nie wspominał już o tym, ale Lea podejrzewała, że nadal przeżywa porażkę na wystawie. Myliła się jednak. Wystawa, choć nie przyniosła sukcesu i uznania dla produktów Józefa, podsunęła mu inny pomysł. Teraz chciał się zająć badaniem zafałszowań, i kontrolować surowce lecznicze, gotowe leki i używki. Znowu spędzał wieczory z Reutowiczem, naradzał się z nim, czy to nie lepszy pomysł na rozwinięcie działalności. W końcu zagadnął i ją.

— Wiesz, zastanawiam się nad kupnem mikroskopu. To poważny wydatek, a obiecałem ci nowe meble — powiedział zaraz po przyjeździe z Korytnicy, szukając w jej oczach zrozumienia.

— Jeśli potrzebny ci do pracy, to kup — odparła obojętnie. — Meble mogą poczekać.

— Tak myślisz? — spojrzał na nią niepewnie.

— Ja się na tym nie znam, pewnie i tak rozmawiałeś z Reutowiczem, on ci najlepiej doradzi — zbyła go.

Postanowiła, że nie będzie się mieszała w sprawy apteki, to nie jej rzecz. Sama zajęła się przemeblowaniem mieszkania. Już podczas pobytu w Korytnicy obiecała sobie, że to zrobi, a ciotka przyznała jej rację.

— Dawno powinnaś urządzić wszystko po swojemu. Nie musisz pozbywać się mebli, to byłoby

niemądre; gdybyś je sprzedała, nie dostałabyś za nie tyle, ile są warte. Możesz je poprzestawiać i zmienić zasłony — radziła jej ciotka.

Lea zaczęła od małego pokoju. Józef nie był zachwycony; on nie lubił zamieszania, nie lubił, gdy coś zmieniało swoje miejsce. Powiedział jednak, że Lea może robić, co zechce, oczywiście w granicach rozsądku. Przez dwa dni z pomocą stróża i jego syna Lea poprzestawiała meble. Zamówiła nowe zasłony z zielonego pluszu. Starych nie wyrzuciła, bo w sumie mogą się jeszcze przydać, takie ładne, bordowe i z frędzlami. Pomyślała, że odłoży je do schowka. Było to długie, wąskie pomieszczenie przylegające do kuchni. Wchodziło się tam z przedpokoju przez małe drzwiczki. Mimo że Lea była niska, musiała się schylić, żeby się tam dostać. A kiedy weszła do środka, rozglądała się za jakimś pudłem czy koszem, do którego mogłaby schować zasłony. W smudze jesiennego światła wpadającej przez świetlik zobaczyła dużą skrzynię podróżną. Podniosła wieko; skrzynia wydawała się pusta. Ułożyła w niej zasłony, przekładając je od moli gałązkami bagna i gazetami; w końcu wygładziła materiał, coś jej jednak przeszkadzało. W samym kącie skrzyni znalazła drewniany przybornik do szycia. Wyjęła go i z ciekawości zajrzała do środka — były w nim nici, igły, guziki, resztki koronek, ścinki materiałów, jakby cała historia strojów jego właścicielki, pachnąca lawendą, zwietrzałym kurzem i kroplą krwi zaschniętą na koniuszku igły do haftu. Od razu pomyślała, że przybornik należał do Sabiny, która tak lubiła ładne stroje. Wzięła go do kuchni i zaczęła przeglądać szufladki. Pod warstwą koronek i tiulowych wstawek znalazła jedwabny woreczek, a w nim paczuszkę zawiniętą w bibułkę i przewiazaną sznureczkiem. Zawahała się chwilę, czy zajrzeć do środka; ciekawość jednak zwyciężyła i odwinęła bibułkę. Z pakietu listów wysunęła się fotografia. Lea złapała ją i podeszła do okna; myślała, że znalazła zdjęcie Sabiny, tymczasem zobaczyła młodziankę, najwyżej piętnastoletnią dziewczynę, która spoglądała chmurnie na świat, jakby przeczuwała, że los nie będzie dla niej łaskawy. Przyjrzała się jej uważnie. Dziewczyna była bardzo ładna, elegancko i bogato ubrana; na szyi miała mały medalion, a w uszach kolczyki. Może to jednak jest Sabina? Zastanawiała się, przyglądając się fotografii. Poczła lekkie ukłucie zazdrości, bo dziewczyna była naprawdę piękna, i to urodą, która nie przemija wraz z młodością, ale dojrzewa z wiekiem i nabiera szlachetnego wyrazu jak dobre wino. Zaciekawiona odwróciła fotografię, ale nie było na niej żadnego podpisu ani daty. Obok listów i zdjęcia w przyborniku znalazła stary modlitewnik; oglądała go ze wszystkich stron i nie wiedziała, co o tym sądzić. To był żydowski modlitewnik, z wypisanym na pierwszej i ostatniej stronie szeregiem imion i dat, których ona nie potrafiła rozczytać. Wiedziała, co to znaczy; Żydzi zapisywali w ten sposób narodziny i śmierć członków rodziny. Ale dlaczego modlitewnik znalazł się w rzeczach, które należały do Sabiny? Czyżby i ona była Żydówką? Czy to możliwe, że Józef ożenił się z Żydówką? Nie, chyba nie, odpowiedziała sobie. A może jednak? Próbowała to sobie wyobrazić, on miał odpowiednie nazwisko, wykształcenie, a jej rodzice pewnie odpowiedni majątek. Do tego była taka ładna. I jakoś się dogadali, nie przeszkadzało mu jej pochodzenie. Ale nie, nie mogła w to uwierzyć. To było całkowicie sprzeczne z jego poglądami. Przecież nie mógł być aż takim hipokrytą!

Wątpliwości jednak pozostały. Przypominała sobie, co powiedziała Felutka, że Józef poświęcił się dla rodziny, opiekował się rodzeństwem i matką, kiedy ich ojciec umarł. Więc może tak się poświęcił, ożenił się z bogatą przechrztą, bo Sabina zapewne musiała się ochrzcić. Może dlatego nie chce o niej mówić. Nagle pożałowała, że była ciekawa, że już wie, a w każdym razie domyśla się sekretów Sabiny. Teraz to będzie też jej sekret, niewygodny uszczerbek na wizerunku Józefa. Nikomu o tym nie powie, nawet ciotce, tylko by kiwała nad nią głową ze współczuciem. Nie, nie będzie tego roztrząsać.

Zawinęła zdjęcie, listy i modlitewnik w jedwabny woreczek i z powrotem schowała go pod koronki. Zamknęła przybornik i odniosła do schowka. Niech tam stoi, później się zastanowi, co z tym zrobić. Te zabiegi nie wystarczyły jednak, żeby cofnąć czas, zapomnieć o Sabinie. Przez kilka dni ciągle wracała do tego myślami. W końcu Józef zauważył, że jest jakaś zamyślona, smutna, nawet przemeblowanie mieszkania przestało ją bawić.

— Stało się coś? Taka jesteś smutna — zapytał przy kolacji.

— Nie, nic się nie stało — odpowiedziała, patrząc na niego poważnie, bez uśmiechu.

— Jednak coś ci jest?

— Głowa mnie rozbolała — dodała zmęczonym głosem. Znalazłam fotografię twojej żydowskiej żony i rozbolała mnie głowa od twoich kłamstw, chciała dodać, i znów brakowało jej odwagi. Nie czuła złości, była zażenowana i rozczarowana. Nie zamierzała teraz rozmawiać o swoim odkryciu; pewnie by zaprzeczył, powiedział, że to nie jest Sabina, może jakaś jej przyjaciółka. A ten modlitewnik? Nie wiem, pierwszy raz go widzę. Skąd ty w ogóle to masz? Na pewno tak by odpowiedział i nic by to nie dało ani jemu, ani jej. Przemilczała więc sprawę, obiecując sobie, że kiedyś do niej wróci i zapyta Józefa, jak to było; ale im dłużej nad tym rozmyślała, tym bardziej wydawało się to trudne i niewygodne. Czekwała na odpowiednią chwilę, która nie nadchodziła.

Któregoś ponurego jesiennego poranka, gdy słońce całkowicie wpadło w gęstą mgłę przechodzącą w zimną mżawkę, a w aptece roznosił się złowróżbny zapach karbolu, Lea nie mogła znaleźć sobie miejsca; uwierały ją niewygodne myśli i wspomnienia, rozstrajały podejrzenia, które gnieździły się w jej głowie od momentu odnalezienia fotografii Sabiny.

Kiedy Józef zajrzał na górę, pomyślała, że może to jest odpowiednia chwila na rozmowę.

— Ona była Żydówką, prawda? Dlatego nie chcesz o niej mówić? — zapytała, szykując herbatę.

W błyszczącej powierzchni samowara widziała odbicie jego twarzy. Obserwowała, jak gniew wyostrza mu rysy. Odruchowo sięgnęła po szczypce i wrzuciła kawałek cukru do filiżanki, a potem odwróciła się powoli i napotkała jego kłujący wzrok. Nie miała złudzeń, że źle wybrała, to nie była odpowiednia pora na zadawanie takich pytań, taka pora nigdy nie nastanie. Pytania o Sabinę działały na Józefa jak płachta na byka; nawet drobna aluzja sprawiała, że się irtował, stawał się przykry, wręcz nie do zniesienia.

Poderwał się z krzesła, omal go nie wyrzucił i podszedł do niej tak blisko, że czuła na twarzy jego przyspieszony oddech; widziała, jak mocno pulsuje mu krew w żyłach na skroni.

— Już ci mówiłem, że nie rozmawiam o niej! Jeśli nie potrafisz powściągnąć swojej ciekawości, to mogę ci przypomnieć kilka spraw, o których ty wolałabyś zapomnieć — uniósł się gniewem. — I nie waż mi się kiedykolwiek o niej wspominać ani wypytywać innych. Jeśli się dowiem, że jesteś zbyt ciekawa, będę musiał inaczej z tobą porozmawiać.

Próbowała zaprotestować.

— Nie chciałam...

Nie dał jej nic powiedzieć.

— Ani słowa więcej! Nie będę tolerował nieposłuszeństwa, nie mam zamiaru ciągle się z tobą użerać. Jak się nie zmienisz, odeślę cię na wieś!

Najlepiej byłoby, gdyby już więcej się nie odzywała, ale nie mogła się powstrzymać, coś jej kazało mówić dalej, rozdrażnić go i przekonać się, co naprawdę o niej myśli.

— Dawno zrozumiałam, że nie jestem ci w ogóle potrzebna, że tylko zawadzam. No przyznaj, że tylko ci przeszkadzam! Powiedz, że żałujesz, żeś się ze mną ożenił!

Spojrzał na nią rozzłoszczony.

— Żałuję, nie wiesz nawet, jak bardzo — powiedział.

Mówił coś jeszcze, ale ona już tego nie słuchała. Wybiegła do małego pokoju. Po chwili usłyszała jego kroki. Myślała, że wejdzie i odwoła te słowa, których tak się domagała, a których wcale nie chciała usłyszeć.

Ale on przekręcił klucz w drzwiach, żeby nie mogła wyjść z pokoju.

— Posiedzisz sobie, aż zmądrzejesz — usłyszała przez drzwi.

Podbiegła i szarpnęła za klamkę.

— Otwórz natychmiast! — Uderzyła pięściami. — Otwieraj!

— Nie rób awantur. Przemyśl sobie, co ci powiedziałem — dodał tonem srogiego nauczyciela i odszedł.

Kiedy wyszedł, nadal stała przy drzwiach wsłuchana w niespokojne bicie swojego serca. Nic więcej nie słyszała, myśli gdzieś się rozpierzchnęły. Westchnęła ciężko, usiadła na krześle przy oknie

i rozmyślała, jak to się skończy. Pomyślała, że Józef miał prawo się na nią złościć, bo przez nią ma same kłopoty, ale nie miał prawa mówić takich rzeczy i zamykać jej w pokoju!

Czekała, aż przyjdzie i otworzy drzwi, w mieszkaniu było jednak cicho. Słyszała bicie zegara na kościelnej wieży i zegara w dużym pokoju. Godziny mijały powoli, rozwleczone przez mrok. Wtedy dotarło do niej, że ona w tym domu nie ma nic do powiedzenia, nie liczy się, jest tylko dodatkiem, którego można się pozbyć.

Otworzył dopiero rano, przyglądając się jej z surową miną.

— Nic nie powiesz? — zapytał, stojąc w drzwiach.

Lea, mimo że obiecywała sobie, iż będzie się zachowywała rozsądnie i spróbuje się pogodzić, nawet na niego nie spojrzała. Wyszła z dumnie uniesioną głową. Choć wszystkie kości bolały ją od długiego siedzenia na twardej kanapie, nie zamierzała okazywać słabości. Nie da mu tej satysfakcji. Wiele mogłaby mu wybaczyć, nawet zamknięcie na noc w pokoju, ale tego, że chciał ją odprawić, odesłać do ciotki, tego nie mogła mu darować.

Do torebki wrzuciła tylko kilka drobiazgów, które miała z rodzinnego domu, i pieniądze od siostry. Gdy Józef zszedł do apteki, ubrała się i wymknęła niepostrzeżenie. Nie zastanawiała się, dokąd pójdzie ani co zrobi, ale wiedziała, że nie może dłużej z nim zostać; to nie był jej dom, nie jej świat, była tu niepotrzebna. Pomyślała, że świeże powietrze ostudzi jej rozdrażnione myśli i złagodzi humory. Wtedy się zastanowi, co dalej zrobić.

Zamyślona wsiadła do tramwaju. Chciała pojechać gdzieś dalej, gdzie nikt by jej nie znalazł, chciała zniknąć tak, jak w Korytnicy znikająca w sadzie. Wciąż słyszała jego słowa, że ją odeśle i żałuje, że się z nią ożenił. Były jak kąśliwe owady, które zostawiają bolące i opuchnięte miejsca.

Przejechała kilka przystanków, nie zwracając uwagi, dokąd jedzie. Wsiadła w zupełnie nieznanym sobie rejonie Warszawy. Rozglądała się wokół z mieszaniną zaciekawienia i niepokoju. Kamienice były tu nowoczesne, wysokie, niektóre dopiero w budowie. Ulice szerokie, brukowane, a wszędzie pełno spieszących się dokądś ludzi, wozów i dorożek. Ruszyła przed siebie, nie zwracając uwagi na to, że coraz bardziej oddala się od głównej ulicy. Minęła fabrykę zabawek i zakład dla sierot, krzywą kapliczkę ze świętym Janem Nepomucenem, co chroni od powodzi, a dalej bożnicę i cheder, do którego spieszyli niemal jednakowo ubrani chłopcy. Na skrzyżowaniu ulic doleciał do niej zapach pieczonego chleba i daleki odgłos ulicznego grajka, które szybko rozmyły się w mgle nasączonej ciężkim dymem. Minął ją wóz z piekarni, a potem drugi ze skrzynkami wody sodowej. Przeszła jeszcze kilka przecznic, aż chłodne powietrze ostudziło jej myśli. Przystanąła, rozglądała się zdezorientowana, obróciła kilka razy i już nie była pewna, z której strony przyszła. Może lepiej zawrócić do tramwaju, pomyślała w momencie, gdy otoczyło ją jakieś podejrzane towarzystwo.

— Chodź z nami, czarnulko — zaproponował jeden z podpitych mężczyzn i próbował przygarnąć ją do siebie.

Odskoczyła od niego jak oparzona i nie rozglądając się, weszła na ulicę wprost pod nadjeżdżający ciężki wóz wyładowany węglem. Dojrzała go kątem oka i zamarła; serce podeszło jej do gardła. Usłyszała okrzyki woźnicy, rzenie koni i jednocześnie poczuła mocne szarpnięcie. W ostatniej chwili ktoś z całej siły chwycił ją za ramię i odciągnął do tyłu.

Serce waliło jej jak młotem. Ktoś coś do niej krzyknął, z wozu wysypał się węgiel, pospadały kosze i zrobiło się zamieszanie.

— Co pani wyprawia! — usłyszała znajomy głos.

Oczy miała ogromne ze strachu, widziała go jak przez mgłę. Zanim rozpoznała jego twarz, musiała kilka razy głęboko odetchnąć i odzyskać w miarę sensowny ogląd rzeczywistości.

— Co pani robi!? Życie pani niemiłe? — Reutowicz patrzył na nią ze zmarszczonym czołem i nie puszczał jej ramienia.

— Nie widziałam... — z trudem wydobyła z siebie głos. — Ale nic się nie stało.

— Zaraz będzie zbiegowisko, chodźmy stąd — pociągnął ją za rękę, byle dalej od wściekłego

woźnicy, który kłął w żywy kamień, podczas gdy jego pomocnik zbierał rozsypany węgiel. Zaczęli się już gapie gromadzić, a w oddali słyhać było policyjny gwizdek.

Reutowicz szedł tak szybko, że musiała niemal biec za nim. Prowadził ją przez bramy i podwórza; wydawało jej się, że znaleźli się w jakimś labiryncie nieznanymi uliczek i ukrytych przejść, placów budowy, w których można zniknąć na zawsze.

— Gdzie mnie pan prowadzi? — jęknęła.

Nie odpowiedział. W końcu wyszli na gwarną ulicę i Lea poczuła, jakby wydostała się z męczącego snu.

— Odwiozę panią do domu — powiedział, chcąc jak najszybciej pozbyć się kłopotu.

— Nie, nigdzie nie jadę — protestowała, gdy chciał zatrzymać dorożkę.

Było coś rozpaczliwego w jej głosie; coś, co sprawiło, że przyjrzał się jej uważnie.

— O co chodzi?

— O nic — powiedziała i nagle poczuła, że nogi się pod nią uginają. Dotarło do niej, że właśnie uniknęła katastrofy.

— No nie! Chyba teraz pani nie zemdleje? — popatrzył na nią z niezadowoleniem. — Niech pani głęboko oddycha i nie histeryzuje.

— Już lepiej — mruknęła, starając się opanować.

— Nie wygląda na to — stwierdził, widząc jej poszarzałą twarz.

Zabrał ją do kawiarni, zamówił alkohol i kawę. Kiedy kelnerka przyniosła zamówienia, podsunął Lei kieliszek.

— Proszę wypić razem z kawą — w jego głosie nie było prośby, raczej polecenie. — Naparstek wódki dobrze pani zrobi — dodał łagodnie.

Ręka cały czas jej drżała, gdy podnosiła kieliszek do ust. Przełknęła kilka łyków. Czuła, jak alkohol spływa jej do żołądka i rozgrzewa. Kawa była gorąca, parzyła jej usta, ale chciała ją szybko wypić i wyjść stąd, żeby z nim nie siedzieć. Od nieprzyjemnego incydentu przed wakacjami unikała go jak ognia, on też trzymał się na uboczu, a teraz musiała go spotkać akurat w takich okolicznościach.

Przyglądał się jej z chmurną miną. Widocznie lustracja nie wypadła dobrze, bo zmarszczył brwi.

— To było bardzo nierozsądne. Trzeba patrzeć, gdzie się idzie! To nie wiejska droga, gdzie można gęsi przeganiać! — zwymyślał ją. — Co pani tam w ogóle robiła?

— Nic — wyszeptwała, gardło nadal miała ściśnięte.

— Co chciała pani zrobić? — powtórzył pytanie, świdrując ją wzrokiem.

Wzruszyła ramionami.

— Mówiłam, że nic. Przejść na drugą stronę ulicy.

— A dalej? Gdzie chciała pani iść? Na dworzec?

Nie miała ochoty odpowiadać na jego pytania. Spuściła głowę, wpatrywała się w filiżankę z niedopitą kawą.

— Nieważne — powiedziała półgłosem. — Chciałam się przewietrzyć.

Patrzył na nią z dezaprobatą.

— Przewietrzyć? Trzeba było iść do parku — prychnął i zerknął na zegarek. — Czy pani w ogóle wie, gdzie jest?

— Nie bardzo — przyznała.

Potem wielokrotnie wracała myślami do tego zdarzenia i rozmowy z Reutowiczem, Zastanawiała się, czy jej nie przejrzał, nie odgadł jej zamiarów, których wtedy jeszcze w pełni sobie nie uświadamiała. Później doszła do wniosku, że może to nie był przypadek, może rzeczywiście poszłaby na dworzec, wsiadła w pociąg i pojechała do siostry, może w ten sposób zakończyłaby nieszczęśliwy układ z Józefem. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziała, nie do końca, czuła tylko, że powinna zniknąć. Powinna jak najszybciej wyjść z kawiarni i nie siedzieć z człowiekiem, który patrzył na nią jak kot na przestraszoną mysz. Ale Reutowicz jeszcze nie skończył.

— Chciała pani uciec od Józefa? Wrócić do siebie na wieś?

Do siebie? Więc on też uważa, że jestem tu nie na miejscu, pomyślała.

— Nie — zaprzeczyła gwałtownie i dodała już nieco pewniej siebie: — Zresztą to nie pana sprawa. Dziękuję za pomoc. Już mi lepiej, proszę się o mnie nie kłopotać, dam sobie radę.

Nie wyglądał na przekonanego.

— Tak się pani tylko wydaje. Jeśli chodzi o mnie, to może pani robić, co chce, nawet wpadać pod wóz z węglem, ale ze względu na Józefa proszę nie robić więcej głupstw — powiedział szorstko. — Gdyby coś się pani stało, Józef czułby się paskudnie, a ja musiałbym go pocieszać. A gdyby znów przyszło pani do głowy zniknąć, musiałbym szukać pani razem z nim, a nie mam na to najmniejszej ochoty. Dość mam własnych problemów. Rozumiemy się?

Skinęła lekko głową, nie patrząc mu w oczy.

— Wiem, że nie ma pani o mnie dobrego zdania — dodał poważnie. — Pani Leo, skoro już ze sobą rozmawiamy, chciałbym panią przeprosić — zaczął zupełnie innym tonem.

Ona też zmieniła ton, przyczajony gniew powrócił.

— Mnie? Przecież takich jak ja się nie przeprasza, za głupia jestem na to, żeby zrozumieć pana niepokoje i duchowe rozterki, pana ironię i nieszczerą uprzejmość, pod którą ukrywa pan pogardę dla innych — wyrzuciła z siebie jednym tchem. — I nie jestem dla pana żadną Leą, wypraszam sobie!

Milczał przez chwilę, popatrzył na nią z zainteresowaniem i powiedział:

— No, nieźle pani to ujęła, dawno nikt mnie tak nie zrugał — przyznał bez cienia skruchy w głosie. — Cóż, zasłużyłem sobie, zachowałem się wtedy po grubiańsku. Żałuję, przykro mi, że nie potrafiłem się kontrolować. Proszę przyjąć moje przeprosiny, pani... Leokadio.

Wzruszyła ramionami.

— Niepotrzebne mi pana przeprosiny. Tak na pana uważam jak na zeszlóroczny śnieg — burknęła.

Na jego twarzy pojawił się grymas rozczarowania.

— Widzę, że odzyskuje pani swój uroczy sposób bycia. Zdaje się, że dobrego słowa od pani nie usłyszę. Szkoda, mogłaby pani przynajmniej udawać, że jest miła. Ja się starałem — odparł z westchnieniem.

Zerknęła na niego ostrożnie, jakby zapuszczała żurawia do cudzego zeszytu. Zauważyła, że ma naderwany guzik od płaszcza i zadrapanie na dłoni. Nie wydawał się taki odrażająco doskonały i zapatrzony w siebie, nawet jego głos utracił ton niewzruszonego chłodu. Dyskretnie lustrował siedzącą dwa stoliki dalej urodziwą dziewczynę, a wtedy z jego twarzy na moment znikła surowość. Pomyślała, że być może źle go oceniała, może nie jest takim zadufanym w sobie typem, za jakiego go uważała. Może jest tylko zwykłym niepozabawionym wad mężczyzną. Podejrzewała wprawdzie, że jego przeprosiny są równie nieszczerze jak jego uprzejmość, kulawe i niedoskonałe jak drewniana proteza, ale skoro już zdobył się na te kilka słów i teraz jej pomógł, postanowiła być wspaniałomyślna i udawać, że wszystko jest w porządku.

— Dobrze, przyjmuję przeprosiny, ale teraz pan wybaczy, spieszę się — poderwała się z krzesła i wtedy się zorientowała, że nie ma torebki. Rozglądała się bezradnie wokół siebie. — Musiałam zgubić torebkę — powiedziała zaskoczona, nie mogąc pojąć, jak to się stało.

— Raczej już jej pani nie znajdzie — stwierdził beznamiętnie. — Co w niej było?

Usiadła z powrotem, teraz zbierało się jej na płacz.

— Trochę pieniędzy i... stara książka.

— Książka? Mój Boże, jaka pani niepraktyczna — uśmiechnął się z pobłażaniem. — Dobrze, że tylko tyle — dodał i poprawił się na krześle.

Nie mogę płakać, powtarzała sobie, nie teraz, nie przy nim, nie mam nawet chusteczki — uprzytomniła sobie.

— Łzy niech pani zachowa sobie na później, mogą się przydać dla Józefa — powiedział z umiarkowaną złośliwością i wypił kilka łyków kawy.

Otarła dłonią wilgotne policzki.

— Ale chyba nie ma potrzeby mówić Józefowi o tym wozie i w ogóle...? — zapytała, rzucając mu niepewne spojrzenie.

Uniósł lekko brwi.

— Właśnie się nad tym zastanawiam. Zastanawiam się, czy pani tego więcej nie zrobi. Nie będzie pani próbowała zgubić się, i to tak nierozsądnie?

— Nie — odparła cicho. Nie miała siły tłumaczyć mu, że to był przypadek. — A skąd pan się tam wziął? — nagle uświadomiła sobie dziwny zbieg okoliczności.

— Pani oczywiście mnie nie widziała? Jechałem tym samym tramwajem i nie byłem pewny, czy pani udaje, że mnie nie dostrzega, czy rzeczywiście mnie nie widzi. Cały czas patrzyła pani w okno, siedziała odwrócona plecami do ludzi. Kiedy pani wysiadała, poszedłem za panią, chciałem zobaczyć, dokąd pani zmierza, i na szczęście zdążyłem panią zatrzymać w odpowiedniej chwili. To mogło się źle skończyć.

— Wiem, dziękuję.

Zamyślił się, zlustrował swoje paznokcie, badając kciukiem zadartą skórę na kciuku, a w końcu zerknął na Leę.

— Może rzeczywiście Józef nie musi o tym wiedzieć — dodał pojednawczo. — Powiem, że spotkałem panią przypadkowo — powiedział niemal przyjaźnie i zaproponował, że ją odwiezie.

Wzruszyła ramionami.

— Nie ma takiej potrzeby, wrócę sama.

Nie zareagował na jej szorstki ton.

— Z całym szacunkiem, pani Leokadio, resztką dobrego wychowania, która we mnie jakimś cudem przetrwała, nie pozwala mi zostawić pani w takich okolicznościach. Nie mogę pozwolić, żeby wracała pani sama. Nawet pani nie wie, gdzie jest, i nie ma pani pieniędzy — zauważył, dodając kilka uwag o niebezpieczeństwach czyhających na samotne i nieroztropne kobiety.

— Nie jestem taka głupia, jak się panu wydaje. — Nie mogła pozwolić, żeby traktował ją jak nierozgarniętą gęś.

— Mam taką nadzieję — odparł z ledwo wyczuwalną ironią. — Ale Józef nie darowałby mi, gdy coś się pani stało — dodał spokojnym, acz stanowczym tonem.

— Gdzieś ty była? Przepadłaś na tyle godzin! Od zmysłów odchodzę, czy ci się nic nie stało — Józef patrzył na nią z niepokojem, jakby chciał się upewnić, czy jest cała i zdrowa.

— Zauważyłaś, że mnie nie ma? — zapytała z obrażoną miną.

— Lea, jak możesz wątpić? Przecież wiesz. I nie rób mi tego więcej! Nie możesz być taka jak ona, nie zniosę takiego zachowania — powiedział i przygarnął ją do siebie.

W końcu mogła mu wybaczyć, mogła wtulić się w jego marynarkę. Ulżyło jej i odetchnęła głęboko. Nie chciała płakać, nie była dzieckiem, ale łzy popłynęły jej same, słone i gorzkie, jakby skupiły się w nich wszystkie jej żale. Czekał, aż się uspokoi, przyciskając ją mocno do siebie. To dziwne, ale przy nim znowu czuła się bezpiecznie, pachniał domem, apteką i wodą kolońską.

— Leo, nie płacz, myszko, nie płacz — głaskał ją po głowie.

— Przepraszam — szepnęła, ocierając nos rękawem. — Przepraszam, nie chciałam sprawiać ci kłopotu.

Powtórzyła mu, że się zgubiła, pomyliła kierunki, zgubiła torebkę i spotkała Reutowicza, który odwiózł ją do domu. Czuła, że ta historia jest mało przekonująca, ale potem Reutowicz to potwierdził, a Józef nie dopytywał się o szczegóły.

— Już dobrze — uspokajał ją — najważniejsze, że jesteś.

Wieczorem pozwoliła mu się kochać. To nie była namiętność, ale zobowiązanie, z którego chciała się wywiązać. Mimo że się nie rozumieli, dawał jej poczucie bezpieczeństwa, chciała mu to nagrodzić, i swoje zniknięcie też mu chciała nagrodzić. Wcale o nim nie myślała, kiedy snuła się po ulicach i nie wiedziała, co z sobą zrobić. Nie zastanawiała się, co on czuje. Ale teraz już jest dobrze, pomyślała z ulgą. Nie protestowała, kiedy nie zgasił światła i powiedział, żeby została w gorsecie i pończochach.

— To lepsze od tej workowatej koszuli — dodał z uśmiechem.

Rozpuścił jej włosy, przeczesał je palcami i pozwolił, żeby wymknęły mu się z ręki, jakby przesypywał ziarna maku. Potrząsnęła głową, włosy rozsypały się na ramiona i opadły na piersi.

— Piękne — powiedział i spojrzał na nią tak, że po raz pierwszy była pewna, iż mu się podoba.

Tego wieczoru miał dar uwodzenia. Szeptał jej do ucha sekretne słowa, znaczył jej kark kroplą olejku neroli, na łokciu roztarł smugę szafranu, dotykał brzucha drobiną wonnej żywicy, a podbicie stopy natarł balsamem o aromacie cynamonu, aż zapomniała o wszystkich złych słowach, roześmiała się i powiedziała, że lubi jego apteczne zapachy, lubi dotyk jego dłoni i jego pocałunki o smaku mięty i anyżku. A w końcu się odważyła, sięgnęła po esencję z tymianku i musnęła nią jego ucho, przejechała palcem wzdłuż szyi, na ramionach roztarła balsam z Mekki, który ma zapach przyjemny — pomiędzy cytrynami, szałwią a rozmarynem, a dalej poszło już jak z płatka. W końcu powiedziała mu, że gdyby tak pachniał jego eliksir, na pewno cieszyłby się większym zainteresowaniem na wystawie.

Kiedy zasypiała wtulona w jego ramię, pomyślała, że Józef pachnie całkiem przyjemnie, tak jak w starym domu na stryszku, gdzie babka suszyła zioła, i pewnego lata, gdy Leę rozboleł brzuch, powiedziała jej, że wkrótce przestanie być dzieckiem i od tej pory będzie musiała starannie pracować swoje koszule i suszyć na strychu. Powiedziała też, że musi trzymać się z dala od mężczyzn, od wszystkich, obcych i domowych, dopiero mąż będzie mógł ją dotknąć. Lea wcale nie chciała, żeby ktoś ją dotykał. Uważała, że wszyscy mężczyźni są brudni i wstrętnei, jak brat i kuzyn, którzy nasikali do beczki z deszczówką, którą matka zbierała do mycia włosów. Dopiero niedawno się nauczyła, że ten dotyk może być przyjemny; a jeśli nie, to można go zmyć z ciała wodą i mydłem, gorzej jest z duszą.

Rano Józef był w dobrym humorze, przy śniadaniu patrzył na nią z zadowoleniem.

— Tylko nigdzie się dziś nie wybieraj, najwyżej na Rynek i z powrotem — przypominał jej, pijąc drugi kubeczek wybornej rosyjskiej herbaty. — Nie powinnaś chodzić sama tak daleko, myszko. Nie znasz Warszawy, a nie wszędzie jest bezpiecznie. Sama widzisz, jak to się może skończyć. Dobrze, że wczoraj spotkałaś Reutowicza; ty go nie lubisz, ale jakoś z nim wytrzymałaś w dorożce. Wyobrażam sobie twoją minę — dodał rozbawiony, ale na tym nie skończył, zerknął na nią i się zamyślił. — A co ty mówiłaś o naszym eliksirze? Uważasz, że brzydko pachnie?

Wszystko pamięta, każde moje słowo, pomyślała.

— Powiedziałabym, że brakuje mu pod tym względem wdzięku — odparła.

Zamyślił się.

— A wiesz, może masz i rację — odparł, jakby zdziwiony, że wcześniej na to nie wpadł. W wolnych chwilach zajął się udoskonalaniem receptury eliksiru.

W niedzielę Józef podarował jej kolczyki.

— Jakie piękne. To złoto? — pytała z niedowierzaniem.

— A jak myślisz, myszko? Miałbym ci dawać kolczyki z tombaku? Złoto i najprawdziwsze perły.

Pocałowała go w policzek, rozemocjonowana podbiegła do lustra i przyłożyła kolczyki do uszu.

— Są naprawdę piękne — powtarzała, przyglądając się sobie z zadowoleniem. — Jak je włożę, sama będę dużo ładniejsza — śmiała się zadowolona, że pamiętał o niej i podarował jej taki kosztowny prezent. Nigdy nie miała żadnej biżuterii oprócz pierścionka zaręczynowego, obrączki i srebrnego medalika od chrztu. — Dziękuję, ale z jakiej okazji mi to dajesz?

— Rocznicą naszego ślubu, nie pamiętasz? — powiedział i w jego szarych oczach pojawił się łagodny uśmiech.

Polubiła jego uśmiech, gdy rozmawiał z nią tak spokojnie, łagodnie, gdy brał jej dłoń, całował i przykładął do swojego policzka. Czowała się zadowolona, na pewno nie była nieszczęśliwa. Po zastanowieniu mogłaby nawet powiedzieć, że całkiem go lubi.

— Jesteś taki dobry — odparła ze wzruszeniem. W dłoniach trzymała złote kolczyki z perłą. — Naprawdę piękne — patrzyła na nie z zachwytem, ale kiedy im się lepiej przyjrzała, zmieszała się. Były

podobne do tych, które miała dziewczyna z fotografii ukrytej w składziku. Więc to rodzinna pamiątka, dostałam kolczyki po Sabinie, pomyślała. Niby nie było w tym nic dziwnego, bo komu Józef miałby je ofiarować, jeśli nie jej. Była jednak lekko rozczerowana, jakby dostała nadgryzione ciastko.

— Stara robota — dodał — w zeszłym tygodniu dałem je do czyszczenia, teraz są jak nowe.

Te kolczyki zawsze przypominały jej o Sabinie. Ilekroć po nie sięgała, Sabina, ta z fotografii, stawała jej przed oczami i rozpaliała ciekawość. Ale Józefa już więcej o nią nie zapytała.

— Mamy kawę lewandską, czyli arabską, a z tych najlepsza jest kawa mokka, której odmiana *bakanoi* z racji szczególnych swych walorów przeznaczona jest dla dostojników Wschodu i do nas w ogóle nie dochodzi. Jest też kawa jawajska, czyli wschodnioindyjska, i kawa zachodnioindyjska. A zasadniczo kawa, niezależnie od tego, skąd pochodzi, ma działanie pobudzające, podaje się ją w zatruciach narkotykami i kwasem pruskim, w zaccadzeniu i śmierci pozorowanej — powiedział Józef, spoglądając na Leę znad księgi aptecznej. — Gorąca kawa pobudza mózg i serce, przyspiesza krążenie krwi, trawienie, zwiększa wydalanie moczu, pomaga w zimnicy, w neuralgiach i bólu głowy, zwłaszcza u kobiet — znów zerknął na Leę, czy słucha go uważnie, i zmieniając ton na ostrzegawczy, niemal katastroficzny, dodał: — Ale kto nie ma potrzeby, nie powinien pić kawy, bo kawa uzależnia, człowiek od niej gnuśnieje i szybciej się starzeje. Kawa, moja droga, to napój dla leniwych, dla flegmatyków pozbawionych, za przeproszeniem, ikry, literatów bez krzty talentu i natchnienia, skacowanych birbantów, znudzonych scholastyków, zdegenerowanych w każdym calu wyższych urzędników aparatu rządowego, frustratów, kabotynów, przyciężkich matron...

— Nie, Józef, co ty wygadujesz! — zaprotestował Reutowicz, który wszedł właśnie do biura i w kwestii kawy absolutnie się nie zgadzał z przyjacielem. — Mylisz się całkowicie! Kawa to napój ludzi wrażliwych, szlachetnych, zdolnych do wielkich czynów i poświęceń, artystów i wizjonerów, ludzi myślących, a nie, jak nie przymierzając, herbata, napój dla popędliwych choleryków i fiksatów, histeryczek, przyszczatych gołowąsów, hipochondryków, kleryków i — tu spojrzał na Leę — pani wybaczy, onanistów — powiedział z zacięciem i powagą znawcy.

Lea parsknęła śmiechem. Właśnie wybierała się do Marianny i nieopatrznie, schodząc do apteki, zagadnęła Józefa o kawę. Nie przypuszczała, że temat jest drażliwy. Popatrzyła na Józefa, zastanawiając się, czy sprzeczką jest poważna, czy jest to rodzaj żartobliwej i oczyszczającej utarczki, słownego pojedynku, w którym panowie przemycają zawołowane pretensje i wytykają sobie grzechy. Cokolwiek to było, ona miała własne zdanie o kawie i nie miała ochoty dłużej ich słuchać. Marianna już pewnie czekała na nią na Rynku.

Po pobycie w Nałęczowie Marianna wróciła odmieniona. Nie była już tą osobą z początku ich znajomości, zapatrzoną w siebie i w swoje nieszczęście, nie obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Była ożywiona, ciekawa nowości. Czasami na chwilę się zamyślała, westchnęła od czasu do czasu, ale w miarę szybko przywoływała się do porządku. Lea chętnie ją odwiedzała. Brakowało jej kobiecego towarzystwa, a z Marianną mogła pójść na koncert albo na zakupy czy na spacer i porozmawiać, a nawet poplotkować.

W połowie października zrobiło się słonecznie i ciepło, przyszło babie lato. Na Rynku pojawili się sprzedawcy z koszami grzybów i borówek brusznic, na straganach sypano kopce węgierek, układano piramidy gruszek i jabłek, koło których uwijały się nerwowe osy. Owoce pachniały słodko i upajająco. Marianna wybierała gruszki i borówki, miała zrobić z nich powidła do mięsa. Lea chciała zrobić brusznice z kwaśnymi jabłkami, które są dobre dla chorych i powracających do zdrowia. Szukała kościenic, czyli żurawin, z których robiło się galaretę z miodem, dobrą na pokrzepienie ducha w zimowe dni.

— Pani, na żurawle jeszcze nie czas, będą po przymrozkach. Weźmie pani borówek, już się kończą — odpowiedziała przekupka w czerwonej chustce na głowie i pokazała jej kosz drobnych, jaskrawoczerwonych owoców.

— No to wezmę — stwierdziła Lea.

Potem wybierały gruszki, twarde i z rumieńcem z jednej strony, a kiedy Marianna odesłała gosposię z zakupami do domu, poszły z Leą do kawiarni przy ulicy Miodowej.

Po drodze zatrzymywały się przy wystawach magazynów, przeczytały afisz o odczycie w Towarzystwie Ogrodniczym na temat domowej hodowli koników polnych, a w końcu, gdy szły ulicą Świętojańską i minęły skład win różnych i czyścibuta, kupiły sobie pieczone kasztany, które Lei smakowały jak słodzone ziemniaki.

Kawiarnia przy Miodowej cieszyła się lepszą opinią niż podobne lokale mieszczące się na Starym Mieście i miała o niebo lepszą klientelę. Sprzedawano w niej ciastka jak marzenie, w których gustowała nie tylko Marianna, kawę z kożusiem lub bez, herbatę pierwszego parzenia, ciężkie kremy i delikatne musy kuszące panie i panów. Do kawiarni zaglądali i zachodzili urzędnicy, wojskowi, kobiety przy mężu, panny na wydaniu i nieco starsze, i inni, którzy chcieli osłodzić sobie chwilę życia, parszywy poranek, koszmary dzionek lub zmierzch dnia. Lokal ten miał jednak zasadniczą wadę — drzwi prawie się w nim nie zamykały. Ruch był zbyt duży, żeby zasiąść na dłużej i porozmawiać, celebując należycie przyjemności.

Lea i Marianna wstępowały tam od czasu do czasu (ze względu na niebywałe wprost rogaliki z różaną konfiturą), zajmowały stolik w kącie sali i zajęte rozmową popijały kawę, nie zwracając uwagi na umykający czas. Wprawdzie doktor Mroziewicz, podobnie jak Józef, uważał, że kawa to napój niestosowny dla kobiet, zwłaszcza tych o delikatnej konstytucji, a przede wszystkim dla jego wrażliwej żony, ale Marianna uznała, że może pozwolić sobie na małą niesubordynację. Piła kawę w tajemnicy przed nim i robiła to z prawdziwą rozkoszą, z jaką kosztuje się zakazany owoc. Kawa była jej manifestem kobiety nowoczesnej, lekko wyzwolonej, nie do przesady. Lea też lubiła kawę, tajemnic jednak nie lubiła, były zbyt kłopotliwe, zwłaszcza te niewyjaśnione. Obciążały głowę, żołądek, a nawet duszę, która stawała się przyciężka i nieskora do wzlotów. A historia Sabiny wciąż nie dawała jej spokoju. Odkąd znalazła jej zdjęcie i dostała kolczyki, nie było dnia, żeby o niej nie myślała. Uznała, że przyjaciółka powinna coś o niej wiedzieć. Upiła łyk aromatycznej kawy i spojrzała poważnie na Mariannę, upewniając się, czy nie błądzi gdzieś myślami, jak to się jej czasami zdarzało, po czym zaczęła niepewnie:

— Chciałam cię o coś spytać. Możesz mi powiedzieć, co stało się z pierwszą żoną Józefa, jak umarła? Józef nie chce o tym wspominać, a ja słyszałam różne dziwne plotki i nie wiem, co o tym sądzić.

Marianna zamyśliła się, po raz kolejny zamieszała kawę i dopiero po chwili odparła:

— To bardzo przykra sprawa. Ja też słyszałam różne pogłoski na jej temat — przyznała z ociąganiem. — Nie możesz wszystkim się przejmować, ale chyba powinnaś wiedzieć, co się stało. Niezręcznie mi o tym mówić, właściwie niewiele wiem. Znałam ją, owszem, bywało, że nawet dość często się widywałyśmy. Przychodziła do mnie na herbatę, wychodziłyśmy gdzieś razem, ale ona mi się nie zwierzała — mówiła powoli, szukając właściwych słów. — Na początku wydawała mi się wesoła, ale nasze rozmowy były niezobowiązujące. Interesowały ją wszystkie nowinki, stroje, teatr, zabawy, dużo o tym mówiła i nagle jakby przygasła. — Upiła dwa łyki kawy, skubnęła ciastko. Minę miała niewesołą, gdy mówiła dalej. — Teraz, jak się nad tym zastanawiam, to wyraźnie widzę, że w pewnym momencie się zmieniła. Pytałam, co się stało, mówiła, że nie najlepiej się czuje, że potrzebuje odmiany. Potem przestała mnie odwiedzać, a pod koniec lata zniknęła z domu. Pan Józef przybiegł do nas wieczorem, pamiętam, bo akurat była u mnie kuzynka. Pan Józef był taki zdenerwowany i pytał mnie, czy nie wiem, gdzie jest Sabina. Ale nic nie wiedziałam, ona już wtedy mnie nie odwiedzała. — Marianna zamilkła i zmarszczyła czoło, przypominając sobie tamte zdarzenia, a w końcu dodała ciszej i z wyraźnym skrępowaniem: — Znaleźli ją następnego dnia gdzieś na drugim brzegu Wisły. Żyła jeszcze, ale już nie doszła do siebie. Policja badała sprawę, nie wyjaśniono, co się stało, czy to był wypadek, czy ktoś ją napadł i zepchnął do wody. Mój mąż przypuszczał, że mogła próbować popełnić samobójstwo. Ale to nie on ją wtedy badał, w ogóle nie widział jej po tym zdarzeniu, a ja potem słyszałam różne plotki, wiesz, jak to jest, takie wieści szybko się rozchodzą. Któregoś dnia poszłam na Rynek, to było niedługo po tym zdarzeniu, i wtedy słyszałam dziwne rzeczy. Nie mam pojęcia, skąd ludzie mogą wiedzieć o takich sprawach, ale mówili, że ktoś ją napadł i wepchnął do wody —

opowiadała wpatrzona w filiżankę, obracała ją w dłoniach, jakby nie mogła się zdecydować, czy upić jeszcze łyk, czy ją odstawić. Westchnęła, spojrzała na Leę i dodała jeszcze ciszej: — Ale usłyszałam coś jeszcze gorszego — spuściła wzrok i dopowiedziała prawie szeptem. — Że mąż był dla niej niedobry i Sabina nie mogła z nim wytrzymać, dlatego chciała się zabić. To tylko gadanie, nie myślę, żeby to była prawda, bo nigdy nie słyszałam, żeby skarżyła się na pana Józefa, nigdy nawet nie dała mi do zrozumienia, że coś takiego mogło się zdarzyć. Chyba nie była z nim szczęśliwa, ale w ogóle o nim nie mówiła.

Lea odwróciła głowę. Teraz ona wpatrywała się w ulicę za oknem, jakby tam szukała wyjaśnienia słów Marianny. Nie chciała wierzyć, że Józef mógł być brutalny, ale co ona wiedziała o uczuciach, tych prawdziwych, namiętnych i silnych, które zjadają duszę. Jej nikt ani nie nienawidził, ani nie kochał.

— A ty jak myślisz, co się z nią stało? — zapytała.

Marianna pokręciła głową.

— Nie wiem.

— Ale co myślisz?

Marianna zwlekała z odpowiedzią. Poprawiła kołnierzyk żakietu, sprawdziła, czy medalik jest na swoim miejscu, a w końcu powiedziała półgłosem, jakby przyznawała się do winy:

— Myślę, że mogła to zrobić, ale nie wiem dlaczego. Coś w niej pękło. Nie wiem — powtórzyła głośniejszym głosem, jakby nabrała pewności. — Nieraz zastanawiałam się nad tym, co się stało, dlaczego tak się odmieniła. Słyszałam, że spotykała się z jakimś mężczyzną, ale nie wiem, czy to prawda. To pachniało skandalem, nikt nie chciał głośno o tym mówić ze względu na pana Józefa. Bardzo to przeżywał, ale za jego plecami ludzie gadali.

Lea zaciekała się.

— Wiesz, kto to był?

— Nie. Nie wiem, czy w ogóle ktoś był — podniosła wzrok na Leę — ale zastanawiałam się, dlaczego pan Józef wezwał do niej innego lekarza.

Nie było już nic do dodania. Pozostały domysły i przypuszczenia, żadna z nich nie miała odwagi ich wypowiedzieć. O do licha, pomyślała Lea, ale nie chciała już wypytywać przyjaciółki, patrzyła przez okno na stadko gołębi, które skubały okruszyny ciasta rozsypane na podwórku.

— Chodźmy już — powiedziała Marianna.

— Tak, chodźmy. Późno się zrobiło — przytaknęła Lea.

Rozmowa z Marianną wcale nie rozwiała jej podejrzeń i wątpliwości — przeciwnie, pojawiły się nowe, równie niepokojące i domagające się odpowiedzi. Wróciła do domu zamyślona, zastanawiała się, czy Józef rzeczywiście mógł się posunąć do przemocy. To się zdarzało w najlepszych rodzinach, ale Józef?

Nie, Józef z pewnością nie był cholerykiem ani tym bardziej okrutnikiem. Złościł się w sposób umiarkowany, mówił przy tym przykre słowa, owszem, wytykał błędy, ale nawet nie przeklinał. Tylko czasem coś go nachodziło, jakaś niewypalona złość powracająca jak atak gorączki; wtedy nie był sobą i gniew brał górę nad jego wrodzonym spokojem, wyważonym sądem i poczuciem dobrego smaku. Zazwyczaj jednak Józef nie wdawał się w długo ciągnące się spory i psujące krew kłótnie. Większość swojej uwagi poświęcał pracy i to wydawałoby się spokojne zajęcie przysparzało mu wystarczającej ilości emocji i problemów. No i oczywiście ona, Lea, też mu tych emocji dostarczała, ale zapewne piękna Sabina dostarczała mu ich więcej, więc może jednak...?

Zaczęła go obserwować, jakby się spodziewała, że w jego gestach, spojrzeniu czy w słowach kryją się oznaki tłumionego gniewu, zawiązki brutalnej natury. Nie mogła uwierzyć, że bił Sabinę, brzmiało to absurdalnie. To tylko plotki, myślała. Ale w każdej plotce jest ziarno prawdy, więc może i w tej są jakieś ciężkie ziarna; może czai się w nim wściekłość i zły instynkt. Zastanawiała się, kim mógł być ten drugi mężczyzna. Chyba nie doktor? Nie, niemożliwe, Józef by się z nim nie przyjaźnił... Nie, to nie mogło tak być. Więc dlaczego Józef wezwał do Sabiny innego lekarza?

— Fałszywe jest wszystko to, co nie jest naturalne, co powstało w sposób nienaturalny, ma nienaturalny skład — tak uważał Józef. — Tylko człowiek bywa fałszywy w sposób naturalny — dodawał z filozoficznym zacięciem i spoglądał w mikroskop z nabożeństwem, jakby między dwoma szkiełkami skrywały się niepoznane arcyprawdy objaśniające istotę świata.

Znał różne sposoby fałszowania leczniczych ziół, leków, przypraw i używek, na ludziach znał się gorzej. Wiedział za to, jak poprawić wygląd towarom gorszego gatunku, trochę używanym, starym i zwietrzałym, jak wzmocnić ich smak wyciągiem kampseszowym lub korą katechu. Odkąd kupił mikroskop, jego świat zmienił wymiary, ugiął się pod ciężarem mikrostruktur fałszu, a im więcej wiedział, tym bardziej stawał się podejrzliwy i niemal wszędzie doszukiwał się grubych kanciarstw, upadku moralności, skarlania umysłów i zamachu na zdrowie mieszkańców miast i miasteczek. Gdy trafił na jakąś podróbkę, czuł się osobiście oszukany, wystrychnięty na dudka i oburzony tym faktem.

— To jest plaga, po prostu plaga, trzeba z tym walczyć, wytępić do szczytu, wyrwać z korzeniami! — mówił z zacięciem godnym prokuratora, a jego szare oczy ciemniały od słusznego gniewu, na twarzy zaś pojawiały się rumieńce wzburzenia. Rozpinał kołnierzyk koszuli, podrywał się z krzesła i krążył niespokojnie po laboratorium, stukając brązowymi trzewikami.

— Świat się od tego nie zawali — stwierdziła z przekąsem Lea, gdy wieczorem zdał jej relację ze swoich badań i przemyśleń.

Józef spojrzał na nią czujnie.

— Tu nie ma nic zabawnego. Nie zdajesz sobie sprawy, co się teraz dzieje. Chodź, no chodź ze mną, sama zobaczysz — powiedział, zapominając, że przed wakacjami kategorycznie zabronił jej wchodzić do laboratorium.

Kiedy zeszli na dół, posadził ją przy mikroskopie i kazał patrzeć w okular, żeby i ona zobaczyła te fantastyczne twory, koncentryczne układy komórek, siatkowate struktury, piękne i misterne, doskonale jak dzieła dawnych mistrzów złotnictwa. Objasniał jej wszystko z zaaferowaniem, jakby odkrywał przed nią intymny i tajemniczy świat.

— Zobacz, tu są takie maleńkie włoski, popatrz, widzisz takie zadziorki, tak wygląda liść herbaty, a ten, zobacz, jest zupełnie inny. Kiedy spojrzysz gołym okiem, to różnicy nie widać, ale pod mikroskopem niczego nie da się ukryć, zaraz rozpoznasz, że jest zafałszowany, że dodano do niego liście innej rośliny, wiązówki albo ligustru, zobaczysz opiłki metalu, drobiny tragakanty i węgla, które zwiększają wagę i poprawiają kolor.

Lea widziała tylko czarną plamę.

— Nic nie widzę — przyznała rozczarowana.

— Jak to nie widzisz? Musisz widzieć! Pokręć tą śrubą, obraz powinien się wyostrzyć — instruował ją z miną wszystkowiedzącego mistrza, a ona cierpliwie wykonywała jego polecenia.

Pomyślała wtedy, że jeśli Józef dzieli się z nią odrobiną swojej wiedzy, to powinna to wykorzystać, dowiedzieć się, o co w tym chodzi. Nie była to jednak prosta sprawa, początkowo nie umiała niczego odróżnić. Obraz mikroskopowy, jeśli udało się jej w ogóle coś dojrzeć, był dla niej niezrozumiałym splątaniem linii, plamek i cieni. Z czasem nauczyła się tej trudnej sztuki, słuchała cierpliwych objaśnień męża, przeglądała jego rysunki i atlas farmakognostyczny.

— To nie takie trudne, Lea, i coraz lepiej ci idzie — zachęcał ją, zdziwiony i zadowolony, że okazała się pilnym i pojętym uczniem.

Powoli uczyła się barwienia i utrwalania preparatów. Z gałązki czarnego bzu wydłubywała gąbczasty rdzeń, kroїła go na pół i wkładała do środka fragmenty roślin, dzięki czemu mogła je ciąć w plasterki tak przezroczyste jak cień w letnie popołudnie. Kładła je potem na szkiełku, dodawała krople oleju parafinowego, przykrywała drugim szkłem i podgrzewała nad palnikiem. Niekiedy dodawała kapkę zieleni szmaragdowej albo hiszpańskiej czerwieni. Była staranna i wytrwała, poznawała sposoby badania fałszywych ziół i przypraw. Coraz częściej zostawała w laboratorium do późna i asystowała Józefowi. Czasem zastanawiała się jednak, czy nie staje się przez to podobna do niego, zapracowana, nudna i przywiędła, bez wyrazu, jak fałszywa, pozbawiona smaku herbata.

Reutowicza spotkała w jeden z jesiennych czwartków, kiedy wracała ze spotkania z Marianną, a on wychodził z magazynu książek przy Krakowskim Przedmieściu. Powiedział, że idzie do apteki, ma sprawę do Józefa. Nie pytała, jaka to sprawa, on i Józef zawsze mieli jakieś tematy do omówienia, męskie rozmowy, które nie powinny jej obchodzić.

Wyglądał jak zwykle ponuro, jakby miał pod płaszczem mrok. Źle się czuła, kiedy milczący szedł obok niej; myślała, że zaraz z czymś wyskoczy, że będzie robił uwagi do jej niefortunnej wyprawy. Na samą myśl o tym robiło się jej nieswojo.

Odgłosy ich nierównych kroków zatapiały się we mgle, która, jak włóczęga, snuła się po ulicy i pochłaniała światło gazowych latarni. Nie wiedziała, o czym mogłaby z nim rozmawiać, każdy temat wydawał się niebezpieczny. Kiedy milczenie stało się nieznośne, zagadnęła go o żonę.

— Moja żona? Nigdy pani o nią nie pytała — jego głos był równie miękki jak mgła. Pozornie miękki, pomyślała Lea, stłumiony. — I słusznie, nic zabawnego nie mogę powiedzieć — powiedział i znów zamilkł, ale po chwili, nieco zwalniając kroku, dodał: — Myślę, że to koniec. Lekarze powtarzają to od jakiegoś czasu, ale teraz sam widzę, że niewiele jej zostało. Nadal jest w Otwocku, w domu nie mógłbym zapewnić jej dobrej opieki. Jeżdżę do niej, żeby nie czuła się opuszczona, ale już nie mam siły jej okłamywać. Nie mam siły brać jej za rękę, patrzeć w oczy i mówić, że wszystko będzie dobrze, że wyzdrowieje. A ona na to czeka — przyznał z niepokojącą szczerością. — Teraz już pani wie, dlaczego przesiaduję z Józefem, a potem znikam na całe dni.

Reutowicz nigdy nie mówił o sobie w ten sposób, z Józefem może tak rozmawiał, ale nie z nią. Jej to nie dotyczyło, nie chciała o tym wiedzieć i teraz czuła się zakłopotana bezpośredniością jego zwierzeń. Patrzyła w mgłę, która wydawała się jej ułudna jak niedoskonałe wspomnienia, można było usłyszeć w niej odpryski przeszłości, dostrzec dawne cienie albo schować je głębiej. Mgła zacierała kształty i barwy, przypominała, że wszystko mija — to, co dobre, i to, co złe.

— Nie wiem, co panu powiedzieć. Na wsi mówią, że na śmierć nie ma lekarstwa. Piją wódkę, żeby zapomnieć, albo modlą się o lekką śmierć. Moja ciotka mówi, że można z kimś dzielić się smutkiem, ale smutku od tego nie ubywa. Takie tam gadanie, lżej od tego nikomu nie będzie — dodała i zamilkła, nic mądrego nie przychodziło do jej głowy. — Nie znam pana żony — dodała — ale tak sobie myślę, może ona nie chce, żeby pan ją okłamywał. Może prawda jest lepsza.

Znów przez chwilę szli w milczeniu. W świetle mijanej latarni dostrzegła, że Reutowicz, podobnie jak ona, patrzy w mgłę.

— Zapewne ma pani rację. Prawda jest lepsza od byle jakich kłamstw — powiedział z nutą gorzkiej ironii w głosie, odzyskując na moment swój lekko sarkastyczny sposób bycia.

— A jaka była prawda o Sabinie? — zaryzykowała kłopotliwe pytanie. — Ona była Żydówką, prawda? Pan musiał ją znać, proszę mi powiedzieć, co się z nią stało.

— O tym niech pani porozmawia z Józefem. Ode mnie niczego się pani nie dowie, nie warto próbować — odparł z niewzruszonym spokojem.

— Dlaczego? Co to za tajemnica? — nie ustępowała. — Józef nie chce o niej nic powiedzieć.

— Więc niech pani to uszanuje.

Zamyśliła się, brakowało jej argumentów.

— A pan na moim miejscu tak by zrobił?

Uniósł lekko brwi i popatrzył na nią zaskoczony nedorzecznnością tego pytania.

— Z całym szacunkiem, pani Leokadio, ale trudno mi sobie wyobrazić, żebym był na pani miejscu — odpowiedział, a w jego czarnych oczach pojawił się przelotny błysk rozbawienia, choć z pewnością Lea nie mogła tego dostrzec.

Kilka dni później melancholijna jesienna mgła znikła z warszawskich ulic wymieciona przez szarugę i porywisty wiatr. Ludzie powyciągali zimowe okrycia, śniegowce i mufki, grube chusty i szale. W aptecce pojawiały się pierwsze ofiary jesiennych gorączek, a pan Emil polecał im maści rozgrzewające,

tabletki z antypiryną i proszki z chiną. Wzięciem cieszył się też olejek kamforowy, kwiat lipowy i cukierki z anyżem na kaszel.

Józef od rana pędził uczniów do pracy, pilnował, żeby niczego nie zabrakło, a syropy, plastry i mikstury były zrobione na czas. Wieczorami znikał w laboratorium i zafascynowany swoimi poszukiwaniami wpatrywał się w mikroskop, tropiąc nieuczciwości i fałszerzy.

Któregoś z listopadowych wieczorów, gdy nawet światło podkreślonej do maksimum lampy nie mogło wygonić mroku z aptecznych pomieszczeń, Józef wpadł na górę i powiedział, że musi wyjść w pilnej sprawie. Był zaaferowany, niespokojny, jakby stało się coś niezwykłego.

Lea odłożyła książkę i poderwała się od stołu.

— O tej porze? Co się stało? Nie możesz kogoś wysłać?

— Nie, nie, muszę iść sam — powiedział i zaczął szykować się do wyjścia.

— Co to za sprawa? Jutro nie możesz tego załatwić? Taki ziąb, jeszcze się rozchorujesz, tak jak w zeszłym roku — zaniepokoiła się.

— Lea, potrafię o siebie zadbać, nie przesadzaj.

— Idziesz do Reutowicza? — dopytywała się.

— Nie. Mam do załatwienia sprawę na mieście. I nie martw się o mnie, za godzinę będę z powrotem — powiedział zniecierpliwiony i szybko wyszedł, narzucając na siebie płaszcz, kapelusz, a nawet szalik, którego nie lubił nosić.

Lea patrzyła za nim niezadowolona; z doświadczenia wiedziała, że pilna sprawa na mieście może oznaczać bardzo wiele — od skromnego spotkania z kolegą po fachu, przez nieformalne zebranie w Towarzystwie Aptekarskim, aż po jakiś zawołowany bankiet w męskim gronie. Sądząc jednak po stroju Józefa, obecna sprawa była mniejszej rangi. Sięgnęła więc po książkę, *Józef Balsamo* Aleksandra Dumasa, i dała się uwieść bujnej, arcyciekawej fabule.

Po półgodzinie odłożyła jednak lekturę, postanowiła wykorzystać okazję i pod nieobecność Józefa dyskretnie zagadnąć pana Emila o Sabinę. Najlepiej byłoby wprost o nią pytać; wołała jednak, żeby rozmowa wyglądała na nic nieznaczącą pogawędkę, małe zboczenie z tematu.

Przed siódmą zeszła na dół. W aptecce było niemal cicho i spokojnie, służący mył na zapleczu naczynia laboratoryjne, a Filip odstawiał do szaf słoje z surowcami. Na ekspedycji w szybach witryn odbijało się światło lampy naftowej. Pan Emil lekkim ruchem tancerza przemieszczał się wśród półek i gablotek, sprawdzał, czy Tymon uzupełnił lekarstwa w szufladach, czy równo poustawiał flaszki z tranem, syropem z dziewanny i kroplami na niestrawność. Lea odczekała, aż pan Emil zostanie sam.

— Pewnie już nikt nie przyjdzie, panie Emilu — zaczęła zwyczajnie, tak jak robiła to od czasu do czasu, gdy nie było Józefa, a wieczór dłużył się i niepokojąco przeciągał.

— W taką chlapę zawsze mniej osób, pani aptekarzowo, chyba że z poważną sprawą — dodał, zerkając w kierunku drzwi. — Niedawno była gosposia z naprzeciwka po mączkę dla niemowląt, a tak to nic, cisza. Jeszcze kwadrans i zamykamy.

Podeszła bliżej do stołu, na którym pan Emil porządkował recepty.

— Nie wie pan, dokąd wybrał się mój mąż? — zapytała z zatroskaną miną.

— Nie, nic nie mówił, może do pana Reutowicza.

Lea pokręciła głową.

— Chyba nie, powiedział, że ma pilną sprawę na mieście. Czasami jest taki tajemniczy — westchnęła i spojrzała na niego ze smutkiem w czarnych oczach.

Zaczęła go wypytywać, jak to było dawniej, bo słyszała o jakichś tajemniczych bankietach. Czekwała na słowo klucz, którego mogłaby się ucześcić i przekierować rozmowę na bardziej interesujący ją temat.

— Proszę się nie martwić, pan prowizor to porządny człowiek, nie w głowie mu żadne głupstwa — zapewniał pan Emil, odkładając na miejsce dobrze zaostrzony ołówek.

— To fakt, nie przepada za rozrywką, mówi, że szkoda na to czasu, woli siedzieć w swoim laboratorium. Pewnie uważa, że ja też powinnam być taka poważna jak jego pierwsza żona — zaczęła, jak jej się zdawało, podchwytliwie. — Widziałam jej zdjęcie, piękna kobieta, ale wyglądała bardzo

poważnie i smutno — próbowała pociągnąć go za język.

— Pani Sabina? Skądże znowu, ona była duszą towarzystwa, a jak wyśmienicie tańczyła i grała na pianinie. Lubiła muzykę, lubiła się bawić. Kiedyś nawet urządziła wieczorek z tańcami i sam z nią tańczyłem — przypominał sobie z lekkim rozbawieniem.

— Coś podobnego! Urządzała zabawy?

— A owszem, panu prowizorowi to się chyba nie podobało, ale ona nie mogła się bez tego obyć, lubiła tańce, teatr, przyjęcia. To była niezwykła kobieta, piękna i niezwykła. Różnie o niej mówiono...

— zawiesił głos. — Nie chciałbym powtarzać plotek, zresztą wtedy dopiero zaczynałem tu praktykę, nie wszystko do mnie docierało. Słyszałem, że prowizor miał przez nią kłopoty — powiedział ściszym głosem i zamilkł, jakby nie mógł przekroczyć bariery dyskrecji.

Zrobiła niewinną minę.

— Kłopoty? To na pewno plotki... — usiłowała jeszcze czegoś się dowiedzieć, ale pan Emil jakby się zreflektował i nie był już skory do zwierzeń. Lea próbowała dalej. — Wie pan, jaki jest mój mąż, uznaje tylko ludzi poważnych i nudnych jak pan Reutowicz.

Pan Emil zamrugął i uśmiechnął się sympatycznie.

— Ludzie się zmieniają, może za kilka lat i ja będę taki ponury i zgryźliwy.

Przyjrzała mu się poważnie i pokręciła zdecydowanie głową.

— Niemożliwe, pan zawsze będzie pogodny i uprzejmy. Nawet gdyby świat się zawalił — odparła z uśmiechem.

Więc Sabina lubiła się bawić, a Józef miał przez nią kłopoty. Ciekawe, jakie kłopoty, zastanawiała się później, siedząc samotnie w mieszkaniu i odrywając się co i raz od *Józefa Balsamo*. Może rzeczywiście miała romans, a może pan Emil miał na myśli jej samobójstwo. Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej wydawało się to nieprawdopodobne. Absolutnie nie mogła dopasować tych sytuacji do pięknej i poważnej dziewczyny ze zdjęcia, nie mogła też o niej zapomnieć. Co się stało? — pytała siebie i nie znajdowała odpowiedzi na to, i na wiele innych pytań.

Józef wrócił późno w nocy, w dobrym humorze; pachniał tytoniem i alkoholem. Lea była na niego zła. Usiadła na łóżku i patrzyła spod oka.

— Gdzieś ty tak długo był? Miałeś wrócić za godzinę, a przepadłeś na pół nocy. Niepokoiłam się o ciebie — upominała go z naburmuszoną miną.

Nie słuchał, mówił trochę zbyt głośno, z entuzjazmem zaprawionym dobrą porcją alkoholu.

— Lea, wreszcie wpadłem na trop! Musiałem o tym powiedzieć komu trzeba i trochę nam zeszło. Trochę się zasiedziałem z Trichonowem. Jutro ci opowiem, teraz padam z nóg, dosłownie padam z nóg — powiedział, usiłując zdjąć ubranie.

Następnego dnia poprosił ją do laboratorium i pokazał, jakiego odkrycia dokonał. Tym razem to nie była fałszywa kora chinowa ani herbata, to był biały proszek, który mógł być niemal wszystkim. Lea nie rozumiała, czym Józef tak się emocjonował. Wzięła odrobinę proszku, powąchała, dotknęła językiem, a potem podniosła głowę i spojrzała podejrziwie na Józefa.

— Żartujesz sobie ze mnie! Co to jest?

Józef promieniał autentyczną dumą odkrywcy. Uśmiechnął się i podkreślił wąsy.

— Trochę kredy, trochę bromku potasu, a sprzedawano jako kodeinę. Wczoraj zrobiłem analizę — każde słowo wymawiał starannie, podkreślając doniosłość sprawy, i na dowód swego odkrycia pokazał jej rząd próbek w drewnianym stojaku, które ujawniały fałszerstwo bezdyskusyjnie. — Rozumiesz? Rozumiesz, co to znaczy? — emocjonował się, kręcąc guzikiem kamizelki z angielskiej wełny. — Teraz podrabiają leki, robią je z byle czego, nawet ze zwykłej kredy i soli kuchennej, byle miały dobry wygląd i opakowanie, najlepiej jakiejś znanej firmy — opowiadał z natchnionym żarem w oczach.

Lea wątpiła, czy to rzeczywiście takie ważne.

— Piękne, ale co z tego, skoro nie wiesz, kto to robi.

— Dojdę i do tego, zobaczysz. Po nitce do kłębka — na twarzy pojawił mu się przebiegły uśmieszek, ale nic więcej nie chciał jej powiedzieć.

Niebawem się okazało, że nikt oprócz Trichonowa nie był zainteresowany odkryciami Józefa, nawet Reutowicz nie podzielał entuzjazmu przyjaciela.

Dwa tygodnie później pan Emil odszedł z apteki. Powiedział, że wyjeżdża do Brazylii. Lea nie mogła w to uwierzyć.

— Tak nagle? Co się stało? — dopytywała się, kiedy przyszedł się z nią pożegnać.

— Nosilem się z tym zamiarem od dawna, teraz trafiła mi się okazja — odpowiedział lekko zawstydzony, a jej się zdawało, że nie ma już w nim tej lekkości tancerza, jakby nowe plany wcale go nie cieszyły, były zbyt ryzykowne. — Mój przyjaciel mieszka tam od trzech lat i mówi, że potrzebują takich ludzi jak ja — dodał, umykając spojrzeniem na boki.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Panie Emilu, ale czy to rozsądne? Tu też jest pan potrzebny. Nie wyobrażam sobie, jak tu będzie bez pana. A co z narzeczoną?

— Przyjedzie do mnie za pół roku, jak się urządzę — zapewniał z bladym uśmiechem.

Niczego więcej się nie dowiedziała, Józef też nie chciał niczego jej powiedzieć.

— Wiem tyle, co i ty — uciał krótko, lecz z jego miny można było sądzić, że wie więcej.

Podejrzewała, że za odejściem pana Emila kryje się jakaś inna przyczyna. Nie mogła jednak dociec, co by to mogło być. Czyżby Józef był z niego niezadowolony, pokłócili się? Nie, pan Emil był akuratywny, grzeczny i układny, a nawet gdyby się pokłócili, to nie jest powód, żeby od razu rezygnować z posady. Coś jednak musiało się stać. Nie chodzi przecież o tę rozmowę, kiedy go podpytała o Sabinę. Nie, nie, o tym Józef nie mógł wiedzieć, chyba że ktoś coś szeptnął. Ale nie, to niemożliwe. Uznała więc, że osobiste sprawy pana Emila zmuszały go do nagłego wyjazdu, i żałowała, że apteka traci takiego dobrego pracownika.

— To kto teraz będzie na miejscu pana Emila? — zapytała Józefa.

— Jest przecież Tymon i Filip, no i Wincent będzie częściej przychodził, po nowym roku może przyjmujemy kogoś nowego.

Zastanowiła się chwilę.

— Nie zapominaj, że masz jeszcze mnie, mogę w czymś pomóc — przypomniała mu, że wciąż jest gotowa pomóc, że czeka tylko na słowo zachęty.

— Oczywiście, oczywiście — zbył ją, nie chcąc wdawać się w dyskusję.

Postanowiła jednak wykorzystać szansę i włączyć się do aptecznych zajęć. Kropla drąży skałę, pomyślała. Wiedziała, że ani prośbą, ani groźbą w tej sprawie nic nie zwojuje, ale coraz częściej zaglądała do apteki. Zaczęła od tego, że pokazała Józefowi stary przepis na likier rozgrzewający żołądek, który przysłała jej ciotka. Powiedziała, że chciałaby go zrobić na domowy użytek.

— Nie będę ci zawracała głowy — dodała, podając mu kartkę z przepisem. — Sama mogę odważyć składniki, pokaż mi tylko, z której wagi mogę skorzystać.

Józef kończył jeść kolację; zerknął na kartkę, wygładził palcem lewą brew i wetknął kciuk za brzeg kamizelki.

— No dobrze — odparł z westchnieniem.

Zeszli razem do laboratorium. Pokazał jej wagę (jedną z tych średnich) i stanął obok. Uśmiechnął się pod nosem, założył ręce za siebie i przyglądał się, jak sięga po puszkę i pojemniki z ziołami, jak ustawia na szalce mosiężne odważniki, a na drugą ostrożnie i z namaszczeniem sypie wysuszone ziele rozmarynu, potem zielonoszare listki szałwi, melisy, kawałki korzenia fiołkowego i korzenia dzięgła, a w końcu suszony kwiat róży.

— Potrzebne mi jeszcze korzeń gałganu mniejszego, drzewo sasafrowe, goździki, cynamon, gałka muszkatołowa i jagody jałowca — wyliczała. — Korzeń gałganu, jest coś takiego? — odwróciła głowę, zmarszczyła nos i popatrzyła na niego z wyczekiwaniem i wiarą, że on wszystko wie.

— Właściwie galgant mniejszego — poprawił ją. — Powinien jeszcze być.

Dał się wciągnąć w robienie nalewki; podszedł do repozytorium i wygrzebał w jednej z szuflad wysuszone kłącza.

— Galgant mniejszy, *Alpinia galagant* — powiedział półgłosem, z powagą i dodał, że to stary lek, gorzki, aromatyczny, kiedyś stosowany w niestrawności i braku apetytu. A w końcu sam zaczął pomagać w przygotowywaniu likieru.

Wszystko nalać wódką, pisała jej ciotka, i niech w ciepłe mokie przez parę tygodni, wtenczas precedzić i zaprawić ulepkiem.

— I jeszcze alkohol — obróciła się do niego.

— Wiedziałem, że bez tego ani rusz — zaśmiał się.

Potem Lea coraz częściej zaglądała na dół i pytała, czy może coś zrobić. Fasowała tabletki, odważała zioła i proszki, rozlewała do flaszek ekstrakty i odwary, pomagała też na ekspedycji. Na początku tylko układała towar, sprawdzała, czy czegoś nie brakuje, czy słoje z kremem na piegi i pomadą na włosy są dobrze widoczne w witrynie wystawowej, ale któregoś razu, gdy Józefa nie było w pobliżu, jedna z klientek spojrzała na Tymona, pokręciła nosem, że taki młody i niedoświadczony, i powiedziała, że wolałaby być obsłużona przez panią aptekarzową. Lea podeszła, cierpliwie wysłuchiwała jej opowieści i doszła do wniosku, że problemy klientki były natury duchowo-kosmetycznej. Z całym przekonaniem poleciła jej krem upiększający oraz zioła do płukania włosów.

— Sama to stosuję — dodała z dyskretnym uśmiechem.

Tak zdobyła swoją pierwszą klientkę, a potem były kolejne, które chciały usłyszeć, co pani aptekarzowa by im doradziła, zwłaszcza w sprawach intymnych albo kosmetyków i wyrobów dla dzieci. Józef patrzył na to krytycznie, Reutowicz jeszcze bardziej, ale on zostawił tę sprawę Józefowi, który zdecydowanie zabronił jej wydawać leki.

— Nie zgadzam się. To nie jest takie proste, Lea. Nie, tak nie może być! Absolutnie nie zgadzam się na to, rozumiesz?! Nie masz do tego żadnych podstaw. Tu trzeba fachowej porady, rzetelnej wiedzy, a nie jakichś przypadkowych, zasłyszanych nie wiadomo gdzie znachorskich mądrości — powiedział z groźnym błyskiem w oczach. — I bez dyskusji!

Przez kilka dni nie odzywała się do niego, ale później znów doszli do porozumienia, chociaż w sprawie wydawania leków Józef był nieustępliwy.

— Zajmij się ziołami, możesz pomagać na recepturze, ale o ekspedycji nie ma mowy — powtarzał jej i dodawał: — Tak musi być, myszko, i nie obrażaj się na mnie. A najlepiej będzie, jak pomożesz mi w laboratorium — dodawał na osłodę.

W grudniu umarła żona Reutowicza. Od dawna wszyscy się tego spodziewali, ale wiadomość była przygnębiająca jak pogoda za oknem, ziąb i śnieg z deszczem rozmywające ciemny zimowy krajobraz.

— O mój Boże — jęknęła Lea, i nie był to tylko wyraz smutku i współczucia, ale i przecucie, że nadchodzą ciężkie chwile.

Michalinę widziała kilka razy i nie zamieniła z nią więcej niż trzy słowa, a właściwie to Lea powiedziała te trzy słowa, Michalina zaś pozostała milcząca. Robiła wrażenie chorej, zbyt chorej, żeby porozmawiać, żeby być miłą, uśmiechnąć się choćby odrobinę i zapytać, co słychać. Przyziemne sprawy innych dawno przestały ją interesować. Lea ze swoim byle jakim pochodzeniem tym bardziej jej nie interesowała i na zasadzie wzajemności Lea absolutnie nie interesowała się żoną Reutowicza. Dopiero na stypie dowiedziała się, że Michalina była jego kuzynką i młodzieńczą miłością, płomienną, jak dodawali niektórzy, a inni już nieco ciszej dopowiadali, że ten płomień szybko się wypalił. Dziwiła się, że Józef nic jej na ten temat nie mówił, jakby fakty z życia przyjaciela należały do sekretnej przeszłości, o której nie chciał jej wspominać.

— Co on teraz robi? Ma kogoś? — zapytała Józefa.

Józef się oburzył.

— Co to znaczy: ma kogoś? Przecież ona dopiero co umarła.

— Pytam, czy ma kogoś na oku? — poprawiła się.

— Lea, już ty się do tego nie mieszaj — odparł, robiąc stosownie groźną minę.

Wzruszyła ramionami, zasadniczo to jej ani trochę nie obchodziło, byle nie było z tego jakichś komplikacji. Nie potrafiła sobie wyobrazić Reutowicza bez ciągłych zabiegów i starań o zdrowie żony. Choroba Michaliny była jego usprawiedliwieniem i wymówką, jego polem magnetycznym, w którym poruszał się od lat. Wyznaczała mu zakres działań, pomysłów i planów. Jak Reutowicz będzie się zachowywał, gdy poczuje, że wraz z Michaliną stracił i ten znany sobie teren działań, tego nie wiedział nawet Józef, a pewnie i sam zainteresowany. Może będzie się cieszył wolnością jak chart spuszczonej ze smyczy. Wprawdzie ma już pod czterdziestkę, więc może aż takim chartem nie będzie; a może odnajdzie się w roli nieutulonego, z małymi odstępstwami od reguły, zgadywała Lea, ale trudno go było wyczuć.

Reutowicz żałobę nosił dostojnie i elegancko, w czarnym cylindrze i surducie, i takim też palcie z kołnierzem z bobra. Tak było w większość dni tygodnia, w sobotnie wieczory zdarzało się jednak, że dostojęństwo diabli brali. Reutowicz szukał wtedy ukojenia dla swojej skołatanej duszy, nieutulonego żalu i rozczarowania światem. W tych poszukiwaniach zazwyczaj towarzyszył mu Józef. Obaj panowie nie dyskutowali wówczas o walorach kawy czy herbaty, ich preferencje zmieniły się radykalnie, zastanawiali się nad wyższością wódki Baczewskiego nad apteczną jałowcówką, samorodnym samogonem i autentycznym koniakiem albo odwrotnie. Józef wracał z tych spotkań po nocy, a potem cierpiał w samotności. Lea złościła się na niego, początkowo lekko, potem przytaczając coraz bardziej ostre argumenty.

— Wcale o mnie nie dbasz, zostawiasz mnie samą, nie jestem ci do niczego potrzebna — mówiła, marszcząc brwi i szeleszcząc złowieszczą spódnicą, gdy obracała się od niego obrażona.

Józef zmienił więc taktykę i teraz to Reutowicz zaczął wpadać do niego. Zdarzało się, że posiedzenie przeciągało się do późnych godzin i gość zasypiał na kanapie w jadalni. Rano Lea była w złym humorze, nie miała zrozumienia i bezlitośnie trzaskała drzwiami.

— Lea, bądź tak dobra i zrób nam kawy albo lepiej herbaty — prosił Józef z miną męczennika. — I zachowuj się trochę ciszej. Odrobinę ciszej. Czy ja tak dużo od ciebie wymagam?

Taka sytuacja powtarzała się, jej zadaniem, zbyt często, nie mogła przymykać na to oczu. Którejś styczniowej soboty stwierdziła, że ma tego dosyć. I gdy wieczorem Józef zasiadł ze strapionym przyjacielem do stołu i otworzył dębowy kredens, głęboki jak jaskinia pełna wysokoprocentowych skarbów, Lea weszła do pokoju i zapytała, czy znowu zamierzają pić i czy to aby nie przesada. Józef rzucił jej zdziwione spojrzenie, a Reutowicz przerwał swoje wywody na tematy, jak się jej zdawało, olejków lotnych albo druków ulotnych.

Na stole stało kilka butelek, kieliszków i szklaneczek wesoło połyskujących w świetle lampy. Oczy Lei też błyszczały, ale był to złowróżbny błysk; Józef tego nie dostrzegł i zapytał, o co tym razem jej chodzi.

Lea przysiadła się do stołu i powiedziała, że dotrzyma im towarzystwa. Uśmiechnęła się słodko jak lukrecja, wzięła pusty kieliszek ze szkła w kolorze agrestu i poprosiła, żeby Józef go napełnił.

— To wódka, za mocna dla ciebie — odparł zdezorientowany, ale spełnił jej prośbę. Wypiła, skrzywiła się, zagryzła ciasteczkiem i sama naląła sobie następny.

Józef popatrzył na nią czujnie i zapytał:

— Chcesz się upić?

— A ty? — zapytała szybko. Jej oczy przypominały teraz dojrzałe jagody wilczego łyka, piękne i jadowite, nie było w nich ani odrobiny wyrozumiałości, ani innych przyjaznych uczuć.

— Lea, proszę cię, nie rób scen, bądź rozsądna, pochorujesz się — mówił coraz bardziej niezadowolony.

Wypiła zatem za rozsądek, wyrozumiałość i współczucie Józefa. Przy czwartym, a była to potrójnie destylowana wódka, czysta jak myśli pobożnych siostrzyczek, powiedziała, że pije za smutek Reutowicza, jego gorycz, abnegację, dekadencję i cholerną melancholię.

Reutowicz spojrział na nią z przelotnym zaciekawieniem, jakim obdarza się wiszących nad

przepaścią linoskoczków.

— Obawiam się, że wybrała pani nie najlepszy sposób, żeby okazać swoje niezadowolenie. Stąpa pani po kruchym lodzie — powiedział dość obojętnie.

— Być może. Pan też nie zawsze wybiera właściwie — odparła z lekkim ociąganiem.

Starła się przy tym zachować fason i jak najdłużej utrzymać na powierzchni świadomości, aż do zdecydowanej interwencji Józefa, który uznał, że przekroczyła barierę dobrego tonu, i wyprowadził ją z pokoju, biorąc pod ramię.

Konsekwencje owego zimowego wieczoru zapamiętała na długo, niedyspozycję ciała i duszy oraz tyradę Józefa, który powiedział, że jej zachowanie było nierozsądne i nieestetyczne, wręcz skandaliczne, że wstyd mu za nią przed Reutowiczem, nie spodziewał się tego po niej i ma nadzieję, że więcej się to nie powtórzy. Powinna się nad tym poważnie zastanowić, bo skoro jej ojciec miał złe skłonności, i w niej mogą się one obudzić, a kobiety, których konstytucja, jak wiadomo, jest dużo bardziej niestabilna, żeby nie powiedzieć płocha, od męskiej, łatwiej wpadają w nałogi.

— Popisałaś się, nie ma co! — wypominał jej, rozciągając przed nią mocno rozbudowaną wizję upadku i degeneracji. — Doprawdy wstyd mi za ciebie — kończył, posyłając jej spojrzenie chmurne i pełne dezaprobaty.

Lea zaciskała zęby, w myślach przytaczała całkiem nieeleganckie słowa, ale i ona liczyła na to, że incydent się nie powtórzy. Gdyby to się miało powtórzyć, pojedę do ciotki, obiecywała sobie, zła na Józefa i na siebie, że wpadła na taki niemądry pomysł i upiła się tylko po to, żeby zepsuć im wieczór i przypomnieć Józefowi, że jest ważniejsza od Reutowicza i Michaliny, nawet od Sabiny i całej ich tajemniczej przeszłości.

Atmosfera oczyściła się na przedwiośniu wraz z falą odwilży, która roztopiła resztki brudnego śniegu i wyganiała z domostw niezdrowe humory. Panowie wypili wówczas butelkę likieru rozgrzewającego żołądek (tego z galgantem mniejszym), zjedli pierniki, a dla zniwelowania słodkiego smaku zagryzli sardynkami czy minogami i uznali tę ucztę za jedno z bardziej ekstremalnych kulinarnych doświadczeń.

Po tym incydencie Józef zajął się sprawami apteki. Reutowicz chorował przez kilka dni, a potem powrócił na łono kościelnego chóru, a podobno zainteresował się też jakąś chórzystką z wodewilu, jak napomknęła obeznana w świecie Jaszowa. W każdym razie zachowywał dystans i nie pokazywał się zbyt często na Piwnej. Lei się wydawało, że jej unika i nie chce stwarzać okazji do niepotrzebnych zadrażnień. Początkowo podejrzewała, że tylko się przyczaił i czeka na stosowną chwilę, żeby powiedzieć coś niemiłego, on jednak wycofał się i stał obojętny niemal na wszystko. Józef mówił, że jego przyjaciel zachowuje się, jakby stracił zapal do życia, potem dodał, że dostrzega u niego skłonności do melancholii. Lea nie wypowiadała się, wątpiła w to, czy Reutowicz był rzeczywiście przywiązany do żony. Czasami jednak zastanawiała się nad jego postępowaniem, które z perspektywy czasu wydawało się jej żalną próbą uchwycenia się życia, obudzenia w sobie sił witalnych, jakby kontakt z ciężko chorą żoną skazał go na jałowość i zatracenie. Może tak właśnie się czuł, pomyślała i postanowiła zapomnieć o niemiłych incydentach.

Zajęła się swoimi sprawami. Starła się nie oglądać za siebie ani nie zerkać na boki, co ma być, to będzie, mówiła sobie, ćwicząc się w poskramianiu emocji, złych myśli i nawyków. Latem odwiedzała ciotkę Anastazję, robiła konfitury i pikle, chodziła nad rzekę, żeby popływać i poczuć odrobinę dzikiej wolności. I tylko czasem przy złej pogodzie, gdy na miasto opadała mgła albo nadciągały burze, przypominała sobie o sprawach niepokojących i niewyjaśnionych, które tkwiły zagrzebane w przyborniku do szycia i coraz słabiej pachniały zwietrzałą macierzanką.

Minęło kilka lat, skończył się wiek XIX, a nowy przyniósł zmiany. W Warszawie powstawały wytwórnie leków, laboratoria i składy apteczne. Kobiety próbowały swoich sił w farmacji, zdobywały praktykę i uczyły się na kursach prywatnych, choć Cesarski Uniwersytet Warszawski odmawiał im prawa do dalszego kształcenia i zdawania egzaminu prowizorskiego. Mimo tego powoli torowały sobie

drogę do aptekarskiego zawodu.

Apteka przy Piwnej działała utartym trybem, ale i w niej zachodziły zmiany; zainstalowano telefon, w izbie ekspedycyjnej ustawiono higieniczne metalowe spluwaczki, a w oknie od ulicy termometr i barometr zawieszono tak, żeby był dobrze widoczny dla przechodniów. Sprzedawano coraz więcej gotowych leków, sztucznych wód mineralnych, odżywek i kosmetyków. Józef przyjął nowych uczniów, Szymona i Karola, starał się o uzyskanie patentu na likwor rozgrzewający żołądek i zastanawiał się też nad zgoleniem brody, którą w końcu tylko przystrzygł. Wieczorami przesiadywał w laboratorium i badał zafałszowania. Reutowicz zajął się interesami, produkcją żelatynowych kapsułek i glicerynowych maści. Do apteki wpadał na krótko, czasami zasiedziało się z Józefem, ale to się zdarzało sporadycznie. Nie miał na to zbyt wiele czasu, prowadził swój skład apteczny, rozwijał go i znowu namawiał Józefa, aby wspólnie otworzyli wytwórnię leków galenowych.

Felutka z rodziną przeprowadziła się do Kijowa, gdzie jej mąż otrzymał intratną posesję w cukrowni. Z Paryża dotarła nowa moda, panie nosiły teraz spódnice opięte na biodrach i szersze dołem.

— Piękne te spódnice, ale zupełnie nie dla mnie, trzeba mieć do nich odpowiednią figurę, ja jestem za niska — martwiła się Lea, przeglądając z Marianną numer „Bluszczu” z rysunkami nowych modeli sukien.

— A ja za gruba — westchnęła Marianna, wciągając brzuch i krytycznie przyglądając się sobie w lustrze toaletki.

Nie mogły jednak pozostawać w tyle, więc obie wybrały się do krawcowej, młodej Żydówki, która mieszkała przy Bonifratskiej i jak żadna inna potrafiła dopasować krój do figury. Kazały sobie uszyć nowe sukienki, których spódnice były dołem rozszerzane dzięki trójkątnym klinom, a układały się pięknie, jak na rysunkach z paryskiego magazynu mód.

Lea miała wrażenie, że wszystko wokół niej się zmienia, a ona — oprócz tego, że ma nową sukienkę — nie zmienia się wcale. Może była nieco bardziej dojrzała, wiedziała trochę więcej o sobie i o Józefie, łatwiej jej było się z nim dogadywać, miała mniej złudzeń, za to przybyło jej kilka siwych włosów, skończyła przecież trzydzieści trzy lata. Nadal jednak przyglądała się światu z pozycji wyjściowej, lekko naiwnej i nasyconej zasadami ciotki Anastazji, mocnymi jak skała. Historia Sabiny i inne zawirowania z Józefem nie zdołały wygrzyźć w jej spojrzeniu na świat większej dziury. Od czasu do czasu zastanawiała się, po co to wszystko, po co dni pełne zabiegania i starań, po co cierpienia i nieszczęścia, przecież i tak wszystko przemija. Po chwilach niepewności i zwątpienia przychodziła dobroczynna fala zdrowego rozsądku, która zmywała je z powierzchni rozmyślań, dopowiadając ewentualnie, że szukanie odpowiedzi na tego rodzaju heretyckie pytania jest równie beznadziejnie jak szukanie wiatru w polu, który wciąż się wymyka. Lepiej zakasać rękawy i wziąć się do jakiejś roboty, bo wiadomo, że z próżniactwa i lenistwa nic dobrego nie wynika.

Trochę uporem, trochę sprytem i kobiecymi sztuczkami Lea wymogła na Józefie przyzwolenie na swoją obecność w aptece. Zajęła miejsce Filipa, który mimo narzekań zdał egzaminy końcowe na Warszawskim Uniwersytecie Cesarskim i wrócił do rodzinnego Łowicza. Teraz to ona pomagała na recepturze, czasami pod okiem Józefa, a innym razem Tymona — a właściwie już pana Tymona, bo odkąd został podaptekarzem, wszyscy tak się do niego zwracali — przygotowywała nieskomplikowane leki. Więcej czasu spędzała jednak w laboratorium; Józef przyzwyczył się do jej obecności i był zadowolony, że może wprowadzić ją w tajniki swoich badań. Cierpliwie objaśniał i pokazywał różne sposoby wykrywania fałszywych leków i przypraw, tłumaczył, jak rozpoznać przypadkowe zanieczyszczenie od celowo dodanych balastów i innych oszukańczych działań.

— Tylko zobacz, co tu mamy. Widzisz, jakie piękne nagietki? Tylko że tu ich wcale nie powinno być, bo to ma być szafran! — uderzał w gniewny ton. — Szafran, moja droga, to wysuszone znamiona krokusa, na kilogram potrzeba dwieście tysięcy kwiatów, wyobrażasz to sobie? Ale takiego sortu u nas na rynku nie znajdziesz! Jest hiszpański, jest francuski, a w nich więcej pręcików i słupków niż tych złotych szafranowych nitek. Jest pełen wybór sztucznie barwionych, całkowicie zafałszowanych i ulepszanych, jak ten wymieszany z nagietkiem — odsunął się od mikroskopu, żeby mogła zobaczyć.

Lea spoglądała i najczęściej odnajdywała to, o czym mówił Józef, ale nie ekscytowała się tym tak jak on. Zdawała sobie sprawę, że laboratorium Józefa nie przynosi żadnych dochodów, jego utrzymanie było sprzeczne z jej praktycznym zmysłem i zdrowym rozsądkiem. Ale o tym z Józefem nie rozmawiała, to jego sprawa.

Oprócz tego, że Lea była tolerowana w aptece, w jej życiu właściwie nic się nie działo, jakby zatrzymała się w miejscu i nie dostała promocji do następnej klasy. Sama starała się wyciszyć, nie liczyła na to, że coś może się zmienić, myśli o macierzyństwie odsunęła od siebie, odegnała daleko na cztery wiatry. Będzie, jak Bóg da, jak pobłogosławi. Na razie błogosławił innym. Wiosną 1901 roku Marianna urodziła małą Marysię, a Lea została matką chrzestną dziewczynki. Cieszyło ją to i z niecierpliwością czekała na czwartkowe wizyty u Marianny, kiedy mogła zobaczyć dziewczynkę. Z cieniem zazdrości patrzyła na sąsiadkę, która przed rokiem wyszła za męża, a teraz była dumną matką niemowlęcia z rudym lokiem wystającym spod czepeczka. Lea uśmiechała się na jego widok i myślała sobie, że gdyby ona miała takie ładne dziecko, świat wydawałby się jej lepszy, mniej oszukańczy, a nawet całkiem znośny. Od czasu do czasu obserwowała swoje ciało, ale nic w niej się nie zmieniało, nie zaokrągląło, nie pęczniało, mimo że Józef systematycznie okazywał jej swoje względy. Uciekała się do różnych sposobów — czasem, kiedy wracała myślami do swego dzieciństwa i wszyskowiedzącej babki, wkładała pod prześcieradło malutką kukielkę z pachnącej macierzanki albo zjadała jajka o dwóch żółtkach i wystrzegała się jedzenia mięsa trzebionych zwierząt. Nic nie pomagało.

— Dopóki kobieta nie urodzi syna, jest jak panienka — mówiły kobiety na wsi.

— Jak to? A córka się nie liczy? — pytała zdziwiona.

— Musi być syn — twierdziła stanowczo Urszulcia. — Wtedy ją uważają, a jak same córki to już niekoniecznie, i mąż może się gniewać.

— Po kochaniu trzeba leżeć na prawym boku — dodawała Zejda, która przynosiła do kuchni oczyszczone flaki i znała się na wnętrznościach jak nikt inny. — Bo w prawym boku jest macica, co daje synów — dodawała — a w lewym córki.

— Głupstwa Zejda plecie — uciszała ją ciotka Anastazja.

Pewnie że głupstwa, przyznała teraz Lea, ja bym i z córki bardzo się cieszyła, ale nawet gdybym stanęła na głowie, nic z tego nie wyjdzie. Łapała się już różnych sposobów. W poradniku dla młodych małżeństw i narzeczonych wyczytała, że najlepszy czas na płodzenie dziewczynek to cztery dni przed regularnością, a kilka dni po można spłodzić chłopców. A w ogóle to najlepiej płodzić dzieci na wiosnę, kiedy siły żywotne są rozbudzone jak cała natura. Co z tego, że o tym wiedziała? Wszystkie starania okazały się jałowe. Pewnie dlatego już go nie pociągam, myślała o Józefie.

Nie mogła jednak narzekać, niczego jej nie brakowało. Józef potrafił ją niekiedy mile zaskoczyć, zabrać do teatru albo na wystawę, podarować bukietik wiosennych kwiatów czy jakiś ładny drobiazg. W końcu Lea uznała, że powinna być zadowolona ze swego życia, z tego co ma, bo mogło trafić się jej gorzej. Dużo gorzej.

Jak grom z jasnego nieba spadła na nią wiadomość o śmierci ciotki Anastazji. To było w pierwszych dniach czerwca 1901 roku. Przyszedł telegram, a wiadomo, telegram nic dobrego nie wróży. Lea otwierała go pełna najgorszych obaw i się nie pomyliła, nowiny były tragiczne: *Ciotka Anastazja nie żyje, pogrzeb w piątek*, zawiadamiał wuj Kacper. Nie było wyjaśnienia, co się stało. Lea patrzyła na te kilka słów i nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, nie mogła w to uwierzyć.

— Nie chorowała, nic mi o tym nie pisała, że jej zdrowie szwankuje. Co się stało? — Spoglądała na Józefa niepewnie, jakby on znał odpowiedź i mógł jej wyjaśnić, jak to się dzieje, że umiera się tak nagle, niespodziewanie dla najbliższych.

Ale Józef mógł tylko zgadywać.

— Może nie chciała o tym pisać? Nie lubiła się skarżyć — odparł równie niepewnie.

Następnego dnia przyszedł drugi telegram, tym razem od Maryni, która miała więcej informacji z Korytnicy. *Był pożar, ciotka nie żyje, dom spalony, pogrzeb w piątek*, napisała.

Lea pojechała z Józefem, jakżeby mieli nie jechać. Cały czas był przy niej, podtrzymywał na duchu w kościele i na cmentarzu. A ciotka piękny miała pogrzeb, ludzi był tłum, cała Korytnica przysłała. Potem opowiadano trochę z zazdrością, że i ksiądz pięknie mówił, a organista grał tak, że szczerzy żal serce ścisnął. Organiście Józef osobiście obiecał, że grosza nie poskąpi, byleby ładnie zagrał. Zagrał więc głośno i wszyscy płakali, nawet mężczyźni ukradkiem ocierali zażawione oczy, baby zawodziły, a Urszulcia najbardziej. Lea też płakała, tyle że po cichu. Dopiero później, gdy zobaczyła pogorzelnisko, rozsłochała się na dobre. Na dom spojrzała tylko z daleka. W pobliżu nadal wyczuwało się swąd spalenizny, nadpalone graty leżały zsypane na kupę pod drewnitną. Lea nie chciała na to patrzeć, pobiegła do sadu i tam wypłakała się w samotności.

Stypę zrobiono w karczmie, nazjeżdżało się krewnych i powinowatych, ścisk się zrobił, każdy chciał ciotkę powspominać. Tylko synów ciotki brakowało, którzy z Ameryki nie mogli przyjechać i zapewne wiadomość o nieszczęściu jeszcze do nich nie dotarła. Wuj Kacper wiele nie mówił, sam wyglądał prawie jak nieboszczyk, blady był i jakby nieobecny duchem, ale znaleźli się ludzie wymowni, co zalety ciotki głośno chwalili i wznosili podziękowania za jej dobroć i mądrość, służenie radą. Opijali to czystą gorzałką, bo słodkiego na stypie nie wypada, zwłaszcza pierwszego dnia. I znowu rozgadali się o pożarze. Lea jeszcze raz usłyszała, że dom zapalił się od uderzenia pioruna, a jak od pioruna, to wiadomo, że gasić nie można. Tak rąbnęło, że włosy dęba stanęły, a psy zaczęły skowyczeć, powtarzali jeden drugiemu, dodając jakieś barwne szczegóły.

— Stryj opowie, jak było — domagał się któryś z krewniaków, choć już słyszał tę historię niejeden raz.

Ale wuj Kacper tylko pokręcił głową na znak, że nie chce o tym mówić.

— Wszyscy wybiegli z domu, bo to wieczór dopiero był, i nawet graty zaczęli wynosić — odpowiedział za niego inny krewniak. — I meble, i obrazy święte, i nikt by nie zginął, gdyby ciotka nie wróciła się do palącego się domu, żeby ratować pudełko, w którym chowała listy od synów.

— To było to eleganckie pudełko, w którym przywiozłeś kiedyś czekoladki. Tyle lat jej służyło — Lea wyjaśniła Józefowi.

I tak zegnali ciotkę Anastazję przez trzy dni, aż pochorowali się z żalu i z przepicia.

Kiedy Lea wyjeżdżała z Korytnicy już na zawsze, powtarzała sobie słowa ciotki: nie ma co oglądać się za siebie. Teraz miała niezbity dowód, że to prawda, bo gdyby ciotka nie wróciła się po listy, nic by się jej nie stało, a tak zginęła razem z domem i listami, i zapisaną w nich przeszłością.

Wyjeżdżając, Lea zabrała ze sobą jeden z uratowanych mebli.

— Weź, nieboszczka chciałaby, żebyś to ty miała. Weź, niech ci służy — powiedział wuj Kacper, wręczając jej stary zydel, który należał kiedyś do babki Lei.

Mebelek ten pod siedzeniem miał schowek na różne skarby. Lea znalazła w nim narysowany przez Adasia obrazek, dwa kosmyki jasnych dziecięcych włosów przewiązane kolorową nitką, dwie świece przywiezione pewnie jeszcze przez babkę z Częstochowy i paczkę starych listów.

Do Korytnicy więcej już nie pojechała, nie miała do kogo. Wuj przeniósł się do krewnych, a potem zamieszkał we młynie i tam czekał, aż wróci któryś z synów, ale im nie bardzo się spieszyło. Klemens przyjechał dopiero po kilku latach i zaczął odbudowę domu. Jerzy nigdy nie wrócił, nie założył rodziny, został lekarzem, pracował w szpitalu w Bostonie, zajmował się upośledzonymi i nerwowo chorymi dziećmi.

Razem z Leą i Józefem do Warszawy pojechała Agata. Wuj dwóch służących nie potrzebował, zresztą młoda i niezamężna, to by ludzie zaraz gadali. Agata postanowiła jechać z Leą, sama ją o to prosiła, chciałaby być u niej za gosposię, bo w mieście to zawsze łatwiej, mówiła. Potem buczała całą drogę z żalu nad ciotką i sobą, i nad ostatnim narzeczonym, który okazał się zwykłym gałganem, i w ogóle tak ją na żalność wzięło. Co i raz wycierała nos w koszulę, a kiedy Lea mówiła, że przecież Agata może wrócić, to płakała jeszcze bardziej. Głupia nie była, gdzie by tam na wsi taką posadę znalazła. Józefa było stać na stałą pomoc, apteka przynosiła coraz lepsze zyski, uzbierał nawet ładną sumkę i odłożył w banku, a Lea była gospodarna, nie szastała pieniędzmi.

Podczas pogrzebu ciotki Lea nie rozmawiała z Leonem, wprawdzie mignął jej gdzieś w kościele, ale to nie była odpowiednia chwila, żeby go wypytywać, co tam u niego. Potem już go nie widziała, pojechał zapewne do ojca na Czajki. Lea się zastanawiała, czy jeszcze kiedyś się spotkają, bo gdy zabrakło ciotki, nikt już nie będzie podtrzymywał rodzinnych więzi, nikomu nie będzie się chciało.

Spotkała go miesiąc później. Któregoś popołudnia pojawił się w aptece i zapytał o Leę. Tymon pobiegł po nią do laboratorium.

— Pani Leokadio, może pani przyjść do apteki? Jakiś jegomość o panią wypytuje.

Lea odstawiła na stół butlę z gliceryną i zaciekawiona zerknęła na Tymona.

— Jegomość?

— Nie wiem, mówi, że kuzyn.

— Niemożliwe! — stwierdziła zaskoczona, szybko się ogarnęła, ściągnęła fartuch, poprawiła fryzurę i przeszła do izby ekspedycyjnej.

Z daleka rozpoznała jego głos, rozmawiał z Józefem. A kiedy zobaczyła szczupłego, wysokiego bruneta z zabójczymi wąsami, do którego wdychała niemal połowę swojego życia, coś w niej drgnęło, serce leciutko załaskotało. Tylko przez chwilę, ale jednak.

— Leon?! Co ty tu robisz? — zapytała zaskoczona i ucieszona, ale zaraz odezwał się też lekki niepokój. Nie wiedziała, czy Leon nie przyniósł jakichś złych wiadomości.

Nie. Oczy Leona śmiały się łagodnie, nie było w nich ani odrobiny smutku.

— Przechodziłem obok i pomyślałem, że wstąpię i zapytam o ciebie. Ciotka Anastazja zawsze wspominała, że wyszłaś za aptekarza i mieszkasz przy Pivnej na Starym Mieście, ale do tej pory jakoś się nie składało — wyjaśnił.

Uśmiechnęła się. Więc żadnych złych wieści, nic się nie stało, odetchnęła z ulgą.

— Jak to dobrze, że sobie o mnie przypomniawsz. Mojego męża już poznałeś? Nie muszę panów przedstawiać? — zaczęła trochę speszona i jednocześnie uradowana z niespodziewanych odwiedzin.

Leon wyglądał jak zawsze, nic się nie zmienił, czarne kręcone włosy opadały mu jak zwykle na czoło, oczy miał też czarne, jak karaluchy, tak mówiła babka, ale dla Lei były to najbardziej tajemnicze oczy na świecie. No i te wąsy. Boże, jaki on przystojny, pomyślała, próbując zebrać rozbiegane myśli.

— Wejdz na chwilę — zapraszała na górę.

Kiedyś tyle chciała mu powiedzieć, a teraz wszystko wyleciało jej z głowy, na nic więcej nie mogła się zdobyć, tylko na to głupie „jak dobrze, że zajrzałeś”.

— Na pogrzebie jakoś się nie składało, żeby porozmawiać — powiedział, rozglądając się z ciekawością po aptece. — Ciotka Anastazja to była instytucja, pamiętała o całej rodzinie, przekazywała nowiny i było wiadomo, co u kogo się dzieje. Jak jej zabrakło, to się skończyło.

— Dla nas to już chyba nie jest takie ważne — przyznała Lea.

Leon spojrzął je w oczy i odparł:

— Może jeszcze do tego nie dorośliśmy.

Przez chwilę wspominali ciotkę i wuja, którego Lea bezskutecznie zapraszała do siebie.

— Myślę, że on w tym swoim młynie żyje spokojnie i może tylko czasami brakuje mu narzekania ciotki. Mnie też jej brakuje i jej listów pełnych dobrych rad — przyznała i zmieniła temat. — A co u ciebie słychać, mieszkasz na Pradze, tak?

— Przy Brukowej, mamy duże mieszkanie w sam raz dla dużej rodziny, mam już trzech synów — rozpromienił się, a jego oczy błyszczały wesoło.

— Trzech synów? — Lea spojrzała na kuzyna zaskoczona. Szukała w jego wyglądzie śladów tego potrójnego ojcostwa i nie mogła ich dostrzec; nie miał ani podwójnego podbródka, ani wydatnego brzucha, nie wyłysiał, nie był nawet zatroskany, jak to zwykle bywa u mężczyzn mających kilkoro dzieci. Był taki, jakim pamiętała go z dawnych lat, może odrobinę bardziej stonowany, a jednocześnie pewny siebie. — Słyszałam o dwóch, a to już trzech!

— Tak — odparł z dumnym uśmiechem. — Koniecznie musisz nas odwiedzić. Panie Józefie,

zapraszam serdecznie.

Umówili się, że za dwa tygodnie Lea z Józefem przyjadą z wizytą. Wieczorem Józef wypytywał ją o Leona.

— Co to za kuzyn? Nigdy o nim nie wspominałaś.

— Jak to nie? Leon jest synem wuja Janusza, wiesz, tego, który mieszka na Czajkach — przypominała mu i Józef musiał wysłuchać rodzinnej opowieści. — Kiedy byłam młodziutką panienką, bardzo mi się podobał, zakochałam się w nim, ale bez wzajemności — śmiała się do swoich wspomnień.

— A teraz też chyba ci się podoba — zauważył podejrzliwie Józef.

— Teraz już nie jest tym młodzieńcem o tajemniczym spojrzeniu, ja też wyrosłam z tamtych lat, lecz się cieszę, że go zobaczyłam — zerknęła na Józefa, po którym nie było widać entuzjazmu. — Ale pojedziemy do nich z wizytą? — upewniła się.

— Oczywiście, pojedziemy. Umówiliśmy się przecież — odparł z lekką pretensją w głosie, jakby chodziło o spłatę jakiegoś długu. Jej długu.

I o co mu znowu chodzi, zastanawiała się. Może niepotrzebnie wspomniałam, że kochałam się w Leonie, może powinnam powiedzieć, że to już nieważne, bo teraz mam jego. Może nie siedziałyby taki milczący i zamyślony.

— A jak ci się Leon widzi? — dopytywała się, chcąc wy badać, skąd jego chmurna mina.

Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem, jakby właśnie się obudził.

— Leon? Twój kuzyn? Wydaje się... — chwilę się zastanowił, szukając odpowiedniego słowa.

— Sympatyczny.

Sympatyczny, dobre i to, pomyślała.

Przy kolacji Józef prawie się nie odzywał. Siedział zamyślony, zapatrzony przed siebie, a może w siebie, w coś, co przed nią ukrywał.

— Czym się martwisz? Masz jakieś kłopoty? — zapytała, podając mu jego ulubioną herbatę.

— Kłopoty? Nie, nie mam żadnych kłopotów — odparł, rzucając jej szybkie i nieuchwytne spojrzenie, a potem sięgnął po gazetę i odgrodził się nią jak parawanem.

Nie chce mówić, to nie, pomyślała. Nie dopytywała się więcej, skąd ten jego zły nastrój, nie chciała stwarzać problemów, które być może istniały tylko w jej wyobraźni, a które często jeszcze przybierały postać Sabiny albo nieuchwytnych fałszerzy, za którymi Józef nadal gonił.

W dniu wizyty było upalnie. Lea włożyła letnią sukienkę, uszytą kilka lat temu na wyjazd do ciotki. Teraz rzadko miała okazję ją nosić, a była taka ładna, z cienkiego krepdeszynu w niebieskoliliową kratkę przetykaną z rzadka wiśniową nitką.

— Ładnie wyglądasz — pochwalił ją Józef.

On też wybrał najcieńsze ubranie, jasne, z lekkiej przewiewnej wełny i letni słomkowy kapelusz. Kiedy wyszli na ulicę, Lea stwierdziła, że upał jest nieznośny i nie ma czym oddychać, ale wcale tego po niej nie było widać. Była radosna, podekscytowana, nieomal podskakiwała, idąc obok Józefa. Cieszyła się z wizyty, była ciekawa, jaka jest żona kuzyna, jak wygląda i jak mieszkają, ale najbardziej się cieszyła, że będzie mogła z nim porozmawiać, posłuchać jego głosu.

Do Leona nie było bardzo daleko. Pojechali dorożką przez most, potem dorożka skręciła w ulicę Targową, minęła Szeroką i zaraz wjechała w wyłożoną kocimi łbami Brukową. Stały tam wysokie kamienice, których front zdobiły roślinne albo zwierzęce motywy, już nie dostojne akanty, ale secesyjne wykręcone liście kasztanowca, chmielu albo urokliwe nietoperze. Trochę jak z bajki, pomyślała Lea.

Sufit w dużym pokoju w mieszkaniu Leona i Heleny też był pokryty zdobieniami. Lea stała przez chwilę z zadartą głową i przyglądała się splotom białych gipsowych liści i kwiatów.

— Ładnie mieszkacie — pochwaliła, przelatując wzrokiem po solidnych dębowych meblach, rzeźbionym kredensie z kolekcją porcelanowych figurek, kanapach i fotelach, po zawieszonych na ścianie talerzach i dużych oknach, przysłoniętych ażurowymi firankami.

Ale Helena, pulchna, zielonooka blondynka o mlecznej cerze, nie mogła się doczekać, kiedy

zaprowadzi ją do pokoju dzieci.

— Chodź, pokażę ci moje skarby — powiedziała z uśmiechem, zaszeleściła zieloną suknią i poprowadziła Leę do dziecięcego pokoju. Uchyliła drzwi i weszły po cichu. Dzieci spały po obiedzie, najmłodszy Wacusi, jasnowłosy z rumianą i zadowoloną buzią, ssał przez sen kciuk.

— Podobny do ciebie — szepnęła Lea.

Helena rozpromieniła się i poprawiła małemu rączkę.

— Dzieci tak szybko się zmieniają — odparła odrobinę zawiedziona i zadziwiona ulotnością dziecięcej urody.

Najstarszy, trzyletni Władek, przypominał ojca. Włosy mu ciemniały, cerę też miał ciemniejszą niż Wacek. Średni, Oleś, nie był do nikogo podobny, za to już otwierał oczy i przytomnie patrzył na matkę i jakąś obcą kobietę, której mógłby się przestraszyć, gdyby nie uśmiechała się do niego przyjaźnie.

Lea przyglądała im się wzruszona; zawsze czuła wzruszenie, patrząc na małe dzieci, a kiedy dostrzegła w synach Leona rodzinne podobieństwo, coś ją chwyciło za serce i poczuła, że zaraz się rozpłaczę. Wyszła do przedpokoju i poprosiła o szklankę zimnej wody, tłumacząc, że bardzo jej gorąco. Ukradkiem otarła oczy. Nie chciała, żeby Helena to dostrzegła.

— Chodź do kuchni — Helena powiedziała zwyczajnie, jakby znały się od lat.

W kuchni pachniało jedzeniem, zapach szynki mieszał się z wonią młodego groszku i wanilii. Na środku kuchni stał duży stół, zastawiony przygotowanymi do podania półmiskami z wędliną i rybą, sałatką, ciastem i ciasteczkami. Uwijała się przy nim mocna dziewczyna ze złotym warkoczem sięgającym pasa. Kiedy zobaczyła Helenę, zaraz zaczęła się dopytywać:

— A grzybki, psze pani, w czym podamy? Limonadę już z lodu wyciągać?

— Co za biesiada się szykuje, zupełnie jak u mojej ciotki — zaczęła Lea, ale zamilkła, zdając sobie sprawę, że Helena nie jest ciekawa jej wspomnień.

— U ciotki Anastazji — dokończyła za nią Helena. — Leon często o niej opowiada — dodała, podając jej szklankę wody sodowej, którą Nastka naląła z dużej drewnianej beczki. — Usiądź na chwilę i odpocznij. Panowie sobie porozmawiają, wypalą papierosa.

Lea piła małymi łyżkami i rozglądała się z ciekawością po kuchni, dużej, ale tak zastawionej meblami i sprzętami, że prawie nie było widać podłogi pokrytej szachownicą z kremowych i czarnych kafelków. W rogu stał biały kredens, wypełniony po brzegi talerzami i talerzykami, miseczkami, salaterkami i filiżankami, które ujawniały upodobanie Heleny do kruchej porcelany. Nagle drzwi się otworzyły i wpadł przez nie młody człowiek z rozwichrzoną jasną czupryną.

— O, do licha! — powiedział na widok Lei i Heleny. — Przepraszam bardzo, myślałem, że nikogo tu nie ma.

— Panie Janie, co też pan wygaduje, chyba upał zmacił panu umysł — fuknęła na niego Helena, unosząc znacząco krągłe ramiona w geście dezaprobaty.

— Pani Helenko kochana, pani wybaczy, ale zostałem wprowadzony w błąd. Miały panie zachwycać się dziećmi — tłumaczył się, spoglądając to na półmiski, to na Helenę. — Pomyślałem, że skorzystam z okazji i uszczknę sobie coś z tej uczy, żeby nikt nie widział i żebym z głodu nie omdlał, a tu takie *faux pas*. Bo co to za zwyczaj, żeby gości do kuchni spraszać. Nie uchodzi, pani Helenko, po prostu nie uchodzi — dodał i pokręcił znacząco głową, jakby to on przyłapał ją na jakimś uchybieniu etykiety.

Helena, chociaż niższa od Jana, spojrzała na niego z wyższością, a potem przeniosła wzrok na Leę.

— Nie wiem, Leo, czy powinnam ci przedstawiać tego pana. Jestem bardzo zakłopotana, bo też pan Jan zupełnie nie umie się zachować wobec dam — mówiła z nutą udawanego oburzenia.

Jan podszedł bliżej, cały czas miał poważną minę.

— Ale już zachowuję się wykwiwnie. Rączki całuję pani Helence i pani nieznajomej składam swoje uszanowanie — powiedział i skłonił się przed Leą.

Helena pokręciła z niezadowoleniem głową.

— Leo, to pan Jan Fiszer, przyjaciel Leona — dokonała prezentacji. — A to kuzynka mojego męża.

Lea podała mu dłoń i patrzyła na niego ze zdziwieniem; zastanawiała się, skąd wziął się ten dziwny gość. Był szczupły, niewysoki, o chłpięcej sylwetce i gładko wygolonej twarzy, z której, mimo prześmiewczych słów, nie znikająca śmiertelna powaga. Nosił okulary w złotej oprawie, co sprawiało, że jego oczy zdawały się błyszczące jak rozświetlone słońcem niebo. Może właśnie ten złoty refleks sprawiał, że Jan wyglądał jak ktoś skory do żartów i oczekujący poklasku.

— Pan pracuje razem z Leonem? — zapytała z uprzejmym półuśmiechem.

Popatrzył na nią poważnie.

— Nie. Ja jestem człowiekiem pióra, łaskawa pani, a ściślej dziennikarzem. Ale już uciekam, zjawiłem się zupełnie nie w porę, nie wiedziałem, że państwo mają gości. Proszę mi wybaczyć — uklonił się jeszcze raz i wyszedł z kuchni, zgarniając z półmiska plaster szynki.

Lea spojrzała na Helenę i obie się roześmiały.

— Mój Boże, kto to? — zapytała rozbawiona Lea. — A może mi się tylko wydawało, że ktoś tu wpadł, uklonił się i uciekł z kawałkiem wędliny.

— Jan jest niepoważny, nie wiem, dlaczego tak się zachowuje. Traktuje mnie, jakbym była małą, niemądrą dziewczynką.

— To raczej on zachowuje się, jakby był małym chłopcem — odparła Lea. Nie spodziewała się, że Leon, spokojny i wyważony w sądach, może przyjaźnić się z kimś takim. — Czasami trudno mi zrozumieć mężczyzn — dodała.

— Mnie też — Helena uśmiechnęła się porozumiewawczo, jakby obie się zgadzały, że na pewne sprawy i na pewne osoby trzeba patrzeć przez palce. — Ale pan Jan potrafi być zabawny i jest bardzo wymowny — dodała na jego obronę.

Lea mogła się o tym przekonać, bo niespodziewany gość został na kolacji. Mówił dużo, na każdy temat miał coś do powiedzenia i ze wszystkiego potrafił żartować, czym bardzo irytował Józefa.

— Więc pan jest dziennikarzem i zdaje się panu, że jest pan doskonale zorientowany we wszystkim? — zapytał śmiertelnie poważny Józef.

— Można powiedzieć, że obecnie taka jest moja profesja i staram się być zorientowany, przygotowany na różne wyzwania — przyznał Jan z równie poważną miną i wbił widelec w upatrzony plaster schabu.

— I można się z tego utrzymać? — dociekał Józef, odrywając się na chwilę od sałatki z groszkiem.

Jan, który siedział obok Józefa, nachylił się do niego i ściszym głosem, jakby powierzał tajemnicę, powiedział:

— Tylko, gdy ma się odpowiednie znajomości, szanowny panie. To ogromnie ułatwia sprawę, zwłaszcza pod koniec tygodnia. Dlatego bardzo sobie cenię Leona, solidny i nieskąpy, to rzadkie w tych czasach. A pani Helena dom prowadzi wybornie, doskonała gospodyni, zawsze można się u nich najeść, napić też się człowiek napije, choć wyobraź pan sobie, ostatnio nie mają zimnego piwa — dodał z lekką pretensją.

— Co też pan mówi, jeszcze goście uwierzą w te pana opowieści — strofowała go Helena, robiąc groźną minę.

— Mówię szczerą prawdę, dzielę się swym życiowym doświadczeniem, bo różnie to bywa — zapewniał, przyglądając się Józefowi ze skupieniem. — A pan, zdaje się, jest aptekarzem, i z tego można się utrzymać?

— Można, jeśli się ma odpowiednią wiedzę — uciął Józef.

Jan nie dał się zbić z tropu.

— A na czym najwięcej teraz można zarobić w pana profesji? Oczywiście jeśli to nie tajemnica. Bo obecny tu mój przyjaciel, Leon, początkujący fabrykant, stawia na mydła kosmetyczne dla szerokiej publiczności, od kucharek, a może nawet podkuchennych począwszy, na wytwornych damach kończąc. Między nami mówiąc, te mydła różnią się tylko kolorem i nazwą. Mydeł dla mężczyzn, zdaje się, Leon

nie fabrykuje.

— A w pana profesji na czym można najlepiej zarobić? — wtrąciła Lea. Ją też Jan zaczął irytować.

Spojrzał na nią, jakby dopiero teraz ją spostrzegł.

— Jeśli mam być szczerzy, co nie zawsze mi się zdarza, to trzeba znaleźć jakiś chwytliwy temat i napisać cykl artykułów — odparł z cieniem uśmiechu w oczach.

Znała taki pobłażliwy uśmieszek, oznaczał, że ona i tak niewiele z tego zrozumie.

— I jakie tematy są teraz chwytliwe? — dopytywała się.

Jan przełknął kęs schabu.

— Łaskawa pani, ja nie pisuję do kobiecej prasy — tłumaczył się.

— A to dlaczego? — wpatrywała się w niego z niewinną miną. — Pan mówi bardzo ciekawie. Na czym można najlepiej zarobić, to doskonały temat, uważam, że tym zainteresuje pan szeroką publiczność, od podkuchennych począwszy, a nawet jeszcze niżej. I może dzięki temu nie będzie pan musiał odwiedzać przyjaciół, żeby się najeść.

Zrobiło się cicho, Lea wpatrywała się w Jana. Z satysfakcją zauważyła, że w jego oczach gaśnie uśmieszek. Ale zaraz uświadomiła sobie, że to było nietaktowne, znów powiedziała coś, zanim pomyślała. Ale trudno, stało się.

— Widzisz, dograłeś się — roześmiał się Leon. — Lepiej już nic nie mów i zajmij się kolacją, w końcu po to tu przyszedłeś.

— Rozumiem — Jan skinął głową, spojrzał wymownie na Leę, jakby chciał powiedzieć, że nie zrobił nic złego i nie zasłużył sobie na takie traktowanie.

Józef uśmiechnął się pod wąsem i pogładził wyłogi swojej letniej marynarki.

— Moja żona jest kobietą nowoczesną, pracuje ze mną w aptece i nie boi się mówić tego, co myśli — powiedział, a w jego głosie pobrzmiwał szlachetny odcień dumy.

Lea nie wierzyła własnym uszom, nigdy tak o niej nie mówił. No, no, chyba się przesłyszałam, pomyślała i rzuciła mu kpiące spojrzenie.

Po chwili nikt już nie zwracał uwagi na Jana. Lea rozmawiała z Heleną o tym, co przynosi im nowy wiek. Leon zapytał Józefa o interesy, obaj zaczęli narzekać na konkurencję i na coraz bardziej panoszący się żydowski żywioł. Wszędzie ich coraz więcej, zwłaszcza w handlu, co do tego zgadzali się obaj, ale co zrobić, takie czasy. Helena opowiedziała o swoich rodzicach; fabryka należała do jej ojca, który nadal ją nadzorował, pracowało w niej sześćdziesięciu robotników, ale Leon chciał ją jeszcze rozbudować, sprowadzić nowy kocioł parowy, poszerzyć produkcję o mydła lecznicze. Miał przecież trzech synów, musiał myśleć o ich przyszłości. Helena, jak każda młoda matka, zatopiła się w opowieści o dzieciach. Lea przyglądała się jej z lekkim uczuciem zazdrości i podziwu. Jest w niej tyle uroku, każdy mężczyzna chciałby mieć taką żonę, pomyślała. Ładna buzia, piękna cera, jasne włosy i tajemnicze zielone oczy, a do tego łagodna i wesoła, rodzi synów, kocha dzieci i męża — czego więcej potrzeba? Przecież to ideał, musi podobać się każdemu. Spojrzała na Józefa, który zdawał się też pod urokiem pani domu. Lea nie miała mu tego za złe, musiałyby być ślepy, żeby nie zauważyć, jaka to urocza kobieta. A ten dziennikarz też pewnie podkochuje się w niej, dlatego urządza takie przedstawienia, chce, żeby go zauważyła.

Zapał letni wieczór, gdy Józef zerknął na zegar szafkowy wiszący na ścianie, a potem kontrolnie na swój zegarek z dewizką, i stwierdził, że strasznie się zasiedzieli i pora na nich.

Ciężko się było ruszyć po sutym posiłku podlanym dobrym winem. Pożegnali się, zapraszając gospodarzy na rewizytę (może po wakacjach), wyszli niespiesznie i ruszyli w kierunku Targowej do postoju dorożek. Kiedy doszli do skrzyżowania ulic, Lea poczuła ożywczy powiew od Wisły, lecz razem z tym powiewem doleciał do niej ryk wołów spędzonych do rzeźni przy Krowiej. W głosach zwierząt słyszała żal i strach, bezsilne nawoływanie. Jej beztroski nastrój prysł. Taki los, pomyślała smutno. Oczami wyobraźni ujrziała rozległe pastwiska siwe od piołunów, a potem łąki w Korytnicy, i poczuła zapach ziół, gorzki i upajający. Czy to wystarczy, żeby zapomnieć? Czy wystarczy, żeby się pogodzić z przemijaniem? Tego nie była pewna, bo zawsze to trochę boli.

Wieczorem, leżąc w łóżku, przypominała sobie lata spędzone u ciotki, gdy czekała na każdą, najmniejszą nawet wieść o kuzynie. Przez chwilę próbowała sobie wyobrazić, że to ona została jego żoną. Czy byłabym z nim szczęśliwa? Pytała się i z zaskoczeniem stwierdziła, że jej zauroczenie Leonem całkowicie zwietrzało, serce już nie przyspieszało na myśl, że go zobaczy. Nic a nic. Było, minęło, rozwiało się na cztery wiatry, poszło na suche korzenie i nie groziło jej już żadne poruszenie serca. Kiedy sobie to uświadomiła, poczuła się rozczarowana.

Z Leonem to w ogóle był wymysł jej fantazji i nie ma co do tego wracać. Widać, że jest szczęśliwy ze swoją Helenką, dziwne, że sobie o mnie przypominał. Nie będę się już więcej oglądała za siebie, za tym co było, co mogło być. A Józef? On stąpa twardo po ziemi, nie traci czasu na sentymenty. Bez niego nie dałabym sobie rady, bez niego byłabym nikim, pomyślała. Przysunęła głowę do jego ramienia i znowu poczuła zapach ziół, apteczny zapach, którym przesiąkły jego skóra i włosy. Przyzwyczaiła się do niego. Gdy pocałował ją na dobranoc i zaczął się zastanawiać, czy w fabryczce Leona produkują mydła dziegciowe, czy dzieg-ciowo-siarkowe w dwóch odmianach, a może w trzech, bo nie zdążył o to zapytać, słuchała go spokojna i czuła, że jest jej dobrze.

Rano przy śniadaniu Józef stwierdził, że wizyta była całkiem udana.

— Ten twój kuzyn wydaje się rozsądnym człowiekiem. Umówiłem się z nim na czwartek, zaprosił mnie, pokaże mi fabrykę.

Lea się zaciekawiła.

— Chcesz sprzedawać mydła w aptece?

— Jeszcze nie wiem, zastanawiam się, porozmawiam z Reutowiczem. A fabryki nie zaszkodzi zobaczyć. Musimy popierać polskich wytwórców, inaczej zaleją nas niemieckie towary i żydowski handel. Nie możemy stać z boku z założonymi rękami, oni chcą przyjąć kontrolę nad rynkiem — zaczął się rozwodzić nad skandalicznie niską jakością izraelskich produktów.

Znała te jego zapatrywania.

— Nie przesadzaj, od lat kupujemy w piekarni Szulca i nigdzie nie ma lepszego chleba i bułeczek — zauważyła. — Sam musisz to przyznać.

— Przecież nie mówię o naszym Szulcu. To uczciwy człowiek. Ale inni chcą od razu krocie zarobić — odparł, nerwowo mieszając łyżeczką w filiżance z herbatą, i opowiadał jej o znowie, łapówkach i szwindlach. — Zbyt wiele oszustw widziałem ostatnio, żeby wierzyć w uczciwość handlarzy. Mam wszystko czarno na białym, dobrze wiem, kto oszukuje.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

— Za bardzo się tym przejmujesz, zjedz spokojnie — powiedziała łagodnym tonem.

Trudno jej było zrozumieć, że Józef o wszystko obwinia Żydów i Niemców. Zastanawiała się, czy już zapomniał o swojej żydowskiej żonie i teściach, i o ich pieniądzach, dzięki którym, jak podejrzewała, mógł otworzyć aptekę. Zapewne o takich sprawach lepiej nie pamiętać. Nie zamierzała mu tego przypominać, ten temat nie istniał. Chciałaby jednak, żeby był bardziej obiektywny. Pomyślała też, że na początku małżeństwa nie zanudzał jej takimi sprawami, szkoda mu było na to czasu. Dolała sobie herbaty, niebieski chaber narysowany na dnie filiżanki zdawał się tonąć w złotym naparze.

Przez wszystkie lata swego małżeństwa Lea spędzała letnie miesiące w Korytnicy, ale teraz, po śmierci ciotki zapowiadało się, że zostanie w Warszawie. I to było dla niej bardzo przykre. Nie mogła liczyć nawet na spotkania z Marianną, która jak co roku wyjeżdżała na letnisko. Zostawała jej apteka, książki i niedzielne spacerki, podczas których Józef co i raz zerkał na zegarek i sprawdzał, czy nie dosyć już tego próżnowania.

W czwartek, gdy Józef pojechał oglądać z Leonem fabrykę, Lea spotkała się z Marianną ostatni raz przed wakacjami. Poszły do kawiarni na Krakowskim Przedmieściu, zamówiły lemoniadę i lody waniliowe. Marianna jechała jak w zeszłym roku do Nałęczowa, była w wirze przygotowań.

— Już nie mogę się doczekać. Jedziemy zaraz na początku lipca, to będzie prawdziwa wyprawa, wszystkiego muszę dopilnować, zabieram oczywiście niańkę, zajmuje się dziećmi, ale z resztą będę

musiała sobie sama radzić. Kazimierz nas odwozi, ale i tak muszę o wszystkim pamiętać — zagłębiła się w szczegóły.

Lea słuchała i wyobrażała sobie to zamieszanie i bałagan, i Mariannę, która próbuje nad nim zapanować.

— W zeszłym roku też tak mówiłaś i byłaś zadowolona z wyjazdu — przypominała przyjaciółce.

Zrobił się upał, nawet w środku kawiarni było gorąco. Obsługa ruszała się niespiesznie, jak muchy upojone ulepkim z muchomora. Lea też czuła się ospała, wydawało się jej, że zaraz się roztopi z gorącą; wypła duszkiem zimną lemoniadę i zerknęła na Mariannę.

— Zazdroszczę ci, ja będę siedziała w Warszawie przez całe lato i nie wiem, jak to wytrzymam — poskarżyła się, ocierając chusteczką kropelki potu pod nosem.

Marianna kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— Też musisz ruszyć się z Warszawy, choćby na kilka dni wyciągnąć gdzieś męża.

— Wyciągnąć Józefa? To nie jest łatwa sprawa, nie jest taki skory do wypraw za miasto. Uważa, że to strata czasu. Apteka dla niego to niemal cały świat, ma w niej wszystko, najlepsze wspomnienia, najciekawsze historie i jeszcze swojego przyjaciela — odparła rozżalona.

Leon zjrzał do apteki w połowie lipca i powiedział, że wyjeżdżają z Heleną na wilegiaturę, czyli letnisko, do Otwocka i Lea z Józefem mogliby z nimi pojechać.

— Tydzień czy dwa za miastem każdemu dobrze robi — przekonywał.

Lea chętnie by pojechała, byle tylko wyrwać się z miasta, uciec od nagranych ulic, zapachu ludzkiego potu i woni gnijących odpadków, krzyków i nawoływań dobiegających z podwórka od samego rana, ale Józef oczywiście nie miał ochoty zostawiać apteki.

— Możesz prosić Reutowicza, jest wolny, nie ma rodzinnych obowiązków, chyba tyle może dla ciebie zrobić. A i pan Tymon z Szymonem sobie poradzą — przekonywała go. — Tak bym chciała pojechać, wybierzmy się — poprosiła z przymilnym uśmiechem.

Tym razem Józef nie dał się namówić.

— Nie, Lea, to nie dla mnie. Jedź sama. Wiem, że dla ciebie to ważne, zawsze jeździłaś latem do ciotki i teraz ci tego brakuje. Jedź, Lea, ja zostanę.

Nie musiał jej tego dwa razy powtarzać. Jej radość z wyjazdu nie przygasła nawet wtedy, gdy się dowiedziała, że przyjaciel Leona wybiera się razem z nimi. A co on mnie obchodzi, mówiła sobie, choć musiała przyznać, że młody dziennikarz zrobił na niej dziwne wrażenie, ani dobre, ani złe, raczej niepokojące.

Szykowała się do tego wyjazdu starannie, składała do torby podróżnej ulubione suknie. To nie było nic wymyślnego, zwykłe i skromne sukienki, ale takie, w których czuła się dobrze, a Marianna chwaliła, że są twarzowe. Do tego dwa kapelusze, jeden z zieloną wstążką, drugi z kremowym przybraniem, rękawiczki, lizeska, ciepły szal, żakiet. A może wziąć i płaszcz, kremowy z perłowymi guziczkami, zastanawiała się.

— Po co ci tyle ubrań? — dziwił się Józef. — Jedziesz na miesiąc, a szykujesz się, jakbyś się wybierała co najmniej na pół roku.

Wzruszyła ramionami, poznała już jego zapatrywania w kwestii niezbędnych kobiecych strojów i nie przejmowała się tym zbyt. —

— Ale przyjedź do mnie — poprosiła przy pożegnaniu, wygładziła mu kołnierzyk koszuli i cmoknęła w policzek powyżej brody. — Chociaż na niedzielę.

— Dobrze, dobrze — odparł, jakby mu na tym wcale nie zależało.

Do Otwocka pojechali w pierwszych dniach sierpnia. Na stacji czekał na nich powóz zwany linijką, zaprzężony w dwa kare konie, które leniwie machały ogonami, odganiając dokuczliwe muchy. Po drodze Jan cały czas opowiadał o czekających ich atrakcjach.

— Jest bufet na stacji, sala bilardowa, kościół i bożnica, łazienki — wyliczał z entuzjazmem, nieczuły na wiszący w powietrzu upał.

— Bardzo nas to cieszy, dla każdego coś miłego — przerwał mu Leon, spoglądając na średniego syna, który zaczynał popłakiwać, znużony przedłużającą się jazdą.

Helena wzięła syna na kolana.

— Nigdy tu nie byłam. Z dziećmi tak trudno gdziekolwiek się ruszyć — przyznała, przyglądając się mijanym domom i willom, dużym drewniakom obwiedzionym galeryjkami i gankami, przypominającym starodawne czepki z koronką.

Wille w Otwocku już na pierwszy rzut oka były budowlami o niebanalnym wyglądzie. Ich twórca był jeszcze bardziej niebanalny. Michał Elwiro Andrioll niejedno widział i przeżył, i korzystał z tego. Nie przejmując się czystością stylów, pomieszał wszystko, co mu się podobało w drewnianej architekturze, a że zrobił to zgrabnie i z fantazją, szybko znalazł naśladowców. Zaprojektowane przez niego drewniaki miały więc charakter mieszańca, tajemniczej hybrydy, łączącej w sobie nostalgię rosyjskich dworów i alpejskich schronisk, z dodatkiem swojskich mazowieckich i góralskich motywów. Były zazwyczaj przestronne, obrośnięte tarasami, werandami, balkonikami i gdzie tylko możliwe przyozdobione ażurowymi ornamentami wycinanymi laubzegą w sosnowych deskach. W słoneczne dni światło tam żyło, pulsowało i mrugało do letników złotym okiem, grało kontrastem, tonami i półtonami cieni.

— Ładnie — przyznała Lea, kiedy zatrzymali się przed jedną z drewnianych willi, wokół której wysokie sosny rzucały rozproszony cień.

Czuła zapach trawy, rozgrzanych słońcem sosnowych igieł i kwiatów, które rosły koło domu. Najchętniej od razu poszłaby do ogrodu albo dalej, piaszczystą drogą prowadzącą do lasu.

— Prawie jak na wsi — cieszył się Leon, wysiadając z wozu.

Jan spojrzał na niego z udawanym przerażeniem.

— Uchowaj Boże! Chyba nie mówisz tego poważnie, chyba nie wywiozłeś nas na wieś?

— A cóż to pan ma przeciwko wsi? — zapytała Lea.

— Wstręt, łaskawa pani. Moja szlachetna miejska natura nie znosi nudy i woni niedomytych włościanek.

Lea nie mogła słuchać takich bzdur.

— Może zając się pan handlem i sprzedawać tu mydła Leona — odparła, sięgając po pudło z kapeluszeniami.

Nic nie odpowiedział, może nie usłyszał, zrobił się zamęt. Rozładowywano bagaże. Lea weszła na ganek przywitać się z właścicielami willi. Potem służąca zaprowadziła ją do pokoju na piętrze. To był mały pokoik, mieściło się w nim tylko łóżko i krzesło, szafka i umywalnia z porcelanową miską i ciężkim dzbankiem na wodę. W pokoju pachniało pokostem i świeżo krochmaloną pościelą. Lea szybko się odświeżyła, przebrała po podróży i wyszła przed dom. Chciała obejrzeć ogród, zobaczyć niebo przesłonięte gałęziami wysokich sosen, klomb, na którym rosły nasturcje i malwy. Odwróciła się i zobaczyła, że na tarasie na wiklinowych krzesłach siedzą letnicy, przyglądając się jej z przelotnym zaciekawieniem, by po chwili powrócić do sennej pogawędki. Z głębi domu docierały dźwięki pianina, w ogrodzie dziewczynki w kremowych sukienkach grały w serso. Dalej za domem, w cieniu na trawniku ustawiono krzesła i stół. Jakaś młoda kobieta siedziała tam i czytała książkę.

Jakie to dziwne, pomyślała Lea, nigdy nie sądziłam, że pojedę kiedyś na letnisko. Do ciotki to co innego, to do swoich, ale tak do obcych, gdzie nie wiadomo, co z sobą zrobić, to jakoś dziwne. No ale chciałam się wyrwać z miasta, tylko o tym myślałam, teraz trzeba tego popróbować.

— Ma pani ochotę na spacer? Moglibyśmy się przejść i zobaczyć okolicę. Mamy sporo czasu do kolacji — zagadnął ją Jan.

On też się przebrał i upodobił do letników w jasnych spodniach i marynarkach, z nieodzownym słomkowym kapeluszem.

Patrzyła na niego zdezorientowana.

— Leon nie chce dotrzymać panu towarzystwa? — zapytała, zakłopotana jego propozycją.

— Wcale go nie pytałem, zobaczyłem panią przez okno i pomyślałem, że wybierze się pani na rekonesans.

Pomyślała, że to nie wypada.

— Może innym razem, jest gorąco, chciałam napić się czegoś chłodnego — szukała wymówki.

— W jadalni widziałem kompot, przyniosę pani.

— Nie trzeba, sama pójdę.

— Niechże pani pozwoli mi się czymś wykazać, chciałbym zrobić na pani lepsze wrażenie.

Pozwoliła mu, usiadła na ławce i czekała, zastanawiając się, czy powinna pójść z nim na ten rekonesans. Właściwie nie było w tym nic złego, ale co by Józef powiedział? Pewnie nie pochwaliby tego. Z drugiej strony nie chciał ze mną przyjechać, wołał aptekę i towarzystwo Reutowicza. Ale jednak... Nie mogła się zdecydować, a Jan wrócił, podał jej szklankę z kompotem, kiedy zaś wypła, zapytał:

— Jest pani gotowa do wyjścia?

Lea odstawiła szklankę i zerknęła na czubki swoich letnich trzewików.

— A Helena? Może ona też chciałaby pójść? — próbowała wybrnąć z sytuacji, ale zabrzmiało to niezręcznie.

Stał i patrzył na nią zza szkieł w złotej oprawce.

— Nie sądzę. Ja w każdym razie zamierzam przejść się przed kolacją, a jeśli pani nie chce mi towarzyszyć, to trudno. Mogła pani powiedzieć, że głowa panią rozboleła, zrozumiałbym w lot.

— Nie, nie boli mnie głowa. Idę z panem — zdecydowała i szybko wstała z ławki, wyglądając spódnice.

Cały spacer zajął im niespełna godzinę; wrócili do stacji kolejowej, oglądając po drodze wille, kościół i sklep kolonialny. Szli małą senną uliczką, na której zobaczyć można było co najwyżej zabłąkanego psa i stadko wróbli skubiących ptasi rdest, który rozplenił się przy ogrodzeniach. O tej porze dnia letnicy trwali w sennym omroczeniu, z ogrodów dobiegały tylko głosy dzieci, od czasu do czasu uciszanych upomnieniem starszych.

— Był pan kiedyś na lotnisku? — zapytała, nie wiedząc, o czym mogłaby z nim rozmawiać.

— Nie, nie byłem, a to ma swoje dobre i złe strony — odparł zagadkowo.

Wysokie drzewa rzucały rozproszony cień na drogę, Lea nadepnęła na szyszkę, która wbiła się w piasek.

— Jakie są te złe strony?

— Przyznam się pani, że nic nie wiem o takich dziurach oprócz tego, co wyczytałem w broszurze, którą dał mi Leon. Nie mam pojęcia, kto tu przyjeżdża i po co; kto mieszka na stałe i co tu można robić, żeby nie umrzeć z nudów, a mam napisać na ten temat artykuł.

— Artykuł? Lepiej cykl artykułów — uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak robiła mu docinki podczas kolacji u Leona.

On się nie uśmiechał, ale Lea przypuszczała, że jego powaga jest tylko pozą, maską, pod którą ukrywa ironię, a nawet skłonność do błazeństwa.

— Ma pani rację, najlepiej napisać cykl artykułów o podwarszawskich lotniskach. O tym, jak przyjemnie mija tu czas.

— A co pan widzi dobrego w tym wyjeździe?

— Mniemam, że przynajmniej przez pierwsze dwa dni nie będę się tu nudził — odparł z poważną miną, jakby dokładnie skalkulował, kiedy dopadnie go ta przypadłość.

— Tylko dwa dni? Tak słabo pan ceni nasze towarzystwo? — zapytała, zastanawiając się, czy on żartuje, czy mówi to, co naprawdę myśli.

— Przewiduję, że nikt dłużej ze mną nie wytrzyma. Nawet teraz nie chciała pani iść ze mną na spacer.

Nie chciała mówić o sobie, to mogłoby stworzyć złudzenie intymności. I tak czuła, że między nich wkrada się porozumienie, choć niewypowiedziane, dopiero kiełkujące. Wystarczyło, że szedł koło niej, i już jej się wydawało, jakby miała prawo z nim rozmawiać o wszystkim. A przecież wcale go nie

znała i znać nie powinna.

— Ja nie zamierzam się nudzić — odpowiedziała z przekonaniem. — Szkoda na to czasu.

Mijali właśnie małą odrapaną budkę z lodami i wodą sodową. Dwóch małych chłopców wspinało się na palce do okienka, za którym ktoś z daleka niewidoczny nakładał łyżką kolorowe lody do wafelków. Przy stoliku siedziała omdlewająca z upału kobieta i czekała, aż dzieci przyjdą z lodami i usiądą obok niej.

— Zjemy lody? — zapytała Lea. — Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że są bardzo niezdrowe, brudne i farbowane, ale taką mam ochotę na coś zimnego.

W końcu się uśmiechnął.

— Pani potrafi zachęcić nawet do niezdrowych przyjemności. Zaryzykuję — powiedział i kupił dwie porcje śmietankowych i malinowych lodów.

Kiedy je jedli, Lea patrzyła na Jana i nie wiedziała, czy więcej przyjemności sprawia jej rozmowa z nim, czy to, że wymknęła się spod kontroli męża i niepomna jego ostrzeżeń zajada się lodami, pokazując przy tym nieprzyzwoicie język. W pobliżu ćwierkały wróble, nie zwracając uwagi na rudego kota, który drzemał na daszku budki. Pachniało żywicą i malinowymi lodami. Nic się nie wydarzyło. Było beztróskie letnie popołudnie.

Wystarczył wyjazd za miasto i Lea poczuła się trochę młodsza, ciekawa różnych rzeczy, trochę jak dziecko, które nie może oprzeć się pokusie i przejść obojętnie koło budki ze słodyczami. Była spragniona czegoś niezwykłego, barwnego, co smakuje inaczej niż codzienność, a Jan wydawał się całkiem zabawnym towarzyszem. Zawstydziała się swoich myśli i z całych sił starała się poskromić fantazję, która zawiodła ją już dużo dalej.

Przez następne dni unikała kłopotliwych sytuacji, nie chciała zostać z nim sam na sam. Rano chodziła na spacer, potem spędzała czas z Heleną i dziećmi. Nie potrafiła jednak beczynn timer siedzieć w ogrodzie czy na tarasie, coś ją nosiło, przeganiało z miejsca na miejsce. Chodziła nad staw na tyłach ogrodu, patrzyła na połyskliwą taflę wody i obserwowała ważki o zielononiebieskich skrzydłach, które nad nim krążyły i przysiadły na liściach nadbrzeżnych roślin. Dotykała dłonią przekwitającej mięty, lepkich przytulii i zrudziałych traw, wdychała zapach dojrzałego lata.

W któreś upalne popołudnie wybrała się z Leonem i Heleną na kąpielisko nad Świdrem. Obserwowała amatorów kąpeli, długonogich chłopców i młodych mężczyzn w trykotażach w paski, którzy popisywali się swymi umiejętnościami pływackimi. Kobiety i dzieci brodziły w wodzie blisko brzegu, żeby nie zamoczyć stroju plażowego. Jedynie kilka pań, w tym mieszkająca w ich willi pani Irena, wchodziło dalej do wody. One nie zważały na spojrzenia, okrzyki, a nawet gwizdy, jakie towarzyszyły im, gdy wynurzały się z wody. Lea chętnie poszłaby za ich przykładem, ale nie miała odpowiedniego stroju, nie była też taka odważna jak pani Irena, o której szeptano, że rozstała się z mężem i jest feministką, a nawet że nie nosi gorsetu. Oczywiście było to grubą przesadą, bo gorset na pewno nosiła, tyle że nie ściśnięty do granic wytrzymałości, mogła więc swobodnie oddychać, co nie uszło uwagi panów.

Lea zauważyła, że Jan również należał do tych, na których pani Irena zrobiła wrażenie. Co on w niej widzi? Jest chyba starsza ode mnie i wcale nie ładniejsza. Nie ma w sobie ani odrobiny wdzięku, oceniła z małą dawką złośliwości. Musiała jednak przyznać, że Irena jest pewna siebie i robi to, co uważa za słuszne. Właśnie odwagi, z jaką Irena realizowała swoje zamierzenia, najbardziej jej zazdrościła; odwagi i zdecydowania, dokonywania słusznych wyborów, wyraźnych jak gruba czarna linia jej brwi. Józef by tego nie pochwalał, ale Janowi najwyraźniej się to podobało. W końcu musiała się przed sobą przyznać, że zbyt często myśli o Janie. Intrygował ją, był tak inny od mężczyzn, których znała. Wydawał się jej zabawny i poważny jednocześnie, trochę irytujący, a trochę pociągający, tak pół na pół. Nie był specjalnie przystojny, raczej trudno było o nim tak powiedzieć. I czasami zachowywał się niepoważnie, ale było w nim tyle energii, a do tego miał ładnie wykrojone usta i oczy, no i był taki młodzieńczy. Ile on może mieć lat? Chyba nie ma jeszcze trzydziestki, może dwadzieścia osiem, dziewięć, zastanawiała

się. A kiedy powiedział jej, że niedawno skończył dwadzieścia siedem, przestraszyła się własnych myśli; próbowała je odegnać, zatapiając się w lekturze pożytecznego „Bluszczu”, ale jej wysiłki na niewiele się zdały.

W Korytnicy nie marnowała ani chwili, zawsze miała coś do zrobienia, tu wszystko działo się gdzieś obok niej, bez jej udziału. Mogła tylko obserwować życie i w gruncie rzeczy niewiele się różniła od tych kobiet drzemających na tarasie willi albo snujących się po ogrodzie, nerwowych panien i rozłożystych matron, amateerek ciastek migdałowych i pikantnych plotek, które wiedząc, że jest żoną aptekarza, traktowały ją z dystansem, jakby była uzależniona od pigułek na przeczyszczenie. Co ja tu robię? Nie pasuję do tych ludzi, którzy nie mają nic do zrobienia. Nie będę przecież siedzieć i gapić się na innych, lepiej poczytać. Ale i na lekturze nie mogła się skupić, miała wrażenie, że coś ją omija, przelatuje między palcami, coś ulotnego jak zapach szarlotki suto posypanej cynamonem, bez którego życie smakuje blade.

W sobotę po południu zrobiło się nieco chłodniej, lekkie chmury zasnuły niebo. Lea nie mogła sobie znaleźć miejsca, poszła więc na spacer wiejską drogą biegnącą przez pola, aż do pastwisk pod lasem. W połowie drogi słońce znów wyszło i zrobiło się gorąco. Rozglądała się za odrobiną cienia, w końcu usiadła pod drzewem ulęgałki, oparła się o pień i patrzyła przed siebie. Nie miała siły nawet zebrać myśli. Powietrze drgało od upału, było cicho, nawet ptaki zamilkły. Obserwowała chmury kłębiące się na niebie, który nabierały coraz ciemniejszej barwy, robiły się coraz cięższe, dojrzywały jak grona czarnego bzu, z których robi się sok. Nie wiadomo skąd pojawiły się kąśliwe owady. Odganiała je, wachlując się kapeluszem. Nagle zerwał się wiatr, zbierało się na burzę. Poderwała się na nogi i otrzepała ubranie. Pora wracać, stwierdziła, zerkając z niepokojem na coraz groźniej wyglądające chmury.

Spadły pierwsze krople deszczu, a z daleka dobiegł turkot kół; drogą od lasu zbliżała się bryczka otoczona tumanem kurzu. Kiedy była całkiem blisko, Lea rozpoznała siedzących w nim Jana i Irenę.

— Co pani tu robi? Proszę wsiadać, zaraz będzie lało — zawołał Jan, podając jej rękę.

Wsiadła. Nie pytała, gdzie byli, ale niebawem się dowiedziała.

— Odwiedziliśmy znajomego pani Ireny — wyjaśnił. — Wynajął willę nad Świdrem, we wtorek urządzi kolację.

Irena chciała coś jeszcze powiedzieć o znajomym, że to malarz, i może nawet ceniony, ale padało coraz mocniej i krople uderzające w lakierowaną budę bryczki zagłuszały jej słowa. Kiedy dojechali do willi, nadal padało. Jan zapłacił woźnicy i puścili się biegiem do wejścia. Wpadli do mrocznego przedpokoju. Przez moment Jan był tak blisko, że Lea czuła zapach jego przemoczonego ubrania. W pewnej chwili musnął jej dłoń swoją ręką, jakby przez nieuwagę. Przeszedł ją dreszcz i zawstydziła się, że tak reaguje na jego bliskość i że on pewnie o tym wie. Ale słowa Ireny zaraz sprowadziły ją na ziemię.

— Mieliśmy pójść z panem Janem na spacer po kolacji — powiedziała niskim, zupełnie niestosownym dla dobrze wychowanej kobiety głosem — ale obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Najwyżej wybierzemy się do kawiarni albo spotkamy się w małym saloniku na dole. Przyłączy się pani do nas?

— Dziękuję. Raczej nie.

— Dlaczego nie? Może przestanie padać. Pani Leo, niech pani idzie z nami, pokażemy pani wielkomięjskie życie małego miasteczka. Właśnie je odkrywamy — Jan był swobodny i beztroski.

Lea próbowała odpowiedzieć lekko, jakby to była najzwyczajniejsza sprawa, błahostka, ale jak zawsze jej odpowiedź zabrzmiała sztywno.

— Na dziś mam już dosyć wrażeń. Dziękuję za podwiezienie, idę się przebrać — powiedziała i poszła do swego pokoju.

Rano ubrała się staranniejsz niż zwykle i po śniadaniu poszła na stację po Józefa, który miał przyjechać porannym pociągiem. Wykupiła peronówkę, usiadła na ławce i czekała, od czasu do czasu

trącając czubkiem buta wyschniętą szyszkę, która leżała koło ławki. Do przyjazdu pociągu pozostał kwadrans; spoglądała na puste tory, aż z daleka usłyszała gwizd lokomotywy. Czarny punkcik, nad którym unosił się biały obłok pary, powoli się przybliżał. Kiedy pociąg wtoczył się na peron, posapywania lokomotywy i zgrzyt kół były ogłuszające. Lea wstała z ławki i wpatrywała się w tłum wysiadających z wagonów letników. Mieli w sobie coś z dzieci, które wypuszczono z sali lekcyjnej, żeby mogły się wybiegać. Nawet starsi byli ożywieni, podnieceni słońcem. Wśród wysiadających nie dostrzegła jednak Józefa. Jak to możliwe? Zdziwiona podeszła do wyjścia i przyglądała się wychodzącym, szukała wzrokiem dobrze sobie znanego jasnego kapelusza i szarej marynarki, oszczędnej w ruchach sylwetki, i nie mogła uwierzyć, że nie przyjechał.

Stała tam jeszcze kilka minut po odjeździe pociągu, jakby oczekiwała, że Józef nagle skądś się pojawi, ale nie było go. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe. On zawsze był taki słowny, punktualny, a teraz nie przyjechał, mimo że obiecywał i nawet pisał do niej w liście, żeby dziś na niego czekała. Może się spóźnił na pociąg, zastanawiała się, może przyjedzie popołudniowym. Coś się stało, coś musiało go zatrzymać.

W nie najlepszym nastroju wróciła do willi, była zdezorientowana i zawiedziona. Tłumaczyła sobie, że nie ma się czym przejmować, bo gdyby coś się wydarzyło, zawiadomiłby ją telegramem. Na popołudniowy pociąg nie wyszła; czekała w ogrodzie, co i raz wyglądając na uliczkę, czy z daleka go nie dostrzeże. Ale nie przyjechał również popołudniowym pociągiem, znów ją zawiódł. Jak nic zapomniał, zasiedział się w laboratorium, uznała, nie mogąc znaleźć innego wytłumaczenia. Czowała się nieswojo, jakby to ona coś przegapiła.

Po kolacji poszła na spacer z Ireną i Janem, ale było jej przykro, że Józef nie przyjechał. Jan prawie cały czas opowiadał o swoim artykule, o spostrzeżeniach, które zrobił, obserwując letników. Irena mu dopowiadała. Lea prawie się nie odzywała

— Dlaczego pani nic nie mówi? — zapytał Jan, poprawiając okulary na nosie.

— Nie mam dziś humoru — odparła, patrząc przed siebie na szarzejący krajobraz.

Pokręcił zdecydowanie głową.

— Nie, nie może tak być, to mi się nie zgadza, psuje mi pani charakterystykę typowej letniczki.

— Widocznie nie jestem typowa.

— Mnie pan Jan powiedział to samo — wtrąciła Irena. — Chciał mnie przekonać, żebym po obiedzie siedziała na tarasie i wdawa się w niezobowiązującą pogawędkę z tymi miłymi paniami, które zalegają tam od południa. Powiedziałam, że nie jestem jeszcze na tym etapie i o wiele ciekawsza jest dla mnie kawiarnia.

— Ja raczej nie jestem na etapie tarasu ani kawiarni — stwierdziła Lea z westchnieniem.

Pożegnała się z nimi przed wejściem do willi, wróciła do pokoju, a Jan i Irena, nie zważając na języki, wybrali się zakosztować wielkomięjskiego życia w jedynej w miasteczku kawiarni. Lea miała inne plany, ale musiała poczekać, aż zapadnie noc.

Woda była zimna, lodowata. Lea wciągnęła powietrze i podkurczyła palce stóp. Nie muszę wchodzić, pomyślała. Wcale nie muszę. Ale kiedy uprzytomniła sobie, ile wysiłku kosztowało ją to, żeby przyjść tu w nocy, żal jej było zrezygnować. Może już nigdy w życiu nie trafi się taka okazja, może zawsze ktoś będzie mnie pilnował, obserwował. Kobięcie nie wypada pływać jak wiejskiemu chłopakowi i pokazywać się ludziom w mokrej koszuli. To niedopuszczalne, nie jestem panią Ireną. I co by na to powiedział Józef? A ciotka Anastazja pewnie przewróciłaby się w grobie. Wstydu nie masz! Zapominasz, że skromność i rozwaga to prawdziwe cnoty kobiety. Tak by powiedziała. Na szczęście nikt nie dowie się o jej małym odstępstwie od zasad.

Za ogrodem willi był staw, który kusił spokojnym lustrem wody. Od kilku dni Lea myślała o tym, żeby tu przyjść, kiedy nikt nie będzie jej widział, i popływać. Myślała, że namówi Józefa, to by było prawdziwe wyzwanie, ale on nie przyjechał, więc postanowiła wybrać się sama. Dawno nie miała okazji do pływania, może już nawet zapomniała, jak to się robi. Jednak nie, zanurzyła się w wodzie po piersi,

odepchnęła od piaszczystego dna i śmiało popłynęła. Po kilku metrach złapała rytm, wypłynęła prawie na środek stawu i zawróciła. Dopłynęła do pomostu, chwilę odetchnęła i stwierdziła, że to było bardzo przyjemne, przepłynię jeszcze raz. W pewnym momencie usłyszała plusk wody, a potem zobaczyła go. Płynął obok niej, prawie na wyciągnięcie ręki.

— Proszę się do mnie nie zbliżać — powiedziała, unosząc głowę nad wodą, żeby się nie zakrztusić.

— Kogo się pani obawia? — zapytał Jan, głośno wciągając powietrze. — Przecież ja jestem niewinny jak seminarzysta.

Udała, że go nie słyszy, popłynęła szybciej, a potem obróciła się na plecy, otarła oczy ręką i zapytała:

— A gdzie pana towarzyszka?

— Jest na pomoście — powiedział, podpływając do niej.

Lea chciała, żeby popłynął w drugą stronę, znikł, zostawił ją samą, ale jednocześnie tego nie chciała.

— Płyniemy jeszcze raz, a potem ja wychodzę, a pan grzecznie poczeka, aż sobie pójdę — powiedziała, myśląc, że skoro Józef o niej zapomniał, może pozwolić sobie jeszcze na chwilę szaleństwa.

— Jak pani rozkaże — zgodził się.

Płynął obok niej, słyszała jego oddech i plusk wody. Powtarzała sobie w myślach, że nie może zrobić niczego głupiego, ale wiedziała, że cokolwiek by zrobiła, i tak będzie żałowała.

Wyszła dopiero wtedy, gdy zrobiło się jej zimno. Jej koszula ociekała wodą. Zatrzymała się na pomoście, przerzuciła warkocz do przodu i wycisnęła go, a potem próbowała wycisnąć na sobie koszulę.

— Nie przypuszczałam, że lubi pani samotne wypady — powiedziała Irena i podała jej płaszcz, który Lea wzięła, żeby się nim osłonić. — Dobrze, że trafiła pani na mnie i Jana, mógł być na przykład ten gruby radca prawny — zaśmiała się. Jej chropawy głos brzmiał teraz sympatycznie, ciepło.

— Niech mnie pani nie straszysz. Myślałam, że nikogo nie będzie — przyznała zakłopotana Lea, owijając się płaszczem. — Już znikam, w ogóle mnie tu nie było, bo gdyby... — nie dokończyła. Zapięła płaszcz pod samą szyję, do ręki wzięła buty, których nie mogła wcisnąć na mokre stopy, i starała się niepostrzeżenie przemknąć do willi. Przy altanie zatrzymała się na chwilę i odwróciła. Patrzyła w mrok rozświetlany złudnym światłem nocnego nieba. Po chwili usłyszała plusk wody, a potem zapadła cisza, przerywana tylko łagodnym szmerem liści i głosem spłoszonej żaby. Było w tym coś niepokojącego, czegoś brakowało, nasłuchiwała. W końcu usłyszała ich głosy, ciche jak szelest traw, rozpoznała wesołe przekomarzania Jana i Ireny. Ścisnęła mocniej buty, pobiegła do willi, co i raz następując na klującą szyszkę albo kamyk. Ostrożnie weszła na taras, a stamtąd bocznymi schodkami dotarła na piętro. Bez trudu dostała się do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz, zrzuciła z siebie mokre ubranie i padła na łóżko. W głowie miała tylko myśli o Janie, słyszała jego głos, a kiedy przymknęła powieki, widziała jego pogodną twarz, niesforne włosy i mocne ramiona, które, gdyby tylko na to pozwoliła, mogłyby ją objąć. Widziała go w całej, wartej grzechu okazałości. Rozpłakała się, nie zważając na to, że to głupie i nierozsądne.

Następnego dnia usłyszała wieści o tajemniczej parze, która spotyka się nad stawem.

— Ciekawe, kto to? — zastanawiała się Helena, mrużąc swoje zielone oczy. — Może to pani Irena, ale chyba nie Jan?

— Nie mam pojęcia — odparła Lea z obojętnością, na jaką tylko było ją stać, i sięgnęła po filiżankę z kawą.

Ale plotki i podejrzenia krążyły jak rozdrażnione muchy.

— Na pewno to ten radca prawny, całe dni przesypia na tarasie, a w nocy ma czas na miłostki. I ta młoda guwernantka; widziałam, jak na nią patrzy, po prostu pożera ją wzrokiem. Nie, żadna

guwernantka, to ta dziewczyna, która sprząta pokoje, ta czarnulka. Niemożliwe, która? Ale skądże, to ta pani Irena, sama widziałam, wczoraj wróciła do pokoju dobrze po północy. Ona tylko czeka na okazję, żeby wziąć kogoś na litość, niby taka samotna, porzucona. I co oni w niej widzą? Mąż ją zostawił, musiał mieć jakiś powód. Takie są najgorsze — plotkowały rozgorączkowane matrony, które z upodobaniem obserwowały bliźnich, by potem snuć domysły, podsycać swoją wyobraźnię strzępkami cudzych rozmów, podejrzanych spojrzeń i gestów.

Jan pojawił się dopiero przed obiadem. Podszedł do Lei, która siedziała w ogrodzie i przeglądała „Kurier Warszawski”, a właściwie udawała, że przegląda.

— Wczoraj był bardzo piękny wieczór — powiedział beztrzesko, siadając obok na leżaku. — I już plotkują o mnie i o Irenie. Ja się tym nie przejmuję, jestem wolnym człowiekiem i robię to, co uważam za słuszne, nie poddaję się presji konwenansu.

— A mnie nie interesują plotki — odpowiedziała, składając gazetę. Nie wiedziała, jak z nim rozmawiać, nie wiedziała, czy głos nie zdradzi jej emocji.

— Niemożliwe, każdego interesują plotki, każdy lubi wykazać, do jakiego bezpieczeństwa zdolni są inni.

Spojrzała na niego. Ma ładne usta, przemknęło jej przez głowę. Starła się skupić na rozmowie, ale nie mogła. Drażnił jej zmysły jak anyżówka, słodka i oszłamiająca.

— Pana zdaniem plotkuje się tylko o złych uczynkach?

— Oczywiście. O dobrych można mówić głośno, nikt tego nie ukrywa i nikogo to nie interesuje. A przekazanie wieści o czyichś złych postępkach, prawdziwych czy nie, może być bardzo przyjemne. Niektórzy mocno się w to angażują — dodał z miną czytanego chłopaczka, który chce pochwalić się swoją wiedzą.

Milczała, szukając odpowiednich słów, jakiejś celnej riposty, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

— I o tym chce pan napisać w artykule, o plotkach w podwarszawskich letniskach? — zapytała, a przypominając sobie o żonie Reutowicza, dodała: — A o gruźlikach pan nie wspomni? Taki temat nie pasuje do letniego klimatu?

Spoważniał, potarł palcem swój gładko wygolony policzek i spojrzał na nią z namysłem.

— Pani przywołuje mnie do porządku. Sanatorium dla gruźlików to też oczywiście jest temat, ale innego kalibru. Wiem, że za tym parkanem obrosniętym bluszczem i w którejś z tych dużych willi z tarasem od południowo-zachodniej strony, które mija się, idąc do stacji, ludzie próbują odzyskać siły, dojsć do siebie. Piją w dużych ilościach kefir czy kumys, leżakują po każdym posiłku, codziennie mierzą temperaturę i stają na wagę z obawą, czy nie stracili kilku deko, czy choroba nie zabrała im znów odrobiny ciała, nie spłycała oddechu. Zdaję sobie z tego sprawę, naprawdę, ale to nie nadaje się na lekki wakacyjny felieton. Dlatego pomijam to milczeniem, tak jak odwracam głowę i szybko przechodzę koło tych przybytków. Nie zaglądam tam, to inny świat i mam nadzieję, że nigdy tam nie trafię. Mam napisać o urokach letniska, o kasynie, sali bilardowej, kąpielisku i to wszystko. Bo cóż innego można tu robić.

— Można odpoczywać od zgiełku miasta, zwiedzać okolicę i chodzić na spacer — dodała z przekonaniem. — Tu są bardzo ładne lasy.

— Kiedy ja, łaskawa pani, jestem człowiekiem miejskim, rozeznany w realiach miasta, w miejskich szwindlach, w systemie łapówek, donosów, układach tak złożonych jak maszyna parowa i w szybkiej miłości, a tu niemal wszystko trąci zapyziałą prowincją, nawet romanse. Pani wybaczy, ale to dobre dla matron z gronem dzieci, cudownych oczywiście, i dla niedobitków romantyków.

— Głupstwa pan plecie! — odparła szorstko.

Dziś znowu ją irytował. Powiedziała mu, że ona w przeciwieństwie do niego jest ze wsi i dla niej letnisko jest dziwnym obyczajem. Ale ona nie potrafi siedzieć beczynnym i słuchać plotek i że chciałaby być romantyczna, lecz jej to nie wychodzi.

— Niech się pani na mnie nie obraża. Z kim będę się spierał? — wydawał się szczerze zmartwiony jej słowami, choć przekorny błysk w jego oczach świadczył o czymś zupełnie innym. — Pani Helena zaraz mnie wyśmieje, Leon nie ma czasu, udaje, że jest ogromnie zajęty, od tygodnia czyta

tę samą gazetę. Nikt nie chce mnie słuchać, tylko w pani moja nadzieja.

— Jest przecież pani Irena — odpowiedziała zbyt szybko i zaraz się zmieszała. Odwróciła wzrok, próbując ukryć odbijający się w nich błysk zazdrości, niewygodny i zupełnie nie na miejscu.

Jan jakby czytał jej w myślach.

— Irena to bardzo mądra kobieta, przyznaję, jestem poniekąd pod jej intelektualnym urokiem. Ma tylko jedną wadę, niczym nie potrafi mnie zaskoczyć. A pani potrafi — odparł spokojnie, patrząc jej w oczy. Kiedy nic nie odpowiedziała, zapytał poważnie: — Pani się na mnie gniewa?

— Czasami — starała się, żeby zabrzmiało całkowicie obojętnie.

Wstała z leżaka, poprawiła jedwabną narzutkę chroniącą przed słońcem i ruszyła ścieżką między wysokimi malwami. Nie gniewała się na niego, już nie. Była zła na siebie, że zabrakło jej rozsądku i znów z nim rozmawiała.

Od przyjazdu na lotnisko, gdy zasypiała wieczorem, często o nim myślała. Było w nim coś, co ją kusilo, jak jazda na karuzeli, chwila oderwania od ziemi i wesołego zawrotu głowy, po którym zazwyczaj bywa niedobrze.

Wyobrażała sobie, że z nim byłoby zupełnie inaczej niż z Józefem. Miłość z Janem byłaby porywająca i zabawna. Przypominała sobie jego zapach, mieszanek tytoniu, jakiejś wody i prawie nieuchwytną woń szaławii, którą poczuła, gdy uciekali przed burzą. Wyczuliła się na ten zapach, od którego kręciło się jej w głowie. Ale to były fantazje niemożliwe do spełnienia. Jest przyzwoitą osobą, mąż jej ufa, chociaż ona jemu nie do końca. Wiedziała, że powinna wziąć się w garść i narzucić sobie dyscyplinę przywracającą spokój rozchybotanej duszy. Ale co miała zrobić z myślami, które pojawiały się w jej głowie, gdy tylko pozwoliła sobie na chwilę odprężenia? Co robić z bezsennymi godzinami, które czekały na nią niemal każdej nocy? Tego nie wiedziała.

Przez następne dni prawie wcale nie rozmawiała z Janem. Ignorowała go, dając do zrozumienia, że nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego, nie chciała oszukiwać ani siebie, ani jego.

— Przecież to zwykły flirt, każdy dziś to robi — powiedziała Helena, kiedy Lea napomknęła, że czuje się niezręcznie, gdy Jan zachowuje się wobec niej zbyt swobodnie. — Nie powinnaś się tym wcale przejmować. On jest trochę szalony, ale bardzo go lubię. Leon doskonale o tym wie i nie ma mi tego za złe.

— Ja jestem staroświecka, a Józef jeszcze bardziej — odparła Lea z ciężkim westchnieniem.

We wtorek dostała list od Józefa. Zawiadamiał ją, że nastąpiły drobne komplikacje i musiał odłożyć swój przyjazd. W sobotę w nocy ktoś powybił szyby w aptece, było zamieszanie, ale nic więcej nie zniszczono, nikomu nic się nie stało. Nie wiadomo, kto to zrobił i dlaczego, policja podejrzewa, że były to wybryki jakiegoś hulaki spod Zielonej Papugi. Przyjadę za tydzień, kończył i dodawał, żeby niczym się nie przejmowała.

Zmartwiła się jednak, nie spodziewała się żadnych złych wieści, a tu apteka i kłopoty Józefa sprowadziły ją na ziemię.

— Martwisz się o męża? — zapytała Helena, widząc jej niewesołą minę.

Lea powiedziała o liście.

— To nic poważnego, ale już zapomniałam o kłopotach. Tu wszystko wydaje się odległe, o nic nie trzeba się martwić, najwyżej o pogodę i dokąd pójść na spacer.

— Przykra sprawa, ale tydzień szybko minie. Pan Józef przyjedzie, a wtedy urządzimy jakąś wycieczkę, może do lasu na grzyby — pocieszała ją.

Lea uśmiechnęła się blado; wybite szyby nie niepokoiły jej tak jak to, co ciągnęło ją do Jana. To nie powinno się wydarzyć, mówiła sobie, ale wciąż myślała o jego błękitnych oczach i dłoniach, których dotyku pragnęła. Co zrobię, kiedy Józef przyjedzie? Gdyby przyjechał wczoraj, to by się nie zdarzyło.

Cały dzień była niespokojna, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Leon i Helena sądzili, że to z powodu kłopotów Józefa. Po południu kuzyn zaproponował, żeby przeszła się z nim na spacer. Wybrali się wieczorem, kiedy minął najgorszy upał. Szli zakurzoną drogą i po kwadransie doszli do

równie zakurzonego i nieciekawego placu, przy którym znajdowała się osławiona kawiarnia i pijalnia wód mineralnych z salą bilardową. Początkowo rozmawiali o błahostkach.

— Jak ci się tu podoba? — zapytał Leon.

— Ładnie, ale inaczej niż u nas na wsi. Las inny, pachnie inaczej, nawet zielsko przy drodze wydaje mi się inne. Ale to lepsze niż siedzenie w mieście, zwłaszcza latem. Zawsze myślałam, że będę mieszkała na wsi — przyznała z nostalgicznym uśmiechem. — A ty nie chciałbyś wrócić na Czajki? Twój ojciec pewnie by się ucieszył.

— I co ja bym tam robił, Lea? W Warszawie mam pracę, rodzinę, a na Czajkach można najwyżej ryby łowić i łapać komary, ziemia do niczego, a zresztą ja się na ziemi nie znam. Ale masz rację, tam jest pięknie o każdej porze roku. Czasami zazdroszczę ojcu, że tak sobie tam żyje odcięty od świata, ze swoimi psami i końmi. Ale ja bym tak nie mógł, jestem za wygodny, jeżdżę dorożką albo tramwajem, noszę trzewiki, a nie buty z cholewami i obrastam sadłem — śmiał się z siebie.

Lea mu się przyjrzała.

— Nie, jeszcze nie obrastasz. Józef to i owszem, ale on mało gdzie się rusza.

Zapadło niezręczne milczenie, słychać było tylko ich kroki na nierównej ścieżce i szelest jej niebieskiej sukienki. Dawno ze sobą nie rozmawiali, więc musiało upłynąć trochę czasu, zanim znajdą wspólny język. A może taki już nie istniał?

Leon odchrząknął.

— Właśnie, co się tyczy pana Józefa, chciałem ci o czymś powiedzieć — zamilkł na chwilę, jakby szukał właściwych słów. Krążył ostrożnie wokół tematu — Nie wiem, czy to prawda, ale różnie o nim mówią.

— O Józefie? — aż przystanęła i zdziwiona popatrzyła na Leona. — Zaczynasz mnie niepokoić. O co chodzi?

— O jego pracę, te badania, które robi. Nic konkretnego, ale widzisz, ostrzegano mnie przed nim, odradzano kontakty zawodowe. Podobno twój mąż zbyt gorliwie tropi oszustów i nie waha się informować o tym policji, a przez to nie zyskuje się sympatii. Mówią, że narobił sobie wrogów. Podobno uwziął się na Żydów. Jeden z dostawców naszej fabryki twierdzi, że doprowadził do upadłości jakichś drobnych fabrykantów.

Słuchała go z niedowierzaniem i nie była pewna, czy kuzyn nie mówi o kimś innym. To było dla niej coś zupełnie nieoczekiwanego. Wprawdzie Józef nie wtajemniczał jej w szczegóły, nie mówił, jak wykorzystuje swoje badania, a ona nie dociekała. Wiedziała, co bada: zioła i leki, czasem herbatę, kawę, przyprawy, nie było w tym nic niebezpiecznego i nigdy nie przypuszczała, że to może mieć jakieś dalsze konsekwencje. Nie mogła w to uwierzyć.

— To jakieś nieporozumienie, Józef nigdy nie był zawzięty, nie jest antysemitą, zawsze stara się być obiektywny. To do niego niepodobne, niemożliwe — zaprzeczyła, ale po chwili zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno zna męża od tej strony. — Właściwie niewiele wiem o jego interesach. Fakt, że ciągle przesiaduje w laboratorium, ale wydawało mi się to takie niegroźne, niewinne zajęcie, często mu nawet pomagałam. Nigdy mi nie wspominał, że pracuje na zlecenie policji — powtarzała, a jednocześnie przypominała sobie Trichonowa, który od czasu do czasu pojawiał się w aptece i załatwiał z Józefem jakieś sprawy. Nie miała pojęcia, o co chodzi. Józef też czasami wychodził, nie opowiadając się dokąd i po co.

— To są męskie sprawy. Ty się do tego nie mieszaj, Lea. To nie jest coś, co by cię mogło interesować — słyszała od niego i w końcu przestała pytać.

— W tym rzecz — mówił dalej Leon — że pan Józef prawdopodobnie jest zbyt gorliwy.

Lea chwilę zastanawiała się nad wagą jego słów, ale wciąż nie mogła uwierzyć w to, co mówił kuzyn.

— Gorliwy? To znaczy, że donosi? To chciałeś mi powiedzieć? I nie chcesz z nim robić interesów? — dopytywała się zdezorientowana. — Rozumiem, ale chyba najlepiej będzie, jeśli sam z nim porozmawiasz.

— Nie o to chodzi, Lea. Przepraszam, nie chciałem zrobić ci przykrości. Myślałem tylko o tym

zdarzeniu w aptece; mówiłaś, że ktoś powybił szyby. Wydaje mi się, że to nie był zwykły wybryk jakiegoś pijaczyny. Ktoś to zrobił specjalnie, chciał się odwdziżyć za gorliwość pana Józefa. Ktoś, komu się naraził.

Zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

— Tak uważasz? Że ktoś próbuje się na nim odegrać?

Leon się zamyślił.

— Pewności nie mam, ale wydaje mi się to dość prawdopodobne.

— Ale co można na to poradzić? Napisał, że zgłosił szkody na policji i pewnie na tym się skończy. Nikogo nie złapią, a on i tak będzie robił swoje, dobrze go znam, jest uparty — stwierdziła z przekonaniem. — Myślisz, że powinnam wrócić do domu? — Miała wyrzuty sumienia, że siedzi tu i nic nie robi, a Józef boryka się z kłopotami.

— Nie. Oczywiście, że nie. Nic poważnego się nie stało, ale pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, jakie są nastroje. I nie przejmuj się tym, twój mąż nie z takim problemami musiał sobie radzić, zresztą nie jest sam. Ten jego przyjaciel, współnik, wydaje się całkiem rozważnym człowiekiem.

— Tak, naturalnie — potwierdziła i choć raz była zadowolona, że Józef ma takiego przyjaciela.

Mimo że o Reutowiczu nie miała najlepszego zdania, nie mogła zaprzeczyć, że wspierał Józefa w różnych kłopotliwych sytuacjach.

— Na nim Józef może polegać — powtórzyła.

Rozmowa z kuzynem poruszyła ją. Teraz miała nad czym się zastanawiać, myślała o Józefie i jego nadgorliwości. Więc to był ten jego świat, o którym nawet jej nie wspomniał, przed którym ją chronił. Ciekawe, co jeszcze przede mną ukrywa.

Nastrój beztróskich wakacji prysł. Lea była niespokojna, jeszcze trudniej było jej usiedzieć na miejscu.

— Coś panią martwi? Jakaś zła wiadomość? — zapytała Irena.

Irena nie była osobą ciekawską, trudno ją było o to podejrzewać. Nie mieszała się do cudzych spraw, z Leą rozmawiała raczej przelotnie, ale rozmawiała, a Lea nie udawała świętej. Nie uważała wcale, że kobieta rozwiedziona jest kimś nieczystym i nieprzyzwoitym, zdeprawowanym. Przeciwnie, Irena wydawała jej się interesującą osobą, która ma nieco inne spojrzenie na świat, własne, wyważone i przemyślane. To wystarczyło, żeby nawiązała się między nimi nić porozumienia. A jeśli chodzi o Jana, to nie miało nic do rzeczy.

— Nie, nic strasznego się nie stało — przyznała Lea i opowiedziała jej o badaniach Józefa. Powiedziała, że mu pomogła, chociaż on jej nie wtajemniczał, po co to robi i dla kogo. W szczegóły się nie wdawała, ale Irena była bardzo domyślna.

To Irena zasiała w jej głowie pomysł zrobienia praktyki aptecznej.

— Pracuje pani z mężem — mówiła, marszcząc nieco czarne brwi. — Dlaczego nie miałyby pani zdobyć fachowego wykształcenia? Trzeba wykorzystać taką okazję.

Jak się tak dobrze zastanowić, to dewiza ciotki Anastazji była podobna, pomyślała Lea. Może nie nazywała tego tak jak Irena, bo ciotka o emancypacji w ogóle się nie wypowiadała, ale zawsze powtarzała, że nie ma co oglądać się za siebie, lepiej zakasać rękawy i brać się do pracy. Może to jest dobry pomysł? Pod okiem Józefa mogłabym zrobić wymaganą trzyletnią praktykę i przygotować się do egzaminów. I tak mu pomagam, więc mógłby oficjalnie zgłosić, że jestem jego uczennicą, uznała po dłuższej chwili namysłu. Spodziewała się jednak, że Józefa ten pomysł nie zachwyci.

— Kobiety powinny się kształcić, a nie pozwalać zamykać się w domu — przekonywała Irena, gdy siedziały w ogrodzie w cieniu wysokich sosen i popijały popołudniową herbatę. — Mówi pani, że apteka to męski świat, ale pani już do niego weszła, pierwsze kroki już pani postawiła, teraz powinna pani działać dalej — zachęcała ją, mile łechtając jej ambicje. Dodała coś o uporze, determinacji, pracowitości oraz dopełnianiu się męskiej i kobiecej natury w różnych sferach życia.

Irena pomogła jej zrozumieć siebie, swoją irytację, niepokój, zdezorientowanie.

— Kobiety nie są ani gorsze, ani lepsze od mężczyzn, niech pani w to nie wierzy. Niech pani nie daje sobie wmówić, że czegoś pani nie zrozumie, bo jest tylko kobietą. To bzdura!

— Kategorycznie zabraniam takich tematów, to się nie nadaje do gazety, nigdzie mi tego nie przyjmą. — Jan stanął za nimi i z udawanym oburzeniem przerwał im rozmowę. — Skreślam panie z mojej listy — dodał groźnie i spoglądając na Irenę, dodał: — Chyba że wybierzemy się wspólnie na kolację do pani znajomego malarza.

Irena zerknęła na Leę.

— Dobrze, ale pani Lea pojedzie z nami.

Lea zgodziła się wbrew zdrowemu rozsądkowi i wbrew zdziwieniu Heleny, która zapytała:

— Chcesz być ich przyzwoitką?

— Nie, po prostu jestem ciekawa tego malarza i przyjęcia.

Wybrali się we troje, choć Lea miała nieco wątpliwości; nie była przecież zaproszona, a do tego nie miała co na siebie włożyć. Po głębokim zastanowieniu ubrała się w ciemnoniebieską sukienkę, która od biedy mogła uchodzić za wizytową; upięła włosy tak, żeby było widać kolczyki z perłą, które założyła na tę okazję (te po Sabinie), wzięła szal w kolorze polnych chabrów i była gotowa.

Znajomy Ireny był starszym siwowłosym mężczyzną o okrągłej twarzy. Na imię miał Ksawery, nazwiska Lea nie zapamiętała, ale to było z tych, do których Józef miałby wątpliwości. Ksawery był człowiekiem wytwornym, delikatnym i lekko zblazowanym. Nosił frak, fantazyjnie ułożone włosy i sygnet z rubinem. Powiedział, że sygnety zmienia w zależności od pory roku, tak by kamień pasował kolorem do otoczenia, rubin zaś był kamieniem uniwersalnym, współgrał z klimatem wieczornego przyjęcia, z zachodzącym słońcem i czerwonym winem. Za jego plecami dopowiadano, że gospodarz zmienia nie tylko sygnety, ale i panie.

Młoda dama w ciemnoczerwonej sukni, która przywitała ich przy wejściu, była jego czwartą żoną. Bardzo urodziwą, okazałą. Podobno przeszłość miała artystyczną, była śpiewaczką albo pianistką, a może aktorką; teraz robiła wrażenie kobiety w pełni świadomej swoich zalet.

Gospodarz przywitał ich, jakby każdego znał od wieków. Podniósł oczy na Leę i prześlizgnął się wzrokiem po jej twarzy, szukając w niej czegoś znajomego albo ciekawego. Zatrzymał się dopiero na kolczykach, a słysząc jej nazwisko, zawahał się przez chwilę.

— Poznałem kiedyś panią Klonowską. Miała na imię Sabina, bardzo oryginalna osoba. To ktoś z rodziny? — zapytał głosem gładkim jak balsam jerozolimski.

— W pewnym sensie — przyznała Lea z niewinnym uśmiechem. Jej oczy rozblęskły ciekawością, bo historia Sabiny nadal ją nurtowała. Pomyślała, że być może nadarza się okazja, żeby czegoś się dowiedzieć. — Ja jej nie znałam, ale słyszałam, że była niezwykle piękna.

Ksawery się zastanowił.

— Piękna? Powiedziałbym, że była dość ładna, ale stąpała po kruchym lodzie. Koniec, zdaje się, był dla niej tragiczny — powiedział z ociąganiem, po czym przeprosił ją i podszedł do innych gości.

Lea wycofała się w cień, poza krąg światła rzucany przez żyrandol z mnóstwem małych kryształów podobnych do sopli lodu. Stąpała po kruchym lodzie, powtarzała sobie i miała wrażenie, że już to kiedyś słyszała. Żałowała, że gospodarz nie powiedział, co to był za lód. Miała nadzieję, że znajdzie jeszcze okazję, by go o to zapytać. Starła się nie spuszczać go z oczu; zauważyła, że jest dość powściągliwy, nie pije dużo i krąży wśród gości, którzy rozsiedli się na kanapach i krzesłach obitych karmazynowym pluszem, w saloniku i na tarasie. Z każdym chwilę rozmawiał, uprzejmie, ale bez emocji, i jak podejrzewała, wcale nie sprawiało mu to przyjemności. Przeniosła wzrok na żonę Ksawerego, Nataszę, która wśród gości, muzyki, rozmów i w ciepłym blasku naftowych lamp była w swoim żywiole. Uśmiechała się pięknie, a jej ruchy też były piękne, wypracowane, pełne gracji i pewności siebie. Przyciągała spojrzenia, jakby nadal występowała na scenie. Lea pomyślała, że to dla niej Ksawery zorganizował to przyjęcie, dla Nataszy, której suknia tak dobrze pasowała do rubinowego oczka w jego sygnetcie.

Przyjęcie miało w sobie urok zakazanego owocu, trąciło dekadencją, lekkim zachwianiem moralności, polityczną niepoprawnością, dojrzałym winem i nieuniknionym końcem lata. Lea przyglądała się temu z ciekawością; nie była ani zirytowana, ani oburzona, może lekko oszołomiona. Rozmawiano o Freudzie i o snach, które są pełne lęków i erotycznych fascynacji, o hipnozie, podejrzanej i fascynującej, o wykopaliskach w Egipcie, a w końcu o Rasputinie, człowieku znikąd — groźnym, a może i nie, o którym każdy mówił co innego.

Lea niewiele miała do powiedzenia; nie przywykła do takich tematów. Przyglądała się więc gościom, ich barwnym strojom, wyłapywała afektowane słowa i gesty, miny, mieszaninę zapachów szlachetnych i mniej, i myślała, że to zupełnie inny świat, na pierwszy rzut oka ciekawy i egzotyczny, jak zamorskie surowce w szafach Józefa, a na drugi rzut pewnie trochę fałszywy.

Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Gospodarz przyglądał się jej, jakby próbował zapamiętać jej twarz, może zastąpić nią twarz Sabiny albo odwrotnie, a może jej twarz była tylko tłem do kolczyków. Podszedł do niej spokojny, a jednak wyczuwała w nim jakieś ożywienie, ciekawość.

— Co pani sądzi o moich gościach? — zapytał z zaciekawieniem.

Lea również była zaintrygowana.

— Skąd pan wie, że o nich myślę?

— Zgaduję. Doświadczenie portrecisty podpowiada mi, że pani uważniej patrzy na świat niż większość z nich — powiedział z półśmiechem i podał jej kieliszek wina, dbając o to, żeby rubin w jego sygnecie odbijał blask lampy wiszącej u sufitu.

Upiła kilka łyków i powiedziała o swoich aptecznych skojarzeniach, o zamorskich ziołach, egzotycznych żywicach i korzeniach. Roześmiał się, aż w kącikach oczu uwidoczniły się zmarszczki.

— A gdzie by pani mnie umieściła? — dopytywał się zaciekawiony.

— Nie, pana nie zamknęłabym w szufladce — rzuciła mu baczne spojrzenie. — Pan jest tu mistrzem, pan rządzi kolorami i światłem, dozuje je jak leki. A pana żona... jest eliksirem, najlepszym, jaki pan stworzył — dodała z przekonującym uśmiechem i poprawiła opadający z ramienia chabrowy szal.

— Zabawny pomysł, chociaż nie wiem, czy Natasza byłaby z niego zadowolona — odparł, skupiając wzrok na iskierek światła, które połyskiwały w kolczykach Lei.

Zatańczyli, ale nawet wtedy, dając mu się prowadzić w rytm walca, Lea nie zapomniała o intrygującej ją sprawie.

— Chyba nie przekroczyłam granicy dobrego smaku, nie stąпам po kruchym lodzie jak moja poprzedniczka? — zapytała, przekrzywiając odrobinę głowę. — Co pan właściwie chciał przez to powiedzieć?

Zawahał się, pogładził jedwabne wyłogi fraka.

— Ja maluję portrety, nie zdradzam cudzych tajemnic.

Ksawery pachniał perfumowanymi papierosami z odrobiną opium. To był zapach powierzchniowy, ulotny, zapewne niedawno wypalił papierosa, żeby poczuć się lekko i zabawnie. Ale kiedy stanął bliżej i potem, kiedy z nią tańczył, przez ten fantazyjny opiumowy aromat przebijała się woń terpentyny i oleju makowego, których nie mógł się wyzbyć. Był naznaczony zapachem pracowni malarskiej, w której siedział codziennie po kilka godzin, tworząc wizerunki kobiet, mężczyzn i dzieci, rozmawiając z nimi, a być może zgłębiając też ich ukryte myśli.

— Czy to nie to samo? — zapytała z porozumiewawczym uśmiechem i przymrużyła oczy. — W portretach musi być jakaś tajemnica — zawoalowana, ale jednocześnie zdradzona. Pan ją odkrywa i ujawnia, nie do końca oczywiście. Dlatego portrety bywają takie intrygujące.

Pokręcił lekko głową.

— Nigdy w ten sposób nie myślałem o swojej pracy. To brzmi niemal groźnie, jakbym był niedyskretny.

— Każdy w jakiś sposób jest niedyskretny, nawet wtedy, gdy milczy. Ale ja nie jestem groźna, nikomu o tym nie powiem — znów uśmiechnęła się lekko. — Proszę mi zdradzić, jaka była jej tajemnica?

— Nie jestem pewien, nie malowałem jej portretu — patrzył na nią, próbując rozszyfrować jej intencje, wyczytać je z rysów twarzy, tonu głosu i sposobu, w jaki dała się prowadzić w tańcu, bez pretensji do mistrzostwa, ale z nieukrywaną przyjemnością.

— Mówił pan coś o kruchym lodzie... — zawiesiła głos, czekając, aż gospodarz uchyli rąbka tajemnicy.

Ksawery delikatnie pokręcił głową.

— Nie chciałem, żeby to brzmiało zbyt dramatycznie, ale chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że ta pani miała złe skłonności — starannie dobierał słowa. — Wydaje mi się, że piła zbyt dużo zbyt mocnych trunków. Takie odniosłem wrażenie — powiedział, zaznaczając, że jest to jego prywatny osąd.

Nie powinno być to dla Lei zaskoczeniem, już o tym słyszała. Słowa Ksawerego uzupełniały aluzje Emila, a nawet Józefa, który zrobił jej kiedyś wykład na temat kobiecych skłonności do ulegania nałogom. A jednak była zaskoczona. Tłumaczyła sobie, że obraz Sabiny, tej ze zdjęcia, był zbyt piękny, żeby mógł być prawdziwy, i w końcu zaczęły pojawiać się na nim plamy i pęknięcia, jak na suficie w laboratorium. Sabina stąpała po kruchym lodzie, kruchym jak szkło. Coś zabrzęczało jej w pamięci, ale na to już nie zwracała uwagi, bezwiednie dotknęła kolczyków i uśmiechnęła się smutno. Właśnie poznała kolejną strzeżoną przez Józefa tajemnicę jego pierwszej żony. Nałóg. Nie przypuszczała, że to może być tak proste i nieciekawe, trywialne. Czuła rozczarowanie, jak zawsze, gdy poznaje się wstydlive strony życia. Więc to doprowadziło Sabinę do katastrofy, alkohol albo eter, czy co to tam było. Przypominała sobie rozmowę z Chabrowską i sama się sobie dziwiła, że wcześniej na to nie wpadła. A teraz, kiedy powinna się bawić, po głowie płaczą się jej stare przykre sprawy. Kiedy podeszła do nich Natasza, wyszli na werandę, a Lea spróbowała opiumowanego papierosa i przez smugę dymu popatrzyła na granatowe niebo. Na jego tle korony sosen układały się w czarną koronkę. Ładnie, pomyślała, ale zupełnie inaczej niż w Korytnicy.

— Może będą spadać gwiazdy? — powiedziała Natasza zapatrzona w niebo.

— Byle nie na naszą willę — odparł jej mąż.

Jedna przed chwilą spadła, pomyślała Lea. Chociaż nie, spadła dawno temu, ale ja nic o tym nie wiedziałam. Może wszystko, co istotne, już się wydarzyło, reszta to tylko odpryski minionych spraw, kręgi na wodzie. Może nawet wyjazd na lotnisko i to przyjęcie są jedynie wytworem mojej fantazji, grą światła, kolorową iluzją podsycaną dymem z papierosa. Może prawdziwe rzeczy dzieją się gdzie indziej, może już się stały, a ja oglądam tylko rzucone na ścianę diapozytywy.

— Jak się pani podoba przyjęcie? — Jan pojawił się na werandzie, podszedł do niej i próbował wyrwać ją z zamyślenia. — Dobrze się pani bawi? Zniknęła mi pani z oczu.

Przetańczył kilka szybkich tańców z Ireną, potem pani domu poprosiła go do walca, dotykając jego ramienia wachlarzem ze strusich piór, jakby był jej paziem. Lea nigdy nie miała wachlarza, nie zamierzała też prosić Jana do tańca, ale miło jej się zrobiło, że sobie o niej przypomniał.

— Wyśmienicie — zapewniła, jeszcze błędząc myślami w przeszłości.

Przyglądał się jej twarzy, spokojnej i poważnej, i jakby odmienionej w łagodnym świetle lamp.

— Dlaczego pani tak mówi? Przecież to nie jest w pani stylu!

Wzruszyła ramionami.

— A dlaczego pan mnie tu zabrał? Żeby mi się nie podobało?

Pozwolił sobie na rozbrajający uśmiech.

— Nie. Skądże. To był pomysł Ireny, ale bardzo mi się spodobał, chciałem być blisko pani, chciałem pokazać pani spadające gwiazdy albo wschód słońca nad lasem, coś stosownego dla pani romantycznej natury.

— Niech pan nie mówi takich rzeczy — upomniała go. — Nudzi się pan i tyle. Szuka pan jakiejś ożywczej nuty nowości, brakuje panu atrakcji. Mnie w każdy razie proszę wykreślić z listy miejscowych rozrywek, już to panu mówiłam — powiedziała, przyglądając się jego chłopięcej twarzy, z której właśnie znikło rozbawienie. — Napisał pan ten tekst do gazety?

— Artykuł? Pani żartuje! Pyta mnie pani o artykuł, kiedy właśnie chciałem panią poprosić do tańca? — Patrzył na nią jak niesłusznie skarcony pies. — Nie, nie mogę się skupić. Nie mogę się skupić,

bo ciągle myślę o pani. — Wziął ją za rękę i poprowadził na środek sali. — Walc wiedeński to coś w sam raz dla pani.

Lea dała mu się prowadzić i przytrzymując się jego ramienia, dostosowywała się do jego kroku. Czuła na twarzy oddech i bijące od niego ciepło, zapach perfum i szaławii, i lekko spoconej skóry. Starła się zapanować nad emocjami, oddychała szybko, rozchylając lekko usta. Śmiała się, mając na końcu języka smak goryczy.

Orkiestra grała walce i lansjery, mazurki, tańce gorące, szybkie i wesołe jak na ludowej zabawie, a potem dla wytchnienia wolne, melancholijne. Lea czuła się jak w transie, wspomnienia i domysły wyparowały jej z głowy. Wirowała jak fryga, a jej oczy robiły się coraz bardziej czarne i błyszczące. Tańczyła, aż zabrakło jej tchu. Wtedy wyszła z Janem na taras, ale chłodne powietrze wcale jej nie otrzeźwiło. Była oszołomiona jego bliskością. Nie zaprotestowała, gdy pocałował ją w usta, delikatnie i prawie nieśmiało. To była chwila wyrwana z marzeń sennych, nierzeczywista i odurzająca jak opary eteru. Musiała ją przerwać. Odwróciła głowę i odsunęła się od niego.

— Niech pan będzie grzeczny i puści mnie — poprosiła, kładąc mu palec na ustach.

— Lea, niech mnie pani tak nie zostawia — zaprotestował. — Tak się nie robi.

— Ale tak trzeba — ucięła stanowczo, chociaż serce wciąż waliło jej w piersi.

— Już się pani znudziłem? — zapytał z niedowierzaniem w głosie.

Zbił ją tym z tropu, szukała odpowiednich słów.

— Pan wie, że to nie ma nic do rzeczy, chodzi o zasady. I proszę o wszystkim zapomnieć.

— Oczywiście, jak pani sobie życzy — powiedział rozczarowany. — Możemy poprzestać na tym, o czym mam zapomnieć, chociaż to było bardzo obiecujące i trudno mi to będzie wymazać z pamięci.

— Poradzi pan sobie — odparła szorstko i szybko dodała: — Tak będzie rozsądniej.

Do Otwocka wrócili nad ranem. Lea czuła się zmęczona i pełna wrażeń, które pulsowały w jej głowie w takt angielskiego walca. Udawała, że nie zwraca uwagi na Jana, który siedział chmurny i milczący. Pomyślała, że to, co się między nimi wydarzyło, najlepiej uznać za sen, całkiem przyjemny i — jak się jej zdawało — bez dalszych konsekwencji, tak jak i zaproszenie Nataszy, która przy pożegnaniu, wpatrując się w Leę z uśmiechem na pięknych ustach, powiedziała.

— Proszę odwiedzić nas po wakacjach w Warszawie, mieszkamy przy Kruczej. Będzie nam bardzo miło.

Józef zgodnie z zapowiedzią przyjechał w następną niedzielę i szybko spostrzegł, że Lea jest dziwnie przygaszona, czasami jakby nieobecna. Kiedy opowiadał jej o zdarzeniach w aptece, słuchała go, ale często błędziła myślami między wysokimi trzcinami nad stawem, pomostem pachnącym smołą i rzęsą wodną i tarasem willi Ksawerego.

— Lea, coś ci dolega?

Spojrzała na niego nieprzytomnie.

— Nie, teraz wszystko dobrze — zapewniła spokojnie, jakby i siebie chciała o tym przekonać.

— A jednak coś cię martwi? Przecież widzę — patrzył na nią, starając się uchwycić jej spojrzenie.

— Nie, nic takiego. Zmartwiłam się wypadkiem w aptece, czekałam wtedy na ciebie. Ale teraz już dobrze — odparła z mizernym uśmiechem — Teraz już jesteś.

Siedzieli w ogrodzie pod lipą przy małym wiklinowym stoliku, na którym stały filiżanki z herbatą i talerzyki z resztkami francuskich ciasteczek. Lea pozwoliła, żeby Józef ją uspokoił, wziął za rękę i powiedział, że nic się nie stało, że wybite szyby to nic takiego.

Cóż, zdarza się. Ma się rozumieć, musiał sporo zapłacić za wstawienie nowych, dopilnować, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce, i złożyć skargę na policji, wyjaśniał.

— Potem urządziliśmy mały bankietek, Reutowicz wszystko zorganizował — dorzucił jakby od niechcienia i sięgnął po ostatnie ciastko.

Teraz Lea przyjrzała mu się podejrzliwie.

— Właśnie. Przecież on doskonale mógł wszystko sam załatwić, a ty mogłeś przyjechać do mnie — zauważyła z wyrzutem i odganiała jakąś złośliwą muchę.

Przełknął kęs ciastka, wytarł usta i wąsy serwetką i złożył ją starannie.

— On ma inne sprawy na głowie — stwierdził takim tonem, jakby to było jedno z niepodważalnych praw natury.

— Inne sprawy? Dlatego masz tyle pracy, bo pan Reutowicz woli organizować bankiety i inne sprawy, zamiast zastąpić cię przez kilka dni w aptece? — denerwowała się, mając w pamięci to, co powiedział jej Leon. — A ty wciąż taki zapracowany. Dla kogo to robisz? Dla kogo tak ślęczysz nad tymi fałszywymi lekami? Szkoda na to czasu i twoich oczu.

— Ależ Lea, tłumaczyłem ci, że każdy może zamówić u mnie badania — odparł niezadowolony, że powraca do tej samej sprawy.

Lea nie ustępowała.

— No i co dalej? Stwierdzisz, że coś jest podrabiane, i co z tym robisz? Wydajesz wynik i na tym koniec?

Zastanowił się chwilę, wodząc wzrokiem po dalekich kępach dalii, barwnych jak uciechy lata.

— Zgłaszam sprawę do Towarzystwa albo i do policji lekarskiej. Oni powinni dalej się tym zająć.

— Myślisz, że to nie jest niebezpieczne?

Uniósł brwi ze zdumienia.

— Niebezpieczne? A co dzisiaj jest bezpieczne? Nawet życie jest niebezpieczne, Lea, życie też — stwierdził z nutą goryczy, a po chwili zastanowienia zapytał: — Ale co właściwie masz na myśli?

Nie chciała mu powiedzieć o podejrzeniach Leona, wołała zwyczajnie zagadnąć.

— Te wybite szyby nie dają mi spokoju. Myślisz, że to nie ma związku z twoimi badaniami?

— Ty znowu o tym. Daj spokój! Powiedziałem ci, że nic takiego się nie stało, nie masz czym się przejmować — uspokajał ją. — Nie myśl już o tym.

— Ale nie złapali go — upierała się.

Józef tracił cierpliwość.

— Nie złapali nikogo, bo to był zwykły przypadek. Przypadek, że jakiś pijany typ przechodził obok naszej apteki i na niej wyładował swoją złość. Zwykły pijak, awanturnik. Mało to takich kręci się po ulicach, zwłaszcza wieczorem? Pod Zieloną Papugą to był kiedyś porządny lokal, a teraz lepiej tam nie zaglądać. Na Rynku też spelunek nie brakuje. Co i raz słyszy się o jakichś awanturach, a teraz trafiło akurat na naszą aptekę, ale nie było w tym żadnego celowego działania — przekonywał ją, popijając herbatę, nie najlepszą jego zdaniem.

— Może masz rację. Znasz wszystkich i wiesz, co się dzieje — odpowiedziała, tracąc nagle zainteresowanie sprawą.

Musiała uważać, żeby zachowywać się tak jak zawsze, jakby nigdy nie kąpała się w stawie na tyłach ogrodu, jakby nie tańczyła z Janem i nie była z nim na tarasie, jakby on w ogóle nie istniał i nie zajmował jej myśli.

Józef wyczuwał, że jej spokój jest tylko pozorny, a w głębi duszy, a może serca, coś się z nią dzieje, coś się burzy. Cały dzień obserwował ją, przyglądał jej się czujnie, gdy co jakiś czas wzdychała ciężko. Wieczorem, kiedy znaleźli się sami w pokoju, powiedział oskarżycielskim tonem:

— Chodzi o tego młodego dziennikarza! Widzę, co się dzieje, nie jestem ślepy, widzę, jak na niego patrzysz.

Zaskoczył ją, nie przypuszczała, że tak łatwo można ją przejrzeć; nie wiedziała, czy lepiej zaprzeczyć wszystkiemu, czy skłamać tylko trochę, tak żeby brzmiało to w miarę prawdopodobnie. Wybrała drugie rozwiązanie.

— Zabawny jest, nie przeczę, ale ty sobie za dużo nie wyobrażaj — rzuciła mu spojrzenie, w którym było i święte oburzenie, i zaskoczenie, i odrobina urażonej dumy.

Józef nie dał się zbyć.

— Więc on ci się podoba!

— Co znaczy podoba?! — niemal krzyknęła. — Jest wesoły, towarzyski, czasami z nim rozmawiałam. Nie wolno mi?

— I o czym to z nim rozmawiałaś? — zapytał podejrzliwie.

— O tym, co się tu dzieje, o letnisku, o ludziach — opowiadała mu o burzy i powrocie bryczką, o przyjęciu, niebezpiecznie zbliżając się do prawdy. Przez moment pomyślała, że mogłaby powiedzieć mu o wszystkim, ale gdy zobaczyła jego chmurną minę i podejrzliwe spojrzenie, szybko się opamiętała. — Gdybyś wtedy przyjechał, mogłabym pójść z tobą — dodała, zawieszając znacząco głos, bo ta uwaga mogła mieć ciąg dalszy. — I powiem ci, że on jest sympatycznym młodym człowiekiem, a w ogóle to interesuje się panią Ireną. Nie wiem, co mężczyźni w niej widzą, jest bardzo inteligentna, ale taka mało kobieca — stwierdziła, otulając się niebieskim szalem jak aurą niewinności.

Józef w końcu uznał, że Lea nie przekroczyła granic dobrego zachowania, że nie posunęła się zbyt daleko w zawieraniu znajomości z Janem, i dał się wciągnąć w rozmowę o pani Irenie. Zauważył nawet, że Irena, swoją drogą cóż to za imię, jest niczego sobie, chociaż chyba sporo starsza od Jana, ale ma w sobie coś intrygującego.

Niebezpieczeństwo minęło. Lea odetchnęła z ulgą, lecz wzięła sobie do serca podejrzliwość Józefa i narzuciła większą dyscyplinę, która pozwoliłaby jej wyjść z tego emocjonalnego zawirowania bez szwanku.

Potem już wszystko potoczyło się gładko. Chodzili z Józefem na spacer, ale nie tak długie, jak by sobie życzyła, było zbyt gorąco, a Józef źle to znosił. I właśnie na jednym z takich spacerów, pachnących końcem lata, mirabelkami i przyczajoną mgłą, Lea powiedziała, że chciałaby zrobić praktykę w aptece. Józef przystanął, poprawił kapelusz na głowie, wygładził wąsy i popatrzył na nią zdziwiony.

— A po co ci to? — zapytał.

Chwilę odczekała, żeby uspokoić myśli i powiedzieć coś, co go przekona.

— Myślisz, że nie dam rady? Przecież to ty będziesz mnie uczył — powiedziała głosem lekko zachrypniętym (trochę w stylu Ireny), jakby oświadczała: gdzie ty, tam i ja, z tobą na koniec świata. Popatrzyła na niego z prośbą w lśniących oczach, by Józef miał możliwość okazać swoją szlachetną naturę opiekuna oraz krzewiciela nauki i prawdy.

Józef pokręcił łagodnie głową.

— Nie jestem przekonany, moja droga, poza tym mam już dwóch uczniów i nie mogę przyjąć więcej.

— Karol niedługo kończy — przypomniała mu

— Pomyślę — odparł spokojnie i wziął ją za rękę, co, zdaniem Lei, oznaczało, że sprawa nie jest stracona, ale trzeba się jeszcze trochę postarać, a Józef musi oswoić się z tą myślą.

Szli ścieżką prowadzącą wzdłuż rzeki, przystawali przy kępach jeżyn i dzikich róż, na których pojawiały się czerwone strzępki kosmatych wyrosli. Lea powiedziała, że tymi czerwonymi kłębuszkami okadza się chorych na różę.

— Oj Lea, i ty w to wierzysz? Myślałem, że już nabrałaś trochę rozumu. Jesteś przecież żoną aptekarza. Chcesz zrobić praktykę, a opowiadasz takie głupstwa, jakbyś była większą znachorką — śmiał się z niej i kiwał z politowaniem głową.

— Właśnie dlatego, że jesteś aptekarzem, mówię ci o takich rzeczach. Myślałam, że to cię zaciekawi — odparła, gotowa obrazić się na niego.

Ale on znów się uśmiechnął i patrzył na nią z zadowoleniem w oczach.

— Teraz jesteś jak moja dawna Lea, czupurna i uparta, taka myszka badylarka, zbierasz te swoje badyle, kwiatki i listki i cieszysz się nimi, jakby to były perły i korale.

— Jaka znowu myszka badylarka — fuknęła na niego. — Nic ci więcej nie powiem.

Objął ją ramieniem.

— Wiem, że ciągnie cię na wieś jak wilka do lasu. Lubisz chodzić i oglądać, co gdzie wyrosło, co zakwitło, i powiem ci, że myślałem o tym. Odłożyłem pewną sumę w banku, to jeszcze nie wystarczy, ale liczę, że jak dalej interesy będą dobrze szły, to za kilka lat może będzie nas stać na kupno domu za

miastem. No i co ty na to? — pytał dumny ze swych planów.

Nie mogła w to uwierzyć.

— Dom na wsi? Poważnie o tym myślałeś? Naprawdę chciałbyś mieszkać na wsi? Ale gdzie?

— Jeszcze nie wiem, zdążymy się nad tym zastanowić. Reutowicz mówi, że linia otwocka jest interesująca.

— Oczywiście Reutowicz! To z nim chcesz zamieszkać czy ze mną? — nadała się. Nie chciała jednak się sprzeczać. Cieszyła ją perspektywa domu z ogrodem i nie powinna tego psuć. — Dom z ogrodem, taki jak u ciotki? Zawsze za nim tęskniłam — przyznała. — Ale co byś tam robił? Przecież aptekę masz w Warszawie?

— Pożyjemy, zobaczymy. Na razie to jest tylko zamysł.

— Zamysł to już jest coś — stwierdziła Lea i zaczęła przyzwyczajając się do tego zamysłu.

Potem, ilekroć brała ją złość na Józefa, myślała o domu z ogrodem pełnym nasturcji, wysokich ostróżek, mięty i kopru i o sadzie, w którym posadziłyby jabłoń, a może i gruszę.

Od czasu, gdy przy Piwnej zamieszkała Agata, w środy, a nieraz i soboty Lea razem z nią przygotowywały późny obiad, w zasadzie kolację, dla pracowników apteki. Pomysł był Józefa, właściwie takie kolacje już się zdarzały od czasu do czasu, uczniowie często też zaglądali na górę do kuchni, a Agata zawsze dawała im coś do zjedzenia, żeby nie pomarli z głodu. Lea nie miała nic przeciwko temu; pomyślała, że będzie trochę jak w Korytnicy, gdzie do stołu zasiadało nieraz dziesięć i więcej osób. Przy okazji tych kolacji Józef wygłaszał kwieciste i pouczające mowy, opowiadał o planach Towarzystwa Aptekarskiego, o nowościach na rynku, wczuł się w rolę nauczyciela. To jeszcze było do zniesienia, ale po powrocie z letniska coraz częściej na kolacjach pojawiał się Reutowicz.

— To mój najbliższy przyjaciel, dlaczego nie miałby do nas przychodzić? — argumentował Józef.

— Przecież nic nie mówię — odparła Lea.

— Nie mówisz, ale robisz taką cierpiętniczą minę, jakby to wymagało od ciebie specjalnego poświęcenia.

Wzruszyła ramionami, pokazując, że w zasadzie wszystko jej jedno, ale miała swoje zdanie na ten temat. Doszły do niej słuchy, że zorganizowany pod jej nieobecność bankiet, o którym napomknął Józef, nie był taki skromny i panowie nieźle zabalowali, a inicjatorem tego wydarzenia był właśnie Reutowicz.

— Słodki Jezu, jakżem pana aptekarza wtedy zobaczyła, to myślałam, że znowu coś się stało, taki był błyśnięty i zielony, wyglądał jak struty — opowiadała Jaszowa z wyrazem rozległego współczucia na zmęczonej twarzy. — No, myślę sobie, nie dość, że szyby pobite, to i pan aptekarz ledwo na nogach się trzyma, ale szybko żem się połapała, w czym rzecz, bo mój stary po przepiciu też taki zielony się robi. A jak potem ta panina Agata powiedziała mi, jakie to przyjęcie było, to wcale się nie dziwiłam. A to wszystko przez tego współnika, tego Reutowicza. Niby taki poważny, żałobę ciągle nosi, wygląda jak jaki pokutnik, ale zabawić to się potrafi tak, że potem szyby pobite i wszyscy ledwo żywi. I żeby tylko on, ale nie, pan aptekarz tak samo. A przecież porządny człowiek, złego słowa nie można o nim powiedzieć, ale po tej kolacji to przez tydzień chodził zbolany i dojść nie mógł nieszczęśnik do siebie.

— No, pięknie — westchnęła Lea i wypytała Agatę, co to się działo i jak to było z tymi wybitymi szybami, bo dotąd niczego nie wyjaśniono, nie znaleziono winnych i Lea zaczęła podejrzewać, że kolejność zdarzeń mogła być inna, najpierw był bankiet, a potem wybite szyby. — Więc jak to było?

— Ja nic nie wiem — zarzekała się Agata, trzymając w pogotowiu rąbek fartucha, gdyby trzeba było popłakać. — Te szyby w nocy ktoś wybił, no i był straszny rumor, hurgot taki, że chyba cała kamienica się pobudziła. I zaraz przybiegł stójkowy i wypytywał, co i jak było, i wszystko spisał do kajetu. A potem to pan aptekarz musiał do sądu chodzić. I zamieszanie było, i robota, bo szyby wstawili, i trzeba było sprzątać. A jak już było po wszystkim, to panowie kolację kazali przygotować, to znaczy pan aptekarz i ten jego współnik — ściszyła głos — Mówili, że to bankiet będzie, zakrapiany, a jakże,

chcieli poprawić sobie humory. Posłali mnie po różne specjały, i szynki chcieli, i schabu pieczonego, i sardynek, i kawioru, i śledzia, i jeszcze im się coś słodkiego zamarzyło. Ale jakie tam wódki były, tego nie powiem, bo to pan Reutowicz sam zamawiał, a potem gości sprosił na bankiet, chyba kogoś ze swoich pracowników i tego grubego Trichonowa, i jakieś panie z nim przyszły. A mnie pan aptekarz dał rubla i powiedział, że mam wychodne, to poszłam z taką jedną, co jest za podręczną u modystki przy Długiej, na potańcówce byliśmy, a jakże, też się zabawić chciałam. No i nic więcej nie wiem, tyle że pan aptekarz bardzo był potem niezdrów i nie mógł do pani jechać, a ja mu musiałam kwasu od ogórków kupować, pan Reutowicz zaś to znowu kwaśnego mleka chciał, bo się u nas został i musiałam ich obu kurować i jeszcze sprzątać ze dwa dni. A nogi mnie bolały od tych tańców — skarżyła się.

Więc to tak było, bankieci, tak to się teraz nazywa, oburzyła się Lea. A ja naiwna martwiłam się o Józefa, a potem dałam się nabrać na tę jego bajkę o domu z ogrodem. I jeszcze miałam wyrzuty sumienia z powodu Jana. Więcej nie dam się tak podejść. A przy okazji jeszcze ten bankieci im przypomnę. Z panem Reutowiczem też sobie poradzę. Jak jest taki samotny, niech sobie znajdzie kogoś, a Józefa zostawi w spokoju.

— Nie znudziło się panu u nas stołować? — zapytała Reutowicza podczas śródowej kolacji. — Takie proste potrawy chyba panu nie smakują, zdaje się woli pan kawior i mocne trunki — ledwo zauważalny złośliwy uśmiezek zaigrał na jej twarzy.

Agata, która właśnie podawała łazanki z kapustą, parsknęła śmiechem i uciekła do kuchni. Szymon i Karol trącali się łokciami i zerkali na siebie porozumiewawczo, Tymon zarumienił się i spuścił wzrok, a Józef spojrzął z oburzeniem na Leę. Reutowicz milczał przez chwilę, a potem powoli i bardzo precyzyjnym ruchem odłożył sztućce na serwetkę. Lea pomyślała, że zaraz wstanie i wyjdzie obrażony, ale on spojrzął na nią i odpowiedział spokojnie:

— Łaskawa pani, w tym domu zawsze znajdowałem gościnę, a to sobie bardziej cenię od wykwintnych dań.

Patrzyła na niego z błyskiem niechęci w ciemnych oczach.

— Bardzo pan uprzejmy, ale nasz skromny obiad do bankietu się nie umywa.

Reutowicz nadal był spokojny, nawet lekko się uśmiechnął.

— Bankiety mają swój urok, kiedy urządza się je od czasu do czasu, a taki obiad można jeść codziennie.

— I na pewno nie choruje się po nim przez tydzień — zauważyła Lea z satysfakcją.

— Lea, wiesz, że twoja kuchnia wszystkim nam służy — wtrącił Józef, próbując załagodzić sytuację.

Lea już nic nie dodała. Uśmiechnęła się zadowolona, że miała okazję powiedzieć kilka słów na temat bankietu, ale nie zamierzała wracać do tej sprawy.

Reutowicz nie zapomniał jej tego przytyku. Następnego dnia przyszedł do niej na górę. Niczego nie owijał w bawełnę, od razu przeszedł do rzeczy.

— Doceniam pani szczerść, rozumiem, że nie jestem przez panią mile widziany. Może powiedzieć mi to pani prosto w oczy, ale mogłaby pani darować sobie te złośliwości przy pracownikach i Józefie, on tym niepotrzebnie się martwi — powiedział beznamytnie, jakby wczorajsza rozmowa niewiele go obeszła.

Spojrzała na niego spod oka.

— A od kiedy to pan tak uważa na jego dobre samopoczucie?

— Od dawna — mruknął i wyjął z kieszeni papierośnicę, gotowy zapalić, gdy tylko rozmówi się z Leą. Wyglądało nawet, że na papierosie bardziej mu zależało niż na rozmowie.

Irytował ją samą swoją obecnością, swoim lekceważeniem, ironicznym i pobłażliwym uśmiechem. Podejrzewała go o daleko idącą złośliwość. Zasadniczo to przez niego zaplątała się w tę historię z Janem, bo gdyby Józef przyjechał...

— Może więc pora, żeby pan z tym skończył, nie wychodzi to panom na zdrowie — odparła rozeźlona.

Patrzył na nią gniewnie.

— Nie ma obawy, więcej nie przyjdę — mruknął i wyszedł szybko, nie dając jej szans na odpowiedź.

I dobrze, pomyślała, ale po chwili złość jej przeszła.

— Niech pan poczeka! — zawołała za nim, ale on wyszedł i nawet nie trzasnął drzwiami.

Jeszcze bardziej ją zirytował. No pięknie, teraz Józef nie da mi spokoju, zmartwiła się. I się nie pomyliła, Józef miał do niej pretensje, że obraziła Reutowicza.

— To już nie można mu nic powiedzieć, żeby się nie obraził? — odpowiedziała, przystając koło laboratoryjnego stołu, na którym Józef przygotowywał próbówki z lekami do analizy. — Z nikim nie ma tyle ceregieli co z nim. Co on sobie wyobraża?

Józef wstawił pipetę do flaszki z kwasem solnym i odwrócił się do Lei. Pod wpływem zniecierpliwienia jego spojrzenie stało się kłujące, a szare oczy nabrały ciemniejszych tonów.

— Lea, pomyśl, jak to wygląda, wszyscy idziemy na górę na kolację, a on wychodzi, bo uważa, że jest niemile widziany.

— Jeszcze go bronisz! — zmarszczyła brwi, gotowa się spierać, chociaż sama nie była zadowolona z obrotu sprawy.

Józef najwyraźniej tracił cierpliwość, bo poluzował przylegający do szyi kołnierzyk koszuli.

— Tak, bronię i proszę cię, żebyś z tym skończyła — powiedział twardo i z impetem włożył próbówki do zlewki.

Wiedziała, że z nim nie wygra, więc wzruszyła ramionami.

— Dobrze, proszę bardzo, może sobie przychodzić, może nie przychodzić, nic mnie to nie obchodzi — mruknęła urażona, a jej mina wyrażała jeszcze więcej. — Jak przyjdzie, powiem Agacie, żeby dołała wody do zupy.

Józef położył dłoń na jej ręce i spojrzał w oczy.

— Lea, tylko bez złościwości. Bardzo cię proszę. Chcesz zrobić praktykę, więc nie stwarzaj konfliktów, nie utrudniaj.

To był argument wart rozważenia.

Część II

16 maja (3 maja) 1904 roku

Aleksander Trichonow precyzyjnym ruchem odstawił na stół pusty kieliszek od wina i skupił wzrok na swojej towarzyszce. Nie chciał, żeby to była ich ostatnia rozmowa, nie dlatego, że uważał Leę Klonowską za kobietę wyjątkowo uroczą czy zabawną. Nic z tych rzeczy. Wydarzenia, o których rozmawiali, też nie były dla niego specjalnie ciekawe; znał je dobrze, ale Lea na niektóre sprawy patrzyła w inny sposób niż on, miała w sobie pierwotną ciekawość kogoś, kto nie wszystko potrafi objąć rozumem, ale kierując się instynktem czy też jakimś nadmiernie wybujałym zmysłem, a może i przesądami, potrafi odkryć fakty, do których on dochodził po długich rozważaniach. Kłamała też zupełnie inaczej niż większość znanych mu osób, naiwnie i z wiarą, że tak trzeba. Z poświęceniem. Zresztą cokolwiek by o niej powiedzieć, najzwyczajniej w świecie lubił jej towarzystwo; lubił poznawać jej sekrety, ukryte głęboko w niepamięci jak zamorskie zioła w skrytkach aptecznego repozytorium.

— Więc Ksawery Goldberg ani jego żona niczego więcej pani nie powiedzieli? — zapytał po chwili zastanowienia nad złożonością ludzkich wspomnień.

— Nie. Oni chyba niczego nie wiedzieli — odparła spokojnie Lea. — Raczej nie zdawali sobie wtedy sprawy, że wiedzą — poprawiła się.

O trzeciej nad ranem w restauracji Pod Rakiem nadal można było przyjemnie spędzać czas. Powietrze przesiąknięte zapachem wina, jaśminów i coraz bardziej wyszukanych potraw rozleniwiło i usypiało czujność. Orkiestra grała lekko melancholijnie z małymi wyjątkami na walca, gdyby jakaś para chciała jeszcze zatańczyć. Dla gości zajmujących osobne gabinety była to pora idealna na rozmowy, których nie sposób przeprowadzić w dzień, gdy światło ujawnia zbyt wiele emocji rysujących się na twarzach i obdziera słowa z nimbu tajemniczości.

— Więc co się stało, że zaczęła pani podejrzewać męża?

Lea Klonowska była w połowie swej opowieści. Przez ostatnie godziny dużo mówiła, aż zaschło jej w ustach. Wypiła trochę wina i wpatrywała się w półmisek przyozdobiony sałatą, szyjkami rakowymi i rydzami. Pulardy w sosie rakowym, nigdy czegoś takiego nie jadła. Co on, do licha, wymyślił? — zastanawiała się. Spojrzała Trichonowowi w oczy, chyba pierwszy raz bez lęku. Teraz już wiedziała, z kim ma do czynienia. Nie miała co do niego żadnych złudzeń, żadnych wątpliwości, że jest człowiekiem pozbawionym wiary w cokolwiek, skrajnym pesymistą, a jednak w wielu kwestiach stał po tej samej stronie co ona. Wytarła usta serwetką.

— Wtedy jeszcze go nie podejrzewałam — przyznała z uśmiechem, którym chciała usprawiedliwić swoją naiwność. — W 1901 roku po powrocie z Otwocka zajęłam się innymi sprawami, ale właściwie cały czas wyczuwałam, że Józef coś przede mną ukrywa, że w jego przeszłości jest jakiś defekt. Nigdy mi nie wyjaśnił, co się stało, ucinał wszelkie rozmowy na ten temat. W wielu sprawach mi ustępował, ale w tej jednej nie. Zgodził się nawet, żebym zrobiła praktykę w aptece, i przekonał do tego pomysłu Reutowicza, ale o swojej przeszłości nie chciał rozmawiać. Dałam więc spokój, w tym momencie nie wydawało mi się to ważne. Zajęłam się praktyką i laboratorium.

Wrzesień 1901 roku

Reutowicz uważał, że kobieta w aptece to dopust boży, kataklizm i katastrofa, zwłaszcza taka kobieta jak Lea — nieznaną swojego miejsca, niezdyscyplinowana, złośliwa i niemal prostacka — i nie ukrywał tego. Przepowiadał, że jeśli Lea zostanie przyjęta na praktykę, prestiż apteki może na tym ucierpieć, nie mówiąc już o prestiżu Józefa, który niepotrzebnie ulega zachciankom kapryśnej żony.

Józef znalazł się w niezręcznej sytuacji. Starał się przekonać przyjaciela, argumentując, że gdyby

praca w aptece była dla Lei tylko kaprysem, szybko jej się to znudzi.

— Dajże spokój, niech sama się przekona, czy się do tego nadaje. Jeśli nie, to po świętach przyjmę nowego ucznia — zapewniał przyjaciela ze szczerym spojrzeniem szarych oczu.

Reutowicz nie udawał, że popiera tego rodzaju eksperymenty, ale więcej nie protestował.

— Rób, jak uważasz, ostatecznie ty będziesz ją uczył — odparł i machnął ręką na wszystko. Wolał zająć się produkcją nowych leków, które przyniosłyby mu sławę i odpowiednie dochody, a także pozwoliłyby aptece wypłynąć na szerokie wody rynku farmaceutycznego.

Józef odetchnął i z końcem października zgłosił w Radzie Lekarskiej, że Lea będzie odbywała u niego praktykę uczniowską. Lea była z tego powodu niezmiernie dumna i podekscytowana, jakby dopuszczono ją do tajnego stowarzyszenia. Starła się nie zawieść Józefa. Co rano wkładała szarą skromną sukienkę i schodziła z nim do apteki, a on wyznaczał jej zadania i recepty do wykonania.

Początkowo robiła wszystko bez szemrania, chociaż uważała, że to poniżej jej umiejętności. Wydawało się jej, że już dużo wie i sporo potrafi; nieraz przygotowywała przeciw ziółka i mieszanki ziołowe, czasem proszki, i widziała, jak uczniowie robią maści, krople, a do tego słuchała wywodów Józefa, który wyjaśniał różne zawiłości aptecznej receptury. Nie protestowała jednak, gdy przydzielał jej takie banalne prace, każdy od tego zaczynał, mówiła sobie i znowu (tym razem jako praktykantka) fasowała tabletki, odważała przychodzące do apteki towary, rozlewała do flaszek płynną parafinę, olej rycynowy, terpentynę i oklejała flaszki. Pod nadzorem Józefa, a czasem i Tymona, przygotowywała proste leki, dopiero potem przyszła pora na złożone z kilku składników. Najpierw tylko je wykańczała. Polegało to na tym, że Józef, a czasem i Tymon, odważali główne składniki, a ona dodawała do tego odpowiednią ilość rozpuszczalnika albo lepszca, smalcu, wosku, lanoliny albo masła kakaowego, a potem wszystko mieszała i wyrabiała. Niekiedy musiała podgrzewać składniki na łaźni wodnej, częściej wyrabiała je w moździerz, rozcierając i ugniatając pistlem, aż powstawała jednorodna masa. Maści, mazidła i pasty przekładała do słoików szklanych lub porcelanowych albo do pudełek. Czopki, gałki, pigułki i wałeczki były trudniejsze do przygotowania, masę musiała podzielić na równe części i nadać im właściwą formę, okrągłą lub podłużną.

— Pani Leokadio, tu ma być sześćdziesiąt pigułek z kodeiną, a tu sto z arsenikiem — Tymon podał jej dwie recepty i wyjaśniał, jak trzeba je zrobić. — Rozetrze pani arsenik z odrobiną wody, doda sproszkowanej lukrecji i glicerynę. Potem doda pani drożdży i wody i zarobi to na masę — tłumaczył, spoglądając na nią z przepaszającym uśmiechem. Poprawił okulary na nosie; czuł się bardzo niezręcznie, że musi wydawać jej polecenia i pouczać. To było dla niego krępujące.

Lea skinęła głową i zabrała się do pracy, podwinęła rękawy szarej sukni, sięgnęła po moździerz, pod którym Tymon położył receptę, obliczyła ilości potrzebnych składników i przygotowała masę według wskazówek. Energicznie rozcierała ją w porcelanowym moździerz, potem wyłożyła ją na płytkę i za pomocą specjalnej deseczki zrobiła z niej cienki wałeczek. W końcu sięgnęła po metalową pigulnicę, płytkę z podziałką, którą przyłożyła do masy i odcisnęła, dzieląc ją na części. Z założenia miały być równe, ale jej nie wychodziły. To, co wydawało się dziecinne proste, kiedy stała z boku i przyglądała się, jak pracują inni, w praktyce okazało się nie takie łatwe do zrobienia. Z każdej części musiała zrobić małą kuleczkę, otoczyć ją w zarodnikach widłaka, żeby pigułki nie sklejały się ze sobą, i przenieść za pomocą karty (nie dotykając palcami) do pudełka. Zajęło jej to ponad pół godziny, a kiedy zamykała pudełko, wszystko jej się wysypało; pigułki jak pchły wyskoczyły na podłogę.

— A niech to! — zdenerwowała się.

Tymon pospieszył jej z pomocą i błyskawicznie zrobił wszystko od początku. Patrzyła na niego z prawdziwym podziwem.

— Panie Tymonie, jak pan to robi? Mnie to tak opornie idzie — przyznała zmartwiona, stojąc obok i patrząc, jak chłopak szybko i zręcznie wytacza równiutkie pigułki.

Znów się spieszył.

— To nic trudnego. Trochę wprawy i pani też wszystko będzie potrafiła zrobić — odparł skromnie. — Tylko proszę nie mówić prowizorowi, że pani pomagałam, bo będzie afera — dodał konspiracyjnym głosem.

— Nie musi mi pan tego mówić — zapewniła i spojrzała na niego z wdzięcznością.

Czopki nie były lepsze; kruszyły się, wychodziły nierówne. Józef niezadowolony kręcił głową.

— Lea, musisz to poprawić, mają być równe, zwarte i estetyczne — brał do ręki deseczkę i z wprawą mistrza pokazywał, jak uformować zwarty i równy kształt. Niekiedy dodawał: — Zważ, moja droga, że to forma zdecydowana, twarda, ma się rozpuścić dopiero w temperaturze ciała. Co innego maść — zamyślił się, szukając stosownego porównania, ale widocznie go nie znalazł, bo powiedział tylko: — Maść to zupełnie inna sprawa, nawet gdy ma w sobie trującą rtęć, musi być miękka i delikatna. A pasty to jeszcze co innego — tłumaczył jej obrazowo, tonem znawcy i gawędziarza.

Urozmaicając swoje wywody różnymi skojarzeniami, Józef wtajemniczał ją w apteczne sekrety. Mówił o niezgodnościach recepturowych, o substancjach niepokornych, ich sympatiach i antypatiach czy wręcz awersji, które sprawiały, że prosta z pozoru recepta była nie do wykonania. Mówił o truciznach, o arseniku, który w zależności od dawki może wzmacniać, leczyć lub zabijać. Opowiadał o substancjach żrących, mogących wypalić dziury nie tylko w sukni, ale i w przelyku czy żołądku; o ciałach wybuchowych, niebezpiecznych manipulacjach i połączeniach. Lea słuchała z pilnością dobrej, ale nieco wystraszonej uczennicy, która zdawała sobie sprawę, że przejść przez gąszcz chemicznych tajemnic zdoła tylko dobrze wydeptaną ścieżką. Mozolnie walczyła z pigułkami, mieszkankami i czopkami. Józef czasami załamywał ręce, ale starał się nie okazywać swojego zniecierpliwienia.

— Teoria nieźle, praktyka gorzej — oceniał, zastanawiając się, czy Lea rzeczywiście wytrwa przy swoim postanowieniu i przebrnie przez trzyletnią praktykę.

Przez jakiś czas Lea była tak zaaferowana sprawami apteki, że wakacyjne przeżycia przestały ją niepokoić. Wyparowały jej z głowy wraz ze słoneczną pogodą i końcem lata. Lecz gdy spotkała się z Marianną i zaczęły sobie opowiadać o letnisku, wszystko powróciło jak odbicie w lustrze, które odnajduje się, gdy tylko się do niego zajrzy.

W Ogrodzie Saskim widać już było zwiastuny jesieni; pożółkłe liście, dłuższe cienie, chłód ciągnący od ziemi i złotaworude przybrania na damskich kapeluszach. Siedziały w kawiarni, popijały kawę z miniaturowych filiżanek i jadły tort jabłkowy, a Lea słuchała relacji przyjaciółki, zapominając na moment o laboratorium i aptece.

— I co z tym dziennikarzem? — zapytała nagle Marianna.

Lea opowiedziała jej o wyjeździe do Otwocka i zwierzyła się ze swoich rozterek. Wspomniała o Janie i o Irenie, pomijając tylko pewne szczegóły, które wolała przemilczeć.

Marianna słuchała z rosnącym zaciekawieniem i apetytem. Na to konto zamówiła dodatkową porcję tortu.

— Pozwoliłaś, żeby jakaś tam pani Irena zajęła twoje miejsce?

Lea poruszyła gwałtownie głowę.

— Ona jest wolna, a ja nie. To jest zasadnicza różnica. Ja w ogóle nie powinnam z nim rozmawiać i zawracać mu głowy — przekonywała przyjaciółkę, starając się przy okazji przekonać i siebie.

Marianna zdecydowanym gestem odłożyła serwetkę i spojrzała na Leę niemal z oburzeniem.

— Ależ Lea, mówisz jak nasze babki! Uważasz, że nie masz prawa z nikim rozmawiać bez pozwolenia męża? Nie przesadzaj! To nie chodzi o nic zdrożnego, zwykła towarzyska pogawędka. Czasy się zmieniają, jest XX wiek, mamy sterowce, telefon i kinematograf, my też musimy coś robić, sięgać po nowe rzeczy, a nie zamykać się w domu.

— Ja sięgam po nowe — zauważyła Lea. Uniosła dumnie głowę, pokazując swój mało klasyczny profil; w tej chwili jej to nie przeszkadzało. — Zaczynam praktykę w aptece, a jak Towarzystwo Aptekarskie uruchomi kurs dla kobiet na pomocnika aptekarskiego, Józef pozwoli mi pójść. Już mi obiecał.

Marianna nie podzielała jej entuzjazmu. Lekko się skrzywiła i pokręciła głowę.

— Bardzo to pięknie, zostaniesz pomocnikiem aptekarskim, Lea, ale to jest nudne. Tylko mi

o tym nie opowiadaj, bardzo cię proszę — zastrzegła i zajęła się tortem. Po chwili zerknęła na Leę. — Co innego ten dziennikarz, on musi być interesujący, na pewno zna ciekawych ludzi, bywa w różnych miejscach. A ty zaprzepaściłaś taką znajomość. Rozczarowałaś mnie — dodała żartobliwie. — I nie udawaj, że ani trochę teraz nie żałujesz, że go tak odprawiłaś.

Lea spuściła wzrok i zapatrzyła się w fusy w filiżance. Jej milczenie mówiło samo za siebie.

— Wiesz — powiedziała Marianna podekscytowanym tonem — słyszałam, że dziennikarze spotykają się w kawiarni przy Koziej. Następnym razem musimy tam się wybrać, może go spotkamy.

— Nie po to skończyłam znajomość, żeby znowu zaczynać — odparła Lea i stanowczym ruchem naciągnęła rękawiczki, jakby chciała tym gestem podkreślić swoją determinację.

Była gotowa trzymać się tego postanowienia; mówiła sobie, że będzie rozsądna i poważna i nie pozwoli sobie na żadne ekscytacje, które bardzo utrudniają życie. Jednak w miarę upływu czasu i zmiany pogody, gdy w ciągu jednego dnia złota jesień została zalana depresyjnym deszczem, jej wewnętrzny opór zmalał.

W następny czwartek obie z Marianną zajrzały do kawiarni przy Koziej. Lokal był zatłoczony, wyglądał niezbyt elegancko, ale w zasadzie nie najgorzej. Ściany chlapnięte byle jak kanarkową farbą, niewygodne twarde krzesła i klimat czytelnicy sprawiały, że pijacy i pieniacze tam nie zaglądali. Cukiernia była raczej siedliskiem młodych ludzi o bladych z niewyspania twarzach, niedożywionych studentów i młodych literatów, którzy pograżali się w rozmowie, rozmyślaniach bądź lekturze i grzali sobie dłonie, trzymając w nich szklanki z grubego szkła, z których parowała rosyjska herbata.

Lea spojrzała na Mariannę i dodając sobie tym spojrzeniem odwagi, obie weszły do środka. Gazety zaszeleściły, czytelnicy rzucili wchodzącym paniom badawcze spojrzenia, a niektórzy schowali do kieszeni konspiracyjne ulotki — nieco przestarzałe, ale wciąż dostarczające odrobiny autentycznych wzruszeń — by po chwili, gdy nowe klientki zostały ocenione jako niegroźne, wyciągnąć je ponownie i odświeżyć wrażenia. Przy stoliku w kącie toczyła się zażarta literacka dyskusja, co i raz ktoś dowodził wyższości dzieł francuskich klasyków nad rosyjskimi lub odwrotnie. Lea z odrobiną niepokoju i zaciekawienia rozglądała się po zadymionej sali, przypatrując się młodym i starszym bywalcom, którzy być może na kawiarniane życie poświęcali więcej czasu i uwagi niż na studia, bo mimo wieku średniego nadal nosili studenckie kurtki i czapki. Oczywiście mogło to być tylko złudzenie optyczne, efekt gęstego tytoniowego dymu, który unosił się w powietrzu jak mgła i przydawał niektórym dojrzałości rysów. Wśród kawiarnianych gości Lea nie dostrzegła jednak tego jednego, którego chciała zobaczyć. Zmartwiła się tym, a jednocześnie poczuła ulgę, że jej rozsądek nie zostanie ponownie wystawiony na próbę. Chciała wyjść, ale Marianna stwierdziła, że mogą zostać i napić się herbaty.

— Nie jest tu zbyt wytwornie, ale chyba możemy zostać. Taka ekscytująca atmosfera — uznała z rozbijającym uśmiechem.

— Chyba możemy — zgodziła się Lea, rozglądając się za wolnym miejscem.

Usiadły przy niedużym stoliku przy oknie, wypity herbatę i zjadły po kawałku drożdżowego ciasta, nie zważając na to, że herbata nie jest najlepsza, a woń tytoniowego dymu pozostanie na ich włosach i ubraniu. Siedziały tam, zwlekając z wyjściem, które oznaczało klęskę ich poszukiwań. W końcu musiały wrócić do domu, zanurzyć się w zasłonej jesiennego deszczu, zimną i przenikliwą jak poczucie rozczarowania.

Józef wyczuł od Lei papierosowy dym i podejrzewał, że zaczęła palić.

— Ty palisz? — zapytał zdziwiony, pociągając czujnie niemałym nosem.

Podniosła na niego wzrok.

— Ja? Nie, skądże.

— To skąd ten zapach? Cała przesiąkłaś tytoniowym dymem.

Ściągnęła przemoczone trzewiki, postawiła je koło pieca i z niewinną miną odparła:

— Tylko się nie złość. Byłam z Marianną w kawiarni literackiej, tam jest aż gęsto od dymu — wytłumaczyła mu. — Wszyscy teraz palą.

Józef skrzywił się z niesmakiem.

— Że też ty lubisz chodzić w takie miejsca i jeszcze ciągniesz ze sobą doktorową. Mogłybyście

być rozsądniejsze; znajdźcie sobie jakąś inną, bardziej elegancką kawiarnię. I pamiętaj, że nie spodobałoby mi się, gdybyś zaczęła palić.

— Wcale nie zamierzam — mruknęła niezadowolona, że jest tak dociekliwy.

Palić mogli tylko mężczyźni, taki był porządek rzeczy i zasadniczo nie warto o tym dyskutować. Tak przynajmniej uważał Józef. Żadnej porządnej, znającej swoje miejsce kobiecie sięgnięcie po papierosa nie przysłoby do głowy. To było zachowanie arcywulgarnie. Ponieważ Józef miał jednak pewne wątpliwości co do swojej żony, której różne rzeczy przychodziły do głowy, dodawał, że mężczyźni od czasu do czasu potrzebują złagodzić swój ból istnienia albo porozmyślać w spokoju o marności życia, obserwując przy tym papierosowy dym, zwłaszcza z tych droższych, po rublu za paczkę; a jeszcze lepiej nadawały się do tych celów cygara. Sam palił rzadko, dla towarzystwa, najczęściej gdy rozmawiał z Reutowiczem o poważnych i nudnych sprawach. Wtedy wypalał dwa, trzy papierosy, przeważnie rosyjskie, niewyszukane, w białych bibułkach. Palił zwyczajnie, bez maniery i bez specjalnej przyjemności, nie zaciągał się mocno, trzymał papierosa między palcem wskazującym a środkowym, wypalając go niemal do końca. Nie uważał, żeby palenie podkreślało dojrzałość czy męskość. Męski był i bez tego, ale palił jak większość mężczyzn, chcąc na moment odciąć się od twardej rzeczywistości i spojrzeć na świat przez chmurę dymu.

Reutowicz wykazywał się większą fantazją, zaczynał od fajki zrobionej z korzenia jałowcowego, a potem palił tureckie cygaretki zawinięte w brązowe bibułki i lekko aromatyzowane goździkami, wkładał je do długiej szklanej fifki, zaciągał się i wypuszczał dym przez nos. Józef skrytykował go za to, oceniając, że to pretensjonalne, niedojrzałe. Reutowicz dojrzał więc do zwykłego palenia, ale gatunki papierosów zmieniał, dopasowywał do sytuacji, nastroju i pory roku. Czasem były to wytworne angielskie Burmfit & Radford z nutą drzewa wiśniowego albo miodu, które kupował pokątnie u jednego z hurtowników, innym razem sięgał po gruzińskie albo niemieckie. Palił dla fasonu i dla towarzystwa, męskiego oczywiście. Jeśli chodzi o palenie przez kobiety, był zdecydowanym przeciwnikiem.

Lea paliła bardzo rzadko, gdy Józef tego nie widział i gdy ktoś ją poczęstował. Nie lubiła zapachu marnego tytoniu, ale dla Jana była gotowa się poświęcić. Mimo że kawiarnia przy Koziej zawsze była zadymiona, w następny czwartek poszła tam z przyjaciółką, Jana jednak nie spotkały. Była zawiedziona i straciła nadzieję, że go jeszcze spotka. Jej nastrój dostosował się do jesiennej pogody, ponurej i rozmoczonej deszczem. Brakowało jej odrobiny zainteresowania, które Jan jej okazywał, jego żartów, miłego głosu i rozmów na różne dziwne nieraz tematy, ale bez pusto brzmiących frazesów i skrótów myślowych, jakimi zwykle częstuje się znajomych. Po kilku tygodniach dowiedziała się od Heleny, że Jan wyjechał do Lwowa, gdzie mieszka jego matka i stryj czy wuj, który — zdaje się — jest pastorem.

Lea zaniepokoiła się.

— Jak to pastorem?

Helena zerknęła na Leę, mrużąc swoje zielone oczy, w których pojawiło się zdziwienie.

— Jan jest ewangelikiem, nie wiedziałaś?

Lea pokręciła przecząco głową.

— Nie, nie miałam pojęcia.

Ta wiadomość zaskoczyła ją i zmartwiła. Jak on może być ewangelikiem!? Przecież to heretycy, innowiercy. Z niepokojem przypomniała sobie słowa ciotki Anastazji, która przy okazji nauki katechizmu ostrzegała ją przed niewłaściwymi znajomościami.

— Nie zadawaj się z takimi ludźmi — mówiła ciotka. — To grzech. Nie wierzą w Matkę Boską, ani Częstochowską, ani Ostrobramską, ani w żadną inną. Nie ma co się z nimi zadawać. Niech cię Pan Bóg broni, żebyś z kimś takim miała rozmawiać, rozumiesz? — Zerkała przy tym gniewnie na Leę. — Zaraz mętlik zrobią ci w głowie, a ty i tak mądrością nie grzeszysz. Ale nie każdy musi być od razu mądry; najważniejsze, żeby mieć czyste sumienie. A o sumienie trzeba dbać jak o bieliznę — dodawała przy okazji — zawsze musi być czysta, żeby wstydu nie było.

Tak twierdziła ciotka, która była osobą pobożną aż do przesady, bo jak mówiono, nawet do wygodki szła z książeczką do nabożeństwa. Ale Lea wiedziała, że to nieprawda, to nie była żadna książeczka, tylko zwykłe przepisy gospodarskie wycięte z „Gazety Rolniczej”. A w ogóle to było dawno

temu, kiedy Lea u niej zamieszkała. Z tych nauk pozostało jej dość mgliste pojęcie o ewangelikach. Nie wiedziała do końca, dlaczego nie wierzą w Matkę Boską. To niedorzeczne, do kogo jak do kogo, ale do niej zawsze można się zwrócić z prośbą jak do rodzonej matki albo kogoś w tym rodzaju. Widocznie oni nie poważają kobiet, wstrętnei, zapatrzeni w siebie heretycy, oburzyła się w duchu. Pomyślała o Janie i nie mogła uwierzyć, że on miałby być taki. Trochę już go poznała i nie spostrzegła, żeby jego zachowanie wskazywało na jakąś większą moralną czy duchową ułomność. Może niektóre kwestie traktował zbyt lekko, był wesoły, z poczuciem humoru, ale wyznanie nie miało tu nic do rzeczy. A może jednak?

Przy okazji czwartkowego spotkania Lea podzieliła się swoimi wątpliwościami z Marianną. Przyjaciółka pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Lea, nie gniewaj się, ale muszę ci powiedzieć, że czasami mnie zadziwiasz. Masz tak zaściankowe poglądy, że gorzej już nie można. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś opowiadał takie głupstwa. Uważam, że ewangelik może być tak samo porządny i uczciwy jak katolik — stwierdziła poważnie Marianna, a po chwili wahania dodała: — Chyba że jest socjalistą.

— Mój Boże, pan Jan nie jest socjalistą! — zaprzeczyła poruszona Lea i z tego wszystkiego odstawiła zbyt gwałtownie filiżankę z niedopitą kawą. — Inaczej mój kuzyn nigdy by się z nim nie przyjaźnił. Na pewno!

— Czyli nie ma się czym przejmować — odparła spokojnie Marianna.

Lea przestała więc zawracać sobie głowę różnicami wiary. Jana i tak nie było w Warszawie, i to przez jakiś czas był jej główny powód do zmartwień.

Coraz więcej czasu spędzała w aptece. Rano pomagała na recepturze, sprawdzała też, czy nie brakuje czegoś z leków gotowych i surowców, czy nie kończą się zapasy opakowań, różnej pojemności flaszek i słoików, opatrunków, wód mineralnych i lodu. Odnotowywała wszystkie braki i przekazywała swoje uwagi Józefowi. Musiała poznać aptekę od podszewki, tak twierdził.

— Powinnaś wiedzieć, jak funkcjonuje apteka, żebyś w razie potrzeby potrafiła wszystko zrobić, a przede wszystkim musisz wiedzieć, czego wymagać od innych — wykladał jej z namaszczeniem, odchylając się na krześle i obserwując ją spod oka. — To jest jak maszyna, wszystkie tryby muszą być sprawne, wtedy całość działa prawidłowo i przynosi korzyści.

Lea kiwała głową. Uważała, że zasadniczo jest to oczywiste, ale wszystko zależy od tego, kto jest tym trybem, a tryby się zmieniały. Uczniowie i pomocnicy przychodzili i odchodzili, zdawali egzaminy, sięgali po nowe stanowiska. Ona na razie była na samym dole tej hierarchii, bez szemrania zajmowała się więc myciem szkła laboratoryjnego, które powinno być czyste nie tylko „na oko”, ale i „naprawdę”. Dowiedziała się, co to jest woda królewska, a przy okazji wypaliła kilka dziur w sukience, i to takich, że musiała oddać ją do cerowania.

Po południu i wieczorami pomagała Józefowi w badaniach i tu mogła wykazać się lepszymi umiejętnościami niż w przygotowywaniu pigułek i maści. Miała znacznie większą wprawę w oglądaniu pod mikroskopem sproszkowanych ziół, korzeni i kwiatów. Wpatrywała się w nie z zaciekawieniem jak w kalejdoskop wyblakłych zielonych barw, mozaikę autentycznych lub oszukańczych drobinek, które tylko stwarzały pozory dobroci. Czasami jednak zastygała w bezruchu, zamyślała się i wtedy znów wydawało się jej, że siedzi z Janem w ogrodzie w Otwocku i słucha jego spokojnego głosu, a w trawach grają świerszcze, pachnie miętą i sosnowymi szyszkami na rozgrzanym igliwiu.

— Zobacz, to chyba coś mamy — Józef wrywał ją z zamyślenia. — Kora chinowa — mrucał pod nosem. — Zobacz, dali surową korę chinową zamiast johimbiny.

— Sprawdź jeszcze te — podał jej kolejne próbki.

Józef uczył ją, jak wychwycić zafałszowania i podróbki, ale nie zdradzał wszystkiego. Nie mówił, skąd pochodzą podejrzane leki. Lea przypuszczała, że część dostawał od Trichonowa, który skonfiskował podejrzane leki w jakimś warszawskim lub podwarszawskim składzie. Ale nie wszystkie; Józef miał i inne źródła, a nieraz sięgał też do swoich kolekcji falsyfikatów, nawet do tych sprzed lat,

z okresu wystawy, skrzętnie zebranych w pudłach i opisanych jakimś sobie tylko znanym kodem. Jego poszukiwania ciągle się rozrastały, aż zaprowadziły go na ocean oszukańczych działań, bezmiar kanciarstw, fałszywych leków, tajnych wytwórni, magazynów i składów, za którymi stali zwykli oszuści i przemytnicy, ale też fachowcy, chemicy i farmaceuci, bezwzględni i bezczelni w swoich poczynaniach.

— Ja do nich dotrę! — zapewniał, a jego oczy błyszczały jak w gorączce. Podrywał się wtedy z krzesła i krążył po laboratorium, spoglądając na probówki i kolbki. Sprawdzał powstałe osady i barwne odczyny, by jeszcze raz się upewnić, że oto właśnie ma do czynienia z kolejnym oszustwem. — Udowodnię, kto za tym stoi!

Jak chciał tego dokonać, nie zdradzał, ale twierdził, że każdy liczący się fałszerz ma swój indywidualny sposób podrabiania towarów, po którym można go rozpoznać. Porównywał fałszyfikaty, badał ich skład, obliczał procent szalbierskich dodatków i czuł, że jest blisko prawdy.

— To jest z tej samej wytwórni co papaweryna, którą podesłał mi Trichonow — mówił z ekscytacją, aż na jego twarzy rozpałały się rumieńce gniewu i musiał odpinać guzik koszuli z wysokim kołnierzykiem.

Lea chętnie mu pomagała. Długie godziny spędzała u jego boku w laboratorium, ale przez to mniej zajmowała się właściwą pracą w aptece.

— Zdążysz jeszcze wszystkiego się nauczyć, teraz jesteś mi potrzebna tutaj — mówił, podając jej kolejne paczuszki do sprawdzenia.

Coraz większą uwagę zwracał na preparaty chemiczne, w nich doszukiwał się najgorszych oszustw i przekrętów. I miał w tym sporo racji. Na warszawskim rynku zaczęły się pojawiać bardzo udatne fałszyfikaty leków, na oko nie do odróżnienia od oryginalnych, ale całkowicie pozbawione leczniczego działania. W niedługim czasie stało się to istną plagą. W prasie ukazywały się alarmujące komunikaty, w których ostrzegano o nowych szalbierstwach, głośno dyskutowano o problemie w Towarzystwie Aptekarskim, aż uznano, że jest to sprawa policji lekarskiej, a może nawet kryminalnej. A Józef czuł, że jest to jego sprawa, wręcz jego powołanie — on pomoże oczyścić świat z takich łajdactw. Z uporem psa gończego tropił fałszerzy i hurtowników sprzedających oszukańcze towary i przemykających oko na rzecz najważniejszą, czyli brak leczniczego działania takich produktów. Miał swoją teorię dotyczącą tego, kto za tym stoi. Z grubsza rzecz ujmując, byli to Izraelici, Niemcy, masoni i ewentualnie socjaliści; szczegółów nie ujawniał, być może omawiał je z Trichonowem, ale Lei nie wtajemniczał, bez przesady, nie mógł jej powierzać tajemnic tak znacznej wagi. To nie były sprawy dla kobiet. Powierzał jej natomiast coraz to nowe laboratoryjne zadania.

— Ja się na tym wcale nie znam. Zioła to co innego, ale preparaty chemiczne to nie dla mnie — mówiła, jakby chciała go ostrzec, że nie jest aż tak zdolna.

Józef jednak wierzył w nią, w jej zapał i upór.

— Nauczysz się, Lea, wszystkiego się nauczysz, a przy okazji mi pomożesz — dodawał uspokajającym tonem i ustawiał przed nią rzędy szklanych probówek, kolbek, zlewek, erlenmajerek i innego szkła laboratoryjnego o dziwnych kształtach i nazwach; wszystkiego, co jest niezbędne do chemicznych poszukiwań i wykrywania fałszerstw subtelnych lub grubych niczym prostacki żart.

Lea czuła, że jest mu to winna jako rekompensatę za czas wykradziony na rozmyślania o Janie, te minuty tuż przed zaśnięciem, których nie mogła się wyrzec, kiedy Jan pojawiał się przed jej oczami — beztrojski, młodzieńczy i kuszący, jak nie przymierzając słodczyce schowane pod szklanym kloszem. W ciągu dnia nie pozwalała sobie na taką swobodę wyobraźni. Zgłębiała tajniki chemicznych dochodzeń i słuchała szczegółowych wyjaśnień męża.

W miarę upływu czasu rozumiała coraz więcej, między innymi to, że nigdy nie będzie wiedziała tyle co Józef. Wzory chemiczne były dla niej całkowicie zbędnym wymysłem, oszukańczym jak popisy tresowanych pcheł. Tymczasem Józef uważał je za sam kwiat chemii, magiczne zaklęcie ujawniające zasadniczą naturę rzeczy.

Długie godziny przesiadywała w laboratorium i pod dyktando Józefa rozpuszczała, mieszała i wytrącała osady w dziesięciu odcieniach bieli, żółci albo czerwieni. Sprawdzała odczyn lakmusem i fenoloftaleiną, niemal żonglowała szklanymi probówkami. Niekiedy doznawała nawet lekkiego

olśnienia, przebłysku intuicji i na pierwszy rzut oka mogła powiedzieć: to zwykła kreda, koło piramidonu nawet nie leżała. Wtedy Józef podchodził, sprawdzał i spoglądał na nią z zadowoleniem.

— A widzisz, myszko, całkiem nieźle sobie radzisz — chwalił ją, gładził się z zadowoleniem po brodzie i zakładał kciuk za zapięcie wełnianej kamizelki.

Lea przypuszczała jednak, że Józefowi bardziej zależy na jej towarzystwie, cichym przytakiwaniu i wysłuchiwaniu jego wywodów niż na prawdziwej pomocy. Nie miała nic przeciwko temu, był dobrym i cierpliwym nauczycielem. Oczywiście dla niej nie był taki surowy jak dla uczniów, ale jakieś względy jej się należały.

Któregoś dnia Józef powiedział jednak, że musi pilnie wyjechać do Lublina. Nie byłoby w tym nic niepokojącego, gdyby nie to, że na czas jego wyjazdu opiekę nad uczniami przejął Reutowicz i zrobił to, jak się Lei wydawało, z błyskiem złości w oczach.

Reutowicz nie żałował jej słów krytyki. Pierwszego dnia jeszcze sobie darował, z obojętną miną patrzył na to, co robi Lea, i tylko raz zwrócił jej uwagę.

— Proszę się bardziej starać, ja nie będę tolerował takiego partactwa — powiedział ostrzegawczo, oglądając proszki, które jak na złość nie chciały jej się zmieścić w opłatkach.

Później zawsze potrafił się do czegoś przyczepić.

— Co to ma być? — mówił głośno, żeby pozostali pracownicy dobrze słyszeli. — Aptekarz robi około dwudziestu takich recept dziennie, a pani zмага się z jedną przez pół dnia i wygląda to okropnie — wziął pudełko z przygotowanym przez nią lekarstwem w dwa palce, niemal z obrzydzeniem i wyrzucił do kosza. — Masło kakaowe trzeba ostudzić, zanim doda się pozostałe składniki. Musi pani zrobić to jeszcze raz — popatrzył na nią z politowaniem, a potem spojrzął na swoje dłonie, czy przypadkiem się nie pobrudziły.

Ale to był tylko wstęp, więcej możliwości dał mu lek z liśćmi borówki mącznicy. To było kolejne zadanie Lei. Musiała sproszkować pół kilograma wysuszonych liści borówki. Wzięła duży moździerz, przesyłała do niego część liści i zaczęła je rozcierać. Szło jej bardzo opornie, liście były twarde i skórzaste.

Reutowicz przyszedł, zerknął i pokręcił z niezadowoleniem głową.

— W takim tempie do końca dnia pani tego nie zrobi.

Przyszło jej do głowy, że Szymon zrobiłby to o wiele szybciej, ma więcej siły, a ona mogłaby za niego zidentyfikować surowce, które Reutowicz dał mu do badania w ramach przygotowania do egzaminów. Zamienili się. Szymon, energiczny i wesoły chłopak, przypominał jej Filipa; zabrał się do sproszkowania liści, a ona zajęła się jego pracą. Ukroiła cieniutkie kawałki korzeni, rozkruszyła liście, kwiaty, krojła łodygi i nasiona. Położyła na szkiełku i przygotowała z nich preparaty, dodając krople parafiny i podgrzewając nad płomieniem palnika. Tak jak kiedyś uczył ją Józef, tak i ona starała się objaśnić Szymonowi obraz, który się ukazywał pod mikroskopem. Pokazywała bliźniacze włoski w koszyczkach pomornika i rumianku, piasek szczawianu wapnia w liściach pokrzyki, w korzeniu goryczki małe krople tłuszczu. Podpowiadała, gdzie są komory powietrzne, a gdzie szukać ziaren skrobi.

I wszystko poszło dobrze. Reutowicz pochwalił Szymona, że wreszcie udało mu się zrobić dobre preparaty.

— A pani Klonowska, jak na kobietę, też całkiem nieźle się spisała — ocenił zaskoczony, że sobie poradziła.

Zrobiło się jej głupio, ale trzeba sobie jakoś pomagać, cel uświęca środki, pomyślała.

Następnego dnia Reutowicz popatrzył na nich z podejrzanym błyskiem w oczach i powiedział:

— Dziś podwajamy stawkę, pani Klonowska kilogram liści do sproszkowania, a Szymon dwadzieścia surowców do identyfikacji.

Nie było mowy o żadnej zamianie, pilnował ich. Na początku Lei wydawało się to zabawne, uśmiechała się pod nosem i zawzięcie rozcierała liście. Kiedy porobiły jej się pęcherze na dłoniach, przestało ją to bawić. Szymon też się biedził nad identyfikacją, dłużej, kroił i niewiele mu wychodziło.

Reutowicz przyglądał im się z niewzruszoną miną; zapowiedział, że nie wyjdą, dopóki tego nie skończą. Było już dobrze po zamknięciu apteki, kiedy Lea stwierdziła, że ma dosyć.

— Nie robię tego więcej! — oświadczyła stanowczo i zdjęła fartuch.

— Rezygnuje pani? — zapytał, patrząc na nią z obojętnością kogoś, kto przeprowadza nudne doświadczenie i z góry wie, jaki będzie wynik.

— Na dziś tak — odparła, próbując zachować spokój. Była zmęczona, bolały ją ręce i kark od długiej monotonnej pracy.

— W takim razie jutro może pani tu nie przychodzić — jego głos był lodowaty, ciął jak zimowy wiatr. — Szymonowi mogę to jeszcze darować, ale pani powinna mieć więcej rozumu w głowie!

A potem usłyszała, że nigdy nie zgodziłby się na jej praktykę, gdyby Józef usilnie go o to nie prosił. Przez nią w aptece panuje bałagan i niezdrowa atmosfera, ona sieje zamieszanie, podważa jego decyzje, miesza się do nie swoich spraw.

— Nie wiem, jak mam z panią rozmawiać. Ostrzegałem, że nie będzie taryfy ulgowej, a pani zachowuje się gorzej niż uczniak.

— Chciałam mu pomóc — powiedziała ze skruszoną miną.

— Proszę się nie tłumaczyć!

Nie dał się przekonać, że resztę zrobią jutro. Lea zacisnęła zęby, włożyła fartuch z powrotem i zabrała się do pracy. Była zła na niego i na siebie, że dała się tak podejść. Przyglądał się jej z satysfakcją, a po paru minutach podszedł i powiedział:

— Gdyby pani chwilę pomyślała, użyłaby pani młynka do proszkowania.

Przymknęła na chwilę oczy, zacisnęła zęby i odetchnęła głęboko. Musiała się uspokoić, przełknąć słowa grube, nieeleganckie, ale adekwatne do sytuacji.

— Szkoda, że wcześniej mi pan o tym nie powiedział — zauważyła przytłumionym głosem.

Nigdy nie korzystała z młynka, nikt jej go nie pokazał, nawet nie wiedziała, że takie urządzenie jest w aptece. Józef do badań brał małe ilości ziół i rozcierał je ręcznie.

— Może mi pan pokazać, gdzie jest ten młynek? — zapytała, unikając jego wzroku.

— Nawet tego pani nie wie — burknął, ale pokazał jej młynek i zademonstrował, jak go obsługiwać, a w końcu, gdy spojrzał na jej pokryte pęcherzami dłonie, powiedział: — Niech już pani idzie, sam to zrobię.

Miała wielką ochotę iść, ale została i zmeła liście do końca. Nie zamierzała mu ustępować, w żadnym wypadku. Następnego dnia pracowała z Tymonem, a gdy przyszedł Reutowicz, starała się go ignorować, on jednak nie miał oporów, by ją zapytać:

— Jak dziś zapał do pracy, pani Klonowska?

Rzuciła mu spojrzenie godne bazyliuszka.

— Tylko bez zbędnych uwag, bardzo proszę.

Podał jej receptę.

— Mam dla pani coś specjalnego.

— Nie wątpię — odparła i spojrzała na receptę.

To była maść szara; kiedyś już robiła ją z Józefem. Ta miała nieco inny skład, ale Lea uznała, że zasada jest ta sama.

— Wie pani, jak to zrobić? Od czego pani zacznie? — zapytał, skupiając na chwilę wzrok na jej niespokojnej twarzy.

— Trzeba rozetrzeć rtęć z gliceryną — podała kolejne czynności, które powinna wykonać.

Mówiła szybko, nerwowo, jakby recytowała wiersz i bała się, że coś wyleci jej z głowy. Przyglądał jej się, jakby próbował odczytać jej słowa z ruchu warg i mimiki twarzy, a to jeszcze bardziej ją denerwowało.

— Dobrze, i spokojnie, to jeszcze nie egzamin — powiedział głosem pozbawionym emocji.

Kolejne były czopki z balsamem peruwiańskim.

— Balsam nie miesza się dobrze z masłem kakaowym — mówiła, wpatrując się w receptę. — Chyba trzeba jeszcze coś dodać albo podgrzać, nie jestem pewna — przyznała.

— Dobrze pani podejrzewa — przytaknął. — Trzeba dodać olej rycynowy i podgrzać. A co pani może powiedzieć o balsamie peruwiańskim? Słucham?

Czuła się jak w szkółce, stała przed nauczycielem i klepała wyuczoną lekcję.

— Drzewo balsamu peruwiańskiego rośnie w Peru i Meksyku... — powtórzyła to, co zapamiętała z opowieści Józefa, i miała nadzieję, że to mu wystarczy.

— No, dobrze. Coś tam pani wie — ocenił, zerkając jednocześnie na zegarek, który wyjął z kieszeni kamizelki. — I na koniec plaster z kantarydami, proszę bardzo — podał kolejną receptę.

Lea pokręciła głową.

— Nie, plastrów jeszcze nie robiłam. Wiem, że wosk trzeba stopić z żywicą, ale co dalej, kiedy dodać terpentynę, nie wiem — przyznała.

Nadal patrzył na nią, jakby był lekko znudzony.

— Przynajmniej wie pani, czego pani nie wie. Będę mógł panią czegoś nauczyć, oprócz korzystania z młynka oczywiście — stwierdził z ledwo dostrzegalną ironią.

Ta uwaga wystarczyła, żeby sprowadzić ją z obłoków samozadowolenia na ziemię.

— Zrozumiałam lekcję, panie Reutowicz — odpowiedziała z całą obojętnością, na jaką było ją stać. — I zapamiętam ją na długo. Może mi pan wierzyć.

Przyjął to obojętnie i wytłumaczył, jak powinna zrobić plaster.

— Zajmie to pani trochę czasu; dwie godziny musi pani ogrzewać składniki na łaźni wodnej, ale chyba nigdzie się pani nie spieszy? — dodał. — Gdyby pani czegoś nie wiedziała, proszę zapytać mnie albo pana Tymona.

I tak było codziennie, codziennie z coraz bardziej znudzoną miną wyznaczał jej chyba najgorsze recepty do zrobienia, w tym oczywiście duże ilości pigułek, a przy okazji pytał o różne rzeczy. Niezależnie od tego, czy umiała odpowiedzieć, czy nie, pozostawał obojętny na jej wysiłki, uniki i zdenerwowanie.

— Pana to nudzi? — zapytała, gdy objaśniał jej tablice, według których miała przeliczyć rozcieńczenie alkoholu.

Mówił konkretnie, pokazywał wyliczenia, ale wydawało się jej, że chce jak najszybciej skończyć i zająć się czymś innym.

— A jak pani myśli? — podniósł na nią wzrok. — Powiedzmy, że nie pasjonuję się tym tak jak Józef.

— Czym się pan w takim razie pasjonuje, jeśli można wiedzieć? Zafałszowaniami? Może bankietami? — zapytała, pozwalając sobie na drobną złośliwość.

— Oczywiście że bankietami, chyba nie ma pani co do tego wątpliwości — odparł całkiem poważnie i trudno było odgadnąć, czy żartuje, czy jest to jeden z tych bezczelnych przypływów szczerości, które od czasu do czasu go nachodziły.

Lea starała się odpowiedzieć w tym samym tonie.

— Wątpliwości nie mam. W zasadzie to mnie nie interesuje, ale gdyby pan mógł równie szczerze powiedzieć mi, co to było z tą wybitą szybą, byłabym panu wdzięczna.

Stał oparty o laboratoryjny stół, obracał w palcach świeżo zaostrzony ołówek i ważył słowa.

— Co pani powiedział Józef?

— Nic, o to chodzi, że nic konkretnego, że to przypadek, zdarzenie niepokojące, ale bez specjalnej przyczyny.

Uśmiechnął się kącikiem ust i błędził wzrokiem gdzieś po szafkach za jej plecami.

— I ja mam powiedzieć coś innego? Co by pani chciała usłyszeć?

— Zastanawiam się, czy nie stało się to podczas tego tajemniczego bankietu, o którym panowie milczą — rzuciła mu kontrolne spojrzenie.

Nawet nie mrugnął.

— Nie. Jest pani w błędzie, to stało się wcześniej — nie zagłębiał się w szczegóły.

— A może wybita szyba ma jakiś związek z badaniami Józefa? Jak pan sądzi?

Spojrzał na nią z przelotnym zainteresowaniem, a potem znów zrobił znudzoną minę.

— Może.

— Nie jest pan rozmowny — zauważyła i dodała pojednawczym tonem: — Józef powinien wrócić w sobotę. Może przyjdzie pan na obiad? Czy nadal jest pan na mnie śmiertelnie obrażony?

— Nie, nie jestem obrażony, ale nie przyjdę.

Wzruszyła ramionami.

— Rozumiem. Gdyby zmienił pan zdanie, będzie pan mile widziany. — Oczywiście było to grubą przesadą, ale starała się być uprzejma. Mimo wszystko.

Reutowicz zerknął na nią, jakby był zdziwiony, że nie wyraził się dostatecznie jasno i musi jeszcze coś powiedzieć.

— W każdym razie dziękuję, że mnie pani zaprasza — odparł po chwili milczenia, gdy Lea odwracała się do wyjścia.

Przyjdzie czy nie, to już jego sprawa, pomyślała, kiedy zniknął w biurze, zakopując się w książkach i gazetach. I tak nie jest najgorzej, tydzień jakoś minął, a on ma tego dość chyba bardziej niż ja, uznała i zatęskniła za Józefem — za jego opowieściami, wyjaśnieniami, w których nierzadko zapędzał się w piętrowe dygresje, i za rozmowami o sprawach zwykłych, nic nieznaczących, jak zapach świeżo zaparzonej herbaty albo kawy.

Kiedy Józef wrócił z Lublina, nie musiała już za nim tęsknić. Był na co dzień, wypełniał jej dni od rana do wieczora, systematycznie i dokładnie, według planu i bez ekscytacji; noce wyglądały bardzo podobnie. Lea szukała satysfakcji w zgłębianiu aptecznych receptur i zawłości badań laboratoryjnych, ale czasami dla równowagi ducha potrzebowała uzdrawiającej chwili niesubordynacji, złamania zakazów i wymogów przyzwoitości. Papieros wypalony pokątnie z Tymonem na podwórku za laboratorium dostarczał jej nieco grzesznego zadowolenia i odrobiny ryzyka, ale puls przyspieszał jej jeszcze bardziej na myśl o Janie. Nie widziała go niemal pół roku i usilnie starała się o nim zapomnieć. Był to proces trudny i długotrwały, a im dłużej nie widziała Jana, tym bardziej pragnęła go spotkać, choćby tylko na chwilę, przelotnie zamienić z nim kilka słów i usłyszeć jego ciepły głos, który działał na nią jak kieliszek likieru anyżowego. Chciała pochwycić jego wesołe spojrzenie, które łechtało ją aż w środku, w żywocie albo w dołku i nieco poniżej, gdzie jest twór nieokielznany i sprawiający tyle problemów, o których nie wypadało głośno mówić. Czego ja właściwie od niego chcę? Zastanawiała się, chociaż dobrze знаła odpowiedź na to pytanie. Drugie pytanie, które przychodziło jej do głowy, było o wiele trudniejsze, brzmiało mianowicie: co może mu dać? Z jej rozważań wynikało, że nie może mu dać ani miłości, ani nadziei czy obietnicy na miłość, ani nawet odrobiny szczęścia, jakie bywa udziałem kochanków. Nie miała do tego prawa. Ale gdy w marcu, całkiem jeszcze zimowym i mroźnym, zajrzała na Kozią, na kawę z kozuszką wypijaną zazwyczaj w gorzkiej samotności, i przy jednym ze stolików zobaczyła Jana, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Jan był trochę szczuplejszy, a w ciemnym zimowym płaszczu wydawał się jeszcze bardziej młodzieńczy, niż go zapamiętała z Otwocka. Rozmawiał z jakimś jegomościem o sumiastych wążach i rozmiarach grubej ryby. Odruchowo poprawiła fryzurę, zwilżyła wargi językiem, odetchnęła głęboko pełną piersią i wpatrywała się w Jana intensywnie, aż odwrócił głowę. Wstał, przeprosił znajomego i podszedł do niej; w jego ruchach był entuzjazm, może nawet radość.

— Co za spotkanie! — zawołał. — To oczywiście czysty przypadek, że pani tu zajrzała?

— Oczywiście — Lea też się uśmiechała, lekko, żeby za dużo sobie nie pomyślała. — Dawno pana nie widziałam.

— Dawno mnie tu nie było. Ale stęskniłem się za Warszawą i za panią — patrzył jej w oczy, które błyszczały teraz radosnym oczekiwaniem.

— Niech pan nie mówi głupstw — zaśmiała się speszona, zarumieniła się i sięgnęła po filiżankę z kawą, żeby zająć czymś ręce i ukryć zmieszanie.

On był spokojny, pewny siebie, zadowolony.

— Dla mnie to nie są głupstwa. Cieszę się, że panią widzę, naprawdę się cieszę, choćby miała

pani zaraz powiedzieć, że nie może mnie widywać.

Cały czas uśmiechała się do niego, zupełnie niepotrzebnie. Nie powinna robić nadziei ani jemu, ani sobie.

— Powinam tak powiedzieć, ale nie powiem. Niech pan lepiej się wytłumaczy, gdzie pan przepadł na tak długo.

Opowiadał jej o wizycie u stryja, która się przeciągała, bo musiał pewne rzeczy przemyśleć, zastanowić się nad swoim życiem, a stryj zapewnił mu całkiem znośne warunki i podsuwał fragmenty z Biblii, które miały naprowadzić bratanka na właściwą drogę.

Lea słuchała go, wpatrując się w jego niebieskie oczy, które teraz wydawały jej się piękne i spokojne jak letnie bezchmurne niebo.

— I co pan wymyślił? — spojrzała nieco kokieteryjnie.

— Że powinienem wrócić do Warszawy — odparł, jakby to było oczywiste.

To jej wystarczyło, dalej nie pytała, choć powodów, dla których Jan uznał swój powrót do Warszawy za ważny, mógł mieć bardzo wiele, ale ona wolała bawić się myślą, że wrócił dla niej.

— Co pan zamierza robić? Nadal pisać do gazety?

Plany pisarskie to był temat, o którym Jan mógł mówić do późna w nocy, a Lea chętnie by go słuchała dla samej przyjemności rozkoszowania się jego spokojnym, lekko upajającym głosem i patrzenia na niego.

Do tego trzymał ją za rękę i bawił się jej palcami.

— Ma pani takie małe dłonie jak u dziecka, jak u chłopca, który popała papierosy — dodał, widząc zażółcone opuszki palców.

Zawstydzona cofnęła rękę.

— Nie, to od kwasu, od odczynników, których używam w laboratorium.

Opowiedziała mu, czym się zajmuje w aptece, pochwaliła się, że oficjalnie jest uczennicą Józefa i rozpoczęła praktykę. A gdy tłumaczyła, jak wyglądają badania zafałszowanych leków i ile czasu muszą nieraz poświęcić ona i Józef, aby zidentyfikować jakąś substancję, czuła satysfakcję, że i ona coś może mu objaśnić.

Dla Jana nie był to całkiem obcy temat. O fałszywych lekach często pisano w prasie, bijąc na alarm. Lea rozbudziła jego ciekawość, a on potrafił słuchać. Czas mijał im błyskawicznie.

— Będę tu w następnym czwartek, przyjdzie pani? — zapytał, kiedy zjadła ostatniego lukrowanego pierniczka i zbierała się do wyjścia.

— Nie powinnam, ale postaram się przyjść — odpowiedziała i podała mu rękę na pożegnanie. Potem czuła na niej jego zapach, ożywczy i wesoły.

Chyba zwariowałam, przemknęło jej przez myśl, kiedy pospiesznie wracała do domu, prawie biegnąc przez plac Zamkowy. O tym, co by na to powiedziała ciotka Anastazja, nawet bała się pomyśleć. Tak nie można, mam trzydzieści cztery lata i już kilka siwych włosów, próbowała przemówić sobie do rozsądku. Potem powtarzała to sobie kilka razy na dzień i w nocy, wprawiając się w stan lekkiego rozstrojenia nerwów, które nie uszło uwadze Józefa.

— Źle się czujesz? — zapytał, kiedy nie mogła się skupić przy pracy. — Jesteś jakaś niespokojna.

— Nie, nic takiego, ale chciałabym, żeby zima już się skończyła. Wlecze się w tym roku i wlecze.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Jak robi się trochę cieplej, pojedziemy gdzieś za miasto — pocieszał ją jak zwykle, sam chyba nie wierząc w te obietnice.

A jej zrobiło się przykro, że tak łatwo dał się zwieść. Chciał jej ufać, wierzyć w każde jej słowo, nawet to fałszywe. Miała przez to wyrzuty sumienia, nieprzyjemne jak mdłości po przejedzeniu.

Marianna tak łatwo nie dała się oszukać. Kiedy w kolejny czwartek Lea zapowiedziała, że musi trochę wcześniej wrócić do domu, Marianna spojrzała na nią bacznie.

— Spotkałaś go?

A kiedy Lea milczała, Marianna niecierpliwiła się.

— No mów!

Lea opowiedziała przyjaciółce o spotkaniu z Janem, a Marianna stwierdziła, że to bardzo nierozsądne i ekscytujące zarazem.

— Nie powinnaś się z nim tam spotykać — dodała poważnie. — Ktoś może was zobaczyć i powiedzieć twojemu mężowi. Takie wieści łatwo się rozchodzą.

Lea posmutniała.

— Nie pomyślałam o tym — przyznała przygaszona i to niedopatrzenie było najlepszym dowodem na to, że straciła poczucie rzeczywistości.

Marianna zerknęła na nią spod rozłożystego kapelusza, który niedawno kupiła na Kruczej i który robił wrażenie; teraz kapelusz lekko się zbakierował, ale Marianna nie zauważyła tego, tak była przejęta sprawami przyjaciółki.

— Już o nic więcej nie będę pytała, ale proszę cię, bądź rozsądna i ostrożna — powiedziała, gdy rozstawały się na Krakowskim Przedmieściu przed wejściem do sklepu z porcelaną.

Lea kiwnęła jej głową i nie zerkając nawet na wystawę, która zazwyczaj podbijała jej serce, pobiegła na spotkanie na Kozią, energicznie stukając przy tym obcasami nowych trzewików. Kiedy weszła do cukierni i zobaczyła, że Jan już siedzi i czeka na nią, o wszystkim zapomniała, nic nie było ważne, tylko to, że jest blisko niego. Miała mu powiedzieć, że może mu poświęcić tylko chwilę, że spieszy się do domu i w ogóle nie powinna tu wstępować. Usiadła jednak i zaczęła z nim rozmawiać, a wtedy czas przestał mieć znaczenie. Mogłaby rozmawiać z nim o wszystkim i o niczym, słuchać go i patrzeć na niego jak w obraz. Wypiła dwie kawy i zjadła obeschnięty rogalik, zdążyła mu powiedzieć o pracy w aptece i laboratorium, ale to nie było ważne, nie tak jak muśnięcie jego dłoni, jak jego wzrok i tembr głosu, które sprawiały, że oddychała szybciej, a jej piersi pod fiołkowym zakietem falowały niespokojnie.

— Nie mogę się z panem widywać. Nie chcę być nieuczciwa wobec męża — powiedziała w końcu łamiącym się głosem i z niepokojem, który pogłębiał czern jej oczu. Nie mogła już przeciągać tych spotkań.

Położył rękę na jej dłoni.

— Lea, kiedy byłem u stryja, myślałem o pani i zastanawiałem się nad tym, co się ze mną dzieje.

— I co? Co pan wymyślił?

— Że nie mogę pani stracić — powiedział mocno i pewnie, jak przystało na młodego i pewnego siebie mężczyznę.

W jej spojrzeniu pojawił się smutek.

— Przecież pan wie, że to nierealne. Ja nie jestem wolna, nie dysponuję swoją osobą.

— Wiem, ale wiem też, że nie jestem pani obojętny.

Dotknęła dłonią czoła, jakby chciała je rozmasować, skupić myśli.

— I co mam panu powiedzieć? Zresztą czy słowa coś zmieniają? Przyszłam tu, żeby pana spotkać, to chyba coś znaczy. Narażam się, ktoś może nas zobaczyć, nie mogę więcej tu przychodzić, to zbyt ryzykowne.

— Możemy spotykać się gdzie indziej — odparł, jakby taka zmiana likwidowała wszystkie problemy.

— Tak, możemy, ale jaki to ma sens? — Popatrzyła na Jana bezradnie, nie chciała go stracić, za nic w świecie, ale nie widziała dobrego wyjścia z sytuacji. Cały czas zadawała sobie pytanie, jaka jest przed nimi przyszłość. Raczej żadna.

— Lea, czy wszystko musi mieć sens? A jaki sens ma trwanie w związku, który panią unieszczęśliwia?

— Ja nie jestem nieszczęśliwa! — zaprotestowała z przekonaniem. — Józef nie jest złym mężem, dużo mu zawdzięczam, ale... — nie dokończyła. Czuli, że nie może się na niego skarżyć, nie powinna mówić, jak niewiele wie o jego przeszłości, która wciąż ją niepokoi i powraca w ciemnych snach, a może i kryje się w cieniu sypialni, w komodach i kredensach. Teraz to już nie miało dla niej takiego znaczenia jak na początku małżeństwa. Przyzwyczyła się do myśli, że dla Józefa jest namiastką Sabiny, tej pięknej i z jakiegoś powodu nieszczęśliwej, a może i niezwyklej kobiety, której zdjęcie nadal tkwiło głęboko

ukryte w schowku pod szpulkami nici do haftu. Ale w głowie Lei, w najodleglejszym zakamarku jej pamięci, tkwiły też przestrogi usłyszane kiedyś u karmelitów, że skończy tak jak Sabina. Od czasu do czasu przypominała sobie o tym i z pewną dozą fatalizmu, który ją wówczas nawiedzał, myślała, że coś w tym może być. W historii Sabiny, którą знаła tylko ze skrawków i niedomówień, było coś niepokojącego, o czym nikt nie chciał jej powiedzieć.

Siedząc teraz w nieciekawej kawiarni, zapatrzyła się w Jana i choć jego oczy błyszczały urokliwie, miała właśnie chwilowy nawrót czarnowidztwa. Za oknem zbierały się czarne chmury, sypanął grad i ona spochmurniała. Może jestem na tej drodze, może bezwiednie powielam błędy Sabiny i skończę jak ona? Szybko odrzucała tę wizję od siebie. Nie, nie jestem pijaczką ani desperatką, potrafię zapanować nad namiętnościami, mam na to dość rozsądku, zapewniała się w myślach. A jednak czuła się bezradna, bo i jej sytuacja była beznadziejna; nie mogła się z nim spotykać i nie mogła go porzucić. Nie mogła powiedzieć, że więcej już się nie zobaczą, i wyjść jakby nigdy nic. Serce by jej pękło. Gorączkowo szukała jakiegoś rozwiązania i pomyślała, że Jan mógłby wyjaśnić, co właściwie stało się z Sabina. To byłby pretekst do dalszych spotkań. Jest dziennikarzem, na pewno wie, gdzie szukać informacji. To byłoby jakieś wyjście, pozwalające jej zachować odrobinę szacunku dla siebie. Złapała się tej myśli jak tonący brzytwy.

— Mógłby pan coś dla mnie zrobić? — zapytała, zastanawiając się, jak mu to wyjaśnić.

— Dla pani wszystko, co tylko w mojej mocy — zapewnił, znów dotykając delikatnie jej dłoni.

Nie cofnęła ręki; przez chwilę cieszyła się jego dotykiem; z trudem się powstrzymywała, żeby nie zacisnąć palców i nie okazać, jak bardzo pragnie jego bliskości.

— To może wydać się dziwne — zaczęła niepewnie i poprosiła, żeby odnalazł informacje o pierwszej żonie Józefa. — Nekrolog, jakaś notatka o śmierci. Na pewno pisali o tym w prasie, to było mniej więcej osiem lat temu, latem, a może na wiosnę, samobójstwo, może wypadek, nie wiem. Józef nie chce o tym mówić — tłumaczyła mu.

Jan był nieco zdziwiony jej prośbą, ale chętnie się zgodził.

— Poszukam — obiecywał.

To jej wystarczyło, żeby poczuć się lepiej, odprężyć, uśmiechnąć i zostać z nim jeszcze chwilę.

Coś ją jednak zaniepokoiło, niemiłe uczucie pojawiające się z tyłu głowy, jakby ktoś ją obserwował. Rozejrzała się niespokojnie. Zobaczyła go dwa stoliki dalej. Siedział przy oknie zasłonięty gazetą. Choć nie widziała jego twarzy, była pewna, że to Reutowicz.

— Boże — jęknęła. Szybko odwróciła głowę, jakby mogło ją to uratować od kompromitacji.

Jan spojrzał na nią zdziwiony i ściszył głos.

— Zna go pani?

Pochyliła głowę.

— Przyjaciel mojego męża. Gorzej być nie mogło. Z pewnością powtórzy mu, że mnie z panem widział — powiedziała zdenerwowana.

Jan nie bardzo się tym przejął.

— Powie pani, że spotkała mnie przypadkiem.

— I przypadkiem trzymał mnie pan za rękę. Wątpię, czy Józef uwierzy w takie przypadki — odparła ze zboląłą miną. Nerwowo potarła dłonią czoło. Czuła się jak spłoszone zwierzę, niepewne przyszłości i gotowe do ucieczki. Kątem oka obserwowała Reutowicza, a kiedy odłożył gazetę, zobaczyła, że się pomyliła. To był ktoś obcy, zupełnie jej nieznan i nawet do niego niepodobny, tyle że ubrany na czarno.

— To nie on — powiedziała z prawdziwą ulgą i niedowierzaniem, że mogła tak się omylić.

Jan się roześmiał.

— Strach ma wielkie oczy, widzi pani, nic się nie stało.

Dla niej było to jednak jak ostrzeżenie. Została jeszcze kilka minut, ale urok prysł, pękła mydlana bańka, która przez chwilę ich otaczała i pozwalała odciąć się od reszty świata, zapomnieć o codzienności. Obawa, że ktoś doniesie Józefowi o jej spotkaniach z Janem, popsowała jej humor. Nagle wszystko zobaczyła w ciemnych barwach, na stoliku dojrzała żółte plamy po herbacie, Jan był zbyt beztroski,

a ona stara i brzydka. Wszystko wydało jej się zbyt trudne, żeby mogło przetrwać.

— Muszę iść — powiedziała, wstając od stolika.

— Lea, niech pani nie będzie taka smutna, nic się nie stało. Niedługo się zobaczymy. Dwa tygodnie szybko przelecą. Postaram się zdobyć dla pani te informacje.

Umówili się na za dwa tygodnie.

— Ale nie tu — poprosiła Lea. — Gdzieś dalej, na uboczu.

— Dla mnie może być i na uboczu. Może na Foksal, tam jest taka zaciszna cukiernia.

— Dobrze, więc na Foksal za dwa tygodnie — odparła. — Jeśli nic się nie wydarzy — dodała, próbując mimo wszystko się uśmiechnąć.

Nie chciała, żeby Jan ją odprowadzał. Zerknęła w kąt, gdzie przed chwilą siedział jegomość z gazetą, ale już go nie było. Nic się nie stało, ale mogło się stać, pomyślała. Wychodząc, kupiła ciastka, żeby usprawiedliwić swą obecność w cukierni. Z paczuszką makowych paluszków ruszyła do domu. Był wieczór, na ulicy połyskiwały kałuże po niedawnym deszczu i odbijało się w nich chmurne niebo. Wracła z ciężkim sercem. Kiedy weszła w Piwną, zwolniła kroku, obawiając się spotkania z Józefem. Na złodzieju czapka gore, pomyślała.

W aptece panował spokój, Tymon z wystudiowaną miną zatroskanego eksperta próbował przekonać damę o niezawodności kropli eukaliptusowych na kaszel. Dama kręciła nosem, kropli już próbowała, może coś innego.

— Może cukierki ziołowe dla kaszlących i osłabionych z ekstraktem słodowym — zaproponował uprzejmie Tymon.

Lea przeszła dalej; Józef zajęty rachunkami siedział w biurze, nie zwracał na nią uwagi.

— Chodź na górę, kupiłam ciastka do herbaty — powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał lekko i zwyczajnie.

— Dobrze, zaraz przyjdę, tylko to dokończę — nawet nie podniósł na nią wzroku.

Długo czekała, a on nie przychodził. W końcu posłała Agatę, żeby przypomniawszy mu o kolacji. Agata wróciła w popłochu, wpadła do pokoju i od progu zaczęła mówić głosem pełnym emocji:

— Co tam się dzieje, psze pani! Niemożliwa awantura. Nigdy nie słyszałam, żeby nasz pan tak krzyczał.

— Co się dzieje?

— Kłóć się z panem Reutowiczem. Strasznie się kłóć — wystękała przestraszona Agata.

Pod Leą ugięły się nogi.

— Co ty mówisz?! O co się kłóć?

— Nie wiem, bałam się tam wejść, jeszcze i mnie by skrzyczeli.

— Słyszałaś coś?

Agata się zastanowiła.

— No, tak jakoś pan powiedział, że nie można tego darować, a pan Reutowicz, żeby dał spokój.

Lea nie przypominała sobie, żeby Józef kiedykolwiek kłócił się z Reutowiczem, musiałoby stać się coś niezwykłego. Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju. Czuła, że robi jej się gorąco. A może mnie widział w kawiarni z Janem? Nie, to niemożliwe, bez paniki.

Minął kwadrans, a Józefa wciąż nie było; coraz bardziej się niepokoiła. W końcu przyszedł, był wzburzony, nie mógł usiedzieć spokojnie, krążył po pokoju.

— Usiądź i uspokój się — przemawiała łagodnie, mimo że sama była niespokojna.

Gdy nieco ochłonął, zapytała, dlaczego pokłócił się z Reutowiczem, o co poszło. Nie odpowiedział; siedział zaaferowany, zapatrzył się w talerz z ciastkami i nadal przeżywał sprzeczkę.

— Co się stało? Nigdy się z nim nie sprzeczałeś — dopytywała się, coraz bardziej zaniepokojona jego ponurym milczeniem.

Nadal był wzburzony, trudno mu było mówić. Na jego twarzy dostrzegła kilka nowych zmarszczek, jakby przez kłótnię z przyjacielem postarzał się o parę lat.

— Nie rozumiem go — powiedział z gniewem. — Sądziłem, że będzie mnie wspierał, że razem to przeforsujemy, ale on woli chować głowę w piasek, zamieść wszystko pod dywan. Nie rozumiem, jak

tak może postępować! Nie rozumiem — pokręcił głową, jakby chciał odgonić zjadliwe owady.

— Uspokój się. Może mi powiesz, o co poszło? — skupiła na nim wzrok, żeby przywołać go do rzeczywistości.

Popatrzył na nią zniecierpliwiony, odetchnął ciężko kilka razy i powiedział, że poszło o fałszerstwa. On uważał, że powinno się podawać do publicznej wiadomości, co było zafałszowane i kto maczał w tym palce. Chciał ogłosić taką listę w prasie codziennej, łącznie z nazwiskami nieuczciwych sprzedawców, hurtowników i wytwórców. Zamierzał przedstawić swój projekt na zebraniu Towarzystwa Aptekarskiego, powiedział o tym Reutowiczowi, a ten kategorycznie się temu sprzeciwił, twierdząc, że to może godzić w interesy wytwórców i aptekarzy.

— Ale ja nie dbam o interesy oszustów, tylko o zdrowie zwykłych ludzi! Nikt mnie nie powstrzyma. Ogłoszę taką listę choćby na własną odpowiedzialność i własnym sumptem! — rąbnął pięścią w stół dla podkreślenia mocy swoich słów. Poderwał się z krzesła i znowu zaczął krząć po pokoju.

Nigdy nie widziała, żeby Józef był taki zdenerwowany. Ulżyło jej, że kłótnia nie miała z nią nic wspólnego i powód był zupełnie inny, ale z drugiej strony martwiła się, że tak to przeżywał. Próbowала go uspokoić, co przyniosło odwrotny efekt.

— Nie wiem, czy to rozsądne — powiedziała, przypominając sobie o wybitych szybach i sugestiach Leona.

— A co w tym jest nierozsądnego! — Teraz był zły na Leę, na cały świat. — Może mi to wytłumaczysz!

— Chodzi mi tylko o to, że będziesz miał kłopoty, mogą wytoczyć ci proces... — zaczęła ostrożnie.

— No proszę, nie przypuszczałem, że będziesz po jego stronie — spojrzał na nią niemal urażony. Namysliła się chwilę, nie chciała go jeszcze bardziej rozdrażnić.

— Jestem po twojej stronie — przekonywała go. — Martwię się o ciebie, nie chcę, żebyś narobił sobie kłopotów. Nie mówię, że masz zapomnieć o oszustwach, ale chyba nie musisz się sam narażać.

— Nie mam się czego obawiać! Racja jest po mojej stronie — odparł, rzucając jej groźne spojrzenie.

— Racja to nie wszystko. Nie wiesz, w jakich czasach żyjemy? Ważne są powiązania, znajomości. Nie możesz działać sam, powinieneś porozmawiać z kolegami z Towarzystwa, razem podjąć decyzję. Nie działaj pochopnie.

— Z Reutowiczem już rozmawiałem i to mi wystarczy! — znów się złościł.

— Złóścisz się, bo on się z tobą nie zgadza, ale Reutowicz to nie wszyscy. Porozmawiaj z innymi, z kimś, kto robi podobne badania. — Spojrzała mu w oczy i dodała: — Obiecuj mi, że nic nie zrobisz, dopóki nie porozmawiasz z innymi. Proszę — patrzyła na niego intensywnie, jakby chciała go zahipnotyzować. Uważała, że nie powinien sam ryzykować, bo jeśli podejrzenia Leona są prawdziwe, to nie wiadomo, co jeszcze może się przydarzyć.

Dopiero ta prośba podziałała na Józefa.

— Dobrze, dobrze. Nie musisz się o mnie martwić — odparł szorstko, ale wziął sobie jej słowa do serca.

Teraz odetchnęła z ulgą. Burza na razie zażegnana, pomyślała. Mogła znów bujać w kawiarnianych obłokach gęstych od czułych spojrzeń, dotyków i papierosowego dymu, a jednak nie potrafiła zapomnieć o ryzykownych pomysłach Józefa. Miała wrażenie, że coś wisi w powietrzu, że któreś z nich, a może oboje ściągają na siebie pioruny.

Reutowicz po trzech dniach milczenia pojawił się w aptece i nadal dyskutował z Józefem o ogłoszeniu w prasie spornej listy. Tylko to ich teraz zajmowało. Lea schodziła im z oczu; znikwała w laboratorium, udając, że ma masę rzeczy do zrobienia, ale miała nadzieję, że przyjaciel poskromi nadgorliwość Józefa.

Strach jednak pozostał, był jak niemiły zapach, którego nie można się pozbyć. Lea się obawiała, że Józef zaprze się i nie bacząc na konsekwencje ani jej prośby, opublikuje kontrowersyjną listę w prasie. Bała się też, że się dowie o jej spotkaniach z Janem, a jednocześnie nie mogła się ich doczekać. Gdyby miała większą jasność myślenia, na pewno straciłaby humor, ale na razie czuła się lekko oszołomiona, podekscytowana i była nieuważna. Dwa tygodnie, które dzieliły ją od spotkania z Janem, wydawały się dłuższe niż dwa miesiące, a kiedy w końcu przyszedł ten dzień, mimo że obiecywała sobie zachować rozsądek i trzymać się w ryzach, ruszyła na spotkanie jak niesiona na skrzydłach.

Dzień był zimny, padał deszcz i wiał porywisty wiatr. Pojechała tramwajem i była na miejscu trochę przed czasem. Przeszła kawałek ulicą Foksał, obejrzała fronton Pałacu Przędzieckich, na dachu którego przysiadły szare gołębie. Pomyślała, że to dobra wróżba, uśmiechnęła się, zawróciła i zatrzymała się przed kawiarnią. Zastanawiała się, czy wejść do środka, rozglądała się niepewnie dokoła, aż zobaczyła, że Jan nadchodzi z przeciwka. Przyglądała mu się z zadowoleniem; naprawdę dobrze się prezentował, głowę nosił dumnie podniesioną, chód miał sprężysty i energiczny. Tak chodzą ludzie wolni i zadowoleni z siebie, pomyślała. Józef chodzi zupełnie inaczej; jego kroki są ciężkie, jakby zawsze był zmęczony. To porównanie samo się jej nasunęło, nie chciała teraz myśleć o mężu. On był daleko, pochłonięty swoimi badaniami, a Jan tuż obok niej. Podała mu rękę na powitanie i weszli do kawiarni. Poprowadził ją w głąb lokalu, do jednego z okrągłych stolików niewidocznych z ulicy.

— Tu nikt nas nie wypatrzy — powiedział, odsuwając jej krzesło.

— Nie mówmy już o tym. Lepiej niech mi pan powie, czego się pan dowiedział o mojej poprzedniczce.

— Myślałem, że ucieszy panią mój widok i powie mi pani coś miłego, a pani tak od razu chce przejść do rzeczy ostatecznych — zażartował, próbując pochwycić jej spojrzenie. — Zaraz wszystko pani wyłożę.

— Może potem powiem panu coś miłego. Jak pan zasłuży — odparła tym samym lekkim tonem.

Rozejrzała się z zaciekawieniem zmaconym jedynie lekką obawą, czy aby nie dostrzeże kogoś znajomego. Lokal wydawał się cichy i zapomniany, miał kształt długiej wąskiej kiszki, sięgającej w głąb budynku, jak długa szuflada w kredensie. Jego specjalnością była kawa z kardamonem, której nikt nie zamawiał, bo kardamon był na wykończeniu, a pozostałości w metalowej puszcze mogły mieć tyle lat, ile jedna z leciwych sióstr prowadzących kawiarnię i przysypiających za kontuarem.

W głębi pomieszczenia stały stoliki bez serwetek, przy których rozgrywano partie szachów albo warcabów. Gracze palili rosyjskie papierosy i pili herbatę, niewiele rozmawiali. Stoliki bliżej wejścia były bardziej chybotliwe i niezdatne do gry, więc dla skompensowania tego mankamentu nakryto je białymi serwetkami robionymi na szydełku. Tam siedzieli ci, którzy czytali urzędowy „Warszawskij Dniownik” obfitujący w informacje o chimerycznych poczynaniach rządu, uchwałach i ukazach lub dla odmiany sięgali po „Kurier Warszawski” czy „Kurier Codzienny” i z zainteresowaniem śledzili dział wypadków, dostarczający szczypty pobudzającego niepokoju. Popijali przy tym kawę bez kardamonu albo wino.

— Prawie sami literaci. Niebywale zdolni, ale niedoceniani, tak jak ja — stwierdził Jan, wskazując głową bywalców kawiarni.

Ubrana w wiśniową suknię i biały fartuszek dziewczyna podała im kawę ze śmietanką i biszkopty. Kiedy odeszła, Lea ściszone głosem zapytała:

— Ogromnie jestem ciekawa, czego się pan dowiedział. Proszę mi wreszcie powiedzieć.

Spowaźniał i patrzył na nią bez uśmiechu.

— Lea, sprawa jest delikatna i pozwolę sobie powiedzieć, że nie dziwię się, że pani mąż nie chciał do niej wracać.

— Domyślam się. Coś niecoś słyszałam, w tym rzecz, że nie wiem, kto mówi prawdę. Czy to był wypadek, czy samobójstwo?

— Próba samobójcza — potwierdził. — Tak napisano w gazecie. To się wydarzyło latem 1891 roku. Znalazłem notatkę w „Kurierze” — sięgnął po notes i odczytał zdanie przepisane z gazety: — *W dniu wczorajszym (5 września) zamieszkała na Starym Mieście żona aptekarza, Sabina K. lat 22*

wyszła z domu i w przystępie obłędu skoczyła do Wisły w celach samobójczych. Nieszczęsną kobietę wyratowali od niechybnej zguby przewoźnicy — zakończył i dodał: — Tyle notatka. Kolejna pojawiła się po tygodniu, gdzie informowano, że kobieta zachorowała na zapalenie płuc, jej stan jest ciężki i została umieszczona w prywatnej klinice.

— Rozumiem — kiwnęła głową. — Nie podano powodów samobójstwa?

— Nie, wygląda na to, że nie było dalszego dochodzenia. Uznano, że to był przyptyw szaleństwa, ona sama też chyba nic nie wyjaśniła, może bliskim.

— A nekrolog?

— Nie znalazłem. Przejrzałem „Kuriera” do końca roku i nic nie znalazłem. Byłem też na cmentarzu Powązkowskim i Bródnowskim, sprawdzałem w księgach i tam na pewno jej nie pochowano. Może na Woli? Nie wiem. Mogę dalej szukać.

— Znalazł pan coś jeszcze?

— Tak. Sprawdziłem „Gazetę Lubelską”. Nekrologu nie było, ale przejrzałem kilka roczników wstecz i w 1886 roku informowano o ślubie Salomei, córki Arona Bekmanna z Józefem Klonowskim — zawiesił głos i podniósł na nią wzrok. — Wiedziała pani, że ona była Żydówką?

— Domyślałam się — pokiwała lekko głową i opowiedziała mu o znalezionym modlitewniku. — Mąż ani słowa o tym mi nie powiedział — dodała szybko. — Nie miał czym się chwalić.

— Trudno mu się dziwić. Z tego, co słyszałem, pani mąż nie darzy Izraelitów sympatią, może oprócz pierwszej żony. Nie wiem, czy jej ojciec dał się lubić, ale miał w Lublinie dobrze prosperujący skład apteczny i wytwórnię chemiczną. Dziewczyna zapewne dostała ładny posag.

Obruszyła się.

— Skąd pan wie? — popatrzyła na niego zaczepnie i zmarszczyła czoło.

Zamieszal łyżeczką w filiżance, odłożył ją na talerzyk i spojrzał na gości grających w szachy.

— Nie wiem, zgaduję. Była jedynaczką, rodzice pewnie nie pożałowali grosza, żeby zapewnić córce szczęśliwą przyszłość. — Upił kilka łyków kawy.

— Mogli nic nie dać, mogli uznać, że na to nie zasługuje, zmieniła przecież wyznanie.

— Mogli, ale podejrzewam, że wtedy pan Józef nie byłby taki chętny do ożenku.

Tym podejrzeniem Lea czuła się niemal urażona.

— Nic pan o tym nie wie!

Jan posmutniał i z zakłopotaniem poprawił okulary na nosie.

— Staralem się jak mogłem, myślałem, że to panią zainteresuje.

— Nie lubię, kiedy oczernia się kogoś bezpodstawnie.

— Może zbyt pochopnie wysnuwam wnioski, pani zapewne lepiej orientuje się w układach męża. Ale sama mnie pani prosiła, żebym znalazł jakieś informacje — tłumaczył się zaskoczony jej złym humorem.

— Tak, oczywiście. Przepraszam — odparła łagodniej, zamieszała kawę i przez chwilę wpatrywała się w blade kręgi pianki, które wirowały na powierzchni płynu. — Przepraszam, zdaję sobie sprawę, że tak mogło być, ale to zupełnie inaczej się przedstawia, kiedy ktoś potwierdzi podejrzenia — przyznała skruszona.

— To tylko przypuszczenie — powiedział uspokajającym tonem. — I jeszcze coś, w tej lubelskiej gazecie też nie znalazłem jej nekrologu. Jeśli pani chce, mogę dalej szukać.

Zamyśliła się i obrysowała paznokciem wzór na serwecie. Listek albo kłos, cokolwiek to było, na moment skupiło jej uwagę i zmieniło środek ciężkości jej myśli.

— Nie wiem, czy chcę wiedzieć. Chyba nie — przyznała. — To już nie ma znaczenia, dowiedziałam się wystarczająco dużo, a że nie było nekrologu czy kondolencji, może to nie takie dziwne, może Józef po prostu nie chciał.

— Więc zostawmy tę sprawę. Lepiej pomówmy o świętach. Spotkamy się u Heleny i Leona?

Przez chwilę rozmawiali o zbliżającej się Wielkanocy. Lea odzyskała dobry humor, piła powoli kawę, wpatrywała się w Jana i słuchała jego głosu, gdy opowiadał, że pisze teraz o premierze w Teatrze Rozmaitości i o zbliżającym się otwarciu sezonu na wyścigach.

— Pana to wszystko interesuje? — zagadnęła.

— Lepsze to niż polityka, gdzie nikt nie może powiedzieć, co naprawdę myśli.

— Chyba nie jest pan socjalistą? — zaniepokoiła się, przypominając sobie rozmowę z Marianną.

— Przeszkadzałoby to pani? Nie chciałaby pani się ze mną spotykać? — zaśmiał się. — To mogłoby dodawać pikanterii.

Zarumieniła się.

— Pan ze mnie żartuje?

— Trochę. Próbuje panią rozbawić — przyznał z zadowoloną miną. — A pani? Co pani wie o socjalistach?

Wytrzeszczyła na niego oczy.

— Nie mam o nich zielonego pojęcia. Interesują mnie jeszcze mniej niż wyścigi.

— Zdaje się pani na opinię męża? — zapytał, przyglądając się jej poważnie.

Zbił ją z tropu, nie tak wyobrażała sobie to spotkanie. Miał jej mówić miłe słowa, uśmiechać się, wpatrywać się jej w oczy. Jestem niemądra, pomyślała. Zawracam mu głowę i sama nie wiem, czy chcę, żeby mnie traktował jak kogoś zdolnego do dyskusji, czy jak głupiutką kobietkę. Ale mógłby się trochę postarać.

— Chyba rzeczywiście nie zasłuży pan dziś na dobre słowo. Niech pan opowie coś interesującego, bo inaczej pójdę sobie do domu.

— Nie może pani tak odejść, nie będę mógł przestać o pani myśleć, nie będę mógł przez panią spać. Mieszkam tu niedaleko...

— Nie — przerwała mu, kładąc dłoń na jego ręce. — Nie mogę.

— Myśli pani, że nie próbowałem o pani zapomnieć? Dlatego pojechałem do wuja, ale to nie pomogło. Lea, przecież pani wie, co się ze mną dzieje, kiedy jest pani blisko. Nie mogę się oprzeć, żeby pani choć nie dotknąć — ściszył głos.

Pochyliła głowę, żeby go lepiej słyszeć. Na policzku czuła jego gorący oddech, wszystko zawirowało jej przed oczami.

— Wiem — odparła, z trudem zbierając myśli. Nie mogła przyznać, że czuje się podobnie. Józef nigdy nie wzbudzał w niej takich emocji. — Nie powinnam w ogóle się z panem spotykać — powtarzała, a on coraz mocniej ścisnął jej dłoń. — Niech pan będzie grzecznym chłopcem i zachowuje się przyzwoicie. Proszę — wyszeptwała, chociaż jej oczy mówiły co innego.

— Niech pani przynajmniej spotka się ze mną za tydzień.

— Nie, nie mogę — odparła szybko i zaraz zmieniła zdanie. — Dobrze, ale tylko na pół godziny. Teraz muszę już iść. — Wiedziała, że jeszcze chwila, a będzie gotowa pójść z nim nawet do jego mieszkania.

Wyszli razem. Szedł obok niej milczący. Kiedy mijali kamienicę z bramą ozdobioną kutymi rozetkami, powiedział:

— Tu mieszkam.

— Więc tu się pożegnajmy. Do widzenia — jej głos brzmiał niezdecydowanie, jej ciało mówiło coś innego.

— Wejdz na chwilę. Tylko na chwilę, chcę cię pocałować.

— Nie, nie mogę — powiedziała. Chciała odejść, ale wiedziona jakimś wewnętrznym nakazem weszła za nim do bramy i pozwoliła, żeby przyciągnął ją do siebie i całował. To było szaleństwo, smakowała je każdym zmysłem, każdą cząstką ciała, ale gdy usłyszała zbliżające się kroki, odsunęła się od niego gwałtownie. Szybko poprawiła płaszcz i kapelusz, i wybiegła na ulicę, nie oglądając się już na niego. Do domu wróciła pieszo; próbowała ochłoniąć, ale wciąż była rozgorączkowana. Nie zwracała uwagi na deszcz i przejmujący zimny wiatr. Kiedy weszła do apteki, Józef obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

— Lea, cała przemokłaś i przemarzyłaś. Jeszcze się rozchorujesz. Gdzie ty w ogóle byłaś?

— Nic mi nie będzie, to już prawie wiosna — odparła beztrzesko. — Byłam w Ogrodzie Saskim. Dopiero w nocy uświadomiła sobie, że była o krok od zrobienia głupstwa. Gorączkowo myślała,

co będzie dalej, jak z tego wybrnie. Ogarnęło ją przerażenie, że wplątała się w taką historię, która nie może się dobrze skończyć. Nie jestem ani rozsądna, ani nawet porządna, wyrzucała sobie, łykając słone łzy, których nie mogła głośno wypłakać. Może nigdy taka nie byłam.

Największym skarbem kobiety jest cnota czystości, czysta dusza i czyste serce, nie mówiąc już o ciele — Lea przypominała sobie słowa ciotki Anastazji. — Uważaj, żeby tego nie stracić, bo czystość jest jak porcelana: niby można skleić, ale to już nie to, nie ma wartości, dźwięczy fałszywie. I to była święta racja, ale Lea przypomniała sobie o tym zbyt późno. Cierpiała teraz podwójnie, a może i potrójnie; serce pękało jej z żalu, ciało usychało z tęsknoty, a dusza wydawała się przetrącona, a wszystko przez Jana.

— No i widzisz, rozchorowałaś się — stwierdził Józef, przykładając dłoń do jej rozpalonego czoła. — Zostań dziś w łóżku, nie wstawaj. Powiem Agacie, żeby naparzyła ci kwiatu lipowego.

Przez kilka dni Lea siedziała w domu; Józef kurował ją naparem lipowym i miksturą przeciwgorączkową, nacierał jej stopy maścią kamforową, aż czuła miłe ciepło. Uśmiechała się do niego niepewnie, ale wiedziała, że potrzebuje czegoś innego. Kazała Agacie naparzyć białej koniczyny i macierzanki, które oczyszczają kobiece ciało z nadmiaru złych materii zalewających umysł falą pożądania. Księżyc się obróci i wszystko się uładzi, myślała, ale naturze trzeba pomóc. Nie mogła czekać na księżyc, była zbyt niespokojna, za bardzo rozpalona. A kiedy macierzanka nie pomagała, sięgnęła po bardziej radykalny środek; napiła się naparu z piołunu, którego gorycz — według jej babki i ciotki — miała łagodzić wszelkie kobiece dolegliwości ciała, duszy i serca i dawać zapomnienie.

Agata nic nie mówiła, ale głupia nie była i swoje wiedziała. W końcu nie wytrzymała i widząc, że Lea chwyta się coraz to nowych sposobów na złagodzenie swego bólu, mruknęła pod nosem.

— Że też trafił się pani taki mąż, co zaczął, a skończyć nie może.

— Już ty się nie wymądrzaj! — zgromiła ją Lea.

— Przecież nic nie mówię — odparła, podając Lei kolejną filiżankę ziół. — A panina ciotka, świeć Panie nad jej duszą, mądra kobieta była, wiedziała, co komu potrzeba. Pijawki by pani kazała na brzuch przystawić, bo na takie rozgorączkowanie to najlepsze lekarstwo.

— Ale ciotki nie ma i sama muszę sobie radzić — ucięła Lea i znowu piła piołun.

Józef marszczył brwi.

— Dlaczego pijesz piołun? Mówiłem ci, że to jest na żołądek.

— Ty wiesz swoje, a ja swoje — odparła. — Najważniejsze, że mi pomaga.

— Oj, Lea, Lea, czasami jesteś uparta jak osioł — kręcił z niezadowoleniem głową. Położył jej dłoń na czole i sprawdził, czy nie ma gorączki. — Znowu jesteś rozpalona i kaszlesz. Gdybyś się mnie słuchała, już by ci przeszło.

Teraz miała czas na rozmyślanie. Jak to się skończy? — pytała samą siebie i wciąż nie znajdowała dobrej odpowiedzi. Może Jan znajdzie znów jakąś Irenę, która nie będzie miała żadnych zobowiązań? Może straci do mnie cierpliwość i wyjedzie? Albo ktoś powie o nim Józefowi. I co wtedy? W którąkolwiek stronę spojrzęła, żadna z perspektyw nie była zadowalająca. Chciała na chwilę zapomnieć o Janie, próbowała czytać książkę, ale nie mogła się skupić. Rozmyślała o nim, potem o Józefie; mówiła sobie, że go zawiodła, zapewne spodziewał się po niej czegoś innego. Na koniec rozmyślań pojawiała się Sabina, jakby stała tuż za Józefem, w jego cieniu, niewidoczna, a jednak nadal obecna, domagająca się uwagi. Teraz, gdy minęła pierwsza fala gorączki, Lea mogła się zastanowić nad informacjami przekazanymi jej przez Jana, które zamiast rozjaśnić jej w głowie, nasuwały nowe pytania. Dlaczego Józef nie zamieścił nekrologu? Miał problemy z pogrzebem samobójczyni, a może pochował ją gdzie indziej? Nagle przypomniała sobie Chabrowską, jej pełne złości słowa: Zapytaj go, gdzie ją pochował. Tak wtedy powiedziała, niczego nie wyjaśniając, a tylko mącąc ciemną wodę i rzucając podejrzenia. Wzdrygnęła się. Jakie to może mieć teraz znaczenie? To nie moja sprawa, przemawiała sobie do rozsądku, ale z jej rozsądkiem ostatnio nie było najlepiej i w historii Sabiny nadal coś ją niepokoiło.

Któregoś przedpołudnia, gdy Józef wybrał się do Banku Kredytowego, wyciągnęła ze schowka zawiniątko ze zdjęciem Sabiny i paczkę listów. Wcześniej do nich nie zaglądała; uważała, że nie wypada czytać cudzej korespondencji, ale teraz pomyślała, że może rzucić na nie okiem. Najwięcej listów było od matki Sabiny; na lekko pożółkłych kartkach eleganckiego papieru listowego zamasztyłym pismem pełnym zawijasów, utajnionych westchnień i łez użalała się nad sobą, zawiedzioną matką, i nad biedną Sabiną (którą chyba coś opętało, że wdała się w taką awanturę). O Józefie wyrażała się jak najgorzej. *Jemu zależy tylko na pieniądzach*, pisała, *nie wiem, jak twój ojciec mógł się na to zgodzić, nic przez to nie zyskał. Jakie interesy można mieć z człowiekiem, który nie zaprasza cię do domu? Ta cała apteka nie jest tego warta, twojego poświęcenia i rozłąki.* Kobieta podejrzewała, że Józef wywiózł Sabinę do Warszawy, bo wstydzi się teściów. Lea nie była tym zaskoczona, już o tym słyszała, wprawdzie w półśłówkach i między wierszami, ale reszty łatwo się mogła domyślić.

Oprócz listów od matki były też inne. Kilka kartek napisanych innym charakterem pisma, drobnym i oszczędnym w formie. Te nie miały stempla pocztowego, Lea przyjrzała im się uważniej. To były raczej liściki z informacją o miejscu i czasie spotkania. *Jutro o 11 u mnie*, odczytała na jednym. Kolejne były podobne, zmieniała się tylko wyznaczona godzina spotkania. Jeden był bardziej znaczący: *Proszę do mnie więcej nie pisać, nie zamierzam się z Panią spotykać*, napisał ktoś i podpisał się inicjałem W. I coś mówiło Lei, że to był mężczyzna. Zdecydowana męska odmowa, kilka słów i to wszystko. Nie było nawet daty.

Ja też powinnam tak zrobić, zdecydowanie odmówić Janowi, ale nie potrafię. I nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Jan mi tak napisał. To by bolało, bardzo. Sabinę też musiało boleć, może dlatego piła i chciała się utopić? A Józef wiedział o tym, domyślał się, zastanawiała się, starannie składając listy. A może się mylę, ten list mógł dotyczyć zupełnie czegoś innego, nie powinnam sądzić jej podług siebie. Myśli przelatywały jej przez głowę jak porywisty jesienny wiatr; były wśród nich i takie, które podpowiadały, że mimo ostrzeżeń bezwiednie kroczy śladami Sabiny, zmierza w tym samym kierunku.

Wielkanoc zapachniała hiacyntami. Józef kupił tuzin białych i różowych kwiatów. Pąki ledwo się rozchylały, były świeże i soczyste jak wiosenna łąka. Lea poczuła się lepiej, jakby ich zapach dodał jej siłę; wyzbyła się złych humorów, gorączki i przykrych myśli. Ustawiła kwiaty w porcelanowych salaterkach i udekorowała nimi stół i kredens. Agata z Jaszową robiły porządki, pachniało pastą do podłogi, świeżo upranymi firankami, ale hiacynty przebiły wszystko, pobudzały zmysły i wyobraźnię. Cieszyła się nimi bardziej niż wybornymi parzonymi babami z rodzynkami i skórką pomarańczową, które w tym roku udały się tak pięknie, że bez wstydu mogła poczęstować nimi pracowników apteki, a najładniejszą zawieźć do kuzynostwa.

To była dla niej ważna wizyta; po paru tygodniach przerwy znów spotkała Jana. Nie miała sposobności porozmawiać z nim sam na sam, ale już jego widok sprawił, że czuła się szczęśliwa. Gdy Józef zanudzał wszystkich opowieściami o oszustach i upadku dobrego polskiego handlu, gdy rzucał gromy nawet na polskich kupców i dostawców, których podejrzewał o znowę, krwiopijstwo, głupotę i inne niewybaczalne grzechy, ona spoglądała na Jana, raz czy dwa razy zatapiając się w jego spojrzeniu, i obserwowała refleksy słońca na złotych oprawkach jego okularów.

Kiedy na stole pojawiły się ciasta i słodkie wino, a tematy rozmów nabrały lekkości, Jan, jak zwykle pogodny i spokojny, zaproponował, aby w maju wszyscy wybrali się na Dynasy na wyścigi cyklistów. Twierdził, że takiego wydarzenia nie można przegapić; przyjadą najlepsi zawodnicy, nawet z zagranicy. Koniecznie trzeba zobaczyć takie emocjonujące zmagania, dodawał ze sportowym entuzjazmem. Leon podchwycił pomysł, ale Józef zupełnie nie rozumiał, jak można marnować czas na takie głupstwa.

— Pan wybaczy, to nie dla mnie — oświadczył, podnosząc białą serwetkę do ust. — Ja jestem człowiekiem poważnym — dodał, jakby to wszystko wyjaśniało.

Lea spojrzała na Józefa z bladym uśmiechem. Wiedziała, że nie da się go namówić na wyścigi i wcale się tym nie zmartwiła, miała na ten temat własne zdanie.

— Trzeba wiedzieć, co się dzieje w Warszawie, a nie tylko w aptece — powiedziała odważnie, dumnie unosząc głowę i pokazując wszystkim swój nieklasyczny profil.

Pomyślała, że wybierze się z Marianną, a na miejscu spotkają się z Leonem, Heleną i Janem. Podczas choroby zdecydowała wprawdzie, że nie będzie się więcej z nim spotykała, ale co innego przypadkowe spotkania albo takie w większym gronie, w tym nie mogło być nic niewłaściwego. Trzeba się cieszyć z tego, co przynosi los, a nawet trochę go wspierać, jeśli los nie bardzo chce nam pomagać. Miała również dalsze plany; w czasie wakacji mogłaby wyjechać na lotnisko z Heleną, a Jan mógłby przyjechać tam na kilka dni. To oczywiście byłby przypadek albo zrządzenie losu i tego nie zamierzała unikać, ale regularne spotkania to było coś nierozsądnego, a nawet nieprzyzwoitego. Wiedziała, że to nie może się powtórzyć, za bardzo przeżywała te wspólne chwile, czuła się jak na huśtawce rozchybotanej między euforią a rozpaczą. Nie chciała też oszukiwać Józefa, nie zasługiwał na to.

Ale wyścigi to inna sprawa. Nie wybierała się tam po kryjomu, nie robiła z tego tajemnicy, dla czystości sumienia próbowała nawet przekonać Józefa, żeby z nią poszedł. On nie miał na to najmniejszej ochoty, powiedział natomiast, że Reutowicz był zainteresowany wyścigami.

— Mógłby ci towarzyszyć — dodał z błyskiem rozbawienia w oczach.

Zdecydowanie odrzuciła tę propozycję.

— A co to za pomysł? — prychnęła. — Idę z Marianną, spotkamy się z Heleną i Leonem i przyjdzie pan Fiszer. Twój przyjaciel nie jest tam potrzebny. On nigdy się nawet nie uśmiechnie, zupełnie nie ma poczucia humoru.

— Przynajmniej nie robi wrażenia lekkoducha, jak ten dziennikarz — odrzekł Józef, patrząc na nią spod oka.

Lea prychnęła pogardliwie.

— Daleko mu do tego, wygląda jak zabłąkany uczestnik pogrzebu. Od śmierci żony chodzi chyba w tym samym ubraniu, aż dziw, że wszystkich klientów z apteki nie wystraszył. I jeszcze taki zarośnięty, zupełnie jak pop — skrytykowała go z pełną satysfakcją.

Józef skubnął swoją brodę. Popatrzył przed siebie i sprawdził, czy słoje z odczynnikami są na miejscu, po czym przeniósł wzrok na Leę.

— Masz rację, kobiece oko zawsze dostrzeże takie rzeczy. Masz całkowitą rację, wygląda nie najlepiej. Powiem mu.

— Ty w ogóle rozmawiasz z nim o czymś innym niż apteka?

— Zdarza się. A co ty myślisz, że już nic innego mnie nie interesuje? — zaśmiał się, zaskoczony jej pytaniami. — Wincent też nie jest takim nudziarzem, jak ci się wydaje.

Lea usiadła na wysokim taborecie koło stołu laboratoryjnego i wpatrywała się w czubek swojego buta.

Reutowicza znała od kilku lat, od przyjazdu do Warszawy, ale niewiele o nim wiedziała. Potrafiłaby powiedzieć o nim chyba tylko to, że jest irytujący i niemiły i dobrze się z tym czuje.

— Pije? — zgadywała.

— Nie. W każdym razie nie więcej niż inni. — Spojrzał na nią czujnie. — Dlaczego pytasz? Nagle się nim interesujesz?

— Wydaje się dziwny — zastanawiała się, czy „dziwny” to dobre słowo. — Jeszcze nie pogodził się ze śmiercią żony?

Józef znów się zamyślił, jakby nigdy wcześniej to pytanie nie przyszło mu do głowy.

— W pewnym sensie — odparł enigmatycznie, ponownie skubnął brodę i powiedział, że jego przyjaciel ożenił się młodo i mimo sprzeciwu rodziców. Był zakochany w Michalinie na zabój. Ona już wtedy chorowała, ale on się uparł, gruźlica nie była dla niego przeszkodą. Wierzył, że Michalinę uda się wyleczyć, ale się nie udało.

Kiedy o tym mówił, zapatrzył się w rząd błyszczących flaszek z odczynnikami, które stały na półce nad stołem, jakby skrywał tam jakieś rezerwy wspomnień.

— Nie mieli szczęścia — dodał, przenosząc wzrok na Leę. — Choroba niszczy ludzi, Michalina bardzo się zmieniła i on też. Mówiłem ci, że był zupełnie inny, a teraz... — urwał nagle, jakby temat był

zbyt niebezpieczny do dalszych rozważań. — Coś ty się na niego tak uwzięła? — spojrzął na nią podejrzliwie.

Wzruszyła ramionami.

— Wcale się nie uwzięłam. Pomyślałam, że mógłby sobie kogoś znaleźć — zerknęła na męża, chcąc się upewnić, czy podziela jej zdanie, i szybko dodała: — I broń Boże nie mów mu, że rozmawialiśmy o nim.

— Skądże. Powiem tylko, że się o niego martwisz — zażartował, mrużąc oczy.

— Ani mi się waź! — odparła w tym samym tonie.

Józef kiwnął głową.

— Dobrze, nie obawiaj się — odparł i sięgnął po kolbkę z roztworem octanu ołowiu. W skupieniu zaczął odmierzać płyn, wlewając go do szklanego cylindra.

Dynasy znajdowały się nieco na uboczu Warszawy, z dala od głównych traktów wielkomięjskich, ale miały swoją całkiem niebanalną i zawiłą historię. Kilka razy zmieniły właścicieli i przeznaczenie; kiedyś był tam pałac, potem targowisko, później park w stylu angielskim albo podobnym, a w końcu Dynasy wydzierżawiono Warszawskiemu Klubowi Cyklistów i urządzono tor wyścigowy, wokół którego wzniesiono trybuny dla publiczności.

Oczywiście w Warszawie były wyścigi konne, był klub wioślarski, ale odkąd na ulicach miasta coraz częściej pojawiali się cykliści i cyklistki, Dynasy w pewnych kręgach zyskały na znaczeniu i stały się miejscem, w którym od czasu do czasu wypadało się pokazać. Wyścigi cyklistów nabrały rangi wydarzenia towarzyskiego, nie najgorszej okazji do zaprezentowania nowych strojów i sportowego nastawienia do życia, a nawet sportowych pasji — zdrowych jak gimnastyka szwedzka, emocjonujących jak rozgrywki przy zielonym stoliku, niewymagających jednak zbyt dużego wysiłku i niegroźących zatraceniem się w hazardzie. Dla innych była to niemal wyprawa za miasto, namiastka majówki na Bielanach, wesołej zabawy na świeżym powietrzu.

Jakkolwiek by na to spojrzeć, pokazanie się na Dynasach wymagało stosownej oprawy. Lea i Marianna wystroily się w jasne sukienki i żakiety z cienkiej wełny, nowe kapelusze, kremowe rękawiczki, buciki na korku, a Marianna wzięła nawet parasolkę od słońca. Zjawiły się nieco przed czasem, zajęły miejsca na trybunie i przyglądały się publiczności. Wyszukiwały znane twarze, podziwiała lub krytykowały bardziej oryginalne damskie stroje, a potem samych cyklistów w śmiesznych krótkich spodniach i zabawnych czapkach. Dla Lei najważniejszy był jednak Jan. Czekwała na niego, rozglądając się niecierpliwie, a kiedy się pojawił w towarzystwie Heleny i Leona, poczuła się lekka i radosna jak młoda dziewczyna. Nie przeszkadzał jej wiosenny wietrzyk, który inni uznali za chłodny, ani słońce, które mogło przypiec już nos i wywołać prostackie piegi.

— Nigdy nie byłam na wyścigach. W ogóle nie wiem, jak to ma wyglądać — przyznała kokieteryjnie, poprawiając wstążkę od pachnącego nowością kapelusza, i spojrzała na Jana z oczekiwaniem, że on jej to wytłumaczy.

Jan miał na sobie sportową marynarkę z błyszczącymi guzikami, jasne spodnie i buty oraz miękki kapelusz; wyglądał jak prawdziwy dziennikarz sportowy, który zamierza napisać relację z wyścigów. Głowę miał pełną stosownych informacji, a w kieszeni notes i ołówek z obsadką, na wypadek gdyby chciał coś zanotować. Bez problemu wczuł się w rolę eksperta.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Każdy z cyklistów jeździ przez godzinę i musi przejechać jak najwięcej okrążeń — odpowiedział, obdarzając każdą z pań wytrawnym uśmiechem człowieka będącego na swoim miejscu i w swoim żywiole. Głos miał dźwięczny, z nutą samozadowolenia, a oczy błyszczały mu jak w lekkiej gorączce i Lea wyobrażała sobie, że to ona jest tego przyczyną. — Tor ma 400 metrów długości, nie jest najlepszy, nie ma co spodziewać się oszałamiających rezultatów — pozwolił sobie na lekką krytykę, ale zaraz dodał, że najlepsi mogą zrobić osiemdziesiąt kilka okrążeń, czyli ponad 35 kilometrów w ciągu godziny. Nie wszyscy pojedą równocześnie; to by było zbyt niebezpieczne, bo mogłoby dojść do kolizji. Będą startowali co pół godziny, a wyścig może potrwać pięć

godzin. — Warto to zobaczyć. Zwycięzca dostanie złoty medal i tytuł mistrza jazdy na Dynasach — opowiadał jak zwykle swobodnie, z miną znawcy wyścigów i wszelkich sportowych zmagania.

— Ale pięć godzin?! — zaniepokoił się poważnie.

— Pan chyba żartuje? Co można tu zrobić przez pięć godzin? — Marianna spojrzała na niego niemal przestraszona.

— Jest tu dobra restauracja — wyjaśnił Jan, co znacznie uspokoiło Mariannę i resztę towarzystwa.

Przez półtorej godziny śledzili jednak zmagania cyklistów, dając się ponieść sportowym emocjom. Obserwowali tor, rozmawiali o strojach i rowerach, które teraz miały równe koła, a nie jak dawniej, kiedy używano bicykli z jednym bardzo dużym kołem, a drugim niepomierne małym. Jan wychodził, starał się zebrać więcej informacji o zawodnikach, rozmawiał ze starterami, a potem wracał na trybunę i przekazywał nowości znajomym. W pewnym momencie stanął tuż za Leą. Poczła muśnięcie jego dłoni; przeszedł ją dreszcz i wtedy uświadomiła sobie, że traci rozsądek, a może i głowę. Niemal w tym samym momencie usłyszała w myślach karcący głos ciotki Anastazji, która powtarzała jej, że dziewczyna taka jak ona nie jest stworzona do miłości.

— Fanaberie, wybij go sobie z głowy — mówiła. Wtedy chodziło o Leona i wybijanie poskutkowało. Teraz Lea była starsza, poważniejsza i powinna być mądrzejsza, jednak wcale tak się nie czuła. Nie czuła się na siłach zgasić tego uczucia, jeszcze nie teraz.

Kiedy znudziło im się oglądanie sportowych zmagania, przeszli do restauracji, żeby tam przy winie i kawie spędzić resztę popołudnia. Pogoda była ładna, więc usiedli na oszklonym tarasie, z którego rozciągał się widok na tor wyścigowy i gdzie nie było tak gwaro jak w głównej sali. Rozmawiali o zbliżającym się lecie, o kiermaszu kwiatowym w ogrodach Bagateli, o sprawach, które ulatują z pamięci szybko jak dym z papierosa. Po kwadransie na tarasie restauracji pojawił się Reutowicz; nie wyglądał na amatora sportowych zmagania, który chciałby z tarasu śledzić wyścigi. Rozglądał się za wolnym stolikiem. Leon, jak zawsze serdeczny i gościnnie, zaprosił go do towarzystwa. Lea westchnęła zgaszona i pomyślała, że to popołudnie musi jednak spisać na straty.

Dziś nic nie szło po jej myśli. Liczyła na to, że choć chwilę spędzi z Janem sam na sam, ale Jan chciał wrócić na tor, zobaczyć zwycięzcę i zebrać materiały do artykułu. Na dodatek siedział teraz koło Heleny i cały czas z nią rozmawiał, rzucając Lei tylko ukradkowe spojrzenia. Może tak jest lepiej, pomyślała, ale straciła humor. A tu jeszcze trafił się Reutowicz. Zapewne przyszedł za namową Józefa i to jej się nie spodobało. Nie chciała wciągnąć go do kręgu swoich znajomych, to było nieporozumienie, gruba przesada. A on jakby czytając w jej myślach, podszedł, przywitał się, ale się wahał, czy przyjąć zaproszenie do stolika. Poczła się niezręcznie.

— Proszę usiąść i napić się z nami wina — powiedziała z całą uprzejmością, na jaką było ją stać.

Usiadł na wprost niej, czuła od niego ostrą woń świeżo wyprawionej skóry. Pewnie ma nowe buty albo pasek, pomyślała. Ten zapach ją drażnił, był zupełnie nie na miejscu, tak jak i sam Reutowicz. W jego obecności nic już nie było ani proste, ani zabawne, jakby mimo słońca rozświetlającego taras wniósł ze sobą jakiś cień. Wzdrygnęła się

Reutowicz nie był specjalnie towarzyski, ale nie był też niepoprawnym mrukiem i odludkiem ani zapiętkłym wrogiem kobiet, jak podejrzewała Lea. Na swoim koncie miał kilka historii i damsko-męskich incydentów, równie pouczających, co bolesnych, zakończonych ewidentną klapą, które radykalnie pozbawiły go złudzeń co do czystości niewieścich serc i intencji oraz wiary w romantyczne uniesienia rodem z młodzieńczych lektur. W pewnym krytycznym momencie życia jeden z owych incydentów pozbawił go także większej ilości gotówki. Ta nauka nie poszła w las; Reutowicz z dużą dozą sceptycyzmu traktował czule wyznania i spojrzenia pań, które chciały zastąpić u jego boku Michalinę. Dla ścisłości, nie było ich wiele i żadna nie przeszła próby bojowej. Mimo tego Reutowicz nie był całkowicie pozbawiony wrażliwości na kobiecą urodę i ciepło promieniujące od takich osób jak Helena, szczęśliwych, wdzięcznych i życzliwych niemal każdemu. Z Leą było inaczej; nie wiedział, co o niej sądzić, od początku budziła w nim mieszane uczucia. Uważał ją za dość nieudany egzemplarz i czasami było mu jej zwyczajnie żal, częściej jednak go irytowała.

— Wincent, niech pan nie będzie taki poważny. Proszę opowiedzieć coś zabawnego — powiedział Leon, który nie tracił humoru i starał się rozruszać niemrawe towarzystwo.

Reutowicz uniósł lekko brwi.

— Zabawnego? Ja raczej nie jestem zabawny — przyznał, siedząc sztywno przy stole, na którym nie brakowało alkoholu i zakąsek.

A jednak, gdy Helena spojrzała na niego z wesołym błyskiem w zielonych oczach i poprosiła o jakąś opowieść, powinien przecież wkupić się do grona znajomych, Reutowicz zamyślił się, przesunął palcem po nóżce kieliszka, jakby tym gestem chciał odwrócić bieg czasu i zajrzeć do minionych dni, po czym spokojnym melodyjnym głosem opowiedział historię z czasów młodości, gdy pracował z Józefem w aptece w Lublinie. Z poważną miną opowiadał, jak po pewnym zakrapianym wieczorze nocą pozamieniał kilka szyldów na domach.

Lea nie słuchała. Zerknęła na Jana, pochwyciła jego spojrzenie i poczuła się lepiej. Jan był tym, z którym chciała rozmawiać, mądrze i zabawnie, to jego chciałyby słuchać, zgłębić jego myśli. Słowa Reutowicza docierały do niej jakby z opóźnieniem, zdania były rozsypane na kawałki. W pewnym momencie uchwyciła jednak ich sens.

— Tabliczkę akuszerki przewiesiłem na sklep rzeźnika, rzeźnika na wyrób trumien i akcesoriów pogrzebowych, a tę znowu na skład chemiczny pewnego bogatego Żyda. Rano zrobiło się zamieszanie. Ja spokojnie odsypiałem nocną wyprawę, aż obudził mnie jeden z pracowników apteki i powiedział, że Józefa zabrano do aresztu — przerwał i spojrzął na Leę, jakby oczekiwał, że zapyta go o męża, ale ona nie miała zamiaru o nic go pytać.

— A co zrobił pan Józef? — zapytał Leon.

— Nie pamiętam, to nie miało znaczenia, zamknęli go za moje wybryki. Byłem nieostrożny, zgubiłem jego notatnik, był podpisany jego imieniem i nazwiskiem. Pożyczyłem go od niego, ale musiał mi wypaść z kieszeni, kiedy zamieniałem tabliczki. Co było robić? Poszedłem do sędziego, wyjaśniłem sprawę i zapłaciłem grzywnę — przyznał, uśmiechając się kącikiem ust, jakby na więcej nie miał siły. — Czasem za małe przewiny trzeba słono płacić — dodał i znów popatrzył na Leę.

— Przyznał się pan i zapłacił grzywnę? Dobry Boże, to wcale nie jest zabawne — zauważył Jan. — To są przechwałki, szanowny panie, chce się pan nam pokazać jako uczciwy i szlachetny, prawie że romantyczny bohater, a w tym nie ma nic zabawnego.

Reutowicz skinął głową.

— Ma pan słuszość, byłem młody, naiwny i wrażliwy. Od tego czasu wiele się zmieniło, ja najbardziej — odparł poważnie.

— Pan jest niepoprawnym pesymistą — stwierdziła Lea.

Miała wrażenie, że swoją opowieść kierował do niej, ale nie była pewna dlaczego. Przyglądała mu się spod zmrużonych powiek; był jak zawsze ubrany na czarno, coś jednak zmienił w swoim wyglądzie, może skrócił nieco brodę, ale nadal był smutny czy wręcz ponury. Pił niewiele, a Jan przeciwnie, był ożywiony, oczy błyszczały mu radośnie i nie żałował sobie wina. Z tym Reutowiczem coś jest nie tak, pomyślała. Już nie była na niego zła, nawet trochę go żałowała, los tak źle się z nim obszedł. To niesprawiedliwe, pomyślała i spróbowała się do niego uśmiechnąć. Nie zauważył tego, błądził myślami po zawiłościach swoich wspomnień. Uznała, że wypada go o coś zagadnąć, żeby nie siedział taki samotny i zamyślony.

— Lubi pan wyścigi? Nie widziałam pana na trybunach — zapytała, okazując mu grzecznościowe zainteresowanie.

Podniósł na nią wzrok.

— Spóźniłem się, nie widziałem początku, chyba niewiele straciłem. Ale widziałem, że pani i pani znajomi dobrze się bawią, a ja, cóż, przyznam, że wyścigi cyklistów nie staną się moją pasją — powiedział spokojnie, głosem, którym mógłby odczytać listę zamawianych towarów.

— Niebywała szkoda. Może poprawi się panu humor w naszym skromnym towarzystwie — powiedziała niewinnym tonem, dodając do tego minimalny półuśmiech, który można by nazwać uśmiechem.

Reutowicz poprawił się na krześle, oparł dłonie na stole, pokazując przy okazji wytworne spinki przy mankietach, a w końcu zdobył się na ironiczny uśmiech.

— Pojąłem, pani Leokadio. Daje mi pani do zrozumienia, że psuję państwu przyjemność przebywania w swoim gronie.

Roześmiała się i pokręciła głową.

— Myli się pan. Daję panu do zrozumienia, że nie musi być pan taki poważny i oficjalny jak na zebraniu aptekarzy. I myślę też — lekko pochyliła się w jego stronę i ściszyła głos — że mógłby pan zamówić wino.

Reutowicz zastygł na moment, ale zaraz się zreflektował.

— Ma pani całkowitą rację — stwierdził, przywołał kelnera i zamówił dwie butelki czerwonego wina.

Wino rozwiązało języki, rozkręcili się, wspominali i rozmawiali o wyjeździe na letnisko do Otwocka. Lea zerkała na Jana, ale on jakby nie zwracał na nią uwagi, znów więc zagadnęła Reutowicza.

— Ta historia, którą pan opowiedział, miała jakieś dalsze konsekwencje? — zapytała.

Przyglądał się jej z mdłym wyrazem twarzy.

— Może — odparł po chwili.

W jego spojrzeniu było coś niepokojącego, wydawało się jej, że przejrzał ją na wylot i już wie o Janie. Poczła się nieswojo; pilnowała się, żeby nie okazywać emocji, poprawiła koronkową wstawkę przy dekolcie i znów spojrzała na Reutowicza. Jego wzrok złagodniał, źrenice, przed chwilą wąskie i kłujące jak szpilki, straciły ostrość.

— Czasami trudno rozpoznać, co jest przyczyną, a co skutkiem — dodał niedbałym tonem.

Zaskoczył ją, przyjrzała mu się uważnie i nie wiedziała, czy nadal mówi o przeszłości Józefa, czy robi pokrętne aluzje do jej gorących spojrzeń rzuconych Janowi. Właśnie wtedy te dwie sprawy znów zaczęły jej się plątać: przeszłość, historia Józefa i Sabiny oraz jej własna. Musiała się skupić, żeby nie powiedzieć czegoś niemądrego.

— Myślałam, że dla pana wszystko jest oczywiste, całkowicie białe albo czarne.

— Nie, pani Leo, dla mnie czarny ma wiele odcieni — odparł uprzejmym tonem i powolnym ruchem nalał jej kieliszek czerwonego wina. — I jest jeszcze czerwony — dodał jakby od niechcenia.

Jego niedbałość wydawała się prawie doskonała, z powodzeniem wyzbył się swojej dawnej wymuskannej perfekcji, która zalatywała urzędniczym stanem i małym miasteczkiem. Był elegancki, ale bez przesady, jakby mu na tym nie zależało i przychodziło bez wysiłku. Nie zauważyła, kiedy tak się zmienił. Zmrużyła powieki, wypiła kilka łyków i wytarła serwetką kropelki wina, które zebrały jej się na wardze.

— Nie podejrzewałam pana o taką wyobraźnię — przyznała, starając się wypłatać z tej rozmowy, zmierzającej w jakimś niepokojącym kierunku. Woląaby, żeby nie poświęcał jej tyle uwagi, najlepiej, żeby w ogóle jej nie dostrzegał. Niepotrzebnie zaczęła z nim rozmawiać.

— Ja nie podejrzewałam pani o wiele rzeczy — jego głos brzmiał podejrzenie spokojnie. Po chwili, gdy już się spodziewała, że doda coś niemiłego, powiedział: — Nie przypuszczałem, że tak długo wytrwa pani na praktyce. Jeszcze się pani nie znudziło?

Odetchnęła z ulgą, o aptecę ostatecznie mogła porozmawiać.

— Miewam dobre i złe dni, ale myślę, że nie jestem gorszym uczniem od innych. Józef jest cierpliwy i wyrozumiały, oczywiście zajmuje się głównie laboratorium — opowiedziała mu o badaniach.

Wkrótce Leon wybawił ją z kłopotu, zapytał Reutowicza o nową spółkę chemiczną i fabrykę wód gazowanych, której Reutowicz miał być doradcą. Lea nie słuchała, zatoneła w spojrzeniu Jana, nie zdając sobie sprawy, że Reutowicz obserwuje ją z zainteresowaniem.

Popołudnie mijało w zapachu kawy i słodkich akacji, które rosły obok tarasu i zaczynały kwitnąć, sącząc woń początku lata. Lea nie mogła wyzbyć się wrażenia, że to już było, że jakimś cudem powróciła do czasu przeszłego. Kiedyś już była w podobnym miejscu, siedziała ze znajomymi, piła wino, rozmawiała o rzeczach miłych i lekkich. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy to by mogło być. Może w zeszłym roku? Coś jednak się nie zgadzało, coś ją niepokoiło. Porządek rzeczy uległ zachwianiu. Nie

mogła się w tym połapać.

— Dziwne uczucie — zwierzyła się Mariannie — jakby coś ci umknęło, przeleciało między palcami.

— To jak sen — zaśmiała się przyjaciółka, którą teraz wszystko śmieszyło. — Może dopiero się zdarzyć.

Kiedy na tarasie pojawiły się długie leniwe cienie, twarze siedzących przy stole osób stały się dojrzsze, jakby wraz z upływem godzin i wypitych trunków zyskały parę lat doświadczenia. Wyciągi nadal trwały, więc Jan zdecydował się wrócić na tor i obejrzeć końcówkę zawodów. Lea przesłała mu ostatnie powłóczyście spojrzenie i uznała, że nic ciekawego już jej nie czeka. Pożegnała się i wyszła z restauracji razem z Marianną.

Na ulicy Oboźnej zapach akacji mieszał się z zapachem wiatru od rzeki. Przy rotundzie, w której pokazywano panoramę Tatr, podmuchy był silniejsze i bardziej zdradliwe. Zafurkotały wstążki i spódnice, Lea przytrzymała ręką kapelusz i śmiała się. W sumie to było miłe popołudnie, pomyślała, gdy wsiadły do dorożki i ruszyły w drogę powrotną.

Marianna po kilku kieliszkach wina stała się bardzo rozmowna. Wygładziła swoją kremową suknię, żeby do reszty się nie wygniotła, i po chwili namysłu powiedziała, że pan Fiszer zrobił przyjemne wrażenie i choć trudno ocenić kogoś po pierwszym spotkaniu, wydaje się inteligentny, nietuzinkowy i bardzo młody. Ma w sobie coś ożywczego, jest całkiem przystojny, choć nie tak jak jej mąż. Uśmiechnęła się przy tym, ale zaraz z nutą przestrogi w głosie dodała:

— Lea, ale nie ciągnij tej znajomości, proszę, nie rób głupstw, jeszcze cię ludzie wezmą na języki, już i tak się narażasz. Widziałam, jak na niego patrzysz i jak on patrzy na ciebie. Jestem pewna, że Reutowicz też to dostrzegł. To tylko kwestia czasu, jak twój mąż się dowie.

Lea zaśmiała się beztrąsko.

— Nie martw się, to nic poważnego — odparła, choć wiedziała, że tak nie jest. — A Reutowicz nie wydaje ci się dziwny?

— Po co on w ogóle przyszedł? — prychnęła Marianna. — Ponury jak zawsze i nadal nosi się na czarno — zastanowiła się chwilę. — A kiedyś to był zupełnie inny człowiek, dowcipny, wesoły, mówiono nawet o jakichś romansach.

— Reutowicz? Z kim? — zacięła się Lea.

Marianna wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, to było dobre kilka lat temu, jego żona poważnie już chorowała i wyjechała na Krym, a on został w Warszawie sam i pewnie miał różne pokusy.

— Niemożliwe! On? — zdziwiła się Lea, ale po chwili uświadomiła sobie, że takie rzeczy się zdarzają, niezależnie od tego, czy się tego chce, czy nie.

Lato zbliżało się i cofało, jakby nie było pewne swojej dojrzałości. Upały zaczęły się wcześniej, jeszcze pod koniec maja, ale po tygodniu gorące powietrze wycofało się. Na świętego Jana nastąpiły chłody i deszcze. Wybujała przez wiosnę roślinność zatrzymała się tuż przed pełnym rozkwitem, zawiązki owoców marniały jak niespełniona miłość. Surowizna na rynku była mizerna i droga. Agata, która zwykle chętnie robiła tam zakupy, codziennie przychodziła rozsierzona na nędzny towar i niebotyczne ceny.

— Pani widziała te marchewki? Mysie ogonki są grubsze! — parskała niezadowolona, stawiając koszyk z zakupami na stole w kuchni. — Toż to nie idzie z tego nic zrobić. A kalarepa? To ma być kalarepa? Sałata to samo! Więcej w niej ślimaków niż zielonego. A pan tak lubi parzoną sałatę, i z czego mam zrobić?

Lea kiwała głową ze zrozumieniem; już nie spoglądała na niebo, które od kilku dni zaciągnęły ciężkie deszczowe chmury. Pamięta takie lata jeszcze z Korytnicy, kiedy lało i lało.

— Jak się Jan rozplacze, a matka go nie utuli, to będzie płakał do świętej Korduli — mówiła wtedy ciotka, wychodziła na ganek i spoglądała na chmury z coraz mniejszą nadzieją, że przestanie

padać.

W deszczowe dni zawsze więcej było sporów, zwłaszcza w kuchni. Urszulia stawiała się bardziej opryskliwa, Agata bardziej nieuważna, a ciotka bardziej surowa. Lea nie miała gdzie się podziać, zwykle wymykała się do ogrodu, ale w deszcz nie można było tam długo siedzieć, nawet jabłoni nie dawała wystarczającej osłony.

— Nic z niej nie będzie w tym roku — przepowiadał wuj Kacper, spoglądając z posępną miną na sad. — Liście już czernieją, parch się wda i po jabłkach. Wszystko sparszywieje przez ten deszcz, wszystko wymoczy. Zboża też nie będzie — zapowiadał coraz gorsze kłęski.

Lea zapamiętała jedno takie lato, kiedy padać nie przestawało i w polu niewiele się urodziło, w lipcu rzeka wylała, zniszczyła zasiewy, a w końcu przyszła taka bieda, że nawet kartofle wygniły. Tego roku córka wójta, która chodziła z Leą na nabożeństwa czerwcowe, uciekła z siłaczem występującym na jarmarku, a zimą wróciła i powiesiła się na dębie przy rozstajach, żeby nie urodzić bliźniaków, które nosiła w brzuchu. To był zły rok, mówili wtedy, zły czas, złe dni i złe godziny, które nadchodziły jak czarne chmury, jedna za drugą, bez ustanku.

I teraz Lea obawiała się, że znów przyszło takie deszczowe lato i zły czas. Wyjazd do Otwocka trzeba będzie odwołać, bo co tam robić, kiedy ciągle pada. A wszystko było już ustalone, miała jechać na początku lipca. Tak jak w zeszłym roku spotkałaby tam Jana i znów rozmawialiby długo, aż do zmroku. Niczego więcej nie mogła mu zaoferować, obiecała sobie, że między nimi nic nie może się wydarzyć. Jego to pewnie nie zadowoli, ale tak musi być, powtarzała. Czekala więc, aż niebo się roz pogodzi, przestanie padać i zaczną się przygotowania do wyjazdu. Czekala na to, a jednocześnie obawiała się, że to będzie koniec jej przyjaźni z Janem.

Józefowi deszcz nie przeszkadzał. Mimo że rynna przeciekała i na suficie w laboratorium pojawiały się coraz większe plamy wilgoci, na uwagi Lei, że trzeba coś z tym zrobić, odpowiadał:

— Nie teraz, myszko, nie teraz, przyjdzie czas, to się naprawi.

Sięgał po probówki i kolbki i razem z nią sprawdzał, czy znowu ma do czynienia z oszustwem, czy ze zwykłym partactwem, bo wszystko idzie na gorsze i nikczemnieje, i jak tak dalej pójdzie, to na świecie zostaną tylko oszuści i niedojdy, no i Rosjanie, Prusacy i Żydzi, oczywiście.

Lea знаła jego nastroje i poglądy. Nie chciała wdawać się w dyskusje, a Józef wciąż się ekscytował i przeżywał każdą sprawę oszustwa, jakby dotyczyła go osobiście. Tak było i tym razem, kiedy w komorze celnej zatrzymano dużą partię tabletek z kokainą, które w rzeczywistości z kokainą nie miały nic wspólnego.

— Wyobraź sobie, że to był zwykły talk zmieszany z bromkiem potasu — mówił z czujnym błyskiem w oczach. — Cała partia miała być zniszczona, ale podobne tabletki pojawiły się teraz na warszawskim rynku, tyle że zapakowane w pudełka znanej niemieckiej firmy farmaceutycznej. Wiesz, co to może oznaczać? — pytał i sam szybko odpowiadał.

Podejrzewał, że towaru nie zniszczono, ale przepakowano i rozprowadzono w mieście, a część wywieziono na prowincję, gdzie łatwiej ludzi oszukać, bo nie ma prawie żadnej kontroli. Jeśli rzeczywiście tak było, co zamierzał sprawdzić, to fałszerze są coraz lepiej zorganizowani, bezczelniej się panoszą i dzięki przekupstwu zapuszczają swoje trujące macki na różnych urzędowych szczeblach.

Lea starała się tonować jego emocje.

— Nie przejmuj się tak. Wiem, że to ważne, ale może już dosyć, jutro dokończymy — prosiła go, ziewając ze znużenia. — Świata nie zbawisz, w każdym razie nie dziś.

— To idź, ja jeszcze posiedzę — odparł, jak zawsze odkładając na później chwilę wyjścia z laboratorium. I znów siadał do swoich notatek, zapisywał wyniki badań i rozmyślał, wpatrując się w zielony klosz lampy jak w magiczną latarnię. Na górę przyszedł późno, był zmęczony. Powiedział, że głowa go rozboleła.

— Powinieneś od tego odpocząć — mruknęła śpiąca i zasnęła, zobojętniała na jego boje z fałszerzami.

W pierwszych dniach lipca niebo się wypogodziło, plamy na suficie w laboratorium zaczęły wysychać, woda parowała z ulic, dachy domów połyskiwały w słońcu, a pranie coraz szybciej schło na sznurach. Do apteki zajrzał Leon i powiedział, że mogą jechać za tydzień czy dziesięć dni. Lea poczuła przyływ energii, nabrała kolorów i zaczęła się szykować do wyjazdu.

— Potrzebna mi nowa sukienka — powiedziała do Józefa przy śniadaniu, podając mu filiżankę wybornej herbaty.

— Kup sobie coś niebieskiego, lubię cię w niebieskim — odparł z zamyślonym uśmiechem. Sięgnął po portfel, ale nie zauważył, że z kieszeni wyleciała mu wizytówka. Lea schyliła się, podniosła ją i oddała Józefowi. Zdążyła jednak przeczytać zdanie, które widniało na odwrocie: *Będę w czwartek o siódmej, W.*

— To od Reutowicza — mruknął Józef, biorąc od niej kartonik.

— Tak? — bąknęła zaskoczona.

To zamaszyste *W.* dało jej do myślenia. Już to kiedyś widziała i zastanawiała się, kto się za tym kryje; teraz stało się to niemal oczywiste.

Lekko roztargniona podziękowała Józefowi za pieniądze na materiał i pocałowała go w policzek, ale sukienka w tej chwili przestała ją zajmować. Teraz myślała o tym, czy Wincent Reutowicz był rzeczywiście tym *W.*, który pisał do Sabiny, wyznaczając jej spotkania. To całkiem prawdopodobne, uznała, przypominając sobie, co niedawno powiedziała jej Marianna. Dla pewności mogłaby porównać jego pismo. Nic prostszego, w księgach aptecznych muszą być jego wpisy, łatwo się przekonać.

Okazja nadarzyła się w poniedziałek. Rano Józef wybrał się na Pragę. Tymon zajmował się ekspedycją, a na recepturze Szymon mozolił się nad maścią na odleżyny. Lea miała do zrobienia proszki i ziółka, szybko się z tym uwinęła i jakby nigdy nic przeszła do biura, gdzie w jednej z szaf Józef przechowywał księgi apteczne. Wyjęła gruby, oprawiony w skórę manual, w którym zapisywano wszelkie recepty, od kropli na drganie lewej powieki po pastę wybielającą piegi, chętnie kupowaną przez gospodynie jako środek do usuwania plam z bielizny stołowej. Większość z tych recept spisywał Józef, wyliczał naważki, koszty, marże, a na marginesie dodawał uwagi o niezgodnościach i zamiennikach, których można użyć zamiast takiego czy innego składnika. Wszystko starannie zapisywał, a jego proste pismo w miarę dodawania nowych uwag zmniejszało się i wędrowało lekko ku górze.

Lea przerzuciła kilkanaście stron, aż znalazła tekst spisany inną ręką, nie tak staranny. Co kilka kartek znajdowała wpis, pod którym widniała parafka *W. R.*

Wyjęła z kieszeni list do Sabiny, który wcześniej wzięła ze schowka, położyła go na manuale i przyglądała się literom, porównując ich kształt. Pismo z manualu było podobne do tego z listu, ale dla pewności cofnęła się do starszych zapisków. Wiedziała, że z upływem czasu pismo się zmienia, tak jak człowiek. Chciała odnaleźć wpisy z czasów Sabiny. To nie było trudne, Józef skrupulatnie przy każdym swoim wpisie notował datę. Dotarła niemal do początku księgi i zapisków z 1891 roku. Pismo Józefa było wtedy mniej staranne, jakby niespokojne. Znalazła też wpis Reutowicza i już nie miała wątpliwości (zasadniczo wcale ich nie miała), kto pisał do Sabiny. No proszę, proszę, najlepszy przyjaciel Józefa pisywał do jego żony, pomyślała ze złośliwą satysfakcją. Zamknęła księgę i podeszła do szafki, żeby odłożyć ją na miejsce.

— Czego tam szukasz? — usłyszała za swoimi plecami głos Józefa.

Drgnęła. Zaskoczył ją; wszedł tak cicho, że nic nie usłyszała. Wciąż trzymała w ręku list, który teraz usiłowała schować do kieszeni. Odwróciła się powoli.

— Chciałam zobaczyć, czy nie masz przepisu na ocet aromatyczny — powiedziała pierwszą rzecz, jaka przysła jej do głowy na usprawiedliwienie swoich poszukiwań.

— Ocet aromatyczny? Nie, tam tego nie znajdziesz. Mogłaś mnie zapytać — mruknął, patrząc na nią podejrzliwie.

— Właśnie pomyślałam, że zapytam ciebie, bo przekopać się przez twoje wpisy nie sposób — odparła, próbując skierować jego uwagę na inne tory. — Miałeś wrócić później, nie byłeś w składzie

u Reutowicza?

Józef zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

— Nie, miałem co innego do załatwienia. I muszę jeszcze sprawdzić ostatnią dostawę. Podobno są jakieś nieprawidłowości. Z Reutowiczem później się zobaczę.

Przyjrzała mu się, wyraźnie nie był w dobrym nastroju.

— Ale nic się nie stało? — upewniała się.

— Nie, nic się nie stało. Tylko gorąco dziś — odparł i poluzował kołnierzyk koszuli. — A w manuale wszystko jest, jak być powinno, na końcu masz rejestr, tylko trzeba tam zajrzeć. Ale tam octu nie znajdziesz, octy będą w kalendarzu farmaceutycznym i w poradniku. Tam powinnaś poszukać — stwierdził pouczającym tonem.

Podszedł do szafki i sięgnął na górną półkę. Lea szybko schowała list do kieszeni.

Nie zauważył jej z mieszania; podał jej gruby poradnik w zniszczonej oprawie.

— Nie wiem, po co ci to, przecież masz gotowy ocet, wszędzie można kupić — mruknął, jakby uważał jej pomysł za absurdalny, a robienie octu za stratę czasu.

— Mówiłeś, że podrabiają, dodają kwas siarkowy — odparła, odzyskując panowanie nad sytuacją i z książką w ręce wyszła z biura, zapewniając Józefa, że za moment wróci i pomoże mu w laboratorium.

Ocet to była wymówka sprzed kilku lat, kiedy spisywała recepty dla Trichonowa, ale nie w głowie był jej teraz ocet. Wróciła do mieszkania i odłożyła książkę z przepisami, nawet do niej nie zaglądając. Poszła do składziku i schowała list. Była pewna, że napisał go Reutowicz, ale jeszcze nie wiedziała, co zrobi z tą informacją. Mogłaby powiedzieć o tym odkryciu Józefowi, ale po co? Lepiej zachować to dla siebie i gdyby Reutowicz jej przeszkadzał, może dać mu do zrozumienia, że wie o jego kontaktach z Sabiną. Ale jakie to były kontakty? Zastanawiała się, czy nie za dużo sobie wyobraziła, czy nie wplotła między wiersze czegoś, co nie istniało. Nic konkretnego w tych listach nie ma, mówiła sobie, mogło być tysiąc innych powodów, dla których napisał do niej kilka słów, mogło chodzić o jakąś przysługę, o pieniądze, o przekazanie informacji, próbowała wymyślić jakiś powód, ale każdy wydawał jej się mniej prawdopodobny niż to, że była to intymna zażyłość. Cokolwiek to było, Sabina robiła to w tajemnicy przed Józefem, i Reutowicz też. Umawiał się z nią, wyznaczał spotkania, a potem chciał z tym skończyć. Józef nie powinien mu ufać, pomyślała. Musiała jednak przyznać, że ostatnio sama nie była z Józefem szczerą. Co robić, takie jest życie, każdy próbuje być szczęśliwy chociaż trochę, na kilka chwil. Schowała listy pod kłębki, szpulki i tasiemki. Na razie niech tam leżą.

Następnego dnia Lea przebiegła warszawskie magazyny i składy bławatne w poszukiwaniu niebieskich krepdeszynów, mor, nankinów i rypsów, a potem poszła do swojej krawcowej. Dziewczyna знаła się na rzeczy; pracowała szybko i starannie, a dziurki potrafiła obrzucać tak, że nawet ciotka Anastazja mogłaby ją pochwalić. Obiecała, że na wyjazd suknia będzie gotowa. Lea wróciła do domu zadowolona i podniecona zbliżającym się wyjazdem. W drzwiach apteki niemal wpadła na Reutowicza. Paczki i paczuszki z zakupami wypadły jej z ręki.

— Pomogę pani. Proszę mi dać te paczki. — Stał w przejściu, jakby próbował ją zatrzymać.

— Nie ma potrzeby — odparła sztywno. Zawsze miała się wobec niego na baczności, podejrzewała, że nawet za grzecznymi słowami skrywa jakąś złośliwość. — Co się z panem dzieje, stara się pan być uprzejmy?

— Chciałbym pani pomóc — odparł poważnym tonem, zbierając pakunki, po czym ruszył za nią na górę. W przedpokoju oddał sprawunki Agacie, ale nie wyszedł, ścisłym głosem powiedział: — Jeśli mogę pani coś radzić, proszę nie zwracać sobie głowy tym dziennikarzem.

Leę aż zatrzęsło ze złości.

— Nic mi pan nie może radzić! Wystarczy, że doradzał pan mojej poprzedniczce!

Chyba nie zrozumiał, o co jej chodzi, bo ciągnął dalej:

— Stawia mnie pani w kłopotliwej sytuacji, naprawdę nie chciałbym mówić Józefowi.

— A ja nie chciałabym mu mówić o listach, które pisał pan do Sabiny — odcięła się

rozzłoszczona.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Listy? Czyta pani cudze listy i wyciąga z nich pochopne wnioski!

— Ja nie chcę nic wiedzieć, wystarczy, że będzie pan trzymał się z daleka od moich spraw.

— Zbyt wiele pani ode mnie wymaga. To nie są tylko pani sprawy, i gorzko pani pożałuje, kiedy

Józef się dowie.

Tego było za wiele, nie mogła dłużej udawać, że jego słowa spływają po niej jak woda po kaczce.

— Co pan sobie wyobraża, myśli pan, że nie pamiętam, jak się pan wobec mnie zachowywał, a teraz chce mnie pan pouczać, co wypada, a co nie! — Aż zaczerwieniła się z gniewu. — I jeszcze śmie pan udawać, że jest przyjacielem Józefa! Jest pan bezczelnym, zadufanym w sobie typem!

W jednej chwili jego rysy się wyostrzyły, jakby przejechała mu paznokciem po twarzy. Przestraszyła się i odsunęła od niego, ale on wyszedł, trzaskając drzwiami z takim impetem, aż zatrzęsła się porcelana w kredensie, a Lea cała zaczęła drżeć ze zdenerwowania.

— Słodki Jezu, ale mu pani wygarnęła — stwierdziła Agata z podziwem. — Jak panina ciotka!

— Nie jestem pewna — odparła Lea, zastanawiając się, co on teraz robi. Odruchowo zaciskała pięści, jakby chciała się bronić, ale czuła, że odwaga stopniowo ją opuszcza.

Po kilka minutach na górę przyszedł Józef, był niezadowolony i podejrzliwy.

— Co tu się stało? Znowu przygadałaś Reutowiczowi? — dopytywał się zdeorientowany.

— Sam się o to prosił — mruknęła z bojową miną. — I już poleciał do ciebie ze skargą?

— Powiedział, że wychodzi, i wyskoczył jak z procy. Nigdy mu się to nie zdarzało. Ty masz na niego jakiś zły wpływ. Nie pomyślałaś, że on nikogo nie ma oprócz mnie, że apteka to niemal jego dom? A ty zawsze coś mu przygadasz, a to że wprasza się na obiad, a to że wygląda, jakby wrócił z pogrzebu, a teraz wyrzucasz go za drzwi. Aż mi wstyd za ciebie — mówił coraz szybciej, nie starając się nawet ukryć rozczarowania, że znowu go zawiodła, nie zachowała się, jak przystało na osobę rozsądną i dobrze wychowaną.

— Oczywiście jesteś po jego stronie! — odparła z żalem.

— A może dowiem się, o co poszło?

Zastanowiła się, jak przedstawić swoje zarzuty wobec Reutowicza.

— Ciągłe słyszę od niego jakieś złośliwości, obraża mnie, uważa, że nic nie wiem, na niczym się nie znam i nie powinnam w ogóle się odzywać — wyrzucała z siebie jednym tchem i zamilkła, uświadamiając sobie, że to nieprawda. Kiedyś, po jej przyjeździe do Warszawy, owszem, tak było, ale teraz Reutowicz już jej nie obrażał, tylko denerwował swoją obecnością. A dziś przeszedł samego siebie. — Zresztą nie chce mi się o nim mówić. To wstrętny typ i koniec! — Jeszcze się trzęsła ze zdenerwowania, w końcu usiadła, jakby opuściły ją siły.

Józef popatrzył na nią z dezaprobatą.

— Rzeczywiście bardzo mocny argument — stwierdził z ironią. — Pomówię z nim.

— Daj spokój! — zaprotestowała gwałtownie. — W przyszłym tygodniu wyjadę i nie będę musiała go oglądać.

— Nie, nie mogę tego tak zostawić — nie ustępował. — Zależy mi, żeby w moim domu był spokój. Nie musisz go lubić, wystarczy, że nie będziecie się kłócić. Swoją drogą tyle lat go znam i pierwszy raz widzę, żeby ktoś tak wyprowadził go z równowagi. Musiałaś mu niezłe zajść za skórę. Niby taka cichutka, układna, ale niezłe z ciebie ziółko. Tak zwymyślać mojego przyjaciela, aż biedak uciekł, gdzie pieprz rośnie — w końcu się roześmiał. — No, chodź do mnie. Na mnie chyba się nie gniewasz?

Czuła się okropnie, kłamstwa ciążyły jej jak kamień u szyi. A Józef starał się ją pocieszyć, widząc jej nieszczęśliwą minę.

— Nie przejmuj się, ja go dobrze znam, czasem bywa uszczypliwy, ale w sumie to porządny człowiek. Myślę nawet, że mu się podobasz.

— Ja mu się podobam? — parsknęła Lea. — Dobrze pamiętam, jak się dziwił, że się ze mną ożenił. Nieokrzesana prowincjuszka i nie ma w niej nic ładnego. Tak powiedział. Gdyby mógł,

utopiłby mnie w łyżce wody, i to z przyjemnością.

— Ależ Lea, głupstwa mówisz. Prędzej ty byś go utopiła — zaśmiał się pod nosem, pewny, że przejrzał ją na wylot.

— Możemy już o nim nie mówić? — zapytała i rozplakała się ze zdenerwowania i złości.

W końcu Józefowi udało się ją uspokoić. Zjedli wspólnie kolację. Powiedziała, że szyje niebieską suknię na wyjazd.

— I co to moja pani za suknię sobie wymyśliła? — dopytywał się, biorąc ją za rękę. — Ile tam będzie fałdek? Ile guziczków?

— Przekonasz się — odpowiedziała już spokojnie z wesołym błyskiem w oczach.

Tego wieczoru Józef nie zszedł już do apteki; został z Leą, poświęcił jej swoją uwagę, jakby chciał, żeby zapomniała o wszystkim oprócz niego. Był czuły, zabawny i trochę zaborczy, jakby kochał się z nią ostatni raz. Pachniał apteką, tak jak lubiła, i czymś jeszcze, czego długo nie mogła zidentyfikować, może drogą w Otwocku pełną letnich ziół, a może obietnicą domu na wsi.

Powiedział, że będzie do niej przyjeżdżał co niedziela i może zostanie na kilka dni.

Kiedy leżała obok niego, na poduszkach z haftem, których dotąd nie wyrzuciła, czuła przyjemne ciepło i senność.

— Dobrze mi z tobą — wyszeptala, ale on już zasnął. Czasami, kiedy sobie o mnie przypomnisz, całkiem mi z tobą dobrze, powtórzyła w myślach. I czego ja jeszcze szukam? Za czym gonię?

— Proszę mi oddać listy — Reutowicz stał tak blisko, że trudno jej było go wyminąć.

Powiedziała Józefowi, że idzie do przymiarki, i kiedy przechodziła przez apteczny korytarzyk, natknęła się na Reutowicza, który najwyraźniej czekał na odpowiedni moment, żeby z nią porozmawiać.

— Nie zamierzam z panią dyskutować. Proszę oddać listy, nie były przeznaczone dla pani — powiedział cicho, półgłosem, i zabrzmiało to jak groźba.

— Nie. Niczego nie oddam — odpowiedziała stanowczo, a jej oczy przybrały granatowy odcień, jakby zachodziła w nich jakaś reakcja chemiczna.

Reutowicz wyglądał na zniecierpliwionego.

— Proszę mi oddać, a ja zapomnę o pani znajomym.

Spojrzała na niego zniesmaczona.

— Jest pan wstrętny. Nie mam ochoty z panem rozmawiać.

— Mimo wszystko ja dotrzymuję słowa.

Wzruszyła ramionami. Po co się z nim spierać, za kilka dni wyjedzie i nie będzie go widywała przez całe lato, a przez ten czas wiele się może zdarzyć.

— Może kiedyś panu oddam — dodała. — Teraz się spieszę.

— Za godzinę na skwerku przy Rycerskiej. I proszę przynieść listy, w przeciwnym razie porozmawiam z Józefem — powiedział stanowczo i wrócił do biura.

— Nic z tego — rzuciła za nim.

Nie odpowiedział, nie odwrócił się, nawet nie drgnął, jakby nie uznawał odmowy. Boże, co za okropny człowiek i czego on ode mnie chce, zastanawiała się zaskoczona takim obrotem sprawy. Przez godzinę biła się z myślami; nie wiedziała, czy Reutowicz może spełnić swoją groźbę, pewnie tak, więc może lepiej oddać mu listy i po kłopotcie. Ale dlaczego chciał, żeby przyszła na skwerek? Gdyby chodziło mu tylko o listy, to nie miałyby sensu, mogła mu je oddać nawet w aptecze. Więc co mu przyszło do głowy? W tonie jego głosu było coś, czego nie mogła zlekceważyć. Zamyślona zmierzyła sukienkę, godząc się na wszystko, co zaproponowała krawcowa. Przestała ją to interesować. Niespokojnie patrzyła na zegar na wieży zamkowej. Kiedy zbliżała się wyznaczona pora, z duszą na ramieniu ruszyła na Rycerską.

Zasadniczo to nie był skwer, tylko skrawek ziemi między starymi murem obronnym a zabudowaniami klasztoru świętej Elżbiety, zarośnięty żółknącą trawą, przywiedłymi ślazami, kępami bylicy pospolitej i rdestu. Kiedyś stały tam rudery, w których mieściły się najgorsze spelunki i lupanary,

mury przeżarte chorobą, rozpustą i grzybem. Po ich wyburzeniu miejsce nadal nie cieszyło się dobrą sławą i zazwyczaj w ciągu dnia było pustawę, zaglądał tam co najwyżej stary człowiek z psem, czasami niańki z dziećmi i południowy wiatr, niosący głosy klasztornych modlitw, zapachy z garkuchni i prania. Wieczorem, blisko zmroku, na skwerek schodzili się amatorzy biesiad i miłości w plenerze.

O czwartej po południu skwerek był niemal pusty, na ławeczce pod murem klasztoru siedział starszy mężczyzna, który wypalił dwa papierosy i zastanawiał się nad trzecim, a być może także nad ulotnością i przemijaniem życia. Kilka metrów od ścieżki, na wyszczerbionym murku, zapominając o sztywnej powadze, siedział Reutowicz. Zastanawiał się, czy zapalić, a gdy dostrzegł nadchodzącą Leę, zrezygnował i schował papierośnicę do kieszeni.

— Rozsądek zwyciężył? Ma pani listy? — zapytał, nie siląc się na słowo powitania. Wstał jednak, kiedy podeszła do niego bliżej.

— Dał mi pan za mało czasu, nie miałam możliwości ich wyciągnąć — w takich okolicznościach kłamstwo łatwo jej przyszło.

— Wymówka, jak zawsze. Odda mi pani jutro — popatrzył na nią, wzrok miał kłujący jak igła, przenikliwy. — Wierzę, że pani to zrobi — dodał spokojnie — że będzie pani mogła to zrobić, zanim zdecyduję się porozmawiać z Józefem.

— Chyba nie musiałam tu przychodzić, żeby pan mi o tym powiedział — zauważyła niezadowolona z tego pomysłu.

— Jeszcze nie skończyłem — dodał z niewzruszoną miną. — Pani wybaczy, pozwolę sobie na szczerość i niedelikatność, ale cel uświęca środki. Wydaje się pani, że jest absolutnie dyskretna i nikt nie dostrzega pani zainteresowania tym młodym człowiekiem. Łudzi się pani. Jeśli to nie będę ja, to ktoś inny powie o nim Józefowi albo on sam się połapie. Nie zauważyła pani, jaki zrobił się ostatnio podejrzliwy? Nawet mi nie ufa. Niech pani uważa, stąpa pani po kruchym lodzie, a ja już kiedyś widziałem, czym to się kończy.

— Nie wierzyła własnym uszom, z jakiej racji ten typ ją poucza.

— Dobre rady niech pan zachowa dla siebie — zmarszczyła gniewnie brwi. — To już wszystko, co chciał mi pan powiedzieć?

— Naprawdę nie życzę pani źle, dlatego pozwoliłem sobie na te uwagi — odparł, wpatrując się w nią poważnie, jakby chciał ją przywołać do porządku. — Powinna pani zapomnieć o panu Fiszerze i zadbać o Józefa, wyjechać z nim na lotnisko i nie dawać mu więcej powodów do podejrzeń i zazdrości. — Teraz wzrok miał obojętny, wypalony, jakby widział już wszystkie pożary świata i był zbyt zmęczony, żeby bawić się w uprzejmość. — Pani Leo, ja wiem, do czego zdolny jest Józef, wiem, że potrafi być wyjątkowym draniem. Proszę mi wierzyć.

— Bez przesady, panie Reutowicz, nie musi mnie pan straszyć, lepiej niech pan zajmie się swoimi sprawami — odparła rozdrażniona. — I jeszcze jedno, jak dotąd byłam dla pana panią Klonowską i wolę, żeby tak zostało — dodała ostro, odwróciła się, szeleszcząc popielatą suknią, i zatrzymała się w pół kroku.

Przed nimi jak spod ziemi wyrósł Józef. Na jego obliczu nie było ani cienia przyjacielskiego uśmiechu. Aż kipiał z wściekłości. Bez słowa podszedł do Reutowicza i z całej siły rąbnął go pięścią w twarz. Reutowicz zachwiał się; nie upadł, nie podniósł kapelusza, który zleciał mu z głowy, tylko stał jak ogłuszone zwierzę, pod którym zaraz ugną się nogi. Józef nie czekał na to, uderzył go jeszcze raz. Reutowicz znów się zachwiał, podparł o mur i zastygł w bezruchu, próbując otrząsnąć się z bólu. Powoli otarł ręką krew, która ciekła mu z nosa, i osunął się między ślazy i zakurzone piółuny.

Lea stała jak słup soli, dopiero po chwili wykrztusiła:

— O Boże! — nie mogła uwierzyć własnym oczom. Patrzyła to na Józefa, to na Reutowicza i nie mogła pojąć, co się stało. — Oszalałeś! Co w ciebie wstąpiło?

Józef rozmasował rękę i poprawił marynarkę; jego ruchy nadal były nerwowe, drapieżne. Lea chciała podejść do Reutowicza. To był zwykły odruch, ale Józef ścisnął jej ramię i pociągnął za sobą.

— Idziemy! — powiedział tonem nieuznającym sprzeciwu.

— Przestań mnie szarpać, uspokój się i zobacz, czy nic mu nie zrobiłeś — denerwowała się coraz

bardziej.

— Nic mu nie będzie — odparł ostro, nie oglądając się na byłego przyjaciela.

Lea jednak się oglądała, ale Józef ciągnął ją do domu, mocno ściskając jej ramię, jakby się bał, że mu ucieknie. Dopiero gdy znaleźli się w mieszkaniu i Józef zamknął drzwi przed wścibską Agatą, wydusił z siebie:

— Ty i Reutowicz! Tego się nie spodziewałem! Jak mogłaś! Jak mogłaś zrobić mi coś takiego? — głos miał zupełnie nieswój, jakby to on dostał w twarz i nie mógł mówić przez opuchnięte wargi.

Nie mogła tego słuchać.

— Oszalałeś! Co ci przyszło do głowy, o co ty mnie podejrzewasz? Rozmawialiśmy o tobie — tłumaczyła. — Powiedział, że jesteś przemęczony, że powinnam namówić cię na wyjazd — patrzyła na niego, próbując uchwycić jego spojrzenie, żeby przekonać go, że mówi szczerą prawdę, a w jej oczach, tak jak i w duszy, nie ma ani cienia fałszu i występnych myśli. — Nie chciał, żebyś o tym wiedział, dlatego czekał na mnie na skwerku, a ty go pobiłeś — głos drżał jej z emocji i wznosił się niebezpiecznie w górę. — Nie mogę w to uwierzyć, to jakiś absurd! Jak mogłeś go uderzyć!?

Ale Józef był zbyt wzburzony; nie dał się przekonać, krążył po pokoju jak rozdrażnione zwierzę w klatce.

— Może tobie tak powiedział, a ty jesteś naiwna i wierzysz we wszystko, co ci mówią, ale ja wiem, co mu chodziło po głowie — mówił szybko, ze złością, która zmieniła jego twarz w groźną i zaciętą. — I nie broń go, bo pomyślę, że ty też nie jesteś bez winy! Sama niedawno mówiłaś, że nie daje ci spokoju.

— Nie w tym sensie. Nie, Józef, chyba nie myślisz, że mogłabym się z nim spotykać? To jest niedorzeczne. Jak mogłeś tak pomyśleć — powtarzała roztrzęsiona i zdezorientowana absurdem tej sytuacji. Usiadła na krześle, czuła się bezsilna, jakby uszło z niej powietrze.

Józef nie miał jednak żadnych wątpliwości; widział to, co widział, ją i swojego najlepszego przyjaciela, który właśnie przestał nim być. Czuł się podwójnie zdradzony, a to było wyjątkowo ciężkie doznanie, podwójny dyshonor i wstrząs dla jego dobrego, ufego serca.

— Gdyby był niewinny, toby się bronił, a on nawet się nie cofnął. Nie powiedział ani słowa wyjaśnienia.

— Nie spodziewał się, że możesz zrobić coś takiego, że zachowasz się tak wstrętnie — powiedziała zdenerwowana i rozczarowana.

Właściwie powinna być zadowolona; wyglądało na to, że skończyła się przyjaźń Józefa z Reutowiczem, ale wcale jej to nie cieszyło. Czuła się paskudnie, jakby była temu winna, i nie wiedziała, jak odkręcić nieporozumienie, a raczej całą aferę. Jeszcze raz spróbowała przemówić Józefowi do rozsądku; powiedziała, że jego podejrzenia są absurdalne, ale on trwał przy swoim. Już jakiś czas temu zauważył, że Lea jest dziwnie rozkojarzona, i obwinił o to Reutowicza, który w jego przekonaniu nagabywał ją i wodził na manowce. Był tak zaciętrzewiony, że żadne argumenty go nie przekonywały, i kiedy Lea próbowała coś powiedzieć, jeszcze bardziej się irytował. Nie chciał o niczym słyszeć, krążył nerwowo po pokoju. Jego „nie” było absolutne, napuchnięte do granic możliwości.

— Dowiedz się przynajmniej, czy za mocno go nie poturbowałeś — prosiła głosem łagodnym i wciąż drżącym ze zdenerwowania.

— Więc on cię interesuje? — popatrzył na nią podejrzliwie, gotowy dalej snuć swoje spiskowe teorie.

Spojrzała mu w oczy.

— Interesuje mnie, czyś mu nie połamał szczęki. To nie byłaby dobra reklama dla apteki — odparła, próbując go przekonać, że nie ma w tym ani krzty zdrożnego zainteresowania.

Nie. Zazdrość i urażona duma nie pozostawiały miejsca na wątpliwości ani żal, wyrzuty sumienia i tym podobne sprawy. Rozcierając nadwerżone kłykcie prawej dłoni, Józef, nadal pełen złości, powiedział, że chętnie jeszcze by mu przyłożył, z całą przyjemnością strzeliłby swojego byłego przyjaciela w pysk, a nawet wybiłby mu kilka zębów, bo w pełni na to zasłużył.

Dała spokój; uznała, że musi przeczekać, aż Józef ochłonie i przejrzy na oczy. Wtedy zrozumie,

co zaszło, ona wszystko mu wytłumaczy, oczywiście nie przekraczając pewnych barier szczerości i rozsądku.

Następnego dnia o Reutowiczu nie było żadnych wiadomości. Józef też nie wspominał o nim, jeszcze mu nie przeszło. Lea zajęła się pracą w aptece, ale szło jej opornie; nie mogła zapomnieć o awanturze i nie mogła rozgryźć Reutowicza. Dlaczego nie zaprzeczył, dlaczego się nie bronił i niemal nadstawił drugi policzek? Co on świętego udaje? I jak to się skończy, kiedyś muszą się chyba pogodzić. Ale ją z pewnością znienawidzi za to, że była świadkiem tej sceny.

Pomyślała, że w jednym Reutowicz miał rację, Józef potrafił być nieprzyjemny, wołała nawet sobie nie wyobrażać, co by było, gdyby dowiedział się o Janie. Co za szczęście (jeśli można tu w ogóle mówić o szczęściu), że trafił akurat na Reutowicza, ale musiał coś podejrzewać, bo skąd by się tam wziął, co mu strzeliło do głowy?

W czwartek sukienka była gotowa. Spódnica z rozszerzonym dołem ładnie się układała, góra miała lekko bufiaste rękawy. Wszystko było tak jak trzeba, nieprzesadnie, w sam raz na wyjazd na letnisko; gdyby było chłodno, mogła zarzucić na siebie szydełkową chustę z egipskiej bawełny w kolorze kwiatów cykorii. Pomyślała, że założy ją na wieczór, żeby Józef mógł ją zobaczyć. Liczyła na to, że miła kolacja poprawi mu humor po awanturze z Reutowiczem. Kazała Agacie przygotować pierogi z jagodami, z cukrem i ze śmietaną, tak jak lubił. Wieczorem, gdy skończyła pracę na recepturze, zajrzała do laboratorium.

— Nie siedź dziś długo, zaraz będzie kolacja — prosiła.

— Zaraz kończę — rzucił jej, wpisując coś do księgi rachunkowej. — Tymon ma jeszcze klienta, ale to już chyba ostatni. Pozamykam i przyjdę za jakiś kwadransik. Słyszałem, że będą pierogi — dodał, dając do zrozumienia, że życie wraca do normy, a on odzyskuje właściwy ogląd rzeczy.

Poszła na górę, przebrała się w nową suknię, upięła starannie włosy, przymierzyła chustę i czekała. Po półgodzinie pomyślała, że obiecany kwadransik trwa zbyt długo. Przyzwyczała się już do tego, że Józef tracił poczucie czasu, ale dziś miało być inaczej, miał zjeść z nią miłą kolację, wszystko było już naszykowane, pierogi czekały. Zniecierpliwiona postanowiła przypomnieć mu o sobie. Gdy zeszła i uchyliła drzwi do apteki, coś było nie tak, wszędzie zalegała niepokojąca cisza.

— Józef! — zawołała. — Józef!

Nie odpowiedział. Drzwi od izby ekspedycyjnej były uchylone. W migającym świetle naftowej lampy zobaczyła wywrócony taboret, rozbity stół z anyżowymi cukierkami na kaszel. Na podłodze leżały rozsypane recepty. Serce zaczęło jej łomotać. Musiało stać się coś niedobrego.

— Józef! — zawołała zaniepokojona.

Szybko przeszła do biura. Tam też go nie było, a pomieszczenie wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan; szuflady biurka były wybebeszone, część dokumentów i ksiąg poniewierała się na podłodze. Co tu się stało? Niepewna ruszyła do laboratorium, czując coraz silniejszy niepokój. Otworzyła drzwi, stanęła w progu i oświetliła wnętrze, unosząc lampę. Płomyk pod kloszem lekko zafalował. Okno od podwórza było uchylone, mimo tego w powietrzu unosił się lekki zapach kamfory. Na podłodze leżały rozrzucone próbki ziół i lekarstw. Wyglądały, jakby ktoś chciał je tam zasiać, by rozrosły się w niedostępny gąszcz. Nie miała odwagi wejść do środka, bała się, że w mroku ktoś się czai. Musiała wziąć się w garść, niepewnie postąpiła kilka kroków i przystanęła jak rażona gromem. Najpierw dostrzegła jego stopy w butach z jasnego zamszu, potem całą postać. Leżał na podłodze za stołem, nie poruszał się. Serce podeszło jej do gardła, jakby zaraz miała je wypluć. Boże, co się stało? Nachyliła się nad Józefem i próbowała go ocucić.

— Józef! — powtarzała coraz głośniejszym głosem jego imię. — Józef! — Nie reagował. Potrząsnęła go lekko za ramię, dotknęła szyi i zobaczyła krew na białym kołnierzyku koszuli. Nie było jej dużo, sączyła się z rozbitej głowy Józefa.

Poderwała się i pobiegła po pomoc. Razem z Agatą narobiły takiego rabanu, że cała kamienica dowiedziała się o nieszczęściu. Lea zadzwoniła po doktora Mrozewicza, stróż zawiadomił policję,

a jego syn pobiegł po Reutowicza.

Józefa zaniesiono na górę i położono na łóżku; wkrótce odzyskał świadomość, ale leżał bezsilny, jakby przytłoczony wielkim ciężarem, i nic nie mówił. Rana na głowie nie wydawała się poważna, było trochę krwi i guz, nie wyglądało to groźnie. Ale jak to się stało? Może się przewrócił i uderzył o kant stołu? Lecz tego bałaganu nie zrobił sam, pomyślała, musiał tam ktoś być.

Doktor długo go badał, miał poważną minę. Poprosił Leę na stronę i powiedział ściszym głosem, żeby chory nie usłyszał:

— Pani Leo, przyznam, że jestem bardzo zaniepokojony. Pani mąż ma rozbitą głowę, widocznie o coś uderzył, ale to nic takiego — zawiesił głos. — Martwi mnie jego serce, zdaje się bardzo słabe.

Lea słuchała, czując coraz większy niepokój.

— Co to znaczy?

— Miał atak sercowy, to poważna sprawa. Musi mieć absolutny spokój. Wypisałem receptę — podał jej kartkę i wytłumaczył, jak ma pielęgnować chorego. Obiecał, że wróci rano. — Pani Leo, stan jest poważny — powtórzył, patrząc jej w oczy. — Zalecam absolutny spokój, żadnych wzruszeń.

Słuchała doktora, ale docierały do niej tylko fragmenty zdań, wrywki, które z trudem układała w całość. To było takie nierealne, wydawało się jej, że to nie dotyczy Józefa. Człowiek, który leżał bezsilny na łóżku i ciężko oddychał, wydawał się kimś innym, niemal obcym. Po wyjściu doktora wróciła do sypialni, podeszła do Józefa i nachyliła się.

— Boli cię coś? — zapytała, patrząc na niego zatroskana i przestraszona.

— Nie, już nie — głos miał cichy, jak szelest kartek.

— Co się stało?

Pokręcił nieznacznie głową.

— Nie wiem.

— Nieważne. Postaraj się zasnąć — powiedziała, trzymając jego dłoń, która teraz wydawała się zimna i nieczuła.

Usiadła koło niego na skraju łóżka. Nie wiedziała, co robić. Reutowicz nie przyszedł, można się było tego spodziewać, ale trzeba było przygotować lekarstwa i podać je Józefowi, który zdawał się drzemać, może zasnął. Po cichu wyszła z pokoju, powiedziała Agacie, żeby czuwała nad chorym, a sama wzięła receptę i zeszła na dół. Była niespokojna, obeszła aptekę i sprawdziła, czy drzwi i okna są pozamykane, potem otworzyła szafkę z silnie działającymi środkami, wzięła z niej potrzebne składniki i zaczęła przygotowywać pigułki i krople nasercowe, tak jak ją uczył Józef, kilka razy sprawdzając, czy się nie pomyliła. Odetchnęła głęboko, chciała pozbyć się napięcia, ale ręce nadal drżały jej z niepokojem. Przeżegnała się i licząc na wsparcie z Nieba, zabrała się do pracy. Najpierw zrobiła pigułki. Wytarowała wagę, wzięła do ręki szczypczyki i w skupieniu zaczęła kłaść na szalce odważniki cienkie jak wiosenne listki; na drugą szalkę nakładała sproszkowaną naparstnicę, sypiąc ją wąską metalową szpatułką. Potem działała już pewniej, zapominając na chwilę o tym, co się stało. Dodała masło kakaowe i lanolinę, wyrobiła masę i zrobiła pigułki, ładne i równe, jakie nigdy dotąd nie wyszły spod jej ręki. Z takim samym skupieniem przygotowała krople. Wróciła z lekami na górę i podała je Józefowi. Siedziała przy nim całą noc. Nawet się nie przebrała, wzięła tylko modlitewnik, ten od ciotki, i zaczęła odmawiać litanie i modlitwy, w których mieściły się wszystkie prośby, i o zdrowie, i o dobrą śmierć. Może powinnam posłać po księdza, pomyślała, ale natychmiast odrzuciła tę myśl. Nie trzeba przesadzać, wywoływać wilka z lasu. Choroba jest poważna, ale nie aż tak.

Rano przyszedł doktor Mroziewicz, ponownie zbadał Józefa, osłuchiwał, mierzył puls i znowu powtórzył to samo, że serce słabe i że trzeba je oszczędzać.

— Bezwzględnie musi leżeć, trzeba mu zapewnić spokój. Żadnej policji, żadnych pytań — mówił poważnym głosem. — Pani też powinna odpocząć, przespać się — spojrzał na nią z zatroskaną miną. Cień niepokojem wyostrzył mu rysy.

— Ja jestem silna — odpowiedziała pewnym głosem. Muszę być, dodała w myślach.

Nie miała czasu na to, żeby się zdrzemnąć, trzeba było postanowić, czy otworzyć aptekę. Tymon już przyszedł, uprzątnięto zdemolowane pomieszczenie. Przed drzwiami pojawili się pierwsi klienci

i gapie, bo wieści o włamaniu do apteki już się rozniosły po okolicy.

Lea pomyślała, że musi odłożyć wyjazd do Otwocka, zawiadamiając Helenę i Leona. Zeszła na dół i stanęła tuż przy schodach, ale nie mogła się przemóc, żeby pójść dalej. Dopiero gdy usłyszała rozmowę Szymona ze służącym, weszła do środka.

— Co będzie z moją praktyką, jak stary umrze? — zastanawiał się Szymon. — Doktor już wyglądał jak żałobnik.

To jej się nie spodobało. Weszła i przypomniała im o obowiązkach. Kazała pozbierać rozsypane lekarstwa i uporządkować słoje na półkach, sama zabrała się do układania recept, które Szymon zebrał z podłogi. Tymon sprawdzał braki na ekspedycji, w magazynku i piwnicy. Potem podszedł do niej i ze zboląłą miną powiedział:

— Zabrali wczorajszy utarg i trochę leków, eter, spirytus. Nie wiem, co z laboratorium — na chwilę zawiesił głos. — Nie mogę w to uwierzyć. Gdybym został chwilę dłużej, może nic by się nie stało, ale prowizor powiedział, żebym już szedł, że on pozamyka. I poszedłem. Włamywacz musiał na to czekać, pewnie wszedł, gdy tylko ja wyszedłem. Może prowizor sam go wpuścił. A gdybym został... — zawiesił głos i pochylił głowę, wciskając ją w ramiona, co sprawiło, że wyglądał jak przestraszony żółw. Z nieszczęśliwą miną wpatrywał się w podłogę. A potem znów spojrzał na Leę błagalnym wzrokiem, jakby prosił, żeby mu uwierzyła.

— Ja nikogo nie widziałem, przed wyjściem nikogo nie było.

— Może weszli tylnym wejściem albo przez okno?

Tymon kręcił bezradnie głową.

— Nie wiem. Nikogo nie widziałem...

— Rozmawiał pan z policją? — starała się opanować zamęt, który narastał w jej głowie.

— Tak, już wszystko im opowiedziałem. Poszli teraz do stróża, ale przyjdą i do pani.

I rzeczywiście, nie minęło pół godziny, jak na górze pojawił się rewirowy, niebudzący sympatii człowiek w średnim wieku, który ze znudzoną miną wysłuchał opowieści Lei o wydarzeniach wczorajszego wieczoru.

— Nikogo podejrzanego pani nie widziała? — zapytał, patrząc na nią zaczerwienionymi z niewyspania oczami.

— Nie, nikogo — zapewniała, a on zanotował to w kajecie: jednocześnie badał językiem przerwę między zębami, co pochłaniało jego uwagę w równej mierze co śledztwo.

Koło jedenastej do apteki wpadł Reutowicz. Z zasiniałym okiem i opuchniętą rozciętą wargą nie prezentował się najlepiej, głos miał nieco zachrypnięty, ale donośny, wszędzie go było słyhać.

— Co się dzieje? Co z Józefem? Chyba nic poważnego? — dopytywał się, zatrzymując Leę w przejściu. — Muszę z nim pomówić.

— Nie teraz. Doktor zalecił spokój, absolutny spokój — powiedziała ściszym głosem, jakby i w aptece musiały obowiązywać zalecenia doktora. — Proszę pana na górę. Nie chcę tu rozmawiać — ruszyła w kierunku schodów.

— Dobrze, za moment przyjdę — powiedział. — Sprawdź, co tu się dzieje.

Przyszedł po paru minutach; Lea chciała prosić go dalej, ale on już w przedpokoju zaczął ją wypytywać.

— To coś z sercem? Widziałem recepty od Mroziewicza. Dlaczego nikt wcześniej mnie nie zawiadomił! — zapytał z chmurną miną.

Irytował ją.

— Pan zawsze ma o coś pretensje. Posłałam po pana wieczorem, ale pana nie było.

— Musiałem wyjść, trzeba mi było zostawić wiadomość — mruknął, nieprzekonany, czy Lea mówi prawdę. — Co powiedział Mroziewicz?

— Że to serce, a rana na głowie nieistotna — powtórzyła słowa doktora, patrząc na Reutowicza z mieszaniną gniewu i ulgi, że w końcu przyszedł i zajmie się apteką.

— Ale jak to się stało? Może mi pani w końcu powie, co tu zaszło.

Przeszli do pokoju; opowiedziała mu, jak znalazła Józefa, głos jej drżał, kiedy o tym mówiła. Nie

wdawała się w szczegóły, bała się, że się rozplacze. Słuchał jej z coraz bardziej przygnębioną miną, bezwiednie dotknął dłonią opuchniętej twarzy i zapiął kołnierzyk pod szyją. Zazwyczaj elegancko ułożone włosy opadały mu teraz na czoło. Dziwne, że w takich chwilach dostrzega się nieistotne szczegóły, pomyślała.

— Teraz odpoczywa, drzemie. Kiedy się przebudzi, powiem, że pan przyszedł, i zapytam, czy chce z panem rozmawiać, ale nie będę nalegać. Pan rozumie — powiedziała zmęczonym głosem. — A pan jak się czuje?

— Wybornie, tak jak i wyglądam — prychnął, jakby to była jej wina.

Nie wiedziała, co mu powiedzieć, zagryzła wargę.

— Panie Reutowicz, przykro mi z powodu tej awantury, ale gdyby Józef z panem rozmawiał, proszę go nie denerwować. Może lepiej, żeby pan nie wspominał o tym... nieporozumieniu. Próbowałam mu wyjaśnić, że pan nie miał złych zamiarów, ale nie wiem, czy uwierzył. I proszę go nie męczyć.

— Naturalnie — kiwnął potakująco głową. — Zajmę się apteką, Józef nie musi się o nic martwić. Gdybym był w czymś pomocny, może pani na mnie liczyć — dodał grzecznościowo i wyszedł, cicho zamykając drzwi.

Wróciła do sypialni, jej miejsce było obok Józefa. Siedziała z nim, aż się przebudził. Mówił z trudnością, jakby coś mu przeszkadzało w gardle.

— Boli cię? — dopytywała się.

— Nie — starał się nawet uśmiechnąć, położył rękę na piersi — już mniej. A Reutowicza nie było?

— Był, chciał cię widzieć. Jest teraz w aptece, zaraz go zawołam, jeśli chcesz.

Przytaknęła. Po Reutowicza wysłała Agatę. Od razu przyszedł, więc zostawiła go z Józefem, a sama poszła do drugiego pokoju i usiadła przy stole. Czowała się jak ogłuszona, powoli docierało do niej, że jej świat może za chwilę rozpaść się na kawałki, jak zioła i próbki leków rozsypane w laboratorium. Musiała się zdrzemnąć, bo kiedy podniosła głowę, słońce zniknęło z okna. Zaraz do jej świadomości dotarł niepokój o Józefa. Poderwała się i poszła do sypialni. Leżał i wydawało się, że śpi, ale gdy podeszła bliżej, otworzył oczy. Mówił tak cicho, słabym głosem, że musiała się nad nim nachylić, żeby coś zrozumieć.

— Posłuchaj — wyszeptał. — Gdyby coś mi się stało...

— Ale co ty mówisz! — zaczęła się denerwować, nie dopuszczała do siebie takiej myśli. Lepiej nie przywoływać śmierci, nie wymawiać jej imienia ani imion tych duchów, które czekają tuż za progiem — przypominała sobie trwożne przestrogi znane chyba każdemu.

— Gdyby coś się stało — powtórzył — Reutowicz ci pomoże. Zaufaj mu.

— Przecież... — chciała zaprotestować, dlaczego on, jak może ufać komuś takiemu, ale tylko odparła uspokajającym tonem: — Poleżysz w spokoju kilka dni, dojdiesz do siebie, a on przez ten czas zajmie się apteką. Już o tym nie myśl.

— Zaufaj mu — powtórzył, wpatrując się w nią z oczekiwaniem.

— Dobrze, obiecuję — odparła, dodając w myślach, że Bóg może wybaczyć jej i to kłamstwo. — Tylko leż spokojnie, doktor mówił, że nie możesz się męczyć ani denerwować.

Znów przymknął oczy. Sięgnęła po modlitewnik i zaczęła szeptać litanie, szeregi uspokajających słów przywoływanych w złych godzinach, powtarzanych przez ciotkę, babkę i pewnie prababkę szeptem sprawdzającym ukojenie. Modliła się żarliwie, z całego serca, wierząc, że jej prośby zostaną wysłuchane, Józef wyzdrowieje i wszystko będzie jak dawniej, jak zwykle. Po jakimś czasie Józef znów się przebudził.

— Podaj mi klucze — poprosił.

Zwykle miał przy sobie pęk kluczy, nosił je w kieszeni spodni przytroczone do paska, jak zegarek na dewizce. Lea odczepiła je i podała. Wskazał jej mały kluczyk o wygiętej krzywo główce.

— W zegarze jest trochę gotówki — powiedział cicho. — W kopercie, przyklejone w środku.

— Ale po co? — chciała powiedzieć, że to niepotrzebne, bo on niedługo wyzdrowieje, zejdzie do apteki, zajmie się badaniami.

— Przyda ci się — mówił z wysiłkiem.

— Dobrze, tylko leż spokojnie — prosiła. Podała mu lekarstwo, poprawiła pościel, potem przygotowała herbatę, którą tak lubił.

— Gorzka — skrzywił się i opadł na poduszki. Po chwili, nie podnosząc głowy, zapytał: — Lea, nigdy mi nie powiedziałaś, po co ty piłaś piołun?

Przyjrzała mu się uważnie: był blady, bardzo blady, jego twarz przypominała woskowe wotum, ale patrzył na nią przytomnie i oczekiwał odpowiedzi.

— Babka i ciotka mówiły, że to na zapomnienie — odparła, czując ciężar każdego wypowiedzanego słowa.

— O kim chciałaś zapomnieć?

— O ojcu, o starym domu, o Adasiu, o nich wszystkich. Ale to już nieważne. Odpoczywaj, nie męcz się.

Chwilę milczał, a potem wyszeptał:

— O mnie też zapomnij.

— Co ty mówisz? — zaprotestowała i pierwsze łzy zeszkliły jej oczy. — Nie, nie zapomnę.

Więcej się nie odezwał. Jego dusza wyparowała jak olejek eteryczny ze źle zakorkowanej flaszeczki. Lea siedziała obok i trzymała go za rękę, która stawała się coraz chłodniejsza. Potem, kładąc palce na jego powiekach, zamknęła mu oczy. Długo płakała, opierając czoło na jego piersi. W końcu podniosła się, podeszła do zegara, weszła na stojące pod nim krzesło i zatrzymała wahadło. W tym domu czas się zatrzymał, pomyślała, chociaż nie była pewna, czy to jej się nie śni. To niemożliwe, to nieprawda, to sen, powtarzała sobie.

Razem z Agatą zasłoniły okna i lustra, a w końcu, gdy ciało jeszcze nie straciło swojej giętkości, umyły Józefa wodą z octem i przebrały do trumny w najlepsze ubranie, odświętne, które zwykle zakładał na ważne posiedzenia w Towarzystwie. Buty też dały mu porządne, a Agata przeczyściła je, żeby były eleganckie jak trzeba.

Po śmierci Józef wydawał się ciężki i nieporadny, nieodporny na chłód, który przemieniał go w gipsową figurę podobną do świętych noszonych podczas procesji. Trzeba było uważać, żeby go nie uszkodzić. Z trudem zakładały na niego ubranie, Lea nie chciała jednak nikogo do pomocy. Po co będą mi się kręcić obcy ludzie, pomyślała. W domu zmarłego powinna panować cisza. I była cisza; wszystkie dźwięki, które docierały z zewnątrz, momentalnie gasły. Słysząc tylko głos Agaty, która zawodziła:

— *Dobry Jezu, a nasz Panie...*

— *Daj mu wieczne spoczywanie* — dokończyła Lea.

Głos miała niepewny, zmęczony, jakby wciąż była na granicy snu i jawy. Miała wrażenie, że stała się manekinem pozbawionym emocji.

Kiedy skończyły, Lea postanowiła pożegnać się z mężem. Zeszła do apteki i ze starego repozytorium wzięła drobiny ziół, żywic i olejków. Wróciła z nimi do Józefa. Tak jak kiedyś on rysował na jej ciele mapę zamorskich surowców, tak ona palcem umoczonym w olejku makowym musnęła mu powieki, żeby dobrze spał przez wieczność, zamknęła mu uszy kryształkami wonnej żywicy benzoesowej, a w usta włożyła pastylkę z miodu i wosku, jaką daje się dzieciom, gdy boli je gardło; zimne czoło naznaczyła kamforą, nos — olejkiem miętowym, a piersi kroplą aptecznego kordiału i esencji z herbaty, żeby na zawsze uwolnić go od trosk i wszelkich boleści, i tęsknoty za tym, co minęło. Nic więcej nie mogła dla niego zrobić.

— Trzeba pomyśleć o żałobie — przypomniwała Agata, pomagając Lei zdjąć niebieską suknię i włożyć strój, który miała na pogrzebie ciotki Anastazji. To nie była żałoba odpowiednia dla wdowy, ale na razie musiała wystarczyć.

— Nie ma rady, trzeba oddać sukienki do farby — stwierdziła Lea i zaczęła wybierać ubrania, które Agata zaniósła potem do farbiarza.

Wcześniej rano przyszedł doktor, powiedział kilka słów pocieszenia i podpowiedział, co dalej robić w sprawie pogrzebu. Zaraz po nim zjawił się Reutowicz. Wszedł oficjalnie przez frontowe drzwi, jakby już wiedział, co się stało. Strój też miał żałobny, ale on zazwyczaj chodził ubrany w staroświecki

czarny surdut.

— Więc umarł? — zapytał, widząc Leę w czarnej sukni i z zaczerwienionymi od płaczu oczami.

Lea tylko skinęła głową. Chwilę milczała, zamyślił się, a w końcu powiedział coś o długoletniej przyjaźni z Józefem, której nie zniszczyły chwilowe nieporozumienia, i że będzie mu go brakowało. Potem, jakby z obowiązku, złożył jej sztywne kondolencje i zaproponował swoją pomoc w sprawach pogrzebu.

— Jeśli pani pozwoli, zajmę się pogrzebem, mam w tych sprawach pewne doświadczenie, przetarłem już szlaki — powiedział poważnie, z wyrazem współczucia na twarzy nadal naznaczonej niedawną scysją z Józefem.

Przyjęła jego pomoc jako coś oczywistego i nieuchronnego, sama czuła się bezradna i zmęczona, nie miała siły, żeby coś postanowić. Po południu zjawił się Leon. Był wstrząśnięty, kiedy zobaczył Leę w czarnej sukni i usłyszał, co doprowadziło do nieszczęścia. Zaproponował, żeby przeniosła się do nich.

— Nie możesz teraz być sama — powiedział ciepłym tonem.

Rozpłakała się, a wraz ze łzami wylewała z siebie strach i napięcie ostatnich dni. Jeszcze nie mogła uwierzyć, że Józef zostawił ją samą. Czuła się oszołomiona, jakby nagle znalazła się w innym świecie, powoli uświadamiała sobie, że śmierć Józefa oznaczała dla niej utratę gruntu pod nogami. Nie miała już nikogo bliskiego, tylko Leon jej pozostał, on był kimś, komu mogła zaufać. Marianna wyjechała, Jan był we Lwowie, a Felutka w Kijowie, zbyt daleko, żeby wybrać się na pogrzeb. Zostali jej Leon i Helena, i siostra, która miała niebawem przyjechać.

Czarny wdowi welon, który Lea kupiła w magazynie strojów żałobnych przy Długiej, zasłaniał jej twarz i ramiona. Czuła się za nim bezpiecznie, jak za weneckim lustrem, chronił ją od współczujących i ciekawskich spojrzeń ludzi, którzy przyszli pożegnać Józefa.

Pogrzeb był bardzo uroczysty, można powiedzieć, że zorganizowany z rozmachem. Do Lei niewiele z tego docierało poza tym, że nie ma już Józefa. Była zmęczona i ośpiąta (wcześniej wypita naparstek koniaku dla kurażu), ale kiedy Reutowicz zaczął śpiewać w kościele żałobne *requiem*, a śpiewał tak, że serce pękało z bólu, pomyślała: jak to dobrze, że Józef nie złamał mu szczęki, i rozpłakała się, a z nią płakała Helena i pół katedry. Agata zawodziła jak zawodowa płaczka, starając się zagłuszyć Jaszową, która nie żałowała łez, bo jak tu nie płakać po takim uczciwym i dobrym człowieku jak pan Klonowski, co nie zapominał o biedakach.

Na cmentarzu nikt już nie płakał, postawny jegomość z Towarzystwa Aptekarskiego przemawiał głosem pełnym powagi, rozwódził się nad zasługami i zaletami Józefa, które były tak liczne, że mówił bardzo długo, a jego słowa niemal roztapiały się w gorącym powietrzu.

— Cześć jego pamięci! — zakończył nagle, co zabrzmiało jak salwa honorowa.

Reutowicz nie byłby sobą, gdyby również nie palnął pożegnalnej mowy. A że na okazję pogrzebu kupił sobie nowy cylinder i wyglądał dostojnie mimo podbitego oka, które trochę zatuszowano pudrem ryżowym, oceniano, że jego mowa będzie równie dostojna, rozwlekła i ciężka, niczym wieniec z wawrzynu. Ku uldze zebranych przemawiał jednak krótko, powiedział, że żegna prawdziwego przyjaciela, człowieka szlachetnego i bliskiego mu jak brat. I zabrzmiało to prawdziwie, niemal wzruszająco i niemal wszyscy w to wierzyli.

Lea nie słuchała; obserwowała motyle, które krążyły koło kępy ostów wyrosłej nieopodal na zapomnianej mogile; miała wrażenie, że czas wlecze się nieskończenie. Może to nie jest zwykły ziemski czas, pomyślała, może to czas pogranicza tego z tamtym światem? Musiało coś w tym być, bo od śmierci Józefa zwykły porządek dni i nocy już jej nie obowiązywał, jakby wypadła z gry. Zamyśliła się, w jej pamięci migotały wspomnienia, drobiazgi dawno zapomniane, barwne jak skrzydła motyli, pachnące ziołami, balsamem peruwiańskim, jabłkami z Korytnicy.

— Lea — kuzyn przywołał ją do rzeczywistości.

Poprawiła welon, nachyliła się nad trumną i na czarnym odświętnym surducie Józefa położyła bukiet kwiatów, do którego dodała gałązkę zaszuszonego piołunu wziętą z apteki. Cofnęła rękę, ale

bukiecik zaczął się o jej rękawiczkę, jakby nie chciał puścić. To był moment, pewnie nikt tego nie zauważył, ale ona zastanawiała się, czy Józef już o wszystkim wie, o niej i o Janie, i czy nie zechce ukarać jej za fałsz. Głupstwa, zabobony, pomyślała, ale ta chwila utkwiała jej w pamięci na długo.

Odgłos wbijania gwoździ mocujących wieko trumny uświadomił jej, że to koniec jej małżeństwa, a może początek końca, bo żałoba trwa długo, dłużej niż kwarantanna i rekonwalescencja po tyfusie. Wystarczająco długo, żeby oswobodzić się z więzów, zapomnieć o jego słowach, dotyku, spojrzeniu. Nie chciała płakać, wczepiła się w ramię siostry, nie zdając nawet sobie z tego sprawy. Dlaczego umarł właśnie teraz? Co ja mam robić? Co się ze mną stanie? Coraz silniej docierało do niej, że wszystko się zmieni, że będzie musiała coś postanowić, a jeszcze nie potrafiła sobie wyobrazić swojej przyszłości bez Józefa. Nawet myśli o Janie były coraz ciemniejsze.

Na stypie, którą wyprawiono w restauracji w pobliżu Towarzystwa, było gorąco, a nowe czarne buty cisnęły ją niemiłosiernie. Chciała wyjść stamtąd jak najszybciej, ale siostra ją powstrzymywała.

— Lepiej być między ludźmi — mówiła ścisłym głosem i zerknęła na Leę z zatroskaną miną.

Lea prawie nikogo nie zauważała. Jej uwagę przykuł na chwilę Trichonow, który nie wiadomo skąd się pojawił i złożył jej pompatyczne kondolencje, dodając, że muszą się spotkać w niedalekiej przyszłości. Nie miała siły, żeby zapytać go, o co chodzi. Siedziała jak mucha uwięziona pod kloszem, znieczulona i zdezorientowana. Ludzie podchodzili do niej, zagadywali, nie oczekując odpowiedzi. Wypiła kilka kieliszków wódki i wtedy spłynęło na nią jeszcze większe odrętwienie. Kiedy atmosfera przy stole rozluźniła się, uznała, że może już wrócić do domu.

Później dotarły do niej wieści, że Reutowicz uważał się za głównego żałobnika i z tej okazji wspominał biesiady i bankiety, na jakich był z Józefem. Zapijał swój szczerzy smutek i żal po stracie przyjaciela, zapominając o niedawnej awanturze. Mówił też, że z wdową, czyli z Leą, ułoży się, a nawet się nią zaopiekuje, bo Józef, roztropny człowiek, prosił go o to przed śmiercią. Gdyby Lea nie była tak przygnębiona, oburzyłaby się na te słowa i powiedziała, żeby się nie fatygował z tą opieką, jednak w zaistniałych okolicznościach przestało ją to obchodzić.

W mieszkaniu nie mogła znaleźć sobie miejsca. Helena i Leon namawiali ją, żeby wyjechała z nimi do Otwocka. Nie chciała jechać, lotnisko nie było dla niej odpowiednim miejscem, już jej nie cieszyło, a innym tylko zepsułaby humor swoim wyglądem i nieszczęsną miną.

— To co ty będziesz teraz robić?

— Nie będę sama — powiedziała. — Mania obiecała, że kilka tygodni ze mną zostanie. Powinnam uporządkować sprawy z mieszkaniem, a potem zobaczę. Na razie nie muszę się martwić, Józef zostawił mi trochę gotówki.

— Nie podejmuj pochopnie żadnych decyzji — radził Leon. — Jeśli chcesz, pomogę ci znaleźć coś mniejszego, na Starym Mieście albo gdzieś koło nas na Pradze.

Kiwała głową.

— Pomyślę o tym, trudno mi teraz zdecydować — przyznała zawstydzona swoim zagubieniem i bezradnością.

Nie przypuszczała, że będzie tak przeżywała śmierć Józefa, bez niego jej dom rozpadał się w kawałki, których nie potrafiła poskładać. Teraz niemal wszystko było inne, ludzie patrzyli na nią inaczej, jak na inną osobę.

— Wdowa po aptekarzu — mówili. — Nie bardzo zbolęła — dodawali za jej plecami.

Ona też inaczej patrzyła na niektóre sprawy; z niepokojem myślała o Reutowiczu, od którego zależała teraz jej sytuacja finansowa, on kierował apteką, ale przede wszystkim czekała na wiadomości od Jana. Nie odpowiedział ani na jej list, ani na telegram. Może listy do niego nie dotarły, a może jest już w drodze i zaraz się pojawi? Niepewność o Jana rozstrajała ją do reszty.

Jan pojawił się tydzień po pogrzebie. Na jego widok Lea poczuła, jakby kamień spadł jej z serca, jeden z kamieni.

— Jak to dobrze, że wreszcie pana widzę! — uśmiechnęła się i ten uśmiech, zdaniem Mani, wiele

znaczył.

Poprosiła Jana do pokoju, przedstawiła siostrze, kazała podać herbatę, ciasto i konfiturę. A Jan czuł się niepewnie w nowej sytuacji; wspomniawszy Józefa, powiedział, jakie to nieszczęście i jaka strata dla wszystkich, bo człowiek jeszcze w pełni sił i uczynny, nienaganny, zaangażowany w sprawy zawodowe, słowem niezastąpiony, strata niepowetowana. Mówił to z powagą, nie zwracając uwagi na upał i muchę, która kołowała nad stołem z sennym brzęczeniem. W końcu rozluźnił krawat i już w mniej oficjalnych słowach wyjaśnił, że nie mógł być na pogrzebie, był daleko, a depesza od Lei dotarła do niego z opóźnieniem, o niczym nie wiedział. Wyjechał ze Lwowa do krewnych i dopiero po powrocie dotarł do niego jej list. Przez ten czas nie miał od niej żadnych wiadomości. Powtórzył, że ogromnie mu przykro, że życie jest kruche, ale on nigdy by się nie spodziewał, że takie nieszczęście dotknie ten dom, spadnie tak nieoczekiwanie — patrzył jej w oczy, badając, jak mocno przeżywa śmierć Józefa.

Lea słuchała go z uczuciem ulgi, lecz mimo wszystko miała do niego żal, drobny i niesłuszny, że nie było go przy niej w trudnych chwilach. Kiedy wypili herbatę, Mania stwierdziła, że ma coś do załatwienia na mieście, i wyszła. Lea wiedziała, że siostra żadnych spraw na mieście nie ma, ale była jej wdzięczna, że zostawiła ją z Janem. Mogła teraz swobodnie z nim porozmawiać. Nie wiedziała, od czego zacząć, nie była pewna, czy zabawny flirt, lekkie zauroczenie, które ich łączyło, wystarczą, żeby ich znajomość przetrwała dłużej. Za dużo się wydarzyło, za dużo przeżyła sama, bez niego. Mogła mu o tym opowiedzieć, ale on i tak nie pozna jej strachu, który dopadł ją tamtego wieczoru, kiedy znalazła Józefa w aptece. Ten obraz zasklepił się w niej, zamknął jak zimowy krajobraz w szklanej kuli i nic już go nie zmieni, zawsze będzie tam sama. Potem też nie było jej łatwo. Przez ten czas, gdy Jan podróżował, odwiedzał krewnych i znajomych, ona wycofała się w cień, skręciła w boczną ścieżkę, którą nikt oprócz niej nie mógł podążać.

Czuła się zakłopotana, gdy Jan wziął ją za rękę.

— Jak się pani czuje? — zapytał, obserwując jej mizerną twarz i ciemne oczy, które lśniły teraz smutkiem. — Jak pani to wszystko zniosła?

— Jakoś musiałam znieść — odparła sztywno, ale szybko dodała: — Nie byłam sama, Leon mi pomagał, Reutowicz załatwiał sprawy pogrzebu, Mania przyjechała, dotrzymuje mi towarzystwa. Ale czasami jeszcze nie wierzę, że Józefa nie ma. Wydaje mi się, że zaraz przyjdzie, słyszę jego kroki na schodach i wtedy powtarzam sobie, że on nie żyje, jakbym musiała się tego nauczyć na pamięć, bo nie potrafię zrozumieć. Ciągle o tym myślę, dlaczego tak się stało. Bo gdybym zeszła wcześniej, to może nic by się nie wydarzyło. A ja mierzyłam sukienkę, chciałam ładnie wyglądać, on tak lubił niebieski kolor — mówiła ze łzami w oczach.

— Proszę tak nie myśleć, to niczego nie zmieni. Nie ma w tym pani winy — pocieszał ją głosem spokojnym i pewnym.

Tej pewności mu zazdrościła, bo ona, tak jak i Tymon, czuła, że gdyby wtedy zrobiła coś innego, zeszła odrobinę wcześniej na dół albo została w laboratorium, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

— Może wtedy nikt by się nie włamał — szukała odpowiedzi w jego mądrych oczach.

— Jak to? To było włamanie? Myślałem, że miał atak serca?

Pokręciła przecząco głową.

— Zniknęły pieniądze, zdemolowano laboratorium, ktoś musiał się zakraść. Józef nic o tym nie powiedział, może nikogo nie widział, może tylko coś usłyszał, a może dostał w głowę. Nie wiem. Byłam na górze...

Jan pokręcił głową z oburzeniem.

— Policja nikogo nie złapała? Nikogo nie podejrzewają?

— Nie, dla nich to był zwykły rabunek, nikogo nie podejrzewają, nic nie widzą. Ale ja sędzę...

— urwała, potrzebowała chwili ciszy na zebranie swoich myśli.

Jan patrzył na nią coraz bardziej zaniepokojony.

— Podejrzewa pani kogoś?

Pociągnęła nosem i popatrzyła na niego.

— W zeszłym roku latem, kiedy byliśmy w Otwocku, ktoś powybił szyby w aptece, mówiłam

o tym, pamięta pan?

Skinął głową.

— Pamiętam.

— Nie znaleziono winnego, Józef zbagatelizował sprawę, tylko Leon podejrzewał, że to może mieć związek z badaniami Józefa. On zajmował się zafałszowanymi lekami, chciał nagłośnić sprawę, ogłosić w prasie nazwiska nieuczciwych hurtowników i aptekarzy. Komuś mogło się to nie podobać, najpierw powybił szyby, a teraz włamał się, żeby zdemolować laboratorium, a że Józef akurat był w aptece, to i jemu się dostało — wyrzuciła z siebie podejrzenia, o których do tej pory nie miała odwagi mówić. — Zresztą nie wiem, jak to się stało — denerwowała się. — Nie wiem, on był w aptece, a ja tu, na górze, mierzyłam sukienkę i nic nie słyszałam. Czekałam na niego i nic nie słyszałam — powtarzała, nie mogąc pozbyć się poczucia winy.

Jan się zamyślił:

— A ten współnik, co on na to?

— Nie wiem, nie rozmawiałam z nim, z nikim o tym teraz nie rozmawiałam. Zresztą to tylko moje przypuszczenia. Może się mylę.

Opowiedziała mu o pracy Józefa, o Towarzystwie Aptekarskim. Wcześniej nigdy by nawet nie przypuszczała, że będąc z Janem sam na sam, będzie rozmawiała o Józefie. Ale musiała komuś o tym powiedzieć, a Jan cierpliwie słuchał i nie starał się niczego radzić, nie mówił, co powinna teraz zrobić, a czego nie. Po prostu jej wysłuchał.

Spotkanie nie było radosne, nie rzuciła mu się w objęcia, w jej oczach zabrakło błysków radości, pożądanie wygasło, nawet dotyk jej dłoni był chłodny i miękki, jakby jej uczucia gdzieś się przyczaiły.

— Między nami nic się nie zmieniło? — upewniał się.

— Nie, naturalnie, że nie — starała się lekko uśmiechnąć. — Co się miało zmienić?

— Jest pani teraz wolna — stwierdził poważnie, wbijając w nią wzrok.

Milczała dłuższą chwilę, patrzyła, jak poruszyła się firanka trącona wiatrem. Wstała, zamknęła okno.

— Jeszcze nie. Jeszcze nie czuję się wolna, za dużo się wydarzyło złych rzeczy, to wszystko siedzi w mojej głowie, zajmuje myśli, jakbym jeszcze nie odprowadziła go do końca. Potrzebuję trochę czasu. — Obróciła się i spojrzała na Jana, szukając zrozumienia.

On też nie był pewny nowej sytuacji, nie wiedział, jaka będzie ta nowa Lea.

— Trochę czasu... — powtórzył jak echo. — To znaczy ile? Miesiąc, dwa?

— Nie wiem. Próbuję się pozbierać.

To nie była odpowiedź, na jaką czekał, nic na to nie odrzekł. Starał się dodać jej otuchy, obudzić w niej dawną Leę, wesołą, ciekawską, przekorną, a czasami i naiwną. Wiedziała o tym i pomyślała, że musi wziąć się w garść. Potrzebowała czegoś, co wybije ją z marazmu, z zawiązków melancholii, która, jak kiedyś mówiono, może powstać z nadmiaru wilgotności gromadzonej w ciele, zbyt dużej ilości zjedzonych surowizn albo z łez niewylanych. A ona miała dużo łez niewylanych, bo gdyby tak mogła dobrze się wypłakać, na pewno by jej ulżyło, pozbyłaby się tej ociążałości, która zalegała w niej jak cień w czarnym lesie. Ale nie mogła już płakać, musiała sobie radzić inaczej.

Do Maryni, czyli Mani, Lea zawsze pisała listy. Dwa razy w miesiącu to była norma, czasami częściej, przekazywała jej wszystkie ważne informacje o sobie. Niewiele tego było, kiedy mieszkała w Korytnicy, pisała, że u niej wszystko w porządku, i dodawała, jaka pogoda i co słyhać u krewnych. Po przeprowadzce do Warszawy pisała o aptece, o życiu w mieście, o modzie, teatrze i dodawała, że u niej wszystko dobrze (mając na myśli siebie i Józefa). Marynia odpisywała jej regularnie, a jej listy były niemal doskonałe w formie, nie brakowało w nich daty, nie było skreśleń, kleksów, ale treść była podobna do listów Lei.

Tak trwało przez lata, pisały do siebie często, ale widywały się od czasu do czasu, podczas świąt i uroczystości rodzinnych. Wtedy padały sobie w objęcia, były serdeczne i zgodne. Jednak im dłużej

przebywały ze sobą, tym wyraźniej było widać, jak wiele je dzieli. Marynia różniła się od Lei pod każdym względem, nie tylko urodą (była przystojną, wysoką i dobrze zbudowaną kobietą), ale i charakterem, opanowana, cierpliwa, wytrwała, lubiła się uczyć i uczyć innych. Dzięki tym zaletom, gdy była młodą i dobrze zapowiadającą się panią, los się do niej uśmiechnął i jedna z krewnych opłaciła jej pobyt na pensji. Lea siedziała w domu i podsłuchiwała, o czym mówią baby w kuchni, albo wymykała się na dwór i biegała z psem po ogrodzie, a zdolna i pilna Marynia uczyła się przykładnie, żeby zostać nauczycielką. Lea znała gospodarstwo, pola i łąki, i wszystkie zioła, które tam rosły, a Mania znała francuski, rysunek, katechizm, a nawet podstawy rachunków i przyrody. Lea wcale jej tego nie zazdrościła, uważała, że to nuda i strata czasu. Dopiero gdy Mania dostała posadę i stała się całkiem dorosła i samodzielna, a na dodatek Leon parę razy się za nią obejrzał, Lea poczuła ukłucie zazdrości. Pomyślała, że jej starsza siostra jest ładna (może ma trochę krzywe nogi, ale tego nie widać), mądra, odważna i że to jest niesprawiedliwe.

Marynia może bardziej nadawała się na żonę dla Józefa, może nawet to ją miała na myśli przyjaciółka ciotki Anastazji, gdy pytała o odpowiednią kandydatkę dla aptekarza wdowca, ale ciotka zdecydowała inaczej. Marynia mogła sobie poradzić sama, a Lea, biedaczka, co by sama zrobiła? Czy Marynia zazdrościła Lei małżeństwu, tego nigdy nie zdradziła, ale Józefa lubiła i szczerze zasmuciła się jego śmiercią i nieszczęściem siostry. Po pogrzebie została z Leą i pomagała uporządkować rzeczy do przeprowadzki.

— Powinnaś jak najszybciej zlikwidować mieszkanie — przypominała jej, obawiając się o jej sytuację finansową, brak zdecydowania i ogólne rozstrojenie.

Lea musiała przyznać rację siostrze. Niepotrzebne jej takie duże mieszkanie, na dodatek połączone z apteką. Zakasała więc rękawy i niezbyt ochoczo, pociągając od czasu do czasu nosem, wzięła się do porządkowania rzeczy Józefa i całego gospodarstwa, które teraz nie zmieściłoby się już w małym kuferku, ale w kilku kufrach i skrzyniach. Szło jej opornie, co i raz zamyślała się, przysiadła na krześle, a przez głowę przemykały jej niedawno minione obrazy, dźwięki i zapachy. Niemal każda rzecz przywoływała jakieś wspomnienia. Spodziewała się, że podczas porządków znajdzie więcej śladów Sabiny, ale na nic takiego nie natrafiła. Było tylko to, co wcześniej znalazła w przyborniku. Zastanawiała się, co z tym zrobić; nie miała odwagi zniszczyć tych rzeczy, włożyła je więc do pudełka po herbacie i zapakowała do swojej skrzyni. Listy, które Reutowicz pisał do Sabiny, postanowiła mu zwrócić. Kilka drobiazgów należących do rodziców Józefa odesłała Felutce. I tak segregowała rzeczy i życie, Józefa i swoje, dzieląc je na sprawy ważne, pilne i nieważne, dokumenty i szpargały, na wspomnienia dobre i złe. Tajemnice Józefa przestały ją interesować, umarli razem z nim. Teraz pojawiło się nowe niepokojące pytanie: co stało się tego wieczoru, zanim zeszła do apteki i znalazła Józefa nieprzytomnego w laboratorium? Kto tam był? To sprawa policji, prędzej czy później dojdą do tego, mówiła sobie, nie bardzo wierząc, że policja jest w stanie cokolwiek wyjaśnić.

Wieczorami, żeby odciągnąć Leę od przykrych myśli, Marynia siadała przy lampie i nie przestając dziergać na szydełku koronkowej serwetki, opowiadała o szkole i o swoich uczniach, jacy to zdolni, żądni wiedzy młodzi ludzie. Od czasu do czasu podnosząc oczy na Leę, streściła jej program szkolny, z zaangażowaniem mówiła o braku dobrych podręczników do botaniki i gramatyki łacińskiej, i w ogóle. Głos miała mocny, nauczycielski, starannie wymawiała każde słowo, dbając, by nie połykać przecinków i kropek. Lea słuchała jej jednym uchem; rozumiała, że siostra żyje zupełnie w innym świecie, gdzie czas odmierzany jest szkolnym dzwonkiem, a w powietrzu unosi się zapach kredy, zeszytów szkolnych i atramentu.

— Nie chciałabyś przeprowadzić się do Warszawy? — zapytała siostrę, myśląc, że w ostateczności mogłyby razem zamieszkać.

Marynia spojrzała na nią niemal przestraszona, aż zamrugowała z niedowierzaniem.

— Lea, kochana siostruniu, a co ja bym tu robiła? Przecież tam jest moje miejsce, tam mi dobrze. Ty też ułożysz sobie życie, zobaczysz, ja cię dobrze znam. Teraz jesteś smutna, przygnębiona, to oczywiste po takich przeżyciach, ale jak tylko dojdiesz do siebie, nie usiedzisz tu tak spokojnie, i to sama. Musisz czymś się zająć. A powiedz mi, co z laboratorium Józefa? Może ten wspólnik będzie

je dalej prowadził? Może znajdziesz jakieś zajęcie w aptece?

Lea machnęła ręką.

— Gdyby to był zwykły sklep, nie byłoby kłopotu, ale apteka to co innego. To męski świat, Maryniu. Józef przyzwyczaił się do mojej obecności, pozwolił mi robić praktykę, ale i on z początku nie lubił, jak tam przychodziłam. Mówił, że kobiety tylko przeszkadzają. A pan Reutowicz nadal tak uważa, trudno się z nim dogadać, to dziwny człowiek.

Marynia szybko przeliczyła oczka w robótce, po czym spojrzała kątem oka na Leę.

— Chyba przesadzasz, czasy się zmieniają, nikt już tak nie myśli.

Lea wzruszyła ramionami.

— Czasy może się zmieniają, ale nie mężczyźni, nie tacy jak on. Zobaczysz. Zejdziemy tam któregoś dnia i sama się przekonasz, że w aptece pana Reutowicza nie ma miejsca dla kobiet — powiedziała z żalem, bo przecież jeszcze do niedawna to była apteka Józefa, a ona wywalczyła sobie tam miejsce i nikomu chyba nie przeszkadzała. Teraz to wszystko przepadło. Posmutniała i opowiedziała siostrze, jak wyglądała jej nauka pod okiem Reutowicza, gdy Józef wyjechał do Lublina. Wspomniała też o środowych i sobotnich kolacjach, na które przychodzili pracownicy apteki, zapomniała jednak dodać, że Reutowicz obraził się na nią, o kłótniach w ogóle nie mówiła. O tym, że Józef uderzył Reutowicza, tym bardziej nie zamierzała nikomu mówić, nawet siostrze. To nie nadawało się do wspomnień. Po co wracać do przykrych spraw.

Marynia się ożywiła, popatrzyła na Leę i jakby badając jej stan ducha, zapytała:

— Może byłoby dobrze, gdybyśmy zrobiły taką kolację. Nie sądzisz?

Lea wzdrygnęła się.

— Nie, Maryniu, to już nie są uczniowie Józefa. Nie będę urządziła żadnych kolacji, nie mam do tego głowy. Po co miałabym to robić?

Marynia nie dawała za wygraną.

— Ale wypada zrobić coś na pożegnanie, kiedy będziesz się wyprowadzała.

— Może — zbyła ją, pozwalając sobie na grymas mówiący, że to absurdalny pomysł.

— Może? — prychnęła Marynia. — Zawsze lubiłaś robić wszystko szybko, bez odkładania na święty nigdy. A teraz co? Pomogę ci, pojutrze środa, akurat zdążymy. To tylko zwykła kolacja, nie możesz się cały czas ukrywać, siedzieć w zamknięciu jak zapowietrzona.

— Nie, nie ma mowy! — broniła się Lea.

Marynia przestała szydełkować; zmarszczyła czoło i szukała odpowiednich argumentów.

— Pamiętaj, że później mnie nie będzie. Muszę wracać do szkoły, ty też niedługo się wyprowadzisz, a wcześniej trzeba dokończyć pakowanie i ruszyć się stąd. Nie odkładaj tego. Zrobimy to za tydzień. Pomogę ci, nie będziesz sama, przełamiesz swoje niezdecydowanie — orzekła Marynia i dodała, że muszą zaprosić wszystkich, zwłaszcza Reutowicza. Wypada, żeby Lea podziękowała mu za pomoc i utrzymywała z nim poprawne stosunki. — Od niego dużo zależy, sama wiesz najlepiej — przypominała, znów przeliczając oczka.

To właśnie irytowało Leę. On zawsze chciał być najważniejszy. Zawsze trzeba było się liczyć z jego zdaniem, z jego humorami. Jak Józef mógł tak na wszystko się zgadzać? — dziwiła się w duchu, doszła nawet do wniosku, że Józef słusznie go uderzył, bo w sumie przez te wszystkie lata to Reutowiczowi się nabierało. Ale nie ma co roztrząsać dawnych nieporozumień, było, minęło, a jedną kolację jakoś przetrzyma. Potem będzie wolna.

Następnego dnia po południu zeszły razem do apteki i zajrzały do biura. Reutowicz podszedł i zapytał swoim uprzejmym głosem, w czym może im pomóc. Lea czuła się zakłopotana; jeszcze niedawno wchodziła tu swobodnie, a teraz musiała się tłumaczyć z każdego kroku. Przemogła się i powiedziała, że chciałyby zaprosić pracowników apteki za tydzień na kolację, tak jak bywało za czasów Józefa. Mówiła to z obojętną miną i miała cichą nadzieję, że Reutowicz znajdzie jakiś pretekst, żeby się wymówić. Ale Marynia wtrąciła swoje, a że była wyższa i mocniej zbudowana od Lei, wyglądała jak wychowawczyni, która musi uzupełnić niedoskonałą przemowę uczennicy. Jej głos brzmiał energicznie i stanowczo, całą swoją postawą dawała do zrozumienia, że jej się nie odmawia.

— Siostra chciała pana zaprosić na kolację i podziękować za pomoc i wsparcie, które okazał jej pan w trudnych dniach. I oczywiście za piękne, wzruszające *requiem*, śpiewał pan jak anioł — powiedziała z rozrzewnieniem i westchnęła, aż zatrzeszczały fiszbiny jej mocno ściągniętego gorsetu. — A ja gorąco przyłączam się do jej prośby i mam nadzieję, że pan nam nie odmówi i przyjedzie za tydzień. To będzie dla nas prawdziwa radość gościć pana w naszych skromnych progach.

Lea nie mogła tego słuchać. Myślała, że zemdleje, że spali się ze wstydu za takie beznadziejne kadzenie. A Reutowicz stał i patrzył na Marynię coraz bardziej zdziwiony, potem przeniósł wzrok na Leę i uśmiechnął się pokątnie. Lea chciałyby się zapaść pod ziemię albo chociaż kopnąć Manię w kostkę.

— Jestem mile zaskoczony. Nie spodziewałem się, że pani Klonowska będzie chciała mnie jeszcze kiedyś gościć pod swoim dachem. Cóż, życie przynosi różne niespodzianki. Oczywiście przyjdę z przyjemnością. Myślę, że pozostali panowie również — oświadczył z zadowoleniem.

Tymon wyglądał na wzruszonego, a uczniowie przyjęli zaproszenie ochoczo, jakby kolacja w środę oznaczała dla nich, że życie wraca do normy. Tylko Lea nie była zadowolona.

— Ale się popisałaś! — powiedziała siostrze, gdy wróciły do mieszkania. — Wygłosiłaś taką przemowę, jakby to był co najmniej biskup, szkoda, że go w rękę nie pocałowałaś. A z tym aniołem to już w ogóle przeszłaś samą siebie. Nie dałaś mu szansy na odmowę. Boże, jaki wstyd! W życiu by mi do głowy nie przyszło, żeby tak mu nadskakiwać, mówić takie pochlebstwa — denerwowała się wystąpieniem siostry.

Marynia odwróciła się do niej z urażoną miną.

— No widzisz, a mnie przyszło, i jeszcze będziesz z tego zadowolona. Trochę grzeczności nie zaszkodzi. Dobrze na tym wyjdiesz, zobaczysz — odparła, zaciskając mocno usta, ale tylko na chwilę. — Chciałam dobrze. Zresztą nie po to ich zapraszamy, żeby odmówili. Przykro by ci było, gdyby któryś z nich nie chciał przyjść.

Lea wzruszyła ramionami.

— Naturalnie — mruknęła, patrząc gdzieś w bok, żeby nie pokazywać, co o tym myśli.

Agata, gdy usłyszała o planowanej kolacji, ucieszyła się.

— Przynajmniej w domu będzie trochę życia. Bo tak tu cicho, siedzę i tylko nasłuchuję, i czasami zdaje mi się, że słyszę kroki nieboszczyka pana aptekarza, jak idzie do kuchni napić się wody — przeżegnała się przy tym pobożnie. — To już lepiej niech będzie trochę szumu. Ale co ja mam ugotować!? Jezusie Nazaretański, to będzie dwóch panów i dwóch chłopaków, co to mają popie oczy, wilcze gardła, no i panie dwie. To co ma być na taką proszoną kolację? Może chłodnik i kotlety z jarzynką albo smażona wątróbka? — zastanawiała się głośno, poprawiając fartuch, jakby już zabierała się do roboty. — To tak bardziej świątecznie ma być czy zwyczajnie?

Lea zastanowiła się i obgryzła zadartą skórę przy paznokciu.

— Razem pójdziemy na rynek i kupimy co trzeba — postanowiła.

Pomyślała, że nadchodzi czas, by zająć się swoimi sprawami, choćby kolacją, w przeciwnym razie życie wymknie się jej z rąk i wszyscy wejdą jej na głowę. W końcu jest wolna i może decydować sama za siebie, nikt nie będzie nią dyrygował.

W środę od rana zajęły się przygotowaniami. Przyniosły z targu warzywa, u rzeźnika kupiły szynkę i wołowe ogony, grube prawie jak ręka dziecka. Miały być podane z kartofelkami i pikantnym sosem, takim jak Urszulcia robiła, kiedy do ciotki przychodzili na kolację pomocnicy z młyna.

— Dużo mięsiwa i przypraw, mężczyźni lubią, żeby dużo było i ostro, a jak pani jeszcze jakimś kieliszkiem ich poczęstuje, to już im się humor poprawi — podpowiadała Agata i wzięła się do gotowania ogonów.

— Jeszcze czego! Żadnej wódki, spiją się i co wtedy? Zresztą Szymon to jeszcze chłopiec, po co mu wódkę dawać.

— Ale tam, niewiniątka może? Już ja wiem, co oni wyprawiają. Mało to razy widziałam, jak uczniowie raczą się aptecznym winem, co było w piwnicy — wtrąciła Agata, krojąc wprawnie ogony

przy chrząstkach, aż chrupały. Potem energicznie pokroiła cebulę, kalarepę, pietruszkę i marchew. — Trzeba dać dużo jarzyn i korzeni, by nie zalatywało łojem — mówiła, wrzucając jarzyny do rondla.

Lea sięgnęła do kredensu i wyciągnęła przyprawę, estragon, ziele angielskie, pieprz i gałkę muszkatołową. Utlukła je w móżdżerze, a z każdym uderzeniem mosiężnego tłuczka po kuchni roznosił się korzenny zapach, mocny i upojny, jak w dawnej kuchni u ciotki Anastazji.

— Czy to aby wypada? Na taką okazję może trzeba było coś specjalnego przygotować — krzywiła się Marynia. — Jak oni to będą jeść, wszystko wybrudzą.

— Oj Mania, to nie twoja szkoła dla grzecznych chłopców. Przyjdą, żeby się najęść, a nie popatrzeć. Ryba jeszcze będzie, szynka na gorąco i sałata, a na deser ciasto.

Marynia westchnęła.

— Rób, jak uważasz, ja nakryję do stołu i ułożę owoce. Ale może schab lepiej by pasował?

Marynia chciała, żeby kolacja była elegancko podana; wybrała najładniejszy obrus, ułożyła sztućce i serwetki, talerzyki i rżnięte z kolorowego szkła szklaneczki, a na środku postawiła wazon z lewkoniami. Lea popatrzyła na to i wzruszyła ramionami. I po co tyle zachodu? Wpadną, zjedzą i pójda sobie, pomyślała. Ale gdy zbliżała się pora kolacji, uznała, że sama powinna się odpowiednio wyszykować, skromnie i elegancko, tak jak wypada wdowie.

Przebrała się w suknię kupioną na różne okazje w magazynie strojów żałobnych. Marynia pomogła jej upiąć włosy — ułożyła jej nienaganną fryzurę, mocno ściągając na czubku głowy.

— No i jak? — dopytywała się Mania. — Uważam, że bardzo twarzowa.

Lea spojrzała w lustro. Chciała wyglądać tak jak dawniej, a w nowej, niemal ascetycznej fryzurze wydawała się sobie odmieniona, blada i chuda, z jakimś nerwowym rysem twarzy, który nie ginął, nawet gdy próbowała się uśmiechnąć.

— Nie krzyw się tak — strofowała ją Mania, roztaczając wokół siebie zapach wody kwiatowej, której sobie nie żałowała. — Wyglądasz jak gradowa chmura.

— Wcale nie — zaprzeczyła Lea, ale taka była prawda, z ponurą miną i w żałobnej czerni wszystkich onieśmiała.

Początkowo goście czuli się przy niej skrępowani, dopiero kiedy Agata podała chłodnik, a potem ogony z młodymi kartofelkami i sałata, w pokoju zrobiło się gwarno. Wspominali Józefa już nie z ciężkim westchnieniem smutku, ale przypominali sobie dobre chwile. W mieszkaniu się ożywiło, cisza ustąpiła. Lea przysłuchiwała się rozmowie i miała wrażenie, że on zaraz przyjdzie i usiądzie z nimi do stołu, opowie coś ciekawego. Zamyśliła się, oparła o krzesło, na chwilę przeniosła się do przeszłości i przypominała sobie swoje pierwsze dni na Piwnej, Józefa, który niechętnie wprowadzał ją w apteczny świat, wesołego Filipa i uprzejmego pana Emila. Było, minęło, pomyślała smutno. Przyglądała się zebranym przy stole gościom, uśmiechnęła się do nich blado i przesłała porozumiewawcze spojrzenie siostrze, która starała się podtrzymać konwersację na stosownym poziomie.

Szymon i pan Teodor, nowy pomocnik przyjęty na próbę, ku zgorszeniu Maryni dalecy byli od zachowania eleganckiego umiaru. Nie zwracali uwagi na wykwintne nakrycie stołu; zjedli wszystko, co było możliwe do zjedzenia, łącznie z owocami, które Mania ustawiła dla ozdoby na paterze z kolorowego szkła. Wypili po dwa kieliszki wina, które przyniósł Reutowicz, pochłonęli kruche ciasteczka i szarlotkę. Podziękowali za poczęstunek i wyszli, uznając, że nic ciekawego już ich nie czeka. Ale Reutowicz rozsiadł się na kanapie z kieliszkiem w ręku i najwyraźniej chciał powspominać przyjaciela. Tymon potakiwał mu i pił za dwóch, zasmakował zwłaszcza w nalewce na arcydzięglu, którą Lea wyciągnęła z kredensu. W końcu, wiedziony samozachowawczym instynktem, stwierdził, że musi iść, i jak doniosła później Agata, to był najwyższy czas, bo gdy znalazł się za drzwiami, poczuł się źle i zwrócił kolację na schody.

Reutowicz został, rozsiadł się na kanapie, odpiął guzik marynarki, ukazując pod spodem niebanalną kamizelkę w paski (panie pozwolą, dziś tak gorąco), i dalej opowiadał o aptece, znajdując w Maryni wdzięczną słuchaczkę. Lea prawie się nie odzywała; czekała, kiedy sobie pójdzie.

— Pamiętam Wystawę Higieniczną — powiedział głosem człowieka dobrze wychowanego, spoglądając na Leę z ironiczną miną ukrytą pod bujnym zarostem. — Józef był zdruzgotany, kiedy się

okazało, że eliksir, nasz najlepszy produkt, wizytówka naszej apteki, jest zrobiony z zafałszowanej kory. Dla niego to był niewybaczalny blamaż, po prostu koniec świata. Chodził taki zmarnowany, aż żal było na niego patrzeć. Pani zaraz wyjechała do krewnych, a ja chciałem jakoś poprawić mu humor. — Opowiedział, jak po długich namowach udało mu się przekonać Józefa, żeby któregoś dnia zamiast na wystawę wybrali się na wyścigi. Tor wyścigowy był tuż obok. Powiedział, że jak na wystawie pech, to na wyścigach będzie miał szczęście i odbije sobie niepowodzenie. Józef stracił wtedy więcej, niż zarobił podczas całej wystawy i to jeszcze bardziej go przygnębiło. Nie miał odwagi przyznać się przed panią, co go gryzie — opowiadał z rozbawieniem i jakiś wesoły ogień pokazał się w jego oczach. Spoglądał to na Leę, to na Manię, a w końcu przeniósł wzrok na szarlotkę, którą podsunęła mu Mania.

— Proszę się częstować, Lea sama ją zrobiła, nie żałowała cynamonu — zapewniała Mania głosem słodkim jak ulepek.

Lea starała się puścić słowa siostry mimo uszu; upiła łyk ciepłego wina i odstawiła kieliszek ostrożnie i precyzyjnie, sprawdzając w ten sposób stan swoich nerwów

— Nie miałam pojęcia, że Józef grał na wyścigach. Wiedział, że to by mi się nie spodobało — powiedziała poważnie, wpatrując się w czerwień wina, które było zbyt ciepłe, żeby mogło jej smakować.

— O ile wiem, wtedy to był jego pierwszy i ostatni raz — bronił go Reutowicz. — Józef uznał, że cel uświęca środki. Chciał sprezentować pani coś szczególnego, żeby panią ułagodzić.

Lea słuchała zdziwiona, nie przypuszczała, że można tę sprawę traktować tak lekko. Nie mogła pojąć, co w tym zabawnego. Ona długo pamiętała niefortunne zdarzenie na wystawie i wyrzucała sobie, że przez nieuwagę naraziła męża na kłopoty. A teraz dowiedziała się o wyścigach. Myślała, że Józef nie miał przed nią tajemnic, oczywiście oprócz tej jednej, o swoim pierwszym małżeństwie, ale z opowieści Reutowicza wyłaniał się obraz Józefa, którego nie znała.

— W końcu podarował pani kolczyki z perłami, pamięta pani?

— Oczywiście, że pamiętam. — Jak mogła zapomnieć, dostała je na rocznicę ślubu, bardzo jej się podobały, mimo że to były kolczyki Sabiny.

— Był kompletnie bez pieniędzy. Zastanawiał się, czy je sprzedać, więc podpowiedziałem, żeby je pani podarował, pani przecież nic o nich nie wiedziała.

Wciągnął ją w tę rozmowę, która stawała się coraz bardziej osobista. Na nowo rozbudził jej ciekawość.

— Domyślałam się, że należały do jego pierwszej żony — przyznała, rzucając mu przelotne spojrzenie.

Dolał jej wina i uśmiechał się przy tym lekko. Nie lubiła tego ironicznego uśmiechu, drażnił ją, podobnie jak to, że patrzy na nią tak bezczelnie, przypominając nieporozumienia i kłótnie z Józefem.

— Nie chciał, żeby pani wiedziała. Przekonywałem go, że nie ma sensu, ale twierdził, że to panią rozstroi — wyjaśniał swoim wypieszczonym głosem.

Dlaczego on o tym opowiada? Chce mi dać do zrozumienia, że dużo o mnie wie? Co on sobie wyobraża? Wydaje mu się, że mamy ze sobą coś wspólnego, że oprócz apteki i Józefa łączy nas coś jeszcze? Musiała przyznać, że jest w tym nieco racji, znał kilka jej sekretów, o których z jakiejś przyczyny nie powiedział Józefowi.

Teraz, gdy to sobie uświadomiła, poczuła się zażenowana; wolałaby o tym nie pamiętać, zwłaszcza o tej ostatniej awanturze, wyjątkowo przykrej, która nadal zalegała jej na sumieniu. Nie rozumiała, jak może być taki spokojny i opanowany po tym, co się niedawno wydarzyło. Jak może udawać, że Józef był jego przyjacielem do końca. A może się pogodzili?

Obserwowała go spod przymkniętych powiek. Wyglądał jak zwykle, może bardziej elegancko, ubrany był na czarno (oprócz kamizelki), zaczesane do tyłu ciemne włosy i ciężki wypielęgnowany zarost nadawały jego twarzy surowy wygląd.

Dziś był dość rozmowny i ożywiony, jakby dostosował się do okoliczności, kolacji w gronie przyjaciół. Nie, nie, zaprzeczyła sobie, on chyba nie ma już przyjaciół, dla niego to była po prostu kolacja z ciastem i winem.

— Smakuje panu? Może jeszcze kawałek? — zapytała uprzejmie, przypominając sobie, że jest

tu gospodynią.

Podniósł głowę.

— Z przyjemnością — odparł półgłosem, jakby mówił tylko do niej.

Na moment ich spojrzenia się spotkały i wtedy Lea poczuła się nieswojo. Patrzył, jakby już był u siebie i było oczywiste, że teraz będzie tu wszystkim, a może i wszystkimi, rozporządzał. Wzdrygnęła się i odwróciła wzrok. Postanowiła jak najszybciej wyprowadzić się z mieszkania.

Przy pożegnaniu przytrzymał jej dłoń.

— Józef prosił mnie, żebym pani pomagał. Może pani na mnie liczyć — powiedział z galanterią, ale na tym nie skończył. — Mimo wszystko — dodał i dotknął jej dłoni zimnymi wargami.

To znowu zbiło ją z tropu; nie wiedziała, co właściwie miał na myśli.

— Mimo wszystko dziękuję panu — odparła, zdobywając się na minimalny grzecznościowy uśmiech.

Kiedy wyszedł, Agata sprzątnęła ze stołu i poszła do kuchni, a Mania, odpinając broszkę od sukienki z wysoką stójką, stwierdziła z zadowoleniem:

— Uważam, że kolacja nam się udała. To był dobry pomysł. — Nalała sobie kieliszek wina i wypila duszkiem. — A ten Reutowicz, nigdy o nim dobrego słowa nie powiedziałaś, a to całkiem miły i przystojny mężczyzna. Nie wiem, dlaczego ty go unikasz.

Lea prychnęła.

— On jest uprzejmy, kiedy mu wygodnie. A jak nie ma nastroju, lepiej nie wchodzić mu w drogę, bo zmiesza cię z błotem — wyjaśniła. Szybko wyciągnęła szpilki z upiętych włosów i potrząsnęła głową; pozwoliła im się rozsypać, uwalniając je z niewygodnej fryzury.

Mania obserwowała ją spod oka.

— Nie wygląda na takiego, jak zawsze przesadzasz. Odniosłam wrażenie, że chciał ci się przypodobać. Myślę, że może cię jeszcze odwiedzić, i to nie tylko w sprawach apteki. Powinnaś się na to przygotować — dodała tonem nauczycielki, która tłumaczy niezbyt bystrym uczniom, jak rozwiązać zadanie domowe.

Lea zmarszczyła brwi.

— Mówisz, jakbyś zachwalała towar na straganie — odparła szybko. — A tak naprawdę co o nim myślisz?

Mania podeszła do kredensu, odstawiła kieliszek i przez chwilę zbierała myśli.

— Nie wiem, wydaje mi się, że cię lubi, ale nie umie czy nie chce tego okazać. Może nawet więcej niż lubi, trudno powiedzieć. Uważam, że to by było rozsądne, gdybyś o nim poważnie pomyślała, może się dogadacie. Zawsze byłoby ci łatwiej, mówiłaś, że jest wdowcem, znasz go od lat...

— Mania! Przecież dopiero co pochowałam Józefa, a ty z takimi sprawami wyskakujesz! — oburzyła się. — Zresztą nigdy go nie lubiłam, irytuje mnie.

Mania westchnęła.

— Szkoda. Pomyśl, co będzie, kiedy znajdzie sobie inną.

— A która by go chciała, wieje od niego chłodem jak z kostnicy — stwierdziła bezlitośnie Lea. — Zresztą może ja znajdę kogoś innego!

Mania spojrzała na nią z politowaniem.

— Lea, w twoim wieku chyba nie oczekujesz jakichś romantycznych uniesień. Bądźże rozsądna, nie ma co wybrzydzać. Przemyśl to i z góry go nie skreślaj. To może być dla ciebie całkiem dobre wyjście, oczywiście w swoim czasie.

Lea nie mogła tego słuchać.

— A gdzie twoje rozsądne wyjście?! — nie wytrzymała. — Może ty go przygarniesz, jak uważasz, że jest taki uprzejmy i miły? Bo ja nie chcę sypiać z kimś, kogo nie lubię, kogo nawet nie szanuję. Ty nie wiesz, jak to jest! — powiedziała i odwróciła głowę, a czarne włosy zafalowały gniewnie.

— Lea! Co ty mówisz! — Mania zastygła jak słup soli i posłała siostrze spojrzenie pełne oburzenia. — I nie złość się na mnie, ja nie miałam tyle szczęścia co ty, nie jestem współwłaścicielką

apteki!

Zaskoczyły ją słowa siostry, odetchnęła głęboko.

— Przepraszam — powiedziała ze skrucą w głosie. — Przepraszam, Mania, no przepraszam, nie chciałam cię dotknąć, ale ja wiem, jaki Reutowicz potrafi być nieprzyjemny. Już miałam z nim niemiłe przejścia.

Mania westchnęła cicho.

— Nie wymagaj zbyt wiele, takiego jak Józef już nie znajdziesz.

Lea milczała przez chwilę i zastanawiała się nad słowami siostry.

— Co do Józefa masz rację — odparła zgodnie. — I nie mówmy już o tym. Mam inne plany, chcę otworzyć sklep zielarski albo perfumeryjny. Prosiłam Leona, żeby rozejrzał się za jakimś lokalem, najlepiej gdzieś tu blisko.

Marynia pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Chcesz prowadzić sklep? Nic nie mówiłaś.

— Bo to dopiero zamysł — przyznała Lea.

Marynia wyjechała po miesiącu. Lea wolałaby, żeby siostra jeszcze trochę z nią została, ale Mania miała swoje sprawy, a może miała też dość Lei i jej kłopotów. Kiedy Lea odwoziła siostrę na dworzec, omal nie pokłóciły się w dorożce.

— Zastanawiałam się, czy ci o tym powiedzieć, bo ty zawsze się obrażasz, jak ci się coś takiego mówi, a ja się martwię; nie chcę, żebyś narobiła głupstw — zaczęła Mania, zerkając z boku na siostrę.

Lea od razu się nastroszyła.

— Znowu jakieś dobre rady?

Mania nachyliła się do niej.

— Tak, widzisz, rozmyślałam nad twoją sytuacją i sędzę, że ten pan Jan, z którym wiążesz wielkie nadzieje, jest bardzo młody i chyba jeszcze niegotowy na poważny związek, i to ze starszą od siebie wdową. Zastanów się nad nim dobrze, zanim coś postanowisz, żebyś potem nie żałowała.

Lea już chciała jej przerwać, ale Mania ciągnęła dalej.

— Poczekaj, daj mi dokończyć. Chcesz otworzyć sklep, to rozumiem, wydaje mi się, że to jest realne, ale pomyśl też o panu Reutowiczu. To naprawdę byłoby rozsądne.

— Nic o nim nie wiesz! — złościła się Lea.

— Nie bądź dziecinna; zapomnij, że się z nim kiedyś pokłóciłaś, ty do tego jesteś skora. A ja widzę, że jest ci przychylny i jak nie narobisz głupstw, to się dogadacie.

— Daj spokój, nie zamierzam się z nim dogadywać — denerwowała się Lea i nagle nabrała paskudnych podejrzeń. — Chyba z nim nie rozmawiałaś?

— Dlaczego miałam z nim nie rozmawiać? Sam mnie zagadnął, przedwczoraj spotkałam go w tej dużej księgarni na Krakowskim Przedmieściu, odbierał jakieś książki.

Przez chwilę słyhać było tylko rytmiczne uderzenia końskich kopyt o bruk, w końcu Lea wykrztusiła z oburzeniem:

— Rozmawiałaś z nim o mnie? — zapytała, czując, że robi się jej gorąco. — Co mu powiedziałaś?

— Nie złość się, nie powiedziałam nic takiego, czego nie mogłabym każdemu powtórzyć. Tylko tyle, że czujesz się zagubiona, niepewna, potrzebujesz czasu, żeby otrząsnąć się po stracie męża — wyliczyła spokojnie.

— Coś jeszcze? — dopytywała się niezadowolona Lea.

— Mówię, że nic takiego. To, co zwykle mówi się w takich sytuacjach, że mam nadzieję, że nie będzie działał na twoją szkodę, no i że starasz się być dzielna, ale potrzebujesz wsparcia, bo ja już wyjeżdżam.

Leę aż zatrzęsło ze złości.

— Jak mogłaś tak powiedzieć! To nieprawda! Co on sobie o mnie pomyśli? Że nie potrafię sama

o siebie zadbać — fuknęła na siostrę. — Robisz się coraz bardziej podobna do ciotki Anastazji. Wszystko wiesz najlepiej.

— Uznam to za pochwałę — stwierdziła niewzruszona Mania.

Pożegnały się w zgodzie. Lea oczywiście nie zamierzała stosować się do rad siostry, pomyślała jednak, że powinna porozmawiać z Reutowiczem, spokojnie, bez uprzedzeń, o ile to możliwe. Są pewne sprawy, które powinna uporządkować.

Jeszcze tego samego dnia po powrocie z dworca zeszła do apteki. Stała w korytarzyku między ekspedycją a recepturą i nie wiedziała, czy powinna wchodzić dalej. Przez tyle lat zaglądała tu kilka razy dziennie, a teraz czuła się obco. Podeszła do drzwi biura i zapukała. Reutowicz poprosił ją do środka, wskazał krzesło, był poważny i czujny. Pomyślała, że ma w sobie coś z drapieżnego ptaka, jakiś przyczajony niepokój. Może czuje się niepewnie w nowej roli? Nie, on lubił dyrygować ludźmi, to po nim widać.

Onieśmiał ją, czuła się jak petentka w magistracie; nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, powiedziała więc zwyczajnie, że chciałaby zabrać rzeczy Józefa, jego książki i szpargały, bo niedługo się wyprowadzi, kuzyn już jej coś znalazł.

— Proszę, oczywiście, proszę wziąć rzeczy Józefa — wskazał szafę wypełnioną książkami. — Wszystkie jego prywatne książki kazałem tam przenieść. Co chce pani z nimi zrobić?

Podeszła do szafy i przyglądała się książkom; wzięła jedną do ręki i przekartkowała.

— Nie zastanawiałam się nad tym, najpierw chciałabym je przejrzeć — powiedziała i zawahała się na moment. — Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałam z panem porozmawiać, jeśli ma pan chwilę — zagadnęła niepewnie.

— Proszę mówić. Słucham — w jego głosie nie było ani odrobiny zachęty, był obojętny, urzędowy. — Słucham — powtórzył i podsunął jej krzesło.

Opowiedziała mu o swoich podejrzeniach dotyczących włamania do apteki. Kiedy mówiła, patrzył na nią, obracając w dłoniach ołówki.

— Podejrzewa pani, że to miało związek z badaniami Józefa? Tak jak wybite szyby? Przyznam, że też się nad tym zastanawiałem. Józef niepotrzebnie ryzykował. Prosiłem go, żeby nie publikował tej listy, powiedziałem, żeby poszedł z tym do Trichonowa, ale on wiedział swoje, nie chciał nikogo słuchać. Wtedy się posprzeczaaliśmy — przyznał, wpatrzony w cień na podłodze, jakby w nim wciąż można było odnaleźć drobiny z przeszłości.

Lea podążyła za jego wzrokiem.

— Pamiętam, naturalnie — przytaknęła, jak mogłaby nie pamiętać takiej kłótni. — Józef uważał, że to jego misja, niemal obowiązek, a pan był temu przeciwny.

— Tak, byłem przeciwny — powtórzył z naciskiem. — Ale czy badania miały związek z włamaniem, tego nie wiem. Obawiam się, że nigdy się nie dowiemy.

— Pan się nie domyśla, kto to mógł być? Nic panu nie powiedział?

Pokręcił głową.

— Nie.

Musiała mu wierzyć. Dlaczego miałby kłamać? Szybko odeгнаła podejrzliwe myśli.

— Co teraz będzie z laboratorium, zamierza pan kontynuować badania?

— Nie. Ja jestem bardziej praktyczny, majątku na tym nie zrobię. Chcę rozwinąć wytwórnę leków, bo szkoda, żeby pomieszczenia stały puste.

Zamyśliła się.

— Tak, z pewnością ma pan rację — przytaknęła bez entuzjazmu. — Ale wychodzi na to, że ten, kto włamał się do apteki, osiągnął swój cel — stwierdziła smutno.

Nie spuszczał z niej wzroku.

— Tak pani sądzi? Pani wie najlepiej, czym Józef ostatnio się zajmował. Może pani dokończy jego badania?

— Nie myślałam o tym, nie potrafiłabym, tylko pomagałam — przyznała skromnie.

— A co z pani praktyką? Nie chce pani jej dokończyć? — zapytał, choć zabrzmiało to jak

stwierdzenie.

— Nie. Bez Józefa to nie ma sensu, chciałam... Nieważne, teraz nic już mnie tu nie trzyma. Najwyższa pora, żeby pan wprowadził się na górę. Znalazłam sobie coś skromniejszego.

— Nie musi się pani spieszyć, przyzwyczaiłem się do swojego mieszkania — odpowiedział, jakby to rzeczywiście nie robiło mu różnicy.

I tak jest dobrze, pomyślała. Mani coś się przywidziało, on stara się być uprzejmy, to i tak dużo. Nawet nie zapytał, dokąd się wyprowadzam. Nic go to nie obchodzi.

Sprawa laboratorium nie dawała jej jednak spokoju. Następnego dnia rano wzięła klucze, które od chwili, gdy policja obejrzała zdemolowane pomieszczenie, leżały w pokoju na kredensie. Zeszła na dół i niepostrzeżenie przemknęła do laboratorium. Otworzyła drzwi z głuchym chrzęstem, weszła do środka i przystanąła zaskoczona ciszą. Wszystko było tak, jak zostało po włamaniu, na podłodze leżały resztki leków i ziół, niegdyś starannie ułożone i podpisane ręką Józefa, a teraz rozrzucone na cztery strony świata. Usiadła na taborecie i zastanawiała się, czy umiałaby to uporządkować i odtworzyć wyniki, dojsć tam, gdzie doszedł Józef. Przypominała sobie, co ostatnio na ten temat mówił, i zbierała z podłogi notatki, etykiety i torebki z resztkami leków. Próbowwała je do siebie dopasować, ale wszystko było pomieszane. Nie dam rady, sama nie dam rady, pomyślała zawiedziona, ale nie chciała tak szybko się poddawać.

Józef notował swoje spostrzeżenia na luźnych kartkach, potem je porządkował i już na czysto zapisywał wyniki w notesie. Notesu jednak nigdzie nie było. Mogła wprawdzie przebadać resztki leków i ziół, które zostały na dnie papierowych torebek. Ale co z tego? Torebki były podpisane numerem. Co się za nim kryło, skąd i kiedy zostały pobrane próbki, te informacje były w notesie. Józef zawsze miał go przy sobie, rano, kiedy wychodził z mieszkania, sięgał po notes, który leżał na nocnej szafce, i wkładał go do kieszeni marynarki. Nigdzie bez niego się nie ruszał, musiał więc mieć go ze sobą w dniu włamania. Ale co się z nim potem stało? Gdzie jest teraz? Bez notesu nic nie zrobię, uświadomiła sobie.

Mimo wszystko ułożyła rozrzucone notatki, posegregowała torebki i zbadała kilka pozostałości. Obejrzała zioła pod mikroskopem, inne sprawdziła, wykonując próby chemiczne. Siedziała nad tym kilka godzin. Uparcie wpatrywała się w próbki i głowiła się, jak to rozwikłać, gdy usłyszała skrzypienie drzwi i głos Reutowicza.

— Lea, co pani tu robi? Zniknęła pani na cały dzień, nikt nie wiedział, gdzie pani jest. Tak nas pani wystraszyła — powiedział z nutą pretensji w głosie. Stał w drzwiach i przyglądał się ułożonym na stole notatkom i próbkom.

Drgnęła, odwróciła się i spojrzała na niego zdziwiona.

— Mój Boże, kogo to obchodzi, gdzie jestem i co robię. Kogo mogłam wystraszyć?

Milczał. Poczula się nieswojo.

— Przepraszam, powinnam powiedzieć, że tu będę, nie chciałam przeszkadzać — przyznała niechętnie. Znowu spojrzała na mikroskop. — Myślałam, że uda mi się coś znaleźć, ale to nie takie proste. Brakuje mi zapisków Józefa — powiedziała o notesie, którego nie mogła znaleźć. Zapytała, czy go nie widział.

Zamyślił się i zmarszczył brwi.

— Pamiętam ten notes, taki w czerwonej oprawie, zawsze go ze sobą nosił, ale gdzie jest teraz, nie mam pojęcia — odparł i podszedł bliżej; za blisko zdaniem Lei, która nadal siedziała przy mikroskopie.

— Udało się pani coś ustalić? — zaciekawił się.

Przysunął sobie krzesło i usiadł koło niej. Krępowała ją jego bliskość, ale starała się tego nie okazywać. Powiedziała, że sprawdziła kilka próbek i większość wygląda na podrabiane. Kiedy nastawiła preparat pod mikroskopem, żeby pokazać mu, ile jest tam domieszek, nachylił się nad nią; czuła jego oddech na szyi, wydawało jej się nawet, że musnął ją ręką. Wzdrygnęła się i szybko odsunęła, ustępując mu miejsca przy mikroskopie.

— Nie jestem specjalistą jak Józef, ale myślę, że razem z panią moglibyśmy do czegoś dojsć — powiedział, patrząc na nią. — Lea, może wybrałaby się pani ze mną na kolację, chciałbym się

zrewanżować za środę.

Nie zdążyła mu odpowiedzieć, bo rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Szymon, oznajmiając, że pan Lubiński z Instytutu Wód Mineralnych chce się widzieć z Reutowiczem.

— Nie będę przeszkadzała — powiedziała i korzystając z okazji, wyszła z laboratorium, zostawiając zdezorientowanego Reutowicza.

Zdenerwował ją, w jednej chwili powróciła nieufność i niechęć do niego. Nie miała ochoty na żadną kolację, a on z pewnością nie chciał usłyszeć odmowy. Co on sobie wyobraża? Co mu przyszło do głowy? Nie dała mu powodu, żeby traktował ją tak poufale. To przez Marynię, naopowiadała mu o mnie nie wiadomo co. Lepiej pilnowałaby swoich spraw!

Z Janem spotkała się w niedzielę; nie musiała już się obawiać, że ktoś znajomy zobaczy ją w jego towarzystwie. Była ładna pogoda, poszli do Łazienek, po południu w Teatrze na Wyspie grała orkiestra, ale Lea wolała słuchać Jana, muzyka była tylko tłem do ich rozmowy. Zajęli miejsca na ławce w cieniu pod rozłożystym wiązem, a Jan usiadł tak blisko, że przez suknię niemal wyczuwała dotyk jego kolana.

Wziął ją za rękę, wodził palcami po zagłębieniu dłoni, spletał w uścisku jej drobne palce, na których nadal tkwiła ślubna obrączka. Lubiła jego dotyk, zdecydowany, a jednocześnie delikatny, była w nim zapowiedź pieszczoty innej od tych opisanych w poradniku małżeńskim.

— Co teraz zamierzasz, jakie masz plany? Kiedy się wyprowadzisz? — zasypywał ją pytaniami, na które dopiero sama starała się sobie odpowiedzieć.

Powiedziała mu o przeprowadzce.

— Leon znalazł mi mieszkanie, trzeba je tylko odświeżyć.

— Więc na co jeszcze czekasz? Nie chcesz chyba tam tkwić i pielęgnować pamięci byłego męża? Nic na tym nie zyskasz, a im dłużej będziesz to odkładać, tym trudniej będzie ci się stamtąd ruszyć. Co cię tam jeszcze trzyma? Nie poznaję cię, jakbyś popadła w jakiś bezwład, a ja czekam na ciebie, czekam, aż mi powiesz, że tamto to już przeszłość, że jesteś wolna.

— Wiem — szepnęła wzruszona i uszczęśliwiona, że wreszcie to słyszy. Wprawdzie oczekiwała innych słów, bardziej uroczystych zapewnień i gorących wyznań, ale czy to takie ważne. Najważniejsze było to, że jego uczucie nie zwietrzało, nie ulotniło się podczas tych tygodni, gdy na nią spadły nieszczęścia, gdy przestała być zabawna. — Wiem — powtórzyła wpatrzona w niego jak w święty obrazek. — Czekam tylko, aż skończą malowanie i Leon pomoże mi w przeprowadzce.

Jan był niecierpliwy.

— A ja nie mogę pomóc? Dużo masz rzeczy?

— Trochę się tego nzbierało — przyznała.

Przez siedem lat małżeństwa obrasta się w piórka, pomyślała. Nie jestem już tamtą dziewczyną z prowincji, która za całą wyprawę miała dwie sukienki i dwie zmiany pościeli. Teraz mam meble, talerze, ubrania i kilka spraw, o których lepiej zapomnieć.

Do laboratorium nie zamierzała już wracać, ale żałowała, że nie zdążyła ustalić, do czego doszedł Józef w swoich badaniach. Nie była pewna, czy odkrył, kto stoi za fałszerstwami, i czy te poszukiwania przyczyniły się do jego śmierci. Nie mogła już tam więcej zaglądać, nie chciała się narażać na towarzystwo Reutowicza, zresztą to była sprawa policji.

W nowym mieszkaniu pachniało inaczej, znów obco. Nie było w nim aptecznych zapachów, może tylko drobiny, które przyłgnęły do Lei i do jej ubrań. Świeżo odmalowane podłogi i ściany nadawały temu miejscu pozór nowości, ale spod zapachów farby przebijała woń starych murów, mieszanina ludzkich wyziewów, dawnych obiadów, wiekowego kurzu, owadzych skrzydeł i mysich bobków, a czasami zawiewał też ciężki zapach gotowanych potraw z pobliskiej knajpy.

W pokoju Lea ustawiła stare meble zabrane z Piwnej, te po Sabinie, nowych Józef nigdy jej nie kupił, ale te były dobre, nadal bardzo porządne, mogły jej jeszcze służyć przez długie lata, a teraz nie

zamierzała wydawać pieniędzy na fanaberie. W oknach zawiesiła zasłony i ustawiła doniczki z geranium. Agata zajęła się kuchnią, wyszorowała ją i przepaliła, rzucając w ogień poświęconą cierniową gałązkę. I kiedy w kuchni zahuczał prawdziwy ogień, nagotowała rosółu i oświadczyła dumnie:

— No to jesteśmy na swoim, psze pani. Wszystko jest jak trzeba, i żywy ogień, i rosół — chwaliła się, że dopełniła wszystkich obrządków. — Tylko szkoda, że nie ma kogo nim poczęstować.

Lea wzruszyła ramionami, tym akurat się nie przejmowała. Na swoje, czyli do mieszkania na Kamienne Schodki, przeprowadziła się pod koniec sierpnia. Nie chciała wyprowadzać się na Pragę, jak proponował jej Leon, wołała Stare Miasto, tu czuła się prawie u siebie. Mieszkanie nie było duże, dwa pokoje i kuchnia ze spiżarką, ale znajdowało się niemal przy Rynku Starego Miasta, a jedno z okien wychodziło wprost na gazową latarnię, przy której wieczorami można było swobodnie czytać. To jej wystarczyło.

W dniu przeprowadzki, kiedy zeszła pożegnać się z pracownikami apteki, postanowiła zachowywać się nienagannie, z wyższością, jaką dawało jej poczucie zbliżającego się do niej szczęścia. Pomyślała, że przekaże Reutowiczowi klucze od mieszkania, będzie życzyć powodzenia i powie, że przeprasza za wszystkie niemiłe słowa, których mu nie żałowała, odda listy i podaruje mu jedną z książek Józefa, prosząc, żeby zatrzymał ją jako pamiątkę po swoim przyjacielu. Miała być wyniosła i chłodna, a w końcu zrobiło jej się smutno, niemal rzewnie.

Tyle lat spędziła w mieszkaniu nad apteką, przez ten czas nasłuchiwała się i naogładała różnych rzeczy, znała każde pomieszczenie, każdą półkę i szafę. Nauczyła się łacińskich nazw ziół i chemikaliów. To Józef wszystkiego ją nauczył, choć początkowo nie chciał o tym słyszeć. Nie pozwalał jej nawet zaglądać do apteki, ale w końcu została jednym z jego uczniów. Szkoda, że nie zdążyła ukończyć praktyki. Teraz to już skończone, jeszcze chwila, jeszcze kilka kroków i apteka stanie się przeszłością. Posmutniała, uchyliła drzwi i weszła do środka, rozglądając się, jakby próbowała zapamiętać ten widok na zawsze.

Najpierw zobaczyła Tymona. Stał w izbie ekspedycyjnej; niewysoki, lekko przygarbiony, brakowało mu pewności siebie i elegancji ruchów pana Emila, nie miał tej iskry bożej, która pomagała przekonać klienta, że oprócz kropli żołądkowych niezbędny jest mu także termofor, kilka flaszek wody mineralnej, likwor żołądkowy, maść na odciski i pomada do włosów. Tymon był solidny, akuratywny, patrzył na świat zza grubych okularów, które stale zsuwały mu się z nosa, i uśmiechał się niepewnie.

— Przyszłam się pożegnać — powiedziała, czując, że wzruszenie drapie ją w gardle. — Proszę zachować o mnie i o moim mężu dobre wspomnienia. I niech się panu dobrze wiedzie.

Tymon poprawił okulary na nosie i zarumienił się.

— Będzie nam pani brakowało — powiedział, choć właściwie mówił to w swoim imieniu. — Do końca życia zapamiętam obiady u pani. Czekałem na nie i od rana zgadywałem, czym nas pani ugości — powiedział z rozrzewnieniem, uklonił się i ucałował jej rękę.

Reutowicz nie był rozrzewniony; wstał zza biurka, zapiął marynarkę, podszedł i popatrzył na Leę z góry.

— Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona ze swego wyboru — powiedział, nie precyzując, czy chodzi mu tylko o mieszkanie.

Ale kiedy podarowała mu książkę Józefa, dodając, że mąż z pewnością tego by sobie życzył, Reutowicz wyraźnie się ucieszył. Lea uznała więc, że nie musi go już za nic przepraszać, bo nie ma sensu przypominać o niemiłych słowach, które wymknęły się jej w chwili słabości. W końcu podała mu paczuszkę listów.

— To, zdaje się, należy do pana — powiedziała, patrząc mu w oczy z niewinną miną.

W jego spojrzeniu dostrzegła ironię.

— Czyżby chciała pani zwrócić moje listy? Wszystkie czy zachowała pani sobie coś na pamiątkę?

— Nie potrzebuję już takich pamiątek — zapewniła go, nie chcąc wracać do złych chwil.

Uniósł lekko brwi, jakby nie był do końca przekonany co do jej szczerości.

— Jestem pani niepomernie wdzięczny. Może pozwoli pani zaprosić się na kolację, chciałbym się pani zrewanżować — powtórzył zaproszenie sprzed kilku dni, ale zapytał lekko, jakby ciągle żartował.

— Może kiedyś — odpowiedziała mu z nic nieznaczącym uśmiechem. Kiedyś, czyli nigdy, bo chyba jemu na tym specjalnie nie zależy, tak jak i mnie. Powinien już się domyślić, że nic od niego nie chce, myślała, podając mu dłoń na pożegnanie.

— Rozumiem — stwierdził poważnie. — Ale będzie mi pani brakowało.

Nie potrafiła się powstrzymać, żeby nie powiedzieć ostatniego słowa.

— Bez przesady, panie Reutowicz, nie musi pan aż tak fantazjować, może Józefa będzie panu brakowało, ale nie mnie.

Dni robiły się coraz krótsze, czasem zamazane deszczem albo mgłą, niewyraźne jak nieudany obraz impresjonisty. Lea nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić; rozmyślała o Janie, nadal była nim zauroczona i nie dopuszczała do siebie głosu, który mówił, że zbyt wiele ich dzieli. Jan był czuły, dowcipny, inteligentny, kreślił przed nią wizję nowego życia i nowego społeczeństwa, opowiadał o nieograniczonych możliwościach ludzkiego umysłu, o wynalazkach i odkryciach, o lotach sterowcem, ubezpieczeniach na życie i promieniach Roentgena, które przeszywały człowieka aż do szpiku kości. Przy nim nie pamiętała o kłopotach i przyziemnych sprawach, czuła się lepsza, młodsza i ładniejsza.

Dopóki Jan był blisko, dopóki wiedziała, że przyjdzie do niej, że spotkają się wieczorem albo w niedzielę, dostosowywała do niego swój czas, rozkład dnia i tygodnia. Szła z nim na wystawę do Zachęty, do Muzeum Przemysłu i Rolnictwa albo do teatru, ale nie na wodewil, tylko na poważne przedstawienia do Nowego, a najczęściej do kawiarni, gdzie mogli swobodnie rozmawiać, obserwować ludzi i opowiedzieć sobie, co się wydarzyło. W niedzielę Jan przychodził do niej, siadał w dużym pokoju przy stole, jadł obiad, popijał czarną kawę z filiżanki ze złotym brzeżkiem i patrzył na nią z zadowoleniem, a potem całował i obejmował coraz śmielej, jakby już byli po ślubie. O wspólnej przyszłości ani o małżeństwie nie wspominał. To było niepokojące, ale nie tak jak to, gdy zniknął na dłużej, odwoływał spotkania albo zapominał o nich, a potem się tłumaczył, że wyjeżdżał, zbierał materiały do artykułów, pisał, był ogromnie zajęty. Lea czuła się wtedy zawieszona w próżni, poza czasem, bo dni bez niego nie miały znaczenia, były bez smaku, jak niedosolony chleb.

W bezsenne godziny, które przylatywały do niej nad ranem, zanim obudzą się gołębie i zgasną gazowe latarnie, w porze, gdy chłód osadza się szronem na szybach, zastanawiała się, czy jej znajomość z Janem ma szansę przetrwać i przerodzić się w poważny związek. Miała nadzieję, że tak się stanie. Trudności są po to, żeby je pokonywać, myślała, dodając sobie otuchy. Ale nie mogła siedzieć beczynn timer. Pomyślała, że teraz jest wolna i powinna, nie oglądając się na Jana, zająć się czymś, pokazać, że potrafi sama zadbać o siebie i o swoje interesy. Mogłaby wykorzystać to, czego nauczył ją Józef, czego sama się od niego nauczyła. Kosztowało ją to sporo trudu i samozaparcia, więc nie chciała, żeby wszystko poszło na marne.

Myślała o otwarciu sklepu, zielarni albo perfumerii. Najpierw zwierzyła się z tego zamiaru Leonowi. Spojrzał na nią zaskoczony, jakby nie mógł sobie wyobrazić, że Lea miałaby się zajmować czymś innym niż domem.

— Drogerię? Ty?

— No tak, drogerię albo zielarnię. Muszę czymś się zająć, chcę być samodzielna — tłumaczyła, rozpalając się do swego pomysłu. — Przez tyle lat pomagałam Józefowi, znam się na ziołach i trochę na lekach, kosmetykach, dlaczego miałabym to zarzucić. Józef zostawił mi pieniądze, miały być na dom, ale teraz to już nieaktualne, mogę je inaczej spożytkować, nie wszystko, nie chcę za dużo ryzykować, ale część mogę przeznaczyć na magazyn.

— Poczekaj, poczekaj, co nagle, to po diable — stopował jej zapał. — Najlepiej będzie, jak porozmawiasz z Reutowiczem, on ma w tym dużo lepsze rozeznanie.

Pokręciła głową.

— Nie. Jego wolałabym nie prosić o pomoc — przyznała z wymowną miną.

Leon nie dociekał dlaczego, doradzał, jak potrafił, uznał, że jeśli już myśli o prowadzeniu sklepu, to powinna to być drogeria albo mydlarnia.

— Najpierw trzeba się rozeznać, jak wygląda rynek, przekalkulować, ile w to zainwestować, ile potrzeba na rozruch, tak szybko nie da ci przychodu, musisz to wszystko obliczyć, wiedzieć, na czym stoisz. Pomyślę o tym i postaram się dowiedzieć, jak to załatwić — obiecał, dodając, że może to nie jest głupi pomysł.

Kiedy Lea powiedziała o swoim pomysle Janowi, zdziwił się, podobnie jak Leon.

— Chcesz otworzyć sklep? Chyba nie myślisz o tym poważnie?

— A dlaczego nie? Co w tym złego? Muszę czymś się zająć, nie chcę być zależna tylko od dochodów z apteki — powiedziała zdecydowanie, odstawiła na kredens filiżanki i talerzyki i rozłożyła na stole swoje zapiski, w których robiła wstępne kalkulacje. — Widzisz, wszystko już sobie przeliczyłam. Na początku będzie trudno, ale powinno się udać! — dodała z przekonaniem.

Zastanowił się przez chwilę, przetarł chusteczką okulary, popatrzył na kartki.

— Może to i dobry pomysł — stwierdził po chwili wahania.

Lea uśmiechnęła się blado i pomyślała, że wolałaby usłyszeć inną odpowiedź. Powinien powiedzieć, żeby wybiła sobie ten pomysł z głowy, to nie jest konieczne, bo on się nią zajmie już na dobre. Nieważne, co by potem zrobiła, ale oczekiwała, że Jan właśnie tak powie.

— Rozumiem, chcesz być niezależna. Doskonale to rozumiem, nie chcesz się teraz wiązać — wziął ją za rękę. Dłoń miał ciepłą i mocną, a jej uścisk był teraz przyjacielski. — Widocznie jeszcze nie pora, potrzebujesz..., raczej oboje potrzebujemy więcej czasu na podjęcie poważnych decyzji. Musisz ułożyć swoje sprawy i ja nie będę ci w tym przeszkadzał — powiedział uspokajającym tonem.

Spojrzała mu w oczy.

— Janku, ale myślisz o nas poważnie? Myślałeś o tym, żebyśmy się pobrali? — zapytała i szybko dodała, jakby na swoje usprawiedliwienie, że ona pierwsza porusza ten temat: — Pewnie jeszcze o tym nie myślałeś? A może nie chcesz?

— Oczywiście, że chcę, chciałbym, żeby to było już, ale lepiej jeszcze poczekać, aż skończy się twoja żałoba, ułożysz swoje sprawy — mówił spokojnie, jakby to była zwykła kolej rzeczy.

— Przejmujesz się tym, co ludzie powiedzą? — zdziwiła się.

— Ty się tym przejmujesz.

Miał rację, naturalnie, trzeba było odczekać do końca żałoby. Ale najważniejsze, że chciał tego samego co i ona. To jej wystarczyło.

— Teraz jest nam dobrze, Lea. Nie musimy się spieszyć, cieszymy się z tego, co mamy, co możemy mieć na wyciągnięcie ręki — dodał i spojrzał na nią tak intensywnie, jak ona jeszcze niedawno wpatrywała się w mikroskop, by wykryć drobinę fałszu i nieczystości. — Lea, chciałbym się z tobą kochać. Jak długo każesz mi jeszcze czekać? — powiedział głosem ciepłym jak letnia noc.

Pokręciła przecząco głową; położyła mu palec na ustach, a w tym geście była i odmowa, i zachęta jednocześnie.

Przymrużył oczy, miał jasne gęste rzęsy, które dodawały jego spojrzeniu letniego uroku. I kiedy tak na nią patrzył, wydawało się jej, jakby w ciepły dzień siedziała z nim w ogrodzie pod drzewem, może w Korytnicy albo w Otwocku, i nie miała żadnych trosk.

— Wiem, wiem, ty jesteś z tych, które nie łamią zasad i pozwalają mężczyznom usłyszeć z pożądania.

Nie udawała oburzenia, on zawsze był szczery, szczery i bezpośredni. Ona tak nie potrafiła, nie znała właściwych słów, które nie wywoływałyby w niej uczucia wstydu i winy. Zresztą porządne kobiety o tym nie mówią, to nie przystoi, tak twierdziła ciotka Anastazja, kiedy w kuchni baby zebrały się przy szatkowaniu kapusty albo kiszeniu ogórków i wygadywały świństwa, śmiały się przy tym nieprzyzwoicie. Lea była ciekawa, co tam szepczą, ale ciotka się gniewała i wyganiała ją z kuchni. Idźże sprawdzić, czy jabłka na strychu się nie psują, czy pranie przeszło, mówiła, i Lea posłusznie szła na strych, gubiąc się w domysłach, co może być zabawnego między kobietą a mężczyzną. To było

dawno, całe wieki temu, gdyby Jan ją wtedy widział, jak rumieniła się na każde takie słowo, pewnie by sobie z niej żartował. Pewnie dziwiłby się jej niewiedzy, bo gdyby babka nie wyjaśniła jej kilku podstawowych praw natury, pozostałaby ciemna jak tabaka w rogu, jak inne dziewczęta, które czasem do końca panieństwa wierzą w bociany albo anioły, przynoszące dzieci nawet zimą, w znajdy albo bobasy kupowane przez ojców w jakimś tajemniczym magazynie. Jej się udało, z grubsza wiedziała, o co chodzi, i nie rozpałało to w niej chorobliwej ciekawości, nie zalewało mózgu falą wzburzonych humorów; nawet gdy wzdychała do Leona, wzdychała w sposób bezgrzeszny, czysto platoniczny. Potem Józef miał z nią twardy orzech do zgryzienia. Z Janem będzie zupełnie inaczej, obiecywała sobie.

— Nie dziś. Jeszcze nie — odpowiedziała, mrużąc oczy, w których kryła się obietnica spotkania.

Umówiła się z nim na sobotni wieczór i przez cały tydzień nie mogła się doczekać soboty. Codziennie zastanawiała się, jaką powinna założyć sukienkę i co pod nią, bo że to spotkanie będzie konkretne, nie miała wątpliwości. Agata prasowała jej suknie, jedną i drugą, a Lea kręciła niezadowolona głową, jakby była kapryśnym dzieckiem.

— I ta czarna, i ta też czarna, i w czym tu wybierać, tyle że ta cieplejsza, a ta druga to jest ta niebieska, co ją pani kazała do farby oddać. Ta szara do niczego się już nie nadaje. I jest jeszcze ta bardziej strojna, z magazynu, w sam raz do kościoła albo na wizytę.

Lea zniecierpliwiona machnęła ręką.

— Wiem przecież. Założę tę zwykłą, codzienną.

Agata się skrzywiła.

— Eee, jak ma pani się spotkać z panem Janem, trzeba by coś elegantszego, a nie taką ubożuchną, jakby nieboszczyk, pan aptekarz, nic pani nie zostawił. Trzeba się pokazać, buciki ładne założyć, na obcasie, żeby nóżki były zgrabne. A pod spodem koszulkę jaką cieniuchną, haftowaną, panowie to lubią — doradzała jej ze znanstwem, bo z narzeczonymi miała spore doświadczenie.

Lea spojrzała na nią karcąco, ale pomyślała, że Agata ma rację, i zdecydowała się na tę bardziej strojną suknię. W sobotę tuż przed wyjściem na spotkanie spojrzała w lustro, wyglądała blado, za to oczy lśniły jej dziś szczególnym blaskiem, który zdradza stan niecierpliwego oczekiwania. Założyła ciepły płaszcz, wzięła szal i rękawiczki, poprawiła kapelusik z czarną woalką i pobięła na spotkanie, delikatnie szeleszcząc halkami cienkimi jak skrzydła komara. Kiedy szła ulicą, była tak zaabsorbowana swoimi myślami, że nie zauważała taksujących ją wzrokiem mężczyzn i ich zaciekawionych spojrzeń, które każdej kobiecie dodają pewności siebie. Im bliżej była celu, tym bardziej przyspieszało jej serce.

Czekał na nią w kawiarni na Foksal i uśmiechał się tajemniczo. Zauważyła, że coś zmieniło się w jego wyglądzie. Może uczesał się inaczej, przystrzygł baki, ale wydawało jej się, że wygląda bardzo apetycznie. Wypili kawę, słodką i pachnącą, świeżo paloną, i oboje patrzyli na siebie z niecierpliwością odkrywców. W końcu Jan zaproponował, żeby poszli do niego.

— To dwa kroki stąd, chodź ze mną — mówił głosem czułym i przyjacielskim.

Czekała na to zaproszenie. W końcu czuła się wolna, mogła robić, co chciała, zachowując oczywiście pewne zasady i pozory. Przeszli przez ciemną bramę i weszli na klatkę schodową; poprowadził ją krętymi schodami na drugie piętro. Otworzył drzwi, za którymi był zagracony i ciemny przedpokój, zastawiony paczkami i stertami gazet. Przeszli do pokoju. Wziął ją za rękę, czuła bijący od niego zapach szafwii i wody kolońskiej, ale jeszcze wzbraniała się przed jego niecierpliwymi dłońmi, gdy chciał rozpinać jej suknię.

— A jak ktoś przyjdzie? — zapytała niespokojnie.

— Nikt nie przyjdzie — zapewnił i żeby ją uspokoić, zamknął drzwi na klucz i zasuwkę.

Całowała go z początku nieśmiało, jakby nie była pewna, czy on z niej nie żartuje, czy nie zwabił jej tutaj dla zabawy, dla zwykłej przyjemności, z której nic więcej nie wyniknie, zwłaszcza dla niego. Po chwili przestała się nad tym zastanawiać. Był przy niej i tylko to się liczyło, nawet jeśli pokój był mały, z niewygodnym pojedynczym łóżkiem.

Ściągnęła z niego koszulkę i delikatnie pocałowała w ramię. Podobały jej się jego ramiona

i zagłębienie koło obojczyka, wszystko w nim ją pociągało, każdy kawałek jego ciała mogłaby odkrywać na różne sposoby, tak jak on poszukiwał na jej skórze miejsc czułych na pieszczoty. Pomyślała, że z pewnością był kiedyś niegrzecznym chłopcem, który wszystko musiał sam sprawdzić, zobaczyć, dotknąć. Teraz też był ciekawy, czuły i zabawny.

Rozwidniało się, kiedy się zorientowała, że ósma już dawno minęła i powinna wracać. Ubierała się, nagle zawstydzona swoją nagością w obcym nieprzytulnym pokoju, gdzie światło lampy z kloszem w kolorze zielonego sukna, jakim wyklada się stoliki do gry w karty, rozbijało się o drewnianą poręcz łóżka, stos papierów i zniszczone krzesła. Jan zdawał się nie dostrzegać jej pośpiechu i skrępowania, zachowywał się swobodnie, jakby nie pierwszy raz przyjmował tu kobietę. Uśmiechał się zadowolony, pomyślała, że przypomina teraz kota, który zjadł coś smacznego. Nie chciała porównywać go z Józefem, Jan był zupełnie inny, miał w sobie tyle energii i radości, że ta udzielała się również jej.

Odprowadził ją do domu. Kiedy szli Nowym Światem, wziął ją pod rękę. Przeszli całą drogę pieszo. Lea niewiele mówiła, wystarczyła jej jego bliskość. Po raz pierwszy od długich tygodni czuła się szczęśliwa. Pożegnał się przed wejściem do domu na Kamiennych Schodkach.

— Kiedy teraz do mnie przyjdiesz? — dopytywał się z przekornym błyskiem w oczach. — A może przemycisz mnie do siebie, żeby nikt nie zauważył?

— Nie ma takiej możliwości, żebyś przemknął niezauważony — odparła poważnie. — Stróż wszystko wypatrzy i będą plotki. Zresztą nawet nie o to chodzi.

— A o co? A może o kogo? Chyba nikt już cię nie pilnuje? Jesteś przecież wolna.

Spoważniała.

— Tak, jestem wolna, ale to nie znaczy, że mogę pozwolić na to, żeby mnie obgadywano.

Roześmiał się głośno.

— Wiem, to porządny dom, a ty jesteś porządną wdową, na którą czyhają tacy nieutemperowani i niespokojni osobnicy jak ja.

Obruszyła się.

— Przestań się wyśmiewać. I nie jesteś żadnym nieutemperowanym osobnikiem, a nawet jeśli jesteś, to i tak mi się podobasz.

Stanoło na tym, że na razie będą spotykać się tak jak dotąd, gdy będą mieli na to czas. Lea otworzy magazyn, niewielki, taki na miarę swoich możliwości, a to i tak będzie wymagało od niej sporo zachodu. Jan nie może jej przecież w niczym pomóc, ma swoją pracę, często wyjeżdża, pisze, nie zna się ani na kosmetykach, ani na ziołach, ani na prowadzeniu sklepu.

Lea uznała to za rozsądne rozwiązanie, najważniejsze, że mieli wspólne plany na przyszłość, a jej magazyn był jednym z punktów tych planów. Wprawdzie od czasu do czasu nachodziły ją większe wątpliwości dotyczące tego przedsięwzięcia, obawiała się, czy sobie poradzi, ale nie mogła się już wycofać; chciała pokazać wszystkim, że potrafi być niezależna i działać samodzielnie, a nie tylko o tym mówić. Postanowione i kropka, musi stąpać twardo po ziemi, bo Jan najczęściej buja w obłokach, a finanse traktuje zbyt lekko, więc to ona powinna o tym myśleć i działać.

Przez kilka tygodni trwała w radosnym podnieceniu, które nie bardzo licowało z jej żalobą. Myślała o przyszłości, jej wyobraźnia pracowała pełną parą, widziała siebie jako właścicielkę eleganckiego magazynu perfumeryjno-kosmetycznego i u boku Jana, szczęśliwych jak Leon z Heleną, i z gromadką dzieci, a jeśli nawet nie będą mieli dzieci, i tak będą szczęśliwi, tak jak są teraz. Wiedziała nawet, jakie będzie ich przyszłe mieszkanie, jak urządzi sypialnię i że kuchnia będzie biała, i będzie w niej pachniało chlebem, majerankiem i cynamonem, a czasem piernikami, a ona z Agatą będą robiły konfitury z wiśni albo ciasto drożdżowe. Wszystko miała już obmyślane, od dawna w wyobraźni rysowała sobie obrazki swojego przyszłego szczęśliwego życia. Przypominały nieco dekoracje, jakie można zobaczyć u fotografa jeżdżącego po odpustach i jarmarkach; wszystko tam jest narysowane, śliczne i kolorowe, wystarczy wsadzić głowę w otwór, uśmiechnąć się i szczęście gotowe. I Lea w wyobraźni stworzyła sobie kilka takich uroczych obrazków, które czekały tylko na Jana, żeby

podszedł, ustawił się odpowiednio i uśmiechnął. Jan jednak nie zawsze chciał się uśmiechać.

Jeszcze we wrześniu doszło między nimi do sprzeczki, nic nieznaczącej wprawdzie, którą można zignorować jak mały zaciek na suficie, niepozorny, prawie niewidoczny. Marianna wróciła wtedy z letniska, po wakacjach była pełna energii i dobrych rad. Starła się wspomagać Leę, tak jak Lea wspierała ją w trudnych chwilach. Wyciągała na spacer do parku, a nawet poprosiła, żeby razem poszły i obejrzały zakład naukowy dla dziewcząt, w którym będą uczyły się jej córki. Wybrały się tam w czwartkowe słoneczne przedpołudnie.

Zakład mieścił się przy ulicy Starej, prowadziły go siostry sakramentki. Lea w czarnej sukni wyglądała poważnie i uroczyście, może dlatego zakonnica, która prowadziła je szkolnym korytarzem do gabinetu dyrektorki, zachowywała powagę i milczenie.

Dyrektorka szkoły była niską, pulchną kobietą o arystokratycznych rysach osłoniętych sztywno wykrochmalonym wymyślnym kornetem. Jej postać zdawała się ginać za olbrzymim rzeźbionym biurkiem. Miała miły głos, który sprawiał, że od pierwszego spotkania wzbudzała zaufanie. Gdy objaśniała im urządzenie szkoły, Lea słuchała jednym uchem, bardziej zaintrygowana widokiem, który rozciągał się za oknem, niż tym, co mówi dyrektorka. Patrzyła na ogród i sad, w którym między rozłożystymi jabłonią spacerowały uczennice w wiśniowych mundurkach, spokojne i beztrudne, odgródzone od świata grubym murem. Pomyślała, że chciałaby tam wejść na chwilę. Pomyślała też, że gdyby kiedykolwiek miała córkę, to posłałaby ją do tej szkoły, żeby i ona mogła biegać wśród drzew i patrzeć, jak kwitną i dojrzewają, a wreszcie przemijają, gubiąc liście i szykując się do zimy, do zmięzchu.

Kiedy spotkała się z Janem, opowiedziała mu o szkole, która zrobiła na niej takie wrażenie. Jan popatrzył na nią z dezaprobatą.

— Sentymenty, Lea, to tylko sentymenty. Już rozmawialiśmy na ten temat. Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz. Zakony to wynaturzenie, siedlisko intryg, niespełnionych nadziei, przeżytek, nawet nie chcę myśleć, co tam się dzieje — mówił z przekonaniem i zacięciem, rozpalającym jego spokojne zazwyczaj spojrzenie. — Nikomu bym nie życzył życia w zamknięciu. Co w ogóle zakonnice mogą wiedzieć o świecie, od którego się izolują; czego mogą nauczyć?

Lea się obruszyła.

— Co ty mówisz? Są lepiej wykształcone niż większość kobiet.

— Nie, Lea, czasami jesteś taka niemądra — pokręcił z niezadowoleniem głową. — Wybacz, ale wiesz, że nie toleruję hipokryzji i zacofania. Nie będę ci powtarzał, co mój stryj o tym sądzi, nie chcę cię urazić, bo ty wierzysz święcie we wszystko, co mówi ksiądz z ambony, i we wszystkie brednie i przesady, ale ja nie mogę tego traktować poważnie, nie mogę brać w tym udziału.

Lea nie mogła się z nim zgodzić. Za bardzo była przywiązana do tego, co przekazały jej babka i ciotka, do poświęconych ziół i jabłek, wianków, ognia i wody, do Matki Boskiej Zielnej, Siewnej i Gromnicznej, do świętej Cecylii, Apolonii, Katarzyny, opiekunki chorych i ubogich, i do świętego Jana, i całej rzeszy świętych opiekunów, patronów dni codziennych, trudnych i gorzkich, nie mogła się ich wyrzucić, odrzucić, nawet dla Jana. To był jej posąg, wiejska mądrość, którą ją obdarzono w dzieciństwie, przykazania na czas burzy, choroby, głodu i śmierci. Nie zapomniała o tym i powracała do szeptyanych modlitw, gdy wszystko inne zawiodło. Ale nie dyskutowała z Janem, on zupełnie tego nie rozumiał.

— Może i wierzę — przyznała. A może tylko chcę w to wierzyć, dodała w myślach.

Jan starał się przemówić jej do rozsądku.

— Lea, świat idzie do przodu, nie można trwać w średniowieczu, kurczowo trzymać się skostniałej wizji, wstrzymywać postępową myśl, ograniczać wolność, i to w imię tak zwanej prawdy, a w rzeczywistości dla utrzymania władzy i monopolu na prawdę. Ja nie znoszę obłudników, którzy mówią, co jest dobre, a co złe, a wobec siebie stosują inną miarę — przekonywał ją z zapalem płomiennego ideowca, żarliwego wyznawcy nowych prawd.

Do tej pory o tym nie rozmawiali; wprawdzie Lea widziała w nim młodego mężczyznę o nieco buntowniczych poglądach, który jeszcze się nie ustatkował, ale wierzyła, że Jan z czasem okrzepnie,

uspokoi się, że ona potrafi tego dokonać, zmienić go w dojrzałego, odpowiedzialnego męża i ojca rodziny. Po sprzeczce zaczęła poważnie zastanawiać się nad wspólną przyszłością; zrozumiała, że on wyrósł w rodzinie o zupełnie innych poglądach i w pewnych sprawach nie ustąpi, że to ona będzie musiała się do niego dostosować.

Kiedy był obok niej i tłumaczył, że tak będzie lepiej, gotowa była to zrobić, potrafił ją przekonać. Wątpliwości się nasuwały, gdy została sama ze swymi myślami, wtedy wyrzucała sobie, że jest chwiejna, słaba, nic niewarta. Przypominała sobie Salomeę-Sabinę, zagubioną i rozchwianą między dawnym imieniem a nowym. Nie chciała być taka jak ona, jedną nogą tu, a drugą tam, i wszędzie nie na swoim miejscu. Ale Jan tak ją zauroczył, że szybko wyrzucała z wątpliwości i czarne myśli poza pole swoich rozważań o szczęśliwej przyszłości. Podeszła do okna, sprawdziła, czy kwiatki są podlane, poprawiła firanki. Wszystko będzie dobrze, teraz musi być dobrze, wmawiała sobie.

Szczęście jest na wyciągnięcie ręki, wystarczy po nie sięgnąć, trzeba tylko wspiąć się nieco na palce, ale jest tuż-tuż. Tak sądziła Lea po przeprowadzce na Kamienne Schodki, a ta myśl uskrzydlała ją i pozwalała nie zauważać drobnych nieporozumień i niedomówień oraz lekkości obietnic pisanych palcem na wodzie.

Jan nie był lekkoduchem, broń Boże, miał raczej naturę wolną i niezależną, właściwą ludziom, którzy nie oglądają się na innych i muszą stracić coś, żeby przekonać się na własnej skórze, na czym im naprawdę zależy — poza wolnością. Lea tego nie zauważała; sądziła, że jeśli zadba o finansową stronę ich przyszłego związku (Jan nie miał stałych dochodów), reszta ułoży się tak, jak by sobie tego życzyła. Postanowiła działać i szybko znaleźć odpowiedni lokal. Wybrała nieduży sklep przy Brzozowej, położony blisko jej nowego mieszkania. Kazała go odnowić, wystąpiła do magistratu o pozwolenie na prowadzenie mydlarni, zamówiła meble, zwykłe proste półki i szafki z oheblowanych desek i czekała, żeby jak najszybciej się tam zainstalować. Naradzała się z Leonem, co powinna sprzedawać, chciała mieć duży wybór, oczywiście liczyła na mydełka z jego fabryki, kremy i pomady, pudry, olejki, wszystko co jest niezbędne do pielęgnacji kobiecej urody, dzieci i panów. Ale nie chciała zrezygnować z ziół.

— Znam się na ziołach lepiej niż na czymkolwiek innym — mówiła z przekonaniem i w tym momencie doświadczała uczucia dumy. — W tej kwestii umiem doradzić, mogę polecać zioła do kąpieli, do płukania włosów, do przesypywania bielizny i zioła do leczenia, na biegunkę i na kaszel... — wyliczała.

— Lea, zacznij od najbardziej podstawowych rzeczy, zobaczysz, jak ci pójdzie — Leon stopował jej zapędy, zaciągał się papierosem i patrzył na nią poważnie. — Zobaczysz, czy takie zajęcie w ogóle ci odpowiada.

Ale Lea nie chciała czekać; czuła, że złapała wiatr w żagle i sama doskonale sobie poradzi. W kwestii kosmetyków poprosiła o radę Mariannę i Helenę. Każda przedstawiła jej spis najbardziej przydatnych środków do codziennej higieny i pielęgnacji. Lea rozszerzyła ten spis o środki używane w gospodarstwie domowym. Nawet Agata wypowiedziała się w tej kwestii; najpierw wytarła ręce w fartuch, wzięła się pod boki, spojrzała w sufit, który bywał źródłem jej natchnienia, i odparła:

— Co bym kupiła w takim magazynie? Ja zaraz pani powiem, co potrzebne w każdym domu. To będzie tak: nafta, ocet, bielidło, mydło szare, soda, pasta do podłóg, terpentyna, a latem to i lep na muchy, i proszek na robactwo — wyliczała, sprowadzając Leę na ziemię. — No i mydełko, takie co ładnie pachnie, żeby było na niedzielę — dodała, widząc jej zawiedzioną minę.

— Musisz wziąć pod uwagę potrzeby swoich klientów, to niezamożni ludzie, powinnaś się do nich dostosować — doradzał jej Leon. — Dostawców znasz z apteki, sami się do ciebie zgłaszają, tylko uważaj na oszustów, którzy proponują okazyjny towar.

— Wiem coś o tym — odparła i zgodnie z radami przyjaciół zweryfikowała nieco swoją listę najpotrzebniejszych towarów. Trudności jej nie zniechęcały, najwyżej na chwilę. Wydawało się jej, że teraz, decydując o sobie i pracując na własny rachunek, stanie się inną kobietą, wolną i niemal

nowoczesną.

— Podziwiam cię — powiedziała Marianna, gdy zwyczajowo spotkały się w czwartek w kawiarni. Odłożyła na chwilę ciasteczko z migdałami i oblizała usta, na których osiadła odrobina cukru. — Przecież nie musisz tego robić, mówiłaś, że mąż zostawił ci pieniądze i masz dochód z apteki. Mnie to by wystarczyło, nie chciałoby mi się zawracać sobie głowy jakimś magazynem.

Lea się roześmiała.

— Nie muszę, ale trudno mi siedzieć beczynn timer cały dzień — tłumaczyła przyjaciółce. — Nie lubię się wylegiwać w łóżku i czekać nie wiadomo na co. Przez tyle lat byłam żoną aptekarza, przyzwyczaiałam się, to nie będzie dla mnie coś całkowicie nowego. I nie będę siedziała w magazynie cały dzień, Agata mi pomoże, a jak mi dobrze pójdzie, to za jakiś czas wezmę pannę sklepową.

— Ale czwartkowe popołudnia będziesz miała wolne? Będziemy się spotykały jak dawniej? — dopytywała się Marianna.

— Postaram się — odparła Lea, z uśmiechem kielkującego samozadowolenia. — Albo ty przyjdiesz do mnie i będziesz mi pomagała — zaśmiała się.

— Nic z tego, ja się do tego nie nadaję — zaprotestowała Marianna. — Ty jesteś wytrwała, czasami nawet uparta, tobie się uda.

W połowie października Lea otworzyła magazyn przy ulicy Brzozowej, tuż obok zakładu szewskiego i naprzeciwko fryzjera, który przez parę dni przyglądał się jej z ciekawością, aż w końcu przyszedł z odpowiednio przylizanymi włosami i pachnący wodą leśną i zagadał:

— A pani przecie wdowa po aptekarzu Klonowskim? To na co pani taki interes? Co, nieboszczyk nic nie zostawił, a może wspólnik panią oskubał? — zapytał bez ogródek, po czym wymacał językiem szczelinę między zębami, cmoknął i dodał: — Teraz to ludzie sumienia nie mają, żeby tak na cudzym nieszczęściu żerować.

Lea nic nie odpowiedziała, nie podobało jej się, że ten człowiek wtrąca się w nie swoje sprawy, ale on włożył kciuki do kieszeni swego fartucha i jakby od niechcienia ciągnął dalej:

— A ten Reutowicz, to ja go znam, on tu niegdyś przychodził, ale sprzykrzyło mu się u mnie i gdzie indziej się teraz strzyże — skrzywił się znacząco na taką niestałość. — Mógłbym o nim parę słów powiedzieć, bo on tak... — zaczął wyliczać poważnym tonem, zaglądając do środka magazynu. — Najpierw to nosił brodę hiszpankę, potem kazał sobie zrobić taką, jak miał car Mikołaj II. No, nie powiem, dobrze w niej wyglądał, poważnie, panie się za nim oglądały, chociaż żonaty przecież był. A ta broda była jak lep na muchy, niejedna w nią wpadła — tu puścił oko do Agaty, która pomagała Lei ustawiać towar w witrynie, i ciągnął dalej głosem znawcy męskiej natury: — Bo jeszcze kiedyś to nosił same wąsy, takie dowcipnie podkręcane jak wojskowi; humor mu wtedy dopisywał, balować lubił i nie żałował sobie. No a teraz to całkiem się zapuścił, widziałem go niedawno, wygląda jak, nie przymierzając, pop jakiś albo skazaniec, aż strach na niego patrzeć — opowiadał, od czasu do czasu mlaskając nieprzyjemnie. — A to wszystko przez kobiety, już ja coś o tym wiem, tylu panów do mnie przychodzi, i młodszych, i starszych, to na ludziach się znam prawie jak ksiądz, wiem, że jak nowa kobieta, to i nowa broda. Raz bardziej fikuśna, to znowu stateczna, zupełnie jak kobiety, jak kobietki. A ten to lubił zmiany...

— Pan Teofilu, pan tyle nie gada, bo się panu język stępi — ofuknęła go Agata, która wcześniej wysłuchała już kilku wersji wywodów fryzjera.

Agata miała język cięty i soczysty jak rodowita mieszkanka Starego Miasta, wyostrzony na codziennych potyczkach z przekupkami na targu i w innych okolicznościach, potrafiła się odciąć, co często było bardzo przydatne, a że była do tego niczego sobie, pan Teofil nie obraził się na te słowa, spojrział na nią z zadowoleniem i w dobrym nastroju wrócił do ostrzenia brzytwy, robienia piany i golenia męskich podbródków. Często jednak zaglądał do składu naprzeciwko, zwłaszcza gdy była tam Agata; zamawiał wtedy wodę leśną, mydła, ałun i kostki antyseptyczne, balsam do włosów, pomady, brylantyny, szuwaks do wąsów, w ostateczności roztwór karbolu do dezynfekcji narzędzi, żeby było

higienicznie.

Dla Lei zajęcie w magazynie, jak szumnie nazywała swój sklep z wyrobami mydlarskimi i perfumeryjnymi, stało się lekarstwem na samotne dni, gdy Jan był daleko. Pozwalało jej zaczepić się w terażniejszości. Codziennie coś się tam działo, codziennie była komuś potrzebna, mogła zapełnić swój czas czymś pożytecznym i święcie wierzyła, że znalazłoby to uznanie w oczach ciotki Anastazji.

Wkrótce jej zapał nieco przygasł; przekonała się, że nikt nie przychodził do niej po zioła na kaszel czy ból brzucha, nic z tych rzeczy. Tak jak przewidywała Agata, zwykle, niewyszukane towary miały największe wzięcie. Nafta owszem, ale w okolicy naftę można było kupić niemal w każdym sklepie, nie było na nią dużo chętnych. Większym powodzeniem cieszyły się zwykle mydła, bielidło, soda i różnego rodzaju środki do wywabiania plam. W okolicy mieszkwały praczki, które potrzebowały tanich i dobrych mydeł oraz proszków do prania, żeby bielizna od nich nie zszarzała. Lea zamawiała więc bielidło, ale na tym nie poprzestała, przypominała sobie domowe sposoby i doradzała klientkom, jak odświeżać koronki i blondyny¹ albo lniane ręczniki. Sprzedawała mydło zielone i białe, bielidło i lazurek², ług, krochmal i wysuszoną żółć wołową. Co prawda nie tak sobie wyobrażała swoją działalność, ale musiała od czegoś zacząć i dostosować się do potrzeb rynku.

Poszukiwany był też ocet, dobry, mocny, a nawet ziołowy, po który przybiegały kucharki. Mogłabym zrobić taki ocet, pomyślała Lea, najlepiej według przepisu ciotki Anastazji, z estragonem i cynamonem, goździkami i pieprzem, ostry i mocny, ale bez żadnych sztucznych domieszek. Ocet ciotki to było dzieło sztuki, prawdziwe kuchenne panaceum, chroniący od zepsucia wyciąg z cnót kardynałnych. To był ocet nad octami, ostatnia deska ratunku w kryzysach domowych, który maskował smak lekko przypalonych i mniej świeżych potraw, a do tego zaostrzał apetyt, leczył niestrawność, ból głowy, rozpuszczał złe humory, ciągoty i zakwasy, a złośliwi mówili, że niejednego doprowadził do grzechu, i to nie tylko obżarstwa. Ciotka chowała go przed dziećmi w zamykanej na klucz szafce, gdzie trzymała też olej rycynowy i nalewkę na bożym palcu pomocną w kobiecych chorobach, i święconą wodę. Jak interes się rozkręci, będę robić ocet ciotki Anastazji na sprzedaż, postanowiła Lea, oczami wyobraźni widząc już krągłe gąsiorzki z dojrzewającym octem.

Oprócz gospodyń domowych, kucharek i praczek do magazynu zaglądały i inne klientki. Tak jak do apteki, i tu przychodziły dziewczyny uliczne, które chciały tanich perfum, pomadek, pudrów i innych środków pomagających odnowić zmęczoną urodę. Proza życia, myślała Lea i odważała im mocne fiołkowe i różane wonie, pomady na piegi i wypryski oraz miętowe pastylki, które miały odświeżyć oddech.

Wytworne klientki, które nosiły parasolki, kapelusze i rękawiczki, były bardziej wymagające; życzyły sobie zagranicznych wód kwiatowych, najlepiej takich z ogłoszenia z latarnią morską. Lea nie wiedziała, co to takiego, ale znalazła w gazecie ogłoszenie i przeczytała, że wyroby firmy perfumeryjnej Dralle są najlepsze; już jedna kropla wystarczy, aby pachnieć niczym bukiet świeżych narcyzów albo róż. Pojechała więc na Marszałkowską do składu perfumeryjnego i kupiła beczułki pachnącej wody kwiatowej. Nie były tanie, ale zapach miały oszałamiający, niemal do złudzenia naśladowający woń naturalnych kwiatów, jak głosiła reklama z latarnią morską. Mój Boże, co za cudo, pomyślała Lea, wachając do upojenia kwiatowe wody. Nie mogła się zdecydować, który wybrać, najbardziej podobała się jej konwalia, ale musiała uwzględnić gusty klientek, wzięła więc i fiołki, i róże, inne zostawiając na następny zakup. Na zapleczu sklepu rozlewała wody do małych flaszeczek, na które naklejała etykiety z nazwą. Przy tej pracy przesiąkała aromatem wód kwiatowych i była jak chodząca reklama firmy Dralle.

— Lea, chyba trochę przesadziłaś, pachniesz jak fabryka perfum — śmiał się z niej Jan, niwelując zapach mocnym tytoniowym dymem.

— To najmodniejsze zapachy w tym sezonie — odparła mu Lea, pokazując ogłoszenie w gazecie i opowiadając o zakupach.

Jan zerknął na gazetę z niewielkim zainteresowaniem; to nie była gazeta, do której zaglądał. Szkoda na to czasu. Teraz czytał tylko poważne tytuły, zaangażowane artykuły na temat prawa, polityki zagranicznej, ekonomii i ewentualnie sportu, dalekie od spraw, którymi zajmowała się Lea.

— Nie znam się na tym — oświadczał dumnie. — Perfumy to przeżytek, burżuazyjny przesąd, symbol społecznej nierówności — stwierdził żartobliwie, ale rozwinął tę myśl już całkiem poważnie, wpływając na szerokie wody nowoczesnej myśli społecznej podpartej lekturą klasyków.

Lea uniosła znacząco brwi i przyglądała mu się podejrzliwie.

— Czy pan, panie Janie, przypadkiem nie przesadza? — zapytała, zaglądając mu w oczy. — A co pan powie na pachnące mydła albo tytoń? — zapytała i roześmiała się, widząc jego zmieszanie.

— Mydła są jak najbardziej w porządku — oświadczył Jan po namyśle, a w końcu, żeby zrobić jej przyjemność i okazać zainteresowanie sklepem, zapytał, co kupują mężczyźni.

Mężczyźni przychodzili do magazynu Lei rzadko, najczęściej służący po pastę do podłogi i butów, wosk, lak albo kredę do czyszczenia sreber. Panowie pytali o wodę kolońską podwójną lub potrójną z Sankt Petersburga, ale gdy Lea podawała cenę za flakonik, twierdzili, że to za drogo, że gdzie indziej można kupić dużo taniej. Lea oburzała się; gdyby obniżyła cenę, tak jak chcieli, musiałyby sprzedawać poniżej kosztów zakupu.

— Nie dam się naciągnąć — zdawała relację Janowi. — Myślą, że jak nowy sklep, to mogą mi wmawiać, ile mają płacić.

Jan rozkładał bezradnie ręce.

— Rób, jak uważasz, ja się na tym nie znam.

Kilka dni po otwarciu, kiedy przez sklep Lei przewinęła się fala ciekawskich, przyszedł do niej Reutowicz. Stał w drzwiach jak cień, uchylił kapelusza, omiół wzrokiem kontuar i półki, na których Lea ustawiała mydełka w ozdobnych opakowaniach, flakoniki z perfumami, świece i proszki do zębów.

— Własny magazyn, więc to jest pani nowe powołanie? — zapytał jak zwykle z nutą ironii w głosie.

Lea już zamierzała coś mu odpowiedzieć, ale on podszedł do niej, wręczył jej bukiet jesiennych kwiatów i powiedział z galanterią:

— Życzę pani powodzenia i wytrwałości i oczywiście służę pomocą.

Spojrzała na niego zaskoczona. Wzięła kwiaty; pachniały latem, którego już nie było. To był taki zapach jak w Korytnicy, gdy przed przymrozkami przynosiło się z ogrodu ostatnie dalia, nasturcje, zrudziałe lebidki i siwe piołuny. Przymknęła oczy i na moment przywołała widok starego ogrodu.

— Piękne. Bardzo panu dziękuję — ucieszyła się i chyba pierwszy raz w życiu uśmiechnęła się do niego szczerze.

Reutowicz tymczasem rozglądał się po sklepie; najwyraźniej czekał, żeby poprosiła go dalej. Co było robić; pokazała mu cały sklep, łącznie z magazynkiem, i spodziewała się kąśliwych uwag, które jednak nie padły. Po co on tu przyszedł? — zastanawiała się. W końcu usłyszała:

— Pani Leokadio, likwiduję laboratorium Józefa — zaczął. — Mogłaby pani zajrzeć do apteki, powiedzmy jutro albo pojutrze, i zobaczyć, czy coś z tego, co tam zostało, będzie pani potrzebne. I co zrobić z mikroskopem. Należy do pani, ale dobrze by było, gdyby został w aptece, mógłbym go odkupić, chyba że pani zdecyduje się go zabrać.

Zastanowiła się chwilę.

— Jutro nie mogę — odpowiedziała zgodnie z prawdą, była umówiona z Marianną i nie chciała tego odwoływać. — Może w przyszłym tygodniu w poniedziałek?

— W takim razie będę na panią czekał w poniedziałek po południu — zgodził się. Zatrzymał się przy drzwiach i jakby sobie przypomniał, że należy jej się kilka słów krytyki, dodał: — A dlaczego nie zwróciła się pani do mnie w sprawie sklepu? Doradziłbym pani, podpowiedział, jak należy to urządzić. Mam skład na Pradze, powinna go pani obejrzyć — dodał poważnym tonem, jakim należy rozmawiać o sprawach zawodowych. — No nic, pomówimy w poniedziałek. Do widzenia.

W poniedziałek Lea miała szczerzy zamiar iść do apteki i porozmawiać z Reutowiczem, jednak

kompletnie o tym zapomniała, kiedy rano do jej magazynu przyszedł młody człowiek i wręczył jej list. Jej imię i nazwisko wykaligrafowane bukwami wskazywało, że nie jest to list od kogoś znajomego. Z niepokojem przełamała pieczęć i zajrzała do środka. Komisarz policji kryminalnej, Aleksander Fiodorowicz Trichonow, zawiadomił ją, że dziś po południu chce się z nią widzieć w piwiarni przy ulicy Żurawiej.

— Nie wie pan, o co chodzi? — zapytała, wlepiając w posłańca niespokojne spojrzenie.

— Ja nic nie wiem, miałem tylko doręczyć pani list — odpowiedział młody człowiek i zniknął za drzwiami.

Wprawdzie upłynęło sporo czasu, nie licząc chwili podczas pogrzebu, kiedy Lea ostatni raz rozmawiała z Trichonowem, ale dobrze go pamiętała. Kilka lat temu Trichonow nie pracował jeszcze w policji kryminalnej, nie był też komisarzem, ale potrafił nią manipulować jak doświadczony śledczy i wyciągnąć sekrety z ciemnych zakamarków umysłu, głębin szuflad i znaczących przemilczeń. Wykorzystał jej strach, wstyd i wyrzuty sumienia i nakłonił do zdobycia poufnych informacji, które, jak podejrzewała, pomogły mu osiągnąć lepsze stanowisko. Nie sądziła, żeby teraz zmienił metody działania. Obiecała sobie solennie, że nie da się podejść, nie ma już niczego do ukrycia.

Kiedy usłyszała, że Trichonow zajmuje się sprawą włamania do apteki, spodziewała się, że zechce ją widzieć, ale upłynęło kilka miesięcy i oprócz rewirowego, z którym rozmawiała zaraz po owym nieszczęsnym zdarzeniu, nikt jej o nic nie pytał. Była więc zaskoczona, że Trichonow teraz sobie o niej przypomniał. Czyżby dowiedział się czegoś nowego? Patrzyła na pismo i nie wiedziała, co o tym sądzić. I co to za miejsce na spotkanie? Piwiarnia, też coś! Nie mogła jednak nie pójść.

Piwiarnia na Żurawiej przypominała spelunę, do której w innych okolicznościach Lea nigdy by nie weszła. Tym razem przekroczyła jednak jej próg, choć nie bez obaw. Zajęła miejsce pod ścianą i ku zdziwieniu kelnerki zamówiła herbatę. Rozglądała się z niepokojem po sąsiednich stolikach, przy których siedzieli ludzie o wyglądzie równie nieciekawym jak sam lokal i bladła na samą myśl, że któryś z nich mógłby się do niej przysiąść.

Trichonow pojawił się po pięciu minutach; wszedł niespiesznie, rozejrzał się i ruszył do stolika, który zajęła Lea. Przyglądała mu się zza czarnej woalki; nie był ideałem męskiej urody, wyglądał raczej na dojrzałego jegomościa ulegającego zgubnym wpływom grzechów głównych, zaściankowego sybarytę ze średnim doświadczeniem, nieco łysiejącego, najpewniej od rozpusty. Ale w porównaniu z bywalcami pijącymi popularne piwo z browaru Machlejda wydawał się niemal elegantem, jego zaś fantazyjnie podkręcone wąsy mogły rozpałać damską wyobraźnię. Podeszedł do niej, mruknął coś na powitanie, usiadł ciężko, podciągając nogawki spodni na kolanach, po czym wyjął notes i zadał jej te same pytania o przebieg wydarzeń sprzed czterech miesięcy, które postawił jej wcześniej rewirowy. Palił przy tym rosyjskie papierosy marki Mir, odgradzając się od niej mgłą ciężkiego dymu.

Lea opowiedziała mu przebieg owego feralnego lipcowego dnia, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. W końcu Trichonow jakby od niechcienia zapytał o badania Józefa, dociekał, kto o nich wiedział i czy Reutowicz interesował się laboratorium. Wyjaśniła mu, że Reutowicz zajmował się sprawami apteki, a badania Józefa niespecjalnie go interesowały.

— Ale kiedyś się o to pokłócili — dodała nieopatrznie.

Trichonow wbił w nią wzrok i zapytał:

— O co się pokłócili?

Zmieszała się.

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy? To było dawno, chyba w zeszłym roku. Nie pamiętam dobrze, o co im poszło.

— Niech sobie pani przypomni — upierał się.

— Naprawdę nic więcej nie wiem. Nie wiem, co robił pan Reutowicz, i nic więcej nie mogę dodać — odparła i wstała od stolika.

— Ależ może pani, może. Jestem przekonany, że pani doskonale wszystko pamięta, ale ma pani jakieś absurdalne uprzedzenia, żeby podzielić się ze mną ważnymi informacjami.

Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła do niego.

— Co pan ma na myśli?

— Madame Klonowska, niechże pani usiądzie, nie lubię rozmawiać z kimś, kto sterczy mi nad głową — powiedział zmęczonym głosem i dał znak kelnerce, żeby podała kieliszek czerwonego wina dla Lei, a dla niego dużego Machlejda.

Zdenerwowana Lea usiadła na brzegu krzesła i czekała na dalsze pytania, a Trichonow zajął się piwem. Wypił kilka łyków, wytarł wąsy i znowu zapytał:

— No więc jak to było?

Próbowała się wykręcić.

— Już o tym rozmawialiśmy.

— Rozmawialiśmy? Do tej pory nic mi pani nie powiedziała — zauważył cierpko.

Siedziała jak na szpilkach.

— Nie wiem, co jeszcze miałabym powiedzieć.

— Sądziłem, że pani mi powie, o co w tym wszystkim chodzi. Dobrze znałem pani męża, cenilem go, a fałszerstwa, którymi się zajmował, to poważna sprawa, pierwszej rangi, że tak powiem. — Nachylił się w jej stronę i ściszym głosem dodał: — A jeśli, jak pani twierdzi, nikt z pracowników apteki nie zajmował się badaniami, to nikt nie wie o nich więcej niż pani. Dlatego chciałem z panią rozmawiać w tym uroczym miejscu — powiódł wzrokiem po wnętrzu obskurnej piwiarni, unosząc wymownie brwi. — Nie ma tu co prawda takiego towarzystwa, jak dajmy na to, przy Koziej, nie jest tak przytulnie jak w tej zacisznej kawiarni na Foksal, ale można tu spokojnie rozmawiać.

Lea zaniemówiła; czuła, że robi się błada, a jednocześnie intensywnie się poci. Sięgnęła po kieliszek. Skąd, u licha, on o tym wie — pytała się w myślach.

Trichonow zdawał się nie zwracać uwagi na jej zmieszanie i mówił dalej, zerkając na sufit.

— Widzi pani, jakie piękne sklepienie, dlatego głos brzmi tu wyjątkowo dźwięcznie, łatwo wychwycić fałszywe tony — objaśniał jej spokojnie, jakby odkrywał przed nią uroki dawnych zakamarków. — A wracając do sprawy, kiedy się pokłócili i o co?

Lea pomyślała, że Trichonow nie pozwoli jej odejść, dopóki mu tego nie powie.

— Mąż chciał zamieścić w prasie wyniki swoich badań, podać firmy i nazwiska zamieszanych w oszustwa nieuczciwych wytwórców i aptekarzy, a pan Reutowicz nie chciał się na to zgodzić — przyznała lekko zachrypniętym głosem, jakby słowa z oporem przechodziły jej przez gardło.

Trichonow przyglądał się jej bez zaciekawienia.

— I co dalej?

— Nie wiem, nie jestem pewna, chyba nie ogłosił tej listy.

— Ale lista była? Kto ją jeszcze widział, ktoś z pracowników apteki?

Musiała mu opowiedzieć o liście, którą widział prawdopodobnie tylko Reutowicz. Tłumaczyła, że Józef chciał poruszyć tę sprawę w Towarzystwie Aptekarskim, ale czy to zrobił, tego nie wiedziała. To było ryzykowne, w zeszłym roku w aptece powybijano szyby, i to pewnie nie był przypadek, ale tego incydentu dotąd nie wyjaśniono — przypominała coraz bardziej zdenerwowana.

— A ostatnio o co się pokłócili?

Spojrzała na niego zaskoczona, że o tym też wie.

— To nie ma nic do rzeczy. Józef był przepracowany, łatwo się denerwował, obrażał o byle co, chodziło o sprawy osobiste.

Trichonow zmrużył oczy w łakomym uśmiechu.

— Osobiste, powiada pani, to może być interesujące. Chętnie posłucham.

Nie wiedziała, jak z tego wybrnąć, co ma powiedzieć, żeby Trichonow nie drążył głębiej tej historii. Dopiła wino, a potem obracała kieliszek w dłoni.

— Pan Reutowicz poprosił mnie o rozmowę. Powiedział, że mąż jest przepracowany, zmęczony i dobrze by było, gdyby odpoczął. Mężowi to się nie spodobało — pomyślała, że takie wyjaśnienie w zupełności wystarczy.

— Kiedy to było? — Znow upił łyk piwa.

— Kilka dni przed włamaniem — przyznała, spuszczać wzrok, jakby czuła się winna, że

zdradza tajemnice. — To było absurdalne i żenujące. Naprawdę Józef był wtedy przepracowany, złościł się o byle głupstwo, ale pogodzili się, gdy wyjaśniłam mężowi, jak było.

— A o to jeszcze pani nie zapytałam — zauważył z rozbawieniem. — Więc pani mąż był zazdrosny i podejrzewał panią i swojego najlepszego przyjaciela. Ciekawe... — teraz spojrzął na nią z profesjonalnym zainteresowaniem. — O co właściwie panią podejrzewał? Spotykała się pani z Reutowiczem?

— Nie! I to nie ma nic wspólnego z fałszerstwami ani z napadem na Józefa — denerwowała się.

— Kto to wie, madame Klonowska. Nawet ja nie wiem wszystkiego, ale się dowiem — zapewnił.
— Więc jak to było?

Lea czuła się bardzo niezręcznie; spuściła wzrok, poprawiła się na krześle, przełknęła ślinę i ważąc każde słowo, opowiedziała o absurdalnych podejrzaniach Józefa, pomijając milczeniem kulminacyjny moment awantury.

Trichonow wysłuchał jej z łagodnym obliczem wyrozumiałego spowiednika, potem ponowił u kelnerki zamówienie i zapytał o ostatnie badania Józefa. Musiała mu powiedzieć, na czym polegała jej pomoc, czy ktoś jeszcze pomagał i kto wiedział, nad czym Józef pracuje. W końcu znowu wrócił do listy i zaginionego notesu Józefa.

Męczył ją tak niemal dwie godziny, powracając do niektórych spraw, jakby sprawdzał, czy nie zmieniła zdania, nie pomyliła się, nie skłamała. Była coraz bardziej skołowana i zmęczona. Wreszcie Trichonow powiedział, że potrzebuje konkretnych informacji, kto i gdzie, nazwiska, nazwy firm.

— Jeśli pani cokolwiek wie w tej sprawie, proszę mi powiedzieć.

Myślała gorączkowo, przyglądała się swoim rękawiczkom, zagmatwanym splotom czarnych nici i przyznała, że nic konkretnego nie może mu powiedzieć.

— Owszem, pomagałam mężowi, ale nie znam szczegółów, on nie wymieniał żadnych nazwisk ani firm, ani adresów. Tego mi nie mówił, wszystkie próby były oznaczone numerami, a ja pomagałam tylko w badaniach, przy ocenie sposobu zafałszowania — zapewniła.

Wpatrywał się w nią uporczywie, jakby podejrzewał, że nie mówi prawdy.

— W takim razie powiem pani, co pani robi. Przejrzyj pani zapiski męża, wszystko, co pani wpadnie w ręce i cokolwiek pani znajdzie, może trafić pani na notes albo tę listę, ale nawet jakieś pojedyncze zapiski, proszę mi przynieść, ja to sprawdzę. I spotkamy się za tydzień. Liczę na pani pomoc i mam nadzieję na ciekawą rozmowę, chyba że teraz ma pani coś do dodania.

— Do dodania? — powtórzyła za nim. Przejrzała już ze sto razy to, co zostało z zapisków Józefa i była pewna, że nie ma w nich nic, co mogłoby naprowadzić ją na ślad fałszerzy. — Nie mam nic do dodania, tyle tylko, że czekam na złapanie tych drani, przez których zginął mój mąż — odparła głosem na granicy wyczerpania i złości.

— Bez pani pomocy to może być trudne — stwierdził i dodał z obłudnym uśmiechem: — Kiedyś bardzo dobrze się pani spisała, byłem z pani zadowolony. — Poluzował kołnierzyk, poprawił kosmyk siwiejących włosów, rozparł się wygodnie na krześle i popatrzył na nią okiem konesera. — Muszę przyznać, że uroczo pani wygląda w czerni. Pani zdrowie, madame Klonowska! — powiedział donośnym głosem, po czym wypił piwo i już ciszej dodał: — Proszę się dobrze zastanowić nad tym, co pani powiedziałam, i dobrze poszukać. Korzyść może być obopólna, pani mąż nie narzekał na współpracę z nami. — Podał jej wizytówkę. — Tu jest adres, gdzie może mnie pani znaleźć, gdyby miała pani jakąś pilną sprawę.

Wyszła z piwiarni tak szybko, jak tylko mogła. Nie patrząc na dorożki, wozy i mijanych ludzi, przeszła przez plac Aleksandra, skręciła w Nowy Świat, ale nawet zmęczenie i chłodne powietrze nie łagodziły biegu jej myśli. W świetle gazowych latarni jej cień rósł, a potem malał, zanikał, jak i jej optymizm, że wszystko da się wyjaśnić, że będzie dobrze.

Było po ósmej, kiedy wróciła do domu. Zamknęła się w pokoju, chciała się uspokoić, rozważyć wszystko na chłodno. Agata dopytywała się, co się stało, ale Lea nie miała najmniejszej ochoty nikomu opowiadać o spotkaniu z komisarzem. Najchętniej sama by o tej rozmowie zapomniała, zwłaszcza o pewnych uwagach Trichonowa. Wszystko o niej wiedział i to najbardziej ją zdenerwowało. To nie

mógł być przypadek, kazał ją obserwować, może nawet ją podejrzewał. Chyba nie myśli, że ona ma coś wspólnego ze śmiercią Józefa? I dlaczego zapytał o Reutowicza? Jego też podejrzewał? Nie, to niemożliwe, musi wszystkich sprawdzić, wszystko o wszystkich wiedzieć. Taka profesja.

Próbowała się uspokoić filiżanką naparu z macierzanki, ale myśli nadal krążyły w jej głowie jak rozdrażnione osy. Usiłowała sobie przypomnieć, czy Józef nie wymieniał jakichś szczegółów, nazwisk albo adresów. Wertowała swoją pamięć jak katalog; różne rzeczy były w nim utrwalone, ale rozmowy z Józefem, zwłaszcza te o podrabianych lekach, wydawały się jej zawsze takie same, mało ważne i mało co z nich zostało w jej pamięci.

Położyła się późno, nie mogła zasnąć, w myślach ciągle wracała do rozmowy z Trichonowem, każde jego zdanie wycisnęła na drugą stronę, ale nie mogła go rozgryźć. O co mu chodzi, kogo podejrzewa? Kogoś z apteki, z Towarzystwa Aptekarskiego? Reutowicza? On z fałszerstwami nie miał nic wspólnego, tego była pewna. Niemal pewna, bo nie do końca, z małym marginesem na błąd, ułomności duszy czy niedopatrzenie. Ziarenko podejrzewania zaczęło kiełkować. Przypomniała sobie, że Reutowicz początkowo był zainteresowany badaniami — sama widziała, że siedział w pracowni przy mikroskopie, a potem jakby się od tego odciał. Przestraszył się wybitych szyb czy miał inny powód? Józef był wtedy na niego oburzony; powiedział, że nie dba o interesy fabrykantów jak Reutowicz. Oczywiście, to jeszcze o niczym nie świadczy. A może to Reutowicz był wieczorem w aptecce i pokłócił się z Józefem? Może chciał wyrównać rachunki? Nie, co jak co, ale nie zostawiłby go nieprzytomnego. To nie mieściło się jej w głowie.

Odwróciła się na drugi bok, ale drażniło ją światło ulicznej latarni. Wstała, podeszła do okna i poprawiła zasłony. Ich dotyk i zapach przypomniawszy dawne mieszkanie przy Pivnej, tamte dni odmierzane odsłanianiem i zasłanianiem zasłon jak kurtyny w teatrze. Józef zazwyczaj wstawał bardzo wcześniej, podchodził do okna i uchylał zasłonę, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda, a potem sięgał po marynarkę. Coś jej zaświtało w głowie. Przed przeprowadzką ubrania Józefa oddała dla ubogich, ale wcześniej przeglądała je razem z siostrą i w kieszeni marynarki znalazła jakieś kartki. Nie miała czasu do nich zajrzeć, schowała je do kufra i zapomniała o nich. Jutro muszę je przejrzeć, pomyślała. Zasnęła przekonana, że tam właśnie odnajdzie poszukiwaną listę.

Wycięte z gazety ogłoszenie firmy chemicznej Paleta wytwarzającej pigmenty artystyczne, farby i lakiery, które Lea odnalazła w kufrze, przykuło jej uwagę jak karta wystająca z rękawa szulera. Uchwyciła się tego skrawka papieru i nie wypuszczała go z rąk. W samym ogłoszeniu nie było nic nadzwyczajnego, podobnych wycinków w szpargałach Józefa widziała już kilka. Ten był jednak szczególny, Józef zakreślił go czerwonym ołówkiem, a z boku wypisał nazwy firm chemicznych i farmaceutycznych, i to nie byle jakich, ale znanych wytwórców niemieckich, rosyjskich, a nawet francuskich. Nie znała dobrze rynku, ale i tak się domyślała, że jest w tym coś dziwnego. Nie mogła dojść, co to miałyby znaczyć. Co niewielka warszawska firma chemiczna mogła mieć wspólnego ze znanymi producentami leków, odżywek czy chemikaliów i dlaczego Józef wyciął to ogłoszenie? Nie interesowały go chyba farby ani lakiery, więc co?

Jeszcze raz przyjrzała się ogłoszeniu, zastanawiając się, o co w tym chodzi i czy przekazać te informacje Trichonowowi. Z tonu wczorajszej rozmowy rozumiała, że trudno będzie zbyć go byle czym. Oczywiście zależało jej na wykryciu sprawców, ale miała poważne wątpliwości, czy akurat ta informacja ma znaczenie. A co, jeśli wytwórnia nie ma nic wspólnego z fałszerstwami? Józef mógł wyciąć to ogłoszenie z jakiegoś innego powodu, mógł się mylić, nie skończył przecież badań, nie wyjaśnił wszystkiego, nie zdążył.

Przejrzała pozostałe kartki, szukając jakiejś podpowiedzi; nie było tam poszukiwanej listy, tylko notatki dotyczące zwykłych zakupów. Józef odnotował nawet wydatki na dorożkę, i tu jej zaciekawienie wzrosło. Przy dacie 6 lipca, a więc na kilka dni przed włamaniem do apteki, Józef odnotował „Paleta” i kwotę, jaką wydał na dorożkę. Był tam, pomyślała, pojechał zobaczyć, co tam robią. Inaczej nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Nie wiedziała, jak powinna teraz postąpić. Biła się z myślami. Mogła

powiedzieć o tym Trichonowowi i uznać, że wypełniła swoje zadanie. Mogła zapytać Tymona albo Reutowicza, czy coś o tym wiedzą. Mają dużo lepsze rozeznanie, Reutowicz może nawet znać tę firmę, jego skład mieści się gdzieś w pobliżu. Długo się nad tym nie zastanawiała. Spojrzała na zegar, nie było jeszcze siódmej wieczorem, więc uznała, że pora na wizytę nie jest zbyt późna. Wzięła ze sobą ogłoszenie i zapiski Józefa i poszła do apteki.

W izbie ekspedycyjnej zastała Tymona, od razu przeszła do rzeczy i zapytała o wytwórnę Paleta. Pokręcił przecząco głową.

— Pierwsze słyszę. Na pewno nic od nich nie bierzemy — zapewnił i spojrzał na nią jak zawsze lekko zakłopotany, niepewny. — Może prowizor będzie wiedział. Poszedł na górę, wybiera się na zebranie. Jest w fatalnym nastroju — dodał ściszym głosem, jakby to był sekret.

— Co się stało?

— Nie wiem, dziś lepiej nie wchodzić mu w drogę.

— Może aż tak źle nie będzie — odparła i już z mniejszą energią i determinacją ruszyła na górę.

Przed drzwiami do mieszkania zatrzymała się i zebrała na odwagę, po czym zapukała.

Nie było odpowiedzi, zapukała więc jeszcze raz, mocniej, uchyliła drzwi i stanęła w progu.

— Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać! — usłyszała niemiłe powitanie.

— Jednak muszę panu przeszkodzić — powiedziała stanowczo. — Muszę z panem pilnie pomówić.

Stał w przedpokoju, był ubrany wyjściowo i właśnie zawiązywał muszkę, która nie dawała się zawiązać, co najwyraźniej go irytowało. Spojrzał na Leę niezbyt przyjaźnie i powiedział:

— Umawialiśmy się na poniedziałek. Teraz jestem zajęty, zaraz wychodzę.

— Pięć minut chyba może mi pan poświęcić? — nie ustępowała. — Proszę, to ważne.

— Pani chyba nie zrozumiała. Powiedziałem, że nie mam teraz czasu — powtórzył z naciskiem.

Znów poprawił muszkę, potem wygładził lekko wijące się wybrylantynowane włosy.

— Świetnie zrozumiałam, ale zajmę panu tylko chwilę, mam ważną sprawę — nie odpuszczała.

Skrzywił się, jakby przełknął jakieś przekleństwo.

— Przepraszam, to sądny dzień, mam dziś referat w Towarzystwie — starał się być uprzejmy, ale słabo mu to wychodziło. Poprosił ją do pokoju, wskazał krzesło. Sam usiadł przy stole na wprost niej, założył nogę na nogę i już wyglądał na zniecierpliwionego. — Słucham, co to za pilna sprawa?

Powiedziała mu o rozmowie z Trichonowem i o zaginionym notesie.

— Józef zawsze miał go przy sobie.

— Pani Leokadio, już o tym rozmawialiśmy.

— Ale jest jeszcze coś. Ogłoszenie wytwórni Paleta, które wyciął z gazety i zakreślił. Wydaje mi się dziwne. Mógłby pan spojrzeć? — chciała mu pokazać wycinek, ale nawet nie spojrzał na niego, za to sięgnął po ołówek, który leżał na stole, i zaczął nim lekko stukać w blat, jakby odmierzał jej czas.

— Słyszał pan o tej wytwórni? To chyba nie chodziło o farby? Wydaje mi się, że Józef wiedział albo się domyślał, że to jakaś poważniejsza sprawa. Może właśnie ta wytwórnia miała coś wspólnego z fałszerstwami. Może rozmawiał o tym z panem, wymienił jakiś adres, nazwiska?

Pokręcił przecząco głową.

— Nie przypominam sobie.

— Ale zawsze z panem wszystko omawiał — upierała się.

— Powiedziałem, że nie wiem. Dlaczego pani sądzi, że chcę coś przed panią ukryć?

Próbowała nie zwracać uwagi na jego opryskliwość.

— Wcale tak nie sędzę, ale to bardzo ważne. W poniedziałek Trichonow wezwał mnie na rozmowę, dlatego nie mogłam przyjść. Pytał o badania Józefa.

— Wierzę, mnie też o to pytał, i to nie raz, i zapewniam panią, że gdybym coś wiedział, nie ukrywałbym tego.

— Tak, oczywiście — przytaknęła. — A gdyby pan miał jakieś podejrzenia? Zgłosiłby pan to w Towarzystwie czy na policji?

— Nie mam żadnych podejrzeń — mruknął i zdjął denerwującą go muszkę.

— Ale gdyby?

Popatrzył na nią jak na wyjątkowo marudną klientkę.

— Nie wiem. Pewnie wcześniej sam bym to sprawdził.

— Nie uważa pan, że to może być ryzykowne?

— Ryzykowne? — zawahał się na moment i zerknął na nią badawczo. — Martwiłaby się pani o mnie?

Wzruszyła ramionami.

— Raczej o aptekę. Już raz ją zdemolowano.

— Sprowadziła mnie pani na ziemię — odparł, siląc się na uśmiech. — Ma pani do mnie jeszcze jakieś pilne sprawy? Jutro możemy porozmawiać, teraz naprawdę bardzo się spieszę.

— Nie, to już wszystko, dziękuję. Bardzo mi pan pomógł — odparła z sarkazmem, a wychodząc, dodała: — Lepiej niech pan założy krawat, muszki i tak nie będzie widać.

Nie warto było z nim rozmawiać i narażać się na jego zły humor, pomyślała. Nic mi nie powiedział, nawet nie spojrział na ogłoszenie. Aż tak mu się spieszyło, a może nie zależy mu, żeby rozwikłać sprawę?

Im dłużej nad tym rozmyślała, tym jej przekonanie, że Józef wpadł na trop większego szwindlu, a firma z ogłoszenia była w jakiś sposób w to zamieszana, nabierało mocy. Najlepiej spróbować dowiedzieć się czegoś o wytwórni, pomyślała. Gdyby Jan był teraz w Warszawie, sprawa byłby dużo prostsza, on zrobiłby to dla niej, nie mogła jednak na niego czekać. Pojechał do Poznania na wystawę rolniczą, miał napisać sprawozdanie do gazety. Wróci dopiero za kilka dni. Musiała wziąć sprawę w swoje ręce i sprawdzić, co kryje się pod szyldem wytwórni, zanim przekaże informacje Trichonowowi.

Z adresu umieszczonego w ogłoszeniu wynikało, że wytwórnia Paleta mieści się przy ulicy Folwarcznej na Pradze, za Dworcem Petersburskim. Pojechała tam w piątek, chciała się rozejrzeć i przekonać na własne oczy, co to za firma. Może wejdzie do środka i porozmawia z właścicielem, zapyta o ofertę, zagada go, powie, że myśli o rozszerzeniu asortymentu swojego magazynu i szuka dostawców. Taki pretekst wydawał się jej całkiem wiarygodny.

Wybrała się wcześniej rano; włożyła ciemnoszarą wełnianą sukienkę przyozdobioną kremowym sutaszem³ (czarna, jej zdaniem, rzucałaby się zbyt w oczy) i krótki wełniany płaszcz ze stójką, a na to czarną chustę, którą podarowała jej Marynia.

Pod koniec października ranki były już z przymrozkami. Mówiono, że w tym roku szybko przyjdzie zima i niedługo spadnie śnieg. Na razie tylko jesienne mgły ciągnęły się od Wisły i opadały na miasto, tłumiąc światło i odgłosy dnia. Lea ruszyła żwawym krokiem, a jej buciki na niewysokich słupkach energicznie stukały o bruk. Na placu Zamkowym wsiadła w tramwaj konny, przejechała przez most Aleksandryjski, minęła cerkiew świętej Marii Magdaleny i wysiadła przy dworcu. Słońce dopiero co wstało, ale ulice były już pełne spieszących się dokądś ludzi, wozów i ręcznych wózków załadowanych towarami. Ruch i hałas rozpraszały jej uwagę, nie wiedziała, w którym kierunku powinna iść. Zapytała o Folwarczną.

— Pani tam nie idzie, nie ma tam czego szukać, a tylko biedy można sobie napytać — przekonywał ją zezowaty człowiek z płachtą pełną mioteł, którą dźwigał na plecach. — A miotły pani nie trzeba? — zapytał z nadzieją w głosie i popatrzył na nią tajemniczo, jakby oferował jej sprawdzoną modlitwę od złego uroku.

Jednak poszła, najpierw spory kawałek ścieżką wzdłuż torów, minęła budynki gospodarcze i parowozownię, a dopiero za nią skręciła w prawo. Gdy weszła na Folwarczną, zapyziała i zarośniętą po bokach wysokimi zamarzniętymi badyłami wrotyczu i popłochu, wydawało jej się, że to jakaś wydzielona senna enklawa, gdzie nikt nie zagłada, nawet pies z kulawą nogą. Im dalej się tam zapuszczała, tym bardziej rzedła jej mina, bo która kobieta, mająca choć trochę oleju w głowie, zapuszczałaby się sama na takie odludzie. Na pewno nie ciotka Anastazja, ona wzięłaby dorożkę i jeszcze kogoś z dwóch chłopaków z młyna do obstawy. Lea musiała przed sobą przyznać, że jej pomysł był zupełnie

niedorzeczny. Opowiadka o poszukiwaniu dostawcy teraz też wydawała się jej absurdalna, mogła co najwyżej udawać, że pomyliła adres, szuka kogoś, ale i to brzmiało mało prawdopodobnie. Nie rezygnowała jednak, była już prawie u celu; nie mogła teraz stchórzyć, szła więc dalej. Niemal na samym końcu uliczki znalazła posesję ogrodzoną wysokim murem, na którym widniał szyld wytwórni. Brama była zamknięta, ale zza ogrodzenia dobiegały przytłumione odgłosy. Lea przystanęła i nasłuchiwała; ktoś rozmawiał, kazał coś przenieść, poganiał. Ten głos wydawał się jej znajomy, ale nie mogła przypomnieć sobie, skąd go znała; gdzie go słyszała, a może jej się wydawało. Usłyszała kilka krótkich zdań i zaraz wszystko umilkło, i już nie była tego taka pewna, czy rzeczywiście był to ktoś jej znany. Stała przy bramie i nie mogła się zdecydować, co dalej robić, nie zamierzała dobijać się do środka, to była ostateczność, ale nie mogła sterczeć tam w nieskończoność. Inaczej to sobie wyobrażała, nie spodziewała się takiej twierdzy, myślała, że brama będzie otwarta, a ona tylko tam zajrzy, rzuci okiem, może wejdzie do środka i trochę się rozejrzy. Tymczasem wszystko było pozamykane. Przeszła na drugą stronę uliczki, pokręciła się chwilę i zawróciła, a potem ruszyła przed siebie, raz po raz się oglądając, doszła do przecznicy i zawróciła. Była tuż obok, gdy brama wytwórni otworzyła się ze zgrzytem i wyjechał z niej ciężki wóz szczelnie okryty plandeką. Lea miała tylko chwilę, żeby sprawdzić, co znajduje się za bramą, która już się zamykała. Niemal wdarła się do środka i wpadła wprost na mężczyznę o wyglądzie rzezimieszka, ze złamanym nosem i szramą na czole.

— To jest wytwórnia farb i lakierów? Chcę mówić z właścicielem — powiedziała pewnym siebie głosem.

Łypnął na nią przekrwionymi oczami i wymruczał:

— Nie ma. I niech się tu paniusia nie kręci, bo zamykam.

— A kiedy będzie? — nie ustępowała.

— Nie wiem, nie moja rzecz, bramy pilnuję, żeby mi kto nie wlaźł — spojrzał wymownie i niemal wypchnął ją na ulicę. Zamykając bramę, spojrzał za Leę i zmierzył ją wzrokiem. — Czego tu jeszcze? Mówiłem, że nikogo nie ma — wyrzucił niedopałek, splunął i zaciągnął łańcuch.

Lea trzęsa się z oburzenia, nie mogła dłużej tu zostać. Pomyślała, że obejdzie posesję i sprawdzi, czy na tyłach nie ma innego wejścia. Przeszła ścieżkę wśród bezlistnych zarośli i po kilku minutach znalazła się na tyłach wytwórni. Oczekała chwilę, aż chłopak, który ciągnął wózek wyładowany stłuczka, oddali się po wyboistej drodze, a potem rozejrzała się, szukając miejsca, z którego można by podejrzeć, co znajduje się za murem. Żadnego prześwitu nie znalazła, a kolczaste krzewy tarniny rosnące wokół muru nie zachęcały do wnikliwszych poszukiwań. Ale nie mogła odejść z niczym. Jeszcze raz się rozejrzała, droga wydawała się pusta, nikt jej nie przeszkadzał. Spróbowała wspiąć się na ogrodzenie, postawiła jedną nogę na kamieniu, drugą w miejscu brakującej cegły, złapała się zwieńczenia muru i podciągnęła, aby zajrzeć za ogrodzenie. Zobaczyła jedynie czarne dachy niewysokich budynków. Widok zasłaniały jej gałęzie rosnących przy murze sosen. Próbowała przesunąć się w bok, gdy nagle poczuła mocne szarpnięcie w dół. Spadła jak strząśnięta z gałęzi gruszka, podparła się prawą ręką i poczuła w niej przeszywający ból. Z rozciętej dłoni trysnęła krew, która szybko nasączyła rękawiczkę i skapywała na ziemię, gdzie leżała potłuczona butelka.

— Policja. Wstawaj. Pójdiesz z nami — usłyszała nad sobą gniewny głos stróża porządku. — Ruszaj się!

Próbowała wstać, ale zrobiło się jej ciemno w oczach. Oparła się o mur.

— Nic nie zrobiłam — wymamrotała.

1 Blondyna — rodzaj jedwabnej koronki.

2 Lazurek — farbka dodawana do płukania bielizny dla nadania jej ładnego odcienia.

3 Sutasz — rodzaj wąskiego kolorowego sznureczka używanego do naszywek przy mundurach i do ozdoby sukien.

— Co pani, u diabła, wyprawia! Kto pani kazał tam się szwendać? Miała pani sprawdzić notatki męża. Tak się umawialiśmy. A pani co? Bawi się w detektywa?

Lea czuła się skołowana i obolała po upadku z muru. Siedziała w gabinecie Trichonowa. Na ścianie nad jego głową wisiał portret cara Mikołaja II z gniewnym marsem na czole i galerią orderów na mundurze; na dębowym biurku stał ozdobny kałamarz, suszka do papieru, marmurowy przycisk w kształcie zajęcia i odwrócony do niej tyłem zegar. Widziała tylko jego mosiężną oprawę, nie mogła się zorientować, która jest godzina. Straciła poczucie czasu, przeszywający ból w prawej ręce i strach pochłaniały jej uwagę. Trichonow stał obok czerwony ze złości i wrzeszczał:

— Po co pani tam poszła? No słucham!

Spojrzała na swoją rękę, była przewiązana białym bandażem, chyba już nie krwawiła.

— Przecież nic takiego się nie stało — powiedziała do siebie, Trichonow jednak to słyszał.

— Madame Klonowska, jeszcze chwila, a naprawdę zirytuję się na panią. Proszę zacząć mówić, nie mam czasu na zabawę.

Lea próbowała zebrać myśli, poprosiła o szklankę wody. Miała tak ściśnięte gardło, że piła drobnymi łykami, co doprowadzało Trichonowa do szału. Gdy zaczerpnął powietrza, kurtka od munduru napinała mu się na brzuchu do granic możliwości.

Spuściła głowę, nie miała odwagi patrzeć mu w oczy.

— Chciałam zobaczyć, co tam robią. Pomyślałam, że porozmawiam z właścicielem, rozejrzę się, zapytam o ofertę.

— O ofertę!? Niebawem! Chyba pani rozum postradała — prychnął i zaczął krążyć po gabinecie. — Dlaczego właśnie tam?

Powiedziała mu o ogłoszeniu, które Józef wyciął z gazety, i o swoich niejasnych podejrzeniach. Spiorunował ją wzrokiem.

— A jak się umawialiśmy? Miała pani z tym przyjść do mnie. Zapomniała pani?!

— Chciałam najpierw sama to sprawdzić — tłumaczyła się niepewnie, spuszczaając głowę.

— Sprawdzić?! My jesteśmy od sprawdzania! — Znów się irytował, najwyraźniej w tej fazie rozmów kurtuazja go nie obowiązywała, nie mówił już do niej „madame”. — Wie pani, co by z panią zrobili, gdyby przeszła pani przez ten mur? Widziała pani tego typa przy bramie? To niech sobie pani wyobrazi, że wpada pani w jego łapy. Zapewniam panią, że ja przy nim jestem łagodny jak baranek. Mało brakowało, a mogłaby pani sprawdzać, co ryby robią w Wiśle. Taka by była ich oferta! Niech pani Bogu dziękuje, że ma pani tylko zranioną rękę. Kazałem mieć panią na oku, inaczej mogło to się źle skończyć — spojrzał na nią z wyrzutem.

Kiwnęła głową, przyznając mu rację.

— Po co tam pani poszła? Tak się pani spieszyło? To teraz powie mi pani, co tam takiego było. Jak niczego na nich nie znajdę, będę musiał wypuścić ich z aresztu. Rozumie pani?

Milczała. Świst trzcinki, którą komisarz uderzył w biurko, był jak smagnięcie różgą. Podskoczyła przestraszona.

— No słucham?

— Nic nie widziałam — przyznała.

Chwilę milczał, jakby próbował przeczekać swój gniew, aż w końcu powiedział:

— Spędzi pani noc w areszcie, to może sobie pani przypomni.

— W areszcie? Ale dlaczego? Nic nie zrobiłam! — protestowała. — Niech pan przeszuka wytwórnię. Tam musi coś być!

— Co?

Nerwowo pocierała czoło.

— Nie wiem, ale musi tam coś być! — Ze zdenerwowania nie mogła się skupić, przed oczami pojawiły się jej notatki Józefa, kolumny liczb, chemiczne wzory i nazwy. Ale to nie było ważne, najważniejsze było wycięte z gazety ogłoszenie i wypisane obok firmy. — Muszę się zastanowić,

potrzebuję trochę czasu — tłumaczyła się, licząc, że ją zrozumie. — W tej chwili nic nie przychodzi mi do głowy — dodała przeproszającym tonem.

— Dobrze. Mamy tu takie spokojne miejsce, akurat do rozmyślań — odparł i widząc jej przerażoną minę, dodał, jakby chciał się usprawiedliwić: — Przykro mi, ale nie mogę pani wypuścić, nie wiem, co strzeli pani do głowy. Nie jestem małostkowy, na różne rzeczy mogę przymknąć oko, ale sądząc po dzisiejszych wyczynach, jest pani zdolna do różnych głupstw.

Popatrzyła na niego osłupiała, ledwo do niej dotarło, że wezwał podwachtmistrza, który miał zaprowadzić ją do aresztu. Bała się tego, co czaiło się w szparach podłogi i ścian aresztu, bała się zamkniętych tam ludzi, żebraczków, pijaczek i prostytutek, i bała się Trichonowa, który wydawał się równie odrażający jak insekty.

— Proszę pozwolić mi wrócić do domu. Obiecuję, że nic nie zrobię — poprosiła wystraszona nie na żarty.

— Nic z tego, moja droga, nic z tego. I liczę na to, że wszystko sobie pani przemyśli i rano będzie miała mi coś do powiedzenia — dodał spokojniej.

Potem, gdy siedziała w pustej celi, długo nie mogła zebrać myśli; usilnie próbowała powiązać ze sobą różne zdarzenia. Wszystko wydawało się jej nedorzeczne, absurdalne, poplątane jak poszarpany kłębek nici. Nie potrafiła dociec, co było początkiem, a co następstwem nieporozumień i nieszczęść. Może to był zły czas, czas katastrof i plag, które spadają na ziemię razem z szarańczę, nieurodzajem, wojną czy suszą, czas obciążony przeznaczeniem, gdy zapadają wyroki losu, których nie można ani ominąć, ani zrozumieć.

Kiedy się trochę uspokoiła, wróciła myślami do badań Józefa, do dni spędzanych z nim w laboratorium i do jego opowieści, w których powierzał jej sekrety swoich poszukiwań. Wiedziała, czego szukał, ale nie знаła odpowiedzi na pytanie Trichonowa, nie wiedziała, co można znaleźć w wytwórni. Dopiero gdy nieopatrznie dotknęła zranionej ręki i ból znów się nasilił, wtedy, jak na zawołanie, przypominał się jej upadek z muru i szkło, o które się zraniła; przypomniawszy sobie też, jak kilka lat temu pomagała w przygotowaniach do Wystawy Higienicznej, jak oklejała butelki eliksiru firmowymi etykietami, i aferę z fałszywą korą chinową. I znowu usłyszała głos, który dobiegał zza bramy wytwórni, nadal nie była pewna, czy dobrze go rozpoznała.

Było już po północy, kiedy uświadomiła sobie, czego powinien szukać Trichonow w wytwórni. Zaczęła dobijać się do drzwi. Nikt nie zareagował, dopiero o świcie strażniczka otworzyła areszt i wówczas Lea powiedziała, że chce mówić z Trichonowem.

— Proszę wsiadać, przejedziemy się. — Trichonow zapraszał ją do powozu. — Stęskniła się pani za mną? No to słucham, co pani ma do powiedzenia. Mam nadzieję, że to będzie rzeczywiście coś konkretnego.

— Etykiety — powiedziała i spojrzała na niego, upewniając się, czy ma mówić dalej.

— Widzę, że humor pani nie opuszcza — mruknął, rzucając jej kąśliwe spojrzenie.

Był drażliwy, oczy miał podkrążone jak po nieprzespanej nocy. Lea była w jeszcze gorszej formie, starała się jednak tego nie okazywać.

— Wcale nie jest mi do śmiechu, mówię jak najbardziej poważnie. Wiem, co robią w wytwórni. Podrabiają opakowania i etykiety zagranicznych produktów, i to znanych firm, według zapisków mojego męża, co najmniej kilku firm niemieckich, rosyjskich i francuskich. Może fałszują tam też towary, tego nie wiem. Wczoraj rano widziałam wyjeżdżający stamtąd wóz, ale niczego nie mogłam podpatrzeć, był bardzo szczelnie zasłonięty. — Opowiedziała mu o swoich obserwacjach, o chłopaku wywożącym stłuczkę, o odrażającym człowieku przy bramie, który nie dał jej nawet dobrze się rozejrzeć, ale ona dojrzała kilka uszkodzonych kartonowych pudełek i etykiet, które poniewierały się przy wjeździe, a potem zobaczyła butelkę, o którą zraniła rękę. To była butelka od syropu wzmacniającego znanej niemieckiej firmy. Dobrze znała ten kształt i kolor szkła, nie raz ustawiała taki syrop na półkach w aptece.

Komisarz pokiwał głową.

— Sprawdzimy. Przekonamy się na miejscu, co to jest. Dobrze by było, gdyby pani się nie myliła. Tak czy inaczej dziś tam wchodzimy.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

— Mówił pan, że są już w areszcie.

— Cóż, drobna nieścisłość, każdemu się zdarza, nawet pani, madame Klonowska.

Spojrzała na niego nieufnie, chwilę milczała, czując narastające zdenerwowanie.

— A jeśli się mylę co do tej wytwórni, co pan zrobi?

Westchnął ciężko.

— Niech pani nie zadaje takich pytań, jest pani wystarczająco inteligentna, żeby się domyślić, co mogę zrobić.

Nie myliła się. W wytwórni podrabiano opakowania znanych leków, kosmetyków i chemikaliów, i to na dużą skalę. Szklane opakowania przywożono z pobliskiej huty szkła, a na Folwarcznej drukowano do nich etykiety i kartonowe pudełka. Opakowania przewożono następnie do kolejnej fabryczki, gdzie napełniano je podróbkami leków wytwarzanymi z sody, kredy i innych mało szlachetnych materiałów zastępczych i sprzedawano hurtowo po atrakcyjnych cenach, niższych nawet o 50% od oryginałów. Interes kwitł, towary sprzedawano nie tylko na terenie Królestwa, ale i poza jego granicami.

Po tym odkryciu Trichonowowi wyraźnie poprawił się humor.

— Należy się pani nagroda — powiedział do Lei.

Była tak zmęczona, że nie czuła się w nastroju do żartów.

— Na jakiś czas wystarczy mi wrażeń, panie komisarzu, chciała-bym wrócić do domu.

— Jest pani zabawna, chciałem poczęstować panią dobrym papierosem. Francuski, z przemytu — uśmiechnął się i podał jej papierośnicę. — Oczywiście, może pani wrócić do domu, każę panią odwieźć. Myślę, że niedługo się zobaczymy, madame Klonowska — powiedział, całując na pożegnanie jej obandażowaną i niezbyt czystą dłoń.

I rzeczywiście spotkali się jeszcze nie raz.

— Jezusie Nazaretański, co to się z panią działo? — zawołała przestraszona Agata na widok Lei, a kiedy lepiej przyjrzała się swojej pani, dodała: — O Jezu słodki! — i zamilkła, co rzadko jej się zdarzało i tylko w sytuacjach bardzo poważnych. Bez zbytecznego gadania pomogła Lei zdjąć wymiętą suknię i zakrwawiony płaszcz, nagrzała wody, a po kąpieli położyła ją do łóżka. — To ja teraz polecę po doktora Mroziewicza — oznajmiła w końcu.

— Doktor nie jest mi potrzebny — odparła Lea zmęczonym głosem i zapadła w niespokojny sen. Obudził ją doktor Mroziewicz. Stał obok łóżka i przyglądał się jej zmartwiony.

— Pani Leo, co się stało? — zapytał poważnym głosem.

— Nic się nie stało, upadłam i pokaleczyłam się o szkło, ale nic się nie stało, to tylko butelka — powtarzała bezbarwnym głosem.

Obejrzał ranę, założył maść gojącą i opatrunek.

— Jak to się stało? Ktoś na panią napadł? Gdzie pani była? — dopytywał się.

Mogła mu zaufać, był jedną z niewielu osób, na które mogła liczyć w każdej sytuacji, ale wstydziła się przyznać, że postąpiła tak nierozważnie. Powiedziała, że to był wypadek, że była na policji w sprawie włamania do apteki i tam ją zatrzymali. Doktor Mroziewicz pokiwał z niedowierzaniem głową i zalecił odpoczynek, a za dwa dni miał przyjść na zmianę opatrunku. Mariannie, która odwiedziła ją następnego dnia, Lea przedstawiła uproszczoną wersję wydarzeń. Przyjaciółka przestraszyła się, że Lea jeszcze kiedyś ściągnie na siebie nieszczęście.

— Ty czasami masz takie niemądre pomysły, Lea. Przecież mogli ci coś zrobić! — powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową. — Biedulka — dodała ze współczuciem i podsunęła jej pudełko czekoladek, które przyniosła na poprawę humoru.

Ale dopiero po paru dniach, gdy zjawił się Jan i przyrzekł, że nikomu nic nie powtórzy, Lea przyznała się do swojej niefortunnej wyprawy na Folwarczną.

— Tylko się wystraszyłam, nikt mi nic nie zrobił. Nic się nie stało — zapewniała, pociągając nosem i próbując powstrzymać łzy.

Objął ją ramieniem i wreszcie mogła się wyplakać.

— Lea, chyba zwariowałaś, oni mogli cię zabić — powiedział i jeszcze mocniej przytulił ją do siebie. — Jak mogłaś być taka nieostrożna, co ci strzeliło do głowy? — upominał ją. — Po co tam pojechałaś?

— Daj spokój, to już nieważne — odparła, nie odrywając głowy od jego ramienia. Czuła, jak sływa na nią spokój, ciepło, ukojenie. Westchnęła kilka razy i zaśmiała się, kiedy rozpuścił jej włosy. Nareszcie czuła się dobrze.

Nagle za drzwi doleciał do nich szmer rozmowy, Agata prosiła kogoś do pokoju.

— Pani ma gościa, ale zaraz powiem, że pan przyszedł.

Lea odsunęła się od Jana, spróbowała spleść warkocz, poprawiła szal i czekała. Nikt jednak nie wszedł, Agata też się nie pojawiła, dopiero później powiedziała, że to był Tymon. Przyniósł nową porcję maści, ale nie chciał wejść, zapytał tylko, jak się Lea czuje, i prosił, żeby ją pozdrowić.

Lea czuła się znakomicie, a to z powodu Jana, który znów zawładnął jej myślami. Wytwórnia na Pradze, fałszerze i Trichonow przestali ją obchodzić, jakby zniknęli za widnokretem dzielącym rzeczy ważne od niewartych wspomnienia. Sprawa zakończona, mówiła sobie, ręka wkrótce się wygoi, zostanie najwyżej niewielki ślad. A kilka kropel wylanej krwi sprawiło, że znów była blisko Jana, mogła wtulić się w jego ciepło i zapach niepokojący jak niedokończony sen. Znów zaczęła planować i odliczać dni dzielące ją od kolejnego spotkania.

Następnej nocy śniła, że jest z nim w mieszkaniu przy Pivnej, w sypialni, którą nie tak dawno dzieliła z Józefem, a w której po jego śmierci nie miała odwagi sypiać sama. Leżała w pościeli i czekała na Jana, jakby w tym łóżku i na poduszkach z haftem richelieu była zdolna wypełniać jedynie małżeńskie obowiązki. Tylko bez ekscytacji, moja Leo, usłyszała surowy głos ciotki Anastazji, dobiegający gdzieś z daleka. Mityguj się. Porządna kobieta nie powinna ulegać namiętności, to nie prowadzi do niczego dobrego, można od tego dostać wilka, kolki i rozstroju — powiedziała, trzymając w rękach książkę do nabożeństwa, a może przepisy gospodarskie, tego dobrze nie było widać.

Przebudziła się i z ulgą stwierdziła, że leży na łóżku w swoim nowym mieszkaniu, a za oknem wstaje dzień. Było wcześniej; na ścianie, niczym stado wróbli, skakały pierwsze plamki słońca. Przez chwilę obserwowała migające światło, ale w głowie miała jeszcze cząstki snu. Nadal słyszała słowa ciotki, pomyślała jednak, że tym razem ciotka się omyliła, bo ona z Janem czuła się bardzo szczęśliwa, i była pewna, że ich małżeństwo to tylko kwestia czasu.

Na święta Bożego Narodzenia Jan pojechał do Lwowa odwiedzić rodzinę. Obiecał, że wróci za tydzień czy dwa, mimo to przedłużył pobyt, podobno z powodu choroby matki. Im dłużej to trwało, tym bardziej smutna stawała się Lea.

— A pamięta pani, jak to było u nas w Korytnicy — zagadywała ją Agata. — Saniami się jechało, i pani, i pani Anastazja, i kuzyni. Wesoło było i ludzi dużo, tak jak na święta być powinno.

— Było, minęło — odparła smutno Lea, ale to były miłe wspomnienia.

Pomyślała, że gdyby Jan widział święta w Korytnicy, gdyby pojechał z nią sankami na pasterkę, zrozumiałby, że ona nie może się tego wyprzeć, nie może zapomnieć. Po chwili zastanowienia już nie była tego taka pewna. Sama uznała, że to już minęło, już się nie liczy. Nie miała ochoty ani na pasterkę, ani w ogóle na święta. To już nie to.

Zaczynała podejrzewać, że choroba matki Jana była tylko pretekstem; rodzina chciała go zatrzymać na dłużej i wybić z głowy związek z katoliczką, do tego starszą od niego wdową. Nie pomyliła

się. Pod koniec stycznia Jan wrócił odmieniony, smutny i w złym nastroju. Zauważyła to już przy powitaniu, które nie było tak gorące jak dawniej. W głosie Jana wyczuwała rezerwę, w jego gestach odgadywała wahanie, nawet pocałunki nie były tak żarliwe jak dawniej. Kręcił się nerwowo po mieszkaniu i nie tknął ciasta, które upiekła Agata.

— Lea, chyba nie powinniśmy się na razie ze sobą wiązać — powiedział ciężkim głosem, stojąc przy oknie. Odwrócił się do niej i dodał: — Moja matka uważa, że to zbyt pochopne.

Mimo że Lea oczekiwała takich słów, nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Co ty mówisz! Zupełnie cię nie poznaję. Gdzie twoja wolna wola?! Nie możesz sam zdecydować za siebie? Jesteś dojrzałym mężczyzną czy chłopcem w krótkich spodenkach?!

Próbował ją uspokoić.

— Lea, nie złość się! Zrozum, ja się nie wycofuję, chcę tylko odłożyć nasz ślub o rok. Stryj sfinansuje mi podróż do Wiednia, chcę uzupełnić studia, to szansa dla mnie, obiecał, że mi pomoże. Sam nigdy nie mógłbym sobie na to pozwolić — starał się jej wytłumaczyć.

Zabolały ją te słowa, jakby ktoś dziobnął ją kolcem. Poderwała się z kanapy.

— O rok? A może lepiej od razu o dwa? Może stryj będzie jeszcze hojniejszy? — wyrzuciła z siebie.

Podszedł do niej i popatrzył na nią niemal błagalnie.

— Postaraj się mnie zrozumieć. Proszę... — dodał, próbując wziąć ją za rękę.

Odsunęła się od niego gwałtownie.

— Przekupili cię, rodzina cię przekupiła — powiedziała zdenerwowana i już nie chciała go słuchać.

— Jedź ze mną — prosił. — To uda się jakoś załatwić.

Zacisnęła dłonie i spojrzała z oburzeniem.

— Ja mam z tobą jechać? Jako kto? Dama do towarzystwa? Utrzymanka? Za kogo mnie masz? Dla ciebie ważniejsza jest podróż, to jedź, ale na mnie nie licz! Nie będę na ciebie czekała, rozumiesz?! Nawet nie pomyślałeś, że ten magazyn, to wszystko robię dla nas, ale widocznie dla ciebie to nic nie znaczy, chcesz, żebym to rzuciła i jechała z tobą. Myślisz tylko o sobie! — wykrzyczała swoją złość i rozczarowanie, aż przestraszyła się tych słów.

Przez chwilę stał bez ruchu i patrzył na nią tak jak zbity pies na swojego oprawcę.

— Nie zaczekasz na mnie? — zapytał z niedowierzaniem, jakby dopiero teraz pojął sens jej słów. — Już ci na mnie nie zależy?

Pokręciła głową.

— To nie tak, nie tak. Mogłabym czekać, gdybym wierzyła, że nam się uda, że nie znajdziesz innego powodu, żeby się wycofać — odparła zdenerwowana. — Ale ja w to już nie wierzę. Nie oszukujmy się, ja się nie zmienię, nie będę mądrzejsza, młodsza ani bogatsza, ty też nie zmienisz swoich zapatrywań. Nie chcę ci przewracać życia do góry nogami, nie chcę, żebyś skłócił się z rodziną. To nie prowadzi do niczego dobrego, wierz mi. Nic z tego nie będzie. Jedź i zapomnij o mnie.

— Lea, ale przecież... — wyciągnął do niej rękę.

Odrzuciła ją.

— Nie, nic już nie mów — przerwała mu, z trudem opanowując drżenie głosu. — I tak jest mi bardzo ciężko. Idź już, proszę.

Był już przy drzwiach, kiedy odwrócił się i podszedł do niej.

— To przez tego Reutowicza! Wolisz go ode mnie, wolisz wygodne łóżko przy boku pana prowizora. — Teraz on był zły. — Wiedziałem, że coś między wami iskrzy. Wiedziałem, ale nie chciałem wierzyć, bo mówiłaś co innego. Ale ze mnie idiota!

Uderzyła go w twarz, aż klasnęło.

— Nic mnie z nim nie łączy! Z tobą też nic mnie już nie łączy. Jesteś wulgarny. Wynoś się!

Patrzył na nią, jakby nic do niego nie docierało, a potem dotknął policzka, na którym pozostał czerwony ślad.

— Dobrze ci to wychodzi.

— Idź już — powiedziała i odwróciła się do niego plecami. Nie chciała patrzeć, jak odchodzi, ale widziała go w okiennej szybie.

— Do widzenia, Lea — powiedział ciężkim głosem i ruszył do drzwi powoli, jakby to wymagało od niego nieskończenie dużego wysiłku i jakby wciąż czekał na to, że go zawoła.

A ona miała nadzieję, że się odwróci i powie, że zostaje. Wybaczyłaby mu, wszystko by mu darowała, gdyby tylko się odwrócił. Takim jasnowłosym młodym mężczyznom o niebieskich oczach można dużo wybaczyć, więcej niż innym. Są jak motyle, delikatne i wrażliwe na zimno, jak zamorskie zioła, które dodają smaku zwykłym dniom, a bez nich życie jest smutne i nijakie.

Przecież on nie może tak odejść, myślała, nie teraz, kiedy wszystko jest gotowe, żeby być razem, kiedy tyle na niego czekała i tyle zrobiła. Chciała go zawołać, ale nie mogła wydobyć słowa, i nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Stała jak słup soli i patrzyła, jak on wychodzi z mieszkania, które miało być ich wspólnym miejscem na ziemi. Do końca życia nie zapomniła odgłosu jego oddalających się kroków i zamykanych drzwi. Czuła się jak ogłuszona, a potem usiadła na krześle i zastygła w bezruchu. Zza okna dolatywały śmiechy dzieci biegających po wąskiej zaśnieżonej uliczce, w kuchni słychać było krzątanie Agaty. Wszystko było zwyczajnie, jak dawniej, tylko on wyszedł, zamiast objąć ją ramieniem i zapewnić o swoim prawdziwym uczuciu. Powiedział „do widzenia” i wyszedł.

Nadal siedziała bez ruchu, gdy do pokoju zajrzała Agata.

— A co to pan Jan tak wyszedł? — zapytała wystraszona.

— Wyszedł i więcej nie wróci — odparła Lea grobowym głosem.

Agata złapała się głowę.

— Jezusie Nazaretański! A ja ciasto takie dobre upiekłam, sześć jajków dałam — jęknęła i pomstując na męski rodzaj, wzywała pomocy świętych pańskich, którzy chyba zapomnieli o biednej wdowie i jej gosposi. Bo najpierw panu aptekarzowi, świec Panie nad jego duszą, się zmarło, a teraz pan Jan się ulotnił. — I co z nami będzie? — biadoliła i zalewała się łzami w kuchni, od czasu do czasu wycierając nos w koszulę.

A Lea płakała po cichu w pokoju. Przez kilka dni łudziła się jeszcze nadzieją, że Jan przyjdzie, powie, że nigdzie nie wyjeżdża, że ją kocha i zostaje z nią na zawsze. Ale im dłużej czekała, tym jej nadzieja stawała się coraz słabsza, cieniutka jak bibułka od mandarynki, a Lea coraz smutniejsza.

Leon odwiedził ją w niedzielę. Przyjechał sam, bo Helena w zaawansowanej ciąży już nie ruszała się z domu, ale oboje wiedzieli o rozstaniu Lei z Janem.

— Przykro mi, Lea — powiedział, patrząc na nią ze smutkiem. Usiadł przy stole, wziął do ręki filiżankę z herbatą, ale upił tylko łyk i zapatrzył się w złotawy napój, szukając odpowiednich słów pocieszenia. Nie znalazł ich. — Bardzo mi przykro — powtórzył tylko. — Widocznie jeszcze nie dorósł do poważnego związku, wcześniej nie mówił nic o wyjeździe, a teraz to dla niego ważniejsze. Nie rozumiem go.

Lea podsunęła mu talerzyk z ciastem i zastanowiła się, co odpowiedzieć.

— To był tylko wierzchołek góry lodowej — przyznała z ciężkim westchnieniem.

— Wydawało mi się, że dobrze się rozumiecie. Pod pewnym względem jesteście nawet do siebie podobni, trochę niepokorni i niespokojni. Myślałem, że wam się uda.

Lea pokręciła głową.

— Nie chcę już o tym mówić. Stało się i to boli — odparła zgnębiona, skubiąc chusteczkę, którą cały czas trzymała w pogotowiu na wypadek łez.

Leon przełknął kęs ciasta i podniósł wzrok na Leę.

— Może jeszcze się pogodzicie. Kłótnia to nie koniec świata, wszyscy muszą przez to przejść.

Pokręciła przecząco głową.

— Nie — stwierdziła z przekonaniem.

Gdy zabrakło Jana, Lea wszystkie swoje siły skoncentrowała na pracy w magazynie. To pomagało jej uciec od pustki, która otaczała ją coraz szczelniej. Kto jej dobrze nie znał, mógł pomyśleć,

że rozstanie z Janem nie było dla niej bardzo trudne, przebiegło w sposób naturalny, jak niegroźna gorączka, po której wraca się samoczynnie do zdrowia. Lea trzymała się dobrze, nie rozpaczała, może trochę przygasła, częściej się zamyślała, straciła apetyt, ale stale była czymś zajęta, zaabsorbowana pracą. Kto znał ją lepiej, mógł się domyśleć, że boi się zatrzymać i obejrzeć za siebie, za tym, co minęło, co utraciła. Natomiast sama Lea miała wrażenie, że mimo jej wysiłków pustka, która w niej zamieszkała, wkrótce ją pożre, zostawiając z niej tylko cienką skorupkę, wydmuszkę. Ta skorupka to było przyzwyczajenie, które podrywało ją co rano i kazało zaczynać nowy dzień, niepotrzebny i niechciany. Wstawała, myła się, piła kawę albo herbatę, teraz przestało to mieć dla niej znaczenie, ubierała się jak zwykle, czesała i szła do magazynu, w którym spędzała niemal cały dzień, wieczorami zaś długo czytała, aż zasypiała nad książką, która wypadła jej z rąk.

Początkowo w magazynie nie miała dużo zajęć, czasem ktoś do niej zajrzał, raczej przez ciekawość, żeby się rozejrzeć albo porozmawiać. Na dźwięk dzwonka u drzwi podnosiła głowę znad książki czy gazety, którą zapełniała sobie czas, i pytała, czym może służyć. Minę miała przy tym niezbyt zadowoloną, więc spłoszony klient szybko wychodził, kupując coś na chybcika albo i nie. Któregoś razu Marianna, będąc świadkiem takiej sceny, zwróciła jej uwagę:

— Lea, nie gniewaj się, że ci to mówię, ale z tą ponurą miną odstraszasz klientów. Pamiętam, że kiedyś pracowałeś w was taki przemiły człowiek, potrafił doradzić i podpowiedzieć, podsunąć coś nowego. Robił to w sympatyczny i subtelny sposób, nienachalnie. Mogłabyś spróbować wziąć z niego przykład.

— Tak, pan Emil, wzór niedościgniony — Lea pokiwała głową, a jej twarz rozpuściła się lekko na to wspomnienie. — Pan Emil miał po prostu taki dar.

Marianna popatrzyła na nią krytycznie, ściągnęła brwi i w niebywale dla niej stanowczy sposób stwierdziła:

— Trzeba się starać. A ty robisz się podobna do Reutowicza z jego najgorszego okresu. Uśmiechnij się trochę. I nie mów, że nie możesz, sama mi kiedyś wkładałaś do głowy, że trzeba próbować — rzuciła jej kolejne karcące spojrzenie spod kapelusika przyozdobionego rudawym futerkiem. — I zamów ten róż do policzków. Tobie też się przyda. A i jeszcze chciałabym coś do czyszczenia rękawiczek — rozglądała się po gablotkach zastawionych słoiczkami i flakonikami, ciekawa nowości. Wzięła do ręki butelkę z niebieskiego szkła z ozdobną nalepką i rysunkiem górskiego wodospadu. — A to co takiego?

Lea podniosła na nią wzrok.

— Mydło w płynie do mycia włosów — wyjaśniła. Wyjęła jej z rąk butelkę i odkręciła nakrętkę, żeby przyjaciółka mogła powąchać aromat Pienistego Potoku. Dodała, że to nowość i nikt jeszcze tego nie kupił.

Marianna się roześmiała.

— Wcale się nie dziwię. Ja też tego nie kupię, nie namówiłaś mnie — powiedziała, odstawiając butelkę na miejsce. — Musisz to robić z większym przekonaniem.

Z czasem Lea wypracowała sobie służbowy uśmiech, dyskretny, stosowny do sytuacji, zmieniła fryzurę, a w przypływie lepszego humoru zaczęła wypróbowywać niektóre sprzedawane kosmetyki na sobie. Marianna namawiała ją na róż, ale jej wystarczył puder, który rozświetlał ciemną cerę. Gdy sezon zabaw karnawałowych rozkręcił się na dobre, każda szanująca się kobieta chciała ładnie wyglądać i ładnie pachnieć, a do tego niezbędne były perfumy, pomadki, talk, proszek do zębów, puder, płukanki do włosów. Lea starała się zaspokoić wszystkie te potrzeby. Zauważyła, że modne warszawianki, a nawet te mniej modne, potrzebowały znacznie więcej środków upiększających niż mieszkanki prowincji, i to nie dlatego, że były brzydsze, po prostu musiały nadążyć za nowinkami. Panowie też musieli nadążyć. A ona chciała temu sprostać.

Zanim zainteresowała się prowadzeniem magazynu, trzymała się reguł pielęgnacji urody przekazanych jej przez ciotkę Anastazję, z małymi modyfikacjami to wystarczyło, żeby wyglądać świeżo i schludnie. Teraz jednak śledziła najnowsze trendy, czytała o nowych pomysłach dotyczących pielęgnacji damskiej urody. Warszawska firma Carmen wypuściła właśnie na rynek krem *Carmen metamorphosa*, który według reklamy bezpowrotnie usuwał wszelkie niedoskonałości cery: piegi,

wągry, żółte plamy, i panie od razu chciały poddać się takiej metamorfozie. Niezbędny niemal dla każdego stał się płyn Odoryna, który usuwał, i to radykalnie, nadmierne pocenie się i woń potu ze wszystkich części ciała. To były nowinki, których Lea nie mogła przeoczyć i które wyznaczały przed nią nowy cel. Zaczęła się zastanawiać, czy sama nie mogłaby robić kremów albo pomady do włosów, tak jak niegdyś Józef wyrabiał eliksir (choć z eliksirem to był niewypał). Znała sprawdzone przepisy i na pomadę pobudzającą włosy do odrastania (ze szpikiem wołowym), i na płyn z białego wina i aromatycznych ziół przeciw nadmiernemu poceniu się, no i na ocet, ale żeby coś takiego zrobić, potrzebne było odpowiednie zaplecze. Myślała nawet, że mogliby wyrabiać te produkty w aptece, jednak nie miała najmniejszej ochoty zwracać się z tym do Reutowicza. Kiedy wyobraziła sobie jego ironiczny uśmiezek, z jakim by jej odmówił, szybko zrezygnowała z tego pomysłu.

Żałowała, że nie udało jej się ukończyć praktyki aptecznej; gdyby tak zaczęła wcześniej, mogłaby się dużo więcej nauczyć i zdać egzaminy na pomocnika aptekarskiego. W końcu dostrzegła, że brakuje jej nie tylko Jana, ale i Józefa. Jego może nawet bardziej. Brakowało jej wspólnie wypijanych z nim herbat, wieczornych rozmów, a nawet sporów i pracy w aptece. Wszystkiego, co było ich wspólną codziennością.

Po Wielkanocy w zakładzie naukowym dla dziewcząt, do którego uczęszczały córki Marianny, urządzano przedstawienie. Była to uroczystość obchodzona z namaszczeniem i zadęciem, jeśli o taką nieskromność można posądzać siostrę dyrektorkę, która osobiście dobierała repertuar przedstawień. Siostra lubowała się w żywotach świętych, wyrazistych i dramatycznych losach męczennic, heroicznych dziewic równie pięknych jak niezłomnych, szlachetnych niewiast o sercach czystych jak łza niewiniątka, pobożnych i sprawiedliwych mężów, ludzi nieskłonnych do byle jakich kompromisów i układów, ideałów, których próżno było szukać w otaczającym świecie. Wszystkie role, nawet katów i zbirów zdolnych do najgorszych okrucieństw, powierzano uczennicom, wychodząc ze słusznego poniekąd założenia, że nie wiadomo, co im los przyniesie. Na przedstawienia zapraszano rodziców i opiekunów oraz bardziej i mniej poważnych gości, w tym chłopców z pobliskiego gimnazjum. Córki Marianny zaprosiły z tej okazji Leę.

Któregoś czwartku, gdy Lea odwiedziła przyjaciółkę i zagadała się z nią w saloniku mieszkania na Podwalu, Julcia zapukała i nieśmiało weszła do pokoju, dygnęła przed Leą i ze skromną miną wręczyła jej pięknie wykaligrafowany błękitny bilecik z zaproszeniem.

— Musisz się z nami wybrać — zachęcała Marianna — oderwiesz się na chwilę od proszków i kremów. Podobało ci się, kiedy byłyśmy jesienią w szkole, mówiłaś, że jest tak spokojnie i cicho, a teraz przekonasz się, jaki tam gwar, ile życia, ile się dzieje. A Julcia i Amelka są takie przejęte, biorą udział w przedstawieniu. Pokażą się tylko przez chwilę, ale i tak bardzo to przeżywają — mówiła z miną dumnej matki, która występ córek traktowała poważniej, niż chciałyby się do tego przyznać.

Właściwie mogłabym pójść, pomyślała Lea. Od rozstania z Janem rzadko gdzieś wychodziła, co to za przyjemność iść samej na wystawę albo do teatru. Nie miała na to ochoty. Odwiedzała tylko Mariannę, a czasem jechała do Leona i Heleny, oczywiście wychodziła też, gdy musiała załatwić jakieś sprawy związane z magazynem. Kilka razy widziała się z Trichonowem, który nadal przepytywał ją w sprawie badań prowadzonych przez Józefa, ale tych spotkań w żaden sposób nie mogła zaliczyć do przyjemnych. Nie spływały po niej jak woda po kaczce; pytania Trichonowa tkwiły w jej głowie, budziły wspomnienia i podejrzenia, które potem nie dawały jej zasnąć. Rano uciekała od nich, zajmując się codziennymi sprawami, nowym reklamowanym kremem, opakowaniem mydełek albo zamówieniem terpentyny. Czasem jednak zatrzymywała się w biegu i zastanawiała, kto włamał się do apteki, czy śmierć Józefa była sprawą przypadku i kto zabrał jego notes. Męczyły ją te myśli jak zwietrzałe zapachy, których nie można rozpoznać, nie można sobie przypomnieć, skąd się je zna, nie pasują do żadnej osoby ani miejsca, a jednak tkwią zagrzebane głęboko w pamięci jak w zapomnianej szufladce aptecznego repozytorium.

Kiedy dostała zaproszenie od Julci, zastanowiła się chwilę, popatrzyła na kolorowy kartonik

i uznała, że zasadniczo może sobie pozwolić na chwilę beztróskiego zapomnienia o sprawach poważnych, smutnych i przyziemnych. Po szkolnym przedstawieniu nie spodziewała się wprawdzie duchowej uczy, ale zdecydowała się pójść. Naszykowała paczki cukierków i ciasteczek, którymi chciała obdarować córki Marianny, wyciągnęła z kufra swoją odświętną czarną suknię, upięła starannie włosy, założyła czarny żakiet, którego miała już szczerze dosyć, i skromny kapeluszek z woalką. Przed wyjściem spojrzała w lustro, nadal wyglądała smutno i blado, spróbowała się uśmiechnąć, ale i to nie pomogło. Pomyślała, że jeśli nadal będzie spędzała cały czas w domu i magazynie, niedługo zacznie wyglądać jak zapomniane suknie przesypane proszkiem na mole.

Wyszła z domu dobrze przed piątą, zeszła Kamiennymi Schodkami, skręciła w Brzozową, zajrzała na chwilę do Agaty, która zastępowała ją w sklepie, po czym ruszyła do zakładu naukowego dla dziewcząt na ulicę Starą. Kiedy szła niespiesznie, czuła na twarzy ciepły powiew wiosny, odpięła guzik żakietu i odetchnęła głęboko. Na ulicy wśród przechodniów można było dostrzec ożywienie, pachniało nowymi pantoflami, nowymi kapeluszami albo przynajmniej bukietem fiołków przypiętym do kołnierza. Lea czuła od siebie coraz mocniejszy zapach naftaliny. To niewybaczalny błąd, jak mogła tak się zaniedbać. Rok temu to byłoby nie do pomyślenia, ale rok temu jej życie wyglądało całkiem inaczej, świat był zupełnie inny, bezpieczny i uroczy jak pudełko czekoladek. Wszystko się zmieniło, ale dziś miała nie myśleć o przykrych sprawach. Wyprostowała się, odpięła jeszcze jeden guzik żakietu, poprawiła woalkę i przyspieszyła kroku.

Przedstawienie zaczynało się o piątej, Lea przyszła trochę przed czasem i chwilę czekała, aż nadejdzie Marianna z mężem, ona w nowej zielonej sukni, jasnym żakiecie i kapeluszu z szerokim rondem, doktor w ciemnym ubraniu, z lekko zamyślonym wyrazem twarzy i zmęczeniem w oczach. Razem z nimi weszła do dużej sali ozdobionej girlandami kwiatów i liści z kolorowej krepiny, gdzie kurtyna z wiśniowej materii odgradzała realny świat od pełnego szlachetnych uniesień świata wyobraźni zrobionego z tektury i *papier-mâché*, i z olbrzymiej donicy z palmą.

Na widowni goście zajmowali miejsca zwyczajne i bardziej zaszczytne, w pierwszym rzędzie na krzesłach wyściełanych pluszem. Lea usiadła w drugim rzędzie koło Marianny i jej męża.

Zaczęło się przedstawienie, kurtyna odsłoniła mury średniowiecznego Asyżu. Lea w skupieniu wyczekiwała chwili, kiedy na scenie pojawią się Julcia i Amelka. Nie chciała przeoczyć tego momentu, który potem Marianna będzie przywoływać z rozrzewnieniem. Nie mogła zawieść przyjaciółki. Na szczęście Marianna w stosownej chwili dała jej znać:

— Tam po lewej, widzisz? — szepnęła jej do ucha.

Lea mogła najwyżej udawać, że wśród grupki dzieci przebranych za biedaków, którym święty Franciszek rozdaje jałmużnę, dostrzegła córki Marianny; nie rozpoznała ich. Były tylko tłem, na które nie zwraca się uwagi. Po przedstawieniu (na szczęście nie trwało długo) sala zawrzała, rozległy się oklaski i gwizdy. Gimnazjaliści rzucali mandarynkami, celując w najładniejsze uczennice, oczywiście te ze starszych klas, tak żeby trafić je w piersi lub w nos. Na scenę posypały się cukierki, a nawet kwiaty z krepiny spontanicznie wyskubane z dekoracji. Lea czuła, że i jej udziela się ożywienie i dziecięca radość. W zamieszaniu nie zwracała uwagi na Reutowicza, który podszedł się przywitać. Słyszała, że od lat wspiera fundusz szkoły na rzecz ubogich uczennic i z tego powodu bywa zapraszany na szkolne uroczystości, nie przypuszczała jednak, że go tu spotka. Z pewnością przyszedł z obowiązku, a jego mina wskazywała, że nie zaliczał tego do miłych obowiązków. Odniosła wrażenie, że nie ucieszył się też na jej widok. Mogła się mylić, mógł mieć wiele innych powodów do niezadowolenia, starych i nowych. Nie miała ochoty dowiadywać się, co to było tym razem. Skinęła mu głową i odwróciła się do dziewczynek. Wręczyła im paczki, pochwaliła udane przedstawienie, muskając ustami ich zaróżowione od emocji policzki, pożegnała się i wyszła. Na schodach minęła grupki rozgadanych uczennic i dorosłych, zadowolonych i pachnących wodą kwiatową firmy Dralle. I nagle dopadł ją smutek, przed którym tak długo uciekała. Jej wesoły nastrój nie wytrzymał konfrontacji ze szczęściem innych. Ożywczy powiew wiosny szybko się ulotnił; uświadomiła sobie, że jej marzenia o domu i rodzinie rozmyły się jak mgła, pękły jak bańka mydlana i nic z nich nie wyszło.

Lata lecą, wydaje się nawet, że coraz szybciej, nie mogła już pozwolić sobie na błędy,

na marnotrawienie czasu. Musi odnaleźć się na nowo, znaleźć dla siebie jakiś punkt zaczepienia na skrzyżowaniu marzeń i drapieżnej rzeczywistości. Prowadzenie sklepu wydawało jej się najlepszym wyjściem. Była przecież poważną osobą, która ma wszystko poukładane w głowie i zmierza prosto do celu, czyli do posiadania magazynu perfumeryjnego, i nikt nie mógł zaprzeczyć, że była na dobrej drodze, czasami jednak czuła się zmęczona. Od czasu do czasu musiała na chwilę się zatrzymać, obejrzeć za siebie, schować pod jakąś jabłonią albo dla równowagi ducha zrobić coś niepoważnego, coś takiego, co by zasługiwało na krytykę ciotki Anastazji, która w takich razach mówiła: Lea, bój się Boga, chyba rozum postradałaś!

Ale co mogła teraz zrobić? Może kupi sobie bukietek fiołków, które zaraz zwiędną, a może pójdzie do kawiarni, w której spotykała się z Janem, i wypije w samotności kawę ze zwietrzałym kardamonem, a potem przepłacze pół nocy. A może kupi sobie kapelusz, taki jak ma Marianna, i schowa go do szafy. Ze smętną miną zastanawiała się nad listą ewentualnych wykroczeń i nic nie wydawało jej się na tyle kuszące, by wprowadzić to w czyn. Widocznie nie przyszedł jeszcze na to czas, nie potrafię spojrzeć na siebie z dystansem, najpierw muszę uporać się z rozczarowaniem i pogodzić z losem. Im szybciej, tym lepiej, pomyślała i kopnęła kamyk, który leżał na jej drodze, jakby ten mały pokaz przemocy mógł przynieść jej ulgę.

Za budynkiem szkoły był sad osłonięty od ulicy wysokim ceglany murem. Szpalery jabłoni, śliw i gruszy stały tam ciche, ledwo przebudzone po zimie. Słońce jeszcze nie zaszło, oświetlało drzewa cienką po złotą, w powietrzu unosił się zapach kwiatów, rozmokłej ziemi i kompostu, alchemiczna mieszanka woni budzącego się życia i rozkładu. Lea poszła tam wiedziona jakimś naprawczym instynktem, chciała przejść się wśród drzew, tak jak kiedyś w Korytnicy, i przywołać to, co kiedyś było dla niej ważne. Wróciła myślami do dzieciństwa, przypomniała sobie oczekiwanie na pierwsze słoneczne dni i wyprawy na łąki, podczas których babka objaśniała jej świat, uczyła kalendarza wyznaczonego przelotami bocianów, dzikich gęsi i jaskółek, pierwszą burzą, która otwiera ziemię, i pierwszym mrozem, który ją ścina.

To wszystko trwa, dzieje się tuż obok mnie, pomyślała, przyglądając się pękającym pąkom na gałęziach, ale dla mnie przestało być codziennością. Moja codzienność pachnie teraz mydłem, wodą kwiatową i pastą do podłóg. Tak musi być. Ale nawet teraz miała ochotę zdjąć buty i przejść się boso po trawie, wejść w zimną kałużę i poczuć się sobą, odzyskać nadwątloną równowagę.

Doszła do kapliczki na końcu ścieżki, wokół było pusto i spokojnie; chmara muszek wirowała w promieniu słońca jak posypka z brokatu. Obejrzała się, czy nikogo nie ma w pobliżu, zdjęła rękawiczki, przykucnęła i zanurzyła dłoń w zimnej kałuży, w której odbijały się czarne zarysy gałęzi. Poczowała przyjemny chłód, zapach stojącej wody i rozmokłych liści. Kiedy wstawiała, noga obślizgnęła jej się do kałuży. Szybko wyskoczyła z wody, przysiadła na kamiennym murku, rozsznurowała i ściągnęła trzewik, żeby wylać z niego wodę. Przygoda mogłaby wydać się jej nawet zabawna, gdyby nie było świadka.

— Śmiało, proszę się nie krępować, niczym już mnie pani nie zaskoczy. — Reutowicz podszedł do niej i spojrział na nią z dezaprobatą. — Proszę, niech pani zrobi to, co chciała pani zrobić, a ja wypalę papierosa, później mam do pani kilka słów.

Zawstydzona się, szybko zasznurowała but i wstała z murku, otrzepując suknię.

— Chciałam się przejść i wpaść do wody — powiedziała z wątłym uśmiechem.

Milczał, patrząc na nią jak na wybryk natury podrzucony mu przez przekorny los, by naruszyć jego świat uporządkowany według dni tygodnia, z wyjątkiem okazjonalnych bankietów i niewinnych niedzielnych wyskoków do cukierni.

Kiedy cisza trwała zbyt długo, zakłopotana dodała:

— Pan tego nie zrozumie. Tam, gdzie się wychowałam, za domem był sad, zawsze biegłam do niego, kiedy było mi źle. Potem marzyłam, żeby mieć dom z ogrodem i sadem. Józef odkładał pieniądze, ale nie zdążył. Nic z tego nie wyszło.

— Niech się pani nad sobą nie rozczuła, doskonale wiem, o czym pani marzyła — odpowiedział lodowatym tonem.

Nastroszyła się.

— Pan jak zawsze uprzejmy w swoisty sposób. Nie ma w panu ani odrobiny dżentelmena. — Zerknęła na niego spod oka, był jak zwykle ponury, ubrany na czarno, a do tego z czarnym parasolem. Wyglądał jak kruk, pesymista. — O czym chce pan ze mną rozmawiać? O co chodzi?

Nie spieszył się z odpowiedzią, zaciągnął się dymem i patrzył gdzieś przed siebie, aż w końcu spojrzął na nią z kwaśną miną.

— Pani chyba najlepiej wie, o co chodzi. Nie zamierzam dłużej zajmować się pani sprawami — oświadczył szorstko. — I żeby nie posądzała mnie pani o wybitną złośliwość, dodam, że niedługo będzie zebranie udziałowców spółki Składy Materiałów Aptecznych. Powinna pani wyznaczyć nowego plenipotentą.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nic nie rozumiejąc.

— Składy Materiałów Aptecznych? — próbowała sobie przypomnieć. Wiedziała, że Józef i Reutowicz mieli w tej spółce udziały i kilka razy do roku uczestniczyli w zebraniach. To ją nie interesowało, kobiety nie mogły brać w tym udziału, dlatego po śmierci Józefa podpisała plenipotentę na Reutowicza i myślała, że to na jakiś czas wystarczy. — Ale co się stało? Pan już nie może występować w moim imieniu? — zapytała zaskoczona jego nagłą odmową.

— Nie.

Zamurowało ją, dotąd nie odmawiał jej pomocy. Czowała, że jest jej zimno, a cienkie buciki są zupełnie przemoczone.

— Może łaskawie poświęci mi pan chwilę i wytłumaczy, o co chodzi.

Spojrzał na nią tak, że zrobiło jej się jeszcze zimniej.

— O to, że kłamstwo ma krótkie nogi. Nie wiem, co pani chciała przez to osiągnąć, ale w tej sytuacji nie mogę pani reprezentować na zebraniu ani gdziekolwiek indziej.

— Nie rozumiem — była coraz bardziej zdezorientowana. — Niech pan w końcu powie!

Wyszli z ogrodu na ulicę Starą. Lea szła obok niego, próbując dotrzymać mu kroku, a to nie było łatwe.

— O co właściwie panu chodzi? Co ma mi pan do zarzucenia? Słucham. Nie musi pan niczego owijać w bawełnę, przyzwyczaiłam się do tego, że pan zawsze ma o coś pretensje — dodała lekko zdyszana.

Przystanął, rzucił niedopałek na ziemię i rozdeptał go czubkiem buta, niemal rozcierając go na pył. Spojrzął jej prosto w oczy.

— Jeszcze się pani dopytuje? Przecież podobno okradłem panią, puściłem z torbami, dlatego musi pani prowadzić ten swój sklepik.

— Co? — aż otworzyła usta z wrażenia. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. — O czym pan mówi? To jakieś bzdury. Pan mnie okradł, kto to powiedział?

— Właśnie!

Teraz zrobiło się jej gorąco.

— O nie! Chyba pan nie myśli, że ja coś takiego powiedziałam? Po co miałabym to robić? — spojrziała na niego, nie mogąc zrozumieć, jak może posądzać ją o taką przewrotność. — Przecież pan w to nie wierzy?

— Nie wiem, co pani powiedziała. Może wystarczyło, że pani temu nie zaprzeczyła.

— To jakieś absurd! Nie rozumiem — powtarzała zdenerwowana.

— W tym rzecz, że pani nic nie rozumie — dodał, podkreślając jej wyjątkową ignorancję, żeby nie powiedzieć głupotę i złośliwość. — Na domiar złego rozpuszcza pani plotki, że przeze mnie została pani bez środków do życia. Tak to wygląda i nie mamy już o czym mówić — uciął stanowczo i przyspieszył kroku, zostawiając ją samą, zdezorientowaną i wytrąconą z równowagi.

Jak on tak mógł o niej pomyśleć, jak mógł oskarżać ją o coś, co nawet przez myśl jej nie przeszło? Stała i patrzyła, kiedy on oddalał się i w końcu zniknął za rogiem Mostowej. Wtedy oprzytomniała. Musi to jak najszybciej wyjaśnić!

— Niech pan poczeka! — zawołała i ruszyła za nim. Podbiegła kawałek, omal nie wykręcając

sobie nogi na kocich łbach. Kiedy dobiegła do Mostowej, zobaczyła, że wsiada do dorożki. Za późno, pomyślała zdziwiona i zła, że nie zdołała go przekonać.

Musiała wyglądać żałośnie, kiedy stała i gapiła się na odjeżdżającą dorożkę, jakby usiłowała ją zatrzymać wzrokiem. A jednak dorożka się zatrzymała kilka metrów dalej, Reutowicz wyjrzał i powiedział, żeby wsiadała. To nie było miłe zaproszenie na przejażdżkę, raczej odruch litości.

— Podwożę panią na Rynek — burknął.

Nie zastanawiała się, wsiadła i od razu przeszła do ataku:

— Pan jest niesprawiedliwy. Może jestem ignorantką, ale nigdy nikomu nie powiedziałam, że jestem bez środków do życia ani że mnie pan oszukał. Nic takiego nie miało miejsca! — zapewniła go zdyszana i rozdrażniona, że musi się tłumaczyć.

— Nawet nie ma pani odwagi się przyznać — stwierdził z politowaniem. — A ten artykuł w „Niwie” *Na czym można najlepiej zarobić?*

Drgnęła.

— Pierwsze słyszę — powiedziała, chociaż coś zabrzęczało w jej w pamięci. Później przeczytała ten artykuł, w szyderczy sposób przedstawiający sytuację wdowy oszukanej przez współnika męża, która zostaje bez środków do życia i próbuje otworzyć własny skład apteczny. Rzeczywiście było pewne podobieństwo, ale bez przesady.

— Wszyscy wiedzą, że to mowa o mnie i o pani — mówił dalej z coraz większą irytacją. — Leokadia, wdowa po aptekarzu, w Warszawie chyba więcej takich nie ma? Autorem jest zapewne ten pani przyjaciel, który nawet nie miał odwagi się podpisać. Mógłbym wytoczyć proces o zniesławienie.

Czuła, że serce wali jej coraz szybciej.

— Boże, niech mnie pan nie dobija, ja nie mam z tym nic wspólnego — zarzekała się, wpatrując się w niego ze szczerym oburzeniem. — Bardzo mi przykro.

— Ale to pani mu to powiedziała! — stwierdził tonem ostrym jak smagnięcie różgą.

— Panie Reutowicz, nie wiem, jak to panu wyjaśnić — czuła, że jeszcze chwila, a rozplacze się ze zdenerwowania, złości i bezradności. — Nie miałam pojęcia o tym artykule, z panem Fiszerem rozstałam się kilka miesięcy temu — lekko pociągnęła nosem i po dłuższej chwili przyznała: — Fakt, że kiedyś rozmawiałam z nim o sklepie i powiedziałam, że chciałabym być niezależna od dochodów z apteki, ale nic więcej. Nie wiem, co mu przyszło do głowy, nie przypuszczałam, że jest do czegoś takiego zdolny. Nie mogę w to uwierzyć, żeby mógł coś takiego napisać, bardzo mi przykro — zarzekała się, starając się ukradkiem otrzeć łzy. — Rozumiem, że jest pan na mnie wściekły.

Drgnął jak ukłuty igłą.

— Wściekły!? — patrzył na nią ze złością. — Można to i tak nazwać. Pomijając już oszczerstwa pana Fiszera, pani odnosi się do mnie z ostentacyjną niechęcią. Nawet dziś odwróciła się pani ode mnie, jakbym rzeczywiście wyrzucił panią na bruk i pozbawił środków do życia — dodał oskarżycielskim tonem. — To pani jest na mnie wściekła, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Cały czas starałem się pani pomóc, ale pani nie raczy tego dostrzec! Na dodatek nie ma pani zielonego pojęcia o prowadzeniu sklepu. Może wie pani coś niecoś o ziołach i mikroskopie, ale absolutnie nie zna się pani na interesach! — wyrzucił z siebie, nie zwracając uwagi, że mówi coraz głośniej, a Lea wygląda na bardzo nieszczęśliwą i przestraszoną.

Słowa Reutowicza były dla niej jak kubeł zimnej wody na jej gorącą i pełną entuzjazmu głowę. Do tej pory myślała, że radzi sobie z magazynem całkiem nieźle. Na razie to tylko mała mydlarnia połączona z perfumerią, ale i tak włożyła dużo wysiłku, żeby ją otworzyć, a jej ambicje były znacznie większe. Ale teraz...

— Proponowałem pani swoją pomoc, a pani mnie zignorowała, wołała pani zrobić wszystko po swojemu i całkowicie bez głowy. — Wytknął jej, że nie uprzedziła go o swoich zamiarach, nie naradziła się z nim w sprawie otwarcia sklepu, a jako współwłaścicielka apteki powinna z nim wszystko uzgodnić. Stwierdził, że postąpiła nielojalnie i niefrasobliwie. Na dodatek, zamawiając towar u konkurencji, utwierdzała wszystkich w przekonaniu, że jest z nim skłócona. — Ten pani magazyn powinien być w innym miejscu, wtedy mógłby być filią apteki, to by miało jakiś sens, ale wcześniej

należało wystąpić o pozwolenie do Rady Lekarskiej i uzyskać odpowiednią koncesję. Dlatego prosiłem panią, żeby pani przyszła porozmawiać, można było jeszcze coś zmienić. W dodatku w moim składzie miałyby pani rabat i pewność, że towar jest z dobrego źródła. Ale pani oczywiście wszystko wie najlepiej! — wyrzucił z siebie całą litanię zarzutów.

Zapadła niezręczna cisza, słycać było parskanie koni, stukot kopyt i turkot kół po nierównym bruku. Lea wiedziała, że on ma słuszość. Kapitał, wkład, procenty, cała buchalteria, prawa rynku — to były sprawy, o których ona nie miała pojęcia. Niewiele też wiedziała o konkurencji między aptekami i składami aptecznymi, które ostatnio mnożyły się na potęgę, a że nie były objęte takimi obostrzeniami jak apteki, sprzedawały leki i inne specyfiki dużo taniej. A Reutowicz, żeby jeszcze bardziej ją pognębić, zaczął jej wyliczać przepisy regulujące działania aptek i składów, i takich sklepów jak jej magazyn. Był konkretny, rzeczowy, mówił, jak wygląda rynek, jak szybko się zmienia, na co jest stałe zapotrzebowanie, czego brakuje. Potem rozłożył jej magazyn na części pierwsze, jakby przeprowadzał anatomiczną sekcję, i oczywiście wytykał jej rozliczne błędy. Im dłużej go słuchała, tym bardziej była zagubiona i przerażona swoją niewiedzą. A on doskonale to wyczuwał. Nie zwracał uwagi, że Lea robi się coraz bledsza i już nie protestuje.

— Co pani właściwie chce zrobić? — zapytał w końcu i popatrzył na nią krytycznie, jakby przewidywał, że jej odpowiedź będzie błędna i nielogiczna.

Niełatwo jej się z nim się rozmawiało, w jego głosie pobrzmiwał ton wyższości. Całą jej pewność siebie diabli wzięli. Przez chwilę, żeby ukryć zakłopotanie, bawiła się guzikami przy zakiecie.

— Muszę się czymś zająć. Nie potrafię siedzieć beczynnie. Sądziłam, że magazyn to dobry pomysł... Pan mi uświadomił, że o niczym nie mam pojęcia — przyznała zgaszona, patrząc na czubki swoich przemoczonych butów.

Kiwnął głową, to właśnie chciał usłyszeć, a ona mówiła dalej, próbując pokonać drapanie w gardle. Nie miała śmiałości spojrzeć mu w oczy.

— Proszę mi wierzyć, nie pomyślałam, że to może być źle odebrane — tłumaczyła się z nieszczęśliwą miną. Zarzekała się, że w żadnym razie nie chciała narażać go na przykrości, chciała tylko czymś się zająć, być komuś potrzebna. Pomyślała, że może złość mu już przeszła i zgodzi się nadal reprezentować jej interesy w spółce, bo to mogłoby ukreślić łeb całej sprawie, ale on odmówił.

— To nie takie proste, jak się pani wydaje. Proszę znaleźć kogoś innego — oświadczył szorstko. Zastanowiła się chwilę.

— A gdybym sama się tam wybrała? Wiem, że kobiety nie uczestniczą w zebraniach, ale wszystko się zmienia. Mogłabym pójść z panem?

Po znaczącej chwili milczenia, która zapewne kosztowała go nieco wysiłku, by przełknąć kilka słów mniej uprzejmych, powiedział:

— Niechże pani oprzytomnieje i rozejrzy się, na jakim świecie żyje! Niech pani poprosi kuzyna. Tak będzie najlepiej — uciął zdecydowanie:

Gdy wysiadła z dorożki, czuła się niemal obita duchowo, jakby zatrzęsnięto przed nią kolejne drzwi, odesłano do kąta jak niesforne dziecko. Mimo wszystko nie powinien jej tak potraktować, nie zasłużyła na to. Przecież nie zamierzała mu szkodzić, chciała być tylko niezależna i przydatna. Nie wiedziała, że Jan napisze coś tak wstrętnego, nie spodziewała się tego po nim. Dlaczego to zrobił?

Nie pomogła herbatka z kwiatów macierzanki ani kieliszek wiśniówki, który podała jej Agata na poprawę humoru. Wieczorem rozżalona przewracała się z boku na bok i próbowała zasnąć, ale wciąż słyszała echo słów Reutowicza, że jest ignorantką i nie ma o niczym zielonego pojęcia. I że nie powinna się nad sobą użalać. A tego to już zdecydowanie nie miał prawa jej mówić, to były jej osobiste sprawy.

Tydzień później odbyło się zebranie spółki Składy Materiałów Aptecznych, na które pojechał Leon. Po powrocie zdał relację Lei. Rozsiadł się na krześle pod oknem, wypił duszkiem szklankę wody sodowej i wachlując się kapeluszem, powiedział, że rzeczywiście o Reutowiczu krążą różne plotki, podobno wyrzucono go z Towarzystwa Aptekarskiego za nieetyczną postawę, ale sprawa jest niejasna,

bo różnie mówią. Leon nie zna tam nikogo, więc trudno mu wyczuć, o co poszło. Ale z Reutowiczem się dogadał, nie było to takie trudne, po zebraniu pojechali na małą kolację do lokalu, nie wielkiego, jednak takie spotkanie ułatwia porozumienie. Rozmawiali o interesach i zastanawiali się, czy nie wycofać udziałów ze spółki, która wprawdzie przynosi 7,5% zysku rocznie, ale nie ma większych perspektyw na rozwój. Może wybrać Warszawską Spółkę Chemiczną, trzeba się nad tym zastanowić. Przy najbliższej okazji chcieli to jeszcze omówić.

Lea odetchnęła z ulgą, jedna sprawa wydawała się załagodzona, pozostawała kwestia magazynu, która spędzała jej sen z powiek. Wiedziała, że sama sobie nie poradzi, ale rozmowa z Reutowiczem to nie była miła perspektywa. Na samą myśl o tym cierpła jej skóra, nie widziała jednak innego wyjścia.

— Powiedział, że pomoże ci z magazynem — dodał Leon, widząc po minie kuzynki, że jest to dla niej trudna sprawa. — Chciałaś prowadzić sklep, więc posłuchaj, co ma ci do powiedzenia, i bierz się do dzieła — zachęcał ją po przyjacielsku. — I nie przejmuj się tak — uśmiechnął się krzepiąco, a potem z błyskiem w czarnych oczach zapytał: — Właściwie co ty masz przeciwko niemu?

Wzruszyła ramionami.

— Nazbierało się — odparła z wymowną miną.

Domyślał się, że sprawa ma głębsze dno.

— Nie możesz zapomnieć?

Pokręciła głową.

— Lepiej idź do niego, zrób, co ci powie, i będzie po kłopotach, a ja się zorientuję, co z tą Spółką Chemiczną — powiedział pełen optymizmu, ucałował ją w rękę i powtórzył, żeby się nie martwiła, bo nie do twarzy jej z taką smutną miną.

Minęło jednak kilka dni, zanim zdołała się zmobilizować i pozbierać po upadku z obłoków błogostanu pachnących fiołkami, konwalią i glicerynowym mydłem. Kiedy poczuła się na siłach na rozmowę z Reutowiczem, postanowiła sobie, że na wiele może się zgodzić, ale musi dbać o swoją jak największą niezależność. Nie dał jej na to szans. Rozmowa była krótka. Powiedział, że jeśli ma jej pomóc, to na jego warunkach.

— Zdaje się, że nie mam wyboru — zauważyła zgaszona.

Siedziała w biurze apteki, na krześle dla interesantów, i tak też się czuła, jak interesant trzeciej kategorii, bez szansy na wywalczenie lepszej umowy. Reutowicz zajmował miejsce za biurkiem, tym samym, przy którym Józef spędzał nieraz długie wieczorne godziny, zapisując coś w księgach rachunkowych. Józef dbał o to, żeby na blacie wszystko było równo ułożone, wszystko na swoim miejscu, kartki do pisania, kałamarz, suszki i bibuły. Teraz na biurku panował lekki nieporządek, jakby buszował tam wiosenny wiatr, na wierzchu leżała gazeta otwarta na stronie z informacją o rozpoczęciu sezonu wyścigów konnych.

— Może pani znaleźć kogoś innego — odparł, jakby było mu to zupełnie obojętne.

Musiała się zdobyć na bezczelne pochlebstwo.

— Nawet o tym nie pomyślałam. Jestem pewna, że pan zrobi to najlepiej — powiedziała, dziwiąc się sobie, że tak łatwo jej to przyszło.

Namyślił się i skinął głową.

— Dobrze, przyślę do pani swojego pracownika, pana Studnickiego. Może mi pani wierzyć, na buchalterii zna się lepiej ode mnie, a na dodatek jest młody, przystojny, wymowny, spodoba się pani — dodał z sarkazmem. — On się zorientuje w tym pani bałaganie, a potem zastanowimy się, co zrobić dalej — powiedział, składając gazetę i układając dokumenty na biurku. — Szkoda, że tak późno się pani zdecydowała, ale co się stało, to się nie odstanie.

Siedziała jak na szpilkach i czekała, aż Reutowicz rozwinie ten wątek, przypomni jej błędy i będzie z lubością pławził się w oparach swojej szlachetności, ale nic takiego nie powiedział. Przyjrzał się jej z dość obojętną miną i stwierdził:

— Sprawa załatwiona. Teraz zabieram panią na kolację — wstał, sięgnął po kapelusz

i rękawiczki.

Zamurowało ją, w pierwszej chwili pomyślała, że się przestyszała. W końcu, gdy Reutowicz zbierał się do wyjścia, wykrztusiła zmieszana:

— Bardzo dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. — Po chwili, gdy zdołała pozbierać myśli, dodała: — Jestem wdzięczna panu za pomoc, ale szczerze mówiąc, kolacja z panem przekracza granice mojej wytrzymałości.

O dziwo, w jego oczach pojawił się wesoły błysk.

— Niechże pani da spokój z tą urażoną dumą, i bez obaw, nie będę wracał do sprawy sklepu ani tego szkalującego artykułu. Chciałem z panią porozmawiać o rozprawie. Idziemy — zdecydował, nie zwracając uwagi na jej wahanie. — Przecież pani nie zjem — dodał, uchylając przed nią drzwi.

W małym lokaliku przy ulicy Wąski Dunaj, gdzie zażywna gospodyni, pani Tarczyńska, serwowała dania domowe, pachniało ciastem drożdżowym, zupą rakową i pasztetem. Zgłodniały gość, do jakich tego dnia można było zaliczyć Reutowicza, wyczuwał w powietrzu aromaty jeszcze innych frykasów i smakołyków, z których słynęła kuchnia pani Tarczyńskiej. Była tam wątróbka smażona z cebulką, pieczeń wołowa, sznyce cielęce i rozplływający się w ustach omlet z konfiturami, naleśniki z serem i rodzynkami. Było w czym wybierać.

Usiedli przy stoliku w rogu sali i Lea ze zdziwieniem patrzyła, jak Reutowicz pochłania olbrzymią porcję zupy, a potem furę pasztetu z sosem musztardowym. Ona ledwo co skubnęła, mało też się odzywała, od pół godziny nie mogła wyjść ze zdumienia, że dała mu się tu zaprowadzić, a teraz siedzi cicho i grzecznie jak trusia.

— Dlaczego pani nic nie je? — zapytał, sięgając po serwetkę.

Chciała powiedzieć, że nie ma apetytu, ale się powstrzymała; wzruszyła tylko ramionami, słów mógł się sam domyśleć. Po chwili pomyślała, że nie wypada, skoro jej pomaga, ona też musi się postarać. Nie powinna go ignorować, może ta kolacja ma uciąć plotki o nieporozumieniach. Wmusiła w siebie kawałek omletu i starała się zrobić przyjazną minę, jak zadowolona z siebie kobietka, którą dość przystojny pan w średnim wieku zaprosił na kolację.

Reutowicz po sutym posiłku rozpogodził się, można powiedzieć, że się uśmiechnął, jednak nie do końca, bo sprawa, o której chciał z nią rozmawiać, nie była przyjemna.

Spotkań z Trichonowem nikt nie mógł zaliczyć do miłych wydarzeń. Reutowicz nie należał do wyjątków, komisarz potraktował go z należytą podejrzliwością, przepytwał bardzo dokładnie, dociekliwie i dogłębnie, nie okazując przy tym ani cienia sympatii czy szacunku. Wypytywał go o badania prowadzone przez Józefa, kontakty i znajomości, o przyjaciół i wrogów. Nie było w tym nic nadzwyczajnego; wiadomo, że policja zawsze chce znać takie sprawy, ale Trichonow wypytał go równie dokładnie o Leę. W tym też nie byłoby nic nadzwyczajnego, jednak ciekawość Trichonowa okazała się nienasycona.

— Chciałem, żeby pani o tym wiedziała. Może się pani spodziewać, że niedługo panią wezwie i poprosi o wyznania — dodał, zerkając to na nią, to na rumianą dziewczynę, która podała im kawę.

— Pytał o mnie? I co mu pan powiedział? — zaciekawiała się.

— To, co wiem, na szczęście nie jest tego wiele — odparł z lekką złośliwością. — Ale przyznam, że niektóre pytania wydały mi się dziwne. Zapytał mnie o Fiszera.

Zaczęła się denerwować.

— I co pan na to?

Rozsiadł się wygodnie na krześle i przez chwilę przyglądał się Lei z niewzruszoną miną, jakby jej zmieszanie go bawiło.

— Że nie znam tego pana, widziałem go tylko raz i nic nie wiem, żeby pani widywała się z nim przed śmiercią męża, zapomniałem o tym — stwierdził, patrząc jej w oczy. — Zapytał mnie również o artykuł w „Niwie”, ale powiedziałem, że nie wiem, kto go napisał, nie jest podpisany.

Nie wiedziała, co może oznaczać zainteresowanie Trichonowa jej osobą.

— Uwierzył panu? — zapytała, podnosząc wzrok na Reutowicza.

Zastanowił się chwilę, na jego twarzy pojawił się półuśmiech.

— Chyba nie. Dlatego wolałem panią uprzedzić, w jakim kierunku on zmierza.

Skinęła głową.

— Rozumiem — zamyśliła się i skupiła wzrok na jego dłoni, w której trzymał filiżankę z kawą.

Miał długie, szczupłe palce i kształtne paznokcie. Nie nosił już obrączki. Nie zauważyła, czy miał ją, gdy rozmawiała z nim ostatni raz, może już od dawna jej nie nosił. Po chwili zapytała z wahaniem: — Jak pan uważa, jest coś, o czym ja powinnam zapomnieć? Może coś, co dotyczy pana?

Półuśmiech się pogłębił.

— Miło, że pani o mnie pomyślała, ale nie, nie ma takiej potrzeby.

— Nawet to, co się stało na Rycerskiej? — upewniła się.

— On już o tym wie, nie ma sensu zaprzeczać.

— Mój Boże, skąd on o tym wszystkim wie? — zapytała, nie licząc na żadną odpowiedź.

Pochyliła głowę i nerwowo poprawiła fałdy czarnej sukienki. — Ja mu nic nie powiedziałam, to znaczy powiedziałam, że panowie się posprzeczali, ale nie podałam szczegółów.

— Trudno coś przed nim ukryć — odparł. — Myślę nawet, że dzięki takim informacjom przez pewien czas brał mnie za głównego podejrzanego. Poróżniłem się z Józefem na kilka dni przed włamaniem do apteki, to mogło mu dać do myślenia. Pani też mnie podejrzewała? — zapytał ubawiony tym pomysłem. — Ja mógłbym panią podejrzewać, ale nie, wtedy przez myśl mi to nie przeszło.

— A teraz przechodzi? — zapytała zmieszana, bezwiednie bawiąc się łyżeczką od kawy.

Teraz on przyglądał się jej dłoni, naznaczonej szramą po rozcięciu butelką.

Wyczuła jego spojrzenie, więc zawstydzona cofnęła rękę.

— Nie, oczywiście, że nie — znów się uśmiechnął, ale tylko kącikami ust. Jego spojrzenie pozostało czujne, jakby jej nie dowierzał.

— A czy mogę zadać panu niedyskretne pytanie?

Uniósł minimalnie brwi.

— Sądząc ze wstępu, to będzie bardzo niedyskretne pytanie — mruknął. — Jest jakiś sposób, żeby panią powstrzymać?

Pokręciła przecząco głową.

— Trudno. Jeśli pani musi... — odparł z westchnieniem.

Od dawna chciała go o to zapytać, nie potrafiła sobie wytłumaczyć jego zachowania.

— Dlaczego pan pozwolił, żeby Józef pana uderzył? Dlaczego pan się nie bronił?

Pokręcił głową.

— Nie, pani wybaczy, o tym nie będziemy rozmawiać. To moje osobiste sprawy z Józefem.

— Rozumiem, obawia się pan, że Trichonow wszystko ze mnie wyciągnie — zgadywała.

Spróbowała z innej strony. — A za co pana wyrzucili z Towarzystwa? — wypaliła i szybko ugryzła się w język, ale było za późno.

Zapach waniliowego ciasta, które leżało przed nią na talerzyku, był ciepły, niemal uspokajający, nie łagodził jednak kłopotliwej ciszy, która teraz zapadła. Przy sąsiednim stoliku wszystko toczyło się dalej gładko i miło, słychać było szmer rozmów, ciche brzęczenie talerzy, szklanek i łyżeczek, Lei wydawało się nawet, że słyszy okruszek, który spadł gdzieś na podłogę, ale cisza między nią a Reutowiczem była jak gradowa chmura.

Bezszelestnie odstawił filiżankę.

— Strzał między oczy, gratuluję subtelności. A już myślałem, że będzie pani dziś dla mnie łaskawa — jego głos znów był zimny jak nóż. — Wyrzucenie mnie, jak pani to subtelnie ujęła, nie ma związku ze sprawą, zapewniam.

Pochyliła głowę i głosem zbliżonym do szeptu powiedziała:

— Przepraszam, nie chciałam być niedelikatna, ale wolałabym wiedzieć, czy nie ma to nic wspólnego z moim magazynem — czuła się coraz bardziej niezręcznie. Spuściła wzrok. — Tak wtedy zrozumiałam.

— Jeśli mogę sobie pozwolić na szczerość, to powiem, że pani poczynania aż tak skuteczne nie są — odpowiedział, odzyskując swój dawny ironiczny sposób bycia.

Przełknęła kęs ciasta i spróbowała się uśmiechnąć. Omal się przy tym nie zakrztusiła.

W jeden z zimnych i deszczowych dni, które pojawiają się w maju, choć wcale do niego nie pasują, Lea zgodnie z przewidywaniami Reutowicza dostała wiadomość od Trichonowa, który chciał się z nią spotkać w piwiarni przy Żurawiej.

Trichonow miał zwyczaj wyznaczać spotkania w najróżniejszych, dziwnych nieraz miejscach i trudno było odgadnąć, czym kierował się przy ich wyborze. On utrzymywał, że w ten sposób poznaje miasto od podszewki. Lea podejrzewała jednak, że główną rolę odgrywało tu specyficzne poczucie humoru Trichonowa i chęć wywołania w osobach, które padły ofiarą takiego zaproszenia, uczucia niesmaku czy konsternacji, emocjonalnego zagubienia w obcym i mało przyjaznym otoczeniu, w którym Trichonow czuł się znakomicie.

Nikt ze znajomych nie zaprosiłby jej w takie miejsce. To jednak nie było towarzyskie spotkanie i Lea wiedziała, że Trichonowowi lepiej nie odmawiać. Ubrała się starannie, ale bez żadnej kokieterii; po rozstaniu z Janem wyrafinowane stroje odłożyła do kufra. Na rozmowę z Trichonowem założyła zwykłą czarną suknię i żakiet, jakby szła ze sprawą do urzędu.

— Jak się pani miewa, madame Klonowska? — powitał ją jak dobrą znajomą. — No, niechże pani siada, napijemy się czegoś na rozgrzewkę — skinął na kelnerkę o sennym wejrzeniu i zamówił wino oraz poncz z arakiem. — Do licha, ładnie pani wygląda w czerni, ale dlaczego pani taka smutna? Nie cieszy pani mój widok?

— Raczy pan żartować — burknęła.

Spowaźniał.

— Ma pani słuszość, nie pora na żarty. Niedługo będzie rozprawa i muszę panią zmartwić. Nie udowodnimy im, że włamali się do apteki, oskarżenie dotyczy tylko oszustw. Wiem, że to pani nie satysfakcjonuje, ale mam nadzieję, że mimo tego jest pani gotowa potwierdzić swoje zeznania w sądzie. — Patrzył na nią poważnie. Oczy miał wyblakłe, jakby wypalone, coraz bardziej zmęczone poszukiwaniem różnych prawd.

— Tak, naturalnie — zgodziła się obojętnym tonem. — Dlaczego miałabym się wycofać?

— Zdaje sobie pani sprawę, że obrońca może starać się panią zdyskredytować jako świadka? — zapytał przyciszonym głosem. — Może próbować podważyć pani wiarygodność?

— Nie mam nic do ukrycia — oświadczyła spokojnie. Piła poncz małymi łykami i czuła, jak ogarnia ją przyjemne ciepło. Niedługo to się skończy i Trichonow wreszcie da mi spokój, pomyślała.

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Wszyscy tak mówią, i ci, którzy mają niewygodne sekrety, i ci, którzy ich nie mają.

— Ja nie mam — zapewniała z miną osoby absolutnie niewinnej, czystej jak łąza.

Trichonow skrzywił się na to naiwne kłamstwo.

— Droga pani, ja jestem naprawdę wyrozumiały, mnie nie musi pani przekonywać, ale obrońca może zapytać na przykład o pani ojca.

Wzruszyła ramionami.

— Co ma do tego mój ojciec? Nie widziałam go od dwudziestu lat, myślę nawet, że dawno nie żyje.

— A pan Fiszer?

Rozmowa coraz mniej jej się podobała, więc spojrzała zaniepokojona na Trichonowa.

— Wyjechał do Wiednia. A co się stało?

Jego twarz była zmęczona, niemal wyprana z emocji, jak i on sam.

— Nic, absolutnie nic, ale po śmierci męża, a może i wcześniej była pani z nim blisko?

Aż nią zatrzęsło w środku.

— Myślałam, że policja takimi sprawami się nie interesuje — zauważyła cierpko.

— Wyprowadzę panią z błędu — odparł, pijąc czerwone wino, które najwyraźniej nie przypadło mu do gustu. — Policja lubi o wszystkim wiedzieć. A mówiąc poważnie, nie chcę, żeby była pani zaskoczona w sądzie, mogą panią gnębić takimi pytaniami. — Zamilkł na chwilę i popatrzył na nią tak, jakby rzeczywiście wszystko o niej wiedział. — Chyba że ma pani coś jeszcze do dodania?

— Nie. Powiedziałam wszystko. I cieszę się, że to się wreszcie skończy — przyznała niemal z wdzięcznością. Gdyby nie noc w areszcie, byłaby mu naprawdę wdzięczna za to, że doprowadził do oskarżenia fałszerzy.

Zaproponował jej papierosa, nie odmówiła. Rozparł się na krześle i sam zapalił.

— To może być dopiero początek — dodał. — Nie zastanawiała się pani, kto za tym stoi? Nie znalazła pani notesu męża?

Pokręciła głową.

— Nie, i nie wciągnie mnie pan już w żadną sprawę.

— Nawet bym nie próbował tego pani proponować. Jednak obraca się pani w interesującym środowisku, dużo może pani usłyszeć, a ja lubię z panią rozmawiać, na przykład o panu Reutowiczu. Pod pewnym względem on jest interesujący, nie uważa pani? — popatrzył na nią zza chmury papierosowego dymu.

— Myli się pan, on mnie nie interesuje.

Pokiwał głową.

— Powiedzmy. Ale podejrzewała go pani na początku.

— Nie — zaprzeczyła gwałtownie.

Znów wysilił się na uśmiech.

— Jakże nie! Moja droga, niech pani nie zaprzecza, dobrze znam się na kobietach, wiem, że najpierw działają pod wpływem emocji, a potem rozumu. A pani podejrzewała, że Reutowicz ma coś wspólnego z wytwórnią na Pradze. Dlatego pojechała pani tam sama, chciała pani to sprawdzić, a to było bardzo niemądre.

Spojrzała mu w oczy, przyglądała się jego brzydkiej twarzy inteligenta, który zszedł na złą drogę, i zastanawiała się, co on jeszcze wie.

— Może ma pan trochę racji — przyznała, próbując zaciągnąć się dymem. — Mąż zawsze wszystko z nim omawiał, a tym razem z niczym się nie zdradził, nie mówił mu o swoich badaniach, od jakiegoś czasu w ogóle o tym nie rozmawiali. To wydawało mi się dziwne, a że pan Reutowicz ma w pobliżu dworca skład apteczny, dało mi to do myślenia.

— Widzi pani, ja wiem, co pani chodziło po głowie. Wiem, kiedy takie kobiety jak pani zachowują się nierozsądnie — stwierdził z przekonaniem i dopił wino. — A swoją drogą kazałem go sprawdzić. Nic nie wskazuje na to, żeby miał z tą sprawą coś wspólnego, choć nie wykluczam, że wie więcej, niż przyznaje. A jeśli to nie on, to może ktoś inny, ktoś, kto ma związek z apteką. Nie sądzi pani?

Pokręciła głową.

— Nie wiem. Już nic nie wiem — odparła zaniepokojona, że znowu zacznie ją wypytywać, a ona nie chciała o tym rozmawiać. Nie chciała o tym nawet myśleć, nie mieściło się jej w głowie, żeby to mógł być ktoś z apteki. To wykluczone, może ktoś z dostawców, w każdym razie nikt, kogo znała.

— Niech się pani nad tym zastanowi — popatrzył na nią niemal ze współczuciem. — Interesuje mnie na przykład, co pani wie o tym młodym pracowniku, Tymonie Cichockim.

— O Tymonie? — zdziwiła się. — Jestem pewna, że on nie ma z tym nic wspólnego — stwierdziła z przekonaniem równym wierze w dobro i prawdę. I żeby go przekonać o słuszności swoich sądów, opowiedziała o Tymonie, jego szlachetnej naturze, dobrym charakterze, pilności i skrupulatności, przemilczając niektóre mniej ciekawe rysy jego charakteru.

Trichonowowi nie do końca o to chodziło, miał pewne zastrzeżenia. Spojrzał na nią wzrokiem ciężkim od nadmiaru obowiązków służbowych.

— Madame Klonowska, proszę aż tak nie rozbudzać swojej wyobraźni — powiedział i zadał kilka celnych pytań, które wywołały jej zmieszanie i na które odpowiedziała ostrożnie i z namysłem. Zapytał o znajomych Tymona, jego potknięcia i słabości, żeby, jak się wyraził, uzyskać pełnokrwisty

obraz, równo przyrumieniony z obu stron.

Z Trichonowem rozmowa nie była łatwa, miał doskonałą pamięć, zapamiętywał każde słowo, to wypowiedziane i niewypowiedziane, schowane do użytku wewnętrznego, i potrafił z tego korzystać. Był dociekliwy i wnikliwy jak promienie Roentgena. Nawet z całkiem niewinnych słów potrafił, stosownie do potrzeb, stworzyć szeroko zakrojoną teorię spiskową. Dlatego Lea starała się mówić jak najmniej, ale Trichonow jakby czytał w jej myślach i wyłuskiwał z nich to, co chciał.

Po rozmowie z nim czuła się zmęczona, jak przepuszczona przez prasę, wyciśnięta ze wszystkich wspomnień i sekretów. Bała się też zbliżającej się rozprawy, nie chciała, żeby ktoś ją wypytywał o Jana, a tym bardziej o ojca. To absurd, co to ma do rzeczy, dawno o nich zapomniała. Obawiała się dociekliwych pytań, złych spojrzeń, bała się, że coś popłacze, że zapomni, o czym miała zapomnieć.

— Wystarczy, że powiesz tak, jak było — uspokajała ją Marianna. — Nie masz się czym przejmować, nie powinnaś mieć żadnych skrupułów, pamiętaj, że to oszuści i mogli mieć coś wspólnego z napadem na aptekę — przekonywała ją i dodawała wiary w wymiar sprawiedliwości.

Jednak Lea na samą myśl o tym, że ma zeznawać w sądzie, dostawała gęziej skórki. Przykre wspomnienia o włamaniu do apteki i wyprawie do wytwórni Paleta nadal ją niepokoiły i czasami nie pozwalały zasnąć. Wieczorami odmawiała litanie loretańską, piła napar z macierzanki i korzenia kozłka albo męczennicy pańskiej, ale wtedy wspomnienia przenikały do jej snów i były jeszcze bardziej niepokojące niż za dnia.

28 maja (15 maja) 1903 roku w Sądzie Okręgowym przy Miodowej odbyła się rozprawa przeciwko fałszerzom z wytwórni Paleta na Pradze. Do sądu Lea poszła z kuzynem, który miał ją wspierać i podtrzymywać na duchu. Dotarli na miejsce tuż przed wyznaczoną godziną. Sala była przepełniona i duszna. Zwykli gapie mniej lub bardziej zainteresowani sprawą, kolekcjonerzy cudzych przeżyć i dziennikarze przeróżnej maści tłoczyli się tak gęsto, że trudno było precyzyjnie się do pierwszych rzędów krzeseł zarezerwowanych dla świadków, których ściągnięto nawet z Łodzi i z Lublina.

Reutowicz i Tymon, którzy również mieli zeznawać jako świadkowie oskarżenia, przyszli wcześniej i zajęli miejsce dla Lei, uznając, że powinni trzymać się razem. Lea usiadła między nimi a kuzynem, wpatrywała się w przykurzoną podłogę i nerwowo skubała chusteczkę.

Rozpoczęła się rozprawa. Sędzia, mały, łysawy człowiek o zmęczonym wyglądzie i — jak mówili niektórzy — o podobnym poczuciu moralności, kilkakrotnie uciszał rozgadany tłum. Woźny wyprowadzał co bardziej hałasujących, którzy usiłowali zagłuszyć świadków, gwizdali i głośno komentowali ich słowa. Lea denerwowała się coraz bardziej.

Tak jak podejrzewał Trichonow, wytwórnia była tylko ogniwem większego przedsięwzięcia prowadzonego przez szajkę fałszerzy i przemytników. Sędzia nie miał wątpliwości co do winy zatrzymanych osób, a kiedy zgłosili się poszkodowani, którzy kupili podrabiane towary, sprawa nabrała rozpędu i świadectwo Lei nie miało już kluczowego znaczenia. Mimo tego czekała w napięciu, wydawało się jej, że upłynęły godziny, zanim wezwano ją do złożenia zeznań. Czuła się niepewna, gardło miała ściśnięte, mówiła cicho i niewyraźnie. Widać było, jak bardzo jest przejęta i ile wysiłku kosztuje ją opowiadanie o zajściach w aptece i w wytwórni. Na szczęście obrońca nie próbował wyciągać jej sekretów na światło dzienne. Kiedy wróciła na miejsce, nogi miała jak z waty i nadal trzęsła się ze zdenerwowania. Leon szepnął jej do ucha:

— Już masz to za sobą. Wstydu nie było.

Reutowicz, który teraz usłyszał o jej wyprawie na Pragę, rzucił jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

— Chyba pani rozum postradała — mruknął.

Wzruszyła ramionami i zaczęła przysłuchiwać się kolejnym świadkom.

Zeznania Tymona, który wyglądał na przestraszonego i niewiele miał do powiedzenia, przeszły bez większego echa, za to Reutowicz został niemal zmieszany z błotem. Obrońca, wstrętny typ o złudnym wyglądzie grzecznego młodzieńca, dowodził, że Reutowicz, który został wyrzucony

z Towarzystwa Aptekarskiego, jest co najmniej podejrzany i nie zasługuje na zaufanie, a jego opowieści nie są warte funta kłaków. Reutowicz nie puścił tego płazem, dość dosadnie odpowiedział mu, co o tym myśli i co adwokat ma ze sobą zrobić. Zaraz jednak się zreflektował i przeprosił za grube słowa, ale i tak musiał zapłacić karę za obrazę sądu.

Lea czuła się mocno zażenowana tym zajściem. Udawała, że nie słyszy. Leon wyglądał jednak na ubawionego.

— Robi się ciekawie — szepnął jej do ucha, a gdy Reutowicz wrócił na miejsce, powiedział do niego: — Trochę będzie to pana kosztowało, ale celna uwaga. Zapewne zacytują pana w gazetach.

Reutowicz machnął tylko ręką, jakby mało go to obeszło. Usiadł na miejscu i z ponurą miną przysłuchiwał się rozprawie.

— Niech się pan nie martwi — szepnęła Lea, siląc się na przyjacielski ton.

Gdy wreszcie ogłoszono wyrok, odetchnęła z ulgą. Wprawdzie była rozczarowana, że nie udało się trafić na ślad sprawców włamania do apteki i skupiono się tylko na ludziach, którzy działali w wytwórni i jednym z małych składów chemicznych, jednak to i tak był sukces, a dla niej oznaczało to zakończenie sprawy, która ciągnęła się już niemal od roku i radykalnie zmieniła jej zakotwiczony jeszcze w Korytnicy ogląd rzeczywistości. Ona nie miała wątpliwości, że to ludzie z wytwórni byli winni śmierci Józefa. Niezależnie od tego, czy zaatakowali go bezpośrednio, czy był to wypadek, to oni włamali się do apteki. Tego była pewna, a takie sprawy zostają w pamięci na zawsze. Przez nich musiała wyprowadzić się z Piwnej, zmienić swoje życie, złość ją brała, że nie dostali surowszych kar, ale nic więcej nie mogła zrobić. Szybko opuściła salę sądową, przebijając się z Leonem do wyjścia. Na korytarzu, zatłoczonym i gwarnym, niemal krzyknęła mu do ucha:

— Boże, co to za okropne miejsce, chodźmy stąd!

— Chodźmy uczcić, że masz to już za sobą. Należy ci się coś mocniejszego, jeszcze się trzęsiesz z emocji — zaproponował Leon i obejrzał się na Reutowicza i Tymona, którzy szli tuż za nimi. — Panów też zapraszam. Wincent za ten numer popisowy zasłużył na wódkę. Chodźmy się napić.

Reutowicz zmarszczył czoło i gwałtownie zaprotestował.

— Nie, to ja państwa zapraszam. Proszę mi pozwolić zatrzeć złe wrażenie — powiedział bardzo poważnie.

Leon roześmiał się szczerze.

— Innym razem, panie Reutowicz. Na pewno będzie ku temu jeszcze niejedna okazja — odparł nieco dwuznacznie. — Dziś proszę nie odbierać mi tej przyjemności.

Zaprosił ich do niedawno otwartego hotelu Bristol przy Krakowskim Przedmieściu, nowoczesnego jak przystało na wiek XX, od suteryn, gdzie zainstalowano elektrownię, aż do kryształowych wind unoszących hotelowych gości na wysokość kilku pięter, ponoć bardziej luksusowych niż niebo. Kawiarnia mieściła się na pierwszym piętrze, pachniała świeżością nowych murów, mebli, dywanów i elektrycznego oświetlenia. Serwowano w niej alkohole różnych marek i z różnych stron świata, o nazwach wykwintnych i kuszących już w samym swym brzmieniu, od win francuskich poczynając, a kończąc na tradycyjnych wódkach, śliwowicach i koniakach.

O tej porze nie było jeszcze tłoczno, kelner zaprowadził ich do stolika przykrytego nieskalanie białym obrusem z adamaszku. Podał imponującą kartę win oraz innych trunków i zakąsek, po czym oddalił się bezszelestnie i czekał na zamówienie.

Lea miała wrażenie, że wkroczyła w inny świat, jasny i niemal świąteczny, daleki od fałszerstw, pomówień i pokrętnych spraw wytwórni na Pradze. Po kilku przytłaczających godzinach spędzonych w sądzie napięcie zaczęło z niej ustępować. Koniak podany w pękatych kieliszkach zadziałał, wystarczyło jej kilka łyków, żeby poczuła się o wiele weselej i pewniej, jakby kamień spadł jej z serca, a cały strach wyparował z niej wraz z zimnym potem.

Rozmawiali niemal o wszystkim, tylko nie o rozprawie. Mówili o sytuacji w Serbii, o wakacjach, finansach, o konfiturach ciotki Anastazji, o nalewkach wuja. Tymon wspominał swoją praktykę u Józefa, pił przy tym za dwóch i coraz szybciej odpływał w nieznane, zakłopotany poprawiał okulary na nosie, jakby to miało poprawić mu utraconą ostrość widzenia. Tylko Reutowicz nie słuchał ich, wyglądał, jakby

był duchem nieobecny, zamyślił się, popatrzył gdzieś przed siebie, w końcu zagadnął Leę o jej wyprawę do wytwórni Paleta.

— Nie mogę uwierzyć, że pani tam pojechała, i to sama. Niepotrzebnie się pani narażała. Dlaczego nie przyszła pani z tym do mnie? Gdybym wiedział, nigdy bym na to nie pozwolił — zapewnił rozczarowany jej brakiem rozsądku i zaufania.

Elektryczne światło rozjaśniało jego twarz, uwidaczniając kilka zmarszczek, który rysowały się koło oczu. W tym świetle wyglądał inaczej od tego znanego jej Reutowicza, miał jaśniejsze, prawie orzechowe oczy, i nie odnajdowała w nich ani śladu niechęci, ani zimnej obojętności, którymi zwykle ją raczył. Przeciwnie, światło odbijające się w jego oczach było ciepłe i miłe, jakby zaprzeczało wszystkim ostrym słowom, których jej nie żałował, i wszystkim gestom, którymi się posługiwał, żeby stworzyć wokół siebie atmosferę nieprzystępności. Być może w tym momencie dnia, a w zasadzie już wieczoru, stracił kontrolę nad swoim wizerunkiem pesymisty i malkontenta i był tylko sobą, w każdym razie Lea uznała, że wygląda dość sympatycznie. Jej kobieca intuicja podpowiadała wprawdzie, że może być to złudne wrażenie, ulotny efekt wypitego na pusty żołądek alkoholu, i postanowiła zachować wobec niego umiarkowaną rezerwę.

— Gdyby pan chciał, toby pan wiedział, ale był pan wtedy ogromnie zajęty — przypomniała mu z lekkim wyrzutem, zaraz jednak dodała łagodząco: — I bez urazy, panie Reutowicz, łączą nas wspólne interesy, nie chcę znowu się z panem sprzeczać — uśmiechnęła się do niego niemal łobuzersko, po chłopięcemu, puszczając w niepamięć nieporozumienia, i wyciągnęła rękę, po męsku.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, jakby sprawdzał, czy mówi szczerze.

— Miło to słyszeć — odparł w końcu i uściśnął jej dłoń, delikatnie, żeby jej nie zgnieść. — Zabawna pani jest — stwierdził i kiedy to mówił, błysk rozbawienia pojawił się na jego twarzy.

Potem powiedział, że wybiera się na wystawę farmaceutyczną do Petersburga, chce pokazać kilka produktów laboratorium aptecznego, nawiązać handlowe kontakty.

— I co pan chce wystawić? Nic pan wcześniej nie mówił — zainteresowała się, zapominając, że raczej ze sobą nie rozmawiali. — Elik sir na porost włosów czy coś nowego?

— Całkiem nowe preparaty, pani Leokadio, pracowałem nad nimi jeszcze razem z Józefem.

I znów wrócili do spraw apteki i składów chemicznych. Reutowicz był bardzo rozmowny, opowiedział o swoich wyrobach, o możliwości rozwoju wytwórni, o niestabilnym rynku. Narzekał, że przedsiębiorcy nie potrafią się zorganizować, a konkurencja nie śpi, Rosjanie czekają tylko na to, żeby wejść na nasz rynek, dziś to jest Południowo-Rosyjskie Towarzystwo Handlu Towarami Aptecznymi, jutro jakieś inne. Niemcy też zalewają nas tanimi produktami, łatwiej teraz coś sprzedać za granicą niż w Królestwie. Ale Rosja to duży rynek, jeśli oni pchają się do nas, to my możemy spróbować sprzedawać u nich. Rosja i Rosjanie ciągle przewijali się w jego wywodach. Leon podchwycił temat, wypytywał go o możliwości wywozu towarów do Rosji. Tylko Tymon, mimo że dużo pił, wyglądał na przygnębionego.

— Co się dzieje, panie Tymonie? — zapytała, nachylając się do niego. — Nie czuje pan ulgi, że to się skończyło i Trichonow da nam wreszcie spokój?

— Niby tak — przytaknął smętnie i mało precyzyjnym ruchem odstawił na stół swój kieliszek. — Nie mogę zapomnieć o panu prowizorze, znaczy się o panu Klonowskim. Nie mogę zapomnieć tamtego wieczoru — powiedział, a jego słowa wpadły bez żadnego echa w mieszaninę pogodnych dźwięków, rozmów gości, brzęku kieliszków, spodeczeków i filiżanek do kawy.

I jej zrobiło się niewesoło, przysunęła się do Tymona, żeby swobodnie z nim porozmawiać.

— Pamiętam wszystko bardzo dokładnie, każdy szczegół tamtego dnia, nawet zapach kamfory — przyznała, zatapiając wzrok gdzieś nad jego ramieniem, między lekko wijącymi się włosami. — Jakby to było wczoraj, a to już niemal rok minął. Czasami myślę, że może gdybym zeszła wcześniej, Józefowi nic złego by się nie stało, ale potem uświadamiam sobie, że i ja mogłabym dostać po głowie. Nikt tego nie wie, co by się stało, gdyby... Pan też nie może się za nic winić — pocieszała go, czując w nim jakiś przyczajony niepokój. — Musimy zapomnieć — dodała.

Lubiła Tymona; był trochę zagubiony w świecie, nieśmiały, ale zdolny i pracowity, a wspólnie przeżyte ciężkie chwile stwarzały między nimi nic porozumienia, pewnego rodzaju przymierze. Może

dlatego nie zwracała uwagi na jego niedociągnięcia i skłonności do picia i wciąż traktowała jak chłopca. Przyglądała mu się spod przymkniętych powiek. Nadal wyglądał jak uczeń, szczupły, niepewny siebie, jakby stale obciążony poczuciem winy, zagubiony za grubymi szklami swoich okularów.

Spojrzała na Leona. On był ożywiony, tryskał dobrym humorem, w dalszym ciągu rozmawiał z Reutowiczem o interesach, mówił o nowym kotle do produkcji mydła, o łożu i glicerynie. W pewnym momencie odwrócił ku niej głowę.

— Lea, ciebie to nie nudzi? Mieliśmy zabawić cię rozmową, a mówimy w kółko o interesach — zreflektował się.

Roześmiała się.

— W końcu dowiem się, o czym rozmawiają mężczyźni, kiedy wydaje im się, że są sami.

— Nie łudź się, gdybyśmy byli sami, to rozmawialibyśmy o czymś zupełnie innym — odparł i zamówił kolejne trunki.

W dużo lepszych nastrojach wyszli z kawiarni. Wsadzili Tymona do dorożki, Leon pożegnał się i na odchodnym szepnął do Reutowicza, ale tak, że Lea wszystko słyszała:

— Wincent, powiem panu w sekrecie, jeśli chce pan zaskarbić sobie sympatię mojej kuzynki, niech pan nie będzie taki poważny, zgoli tę dekadenczką brodę i nie mówi do niej „pani Leokadio”. I niech pan ją grzecznie odwiezie do domu, zdaje się, że ma lekki zawrót głowy — powiedział i uściśnął mu dłoń.

Reutowicz obiecał, że wszystko zrobi zgodnie z poleceniem Leona.

— Ach ten Leon, zawsze potrafi mnie rozbawić — zaśmiała się Lea, wsiadając do dorożki. — Niby poważny człowiek, a ja ciągle widzę w nim chłopaka, który w dzieciństwie wymyślał najlepsze zabawy — dodała.

Przejechali parę chwil w milczeniu, Lea pograżyła się w swoich wspomnieniach, tych dobrych. W końcu spojrzała na Reutowicza i poczuła się nieswojo; przysł kawiarniany czar, jego oczy już się do niej nie uśmiechały. Był poważny, jakby dopadły go jakieś ponure myśli.

— Pan się na mnie jeszcze gniewa za tę aferę w Towarzystwie?

— Dajmy temu spokój — odparł wymijająco. — Cieszymy się, że rozprawa już za nami.

— No tak, ale nie wyjaśniono, kto włamał się do apteki — przyznała z westchnieniem, mając w pamięci rozmowę z Tymonem. — Myślę, że to nie był przypadek, że to ktoś, kto zna aptekę, wiedział o badaniach Józefa, o jego notesie. A pan jak uważa, kto to mógł być?

— Nie wiem. Naprawdę nie chcę dziś o tym myśleć. To był miły wieczór i chciałbym, żeby tak zostało — powiedział takim tonem, jakby był myślami gdzieś daleko, może już w Petersburgu.

— Niech tak zostanie — zgodziła się i odwróciła głowę do okna, żeby obserwować ulice oświetlone gazowymi latarniami.

Jechali Krakowskim Przedmieściem, o tej porze dość pustym. Zamknięto już magazyny, a uliczni sprzedawcy, czyściciele butów, muzykanci i żebracy skończyli swoją służbę, za to z kawiarni i restauracji sączył się gwar, muzyka i światło, czasem niemal zielone, czasem białe lub żółte, pełne półtonów i cieni jak przygasła tęcza. Przejeżdżali obok nielicznych zapóźnionych przechodniów, wyłaniających się nagle z mroku i na powrót w nim znikających, mijali dorożki oświetlone za pomocą lamp naftowych, chybotających się w takt końskich kroków. To może być sen, pomyślała Lea, wszystko takie nierzeczywiste, jakby niedokończone. Ale przyjemny sen.

W głowie lekko jej szumiało, świat wydawał się lepszy, czuła się trochę jak na karuzeli i może nawet na chwilę oparła się o ramię Reutowicza, może nawet się zdrzemnęła, potem tego nie pamiętała. Pamiętała jednak, że pachniał ziołami i jedną z tych egzotycznych żywic, której nie umiała rozpoznać. Szybko przywołała się do porządku.

— Przepraszam, za dużo dziś alkoholu i emocji. To był dla mnie wyczerpujący dzień. Przepraszam — powiedziała zawstydzona, poprawiając kapelusza, który przekrzywił się jej na głowie.

— Nic nie szkodzi, Lea — odpowiedział poważnie. — Mogę do pani mówić Lea czy raczej pani Klonowska?

Słyszała go jak przez mgłę i nie wiedziała, czy jej się to przypadkiem nie śni.

— Właściwie powinien pan sam odpowiedzieć sobie na to pytanie — odparła tajemniczo.

Wysiedli na Rynku, miała stąd kilka kroków do domu, ale odprowadził ją do drzwi.

— Dobranoc, Lea, i niech pani nie robi więcej głupstw — powiedział, chociaż może się przesłyszała. Rozpoznała jednak zapach, który po sobie zostawił, pachniał oliwanum albo styraksem, ale raczej oliwanum. I to był przyjemny zapach.

Zapach i dobry nastrój szybko wywietrzały, rano pozostała jej ciężkość głowy i niemiłe przeświadczenie, że to ona była pośrednią przyczyną afery w Towarzystwie i że powinna coś z tym zrobić. Ciotka Anastazja na pewno by tak tego nie zostawiła, powiedziała sobie i uznała, że nie może zostawić tej sprawy w zawieszeniu. Czuła się winna, a uczciwość nakazywała jak najszybciej wyjaśnić nieporozumienie. Reutowicz, mimo swojego paskudnego charakteru, nie zasługiwał na obmowę i szykany. Nie mogła siedzieć z złożonymi rękami i czekać, aż sprawa sama się wyjaśni. Nie zamierzała jednak o nic pytać Reutowicza, broń Boże, on by się zaraz uniósł honorem. Sama wiedziała, co powinna zrobić. Pójdzie i powie, że Reutowicz jej nie okradł ani nie oszukał, a ona otworzyła sklep, bo miała taką fantazję. I nikomu nic do tego.

Kiedy wszystkie uboczne skutki kolacji w Bristolu minęły, założyła odświętną liliową suknię i mały zgrabny kapelusz. Chciała wyglądać elegancko i poważnie, a ta suknia naprawdę robiła wrażenie, kosztowała niemal majątek. W tym stroju koło dwunastej w południe wzięła na Rynku dorożkę i pojechała do apteki na Nowy Świat, żeby porozmawiać z prezesem Towarzystwa, panem Jurkowskim. Był to starszy jegomość z wydatnym brzuchem i z wąsami à la Franciszek Józef. Wydawał się człowiekiem surowym, godnym zaufania i szacunku, który nie ma nic do ukrycia, ale podejrzewa o to innych. Przyjął ją w biurze przeszklonym jak akwarium, z którego mógł obserwować swoich pracowników. Lea była zdenerwowana; wchodząc do środka, poczuła się kimś nic nieznaczącym, jak dziewczynka, którą wuj Kacper wyganiał z pokoju, gdy rozmawiał z gośćmi. Teraz jednak nie zamierzała się wycofać. Odetchnęła głęboko i powiedziała, że przychodzi w sprawie Reutowicza, który został niesłusznie oczerniony i że to jest grube nieporozumienie. Nigdy by nie przypuszczała, że tak szacowne towarzystwo zżerane jest przez plotki i pomówienia i na ich podstawie, nie sprawdzając tych podłych głosów, oskarża się jej współnika o nieuczciwość; intrygant zaś, który rozpowiada takie wierutne kłamstwa, jest człowiekiem bez honoru. Wszystkie te słowa wyrzuciła z siebie niemal jednym ciągiem, a każde zdanie wypowiadała nieco głośniejszym i dobitniejszym głosem.

Pan Jurkowski wysłuchał jej z niepokojem w jasnych oczach o czujnym spojrzeniu, kilka razy chrząknął i próbował coś wtrącić. Lea nie dała sobie jednak przerwać, więc tylko na nią patrzył, coraz groźniej marszcząc czoło. Dopiero gdy skończyła, przemówił lekko chropawym głosem.

— Pani Klonowska, obawiam się, że pani się myli. Pani współnik nie został zawieszony na podstawie oszczerczych pomówień, jak pani przypuszcza, ale za to, że poturbował jednego z członków Towarzystwa, człowieka godnego zaufania, z którym był od dawna w sporze — powiedział to z lekkim naciskiem, jakby był już zirytowany powtarzaniem tych prawd.

Lea zaniemówiła i próbowała zebrać myśli. Czyżby miała nieprawdziwe informacje? Niemożliwe, Reutowicz sam wspominał, że został pomówiony, widocznie nie była to tylko wymiana zdań, pomyślała.

— Mogę panu powiedzieć, że wiem, za co ten pan został poturbowany i że mu się należało — oświadczyła stanowczo. — Mam nadzieję, że podejmie pan odpowiednie kroki i wyjaśni sprawę.

Jurkowski pokiwał siwą głową, zapewnił, że sprawiedliwości niewątpliwie stanie się zadość, osobiście tego dopilnuje, winni zostaną ukarani, niewinni zaś oczyszczeni. Ona nie powinna tak bardzo się tym przejmować, bo w zasadzie jest to wewnętrzna sprawa Towarzystwa, a on dysponuje dostateczną wiedzą, żeby ocenić postępowanie Reutowicza.

Wyszła stamtąd z wypiekami na twarzy, a nawet na koniuszkach uszu. Pomyślała, że prezes Jurkowski uznał ją za histeryczkę, której jasność rozumowania uzależniona jest od czyszczeń miesięcznych i innych kobiecych przypadłości, może godną współczucia, ale niewiarygodną.

Jej interwencja niewiele dała, wprawdzie wycofano skargę na Reutowicza i przywrócono mu prawo członkostwa, jednak stracił dobre notowania w aptekarskim środowisku i nie został wybrany do zarządu jednej z warszawskich spółek chemicznych, o co ubiegał się od roku. Miejsce to sprzątnął mu sprzed nosa człowiek, który go oczernił, prywatnie zięć pana Jurkowskiego. Tego Lea nie mogła już naprawić. Co za podłość, co za niesprawiedliwość, myślała, zastanawiając się nad tym, czy powodem sporu między panami nie było właśnie stanowisko w spółce.

W pierwszych dniach czerwca, kiedy tylko wiatr przewiał woń kadzidła i zwiędłych kwiatów sypanych podczas procesji Bożego Ciała, zrobiło się upalnie, jakby to był już lipiec. W południe niemal wszystko zamierało, zielsko wyrosłe w szczelinach murów schło z gorąca. Koło kościoła Najświętszej Marii Panny na Nowym Mieście zakwitły stare lipy, powietrze wypełnił słodki zapach i brzęczenie pszczoł. Ludzie zakładali przewiewne stroje, kryli się za parasolkami i kapeluszami, pojawili się uliczni sprzedawcy lodów, lemoniady i wody sodowej. W magazynie Lea nie miała dużo pracy, wśród klienteli wzięciem cieszyły się środki na karaluchy, lepy na muchy i proszek perski na pchły oraz ocet ziołowy i mięta na letnie gorączki, depresję i przepicie. To nie były ekscytujące sprawy; ostatnio, zdaniem Lei, w ogóle nie działo się nic ekscytującego. Warszawa szykowała się do kanikuły. Helena i Marianna wyjechały na letnisko, ale dla Lei letnisko straciło urok; starała się uporządkować sprawy magazynu.

Przysłany przez Reutowicza pan Andrzej Studnicki był w miarę przystojnym blondynem o wyglądzie dojrzałego cherubina, miał gładko wygoloną twarz, okrągłe policzki i jasne wijące się włosy. Wydawał się spokojny, miły i kompetentny, budził zaufanie, choć w jego niebieskich oczach czasami pojawiał się cień melancholijnej zadumy, a wtedy mógł uchodzić za jednego z młodych buntowników o skrajnych poglądach, antyklerykalnych albo nawet mocno lewicowych. Trudno było to określić z samego wyglądu, zwłaszcza że pan Andrzej na temat swoich poglądów się nie wypowiadał. Agata zerkała na niego z ciekawością, mówiła, że jest na co popatrzeć, tu i ówdzie jest na czym wzrok zawiesić. Pan Andrzej miał jednak zasadniczą wadę — na serdecznym palcu nosił złotą obrączkę, zdaniem Agaty nie był więc wiele wart. Przychodził dwa razy w tygodniu i starał się zaprowadzić porządek w księgach rachunkowych i spirytusowych. Początkowo wydawał się wstrząśnięty stanem tych ksiąg, jednak szybko oswoił się z nonszalanckim podejściem Lei do spraw tak nudnych jak buchalteria. Lea miała natomiast żal do siebie, że na niczym się nie zna i niczego nie potrafi dobrze zrobić. Prowadzenie magazynu, które początkowo wydawało się jej zajęciem rozsądnym, pozwalającym na wykorzystanie jej umiejętności zdobytych w aptece, w tych okolicznościach mogła uznać za pomyłkę.

Coraz częściej zaglądała do kawiarni przy Foksal, która od jakiegoś czasu zastępowała jej dawne ucieczki pod jabłoń. Zaglądała tam wieczorami, gdy lekki gwar rozmów matowiał, zatapiał się w tytoniowym dymie i mieszał z zapachem cienkiej kawy i wina. Lea i tak ostatnio wolała absynt, po nim jej myśli były spokojniejsze, mogła je rozebrać na cząstki, obejrzeć jak pod mikroskopem. Siadywała przy jednym ze stolików przy oknie, zamawiała kawę i kieliszek absyntu i rozmyślała. To tam spotkała Irenę. Pierwszy raz było to na przedwiośniu, miesiąc czy półtora po rozstaniu z Janem; Lea szła niespiesznie ulicą i wpatrywała się w kawiarniane okno, jakby się spodziewała, że wypatrzy tam Jana. Irena nadeszła z przeciwka. Zobaczyła Leę i razem weszły do kawiarni.

— Lea, co słyhać? Wiem, rozstała się pani z Janem, to przykre. Domyślam się, co pani musi przeżywać. Doskonale znam ten stan, może mi pani wierzyć. Ale wydaje mi się, że on jest z tych, którzy nie potrafią usiedzieć na miejscu — powiedziała, otrząsając z siebie resztki śniegu, który obsypał jej futrzany kołnierz.

— A pani, jak pani sobie radzi?

Tak zaczęły rozmawiać o tym, co dla nich ważne, dokąd dążą, co je martwi. Spotykały się od czasu do czasu, zazwyczaj co miesiąc. Wypiły kawę, kieliszek likieru i dzieliły się swoimi przemyśleniami o życiowych komplikacjach, wypracowując wspólny punkt widzenia. Lea zwierzała się jej ze swoich wątpliwości dotyczących prowadzenia magazynu, a Irena przekonywała ją, że nie powinna

rezygnować.

— W żadnym razie nie może się pani poddawać, nie po to pani zaczynała, żeby tak szybko się wycofać. Teraz nie jest pani łatwo, ale może być gorzej, gdy pani sobie powie, że wysiłek poszedł na marne.

Mówiła to jako osoba, która niejedno przeżyła, i nie były to historie ze szczęśliwym zakończeniem. Nigdy nie wierzyła w głupie uśmiechy losu, wierzyła natomiast w hart ducha, wolną i silną wolę, którą można pokonać wiele, no i w emancypację. Jej poglądy nie były skrajne; manifestowały się głównie w czytaniu codziennej prasy (niekobiecej), paleniu papierosów i walce o dobre imię, utracone jakoby na skutek skandalu, czyli rozwodu. Zarabiała jako nauczycielka francuskiego i muzyki, której można płacić mniej z powodu jej podejrzanego sytuacji. Była osobą zaprawioną w walce z uprzedzeniami, podwójną moralnością i przestarzałymi zasadami. Gorąco namawiała Leę, żeby nie rezygnowała ze swoich ambicji, z trudem zdobytej samodzielności. Dodawała otuchy, gdy Lea miała wszystkiego dosyć.

Irena była kobietą silną i mądrą, nosiła się prawie po męsku, strój miała prosty, bez ozdób, koronek, wstążek, włosy zaczesywała gładko i z tyłu upinała z nich zupełnie niemodny koszyk. Była w niej jakaś wyrafinowana surowość, wydawała się osobą tajemniczą i niebezpieczną, ale nie do przesady. Zwracała na siebie uwagę mężczyzn, kiedy wchodziła do kawiarni, zawieszali na niej wzrok i obserwowali jej kroki, pewne i energiczne, mierzyli kształty, a w końcu spoglądali na jej poważną twarz, w której nie znajdowali cienia zachęty do bliższej znajomości.

O mężczyznach nie rozmawiała, nie było o kim. Uniknęły wspomnień, dopiero po ukazaniu się nieszczęsnego tekstu w „Niwie” i kłótni z Reutowiczem Lea zapytała, czy Irena kontaktowała się z Janem. Chciała przekazać mu kilka słów, tyle tylko, że żałuje, iż się rozstali w gniewie, i że niepotrzebnie napisał ten artykuł, bo to przyniosło przykre konsekwencje (głównie dla pana R.), ale ona mu to wybacza i mimo wszystko życzy powodzenia. Nie spodziewała się odpowiedzi, a nawet jej nie chciała. Uznała, że z Janem już wszystko sobie powiedzieli, nie chciała do tego wracać, jednak na początku lipca dostała od niego list.

— Lea, mam coś dla pani od Jana — powiedziała Irena, po czym wyjęła z torebki i położyła na stoliku żółtą kopertę. — Jan prosił, żebym to pani przekazała.

Lea popatrzyła na kopertę. Zawahała się, czy powinna ją otworzyć i przywoływać przeszłość, potem wzięła kopertę do ręki i rozerwała papier. W środku był krótki list. *Lea, zawsze będę o Tobie pamiętał. J. F.* Pod spodem był dopisek: *Uważaj na siebie. Nie ufaj W. R. Informacje o samobójstwie S. są nieprawdziwe.*

Spojrzała na Irenę, a ta pokręciła przecząco głową.

— Ja nic nie wiem; prosił mnie, żebym to pani oddała.

Lea znów wpatrywała się w kartkę, jakby się spodziewała, że znajdzie tam jeszcze jakieś ukryte zdanie, znak, który objaśniłby dopisek, ale niczego więcej nie było. Dlaczego napisał coś takiego? Pamiętała, co Jan powiedział jej przy rozstaniu, czym uraził ją do żywego. Był zazdrosny o Reutowicza, cymbał. Potem ten idiotyczny artykuł, a teraz ją przed nim ostrzega. Co mu przyszło do głowy i dlaczego przypomina jej o Sabinie?

— Jest w Warszawie? Widziała go pani? — nagle poczuła ukłucie żalu, pustkę po nim, która jeszcze nie zarosła.

— Nie. Jest w Monachium. Napisał, że zamierza wyjechać do Ameryki.

— Do Ameryki? Więc coraz dalej — czuła, że łzy kręcą się jej w oczach. Dotąd gdzieś w głębi duszy łudziła się, że jeszcze go spotka, teraz nie miała już złudzeń.

— Niech pani siebie o to nie wini, on nie potrafi nigdzie zagrać miejsca. Jeszcze nie okrzepł, nie dorósł do tego — pocieszała ją Irena.

— Myślałam, że już o nim zapomniałam, ale nie. — Na chwilę schowała twarz w dłoniach, pociągnęła nosem. — Przepraszam, nie jestem w najlepszym nastroju.

Irena uspokajała ją, głosem zachrypniętym i zbyt niskim jak na przyzwoitą kobietę przekonywała, że wszystko mija, a polegać można jedynie na sobie. Mówiła niemal tak jak ciotka

Anastazja. Życie płynie dalej, czas ucieka, lecz rany i przynosi nowe, a ból jest częścią życia. Nieodzowną. Trzeba się go nauczyć.

Po otrzymaniu wiadomości od Jana Lea miała wyjątkowo kiepski humor. Została w kawiarni dłużej i pozwoliła sobie na jeszcze jeden kieliszek. Siedziała, zastanawiając się, co dalej robić. Nie zważała na coraz gęstszy dym papierosowy, który krążył wokół niej jak chmara szarych ciem. Jeszcze raz zerknęła na kartkę i przed jej oczami pojawił się Jan. Ten wesoły i uroczy, który porywał ją swoją ciekawością i pasją życia, a potem znikł na zawsze, pozostawiając trudną do zaślepienia wyrwę. Na pewno sama nie była bez winy, a jednak... to było ciężkie doświadczenie, chybiona uczuciowa inwestycja, słodka pułapka na muchy, z której z trudem się wydostała. Z żalem uprzytomniła sobie, że nic tak fascynującego jak znajomość z nim już jej w życiu nie spotka. Ale ta znajomość to nie był błąd absolutny, Lea zaliczyłaby go raczej do pouczających i odkrywczych. Jan uświadomił jej, że może być samodzielna, bardziej świadoma swoich potrzeb i zachcianek, a nawet możliwości, i tego nie mogła się wyrzec, choćby chciała. Może brakuje jej odwagi, ale nikt już nie będzie nią dyrygował, wmawiał, że jest tylko kobietą. Ten etap już zaliczyła, nie będzie do niego wracać. Teraz postara się być po prostu sobą i może pozwoli sobie nawet na nowe pouczające błędy, niezbyt bolesne i nie takie, do których nie mogłaby się przyznać. Ta myśl wydała jej się całkiem ożywcza, odpowiednia do zaistniałej sytuacji, a nawet lekko przekorna.

Wyszła z kawiarni przekonaniem, że nie powinna oglądać się za siebie, lecz zakasać rękawy i wziąć się do pracy, a gdyby to okazało się zbyt trudne, to na magazynie i aptece świat się nie kończy. Być może w życiu czekają na nią jeszcze całkiem inne wyzwania. Nie przypuszczała jednak, że właśnie ten wieczór może mieć jakieś większe znaczenie.

Kiedy wysiadła z dorożki na Rynku, zobaczyła Tymona, który wychodził z jednej ze staromiejskich knajp i ledwo się trzymał na nogach. W świetle wiszącej nad drzwiami latarni jego cień chybotął się jak jesienny liść skazany na upadek. Po chwili ktoś wysunął się z mroku i podtrzymał Tymona przed ostatecznym zwaleniem się na bruk. Lea cofnęła się w mrok i śledziła wzrokiem Tymona i jego towarzysza, a kiedy skręcili w Nowomiejską, by dotrzeć, jak podejrzewała, do mieszkania Tymona przy ulicy Freta, poszła za nimi kilka kroków, aż doszli do Barbakanu. Wiedziała, że Tymon chętnie zagląda Pod Papugę i do innych lokali, i przykro jej było patrzeć, że doprowadza się aż do takiego stanu. Gdyby chodziło tylko o to, dałaby temu spokój, ale zaskoczył ją widok tego drugiego; wydawał się znajomy, wprawdzie nie dostrzegła jego twarzy, a jedynie znajomą postać i znajome ruchy, to jednak wystarczyło, żeby najpierw się zdziwiła, a potem zaczęła się zastanawiać, czy ma to jakieś znaczenie, z kim pije Tymon.

Niemożliwe, wydawało mi się, tłumaczyła sobie, za dużo wrażeń jak na jeden wieczór, za dużo wspomnień. Potem, leżąc już w łóżku, przewracała się z boku na bok i nie mogła zasnąć, a w jej głowie wirowały i mieszały się przeszłość z teraźniejszością.

Był ciepły sobotni wieczór, na podwórkach cichł gwar bawiących się dzieci, na Rynku przekupnie zwijali stragany i kramy, robotnicy z pobliskiej fabryki Platerów spieszyli na kufel piwa Pod Zieloną Papugę albo Pod Murzynka, a Reutowicz odwiedził Leę w mieszkaniu na Kamiennych Schodkach.

— Chciałem pani pokazać, z czym wybieram się do Petersburga — powiedział przyjaźnie i zarys uśmiechu przemknął po jego poważnej twarzy.

Lea zdziwiła się, że przyszedł sam, mógł przecież przysłać kogoś z apteki, ale widocznie chciał się pochwalić. Ubrał się odświętnie; zauważyła, że ma nową kamizelkę i marynarkę, i to nie czarne, ale lekko szare. Ona miała na sobie zwykłą sukienkę, prostą, bez żadnych ozdób. Nie spodziewała się go, a nawet gdyby... Poprosiła go do pokoju i zaproponowała herbatę. Do filiżanki ze złoconym brzeżkiem i różyczką w środku naląła esencji i wrzątku, manewrując kurkiem błyszczącego samowara. Podała mu herbatę i talerzyk z ciastem.

— Dawno nikt nie częstował mnie dobrą herbatą — powiedział uprzejmie i pozwolił sobie

na małą dygresję. — Tak, ma pani rację, pomyślałem o Józefie. On uważał, że dobra herbata poprawia obyczaje, a jej trafny wybór to wyraz arcyzmu i finezji, doskonałości ludzkiego umysłu.

— A pan woli kawę. Zapomniałam, zaraz powiem gosposi — powiedziała przeproszającym tonem.

— Nie, pani Leo, ja lubię dobrą herbatę i dobrą kawę. Lubię dobre rzeczy — odparł z błyskiem chępliwości w oczach.

Nadal był podejrzenie miły. Wypił kilka łyków herbaty, a potem z papierowej torby z ozdobną winietą apteki wyjął żelatynowe kapsułki z wyciągiem z wątroby, pudełko z ziołowymi tabletkami na problemy nerkowe, przetwór pepsynowy i pachnące trociczki. Lea brała do ręki pudełeczka i flakoniki, otwierała, oglądała, chwaliła. W końcu sięgnęła po trociczki i aż zamrugnęła ze zdziwienia.

— Podwójny Sekret — przeczytała na opakowaniu. — Intrygująca nazwa i ciekawy zapach. Jestem zaskoczona, nie podejrzewałam pana o takie dowcipne pomysły — dodała, spoglądając na niego z uprzejmym zaciekawieniem. — Coś się za tym kryje, zdradzi mi pan?

Rozsiadł się wygodnie, pokazując przy okazji nowe buty od Hiszpańskiego.

— Czego się nie robi dla wystawy — zażartował. — Dobra nazwa to połowa sukcesu, jak imię, które może dodać tajemniczości, powagi albo uroku. Pani o tym doskonale wie, pani Leo — powiedział zadowolony z siebie.

Odstawił filiżankę, wstał i podszedł do samowaru. Wygarnął kilka węgli na spodeczek i położył na nich trociczki.

Po chwili pokój wypełnił intensywny zapach. Pachniało jak w kościele, ale nie tym w Korytnicy, bo tam zapach kadzidła był bardziej ziołowy, swojski, ksiądz dodawał do niego zwykłej żywicy, jałowca i suszonych malin. Trociczki, które żarzyły się na spodeczku, miały wyrafinowany i lekko zmysłowy zapach ambry i czegoś jeszcze, czegoś nieuchwytnego. Nie potrafiła tego zidentyfikować, zapach wydawał się jej przyjemny i przywodził wspomnienia aptecznych lekcji z Józefem.

Po chwili zamyślenia zreflektowała się, że Reutowicz czeka, aż ona coś powie.

— Intrygujący. Naprawdę, zaskakuje mnie pan — pochwaliła z uznaniem i łagodnym uśmiechem, którym starała się wypełnić dzielącą ich pustkę.

Nie miała pojęcia, o czym mogłaby z nim rozmawiać, co brzmiałoby lekko i nie popsuło z trudem zbudowanego porozumienia, przypieczętowanego niedawnym uściskiem dłoni i tym, że pozwoliła mu mówić do siebie — Lea. Ona nie wymawiała jego imienia, nie przeszłoby jej przez gardło, dla niej nadal był Reutowiczem, przyjacielem Józefa, przy którym wciąż czuła się skrępowana. Ale Reutowicz najwyraźniej nie miał takich problemów. Opowiadał o przygotowaniach do wystawy, dodał, że w Petersburgu zatrzyma się u krewnych. Był rozmowny, nie byłby jednak sobą, gdyby nie dodał kilku gorzkich słów. Przy pożegnaniu popatrzył na Leę poważnie i swoim eleganckim głosem powiedział:

— Jeszcze jedno, pani Leo, nie prosiłem, żeby pani w mojej sprawie rozmawiała z prezesem Jurkowskim. Doceniam pani starania, ale na przyszłość proszę się nie mieszać do moich spraw. Niewiele to dało, i tak coś by na mnie znaleźli; zrezygnowałem z członkostwa — kiedy to mówił, jego oczy pociemniały, jakby się zachmurzyły.

— Przepraszam, ale nie mogłam siedzieć z założonymi rękami i pozwolić, żeby pana obgadywali. Co by pan sobie o mnie pomyślał? — powiedziała z przekonaniem.

— Już lepiej niech pani tego nie docieka — odparł ostrzegawczo.

Nie mogła oprzeć się ciekawości, żeby go nie dopytać.

— Słyszałam, że to nie była tylko wymiana zdań. Nie wygląda pan...

Spojrzał na nią tak, że nie dokończyła.

— Nie chciałbym więcej do tego wracać. Zapomnijmy o tym — dodał szorstko.

Zmieszała się i spuściła głowę.

— Przepraszam, nie chciałam być wścibska, ale to prezes Jurkowski powiedział, że pan kogoś poturbował.

— Wystarczy! — uciął.

Ucichła, ale po chwili zerknęła na niego, zmarszczyła z niezadowolenia nos i spróbowała go

zagadać.

— Oj, jaki pan tajemniczy! Mógłby mi pan powiedzieć. W ogóle nie wiem, o co chodzi, a zapewniłam Jurkowskiego, że słusznie pan postąpił.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

— Pocieszna pani jest, uparta i irytująca, nie wiem co bardziej, ale to i tak na nic. Nic pani ze mnie nie wyciągnie — powiedział i pożegnał się, zostawiając ją lekko wytrąconą z równowagi.

Wzruszyła ramionami. Pocieszna, też coś. Dobrze, że była dziś w wyjątkowo przyjaznym nastroju i nie obrażała się o każde słowo. A zasadniczo to mogłaby.

Kiedy wyszedł, wróciła do pokoju, nalała sobie herbaty i usiadła zamyślona. Zastanawiała się, po co ją odwiedził. Wyglądało na to, że przyjął za dobrą monetę to, co powiedziała w Bristolu, i przyszedł sprawdzić, czy rozejm nadal obowiązuje, a przy okazji pochwalił się nowymi preparatami. Jednak to, co na pierwszy rzut oka wydawało się oczywiste, wcale nie musiało takie być, zwłaszcza w przypadku Reutowicza. On nie był człowiekiem prostolinijnym, chodził własnymi ścieżkami, a jego słowa, gesty i spojrzenia najczęściej miały jakieś drugie dno. Więc może chciał tylko powiedzieć kilka dyscyplinujących słów na temat jej rozmowy z prezesem Jurkowskim. Licho go wie. Była jeszcze jedna możliwość, najmniej jej zdaniem prawdopodobna, ale może chciał się z nią zwyczajnie porozumieć. W gruncie rzeczy od czasu do czasu okazywał się przydatny, a mógłby być jeszcze bardziej, gdyby udało się go namówić na robienie kilku kosmetyków w aptecznym laboratorium. Tylko jak go do tego przekonać, tego jeszcze nie wiedziała.

Sięgnęła po zielone pudełko z trociczkami i obracała je w dłoniach, przyglądając się napisowi Podwójny Sekret, który wił się jak wąż wśród zieleni. Tym ją zaskoczył, nie potrafiła go zrozumieć, nie wiedziała, dokąd zmierza, i to ją niepokoiło. W końcu wyjęła kadzidło, powąchała i rzuciła na węgle z samowaru, a smuga dymu znów zapachniała niemal uwodzicielsko. Może gdyby udało się zapomnieć o kilku nieprzyjemnych sprawach, życie byłoby łatwiejsze, przyjemniejsze, jednak to nie takie proste, pomyślała. Ale starała się zapomnieć, udawało się, dopóki w powietrzu snuła się wonna nić kadzidła, ułudna jak mgła na leśnej drodze.

— Olibanum? Dobrze rozpoznałam? Więc to nad tym pan ostatnio pracował?

— Owszem. *Olibanum electum* — odparł Reutowicz, a zadowolenie rozpogodziło mu twarz. — Białe kadzidło, zaschnięta żywica drzew *Boswellia serrata*, które rosną w Indiach wschodnich i Bengalu, sprzedawane jest w ziarnach wielkości grochu albo nieco większych, żółtawych albo czerwonych, z wierzchu jakby przyprószonych białym pyłem — tłumaczył swoim aksamitnym głosem, kładąc białawe kuleczki na jej dłoni w kordonkowej rękawiczce. — Wchodzi w skład plastrów aromatycznych i pigułek. Ma bardzo przyjemny zapach, zwłaszcza gdy się go rzuci na węgle, a smak ma korzenny, lekko gorzkawy. Proszę spróbować.

Ostrożnie wzięła do ust jedną kuleczkę i przez chwilę badała ją językiem, a potem rozgryzła.

— Rzeczywiście smak jakby korzenny, ale zapach jest ciekawszy, tajemniczy i uwodzicielski. Pachnie jak modrzewiowy las o świcie — powiedziała ciepłym głosem, nie spuszczać wzroku z Reutowicza.

Uniósł nieco brwi ze zdziwienia.

— Nie musi pani aż tak zmyślać. Niech pani powie szczerze, czy się pani podoba.

Może trochę przesadziła, ale miała w tym swój cel. Nie docenił jej starań, musiała powiedzieć to inaczej, bez nadmiernej afektacji. Przekrzywiła głowę, jakby jeszcze się zastanawiała.

— Bardzo intrygujący, wykwintny. O niebo lepszy od perfum, które mam w magazynie — przyznała, zdejmując rękawiczkę, by gołą dłonią wziąć drobinki żywicy, poczuć ich dotyk, zapamiętać fakturę, chropawość, tak jak uczył ją Józef.

Spojrzała na Reutowicza z niewinną miną i ciągnęła dalej:

— I z tym właśnie przyszedłam do pana. Już wcześniej myślałam, żeby samej zrobić wodę kolońską. Ta moskiewska, wie pan, ta we flakonach z czerwoną metalową nakrętką, to nic specjalnego.

Ale gdyby udało się zrobić perfumy czy wodę pachnącą o takim zapachu jak pana trociczki, raczej dla mężczyzn niż dla kobiet, to byłoby coś innego — dodała szybko.

Od pół godziny tkwiła w aptece i próbowała przekonać Reutowicza, że na wystawę powinien zawieźć nie tylko trociczki, ale i wodę perfumowaną o tym samym zapachu, a gdyby jeszcze do tego dołożyć mydło, to w ogóle byłoby idealnie. Wpadła na ten pomysł kilka dni temu, kiedy doszła do wniosku, że zapach trociczek jest bardzo udany i zasługuje na coś więcej. Trociczki to trociczki, są przydatne w domu, ale w mieście tak często się ich nie używa. Za to każdy elegancki mężczyzna lubi ładnie pachnieć i gdyby użył takiego zapachu jak trociczki, mógłby wywrzeć na paniach wrażenie. Reutowicz musi więc coś takiego zrobić, i to szybko, żeby mógł pokazać perfumy na wystawie.

— Teraz niemal każda apteka ma wyroby perfumeryjne, zestawy cieszą się największym wzięciem — przekonywała go najpierw ze słodkim uśmiechem, a w miarę upływu czasu z uporem natręta.

Jednak Reutowicz nie podzielał jej entuzjazmu.

— Pani chwytą się znowu czegoś nowego, proszę najpierw uporządkować sprawy magazynu, potem możemy porozmawiać o wodach toaletowych i olejkach czy o czym pani chce. Tak się przecież umawialiśmy, a dziś przybiega pani do mnie i chce robić perfumy, i to jeszcze na wystawę. To jest nierealne — starał się mówić spokojnie, ale widać było, że jej gadanie zaczyna go denerwować.

— Panie Reutowicz, nie można przegapić takiej okazji — podekscytowana powtarzała swoje argumenty. — To jest najlepszy zapach, jaki ostatnio spotkałam, czułam..., nie wiem, jak to powiedzieć, ale wiem, że to jest coś naprawdę oryginalnego. Te wszystkie reklamowane wody nie umywają się do tego. Nie rozumie pan, że to jest szansa dla apteki?! Niech mnie pan posłucha i nie odsyła do wszystkich diabłów!

Zaczęła go przekonywać, że powinien zaryzykować; składniki będą takie same jak w trociczkach, więc wszystko ma pod ręką, wystarczy rozpuścić je w spirytusie i perfumy gotowe. Robiła już dawniej wodę kolońską i wie, że to nie wymaga wiele pracy, byleby składniki były dobrej jakości.

Słuchał jej z coraz bardziej chmurną miną.

— Nie. Powiedziałem pani, że to nierealne — odparł stanowczo. — To nie jest to samo. Trociczki uwalniają zapach podczas podgrzewania, sypie się je na ogrzaną metalową łyżkę albo na rozgrzane węgle jak kadzidło, a w perfumach stosuje się olejki eteryczne rozpuszczone w alkoholu, one zachowują się inaczej — powiedział, obracając w dłoniach wieczne pióro. — A nawet gdyby udało się odtworzyć taki skład jak w trociczkach, efekt zapachowy może być inny. W perfumach zapach nie może się szybko ulotnić, trzeba go przedłużyć, dodać utrwalaczy. Tu trzeba działać metodą prób i błędów, a to wymaga czasu, nie zrobi się tego z dnia na dzień. Poza tym, żeby wystawić jakiś produkt, musi być dużo wcześniej zgłoszony i zarejestrowany. Trzeba pomyśleć o opakowaniach, o etykietach, to wszystko trzeba wcześniej przygotować — tłumaczył jej, starając się opanować irytację.

Co za uparty typ, pomyślała, patrząc na niego z chmurną miną. Był całkowicie odporny na jej prośby. Musiała zmienić taktykę i zadziałać inaczej. Wpatrywała się w niego, jakby chciała go zahipnotyzować. Jej czarne oczy pozostawały nieruchome, a na ustach pojawił się łagodny, niewinny uśmiech.

— Więc niech pan zgłosi teraz. Kiedy pan jedzie? We wrześniu, w październiku? Jeszcze pan zdąży, do wystawy można wiele zdziałać. Chyba że chce pan czekać, aż jakiś Jurkowski czy jego zięć przerobi pana trociczki na perfumy i zrobi na tym interes.

To nie był właściwy argument. Reutowicz poderwał się zza biurka z takim impetem, że jego wybrylantynowana fryzura straciła fason.

— Teraz niech pani mnie posłucha! Jeszcze niedawno chciała pani prowadzić magazyn, dziś ma pani ochotę na robienie perfum, a jutro co będzie? Co się z panią dzieje!? Niech się pani postara zapanować nad emocjami i zachowuje rozsądnie, a nie naraża na śmieszność.

W tej chwili Lea rzeczywiście musiała zapanować nad emocjami, czuła, że jej policzki są rozpalone do czerwoności.

— Z moim rozsądkiem wszystko jest w porządku, i to jest rozsądny pomysł!

— Nie, to jest absurdalny pomysł, a pani jest wyjątkowo irytującą osobą. Proszę mi więcej nie zawracać głowy — podszedł do drzwi i otworzył je, wskazując, że powinna już wyjść.

— Nie ma obawy! — popatrzyła na niego już bez słodkiego uśmiechu na twarzy. Odwróciła się zamasyście, aż zaszeleściła jej suknia z halkami włącznie, i wyszła zła jak osa. — Z nim nie da się w ogóle rozmawiać — rzuciła po drodze do Tymona, który popatrzył na nią przeprasząco i z poczuciem winy.

— W poniedziałki zawsze jest w złym humorze — stwierdził, jakby to było jedno z podstawowych praw natury.

Nikt nie potrafił jej tak rozzłościć jak Reutowicz, ale była też zła na siebie. Sama jest sobie winna. Rzeczywiście się ośmieszyła i jak zwykle jej dobre chęci obróciły się przeciwko niej. Chciała zrobić na Reutowiczu dobre wrażenie. Specjalnie wystroiła się na tę wizytę, nie dlatego, żeby mu się podobać (może trochę), ale żeby zaprzeczyć tym bredniom, według których panie biorące się za męskie zajęcia tracą swoją kobiecą naturę, delikatność usposobienia, krągłość kształtów, wrodzoną subtelność i stają się jakimś bezpłciowym indywiduum o grubym głosie, kanciastych kształtach, kłótliwym i złośliwym, które klnie, pije i pali jak smok. Dlatego włożyła dziś sukienkę już nie czarną, tylko w kolorze ciemnego nieba, a pod spód dwie halki, żeby nie było widać, że jest zbyt chuda i koścista. Uczesała się starannie, ale pozwoliła, żeby kilka kosmyków wymknęło się tu i tam. Nic więcej nie mogła zrobić, uznała jednak, że jest całkiem niezłe. Wzięła mały kapelusik, koronkowe rękawiczki i parasolkę od słońca, której nigdy nie używała, i to wszystko dla tego gburą, żeby go przekonać do robienia perfum. A on powiedział, żeby nie zawracała mu głowy. Niech go diabli! Więcej się do niego nie odezwę, żeby nie wiem co, postanowiła urażona do żywego.

Idąc szybko przez Rynek Starego Miasta, spłoszyła stadko gołębi. Ptaki wzbiły się w powietrze i zakołowały nad jej głową. Wtedy zwolniła kroku i zaczęła je obserwować. Po chwili wylądowały niemal w tym samym miejscu, gdzie w szczelinach bruku znalazły rozsypane ziarna. One przynajmniej potrafią korzystać z okazji; wiedzą, że trzeba szybko brać to, co dobre, pomyślała zawiedziona fiaskiem swoich negocjacji. Powinnam być mądrzejsza, powinnam porozmawiać z nim spokojnie, nie naciskać tak stanowczo. Może za parę dni spróbuję jeszcze raz.

Nie poszła, nadal czuła się urażona, bała się też, że znów jej odmówi. Spotkała go w sobotę w dużym magazynie z książkami przy Krakowskim Przedmieściu.

Magazyn miał kilka pomieszczeń. Pierwsze, z dużymi oknami, było od frontu, w nim wystawiano najświeższe nowości, książki poczytne i przydatne niemal każdemu, romanse i powieści awanturnicze, książki dla dzieci, słowniki, poradniki, samouczki gotowania i malowania. W drugim pomieszczeniu znalazły się książki równie poczytne, ale przydatne tylko niektórym, w trzecim zaś, skromniejszym rozmiarem, za to napchany do granic możliwości, znajdowało się wszystko to, co straciło już aurę nowości i poczytności i czego nie było na zapleczu, gdzie bywali inni klienci i inne lektury.

Lea najczęściej zaglądała do trzeciej salki; z lubością przeszukiwała regały, wspinając się zręcznie po drabinkach, by wyszperać książki zaskakujące nie tylko ją, osobę o skromnym wszakże dorobku czytelniczym, ale i samego księgarza. Był to wyjątkowo przeciętnej urody siwowłosy pan o wyblakłych od czytania tęczówkach oczu, który nie pamiętał, jakie osobliwości zalegają u niego na wysokich, sięgających sufitu półkach, i gdy Lea podchodziła do niego z jakąś książką, dziwił się i pytał:

— A gdzie to pani znalazła?

W sobotę po południu Lea przeglądała kieszonkowe wydanie *Trzech miast* Emila Zoli, powieści niebezpiecznej, o której wspominała jej Irena, i książka tak ją wciągnęła, że na kilka chwil zatraciła poczucie rzeczywistości. Kiedy podniosła głowę znad kartek, jej spojrzenie było nieobecne i chwilę trwało, nim się zorientowała, że Reutowicz stoi po drugiej stronie regału. Zignorowała go i dalej przeglądała książkę. Podszedł, z dezaprobatą spojrzawszy na to, co trzymała w dłoniach, i dość obojętnym

głosem powiedział, że przykro mu z powodu zajścia w aptecę i że nie chciał jej urazić, ale to, co powiedział, to prawda.

— Niech mi pan da spokój — mruknęła zgaszona i weszła na dwa stopnie drabinki, która stała przy regale. — Nie mam ochoty rozmawiać z takim gburem jak pan — stwierdziła i odłożyła książkę na miejsce.

Uniósł lekko brwi.

— Cóż, mnie też niełatwo się przyzwyczaić do rozmów z taką damą jak pani, ale zdaje się, że jesteśmy na to skazani. Józef potrafił być złośliwy — zmrużył oczy. — Mimo wszystko staram się dostrzec w tym dobre strony, więc może łaskawie zejdzie pani na ziemię i porozmawia normalnie.

— I nadal pan myśli, że mój pomysł jest bez sensu? — zapytała z góry dwóch stopni drabinki tonem osoby urażonej i niesłusznie posądzonej o brak rozważli.

Musiał lekko podnieść głowę, żeby na nią spojrzeć, ale i tak popatrzył na nią jak na kapryśne dziecko, które postanowiło przenieść wodę sitkiem. Podeszedł do drabinki i półgłosem powiedział:

— Szczerze mówiąc, pani pomysł nie spędza mi snu z powiek, ale widzę, że pani jeszcze nie wywietrzała z głowy. Prosiłem, żeby zajęła się pani magazynem — przypomniał jej dyscyplinującym tonem.

— Nie znudziło się panu być takim zasadniczym? — zapytała, schodząc o jeden stopień niżej.

Ich rozmowa wzbudziła zainteresowanie. Kilka osób chętnie by posłuchało, a nawet doradziło, ale starsza dama w zielonym kapeluszu, miłośniczka *Tajemnic Paryża*, syknęła znacząco i spojrzała na nich z oburzeniem, dając do zrozumienia, że przeszkadzają innym. Wyszli więc z księgarni. Zapadał wieczór, sobotni, gorący, ożywiony lekkimi rozmowami dobiegającymi z kawiarnianych ogródków i restauracji. Ruszyli w kierunku placu Zamkowego, tam powietrze zdawało się nabrzmiące od gorąca, jakby spuchnięte. Lea czuła, że kropelki potu zbierają się jej na czole, i pomyślała, że i zaraz się rozplynie, jej umysł wyparuje jak kamfora i nie powie nic mądrego, żaden rozsądny argument nie przyjdzie jej do głowy.

Reutowicz szedł obok niej. Powiedział, że chciałby wyjaśnić pewne sprawy. Kiedy zatrzymała się koło wystawy z porcelaną, która w tym momencie absolutnie jej nie interesowała, popatrzyła na odbicia w szybie i pomyślała, że śmiesznie wyglądają, zupełnie nie od pary, on bardzo wysoki, a ona drobna, malutka. Nie pasują do siebie.

Stanął obok niej i zapytał:

— Lea, dlaczego pani się na mnie obraża? Przecież ja wcale nie zamierzałem pani dokuczyć, nie chciałem pani zrobić przykrości.

— Tak? A czego pan chciał?

Uśmiechnął się nieznacznie.

— Chciałem wiedzieć, co pani zamierza. Chyba nie zrezygnuje pani ze swoich szalonych pomysłów? Byłbym rozczarowany.

Spojrzała mu w oczy, ale nie wprost, zajrzała w oczy jego odbiciu w szybie; na bezpośrednie, nieosłonięte niczym starcie nie miała odwagi. Może to była kwestia wyobraźni, w słabym świetle niewiele mogła dostrzec, ale wydawało się jej, że i on patrzy na nią jakoś inaczej, jakby z zaciekawieniem. Zrobiło się jej nieswojo. Wcale go nie znam, pomyślała, nie wiem, czego ode mnie oczekuje, co ukrywa, o czym nie chce mówić. Bo przecież coś ukrywa, i jemu coś poszło nie tak, stąd to chmurne spojrzenie, stąd niepokój, który próbuje ukryć pod chłodem i obojętnością. W jego życiu, niby zwyczajnym, wypełnionym pracą, jest też jakaś wyrwa, może po Michalinie, a może to inna sprawa. Ale czy ja chcę o tym wiedzieć? Czy chcę go poznać?

— Niedawno za te pomysły wyrzucił mnie pan za drzwi! — przypomniała mu.

— I co z tego? Już pani przeszła ochota na robienie perfum? Niechże pani nie pozbawia mnie złudzeń o kobiecej sile i wytrwałości — dodał z nutą ironii w głosie i podał jej ramię.

Zawahała się. Mimo zapadającego zmroku nadal było gorąco. Najchętniej wróciłaby do domu i ochłodziła się zimną wodą, jednak podjęła wyzwanie. Dziwnie się czuła, kiedy dotknęła jego ramienia. Onieśmiała ją jego bliskość, starała się wziąć w garść, przymknęła oczy i czekała chwilę, aż owieje ją

chłodniejsze powietrze, a wraz nim poczuła zapach wody kolońskiej, tytoniu i apteki. Jeszcze bardziej się zmieszała. Skupiła się na obserwowaniu cieni, które malały i rosły w miarę zbliżania się lamp gazowych i oddalania od nich.

Skręcili w Podwale. Reutowicz starał się dostosować swój chód do jej drobnych kroków. Wpatrywał się w czubki jej pantofli i nie odzywał się.

— Pan Studnicki uporządkował już rachunki — powiedziała, przerywając milczenie. — Zgodziłam się, żeby magazyn był filią apteki, więc wydaje mi się, że tym bardziej powinniśmy mieć własne perfumy.

Roześmiał się szczerze ubawiony.

— No proszę, teraz mówi pani „powinniśmy”. Proszę zdradzić, co pani chodzi po głowie? Śmiało, może mnie pani przekona.

Wcale nie miała ochoty zdradzać mu swoich pomysłów. Jeszcze nie teraz. Wyrwana do odpowiedzi przyznała jednak z lekkim wahaniem:

— Właściwie to chciałabym dokończyć praktykę.

Przystanął i przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem w oczach.

— Co takiego? Czy ja dobrze słyszę? — A kiedy ona nie odpowiedziała, dodał: — Mój Boże, ja sobie wyobrażałem... byłem przekonany, że szuka pani pretekstu, żeby się ze mną widywać. Jeszcze niedawno przechodziła pani na drugą stronę ulicy, żeby mnie nie spotkać, a teraz sama pani do mnie przysła — znowu się roześmiał. — Myślałem, że chce mnie pani uwieść, a pani chodziło tylko o praktykę? Znowu mnie pani rozczarowała — dodał jakby zawiedziony.

Czuła, że się czerwieni, na szczęście nie było tego widać; szybko cofnęła rękę z jego ramienia.

— Za dużo pan sobie wyobraża, jest pan zadufany w sobie, a na dodatek niedelikatny. Dla pana nie warto nawet wkładać ładnej sukienki — powiedziała zagniewana, wcale nie było jej do śmiechu.

Patrzył na nią rozbawiony.

— Wystroiła się pani wtedy jak na jakieś święto, myślałem, że to dla mnie, że usłyszę jakieś płomienne wyznanie, a pani wyskoczyła z perfumami. Ale pani jest uparta, potrafi osiągnąć swój cel. Z Józefem udało się pani, dlaczego nie miałyby się udać ze mną.

— Więc tak mnie pan widzi?

Spoważniał.

— Jak ja panią widzę? Różnie, ale nie widzę pani jako ucznia aptekarskiego.

— Ale przecież mam już rok praktyki za sobą — nie poddawała się.

— Doskonale pamiętam.

— Może mogłabym przyjść chociaż na próbę... — wpatrywała się w niego z napięciem, zapominając na moment o urazach. — Zależy mi, sam mi pan to powiedział, że bez tego nic nie osiągnę.

Chwilę się zastanawiał.

— Leo, jest pani jedyną osobą, która potrafi mnie jeszcze rozbawić. Chce pani robić praktykę, ale zaczyna od perfum i na dodatek twierdzi, że ten zapach panią uwiódł. To jest argument nie do zbiccia. Typowo kobiecy. Poddaję się, proszę bardzo, niech pani spróbuje zrobić perfumy — powiedział, a w jego oczach zamigotały iskierki rozbawienia.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

— Sama? — zapytała. Nie była pewna, czy z niej nie żartuje.

— Tak. To pani pomysł, powiedziała pani, że to prosta sprawa. Ja nie mam czasu na zabawę. Dam pani przepis na trociczki i może pani działać. Bardzo proszę — znów podał jej ramię.

W tej sytuacji Lea znów dotknęła jego ramienia i dała się poprowadzić ulicą Piekarską i Rycerską, słuchając jego całkiem przyjemnego głosu, którym objaśniał, jakie zmiany wprowadził ostatnio w aptece.

W poniedziałek Lea zaczęła pracować w laboratorium aptecznym, magazyn zostawiając na głowie pana Studnickiego i Agaty. Miało to trwać tylko kilka dni, najwyżej tydzień, i gdyby udało się

zrobić perfumy, a nie wątpiła, że jej się uda, to byłby argument, żeby Reutowicz potraktował poważnie jej prośbę o przyjęcie na praktykę.

Zamierzała najpierw zrobić małą ilość na próbę, a potem ewentualnie coś zmodyfikować w przepisie i zrobić ilość wystarczającą na sto flaszek. Przyszła z samego rana tuż po otwarciu apteki i od razu poszła do laboratorium, żeby Reutowicz znów sobie czegoś nie pomyślał.

Laboratorium wyglądało inaczej niż za czasów Józefa. Reutowicz kazał je odnowić, znikły plamy z sufitu, mikroskop powędrował do szafy, były nowe stoły laboratoryjne pokryte odpornymi na chemikalia ceramicznymi płytkami, unowocześniony piec i wyciąg, przy ścianach stały szafy pełne szkła. To nie było już laboratorium Józefa, w którym tak dobrze się czuła. Musiała na nowo się nauczyć, gdzie co jest, i przypomnieć sobie, czego ją nauczył, jak należy pracować, jakie naczynia wybrać, od czego zacząć.

Józef był wymagającym, ale dobrym nauczycielem, a Reutowicz? Szybko zaczęła podejrzewać, że pozwolił jej na robienie perfum tylko po to, żeby sama się przekonała, jaką jest ignorantką i bez niego nie poradzi sobie w aptece, a może także w życiu. Ale to ona pokaże, że coś potrafi!

Przeczytała przepis na trociczki kilka razy i uznała, że pewne składniki trzeba odrzucić. Węgli z drzewa lipowego nie ma potrzeby dodawać do perfum, cukier i guma dragancka też wydawały jej się zbędne, guma ma sklejać trociszki. Ale co zrobić z mastyksem i balsamem peruwiańskim, tego nie była pewna. Naszykowała więc słoje z żywicą benzoos, styraksem płynnym, mastyksem, olibanum, goździkami i zaczęła je odważać. Po jakimś czasie pojawił się Reutowicz, stanął za nią i przyglądał się, jak waży benzoos. To było denerwujące, ale ona ostrożnie dodawała drobinki żywicy, aż szalki wagi się wyrównały i wskaźnik zatrzymał się idealnie na środku.

— Bardzo ładnie, droga pani — pochwalił ją.

Starła się nie zważać na jego ironiczny ton. Powiedziała o swoich wątpliwościach dotyczących składników.

— Zastanawiam się, co z balsamem peruwiańskim i mastyksem. Dodać, jak pan sądzi?

— Nie wiem — odparł i czekał, co Lea zrobi dalej.

Wzruszyła ramionami.

— Wiedziałam, że mogę liczyć na pana pomoc — mruknęła.

— Proszę sobie nie przeszkadzać i pracować dalej — powiedział spokojnie.

Odszedł, gdy odważyła kolejny składnik.

Z góry założył, że mi się nie uda, na pewno mi nie pomoże.

— Obejdzie się bez niego — powiedziała później do Tymona, który zajrzał do laboratorium i starał się dodać jej otuchy.

— Pani Leokadio, wie pani, jaki on jest, w poniedziałki jest najgorszy, proszę się nim nie przejmować, każdemu potrafi dopiec. Czasami, jak się o coś przyczepi, to nie daj Boże. Teraz ciągle ma pretensje, bo dostawca opakowań nawalił, trzeba było wstrzymać się z wysyłką, przesunąć terminy. Jest w złym humorze; jak wpadnie do apteki, to zaraz się o coś gniewa. Pan Klonowski nie był taki. Był surowy, nie powiem, czasem pokrzyczał, ale wiadomo było, że ma rację.

— Pamięta pan Wystawę Higieniczną — przypomniała Lea. — I tę okropną awanturę z korą chinową.

Tymon uśmiechnął się na to wspomnienie.

— Ale była afera! Żeby pani słyszała, co Reutowicz o pani wtedy mówił.

Lea nadstawiła ucha. Z Tymonem mogła swobodnie porozmawiać i poradzić się, jak postępować przy robieniu perfum. Czy najpierw rozpuścić żywice w spirytusie, czy może w eterze. Ale jest jeszcze pół uncji ambry, i co z tym zrobić?

Tymon przetaił szkła okularów i spojrzał na kartkę, na której był wypisany skład trociczek.

— Można spróbować rozpuścić w olejku, ale zacząłbym od rozpuszczenia żywicy w spirytusie — doradzał.

Jednak i on nie wiedział, co zrobić z balsamem peruwiańskim, który miał swoisty cynamonowy zapach, ale ciemną barwę, całkiem nieodpowiednią dla perfum.

— Może zrobić pół porcji z balsamem, a pół bez i zobaczyć, co z tego wyjdzie. I wtedy spróbować z ambłą, znowu podzielić każdą próbkę i do jednej dodać ambłą w substancji, a do drugiej rozpuszczoną w oleju.

— Też tak myślałam — zgodziła się Lea, przypominając sobie, czego uczył ją Józef. — Potem precedzę naciąg, ale najpierw musi postać kilka dni w cieple — przywołała przepis na wodę kolońską, a Tymon przytaknął.

Odważone składniki przeniosła, tak żeby nic nie uronić, do kolbek i zalała je spirytusem, wyloty kolbek obwiązała pęcherzem, po czym ustawiła je na słońcu w oknie, jak się robiło z domowymi pachnącymi wódkami. Uznała, że na dziś skończyła pracę. A kiedy chciała wyjść, Reutowicz zatrzymał ją.

— Pani Leokadio, dokąd się pani wybiera? Nie zapomniała pani o czymś?

Obejrzała się zdziwiona.

— Na dziś już skończyłam, naciąg musi postać przez parę dni. Jutro zajrzę.

Podszedł, obejrzał każdą butelkę, sprawdził, czy oznaczyła je i opisała skład. A w końcu powiedział:

— Proszę jeszcze obliczyć i podać mi, ile składników pani zużyła.

— Nie jestem pana uczniem, nie musi pan mną tak dyrygować — obruszyła się.

— Ale chce pani nim zostać, a takie reguły obowiązują w aptece. To nie zajmie pani dużo czasu — dodał łagodnie.

Już żałowała, że porwała się na coś takiego, jak praca pod jego okiem. Cały jej entuzjazm szybko się ulotnił. Zabrała się jednak do obliczeń i czuła się jak pensjonarka, kiedy podała mu kartkę z wyliczeniami. Obiecywała sobie, że nie da mu się wyprowadzić z równowagi, a to było trudniejsze niż robienie samych perfum. Przychodziła jednak codziennie i sprawdzała, jak wygląda płyn w jednej i drugiej kolbce, czy składniki dobrze się rozpuszczają, jak pachną.

Trzeciego dnia, gdy już wychodziła, powiedział:

— Na pani miejscu zrobiłbym jeszcze kilka próbek, zmieniając ilości żywic i balsamu.

Później podsunął jej książkę, z której mogła się dowiedzieć o właściwościach każdego ze składników, o ich rozpuszczalności i temperaturach topnienia.

— Proszę wziąć pod uwagę, że styraks nie rozpuści się całkowicie w alkoholu. Warto się zastanowić, co z tym zrobić — podpowiedział, oczekując, że w jej oczach pojawi się błysk zrozumienia.

Próbowała się tego uchwycić, ale nie mogła nic wymyślić. Zdenerwowała się. Reutowicz przyszedł po jakimś czasie, przysunął sobie krzesło i zaczął jej objaśniać, w jaki sposób zmienić skład, z czego powinna zrezygnować i jak rozwiązać problem żywic, żeby pozbyć się lepkiego składnika. Wspomniał o olejku bergamotkowym, który może połączyć i utrwalić zapachy.

— Mówiłem, że to nie jest łatwe. Musi pani zrobić jeszcze więcej próbek — dodał, kiedy się niecierpliwiła.

W piątek chciała precedzić pierwsze próbki. Wzięła papier filtracyjny, wycięła z niego krążek, umieściła na leju i ostrożnie przelewała płyn. Filtr szybko się zatkał.

— Źle! Najpierw powinna pani precedzić przez zwykłe sito, a potem przez sito jedwabne — upominał ją.

Chciała więc z powrotem zlać płyn z lejka, ale kolbka się przechyliła i jej zawartość rozlała się na stół.

— Do diabła! — wyrwało się jej.

Uniósł lekko brwi i spojrzał na nią zniesmaczony.

— Nie dość, że jest pani nieuważna, to jeszcze pani przeklina.

Tego było za wiele. Ściągnęła z siebie fartuch, rzuciła go w kąt i wyszła bez słowa. Poszła na podwórze, dokąd zwyczajowo wymykali się uczniowie na zakazanego papierosa. Nikogo tam teraz nie było, usiadła na ławce i zastanawiała się, co robić dalej. Ile jeszcze wytrzyma upokorzeń. Po dziesięciu minutach pojawił się Reutowicz.

— Wraca pani do pracy czy to już koniec popisów? — zapytał z doskonale obojętną miną.

— Ale z pana wredny typ! — odparła, rzucając mu nieprzyjazne spojrzenie. — Zaraz wracam. Nie musi się pan nade mną tak znęcać, naprawdę jest pan nieprzyjemny. Przecież nie robię tego dla siebie.

— Tak? A dla kogo, jeśli można wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

— Myślałam, że perfumy mają szansę być zauważone na wystawie i apteka może na tym zyskać. Ale pan, zdaje się, tak nie sądzi i robi wszystko, żeby mnie zniechęcić.

— A pani jeszcze się nie poddaje — stwierdził raczej niż zapytał. — No dobrze, zobaczymy.

— Pana to bawi?

— Nie. Już nie — odparł ze źle skrywaną litością i zostawił ją na podwórzu otoczonym przez wysokie mury.

Wróciła do laboratorium, w którym unosił się ciężki zapach styraksu, olibanum, ambry, zbyt mocny, niemal zjadliwy. Z rozlanej próbki niewiele udało się uratować, czuła jednak, że to nie jest to, zupełnie nie to. Po chwili już nic innego nie czuła, tylko ostrą nieprzyjemną woń, która zatykała jej nos i zalewała głowę. Nie dam rady, pomyślała, nic z tego nie będzie, on ma rację. Rozżalona wyszła z apteki i resztę dnia spędziła w magazynie. Sprzedawała mydła, świece i wody kwiatowe, proszek i mydło do golenia, ale nie opuszczała jej myśl o laboratorium i o Reutowiczu. Nie muszę tego robić, nie muszę tam chodzić, wysłuchiwać jego kąśliwych uwag, tłumaczyła sobie. Nikomu nie muszę niczego udowadniać. Mogę spokojnie żyć z udziałów w aptece i spółce. Wystarczy mi. Jednak następnego dnia znów poszła. Nie potrafiła tego zostawić, wycofać się, nie chciała być jedną z tych znudzonych bladoliczych kobiet, które przelewają się po kanapach i nie wiedzą, co z sobą zrobić. Nie tego uczyła ją ciotka Anastazja.

Jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze jest trochę czasu i mam kilka możliwości do sprawdzenia, uznała i zabrała się do pracy. Szło jej całkiem sprawnie, zwłaszcza gdy nikt nie patrzył jej na ręce. Przefiltrowała kolejne nastoje, ale efekty nadal były niezadowolające. Próbki z balsamem były brudne, a te bez balsamu nie miały cynamonowego zapachu, na dodatek wszystko się lepilo. Więc może postąpić tak, jak mówił Reutowicz, i zamiast balsamu dać olejek cynamonowy. Znów naradzała się z Tymonem, który podpowiadał, że lepiej zrobić i tak, i tak, żeby Reutowicz się nie czepiał. Zajęła się pracą, próbki mnożyły się jej jak króliki. Ale potem Reutowicz zaczął ją odpytywać, co dziś zrobiła, jak jej idzie i czy już się przekonała, że to nie jest takie proste, jak się wydaje. Łzy zakręciły jej się w oczach. Udał, że tego nie widzi.

— Myślałem, że pani dziś nie przyjdzie, ale pani, jak widzę, jeszcze nie rezygnuje — spojrzał na nią z zaciekawieniem. — Chodźmy do biura, porozmawiamy. Napije się pani kawy przyrządzonej na sposób laboratoryjny, a potem opowie mi spokojnie, do czego pani doszła.

Poprosił ją do biura, a sam przyniósł z receptury tygielek z gorącą kawą zagotowaną na laboratoryjnym palniku. Nalał jej filiżankę i podał cukier w puszcze od masła kakaowego.

— Nie musimy już biegać Pod Papugę ani wysyłać służącego po kawę — dodał, wrzucając sobie trzy kawałki cukru do filiżanki.

Przyglądała mu się spod oka i próbowała zgadnąć, czego ma się spodziewać po dzisiejszej rozmowie. Trudno to było stwierdzić, wyglądał jak zwykle, poważny, skupiony, trochę sztywny, z gęstą czarną czupryną i równie gęstą czarną brodą. Lekko się uśmiechał, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło.

— Pod Papugą to chyba nie był rozsądny wybór. Józef uważał, że lepiej tam nie zaglądać, zresztą on wolał herbatę — zauważyła ostrożnie.

Reutowicz kiwnął głową.

— Dobrze, wstęp mamy za sobą, teraz słucham o perfumach.

Odstawiła filiżankę.

— Co mam panu powiedzieć, że nic mi nie wychodzi? To chce pan usłyszeć?

Pokręcił przecząco głową.

— Nie, Lea, zacznijmy jeszcze raz. Pani spokojnie opowie mi, co do tej pory zrobiła, a ja

postaram się w miarę swoich możliwości pomóc. Jeszcze jedno, jeśli mamy razem pracować, proszę nie mówić do mnie „panie Reutowicz” i nie wspominać ciągle o Józefie.

I tak zaczęli wspólnie pracować nad perfumami, a właściwie większość prac wykonywała Lea, a on jej pomagał, starając się rozwiązać problemy, które co i raz ją zaskakiwały.

Przez dwa tygodnie zrobili czterdzieści próbek, z tego wybrali sześć najbardziej obiecujących, ale wciąż nie był to żaden oszałamiający efekt. Lea nie była zadowolona.

Reutowicz poprawił krawat i powiedział zniecierpliwiony:

— Proszę wybrać jeden najlepszy, nie mamy czasu robić kolejnych, nie zdążymy przygotować na wystawę. Już zamówiłem opakowania. Pani wie, że teraz opakowanie jest najważniejsze — pokazał jej zielone wysmukłe flakoniki z oryginalnym korkiem.

Lea nie mogła się jednak zdecydować, co wybrać, porównywała zapach z trociczkami, które teraz pachniały już inaczej niż na początku. I wciąż brakowało w nich jakiejś drobiny zapachu, właściwego akcentu, który nadawałby charakter całej kompozycji.

— A może czegoś jest za dużo? — podpowiadał jej Reutowicz. — Można zrezygnować ze styraksu.

— Nie wiem — przyznała zamyślona.

Podczas tych godzin, które spędzała w laboratorium, czuła, że coraz lepiej się rozumieją, że zacierają się dzieląca ich bariera uprzedzeń i minionych sporów. Reutowicz stał się pogodniejszy, już nie złościł się tak o byle głupstwo, czasami się do niej uśmiechał i przyglądał jej, szukając w jej oczach zrozumienia. Lea uznała nawet, że kiedy mówi spokojnie, przyjemnie go posłuchać. Gdyby tylko nie był taki nudny i poważny, mogłaby go polubić, a gdyby okazał nieco fantazji, może nawet więcej.

On trzymał się jednak ściśle wytyczonych przez siebie reguł i nie poruszał z nią spraw innych niż apteka i praca nad Podwójnym Sekretem. W ostatnią lipcową sobotę zrobił wyjątek od tej zasady; być może był to wpływ fali upałów, które od tygodnia ciążyły nad miastem i u osób wrażliwych wywoływały zmęczenie i rozkojarzenie albo nerwowość. Mógł to być też przejaw zwykłego znużenia, jakie następuje po intensywnej pracy, w każdym razie Reutowicz uznał, że pora na małą przerwę i odmianę.

Kiedy Lea filtrowała kolejne próbki pachnącego nastoju, a robiła to z najwyższym skupieniem, Reutowicz wszedł do laboratorium, stanął tuż za nią i patrzył, jak sobie radzi, co zawsze mocno ją deprymowało.

— Ręce pani drżą, więcej pani rozleje na stół, niż przeniesie do kolbki — zauważył. — To trzeba robić zdecydowanym ruchem, bardziej po męsku, pani Leo — dodał, wyjął jej z ręki kolbkę i zgrabnym ruchem przelał resztę nastoju na sącdek. — I co w tym trudnego? Więcej pewności siebie.

— Trudno to robić, jak patrzy mi pan na ręce — usprawiedliwiała się, spoglądając na niego spod zmarszczonych brwi.

— Przeszkadzam pani?

Nie odpowiedziała, wzruszyła ramionami.

Obserwował ją jeszcze przez chwilę, a w końcu spojrzał na zegarek.

— Dobrze, proszę to spokojnie skończyć, a potem przyjdź do mnie. Zabiorę panią na Pragę do mojego składu, dawno chciałem go pani pokazać, a dotąd nie było okazji — powiedział, ożywiając się, jakby proponował jej wyjście do teatru.

Dlaczego nie, pomyślała. Była ciekawa, jak wygląda ten niemal legendarny skład, o którym często słyszała od Józefa, a ostatnio i od pana Studnickiego. Tam zawsze działo się coś, co wymagało obecności Reutowicza; dostawy, faktury, marże, naruszone plomby na balonach ze spirytusem, przeterminowane surowce, rewizja, nic nie mogło się obejść bez jego uwagi czy podpisu. Kiedyś podejrzewała, że była to jego kolejna wymówka, zaszywał się tam i nie interesowało go, że Józef musi załatwiać sprawy na mieście, a jednocześnie pilnować pracy w aptece. Nie, dla Reutowicza skład był ważniejszy. Teraz to już nie miało znaczenia. Teraz znajdował czas i na skład, i na aptekę, a nawet na to, żeby zaglądać jej przez ramię i patrzeć, jak pracuje, a w końcu, żeby zabrać ją na Pragę.

— Bardzo chętnie pojedę, potrzebuję tylko chwilki, żeby się przebrać — powiedziała, wstępując do biura. Obdarzyła go przy tym spojrzeniem pełnym rozsądnego zainteresowania.

Podniósł znacząco brwi.

— Już ja wiem, co u kobiet znaczy chwilka — odparł z przekąsem. — Za chwilkę to ja pozwolę sobie przyjść po panią — dodał, a potem pograżył się w lekturze katalogu wyrobów gumowych dla panów chirurgów i aptekarzy.

Przyszedł na Kamienne Schodki po dobrym kwadransie i przez kolejny kwadrans Agata miała go tylko dla siebie; mogła mu dogadzać kurczakiem, zielonym groszkiem i młodą marchewką, mogła go dopieścić kieliszeczką wódki i kiedy Lea przebrała się w letnią jasną sukienkę i przypudrowała twarz najnowszym pudrem firmy Carmen, Reutowicz był już w wyjątkowo dobrym humorze.

Pojechali dorożką na gumach na ulicę Stalową. Szeroka brama z kutego metalu, na której przyśrubowano tabliczkę Skład Materiałów Aptecznych i Chemicznych (w języku rosyjskim i polskim), otwierała królestwo Reutowicza. Za bramą znajdowało się podwórze i prostopadle do ulicy usytuowany budynek z czerwonej cegły, na pierwszy rzut oka nieróżniący się niczym od sąsiedniej wytwórni kotłów stalowych i syfonów oraz nieczynnej fabryki lalek i szmacianych zabawek. Jak większość zakładów w tej okolicy, skład był okolony równie brzydkim, co solidnym murem, wykonanym zgodnie z rozporządzeniem Ober-policmajstra Warszawy dotyczącym ulic, bruków i parkanów. Budynek był jednopiętrowy, rozplanowany prosto i symetryczny, z ukośnym dachem, na którym równie symetrycznie rozsiadały się szare gołębie. Jedynym wyjątkiem od zasad symetrii był długi metalowy wysięgnik wychodzący z bocznej ściany, od podjazdu, służący jako dźwig przy załadunku i rozładunku towarów, a przypominający szubienicę.

Wewnątrz budynku wszystko wydawało się nowoczesne i praktyczne, od mieszczących się w suterynach magazynów do biura zajmującego piętro. Szczytem nowoczesności było zaś wzorowo prowadzone laboratorium wytwórcze, na które przewidziano kilka pomieszczeń na parterze, przestronnych, z oknami o trzydziestu dwóch kwadratowych szybkach i kilkoma przykrojonymi łukowato, wychodzącymi optymistycznie na wschód i południe.

Kiedy Lea w towarzystwie Reutowicza minęła bramę składu, naprzeciw nich wyszedł pospiesznie pan Studnicki. Nie wyglądał na zaskoczonego; przywitał się, pochylając swą kędzierzawą głowę cherubina, by złożyć Lei uszanowanie. Z zadowoleniem malującym się na rumianej twarzy oświadczył, że wszystko jest przygotowane, a po chwili dodał, że ma jakąś sprawę do Reutowicza, ale ten machnął ręką; nie miał teraz na to czasu.

Weszli do laboratorium, w powietrzu unosił się zapach ziół, olejku miętowego i roztopionej wazeliny. Zaszurały stołki, odstawiane na blat szklane kolbki i cylindry rzuciły ostrzegawcze błyski, a kilkunastu pracowników stanęło niemal na baczność, żeby przywitać Reutowicza.

— Uszanowanie, panie prowizorze, szanowanie panie aptekarzu — rozległo się z różnych stron.

Reutowicz skinął im głową i przywitał się donośnym „dzień dobry”, które rozniosło się po sali, przebijając się przez monotonne pomrukiwania mieszalnika do maści i maszyn wyrabiających zawiesiny. Potem z galanterią bywalca salonów oprowadzał Leę po laboratorium.

— Tu robimy większość naszych maści, pasty i proszki do zębów — wyjaśnił Lei, przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego i pokazując jej błyszczące nowością urządzenia. — Resztę nadal wytwarzamy w aptece. Na razie tak musi być — dodał, nie precyzując, jak długo owo „na razie” potrwa ani co ma być później.

Lea wychwyciła to niedopowiedzenie i zaczęła podejrzewać, że Reutowicz pewnie przedstawi jej swoje plany dotyczące dalszego działania składu i apteki, a może nawet zaproponuje jej udział w rozwoju przedsiębiorstwa. Słuchała go, przyglądając mu się ukradkiem, gdy nie zdawał sobie z tego sprawy. Starła się odgadnąć jego intencje, bo być może zupełnie co innego chodziło mu po zarośniętej głowie.

Mężczyznom różne rzeczy mogą tam chodzić, zależy to od wieku, kondycji zdrowotnej, majątku i wielu innych spraw, ale zasadniczo z natury są leniwi, skłonni do rozpusty, pijaństwa, obżarstwa i hazardu, i to zajmuje ich uwagę, dlatego absolutnie nie można im ufać. Tak mówiła ciotka Anastazja, która i w tym względzie znała się na rzeczy.

— Ale jeszcze gorzej jest — dopowiadała ścisłym głosem, kiwając przy tym palcem

wskazującym prawej ręki — jeszcze gorzej jest, gdy mężczyzna tymi sprawami w ogóle się nie interesuje. To jest sprzeczne z naturą i z takiego człowieka nic dobrego nie będzie — ani mąż (Boże uchroni), ani wojskowy, ani nawet poeta czy ksiądz, najwyżej jakiś uczonek.

I choć Lea знаła Reutowicza od lat, to nadal pozostawał dla niej zagadką, której do tej pory wolała nie zgłębiać. Jednak sytuacja zmieniła się diametralnie, stał się dla niej kimś ważnym i gdy z dumą posiadacza oprowadzał ją po składzie, od czasu do czasu podając jej rękę, gdy mówił głosem uprzejmym i miłym dla ucha: — Proszę uważać, tu są wysokie stopnie — ona uśmiechała się lekko, zgrabnie przeskakiwała po schodach, ukazując przy tym wyjściowe pantofle, które nosiła tylko do kościoła i na szczególną okazję, i zastanawiała się, o co mu właściwie chodzi. Kiedy pokazał jej pokój wagowy, gdzie delikatne wagi analityczne schowane były pod szklanymi kloszami jak ciastka w cukierni, ona obserwowała go, rozmyślając, jaką ma naturę, jakie zalety, a jakie słabości i słabostki. Wad z pewnością mogłaby wymienić sporo, ale chciała być sprawiedliwa, szukała więc w nim delikatności, lotności umysłu, wyrozumiałości czy zwykłej dobroci i innych cech ogólnie uważanych za pozytywne, lecz te poszukiwania wypadały z różnym efektem. Nadal myślała nad jego charakterem, gdy on, niczego nieświadomy, objaśniał jej działanie błyszczącej nowością maszynki do napełniania tubek maścią, a przy okazji zwrócił uwagę jednemu z pracowników, że trzeba ją lepiej nasmarować, bo zgrzyta. Lea w tym czasie zdążyła przyjrzeć się jego dłoniom, które mogły zdradzić prawdziwy charakter. Palec wskazujący niemal równy z serdecznym oznacza człowieka spokojnego i zrównoważonego, przypominała sobie podstawy chiromancji wynotowane niegdyś z „Gazety Rolniczej”. Bzdura, on wcale taki nie jest, stwierdziła rozczarowana. Na tyle go przecież znam.

W końcu przeszli do magazynów, chłodnych i przestronnych, gdzie każdy krok słychać było jak trzask suchej deski, a w powietrzu unosił się zapach leków i środków dezynfekcyjnych.

— Tu mamy pierwszorzędną wazelinę, masło kakaowe, wosk... — wyliczał, wskazując jej pudła i słoje. — Wszystko od sprawdzonych dostawców... — informował poważnie i konkretnie, jakby przedstawiał jej ofertę handlową.

Chyba jest jeszcze większym nudziarzem niż Józef. Mógłby wreszcie powiedzieć, czego chce, pomyślała, starając się nie okazywać znużenia. Ale Reutowicz, jakby nie dostrzegał jej znużonej miny, zaprowadził ją do pustego, pachnącego świeżym tynkiem pomieszczenia, w którym zamierzał zainstalować kocioł parowy do destylacji. Stał na środku i z wizjonerskim błyskiem w oczach objaśniał, gdzie ustawi kocioł i jak to urządzi. Echo odbijające się od ścian zwielokrotniało jego głos, gdy przedstawiał jej swoją wizję rozwoju wytwórni.

— No i co pani powie, jak się to pani podoba? — zapytał, spoglądając na nią wyczekująco.

Namyśliła się chwilę, przeszła kilka kroków do okna i wyjrzała na mniej nowoczesne, rozsypujące się przybudówki i rozłożyste kasztanowiec, który przybierał lekko złotawe barwy.

— Nie znam się na tym — przyznała. — Nie wiem, jaki to przynosi dochód; podejrzewam, że większy niż laboratorium Józefa. Chce pan rozwijać firmę, inwestuje pan w przyszłość. Myślę, że to dobrze, nie można stać w miejscu. Podoba mi się — odparła i odczekała, aż na jego twarzy pojawi się uśmiech zadowolenia, a wtedy uznała, że może pozwolić sobie na drobną krytykę. — Ale pan nie zatrudnia tu kobiet — zauważyła z zatroskaną miną.

Roześmiał się.

— Właśnie tego mi brakowało, drobnej szpileczki, którą pani wbije mi pod paznokieć z humanitarnym współczuciem. Cały czas tak grzecznie pani potakiwała, myślałem, że już się pani nie zdobędzie na żaden przytyk — powiedział, wymawiając każde słowo z prawdziwym zadowoleniem. — Nie, nie zatrudniam kobiet, nie mam takiej potrzeby. Uważam, że kobiety nie powinny odbierać miejsc pracy tym, którzy muszą utrzymać dom. To chciała pani usłyszeć?

Skinęła głową.

— Mniej więcej tego się spodziewałam. Odkąd pana znam, powtarza pan to samo i nadal nie zmienił pan zdania. Co w takim razie skłoniło pana, żeby pozwolić mi na robienie perfum? — zapytała, omijając stertę cegieł zostawioną przez robotników na środku pomieszczenia.

Odezwał się po chwili milczenia.

— Przyznam, że z panią mam spory kłopot; jest pani współwłaścicielką apteki, a na dodatek osobą niespełnioną, o niepotrzebnie rozbudzonych ambicjach. Nie wiedziałem, co z panią zrobić. Musiałem zaryzykować, wybrać mniejsze zło.

Przystanąła i zmarszczyła brwi.

— Tak pan o mnie myśli?

Znów popatrzył na nią z pobłażliwym uśmiechem.

— Mniej więcej jest to chyba zgodne z prawdą.

— Nie! — zaprzeczyła gwałtownie. — Ja nie mam nadmiernie rozbudzonych ambicji. Tłumaczyłam panu, dlaczego to robię — odparła urażona i energicznie wkroczyła na deski rozłożone nad świeżym fundamentem.

Deski się zachybotwały. Podał jej rękę, żeby nie straciła równowagi, i przyciągnął do siebie, jakby chciał sprawdzić, jak zareaguje na jego bliskość i dotyk.

— Co pan robi! — zaprotestowała, próbując się oswobodzić.

Roześmiał się i jeszcze mocniej ją przytrzymał.

— Naprawdę nie wiem, co z panią zrobić. Chce być pani niezależna, ale to nonsens, pani mnie potrzebuje jak filiżanki dobrej kawy, którą wypija pani kilka razy dziennie. Z kim będzie się pani spierała, jeśli nie ze mną? Przecież pani to lubi. Lubi mnie pani drażnić?

Musiała podnieść głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Jest pan okropnym bufonem! — stwierdziła rozdrażniona, znów próbując się oswobodzić. — Puść!

— To prawdziwa przyjemność rozmawiać z panią tak szczerze — powiedział jej do ucha.

Pomyślała, że ostatecznie teraz mógłby ją pocałować i nie miałyby mu tego specjalnie za złe, ale nie zrobił tego i to jeszcze bardziej ją rozdrażniło. Co z niego za mężczyzna? Dureń, skłęła go w myślach.

— Zapraszam panią do biura na kawę — powiedział spokojnym tonem, rozluźniając uścisk.

Biuro urządzone było całkiem skromnie, prostymi jesionowymi meblami. Przy oknie stała okazałych rozmiarów szafa na dokumenty, na ścianie wisiało kilka oprawionych w dyskretne ramki dyplomów, jakie Reutowicz zdobył na wystawach za swoje wyroby. Było jeszcze kilka krzeseł i szafek, a niemal na samym środku i w stosownym oddaleniu od pozostałych mebli, podkreślającym wagę tego miejsca, stało biurko, mocne i solidne jak podejmowane przy nim decyzje. Na nim, oprócz przyborów do pisania, stały dwie marmurowe sowy ze złocistymi oczami, które służyły jako przyciski do papieru i przytrzymywały kartki pokryte zamasztyłym pismem Reutowicza. Za sowami Lea dostrzegła dwa kasztany w zielonych łupinach. Leżały samotnie, jakby przed chwilą ktoś je tam zostawił. Pomyślała, że to już jesień, i uświadomiła sobie, że on wkrótce wyjedzie.

Reutowicz z zapalem opowiadał jej, co jeszcze chciałby zrobić, może wykupić tę nieczynną fabryczkę obok i tam rozwinąć wytwórnę. Rzadko widywała go takiego ożywionego, zastanawiała się, czy powie coś o jej udziale w tej przyszłości, ale nie wspomniał o tym, jego myśli biegły innymi torami. Słuchała go jednym uchem, piła kawę i skubała morele, które postawił przed nią na biurku, i zastanawiała się, czy wypada zapytać go o toaletę. Pewnie nie, odpowiedziała sobie z westchnieniem, ale zaryzykowała pytanie.

— Toaleta? Oczywiście, że jest. Chyba pani sobie nie wyobraża, że jestem półbogiem — odpowiedział, wskazując jej pomieszczenie na końcu korytarza. — Pokojówki niestety nie ma — dodał żartobliwie.

Toaleta była równie nowoczesna i prosta jak gabinet, bez pluszowych siedzeń, za to z fajansową muszlą, jaką pokazywano kilka lat temu na Wystawie Higienicznej. Była też umywalnia z bieżącą wodą. Lea długo trzymała ręce pod zimnym strumieniem, potem ochlapała twarz i szyję. Kropelki osiadły jej na rzęsach, przytłumiając światło. Jej spojrzenie na moment straciło ostrość, kolory przygasły, jakby patrzyła przez woalę.

Niby wszystko było proste i jasne, ale zaczęła dostrzegać pewną niespójność obrazu. Teraz Reutowicz wydawał się jej zupełnie zwyczajnym, chwilami nawet interesującym człowiekiem, ale było w nim coś, co budziło jej podejrzenia, jakiś cień. *Nie ufaj W.R.*, przypomniała sobie ostrzeżenie Jana. Ale nie, Jan nie był sprawiedliwy, po tym zjadliwym artykule w „Niwie” przekonała się, że to jemu nie należy ufać. Już nie wierzyła, że Reutowicz może mieć coś wspólnego z fałszerzami.

Trochę go poznała, poza tym człowiek, który ma tak nowoczesną toaletę, nie może być zwykłym draniem i prostakiem wykorzystującym ludzkie nieszczęście. Fakt, że miewa gorsze nastroje, bywa sfrustrowany i nieprzyjemny, ale nie może być zamieszany w żadne pospolite oszustwa, to wykluczone, zaprzeczyła zdecydowanie.

Skropiła skronie zimną wodą i poczuła przyjemne ożywienie. Może jednak powinnam go uwieść, zaśmiała się w duchu. Zerknęła w lustro, uśmiechnęła się do siebie, poprawiła włosy, zwilżyła wargi i w dużo lepszym nastroju wróciła do gabinetu.

Stał przy oknie i czytał list; na odgłos jej kroków złożył go, schował do kieszeni i spojrzał na nią ciężkim wzrokiem. W jego oczach nie było już ani odrobiny wesołości.

— Coś się stało? — zapytała, wyczuwając, że wiadomość, którą otrzymał, nie była zbyt dobra.

Pokręcił głową.

— Nie, nic takiego — starał się podtrzymać swobodny nastrój, który ulotnił się jednak jak kamfora.

Wizyta zakończona, pomyślała. Chciała wracać, wiedziała, że nie czeka jej już żadna niespodzianka, nie miał dla niej żadnej oferty — ani handlowej, ani innej. Zrezygnował. Właściwa chwila minęła, przegapiona przez nich oboje.

Zrobiło się późno; stróż przywołał dorożkę, gwizdząc przeciągle na przejeżdżającego w pobliżu fiakra. Wsiadli, Reutowicz wciąż był zamyślony, jakby nieobecny. Lea zagadywała go. Chciała powiedzieć mu coś miłego, ale nie mogła znaleźć właściwych słów.

Słońce zachodziło za widoczną na drugim brzegu Wisły zamkową wieżą, kiedy wyjechali koło cerkwi świętej Magdaleny i skręcili w kierunku mostu Aleksandryjskiego. Jechali w milczeniu. Przez chwilę słychać było tylko stukot końskich kopyt, turkot kół i niewyraźną melodię piosenki śpiewanej gdzieś w oddali.

Łagodny podmuch od Wisły przyniósł rzeczny woń. Zapach wilgotnego piasku, smołowanych łodzi i wody obmywającej brzeg i unoszącej z sobą drobiny minionych spraw mieszał się z zapachem koni, wyprawionej skóry i ludzkiego potu.

Reutowicz patrzył przed siebie; matowym głosem powiedział, że Trichonow prawdopodobnie wznowi śledztwo w sprawie zafalszowanych leków, że są jakieś nowe poszlaki, nowi świadkowie i nowi podejrzani, znowu się zaczną. Minę miał przy tym niemal grobową.

Zupełnie nie wiedziała, co o tym sądzić. Chyba nie ma się czym przejmować, uznała, skoro on jest po tej samej stronie, będą trzymali wspólny front.

— Niech się pan nie martwi, może w końcu wykryją, kto stał za włamaniem do apteki — powiedziała, dotykając delikatnie jego ramienia.

— Oczywiście, nie trzeba z góry się przejmować — odparł spokojnie i jakby z rezygnacją.

To ją zaniepokoiło.

— Pan ma jakieś kłopoty? Tak nagle stracił pan humor. Stało się coś? — dopytywała się. — To ten list, coś z firmą?

Pokręcił przecząco głową.

— Rozumiem, nie moja sprawa — odpowiedziała sobie, i przechylając się ku niemu, dodała: — Myślałam, że zasłuży pan na nagrodę, dziś był pan dość miły — starała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie, jakby proponowała mu filiżankę kawy. A w końcu przytrzymała się jego ramienia i pocałowała go w policzek.

Łatwiej było jej to zrobić przy zachodzącym słońcu, kiedy gasły kolory, bladły kontrasty, a nienaruszalne kontury kruszyły się i pękały jak łupina orzecha zmiażdżona w drzwiach. Wydawało się jej, że wiele spraw jest wtedy na granicy, tak pół na pół, i to, co w dzień uchodzi za przesadę, a w nocy

jest nic nieznaczącym gestem, teraz staje się zabawne i miłe.

Był zaskoczony, a może tylko zdziwiony. Spojrzał jej w oczy, nie uśmiechał się.

— Co to miało być? Dobry uczynek, lituje się pani nade mną? — zapytał, unosząc lekko brwi.
— Pani wybaczy, ale to jak drugie parzenie herbaty. Podróbki mnie nie interesują.

Zmieszała się i szybko cofnęła rękę. Takiej odpowiedzi się nie spodziewała nawet po nim.

— Nigdy nie wiem, kiedy pan mówi poważnie, a kiedy żartuje.

— Teraz mówię poważnie.

— To nie było drugie parzenie herbaty — zapewniła urażona. — Chciałam panu podziękować za wieczór i powiedzieć, że lubię pana, mimo wszystko, mimo że jest pan okropny. Ale pan na to absolutnie nie zasługuje.

W końcu się roześmiał, choć niewesoło.

— No proszę, dziś mnie pani lubi. Jest pani niebywale łaskawa, Lea. Zobaczę, co z tego wyniknie.

Wszystko zależy od okoliczności. Gdyby nie jechali dorożką, na dodatek z odkrytą budą, mogłoby się to inaczej skończyć. Lea zrobiłaby jakiś dramatyczny gest, powiedziałaby, że nic już nie wyniknie, a tak przełknęła przykre słowa i tylko pod nosem mruknęła „idź do diabła”, zagłuszone przez stukot wozu po kocich łbach, i ostentacyjnie odwróciła się od niego. Nie odparła też nic, kiedy powiedział:

— Wybacz, Lea, nie powinienem był tego mówić — przyznał. Wziął ją za rękę, ściągnął z niej rękawiczkę i odsłaniając wnętrze dłoni, pocałował właśnie ten kawałek, nagi i wrażliwy na dotyk jak uśpiona tafla jeziora. Poczowała ukłucia w okolicy serca i w innych częściach ciała, jakieś mrowienie albo wyładowania elektryczne, które wzięła za niepokojące objawy dominacji emocji nad rozsądkiem.

Właściwie nic więcej się nie stało, dorożka zatrzymała się na Rynku, Lea wysiadła, ale nadal czuła się urażona i nie mogła wydobyć z siebie słowa. Wincent odprowadził ją na Kamienne Schodki. Jeszcze raz pocałował w rękę, całkiem obojętnie i chyba tylko po to, żeby zniwelować wrażenie, jakie zrobił na niej kilka minut wcześniej. Powiedziała mu „dobranoc” i zamaszystym krokiem, zdradzającym wzburzenie, ruszyła do drzwi.

— Lea! — zawołał za nią, a jego głos roztopił się w mroku i dobiegał do niej z każdej strony.

Odwróciła się bardzo powoli. Nie wiedziała, czego się po nim spodziewać.

Tym razem pocałował ją w usta z precyzyjnie niedokończoną namiętnością, tak żeby czuła niedosyt.

— Widzisz, jakie to proste — szepnęła jej do ucha. — I nie wyobrażaj sobie, że możesz wodzić mnie za nos.

W poniedziałek Reutowicz nie pojawił się w aptece. Przyszedł we wtorek i zdawał się nie pamiętać o sobotnim wieczorze. Był taki jak zwykle, jakby tamto było tylko niewartym wspomnienia incydentem. Zachowywał się uprzejmie, ale bez przesady, bez żadnych migotliwych spojrzeń czy aluzji. To jej odpowiadało. Kiedy wieczorem skończyła pracę przy perfumach, wyszedł razem z nią z apteki i odprowadził do mieszkania. Postanowiła, że okaże mu wspaniałomyślność, zapomni o jego sobotnim zachowaniu i zobaczy, co z tego wyniknie. Reutowicz wszedł z nią na chwilę i został na kolacji.

— Wiem, że się wpraszam, ale trudno się oprzeć domowej kuchni — powiedział, gdy Agata postawiła na stole półmisek parujących pierogów.

Lea zdziwiła się, że się nie wymówił, ale najwyraźniej czuł się u niej swobodnie, jakby czas się cofnął i znowu znaleźli się w dawnym mieszkaniu przy Pivnej, a Józef miał zaraz przyjść. Może właśnie tego mu brakowało.

— Lubilem te kolacje — powiedział, zgadując, o czym Lea myśli. — Czekałem na nie, tak jak Tymon i reszta. Nie chodziło tylko o smaczną kuchnię, ale o to, że pani specjalnie szykowała to dla nas, to było przyjemne złudzenie — powiedział, nakładając sobie pierogi z białej salaterki od świątecznego kompletu.

— Mój Boże — jęknęła zażenowana. — Pan mi tego nie zapomni, że pana wyprosiłam. Gdybym

mogła cofnąć czas, nigdy bym tego nie zrobiła. Wtedy byłam zła na pana za ten bankiet, ale mogłam załatwić to inaczej, powiedzieć kilka słów, a nie w ten sposób. Jeszcze dziś wstyd mi z tego powodu, przepraszam, to było okropne z mojej strony — przyznała z rumieńcem na twarzy.

Przyjrzał się astrom w szklanym wazonie, a potem przeniósł wzrok na Leę.

— Nie, to już nie ma dla mnie znaczenia, proszę nie robić sobie z tego powodu wyrzutów — powiedział obojętnym tonem. Sięgnął po serwetkę, którą wytarł usta i brodę, a potem uniósł lekko głowę i dodał: — Nie ma do czego wracać.

Akurat, pomyślała. Czowała się zakłopotana i zaskoczona, że rozmawia z nim tak zwyczajnie, jak ze starym znajomym. Było w tym coś dziwnego, wręcz niepokojącego. Nadal nie była go pewna.

Wiedziała, że chce z nim pracować, zależało jej na dokończeniu praktyki — ale czy coś więcej?

— Lea, chciałem z panią porozmawiać w sobotę, ale ten list wytrącił mnie z równowagi. Myślałem potem o pani — wziął ją za dłoń, na której wciąż połyskiwała obrączka. — Pani nie obawia się być sama? Ja się tego boję, myślę, że trwonię czas, widzę, jak wokół mnie umierają ludzie, moja córka, żona, niedawno Józef — zamilkł na chwilę, ale zaraz dodał z niepokojem: — Zdaję sobie sprawę, że niebawem może przyjść pora i na mnie. Pani tak nie uważa? Nie myśli pani, że czas ucieka, a my nie możemy się zdecydować, co zrobić z tą resztką, która nam została?

Podniosła na niego wzrok.

— Nie, nie myślałam w ten sposób. Wcale nie myślę o przyszłości, najwyżej o tym, żeby zrobić praktykę, to dla mnie ważne. Wiem, pan uważa, że to fanaberia, ale ja nie chcę być już bezradna, nie chcę zawsze potrzebować męskiego wsparcia.

— Więc nie zmieniała pani zdania? Nadal chce pani pracować w aptece?

— Oczywiście, że chcę — zapewniła i dodała z przekorą: — Mimo wszystko.

— W takim razie może zacząć pani po moim powrocie z Petersburga.

Uśmiechnęła się zadowolona.

— Bardzo się cieszę, to dla mnie wiele znaczy. Nie wie pan, jak ciężko mi było poukładać sobie życie na nowo. Przedtem wszystko obracało się wokół Józefa i apteki. On był kimś pewnym, na kim mogłam się oprzeć, wydawało mi się, że zawsze tak będzie, a kiedy go zabrakło, cały mój świat się rozsypał. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Wtedy postanowiłam, że muszę być samodzielna, sama sobie radzić i nie czekać na czyjąś pomoc. Rozumie pan? — popatrzyła mu w oczy, oczekując, że w końcu to pojmie.

— Chyba rozumiem — powiedział poważnie. — Byłoby prościej, gdyby nie ten dziennikarz. Zadurzyła się pani w nim jak pensjonarka — wypomniał jej, rzucając spojrzenie spod zmarszczonych brwi. — Mam nadzieję, że już pani o nim zapomniała. I niech pani mi nie mówi, że nic więcej poza apteką nie ma dla pani znaczenia. Nie uwierzę, nie po tym, co mówią pani oczy, kiedy się pani na mnie złości — dodał zaczepnie.

Kiedy wyszedł, Lea się zamyśliła. Miała wrażenie, że z jakichś powodów nie powiedzieli sobie tego, co najważniejsze, widocznie jeszcze nie pora. Zresztą co miałyby mu powiedzieć? Że ostatecznie mogliby być razem, bo nikt lepszy jej się nie trafił; że i tak są ze sobą powiązani przez Józefa, aptekę i sprawę fałszerzy, która wydawała się już zakończona, a teraz znowu wypływa na powierzchnię jak śnięta ryba? Może rzeczywiście są na siebie skazani, ale jeszcze nie mogła sobie tego wyobrazić tak do końca. Było coś, co ją w nim niepokoiło, jakiś cień przyczajony głęboko w jego źrenicach, który sprawiał, że czuła się przy nim niepewnie. No i ta broda.

Agata sprzątała ze stołu. Zebrała talerze, nie poszła jednak do kuchni, tylko przystanąła w drzwiach, zerknęła na Leę i powiedziała:

— Jak to dobrze, że akurat pierogów naszykowała, wie pani, z tego mięsa, co z rosołu było, i trochę dałam przyrumienionej cebulki i gałki, i czarnego pieprzu. Pamiętaj pani Urszulcię, ona mówiła, że każdy chłop to lubi pierogi, tylko muszą być małe i jędrne, i żeby dużo farszu było, i trochę pieprzne. Takie w sam raz na początek, bo najpierw trzeba trochę pojechać, skusić, ale wszystkiego co dobre nie dawać od razu — zaśmiała się chytrze. — I świętą prawdę mówiła. Nieboszczyk, pan Klonowski, a i pan Jan, co do pani zachodził, pierogi chwalił. Mówię pani, każdy mężczyzna to lubi

zjeść i lubi, jak kobieta koło niego chodzi, jak go poważa. A i kobieta zaraz lepiej się czuje, jak ma dla kogo gotować — dzieliła się swoją życiową mądrością. — I widzi mi się, że pan Reutowicz to chciałby się z panią dogadać. Tylko trzeba go trochę zachęcić. Teraz grzeczny z niego człowiek i dobry katolik, a jakże, i jeszcze całkiem do rzeczy, może trochę mizerny, ale się go odchucha, a spodnie przecież nosi. A lepszy rydz niż nic, i to nawet byłby grzech, gdyby taką okazję przepuścić. Ciotka panina w grobie by się przewróciła. Mądra kobieta z niej była, wiedziała, że dom bez mężczyzny to jak, za przeproszeniem, wóz bez konia.

— Nikt cię o zdanie nie pytał — mruknęła zagniewana Lea.

Jeszcze nie postanowiła, czy chce dogadywać się z nim aż do tego stopnia, na razie wystarczył jej rozejm i trochę przyjaźni; uważała, że to całkiem rozsądne rozwiązanie. Ale czy jemu to wystarczy? Raczej nie.

Reutowicz rozejm pojmował całkiem inaczej. Coraz częściej odprowadzał Leę i zostawał u niej coraz dłużej, na herbatę albo kawę, na kolację, z nadzieją, że kiedyś zostanie do rana. Nie to, żeby usychał z namiętności, o to go Lea nie podejrzewała, ale byłoby mu u niej miło i wygodnie. Na razie rozmawiali. Nie był takim dobrym gawędziarzem jak Józef, nie zanurzał się w dygresje, ale przedstawił jej ponętą, jego zdaniem, wizję przyszłości (co najmniej na kilka pokoleń), rozwoju wytwórni i produkcji preparatów leczniczych, a może i kosmetyków, Więc może lepiej by było wycofać udziały ze spółki Składy Materiałów Aptecznych i włożyć te pieniądze w jego wytwórnię? To jest kwestia do przemyslenia, dodawał, ale mówił to z taką pewnością siebie, jakby nigdy nie doznał porażki, jakby to on zawsze ustalał reguły gry i wszystko musiało być zgodne z jego wolą i zamysłem.

O sobie, swojej przeszłości mówił rzadko i niewiele, za to Lea raczyła go historyjkami ze swego dzieciństwa, za każdym razem nieco upiększając opowieść, aż ta stała się mocno oderwaną od rzeczywistości podróbką.

— Lea, proszę wybaczyć, ale absolutnie pani nie wierzę — powiedział znudzony i popatrzył na zegarek. — Chyba już pójdę; jeśli nie chce pani ze mną poważnie rozmawiać, to nie będę zabierał pani czasu.

Speszyla się, spuściła wzrok i patrzyła na cienie, które rzucała firanka poruszona wiatrem.

— Zawsze to lepiej brzmi, jak powiem, że byłam szczęśliwa. A prawda jest taka, że ciągle się bałam, najbardziej ojca, miał ciężką rękę, potem wuja, który wolałby odesłać mnie do sierocińca albo oddać na służbę. Ciotki też się bałam, była surowa, ale tak musiała — pierwszy raz zdobyła się wobec niego na taką szczerść. — O pewnych rzeczach nie chcę pamiętać. Każdy ma jakieś sprawy do zapomnienia, ja to rozumiem, ale jest coś, co nie daje mi spokoju — spojrzała na niego poważnie, z oczekiwaniem, że dowie się prawdy. — Chodzi mi o Sabinę. Józef nigdy mi o niej nie opowiadał, a ja miałam wrażenie, że każdy mnie do niej porównuje. Pan oczywiście też oceniał mnie jej miarą. Kiedy zobaczyłam jej zdjęcie, zrozumiałam, skąd te zdziwione spojrzenia. Nic nie przemawiało na moją korzyść, byłam jej bardzo kiepską namiastką. Drugie parzenie herbaty albo i gorzej.

Reutowicz poprawił się na krześle, założył nogę na nogę.

— No proszę, wiedziałem, że pani kiedyś do tego wróci. I co mam pani powiedzieć?

— Proszę mi o niej opowiedzieć, chciałabym zrozumieć, co się stało. — Jej prośba zabrzmiała naiwnie, jak prośba dziecka, ale uznała, że tak najlepiej. Prosto z mostu, bez kluczenia.

— Co tu jest do zrozumienia? Nie pasowali do siebie, Sabina była nieszczęśliwa i robiła wszystko, żeby jego też unieszczęśliwić. Piła, wdawała się w romanse. — Popatrzył jej w oczy i tym samym beznamiętnym tonem powiedział: — Tak, słusznie się pani domyślała, że spotkałem się z nią kilka razy. Moja żona wyjechała wtedy na Krym, nie było jej pół roku, a Sabina potrafiła być zabawna. Nic szczególnego do niej nie czułem, zwykła niezobowiązująca przygoda... — przerwał na chwilę, zamyślił się, jakby sortował swoje wspomnienia. Spojrzał na Leę i obserwując, jakie wrażenie wywarły na niej jego słowa, mówił dalej: — Tego wieczoru, kiedy Sabina zniknęła, Józef przyszedł do mnie dobrze po północy i powiedział, że nie wróciła do domu. Szukaliśmy jej razem po restauracjach

i knajpach, bez skutku. Następnego dnia znaleziono ją nad Wisłą. On bardzo to przeżywał, do tego policja i przesłuchanie. Uznano, że to była próba samobójcza i sprawa przycichła. — Sięgnął po pudełko papierosów batumskich i zerknął na Leę. — Można? — zapytał i nie czekając na odpowiedź, zapalił. Przez moment smakował słodkawy aromat, potem powiedział jakby z ulgą: — To był koniec. Nic już nie dało się zrobić, sama za siebie zdecydowała. A ja czułem się winny, nikt mnie wprost nie oskarżał, ale Michalina nie potrafiła zapomnieć i dbała o to, żebym nie zapomniał.

— A Józef wiedział? Wybaczył panu? — nie potrafiła tego zrozumieć.

— Myśli pani, że takich spraw się nie wybacza? Nie wybaczyłby pani, gdyby się dowiedział o Fiszerze?

Lea usiadła na skraju sofy, czujna, niepewna.

— Nie wiem — przyznała. — Może nie znałam dla niego tyle co Sabina.

— Myli się pani, znała pani dla niego dużo więcej. Sabina była wyjątkowo ładna, zjawiskowa, każdemu mogła zawrócić w głowie, ale nic poza tym.

— Więc dlaczego się z nią ożenił?

Spojrzał na nią zniecierpliwiony.

— Jeśli liczysz na sentymentalną historyjkę, to rozczaruję cię. — Zaczął mówić jej po imieniu, uznając najwyraźniej, że intymność zwierzeń upoważnia go do tego. — Posag Sabiny to był jej główny atut i powód małżeństwa. Zresztą czy to ważne, z jakiego powodu ludzie się pobierają? Ważne, jak ze sobą później żyją. Popatrz na mnie, Michalina była moją miłością, byliśmy nierozłączni, zakochani w sobie, i co się z nami potem stało? A ty i Józef? Na udane życie nie ma recepty, nawet twoja ciotka jej nie znała, nawet ty, Lea, nawet ty.

Przez zasłonę dymu przyglądał się jej, a ona siedziała sztywno na brzegu sofy i ważyła każde jego słowo.

— To wszystko — zakończył obojętnym tonem, jakby ta sprawa dawno przestała wzbudzać w nim emocje, zaciągnął się kilka razy i zgasił niedopałek na talerzyku. — I nic mi nie powiesz, jesteś zgorzonna?

Słysząc było mechaniczne tykanie zegara. Lea wpatrywała się w niedopałek, z którego jeszcze przez chwilę ulatywała smuga dymu.

— Nie, nie jestem zgorzonna — zaprzeczyła niepewnie. — Nie oceniam ani ciebie, ani jego, ale nie mogę uwierzyć, że tak postąpił. To do niego niepodobne.

— Naturalnie Józef to ideał, zwłaszcza odkąd nie żyje, a ja jestem wszystkiemu winny. Co do tego nie masz wątpliwości? — znów był ironiczny i wyniosły, ale po chwili w jego oczach pojawiły się zawiązki zmęczenia, a może rezygnacji. Dotknął jej dłoni. — Lea, powiedz szczerze, co o mnie myślisz.

Nie mogła go rozgryźć, na jego obraz składało się wiele twarzy, odcieni głosu, gestów, zapachów i zdarzeń, wiele słów nie zawsze prawdziwych i spojrzeń czasami gęstych od mroku. Próbowwała zebrać myśli, ale wszystkie były zbyt nieporadne, niepełne. Wstała, podeszła do okna i popatrzyła na wrześnieowy wieczór. Ulicą szli zapóźnieni przechodnie, rozdeptując resztki chmurnego nieba, które odbijało się w czarnych kałużach. Obserwowała ich, dopóki nie znikli w kąciku szyby, na której osiadał jej oddech. Pamiętała, że kiedyś stała tak przy oknie w mieszkaniu przy Pivnej i patrzyła, czy burza się oddala; wtedy Reutowicz budził w niej same złe emocje. Od tamtej pory dużo się zmieniło. Odwróciła się do niego.

— Dużo w tobie goryczy, Wincent — odparła przytłumionym głosem.

— Tylko tyle? Boisz się powiedzieć więcej? Aż tak źle? — zapytał rozczarowany.

Spojrzenie jego ciemnych oczu przenikało ją do szpiku kości. Nie wiedziała, co z tego wyniknie, chłód czy żar, od którego wszystko zamiera, taki jaki opadał latem na sad w Korytnicy, gdzie rosła jabłoń rodzajna, pod którą wylewano krew zabitych zwierząt, na pola i miedze obrośnięte dziką cykorią i piołunem, i na rzekę, która pochłonięła Adasia. Jej wspomnienia też były gorzkie, przemykały jej przed oczami, aż zakręciły się w nich łzy. Odetchnęła głęboko i powiedziała:

— Nie, Wincent. Aż tak źle o tobie nie myślę, ale muszę to wszystko sobie poskładać.

Zbliżał się październik, w aptece przygotowano ostatnią partię Podwójnego Sekretu. Teraz, gdy receptura perfum została dopracowana, wszystko szło sprawnie. Lea z namaszczeniem odważała składniki i umieszczała je w dużych szklanych butlach, w których potem stały, z każdym dniem nabierając mocy, chłonąc orientalne zapachy olibanum, słodkiego cynamonu i ożywczej bergamotki, by w końcu połączyć się z niepokojącą wonią szarej ambry.

Reutowicz sprawdzał, czy żywica została prawidłowo oczyszczona, czy ambra dobrze się rozpuściła, a w końcu czy nastój nabrał właściwego zapachu. Najwięcej uwagi i cierpliwości wymagało filtrowanie, które trzeba było powtarzać kilkakrotnie, aż płyn stanie się klarowny. Reutowicz był przy tym nieznośnie wymagający. Uczniom, którym powierzył to zadanie, skóra cierpła na sam odgłos jego kroków, gdy wchodził do laboratorium i mówił, że trzeba powtórzyć filtrowanie. Dla Lei też nie był pobłażliwy; uprzejmie, acz stanowczo zwracał jej uwagę.

— Lea, pani zdaje się zapomniała, że ambry nie można zostawiać byle gdzie. Od razu należy ją przenieść do kolbki i zatkać korkiem.

Wreszcie Podwójny Sekret został rozlany do wysmukłych szklanych flakonów i zapakowany do kartonowych pudełeczek z winietą apteki i napisem w języku rosyjskim i francuskim. I chociaż Lea w dalszym ciągu uważała, że to nie jest ten zapach, który zapamiętała, że czegoś w nim brakuje, Reutowicz przekonywał ją, że najważniejsze i tak jest opakowanie i nazwa, intrygująca, ale niezbyt górnoletna. Podwójny Sekret był w sam raz, przemawiał do wyobraźni, każdy pan, nawet niski i gruby, a do tego łysy, bez większej gotówki i polotu, po skropieniu się Podwójnym Sekretem mógł poczuć się eleganckim i tajemniczym bohaterem romansów albo powieści awanturnych. Oczywiście zapach, przyjemny i trwały, był ważny, ale z zapachem trudniej było trafić w gusta odbiorców. To nazwa i opakowanie decydowało, czy ich perfumy zostaną zauważone. I Reutowicz w końcu uwierzył, że tak się stanie, uważał, że razem z wytwornie opakowanymi trociczkami stanowią ładny komplet, odpowiedni na prezent, a o mydle mogą pomyśleć później z Leonem.

Tydzień przed wyjazdem, kiedy już niemal wszystko było przygotowane do wysyłki na wystawę, kazał zgolić sobie brodę, pozostawił tylko wąsy, czarne i charakternie zakręcone do góry. Bez brody wyglądał dużo młodziej, jego twarz nie wydawała się już taka surowa i poważna. Mało tego, od czasu do czasu nucił sobie jakieś melodie, niekoniecznie z repertuaru chóru kościelnego. Według jednego z uczniów były to piosenki z wodewilu wystawianego w sezonie w Teatrze Letnim.

— Pan Reutowicz zmienił się nie do poznania — stwierdziła Agata, która specjalnie zajrzała do apteki, żeby na niego popatrzeć. — Teraz to zupełnie inny człowiek, całkiem przystojny z niego mężczyzna, psze pani. I pewnie to dla pani tak się odmienił.

Rzeczywiście, Reutowicz zaprosił Leę na kolację, a ona przyjęła zaproszenie i przygotowywała się na poważną rozmowę. Może właśnie tego chciała, przychodząc do niego z pomysłem robienia perfum? Może chciała być bliżej niego, przekonać się, jaki jest na co dzień. Swoich uczuć nie mogła opisać jednym słowem. Były jak mieszanina aromatów, słodkich, gorzkich i ostrych, zamkniętych w szklanym słoju, które w każdej chwili groziły eksplozją. On sam był dla niej zagadką, szufladą z podwójnym dnem albo podwójnym sekretem. Raz widziała go w aptece skupionego nad receptami, to znowu gdy, marszcząc czoło, tłumaczył jej zawilosci rynku, a potem przypominał jej się jego ironiczny uśmiech i kłujące słowa. Trudno było jej wyobrazić sobie, że mógłby być dla niej kimś więcej niż współnikiem i znajomym, ale od momentu, gdy spotkała się z nim przy Rycerskiej, a Józef to odkrył i uderzył go w twarz, czuła się z nim związana jakimś sekretem. Na jego widok nie odczuwała jednak radosnego bicia serca, nic z tych rzeczy, najwyżej zdziwienie, że ich znajomość posunęła się tak daleko, i to ją niepokoiło. Domyślała się, że to tylko kwestia czasu, kiedy znowu zapyta ją, co sądzi o wspólnej przyszłości. Co ma być, to będzie, pomyślała, chcąc dodać sobie pewności siebie, ale wiadomo, że raz kozie śmierć.

Na kolację wyszykowała się starannie, założyła swoją ulubioną liliową suknię, elegancką i drogą. Zastanawiała się nad kolczykami z perłami, które dostała od Józefa, bo pasowały jej do sukienki. Ale nie, dziś nie chciała żadnych rozmów o Sabinie. Przed wyjściem zsunęła z palca obrączkę i zamknęła ją

w pudełku wraz z kolczykami. To już przeszłość, pomyślała, lekko wzdychając.

Agata uczesała ją według najnowszej mody i swoich umiejętności.

— Takiej cebulki żadna miastowa pani już nie nosi, to już minęło, teraz nosi się bardziej napuszone i tu na czubku zebrane — objaśniała, wpinając szpilki i spinki w gruby węzełek włosów, żeby podtrzymać fryzurę.

Lea przyjrzała się sobie, w nowej fryzurze wyglądała trochę jak czupiradło, ale jeśli to teraz modne, to dlaczego nie. Zerknęła w lustro, poprawiła kilka kosmyków i uznała, że może być.

Wincent przyszedł po nią o siódmej, był elegancki i zadowolony. Pachniał Podwójnym Sekretem. Zabrał ją do Mleczarni Nadświd-rzańskiej, modnej kawiarni przy ulicy Niecałej, gdzie swojego czasu spotykali się artyści i literaci szukający natchnienia, a policja obyczajowa czekała na przejawy niemoralności i skandalu. Oprócz ekscytującej atmosfery lokal słynął z deserów i ciast o najróżniejszych smakach i wymyślnych nazwach oraz z obsługi w strojach górali podhalańskich, która przyjmowała stosownie wysokie napiwki. Wieczorami pojawiali się tam młodzi pikolacy, dyskretni do pewnych granic rozsądku i gotowi spełnić różne zamówienia.

— Często pan tu przychodzi? — zapytała, rozglądając się z ciekawością po sali przystrojonej trochę jak wiejska chata, a trochę jak hol w pałacu biskupa.

— Czasami, kiedy mam ochotę na coś specjalnego — przyznał z tajemniczym uśmiechem. — Mają tu wyśmienite suflety, w całej Warszawie takich się nie znajdzie.

Zamówili suflet migdałowy i ciasto z morelami, wypili do tego butelkę wina Saint Estèphe. Lea nie pamiętała, żeby Reutowicz kiedykolwiek przedtem był taki wesoły i tylko lekko złośliwy, ale wino potrafi czynić cuda. Ona też starała się być wesoła i beztraska.

— Lea, czasami mnie pani naprawdę niepokoi, zaczyna być pani taka miła, że nie wiem, co o tym sądzić — żartował, obserwując ją spod oka.

— Panu też się to zdarza — odpowiedziała w tym samym tonie i sięgnęła po kieliszek wina.

Pachniało jak ziemia po deszczu, jak noc na polu makowym.

— Jeśli chce mnie pan upić i skłonić do jakichś nieprzemyślanych deklaracji, to nic z tego. Przyszłam tu, żeby życzyć panu udanej podróży i powodzenia na wystawie, żeby wszystkie preparaty — i oczywiście Podwójny Sekret — zdobyły złote medale, wyróżnienia, dyplomy i co tam jeszcze można dostać — powiedziała, uśmiechając się do niego łagodnie, po przyjacielsku. — Naprawdę chciałabym, żeby się panu udało w Petersburgu.

— Postaram się pani nie zawieść. Sam jestem ciekawy, jak mi pójdzie, liczę, że lepiej niż na Wystawie Higienicznej — dodał z kpinią i zamilkł nagle, jakby ta dawna sprawa wciąż go gryzła. — Mówiłem już pani, że afera z fałszerzami nie jest zakończona, wznawiają dochodzenie — popatrzył jej poważnie w oczy. — Lea, proszę mi przyrzec, że cokolwiek by się działo, nie będzie pani robiła więcej głupstw, takich jak wypad do tej podejrzanej wytwórni.

Przekrzywiła głowę i pogładziła palcem nóżkę kieliszka.

— Miało być bez żadnych deklaracji, ale to chyba mogę panu przyrzec. Nie przewiduję żadnych wypraw na Pragę — powiedziała.

— To dobrze. Będę o panią spokojniejszy.

Potem jedli suflet i rozmawiali o sprawach nic nieznaczących, miłych i lekkich jak puch z dmuchawca. W końcu postawił jej pytanie, którego się obawiała.

— Lea, znamy się od lat i chyba się rozumiemy, więc może pomyśli pani o mnie nieco przychylniej i w końcu mi zaufa. Przetrwiała pani robienie perfum, sama pani z tym do mnie przyszła, może wytrzymałaby pani ze mną dłużej? — zawiesił głos i popatrzył na nią poważnie. — Mam swoje wady, nie przeczę, ale pani też ma.

— Niech pan przestanie — przerwała mu zażenowana. — Potrafi pan wszystko zepsuć.

— Udam, że tego nie słyszałem, i powiem, że wygląda pani uroczo, miło mi się z panią rozmawia. Doceniam, że próbuje być pani ze mną szczerą, w naszych czasach to rzadkość. Ale znamy się wystarczająco długo, żeby dużo o sobie wiedzieć.

— Józef o wszystkim panu mówił? — zapytała z niedowierzaniem i czuła, że się czerwieni.

— Józef nie o wszystkim wiedział — patrzył jej w oczy z szelmowskim uśmiechem. Nalał kolejny kieliszek wina i powiedział: — Pani zdrowie, Lea. Oczywiście nie wierzę, że jestem pani obojętny, i pochlebiam sobie, że przyjęła pani moje zaproszenie dla samej przyjemności przebywania ze mną.

Roześmiała się.

— Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest całkiem odwrotnie, ale zasadniczo nie wierzę w ani jedno pana słowo — odpowiedziała, przyglądając mu się z coraz większym zadowoleniem. Pomyślała, że bez brody wygląda dużo lepiej i jest nawet zabawny. — Nie wiedziałam, że potrafi być pan taki... że ma pan poczucie humoru. Myślałam, że zawsze jest pan poważny, zagniewany. Trudno mi było zrozumieć, że nie jest pan przeciwko mnie, że możemy być po jednej stronie.

Przysunął się i wziął ją za rękę.

— Przeciwko tobie? Może na samym początku nie miałem o tobie najlepszego wyobrażenia — przyznał. — Kiedy Józef przedstawił cię jako swoją żonę, pomyślałem, że zwariował, przecież mógł znaleźć sobie dużo lepszą. Nie mogłem pojąć, co w tobie widzi. Powiedział mi, że jesteś rozsądna, skromna, dobra, może trochę uparta i kłótniwa, tak o tobie mówił. Zwyczajna i całkiem inna niż Sabina. Potem zobaczyłem, że coś między wami jest, że jesteś z nim, a nie gdzieś obok, i tego mu zazdrościłem. A kiedy ten dziennikarz kręcił się koło ciebie, byłem rzeczywiście wściekły na niego i na ciebie — przyznał i w jego głosie znów pojawił się cień złości. — Nie wracajmy już do tego. Było, minęło. Teraz chcę, żebyś była ze mną — powiedział głosem pełnym oczekiwania.

Wino szybko wyparowało jej z głowy, starała się mówić spokojnie, żeby zabrzmiało to jak głos rozsądku.

— Wiem — odpowiedziała poważnie. Minęło kilka chwil, zanim zapytała: — Wincent, czy ja mogę ci ufać?

— To zależy, czy chcesz.

— Tak — stwierdziła pewnie, mimo dławiącego uścisku w gardle. Tak, chciała mu ufać, chciała, żeby był kimś stałym w jej życiu, stałym na długo.

— To przesądza sprawę — odpowiedział bez namysłu.

Więc to takie proste, pomyślała zaskoczona. Może rzeczywiście to wystarczy. Na początek.

Wincent potrafił być zabawny, ale potrafił też być konkretny, patrząc jej w oczy, powiedział:

— Lea, mam taką propozycję. Napijemy się jeszcze wina, przestaniesz roztrząsać dawne sprawy i pojedziemy do ciebie, żeby miło zakończyć ten wieczór. I nie udawaj święcie oburzonej, wiem, że chcesz tego tak samo jak ja.

— Na pierwsze dwie się zgadzam, o trzeciej udam, że nie słyszałam — odparła po chwili, gdy udało się jej opanować emocje.

Pocałował ją w rękę, aż przeszedł ją dreszcz.

— Dobrze, jak sobie życzysz — zgodził się lekko, jakby z góry liczył się z niepowodzeniem. Jeszcze się do niej uśmiechał, ale żar w jego oczach przygasiał.

Kiedy wracali dorożką, usiadła obok niego i przyglądała mu się, w półmroku na tle okna dorożki widziała jego profil, wyglądał jak wycięty z czarnego papieru. Miała ochotę dotknąć go i sprawdzić, czy jest rzeczywisty.

— Na co jeszcze czekasz, Lea? — zapytał, odgadując jej myśli. — Miałaś mnie uwieść. Zrób to, zanim wyjadę. Nawet jeśli masz udawać, to udawaj, ale dobrze, z pasją, tak jak się na mnie złościsz, żeby zważyło mnie z nóg, a potem żebym myślał o tobie w dzień i w nocy i miał się czym chwalić przy wódce — powiedział, ścis-kając jej dłoń aż do bólu. — Tak, żebym miał do kogo wracać.

Zatkało ją, przez jej głowę przeleciało kilka szalonych pomysłów, wszystkie skandaliczne.

— Jesteś wymagający — odparła, przysuwając się do niego i zapominając o słowach ciotki Anastazji, która mówiła, że porządna kobieta w tych sprawach nie może być wyrywna.

Nigdy nie sądziła, że będzie taki powściągliwy i że to ona zrobi pierwszy krok, ale nie mogła pozwolić, żeby zwyczajnie odszedł i zapomniał o niej. Był tak blisko, że czuła jego oddech na swojej twarzy, czuła bijące od niego ciepło i swój puls, który raptownie przyspieszał. Nie wiedziała, co ją

najbardziej w nim kusilo, moze włosy, geste i silne, pelne zycia. Kiedy przeczesala je palcami, w calym cielem poczula klujace igielki. Czekala, az ja pocałuje, ale nie zrobil tego, delikatnie dotknal dlonia jej policzka i ust, a wtedy wyczula zapach wina, olibanum, tytoniu i jakichs ziol. Intrygujacy i niepokojaacy zarazem.

— Zastanow sie, czego chcesz, Lea — dodal sciszonym glosem.

Niech go lichy, pomyslala i pocałowala go najpierw delikatnie, a w koncu z cala sila przycajonej w niej zlosci i pozadania.

Odpowiedzial jej z wlasciwa sobie mieszanina galanterii i drapieznosci. Nawet nie probowala zrozumiec, co ja do niego pcha. Byl jak niespokojny sen, z ktorego nie mozna sie obudzic. Dotknal jej piersi i zaczal rozpinać suknie.

— Przestań, tak nie mozna — zaprotestowala slabo. — Nie w dorozce.

Potem nie pamietala, jak znalazla sie w mieszkaniu, Wincent rzucil swój płaszcz zdziwionej Agacie i nie ogladajac sie na nic, zabral Leę do sypialni. Swiatlo latarni, ktore wpadalo przez okno, oswietlilo jego twarz, wydawala sie blada i powazna, ale patrzyl na Leę tak intensywnie, jakby chcial przeniknac jej myśli, zmienic ich bieg. Nie mogla oslonic sie od tego spojrzenia. Teraz wie o mnie wszystko, pomyslala. I zaraz jej myśli gdzieś sie rozpierzchly. Byl tylko on, zachlanny i zaborczy. Polozyl ja na lozku, wciskajac swoim ciezarem w wiśniowa narzute, ktora przywiozla kiedyś od ciotki Anastazji. Wiec jednak on, pomyslala, zapadajac sie coraz bardziej w poduszki i w jego objecia.

Mial spierzchniete usta, czula je w zgięciu szyi, potem na piersiach i na brzuchu. Czula jego zapach, gorzki i podniecajacy jak koniec lata, jak zapomnienie, gdy dusza nagle wylatuje z ciala, gdzieś spod serca albo z zywota. Moze tylko czastka duszy, bo tak po prawdzie to nie wiedziala, jak to z dusza w takich chwilach jest, ale musiało cos byc, chociaz nikt o tym nie mowil. Kiedy poczula go w sobie, jego silę i męskosc, wbila mu paznokcie w plecy, kreślac na nich czerwone linie zycia, serca i losu. Ich wspolne.

— Lea, do cholery, co robisz!

— Sam chciales — odpowiedziala, gryzac go jednoczesnie w ucho.

Potem, kiedy lezal obok niej lekko obrazony, ale i zadowolony z siebie, nie miala odwagi go dotknac ani odezwać sie do niego. Przygladala mu sie spod na wpol przymknietych powiek, nie ufala mu do konca, nadal wydawal sie jej troche obcy, arogancki i zadufany w sobie. Nie zwracal na nia uwagi, przeciagnal sie, zalozył rękę pod glowe, jego myśli zajmowaly inne sprawy. Pomyslala, ze chwila porozumienia miedzy nimi juz sie jej wymyka.

Kiedy wychodzil nad ranem, ledwo musnal ja wargami. Przy drzwiach odwrócił sie do niej, scisnal jej dlon i ucalowal.

— Badz zdrowa, Lea. I uwazaj na siebie — powiedzial, a wtedy jego oczy na moment staly sie orzechowe, pelne skrywanego ciepla.

I to wystarczylo, zeby zawrocił jej w glowie. Jakby dokladnie przewidzial i precyzyjnie odmierzyl czas, slowa i gesty, i zaaplikowal jej odpowiednia dawke czulosci, nie za duzo, bez przesady, zeby rozbudzic apetyt na wiecej.

Tak dlugo jak byla pod urokiem spedzonej z nim nocy, a troche to trwało, czula sie zadowolona, a nawet szczesliwa. Potem naszly ja watpliwosci, czy sie nie pomylila, czy nie postapila zbyt pochopnie. Nie wytrzymam z nim nawet tygodnia. On nie jest taki jak Jan ani nawet taki jak Jozef, jego nie da sie oswoic. Jest dziki i gorzki jak piołun potargany wiatrem.

— Reutowicz? Chyba nie myslisz o nim powaznie? — Marianna wpatrywala sie w przyjaciolke z niedowierzaniem w oczach. Z wrazenia zapomniala o deserze, ktory omal nie spadl jej z lyzeczki na suknie. — Lea, no co ty!

Spotkaly sie w czwartek po wyjezdzie Reutowicza. Poszly do Ogrodu Saskiego, jak zwykle wstapily do cukierni na kawę i niesamowity wprost mus sliwkowy dobrze podlany arakiem.

— To co wlasciwie ci powiedzial? — niecierpliwila sie Marianna, gdy Lea zaplatala sie w swojej

opowieści.

— Powiedział, żebym się zastanowiła nad wspólną przyszłością. Dlatego chciałam cię zapytać, co o nim myślisz.

Marianna zmarszczyła brwi i się zamyśliła.

— Zaskoczyłaś mnie. Słabo go znam, właściwie tylko tyle, co Kazimierz o nim mówił. Nic złego, teraz nawet dobrze się dogadują, Reutowicz jest słowny, skrupulatny, no wiesz, jak to aptekarz.

Lea wyczuwała, że to nie wszystko.

— Ale dawniej było inaczej? — zgadywała.

— Nie wiem dokładnie, jak było. Kazimierz przyjaźnił się z twoim mężem, z Reutowiczem rzadziej się stykał, może dlatego uważał go za mniej przystępnego. — Znowu się namyślała, zjadła do końca mus i popatrzyła ze smutkiem na pusty pucharek. — Ojej, co ja mam ci powiedzieć. Kazimierz nic konkretnego nie mówił, ale wydaje mi się, że kiedyś się z nim ściał i nie lubił go. Nie mam pojęcia, o co poszło, pewnie o jakieś głupstwo, bo widywali się nadal, leczyl jego żonę, a to trwało dobre kilka lat. Odkąd pamiętam, to Reutowiczowa chorowała na suchoty. Zawsze było mi jej żal, pamiętam ją jeszcze jako całkiem ładną kobietę, ale smutną, małowówną, wydawała mi się nieszczęśliwa. Właściwie to nie dziwiłam się jej, choroba zmienia ludzi, wcześniej umarła im córka; domyślałam się, co przeżywała, on pewnie też, ale jemu nie potrafiłam współczuć. Chyba jestem okropna, bo nie współczułam mu, nawet gdy umarła jego żona. Ale trzeba oddać mu sprawiedliwość — robił, co mógł. Zawiózł ją nawet na Krym, a to niemało kosztuje — upiła łyk kawy, ustawiła filiżankę na spodeczku i dodała ściszone głosem: — Podobno potem miał problemy finansowe, chyba nie tylko finansowe. Mówiono o jakiejś innej kobiecie. Wspominałam ci, ale czy to prawda, nie wiem — dodała prawie szeptem. — To było dobre kilka lat temu, zanim przyjechałaś do Warszawy. Potem jakby przygasł, a po śmierci żony zupełnie zamknął się w sobie, jakby się wycofał. Sama widziałaś, że się zmienił — zamyśliła się, przez chwilę oglądała złoty listek na talerzyku. — Myślę, że to nie jest zły człowiek, Lea, ale czy zależy mu na tobie, czy bardziej na twoim udziale w aptece i pieniądzech, tego nie wiem — spojrzała na nią poważnie zaniepokojona. — A ty czujesz coś do niego? Sądziłam, że go nie lubisz.

Lea milczała, skubała brzeżek serwetki.

— Sama nie wiem — przyznała, spuszczać wzrok. — Jest w nim coś, co mnie intryguje, uwodzi. On potrafi być ujmujący i czasami mam wrażenie, jakby czytał w moich myślach, jakby mnie doskonale rozumiał, ale czasem mnie irytuje, i to bardzo. Drażni mnie i wyczuwam w nim jakiś cień. Coś mi podpowiada, żebym trzymała się od niego z daleka, a jednocześnie coś mnie do niego ciągnie — była zakłopotana swoim rozdzieleniem. — No i jest jeszcze apteka, z tego punktu widzenia związek z nim byłby rozsądnym wyjściem.

Marianna wyglądała na zaniepokojoną.

— Na twoim miejscu byłabym ostrożna, nie daj się mu podejść. To, co ci zostawił mąż, daje ci niezależność. Pomyśl, że łatwo możesz ją stracić. Dobrze się nad nim zastanów. Pomyśl, czy on da ci poczucie bezpieczeństwa? Naprawdę chcesz się z nim związać, czy tylko zapomnieć o panu Fiszerze? A może o mężu? Bo dla mnie tak to wygląda, jakbyś nie mogła znieść próżni koło siebie, i mam wątpliwości, czy Reutowicz jest dobrym środkiem na zapomnienie.

— Nie wiem — przyznała Lea, czując, że łyzy kręcą się jej w oczach. Wpatrywała się w gęstniejący za szybą mrok i wydawało się jej, że i ona tkwi w tym mroku, nasiąka nim jak gąbka.

W nocy przyśniła jej się łąka pełna ziół. Drzew wcale tam nie było, tylko niskie krzewinki o siwych listkach, pogiętych gałązkach i zebranych w wiechy złotych kwiatów. Olbrzymia przestrzeń pachnąca nagrzanym w słońcu piołunem, gorzkim i upajającym zapachem pożądania. Była sama, szła z koszem, zbierała do niego zioła. Musiała się spieszyć, bo cień burzowej chmury, która jak plama atramentu rozlanego na niebie, kroczył tuż za nią. Obudziła się, czując wokół siebie zapach piołunu.

Potem nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok, a wątpliwości wylażyły z zakątków jej umysłu jak karaluchy po zgaszeniu lampy. Do tej pory Wincent pozostawał w cieniu Józefa, był jego przyjacielem, może nawet złym duchem, który wyciągał go na zakrapiane bankiety, dzielił z nim niewygodne sekrety i ponure nastroje. Józef przy nim wydawał się łagodnym barankiem, chociaż nie

zawsze, ale to Wincent był drażliwy i niespokojny, prowokował spory i nie miał poczucia humoru. Idealem to on nie jest, uznawała z westchnieniem. Ale ma i pewne zalety, dopowiadała sobie. Dobrze prowadzi interesy, a do tego jest przystojny, no i ma połowę apteki. Ale jaki jest naprawdę?

Po wyjeździe Reutowicza w aptecę został Tymon, pan Andrzej i dwaj uczniowie. Do magazynu Lei przyszedł nowy fachowy pracownik, który miał jej pomagać, a właściwie robił wszystko za nią. Lea za to często zaglądała do apteki. Pan Andrzej zawsze starał się być uprzejmy i usłużny, doceniała to, jednak częściej rozmawiała z Tymonem, którego traktowała niemal jak swojego wychowanka, i to on przychodził do niej z wiadomościami od Reutowicza.

Najpierw przysłała depesza, w której Reutowicz napisał, że podróż miał dobrą, przyjęcie serdeczne, a wystawa została otworzona z lekkim opóźnieniem, ale za to z wielką pompą. Potem przeczytali o wystawie w „Kurierze”, w „Wiadomościach Farmaceutycznych” i w rosyjskim „Wraczu”. Im więcej informacji pojawiało się w gazetach, tym Reutowicz rzadziej pisał. W połowie października zawiadomił ich, że Podwójny Sekret ma szansę na wyróżnienie medalem, a przy tej okazji pozdrowił Leę. Potem przesłał kilka zdań, że wyroby apteki cieszą się zainteresowaniem, i to więcej niż umiarkowanym, i liczy na to, że znajdą odbiorców w Rosji. W końcu depesze przestały przychodzić. Tymon uważał, że Reutowicz ma dużo obowiązków, takich jak uczestniczenie w rautach, bankietach i innych okolicznościowych spotkaniach, tam nawiązuje znajomości, oczywiście handlowe, i opija sprawy winem szampańskim albo raczej rosyjską wódką, nie ma więc czasu na pisanie listów. Mówił to z lekkim cieniem zazdrości, mrużąc przy tym krótkowzroczne oczy, i Lea podejrzewała, że co do tych bankietów to ma rację.

Pod koniec października, kiedy spodziewali się, że Reutowicz niebawem wróci, zawiadomił ich o przedłużeniu swojego pobytu w Petersburgu. Pan Andrzej pokiwał głową i powiedział, że można się było tego spodziewać, bo Reutowicz przed wyjazdem wspomniał, że być może zostanie dłużej u krewnych. Lea poczuła ukłucie żalu, ale domyślała się, że konflikt z Towarzystwem i utrata widoków na funkcję w spółce chemicznej zniechęciły go do rozwijania interesów w Warszawie, więc zamierzał szukać dla siebie szansy gdzie indziej. To rozumiała, ale mógłby napisać do niej kilka słów, które potwierdziłyby, że myśli o niej poważnie i że gorąca wrześnie noc przed wyjazdem nie była tylko wybrykiem jego temperamentu, lecz początkiem poważnego związku. Reutowicz jednak się nie odzywał, a ona była coraz bardziej wytrącona z równowagi, coraz częściej zamyślała się, marszczyła czoło i spoglądała w dal, jakby z szarych miejskich pejzaży próbowała odczytać przyszłość. Wreszcie napisał do niej krótko, wyjaśniając, że różne okoliczności zmuszają go do przedłużenia pobytu w Petersburgu, ale liczy na to, że po powrocie do Warszawy Lea zdecyduje się wyjść za niego, a jeśli nie zmieniła zdania, to będzie mogła również rozpocząć praktykę. Jedno nie wyklucza drugiego, zapewniał ją swoim zamaszystym pismem, dodając, że nie powinna się niczym martwić i że niedługo wróci.

Nie był to list miłosny, raczej oszczędny w słowach komunikat, ale Lei to wystarczyło, żeby odzyskać dobry nastrój. Pomyślała, że jeszcze coś dobrego czeka ją w życiu. Gdy wieczorem zapaliła trociczki, jej wyobraźnia odzyskała lotność i wzniosła się w rejony skrajnego optymizmu zaprawionego świeżo parzoną herbatą i kieliszkiem domowej wiśniówki. Teraz, znając Wincenta nieco lepiej, wyobrażała sobie, że życie u jego boku będzie całkiem ciekawe. Gdyby okazał się taki poważny i pozbawiony humoru, jak się jej na początku wydawało, byłoby z nim dość nudno, ale mile ją zaskoczył delikatnością i ciepłem swojego dotyku, głosu, spojrzenia ciemnych oczu i może jeszcze czymś ją zaskoczy. Może jest trochę porywczy i nieprzewidywalny, ale w końcu chyba zdoła go oswoić. Ma pewne grzechy młodości na swoim koncie, ale bez przesady, kto ich nie ma, nawet ciotka Anastazja je miała. A ciotce Wincent na pewno by się podobał.

W tym stanie odurzenia Lea trwała ponad tydzień, roztaczając wokół siebie nieznośny klimat oczekiwanego szczęścia; biegała od magazynu do apteki, wesola, podekscytowana i niespokojna jak fryga. Nie zauważyła, że zmieniła się pogoda i zrobiło się zimno, nie spostrzegła, że szybciej zapada

mrok, a Tymon coraz częściej wodzi za nią smutnym wzrokiem. Ale potem wydarzyła się katastrofa i już nic nie było dla niej jasne, i niczego nie mogła być pewna.

Któregoś brzydkiego jesienno dnia, kiedy mgła zrobiła się tak gęsta, że można było zabłądzić nawet koło własnego domu, Lea zajrzała do apteki i wszystko się skomplikowało. Nie było nowych wiadomości od Reutowicza, natomiast w „Kurierze” rozpisywano się o wykryciu kolejnych zafałszowanych leków, a te informacje przykuły jej uwagę. Falszerze działali na coraz większą skalę. W Warszawie i Lublinie policja wykryła kilka zakładów, gdzie konfekcjonowano i skąd rozsyłano fałszyfikaty, i to nie tylko na teren Królestwa, ale i na całą Rosję. Rynek został niemal zalany podróbkami, wymieniono długą listę podrabianych specyfików, krajowych i zagranicznych firm, począwszy od leków na gruźlicę, zimnicę, ból głowy różnego pochodzenia, przez środki na porost włosów, a skończywszy na leczniczych pudrach i zasypkach dla niemowląt. W samym Królestwie straty ze sprzedaży fałszyfikatów aptecznych oceniano na dwieście tysięcy rubli, w Rosji na pięćset tysięcy rocznie, przeczytała z niedowierzaniem.

— I mój mąż próbował z nimi walczyć? Przecież to jak lawina, której nikt nie może powstrzymać — powiedziała do Tymona, oddając mu gazetę.

Tymon przytaknął, przełknął ślinę, a po chwili spojrzał na Leę nieśmiało.

— Pani Leokadio, jeśli byłaby pani tak uprzejma, chciałbym panią prosić... Bo mamy pewien problem z nową dostawą olejków... — dodał z zakłopotaniem. Ze skupieniem na młodzieńczej twarzy powiedział, że teraz wszystkie nowe surowce sprawdza po dwa razy, i poprosił ją, żeby mu w tym pomogła. — Dodali tu jakiegoś świństwa, ja to czuję — powiedział, pocierając czubek nosa, i podał Lei bibułę skropioną olejkiem miętowym, który niedawno przysłało do apteki.

Lea zaczęła szukać szkła powiększającego, chciała lepiej się temu przyjrzeć. Pamiętała, że Józef trzymał szkło w szufladzie biurka, zajrzała tam automatycznie, nie myśląc, że to już nie jest jego biurko. Szkło było na swoim miejscu, nie mogła jednak domknąć szuflady, szarpnęła raz, drugi i wtedy na podłogę wypadł notes oprawiony w wiśniową skórę.

Od razu poznała zaginiony notes Józefa. Przez chwilę patrzyła na niego jak na królika, który wyskoczył niespodziewanie z kardynalskiej infuły, w końcu powoli się schyliła i podniosła go. Nie miała odwagi spojrzeć Tymonowi w oczy, bała się, że znajdzie w nich te same podejrzenia, które rodziły się w jej głowie.

— Boże, a ja mu ufałam — powiedziała porażona prawdą i oklapła na krzesło koło biurka. W jednej chwili wszystko się zmieniło, jej plany na przyszłość rozsypały się w drobny mak, światło przygasło, jakby ktoś przykręcił knot lampy, zostawiając tylko płomyk nie większy niż błędny ognik. W mroku czekały na nią dawno uspione lęki i podejrzenia.

A już zaczynała tęsknić za nim, zaczęła się przyzwyczajać do jego imienia, Wincent, dodawała je do listy wymienianej w wieczornych modlitwach (daj mu zdrowie i prowadź go bezpiecznie, strzeż od pokus itd. amen), a on ją okłamywał, bezczelnie i bezlitośnie. Miał notes. Od kiedy?

Pamiętała, jakby to było wczoraj, że rano po napadzie zszedł do apteki i został tam przez jakiś czas. Więc może wtedy, bo później apteka została dokładnie przeszukana. Wydawało jej się, że to jedyna możliwość, ale zaraz pojawiła się druga: może to on pokłócił się tamtego wieczoru z Józefem i wtedy zabrał mu notes? Nie, nie, to niemożliwe. Trichonow go sprawdził, i to zapewne niejednym razem. To nie mogło być tak, wmawiała sobie, nie chcąc pozbawiać się resztek złudzeń. Gorączkowo poszukiwała jakiegoś wyjaśnienia, nie mogła jednak zaprzeczyć, że Reutowicz miał notes i nie oddał go ani jej, ani policji. Dlaczego? Krył kogoś, a może spodziewał się dostać za niego dobrą cenę? Inaczej nie mogła sobie tego wytłumaczyć.

Szybko przekartkowała pachnącą apteką strony, aż znalazła zapiski dotyczące fałszerstw. Nie zawiodła się, Józef był blisko odkrycia szajki fałszerzy, może nie wiedział wszystkiego, ale odkrył powiązania, które prowadziły od małych wytwórni, takich jak choćby wytwórnia Paleta czy niedawno wykryta nielegalna wytwórnia sacharyny na Woli, przez składy apteczne i chemiczne zajmujące się

sprzedają detaliczną i hurtową, do większych firm chemicznych, takich jak lubelska Spółka Chemiczna Kroton, gdzie prawdopodobnie przygotowywano falsyfikaty leków. Brakowało tylko zwornika, klucza spinającego te wszystkie operacje, nazwiska głównego sztukmistrza, który dyryguje wszystkim i pociąga za sznurki i sznureczki. Czy Józef go znał? Podejrzał kogoś? Może wiedział, kto to jest, i to właśnie ten człowiek włamał się wtedy wieczorem? Próbowła się w tym połapać, ale znajdowała więcej pytań niż odpowiedzi. I to bardzo niepokojących ją pytań. Dlaczego Józef odsunął Reutowicza od badań? Dlaczego przestał współpracować z Trichonowem? Nie ufał im? Podejrzał o współpracę z oszustami, a może o przekupność? Domysły i podejrzenia zaroily się jej w głowie.

Falszerstwa leków to była duża sprawa, duże pieniądze, mówiono nawet, że bardzo duże. Dla takich sum można popełnić wiele grzechów, i to różnego kalibru — bojkot, szantaż czy łapówki to tylko półśrodki, jak powiedział jej później Trichonow.

Przerzuciła jeszcze kilka kartek i w końcu jej wzrok wyłowił coś, czego zupełnie się nie spodziewała. Gdy zobaczyła ten zapisek, aż nią zatrzęsło z bezsilnej złości: *Sekret Salomei (kadzidło z synagogi): bierze się 1,5 uncji styraksu, 6 drachm benzoesu, tyleż mastyksu, olibanum i cukru zwyczajnego w dobrym gatunku...* przeczytała na jednej ze stron, cienkiej i lekko wytartej na rogu. Dalej nie musiała czytać, znała to na pamięć, przez kilka tygodni nie zajmowała się niczym innym, tylko odważała i rozpuszczała styraks, mastyks i olibanum, żeby pokazać, jaka jest wytrwała, że potrafi pracować co najmniej tak dobrze jak uczeń aptekarski i zrobić perfumy. I udało jej się. A teraz się okazało, że wszystko było oszustwem. Perfumy, w które włożyła tyle wysiłku i które miały być symbolem jej wyzwolenia, przepustką do aptekarskiego świata, okazały się kadzidłem Sabiny-Salomei. Tak z niej zakpił, to ją bardzo zabolalo. W porównaniu z innymi sprawami to była błahostka, czuła jednak, jakby właśnie tym wymierzył jej policzek.

Zamknęła notes, na dziś wystarczyło jej rozczarowań. Odruchowo pogładziła wysłużoną oprawę. Już nie ufała Reutowiczowi ani trochę; to, co zrobił, daleko przekraczało granice przyzwoitości. Nie ufała też Trichonowowi, ale on jej niczego nie obiecywał.

— W dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać, madame Klonowska — stwierdził z przekonaniem Trichonow, wskazując jej zapraszającym gestem krzeselko obite grubą skórą, które stało w jego gabinecie na wprost ogromnego mahoniowego biurka.

W jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie światem, zaprawione kieliszkiem wina reńskiego (zapewne z konfiskaty) wypijanego do śniadania, a może i przed nim. Wzrok Trichonowa pozostawał bystry i nic nie mogło mu umknąć, gdy lustrował strony notesu zapisane równym, starannym pismem Józefa.

— Więc znalazła pani notes męża. Interesujące, bardzo interesujące — zapewniał z łaskawym uśmiechem, za którym kryły się mniej łaskawe myśli. — I gdzie pani go znalazła?

Lea zrobiła nieokreślony ruch ręką, dając do zrozumienia, że to nie jest ważne.

— W aptece — powiedziała, jakby to było oczywiste. Nie miała zamiaru wspominać o biurku Reutowicza.

Ale Trichonow oczekiwał na bardziej konkretną odpowiedź.

— Gdzie w aptece?

Starala się zrobić obojętną minę.

— W tych starych meblach na recepturze są skrytki i dużo szufladek, jedna z nich nie chciała się domknąć — tłumaczyła mu, dopasowując nieco fakty do zaistniałych potrzeb. Miała jednak wrażenie, że Trichonow jej nie wierzy.

Patrzył na nią z zaciekawieniem, z doświadczeniem ślizgając się wzrokiem po jej twarzy, ramionach, niezbyt bujnym biuście, obfitej szaroliliowej spódnicy, aż w końcu zatrzymał się na jej małych stopach ukrytych w czarnych sznurowanych bucikach i wtedy przez jego twarz przemknął łakomy uśmiezek.

— Zdecydowanie wolę, kiedy mówi pani prawdę — powiedział po zakończeniu lustracji i znów

uśmiechnął się łaskawie. — Na razie to zostawmy. Szkoda, że dopiero teraz pani z tym przyszła. Cóż, lepiej późno niż wcale — dodał, gładząc kciukiem grzbiet notesu, jakby sprawdzał jego autentyczność. — Ktoś o tym wie? Mówiła pani komuś, że znalazła notes i wybiera się z nim do mnie?

— Tak, pan Cichocki był przy tym, jak znalazłam notes, ale nikomu nie powiedziałam, że zamierzam go panu oddać.

— I niech tak zostanie. Im mniej osób wie, tym lepiej.

Kiwnęła głową i zatrzymała wzrok na jego dłoniach, gdy delikatnie odchyłał kartki i delectował się zdobyczą, jakby to był jakiś biały kruk.

— Zapewne słyszała pani o nowym procesie — dodał z błyskiem słusznego gniewu w jasnych oczach i z jeszcze mocniejszym błyskiem opowiedział o bulwersujących wydarzeniach.

Jedna z poważnych francuskich firm farmaceutycznych, która przez fałszerstwa poniosła znaczne straty, przysłała do Warszawy swojego pełnomocnika i wniosła skargę na drogę sądową przeciwko właścicielom kilku dużych składów hurtowych, zarzucając im sprzedaż podróbek. Było dwunastu podejrzanych, przesłuchano stu sześćdziesięciu pięciu świadków, których ściągnięto z całego Królestwa. Tu Trichonow efektownie zawiesił głos, przerywając na moment opowieść, by Lea mogła uzmysłwić sobie ogrom tych poczynań. Po czym dodał:

— Gazety się o tym rozpisywały, zainteresowanie opinii publicznej wzrosło do punktu wrzenia, wydawało się, że to będzie przełom, że winni wreszcie zostaną ukarani, ujawni się oszustów i ich powiązania. I jaki efekt? Żaden! — rąbnął pięścią w biurko dla podkreślenia swej złości i dojmującego zwątpienia w ziemski wymiar sprawiedliwości, z którym toczył prywatną walkę. — Firma wycofała oskarżenie, świadkowie odwołali zeznania, wyrok skazujący nie zapadł — powiedział przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego? Co się stało? — wlepiła w niego oczy pełne zdziwienia i niedowierzania.

Trichonow przyglądał się jej przez chwilę, jakby chciał sprawdzić, czy warto z nią o tym rozmawiać; najwyraźniej uznał, że warto.

— Słuszne pytanie — odpowiedział i konfidencyjnie ściszym głosem dodał: — Podejrzewam, ba, jestem tego pewny, że postawiono im ultimatum, zagrożono bojkotem; gdyby nie wycofali oskarżenia, nikt by od nich niczego nie kupił. Coś takiego trudno zbagatelizować, oni nie żartują, kto jest zbyt uczciwy, wypada z gry — gdy to mówił, jego głos znów stał się gniewny, a skąpy kosmyk blond włosów, zazwyczaj starannie przylegający do głowy, opadł mu drapieżnie na czoło. — Zgarniamy same płatki, same miernoty o mózgach rozmiękczonych nadmiarem taniego i fałszowanego sikacza. I nadal nie wiadomo, kto za nimi stoi. Są pewne domysły, ale dowodów nadal brak.

Lea zaczęła się denerwować.

— Jak to możliwe? Ta sprawa ciągnie się od kilku lat, mój mąż tyle wysiłku włożył w badania zafałszowań, i nie tylko on, i wszystko na nic? Nikt nic nie wie? Co się dzieje? — poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Takie mamy teraz czasy, madame Klonowska, wszystko można kupić, świadków też, albo zastraszyć. Kto ma pieniądze, jest bezkarny.

Pokręciła gwałtownie głową.

— Niech pan tak nie mówi! — oburzyła się naiwnie i zamilkła, uświadamiając sobie, że przykładów nie trzeba daleko szukać.

Wychwycił jej obawy. Niespiesznie, jakby odmierzając truciznę kroplami, powiedział:

— Wiem, o kim pani myśli, i nie mam dla pani pocieszających wieści. W tej sprawie coraz więcej osób ma krótką pamięć i znika bez złożenia zeznań. Pan Reutowicz ponownie miał być świadkiem oskarżenia, ale wyjechał i nie spieszy się z powrotem. Nie ukrywam, że nie jestem tym zaskoczony. Pamięta pani, co się działo na rozprawie w maju? — potarł lewą ręką przedwcześnie posiwiąłą skroń. — Proszę mi wierzyć, to była tylko niewinna zabawa, oni potrafią dużo więcej, a nie każdy chce być bohaterem, cena jest zbyt wysoka. Słyszałem, że w ostatnich czasach składy chemiczne łatwo się palą — dodał znużonym głosem, jakby nagle dopadło go zmęczenie sprawą, która rozlewa się jak trujący wyziew, pochłaniając wszystko i wszystkich, których spotka na drodze.

Więc to o to chodziło, jemu też grozili, pomyślała, przypominając sobie list, który Reutowicz dostał, gdy zabrał ją do swojego składu na Stalową, ale mimo wszystko...

— Nie mogę uwierzyć, że się wycofał — przyznała smutno, chociaż już w to uwierzyła. Czowała, że Trichonow pozbawił ją resztek złudzeń, i chęć zrozumienia Reutowicza zmalała w niej do minimum.

— Nikt nie jest doskonały, nawet ja — odparł z ironią i jego jasne oczy na chwilę zaiskrzyły na wspomnienie różnych niedoskonałości, które przyszło mu poznawać. — Przykro mi, że pani się rozczarowała, ale to jeszcze nie koniec świata, madame Klonowska. W porównaniu do innych pani wspólnik jest prawie bez grzechu, nie ma nic do ukrycia, bo cóż to jest, jakaś stara historia... — zawiesił głos, pograżając się we wspomnieniach.

Lea dobrze wiedziała, o jakiej historii mówi, ale dla niej to nie była drobna sprawa.

— Nie każdy chce się publicznie spowiadać — ciągnął dalej, swobodnie rozsiadając się na krześle i zakładając nogę na nogę. — Romans z żoną przyjaciela, która potem znika, nie zawsze jest powodem do dumy; nie mówiąc już o konsekwencjach takiej zażyłości.

Poczuła kolejne ukłucie szpilki.

— O jakich konsekwencjach pan mówi? — zapytała, wlepiając w niego wzrok.

Uśmiechnął się dobrotliwie.

— Innym razem, madame Klonowska, innym razem pani o tym opowiem. A może pani sama zapyta o to pana Reutowicza, on chyba najlepiej odpowie na pani pytania. Jeśli wróci. — Znów zerknął na nią kontrolnie i zadzwonił na służącego. — Myślę, że kieliszek koniaku dobrze pani zrobi. Autentyczny francuski Rémy Martin, oczywiście łąpówka — dodał mimochodem.

Koniak jej nie smakował, ale rozgrzewał serce i dodawał myślom złudnej niefrasobliwości. Pal ichto Reutowicza, pomyślała buńczucznie, jego sprawy nic mnie nie obchodzą, nie dam się więcej nabrać na poważną minę, ujmujący głos i czuły uścisk. Nie pozwolę się oszukiwać! Tu dodała parę epitetów, których nigdy nie wypowiedziałyby głośno, po czym zdecydowanym ruchem odstawiła kieliszek.

Trichonow obserwował ją z niezgłębionym wyrazem twarzy i zaproponował papierosa. Nie odmówiła. Kiedy podsunął jej płonąca zapalną, pomyślała, że wraz z papierosem spopiela się w niej resztki naiwnej wiary w opatrność i tym podobne rzeczy. Popatrzyła w wyblakłe oczy Trichonowa, który wydawał się zadowolony, że przeciągnął ją na swoją stronę, gdzie nie było już miejsca na bezsensowne złudzenia. Patrzyła, jak popiół z papierosa spada na jej elegancką suknię. Niedopałek zgasiła na srebrnej popielniczce z uciekającą Dafne.

— Martwię się o panią — powiedział poważnie Trichonow. — Mam nadzieję, że nic nowego nie chodzi pani po głowie, madame Klonowska. Żadnych niemądrych pomysłów, żadnych poszukiwań na własną rękę, bardzo panią proszę. A gdyby wpadło w pani ręce coś interesującego, proszę z tym przyjść do mnie. Rozumiemy się?

Kiwnęła machinalnie głową. Na pewno nie będzie tropiła fałszerzy. Oddała mu notes i to kończy jej udział w tej sprawie. Nic więcej nie zamierzała robić. Miała inne pytania domagające się odpowiedzi.

Pora spojrzeć prawdzie w oczy, uznała, jeszcze nie w pełni zdając sobie sprawę, co z tego może wyniknąć. Zaczęła od Sabiny, która zniknęła po romansie z Reutowiczem. Jeśli to była prawda. Ale co w tej historii było prawdą? Raczej niewiele z tego, co usłyszała. Józef nie chciał o Sabinie mówić, Reutowicz kłamał. Trichonow też się wymigał. Dlaczego? Tego Lea nie wiedziała i coraz gorsze myśli napływały jej do głowy, czarne jak jesienne kałuże, w których lęgnie się mrok. Przypomniała sobie list od Jana; napisał jej kiedyś, że informacje o samobójstwie Sabiny są nieprawdziwe. Trichonow też coś takiego zasugerował. Więc co się z nią stało? Gdzie zniknęła?

Prószył śnieg, kiedy pełna determinacji, opatulona w czarne zimowe palto z futrzanym kołnierzem, wybrała się do Nataszy i Ksawerego. Nie wiedziała, czy ich zastanie, postanowiła zdać się na łut szczęścia, jeśli coś takiego istniało. Wczesne popołudnie uznała za właściwą porę na niezapowiedzianą wizytę. Pojechała tramwajem do placu Aleksandra, a po drodze wyglądała przez okno, patrząc na lekko ośnieżone ulice, które wydawały się złudnie czyste i wesołe jak obsypane

mąką pierniki.

Plac był zatłoczony, zastawiony chłopskimi furmankami, z których sprzedawano surowiznę, drób, jaja i wszystko to, co miało być zjedzone na święta. Ale jej nikt nie zaczepiał, nikt nie oferował gęsi ani wianka grzybów, nie wyglądała na kogoś, komu na tym zależy. Gdy szybko przechodziła obok załadowanych wozów, w jej ruchach i wyrazie twarzy łatwo było rozpoznać pulsujący gniew i determinację.

Jednak im bliżej była celu, tym więcej miała wątpliwości. Co to w ogóle za pomysł, żeby odwiedzać prawie obcych ludzi i wypytywać o kogoś, kogo się nigdy nie widziało i kto dawno nie żyje? I niby z jakiej racji? A jednak miała swoje racje, podejrzenia, złość i niepokój serca, który wzmagał się z każdą chwilą.

Minęły dwa lata, odkąd Lea była u Ksawerego i Nataszy na letnim przyjęciu. Wtedy wszystko wyglądało inaczej, nie miała jeszcze takiego mętlika w głowie, świat był całkiem znośny, Jan wesoły i fascynujący, Józef wydawał się trwały jak opoka, a wybita szyba była tylko drobnym incydentem, opijanym później na legendarnym bankiecie. Wtedy Lea była dużo bardziej rozsądna i nie miała żadnych złudzeń co do Reutowicza, a sprawa Sabinę przestała ją interesować. Potem wszystko się poplątało.

— Nic więcej nie mogę o niej powiedzieć. Naprawdę chciałbym pani pomóc, ale nic więcej nie wiem — Ksawery pokręcił przecząco głową. Był wyraźnie zawiedziony, że nie zna żadnych rewelacji o Sabinie.

W świetle zimowego dnia wpadającym przez duże okna mieszkania przy Kruczej wydawał się młodszy, niż Lea zapamiętała go z przyjęcia. Natasza, która dopiero co wstała, przysłuchiwała się rozmowie z sennym zainteresowaniem. Miała na sobie grubą szaroniebieską suknię domową i wyglądała w niej jak budzący się dzień.

Siedzieli w pokoju wyłożonym kremową tapetą, na której wśród krzewów peonii odpoczywały chińskie smoki. Taki sam wzór znalazł się na obiciach krzesel i kanapy. Na małym niskim stoliku z czerwonej laki Natasza sennym ruchem rozłożyła album z fotografiami. Obok na tacy parowała chińska herbata, wszystko wyglądało uroczym jak w książce z obrazkami, tylko rozmowa była poważna.

— Była u nas chyba tylko raz — powiedziała Natasza. — Zapamiętałam ją, bo wydawała się taka sztuczna, afektowana, a w końcu upiła się i na dodatek zgubiła koleczyk. Miałam wrażenie, że zrobiła to specjalnie, żeby wszyscy go szukali — podniosła wzrok na Leę, poprawiła kołnierz domowej sukni i dodała: — Na pewno nie była piękna, może ładna, ale nic nadzwyczajnego. Dlatego przypomniałam sobie o tym zdjęciu, chciałam je pani pokazać, żeby sama się pani przekonała. — Sięgnęła po album, przerzuciła kilka kartek z ciemnego kartonu i odnalazła fotografię. Była na niej grupka osób zebranych przy fortepianie. Przyglądała się zdjęciu, lekko marszcząc brwi, potem wskazała palcem młodą kobietę, w której uszach połyskiwały koleczyki z perłą. — To ona — powiedziała i postukała wypolerowanym paznokciem w ciemną sylwetkę. Po chwili namysłu dodała: — Nie wyglądała na kogoś zdesperowanego, ale zachowywała się dziwnie, jakby nie była sobą. Kilka dni później przeczytałam w gazecie o jej samobójstwie. Bardzo przykra sprawa. Dlatego ją pamiętam.

Lea wpatrywała się w zdjęcie. Wskazana przez Nataszę kobieta stała z tyłu, na drugim planie, górna część jej twarzy skrywała się w cieniu, jakby w ostatniej chwili cofnęła się przed blaskiem magnezji. Ale Lea i tak była pewna, że to nie jest ona, nie ta z fotografii, którą znalazła kiedyś w przyborniku do szycia. A jednocześnie ta twarz nie była jej całkiem obca, chociaż trudno było jej uwierzyć własnym oczom.

— Ma pani jakieś inne zdjęcia? — zapytała, nie odrywając wzroku od postaci w cieniu.

— Jest kilka z tego wieczoru, ale na żadnym jej nie widać.

Lea obejrzała pozostałe fotografie, uważnie przyglądała się gościom, którzy we wrześniu 1891 roku przyszli na przyjęcie do Nataszy i Ksawerego. Wśród nich jeszcze jedna osoba wydała się jej znajoma; wysoki brunet z fantazyjnie podkręconymi włosami.

— To z nim przyszła? — zapytała, kładąc palec na pierś mężczyzny.

Natasza spojrzała i zamyśliła się.

— Nie jestem pewna, możliwe, że z nim. Pamiętam, że on śpiewał rosyjskie romanse, miał bardzo dobry głos, taki melancholijny, urzekający. Ale czy byli razem, nie wiem.

Ksawery sięgnął po zdjęcie, pokazując przy tym sygnet z białym opalem, który tkwił na jego mocnej dłoni. Spojrzał i pokręcił głową.

— Wydaje mi się, że byli razem, ale chyba był ktoś jeszcze... — powiedział i przejrzał pozostałe fotografie, lecz nie odnalazł na nich nic wartego komentarza. — Nie widzę go na zdjęciach, więc mogę się mylić. Nie wiem, jak do nas trafili, zapewne ktoś ze znajomych ich przyprowadził. Ale ten jegomość, ten wysoki, był całkiem zabawny, dobrze śpiewał, za to ona nie pasowała do towarzystwa; zastanawiałem się nawet, po co przyszła — dodał zamyślony, jakby nadal było to dla niego zagadką.

Lea schyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedziała półgłosem. Nic nie wiem, powtarzała w myślach.

Pożyczyła zdjęcie z rzekomą Sabina i jeszcze tego samego dnia odwiedziła Mariannę.

Na zdjęciu z fortepianem Marianna nikogo nie rozpoznała, a kiedy Lea pokazała jej portrecik w sepii, Marianna nie miała wątpliwości.

— Oczywiście, to jest Sabina, młodzianka, pewnie jeszcze przed ślubem, ale to z pewnością ona — przeniosła wzrok na przyjaciółkę. — Dlaczego pytasz? Co ci znowu chodzi po głowie?

— Nie, nic takiego, chciałam się tylko upewnić — odpowiedziała z ponurą miną.

Pociąg do Lublina odchodził z Dworca Głównego Kolei Nadwiślańskiej wcześniej rano. Był zatłoczony i zimny, oddechy podróżnych skraplały się na szybach i zamarzały w srebrzyste wykwity zasłaniające zimowy krajobraz za oknem. Lei zmarzły nogi; choć włożyła ciepłe trzewiki, czuła, że jej stopy zmieniają się w sople lodu. Chciałaby, żeby i jej myśli nabrały tego lodowatego chłodu, żeby były przejrzyste i zimne jak lód. Mimo wszystko jeszcze nie były takie, jeszcze tliły się w nich odpryski uczuć, żal mieszał się ze złością, rozczarowanie z odrobiną nadziei. Niepotrzebnie.

Lublin nieraz przychodził jej do głowy, Józef jeździł tam w interesach, stamtąd pochodził i tam poznał Reutowicza i Sabinę, ale „stara historia”, o której wspomniał Trichonow, i jej konsekwencje, przed którymi uciekał Reutowicz, przesądziły sprawę. A zdjęcie Chabrowskiej podającej się za Sabinę dołało oliwy do ognia, podsycając i tak silny płomień gniewu i rozczarowania, jaki zapłonął w sercu Lei. Jeśli do tego dołożyć Podwójny Sekret, to było tego stanowczo za wiele jak na jej urażoną kobiecą dumę.

Nie zostawię tego tak, dowiem się, o co chodzi, dojdę po nitce do kłębka, postanowiła. Sabina była zaś początkiem tej nitki, kluczem do rozszyfrowania kłamstw, którymi raczył ją Reutowicz, a pewnie i Józef.

Wolałaby porozmawiać z matką Sabiny, dowiedziała się jednak, że kobieta zmarła kilka lat temu, pozostał więc stary Bekmann. Wiedziała, że miał skład apteczny, więc nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Józef prowadził z nim interesy. To mogła sprawdzić. Przed wyjazdem poprosiła Tymona o pomoc, razem przejrzeni księgi rachunkowe z ostatnich kilkunastu lat. Zajęło im to trzy dni, ale się opłaciło. Składy Apteczne i Chemiczne A. Bekmann pojawiały się w księgach mniej więcej do połowy 1900 roku. Śmierć Sabiny nie zakończyła współpracy, Bekmann nie zerwał kontaktów z Józefem. Może też nie znał prawdy, a może nie chciał, żeby znali ją inni, i dbał o pozory? Postanowiła to z niego wyciągnąć. Oczywiście nie zapyta go wprost, to by było niezręczne, znajdzie jakiś sposób, jakiś pretekst, żeby z nim porozmawiać o Sabinie.

Zatrzymała się w hotelu niedaleko dworca, gdzie za umiarkowaną cenę wynajęła pokój na pierwszym piętrze. Nic szczególnego, ale w miarę czysty i ciepły, ogrzewany kaflowym piecem, o który mogła sobie zagrzać ręce.

Hotel to rozpusta, powiedziałyby ciotka Anastazja, ona miała rozległą sieć krewnych i koleżanek, u których mogła się zatrzymać. Lea wybrała hotel. Wprawdzie Felutka spędzała święta w Lublinie u krewnych męża i pisała jej, że miejsca jest dość i Lea może się u nich zatrzymać, ale ona chciała być niezależna. Kilka lat temu obawiałaby się samotnej podróży, bałaby się kłopotów, niewygody i złodziei,

bezlitosnych naciągaczy i hipnotycznych uwodzicieli, przewidywałyby katastrofy, które czekały na samotnie podróżujące kobiety. Wciąż miała obawy, ale była wolna i samodzielna, sama mogła wszystko zaplanować i przekonać się, ile jest warta jej swoboda. Tak doradzała jej Irena.

— Jedź — mówiła nauczycielskim tonem. — Zobaczysz, jak sobie poradzisz, zobaczysz, czy uda ci się dotrzeć do tych osób, które coś wiedzą.

Kiedy Lea zwierzyła się jej, mówiąc o swoich wątpliwościach dotyczących Reutowicza, Irena szybko dodała:

— Jedź, zanim on wróci i do reszty stracisz dla niego rozum, zanim owinie cię sobie wokół palca, podporządkuje i będzie ci kłamał w żywe oczy albo wmawiał, że kobiety pewnymi sprawami nie powinny się interesować, bo nie są w stanie pojąć wyżyn męskiego umysłu, potrzeb męskiego ciała i wzniosłego ducha. — Patrzyła przy tym na Leę poważnie, z cieniem obawy w oczach, które od czasu do czasu przesłaniała długimi czarnymi rzęsami.

W hotelu Lea zapytała, gdzie znajduje się biuro Bekmanna.

— Tego Bekmanna? — dociękał człowiek niosący jej torbę podróżną.

— Tego, który ma składy apteczny i chemiczny — odparła.

Tragarz przystanął, podciągnął zbyt luźne spodnie i poprawił czapkę.

— Eee, pani, kiedyś to on miał składy, teraz ma dużo więcej. On ma składy i wytwórnię farb i lakierów, i biuro maklerskie, teraz to on jest ktoś i może mieć dużo więcej. Każdy o nim słyszał. Trzeba powiedzieć, że do głównego biura handlowego Arona Bekmanna. I każdy jeden panią zaprowadzi.

Biuro rachunkowe Arona Bekmanna znajdowało się niemal na samym końcu zatłoczonej ulicy Lubartowskiej, blisko szpitala żydowskiego, w piętrowym budynku o oknach złożonych z małych szybek, które pokazywały świat migotliwy i barwny jak w kalejdoskopie, sklejoną z odprysków, podbarwionych pryzmatów i zwierciadlanych odbić. W środku było tłoczno; Lea rozglądała się zdezorientowana, a jednocześnie zaciekawiona. Nigdy nie była w biurze maklerskim. Szmery przytłumionych rozmów, stukanie liczydeł i szelest przewracanych kartek ksiąg rachunkowych zdawały się tonąć w tytoniowym dymie zmieszonym z wonią ichtioliu, czosnku, tranu i wilgotnej wełny.

Po chwili podszedł do niej chudy brodaty woźny w tradycyjnym chałacie.

— A pani wielmożna kogo uważa?

Odpowiedziała, że chce się widzieć z Aronem Bekmannem. Mężczyzna popatrzył na nią wzrokiem specjalisty, który po wyglądzie petenta potrafi ocenić, na ile sprawa jest poważna. Lea wyglądała poważnie i dostatnio, na podróż włożyła czarną suknię i ciężkie palto z futrzanym kołnierzem. Służący uznał, że sprawa może być znacząca, więc szurając butami, poprowadził ją w głąb budynku; powiedział, żeby zaczekała, i zniknął za drzwiami obitymi ceratą. Po chwili wyszedł i powiedział, że pan Bekmann może ją przyjąć.

Duże, zagracone pomieszczenie, do którego ją wprowadził, było nagrzane i duszne, pachniało w nim kamforą i przypieczonymi jabłkami. Bekmann siedział za biurkiem, był potężnej postury, ubrany w szyte na miarę ubranie z dobrej gatunkowo wełny. Brodę i włosy miał mocno posiwiałe, gęste i wijące się, porządnie przystrzyżone. Jego nalana twarz i tusza zdradzały upodobanie do kulinarnej rozwiązłości ukierunkowanej głównie na gęsinę, a sądząc po asymetrycznych, mocno rozwichrzonych brwiach, był to człowiek niespokojnej i nietuzinkowej natury. Nie budził ani cienia sympatii. Lea nie mogła doszukać się w nim jakiegokolwiek podobieństwa do pięknej córki.

— Jestem Lea Klonowska — przedstawiła się nieco zachrypniętym głosem.

Bekmann oczy miał groźne jak ziarna kulczyby. Wpatrywał się w nią bez mrugnięcia, z pogardą i obrzydzeniem, jakby była muchą, która wpadła mu do talerza zupy.

— I co z tego? Czy to jest powód, żeby mnie nachodzić? — odparł i przestał obierać jabłko; odłożył je na talerzyk z boku.

— Nachodzić? W żadnym razie nie zamierzam pana nachodzić. Chciałam zamienić z panem kilka słów o pańskiej córce, Sabinie, albo może lepiej Salomei — poprawiła się i na pozór swobodnie

rozejrzała się po pomieszczeniu obstawionym szafkami i skrzyniami z niewiadomą zawartością. Krzesła, na którym mogłaby usiąść, nie było, najwyraźniej Bekmann nie przewidywał takich możliwości. Przed nim trzeba było stać.

Bekmann wydał kilka nieokreślonych pomruków i powiedział przez zaciśnięte zęby:

— Ja nie mam córki. — Głos miał basowy, donośny.

— Ale miał pan. Sabina Klonowska to przecież ona — spojrzała mu w oczy, nie było w nich żadnych przyjaznych uczuć. Mogła się tego spodziewać, chciała jednak załatwić sprawę, z którą przyszła. — Po śmierci męża porządkowałam jego rzeczy i natknęłam się na to — położyła przed nim stary modlitewnik. — Chciałam to panu oddać.

Rzucił okiem na modlitewnik i pokręcił niezadowolony głową.

— Tylko tyle? I po to fatygowała się pani do mnie aż z Warszawy? — prychnął pogardliwie.

— Nie, panie Bekmann, nie tylko po to. Chciałam się dowiedzieć, co się z nią stało. Chciałam się tego dowiedzieć od pana.

Bekmann jakby nie słyszał.

— No proszę, Lea Klonowska, wdowa po Józefie — teraz świdrował ją oczami. — Lea to żydowskie imię, jest pani Żydówką?

— Nie — odparła spokojnie. — A pytałam o pana córkę.

— Mówiłem, że nie mam i nie miałem córki, a nawet gdybym miał, to nic pani do tego — mruknął, kartkując modlitewnik.

— Ma pan żal do Józefa, że ją panu zabrał, czy do niej, że się wychrzyliła? A może chodzi panu o jej samobójstwo? Dlaczego nie chce pan powiedzieć? I tak się dowiem, o co chodzi — zapewniła tonem źle udawanej pewności siebie.

Na twarzy Bekmanna pojawił się złośliwy grymas.

— Więc on umarł. Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej, posłałbym mu wieniec. A myślał, że mnie przeżyje, i nie udało mu się!

— Przecież pan doskonale o tym wie. Po co ta złośliwość? Co on takiego zrobił?

— Dużo zrobił. Można by kilku tym obdzielić. Nie powiedział, jak się dorobił apteki? Nie powiedział, że to za moje pieniądze? Wszystko za moje pieniądze! Pani też żyje za moje pieniądze i jeszcze śmie tu przychodzić i myszkować! — wycelował w nią gruby oskarżycielski palec.

Nie podobała jej się ta rozmowa.

— Pana pieniądze? Też coś! — oburzyła się i omal nie tupnęła nogą, jak na złego psa. — Gdyby tak było, dawno by je pan odzyskał, i to z procentem. Nie wygląda pan na takiego, który daje się oskubać.

Bekmann poderwał się zza biurka; mimo tuszy zrobił to całkiem sprawnie i stanął rozszłoszczony tuż przed nią.

— Klonowski nie dotrzymał umowy i nic go nie usprawiedliwia, nawet to, że umarł! — wycedził przez zęby.

Co za okropny człowiek, pomyślała. Cofnęła się o krok.

— Gdyby nie dotrzymał umowy, dawno pan by poszedł z tym do sądu i nie prowadził z nim interesów. Sprawdzalam w księgach rachunkowych, mąż kupował od pana leki aż do... — zamilkła, zawahała się. Aż do czasu, gdy wpadł na trop fałszerzy, pomyślała, ale tego nie mogła powiedzieć. Spojrzała na Bekmanna i zrobiło się jej gorąco. Absolutnie nie powinna wspominać o fałszerzach. — Aż do 1900 roku — wystękała, wachlując się chusteczką, którą wyciągnęła z woreczka.

— Ale nie dotrzymał umowy! — upierał się rozszłoszczony Bekmann i posłał jej spojrzenie pełne złych intencji.

Odetchnęła dwa razy, próbując ukryć emocje.

— W życiu nie spotkałam większego aroganta! — powiedziała głośno, jakby przemawiało przez nią święte oburzenie, a nie rodzący się w niej strach.

Sprawa zaczęła nabierać innego wymiaru. Chciała wyjść stąd jak najszybciej, obróciła się zamasyście i omal nie otarła o rozgrzany do czerwoności piecyk, na którym rumieniły się skórki od jabłek. Zrobiło się jej jeszcze bardziej gorąco.

— Chce się pani przypiec? Niektórzy aż się o to proszą — Bekmann zaśmiał się nieprzyjemnie. — I więcej niech tu Lea Klonowska nie przychodzi i nie przysyła nikogo, nie dam się naciągnąć! Nic nie dam!

Wyszła, nie oglądając się za siebie. A kiedy przechodziła przez pomieszczenie biurowe, niewysoki jasnowłosy mężczyzna zniknął w jednym z bocznych pomieszczeń. Była zbyt wzburzona, żeby zwracać na niego uwagę. Znajomi Tymona już jej nie interesowali; w porównaniu z podejrzeniem, jakie zrodziło się w jej głowie podczas rozmowy z Bekmannem, to były sprawy błahe jak skórki jabłek piekących się na blasze piecyka.

— Poszłaś do starego Bekmanna? — Felutka patrzyła na nią z mieszaniną podziwu i niedowierzania w oczach. — No, no, nigdy bym cię nie posądzała o taką determinację. I chciałaś dowiedzieć się czegoś o Sabinie. Po tylu latach? Czy to ma jakieś znaczenie? — zdziwiła się, akcentując to wysunięciem dolnej wargi. — Wybrałaś chyba najgorszą osobę z możliwych — dodała i Lea mogła teraz całkowicie się z tym zgodzić.

Z biura Bekmanna wyszła z duszą na ramieniu, a kiedy jechała na spotkanie z Felutką, cały czas się zastanawiała, czy dobrze odgadła, że Bekmann był głównym podejrzanym Józefa.

— Bekmann to stary lis — mówiła dalej Felutka, zasiadając przy malutkim kawiarnianym stoliku z marmurowym blatem. Zdjęła rękawiczki, poprawiła loczek nad czołem i znów spojrzała na Leę. — Nic ci nie powie, jeśli nie widzi w tym interesu. Reutowicz wie, jego lepiej zapytaj. To on namówił Józefa na to małżeństwo. Pewnie sam by się z nią ożenił, ale był już żonaty.

Spotkały się za Bramą Grodzką, w kawiarni, nad której wejściem kolorowy witraż z secesyjną nimfą wodną, całą w fioletach i szafirach, nęcił wchodzących filiżanką aromatycznej kawy Mocca.

Felutka dużo mówiła, najpierw o synu, o mężu i o sobie. Wspominała Józefa, piła czarną kawę ze śmietanką, mocno osłodzoną. Twierdziła, że życie jest wystarczająco gorzkie, żeby odmawiać sobie drobnych przyjemności. Uśmiechała się przy tym, aż na jej policzkach pojawiały się dołeczki. Do kawy zamówiła niesamowicie słodkie ciastka i opowiadała o gorzkich sprawach.

— Sabina to było prawdziwe nieszczęście dla Józefa, zupełnie nie pasowali do siebie. Nie była niewiniątkiem — dodała niespiesznie, sięgając pulchną dłonią po kruchy pierożek z konfiturami. — Uciekła z domu z jakimś wojskowym albo studentem, dobrze nie pamiętam, a potem, pomyśl tylko, wróciła. Podwójny wstyd dla rodziny, możesz sobie wyobrazić. To zamknęło przed nią drzwi przyzwoitych żydowskich domów i pomieszało Bekmannowi szyki — wymownie uniosła cienkie brwi. — Reutowicz był na tyle bezczelny, że wykorzystał sytuację, poszedł do niego i powiedział, że zna kogoś odpowiedniego, kto zgodziłby się ożenić z jego córką. Bekmann najpierw go wyrzucił, ale potem przekalkulował i uznał, że pomysł nie jest najgorszy. Zięć aptekarz mógł mu się przydać, a że katolik, trudno, córka i tak już była stracona. Józef dał się przekonać, uznał, że Bekmann jest dla niego szansą na własną aptekę i wyrwanie się z Lublina w szeroki świat. Ożenił się i wyjechał do Warszawy — opowiadała i wzdychając smutno, dokładała sobie na niebieski talerzyk kolejne ciasteczka. — Sabinę widziałam tylko kilka razy, potem wyjechałam, ale już wtedy podejrzewałam, że ona unieszczęśliwi Józefa. Wiesz, że chciała się utopić?

Lea skinęła głową.

— Co się z nią stało potem?

— Umarła, miała chyba zapalenie płuc, to było jakoś tak jesienią. Szczegółów nie znam, nie dopytywałam się. Józef nie chciał o tym mówić. — Zamyśliła się, zamieszała łyżeczką w stygnącej kawie.

— Byłaś na pogrzebie?

— Nie, skądże, nawet nie wiem, gdzie jest pochowana. Podejrzewam, że Józef miał z tym problem, to była bardzo przykra historia. Z różnych względów — mówiła z ociąganiem, spoglądając to na Leę, to na fioletową nimfę, która przy gasnącym świetle krótkiego zimowego dnia traciła blask, jakby się postarzała. — Nie powinno się nikogo gołosłownie oskarżać, ale myślę, że to przez

Reutowicza, on miał z nią romans. A kiedy zerwał, Sabina nie mogła się z tym pogodzić. Józef nigdy o tym nie wspomniał, ale to go gryzło przez dobre kilka lat. Dopiero jak ty się pojawiłaś, wtedy odżył — stwierdziła, ocierając kąciki ust kremową serwetką.

Lea pokręciła głową, kosmyk włosów wymknął się jej spod kapelusza.

— Nie rozumiem, dlaczego Józef nadal się z nim przyjaźnił?

— Tego ja też nie wiem. Ale zrozum tu mężczyzn — prychnęła. — Zawsze trzymali się razem, interesy, układy, ale ja nigdy go nie lubiłam. Inteligentny, owszem, ale trudny charakter. Nigdy nie wiadomo, co zamierza.

Lea zapatrzyła się w filiżankę.

— Ostatnio chciał, żebym za niego wyszła — przyznała zakłopotana.

Felutka zakrztusiła się kawałkiem rogalika. Kiedy opanowała kaszel, zdziwiła się jeszcze bardziej niż na wieść o odwiedzinach Lei u Bekmanna.

— Ty za Reutowicza? To jego pomysł czy twój? — zamilkła na chwilę, żeby przetrwać wiadomość. — Ojej, Lea, rozumiem, nie chcesz być sama. Ale akurat on? — pokręciła głową. — Łatwo ci z nim nie będzie. Dobrze się nad tym zastanów!

— Właśnie się zastanawiam — odparła niewesoło Lea i zaczęła obgryzać róg ciastka. Nie jadła dziś obiadu, ale nie czuła głodu, zbyt wiele się działo, żeby myśleć o takich przyziemnych rzeczach.

Felutka przyglądała się plamce światła na kołnierzu Lei, starała się zbagatelizować to, co przed chwilą powiedziała.

— Niepotrzebnie o nim wspomniałam, to tylko moje podejrzenia, może nic takiego nie było, a nawet gdyby, to już przeszłość. No nie martw się, jakoś to będzie, wytrzymałaś z Józefem, to może i wytrzymasz z Reutowiczem — starała się ją pocieszyć. — Zawsze można trafić gorzej.

Lea nie odpowiedziała, spojrzała na witraż z nimfą. Szafirowy obraz nabierał ciemnych barw wieczoru.

— Chciałam cię zapytać jeszcze o Bekmanna. On ma pretensje do Józefa, twierdzi, że Józef go oszukał, nie dotrzymał jakiejś umowy.

Felutka machnęła ręką.

— Tym się zupełnie nie przejmuj, Bekmann wszystkich uważa za oszustów, złodziei i naciągaczy, ale to on sam najwięcej kręci. Z Józefem poszło mu o posag Sabiny, o to się ciągle kłócili, ale to Bekmann nie dotrzymał umowy, nie wypłacił wszystkiego. Tyle słyszałam. Ale ty sobie nic z tego nie rób. Z Reutowicza też. Ma pewnie kilka grzechów na sumieniu, ale to stare dzieje. A skoro Józef tak długo się z nim przyjaźnił, to musi coś w tym być — zastanowiła się chwilę, patrząc na okruszki rogalika, i oblizała usta. — Zawsze miał głowę do interesów, to trzeba mu przyznać. I dobrze śpiewa, aż się słodko na sercu robi; gdyby tak był równie miły, to dałoby się z nim wytrzymać. Ale co ja tam mówię, dawno go nie widziałam, mógł się zmienić, i w ogóle nie taki diabeł straszny, jak go malują — znów sięgnęła po ciastko, zastanawiając się chwilę, które wybrać. — A swoją drogą w życiu nie można wszystkiego skalkulować, trzeba zdać się trochę na los i patrzeć na to z humorem. Nic na siłę, Lea. Co ma być, to będzie — powiedziała z przekonaniem. — Teraz już o tym nie myśl i spróbuj tych kruchych pierożków ze śliwkami, są wyśmienite. A te z masą migdałową chyba jeszcze lepsze — dodała, z lubością oblizując usta z cukru pudru. — I myślę, że możemy zamówić sobie jeszcze po kieliszku wina. Co mamy sobie żałować?

Lea wróciła do hotelu z głową ciężką od różnych podszeptów i podejrzeń oraz kilku kieliszków wina; miała też nad czym rozmyślać. Ciągłe jednak ktoś jej przeszkadzał, nachodził. Domokrądcy i handlarze, którzy cały sklepik mieli w małej walizeczce, oferowali jej perfumy, papierosy, proszek na karaluchy i broszury nabożne. I tak cały wieczór. Kiedy następnego dnia rano znowu usłyszała pukanie do drzwi, miała już tego dosyć. Z góry oświadczyła, że nic nie kupuje, niczego nie potrzebuje, tylko spokoju.

Kobieta w ciemnym płaszczu i godnej pozazdrosczenia zielonej sukni popatrzyła na nią lekko

zdziwiona. Miała stonowany głos osoby, która potrafi znaleźć się w każdej sytuacji, głos prawdziwej damy.

— Przepraszam za najście, ale mam do pani delikatną sprawę. Wiem, że widziała się pani z Aronem Bekmannem. Ktoś mi powtórzył — zaczęła.

Rozpięła płaszcz, odłożyła na bok futrzaną mufkę pachnącą proszkiem na mole i usiadła przy stoliku, pokazując buciki na niewysokim obcasie. Spojrzała na Leę z cieniem niepewności w oczach i starannie wymawiając każde słowo, wyjaśniła jej, z czym przychodzi.

Powiedziała, że Salomea Bekmann była jej kuzynką i przyjaciółką.

— Uwielbiałam ją, była taka zabawna, wesoła, przy niej nawet szary dzień wydawał się ciekawy. Lubiałam do niej przychodzić, spędzałyśmy ze sobą dużo czasu — mówiła, pograżając się we wspomnieniach, a pióro (chyba czapli) u jej kapelusza poruszało się w takt wypowiedzianych przez nią słów. — Matka ją rozpieszczała, wcale się temu nie dziwiłam, trudno być surowym wobec kogoś takiego jak Sala. Ona miała w sobie czar, potrafiła wszystkich zauroczyć i nie brakowało jej adoratorów — dodała z nostalgicznym uśmiechem.

Lea słuchała z coraz większym zainteresowaniem. Wprawdzie wczoraj Felutka opowiedziała jej o Sabinie, ale ta kobieta mogła wiedzieć więcej. Okazało się jednak, że dama w zielonej sukni szukała odpowiedzi na te same pytania co Lea i może miała takie same podejrzenia co do losów Sabiny.

Według jej słów ojciec Salomei postanowił ją wydać za swojego starego przyjaciela, właściciela wytwórni wody sodowej i lemoniady, podwójnego wdowca i ojca sześciorga dzieci, człowieka pobożnego i pełnego zalet.

— Sala nie była posłuszną córką, nie chciała o nim słyszeć, upatrzyła sobie młodzieńca, który miał oczy czarne i palące jak węgle i czasami przychodził do składu jej ojca. Uciekła z nim tuż przed swoim ślubem, ale skromne życie nie leżało w jej naturze. Wróciła do domu po jakichś dwóch miesiącach. Wtedy, żeby uniknąć jeszcze większego skandalu, szybko znaleziono jej innego kandydata. Sala nie miała wyjścia, zgodziła się ochrzcić i wyjść za Józefa. Postanowiła zrobić wszystko, byle uwolnić się od zaśniedziałej atmosfery domu, w którym rządził ojciec. Myślała, że w Warszawie będzie inaczej, że zostanie panią siebie i będzie mogła robić, co zechce. Ale szybko się przekonała, że nic z tego — kobieta w zielonej sukni opowiadała spokojnym melodyjnym głosem, przedstawiając znaną Lei historię z innej strony. — Po jakimś czasie napisała do mnie, że spotkała kogoś interesującego, kto potrafi ją docenić. To trwało ponad rok, potem napisała, że chce z nim wyjechać, a w końcu przestała pisać. Od lipca 1891 roku nie miałam od niej żadnej wiadomości, tylko potem ta krótka informacja w gazecie, że chciała się zabić. Nie mogłam w to uwierzyć; ona, która kochała życie, uwielbiała się bawić, nie zrobiłaby tego. Jestem o tym przekonana — zapewniła, a w jej piwnych oczach rozpalil się bursztynowy błysk emocji. — Wiem, że jej matka próbowała ją odnaleźć, ale bez rezultatu. Pan Klonowski nie chciał nic powiedzieć, twierdził, że jej ojciec wie o wszystkim. A Sala jakby zapadła się pod ziemię. Może uciekła za granicę? — popatrzyła pytająco na Leę. — Chciałabym się dowiedzieć, co właściwie się stało. Może pani coś wie?

Lea pokręciła głową.

— Niemożliwe, żeby uciekła. Mąż był wdowcem, ale nigdy nie wspominał swojej pierwszej żony, nie chciał o niej mówić. Nikt nie chciał o niej mówić, kiedy pytałam, wszyscy nabierali wody w usta. Naprawdę nie wiem, co się z nią stało. Byłam przekonana, że umarła wkrótce po tym, jak próbowała się zabić, ale teraz nie jestem pewna. Myślałam, że tu się czegoś dowiem od jej ojca.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

— Od niego niczego pani się nie dowie. Znam go dobrze, od trzech lat jestem jego żoną.

Reutowicz wrócił do Warszawy po Nowym Roku, ale Lea daleka była od zaprawionego francuskim winem wniebowzięcia sprzed trzech miesięcy. Zbyt wiele się wydarzyło, zbyt wiele się dowiedziała, żeby mogła mieć jeszcze jakieś złudzenia. Diametralnie zmieniła o nim zdanie, a jednak postanowiła dać mu szansę na wyjaśnienie swojego postępowania i kłamstw. Jeśli poda rozsądny powód,

dla którego zatrzymał notes i chciał go sprzedać Bekmannowi (o co teraz go podejrzewała), jeśli wyjaśni, co naprawdę stało się z Sabiną, to jeszcze się nad nim zastanowi, w przeciwnym razie nie mają o czym więcej rozmawiać. Uzna go za człowieka bez honoru i zerwie wszystkie kontakty, sprzeda udziały w aptece, choćby ze stratą, wyjedzie, zatrze drzwi, spali mosty i zapomni. Czuła, że właśnie tak to się skończy, i obawiała się tego, bała się, że usłyszy jakieś cienkie kłamstewka (cóż on może wymyślić na swoją obronę?), a jego gorące spojrzenia okażą się kolejną blagą. A jednak musiała się z nim rozmówić, i to jak najszybciej, nie było sensu tego odkładać.

Cały dzień zmagala się ze swymi myślami, aż wieczorem zdecydowała się na wizytę. Ubrała się wyjątkowo starannie; nie było w tym nic frywolnego, wybrała szarą suknię, prostą i bez ozdób, a wiążąc sznurówki, zapinając guziki i haftki, miała wrażenie, że szykuje się niemal jak na wojnę. Niewiele mogła wygrać, nie liczyła na to, że pełne porozumienie z Reutowiczem jest możliwe. Jeśli kiedyś jej się tak wydawało, to było tylko chwilowe zaćmienie rozsądku. Spojrzała w lustro, przygładziła palcem nastroszone brwi, poprawiła kapelusz, naciągnęła rękawiczki i poszła na Piwną, czując, że z każdym krokiem przygasa płomyk nadziei, który jeszcze tlił się w jej sercu.

Reutowicz był w mieszkaniu, podobno w nie najlepszym nastroju, zmęczony po podróży. Kiedy go zobaczyła, wydawał się szczuplejszy niż przed wyjazdem, bardziej obcy, chmurny i znów z brodą, chociaż nie taką długą, jaką nosił wcześniej. Znów ją onieśmielał. Uśmiechnął się na jej widok, ale jego oczy pozostały zimne jak styczniowa noc.

— Lea, co za niespodzianka! Zdaje się, że chcesz ze mną poważnie porozmawiać. Proszę bardzo, jestem do twojej dyspozycji — poprosił ją do pokoju.

— Nie wiem, od czego zacząć, panie Reutowicz — mówiła ze ściśniętym gardłem.

— Znowu pan? Czyli nadal jestem Reutowiczem. Szkoda, podobało mi się, kiedy mówiłaś mi po imieniu — powiedział i zmieniając ton, dodał szorstko: — Więc o czym chciała pani ze mną rozmawiać? O notesie, jak się domyślam. A ja sobie wyobrażałem, że ucieszy się pani z mojego powrotu; zapyta, jak mi poszło; że będziemy razem świętować zdobycie srebrnego medalu za Podwójny Sekret, a panią nic nie interesuje, tylko ten diabelny notes! — jego głos aż drżał z gniewu. — Tymon mi wszystko powiedział, on ma słabą głowę, nie powinna była pani powierzać mu swoich sekretów. I uprzedzając pani dociekliwe pytania, powiem, że nie zabrałem notesu, a tym bardziej nie napadłem na Józefa i nic mnie nie obchodzi, czy pani mi wierzy, czy nie! — wyrzucił z siebie ze złością. — Pani mnie obraża tymi podejrzeniami.

Nawet nie poprosił, żeby usiadła. Stała obok stołu zastawionego pakunkami, butelkami i kieliszkami. Nie zwracała uwagi na lekki nieporządek, wpatrywała się w Reutowicza bez mrugnięcia. Jej oczy przypominały teraz jagody wilczego łyka, czarne i lśniące jak po deszczu.

— Nie zabrał pan notesu? Więc skąd go pan miał? I nic pan nie powiedział, kiedy policja go szukała? Ja też go szukałam i pan doskonale o tym wiedział! — Złość narastała w niej z każdym słowem. — Oszukał mnie pan, nie mamy już o czym rozmawiać! — ruszyła do wyjścia.

Zastąpił jej drogę i spróbował przytrzymać za rękę.

— Zaczekaj! Jeśli powiem, że notes nie jest dla mnie ważny, że to Józef mi go dał, uwierzysz?

Zawahała się i przystanęła, ale uchyliła się od jego dotyku. Nie dowierzała mu.

— Jak to dał? Kiedy?

Cofnął rękę bardzo powoli, jakby ten ruch wymagał od niego specjalnego wysiłku i koncentracji. Z trudem przełknął ślinę.

— Powinienem był ci powiedzieć. Nie przypuszczałem, że to dla ciebie takie ważne — mówił spokojniej, ale głos miał nadal szorstki, uraza wciąż drapała go w gardle.

Józef schował notes w repozytorium na recepturze, w szufladce z rzadko używaną hubą modrzewiową. Powiedział o tym Reutowiczowi przed śmiercią. Nie chciał, żeby notes dostał się w niepowołane ręce. Przy pierwszej sposobności Reutowicz wziął notes i schował u siebie. Wiedział mniej więcej, co tam jest, nazwiska i firmy współdziałające z fałszerzami. Ale Józef nie zamierzał tego przekazać policji, nie ufał Trichonowowi, chciał, żeby przyjaciel pokazał zapiski na zebraniu Towarzystwa i ujawnił w prasie nazwiska fałszerzy i właścicieli składów, którzy rozprawdzali

podróbki. To było nierealne, bo nie miał dowodów. Może gdyby dokończył badania, ale sam notes nic nie znaczył. Mimo to Reutowicz przedstawił jego pomysł na zamkniętym zebraniu, jednak nie spotkał się ze zrozumieniem, raczej przysporzył sobie tym wrogów.

— Tak to wyglądało. Wierzysz mi? — zapytał, wpatrując się w nią nieufnie, jakby to ją podejrzewał o kłamstwa.

Wyjaśnienie wydawało jej się prawdopodobne, ale nadal nie była pewna.

— Nie wiem. Nie wiem już, komu mam wierzyć — przyznała, spuszczać wzrok, nie miała siły wytrzymać jego spojrzenia. — Chyba tak.

— To już lepiej. Chociaż co u ciebie znaczy „chyba tak”, tego ja nie wiem.

Obserwowała go spod przymrużonych powiek, jakby bała się spuścić go z oka, by nie zrobił jakiejś sztuczki za jej plecami.

— Chciałabym ci wierzyć — poprawiła się po chwili zastanowienia. — Chciałabym, żeby wszystko było takie proste, jak mówisz, ale kłamiesz. Wiedziałeś, że to Bekmann stoi za fałszerstwami, musiałeś wiedzieć, chciałeś mu sprzedać notes, nie dogadałeś się z nim, dlatego wyjechałeś i nie zeznawałeś w procesie.

— To Bekmann naopowiadał ci takich kłamstw? I ty mu wierzysz? Naiwna jesteś — powiedział tonem, w którym było tyle samo złości, co rozczarowania. — Domyślałem się, że on zorganizował fałszerzy; zawsze był oszustem, inaczej nie dorobiłby się takiego majątku, ale notesu nigdy bym mu nie sprzedał. Nie jestem idiotą. Z nim nie można się układać, to zbyt niebezpieczny człowiek. A ty do niego pojechałaś. To było najgorsze, co mogłaś zrobić, jechać tam i wypytywać go o interesy z Józefem. Jakbyś igrała z ogniem. I zostaw to, już wystarczająco namieszałaś! — z trudnością opanowywał rozdrażnienie. — Nie przyszło ci do głowy, że to pewnie on kazał napaść na Józefa?

Zacisnęła dłonie, aż paznokcie wbiły się jej w dłonie. Próbowwała dodać sobie sił.

— Nie, ja niczego nie namieszałam, ja tylko chcę dowiedzieć się prawdy, dojść po nitce do kłębka, ale po drodze ciągle coś znajduję — odparła szybko, żeby nie czuł się rozgrzeszony. — Jest przecież jeszcze Podwójny Sekret, a może Sekret Sabiny, jak to było?

— Lea, Podwójny Sekret to miał być żart — uśmiechnął się kącikiem warg, strzepnął jakiś pyłek z rękawa. — Przepis był rzeczywiście od Sabiny; Bekmann, zanim dorobił się składu, wyrabiał kadzidła. Józef miał przepis w notesie, ale nigdy go nie wykorzystał. Ja spróbowałem, spodobał mi się zapach, chciałem zrobić ci przyjemność. Pomyślałem, że razem z dymem z kadzidła rozwieje się przeszłość, która tak cię pochłania. Ale ty opacznie odczytujesz moje intencje. Nie rozumiałaś mnie.

I znów, kiedy mówił tak lekko i swobodnie, jakby opowiadał o jakimś banalnym epizodzie, kiedy spoglądał na nią z pobłażliwym uśmiechem, jak na pensjonarkę ekscytującą się wpisem do sztambucha, obawy i podejrzania, które narastały w niej od tygodni, wydały się przesadne, wręcz wysane z palca. A jednak czuła, że nie mówi jej wszystkiego. To było zbyt proste, nie pasowało do niego, on był bardziej skomplikowany, nauczył się dryfować wśród kłamstw i niedomówień, potrafił wygładzać wszystkie wątpliwe historie, bez tego nie mógłby się obejść. A teraz próbował ją zagadać, przeciągnąć na swoją stronę.

Pokręciła przecząco głową.

— Zakpiłeś ze mnie. To wcale nie było zabawne!

— Lea, daj spokój — podszedł do niej, spróbował objąć.

Znów czuła bijące od niego ciepło, kuszący zapach jego włosów i skóry, przez moment wydawało jej się, że wszystko, co ich dzieli, nie ma znaczenia. Ale nie mogła pozwolić, żeby znów ją okłamywał. Drobinę zapiekłej złości, tej sprzed lat i tej całkiem nowej, tkwiły w niej głęboko jak zadra. Musiała je wyciągnąć, nawet gdyby to bardzo bolało. Odsunęła się i jeszcze raz zebrała się na odwagę, żeby dowiedzieć się, jak było.

— Z Chabrowską to też miał być żart? Z kogo chciałeś zakpić? Z Józefa? Dlatego udawała Sabinę? A ty kogo udawałaś?

Jego głos zabrzmiał podejrzenie obco.

— Nie przeciągaj struny, Lea. Co to ma być, przesłuchanie? Zaczęłaś praktykę u Trichonowa?

— Sam mi kiedyś powiedziałeś, że prawda jest lepsza od byle jakich kłamstw, a teraz mnie oszukujesz. Józefa też oszukiwałeś! Jak mam ci wierzyć?

Popatrzył na nią z niezadowoleniem.

— Mylisz się co do Józefa, on o wszystkim wiedział, sam to wymyślił, chciał okpić Bekmanna. Nie był taki dobroduszny, jak ci się wydaje, potrafił być zwykłym sukinsynem.

Wyglądał absolutnie spokojnie, kiedy to mówił, jakby uszły z niego wszystkie emocje i na niczym mu już nie zależało. Ręka mu nawet nie drgnęła, gdy zapalał papierosa. Nie mogła pojąć, jak może być tak opanowany, jakby uznał, że to już koniec rozmowy, że powiedzieli sobie wszystko.

Wiedziała, że powinna coś odpowiedzieć, zaprzeczyć, oburzyć się, ale nie mogła się przemóc, nie miała na to siły. Jeszcze nie dziś. Milczała. Cisza między nimi rosła w nieskończoność, aż stała się nieznośna.

— Ty nie jesteś lepszy! — rzuciła mu w oczy i roztrzęsiona wybiegła z pokoju.

Wyszedł za nią; powiedział, żeby się uspokoiła i że ją odprowadzi.

— Nie! — Złapała palto, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i zbiegła na dół.

Nie pomyślała, że zrobiło się późno i wszyscy dawno wyszli. Nie pomyślała, że apteka może być już zamknięta i nie będzie mogła wyjść. Powinna teraz wrócić na górę, ale tego za nic nie chciała zrobić, już sobie wyobrażała jego złośliwy uśmiezek. Niedoczekanie twoje, mruknęła z bezsilnej złości.

Wszędzie było ciemno. Rozejrzała się bezradnie, próbując wyłapać z mroku znane kształty. Przeszła parę kroków i zobaczyła, że spod drzwi laboratorium sączy się przyćmiona smuga światła. Odetchnęła z ulgą; pomyślała, że Tymon jeszcze jest. Zawołała go, ale się nie odezwał. Podeszła do drzwi i zatrzymała się; zrobiło się jej nieswojo, cisza ją przestraszyła, przypominała jej tę ciszę, głuchą i podejrzaną, która zalegała w aptece tego wieczoru, gdy znalazła Józefa. Jeszcze raz zawołała Tymona. Znowu nic. Światło za drzwiami laboratorium jakby przygasło. Może lepiej wrócić na górę? Nie, nie mam czego się obawiać, nikogo tam nie ma, ktoś zapomniał zgasić lampę, lepiej sprawdzę, uspokajała się.

Pchnęła drzwi i weszła do środka. W powietrzu unosił się zapach terpentyny i eteru. To było dziwne. Rozejrzała się niepewnie, wydawało jej się, że nie ma nikogo, ale serce łomotało jej ze strachu. Przeszła niepewnie wzdłuż laboratoryjnego stołu, nie zauważyła puszek z *Lycopodium*, którą ktoś zostawił na brzegu. Wzdrygnęła się, gdy puszka upadła z trzaskiem i zarodniki widłaka obsypały jej szarą suknię. Nieważne, pomyślała i ruszyła dalej. Teraz go dostrzegła, za stołem koło taboretu migotał mały ogieniek, jeszcze był niegroźny, oblizwał tylko fragment podłogi, można go było łatwo zdeptać jak robaka, byle nie dotarł do terpentyny. Podbiegła i postawiła na nim nogę, a wtedy płomień momentalnie objął dół jej sukni.

Lycopodium, zarodniki widłaka, zawiera bardzo dużo oleju tłustego, pali się ogniem nieugaszonym, wyjaśnił jej kiedyś Józef.

5 stycznia 1904 roku (23 grudnia 1903 roku), notatka z „Kuriera Warszawskiego”:

Wczoraj w godzinach wieczornych doszło do pożaru w aptece na Starym Mieście przy ulicy Piwnej. Zapaliły się materiały przechowywane w laboratorium, nastąpił wybuch. Dwie osoby doznały ciężkich uszkodzeń ciała, przewieziono je do prywatnej kliniki, poszkodowany mężczyzna zmarł w nocy, stan drugiej osoby jest bardzo poważny.

— Pani Leokadio, słyszy mnie pani, prawda? Bardzo panią boli? Podam pani morfinę, będzie pani potem spała, ale to dobrze. Trzeba zmienić opatrunki. Rękę ma pani oparzoną, na twarzy też może zostać blizna, prawa stopa wygląda najgorzej, ale myślę, że da się ją uratować. Karmimy panią przez rurkę, tak musi być, dopóki tam w środku wszystko się nie wygoi. Oby nie było powikłań, ale najgorsze już chyba za panią. Musi pani być dzielna i cierpliwa.

Pachniał karbolem i wodą kolońską.

— Nie najlepiej pani wygląda, ale cieszę się, że panią widzę. Doktor mówił, że ma pani spore szanse, dziś powiedział nawet, że jest całkiem dobrej myśli, ocenia panią na jakieś pięćdziesiąt procent. To już coś, początkowo tyle pani nie dawali. Ale ja cały czas mam nadzieję, że pani z tego wyjdzie, chciałbym panią zapytać o kilka rzeczy. Znalazłem bardzo interesujące miejsce, dobrze by się nam tam rozmawiało, czekam tylko, żeby pani stąd wyszła, madame Klonowska. I proszę wybaczyć, że dziś nie zaproponuję pani papierosa, obawiam się, że doktor by tego nie pochwalił. Muszę się liczyć z jego zdaniem, inaczej by mnie tu nie wpuścili.

Wiem, że teraz nie może mi pani nic powiedzieć, a dużo spraw się nazbierało. Notes, sprawdziłem zapiski, szkoda, że nie miałem ich wcześniej, ale i tak wydestyluję z niego, że się tak wyrażę, kwintesencję prawdy. Kwintesencja prawdy, ładna nazwa na perfumy, nie uważa pani? Ale wracając do rzeczy, pani prawie udało się do niej dotrzeć, gdyby nie popełniła pani kilku błędów, madame Klonowska. Pani jest zbyt sentymentalna, zupełnie niepotrzebnie jeździła pani do Lublina, tylko zwróciła pani na siebie ich uwagę. A prosiłem, żeby pani nie robiła głupstw. Mogłem pani całą tę historię opowiedzieć, gdyby mnie pani zapytała. Oczywiście nic za darmo, ale chociażby za ten notes. Teraz jestem pani dłużny opowieść i dobrą kolację. Zmęczona pani? Dokończę innym razem, obiecuję.

Pachniał papierosami Mir i koniakiem Rémy Martin.

— Lea, jak się czujesz? Doktor mówi, że jest poprawa, że wyjdiesz z tego. Helena cię pozdrawia. Jak wyzdrowiejesz, pojedziemy do Korytnicy na wiosnę, zobaczysz sad i zajrzemy na Czajki. Weźmiemy łódkę, popłyniemy w dół rzeki. Zaraz poczujesz się lepiej, odżyjesz. Pamiętasz, jak wieczorami słuchało się koncertu żab, a jakie komary... To jeszcze tylko kilka miesięcy i znowu je usłyszysz. Tylko się trzymaj i nie martw się o nic.

Aha, receptura mydła już prawie gotowa, niedługo ruszamy z produkcją. Zapach, no nie powiem, wykwinny. Ale kto teraz będzie w aptece, nie wiadomo. Zdrowiej szybko, bo żal na ciebie patrzeć. To już będę szedł.

Pachniał wodą kolońską i mydłem dziegciowym.

— Na litość boską, Lea, ale mnie wystraszyłaś, myślałam, że ducha przez ciebie wyzionę. Nie jestem przesadna, ale telegram to zawsze złe wieści. Od razu wiedziałam, że to coś z tobą. Nie piszesz tygodniami, a potem taka wiadomość. Nerwy mam zszargane przez ciebie. Wszystko przez to, że jesteś zupełnie nieodpowiedzialna. I po co ci to było? Praktyka w aptece, też coś! Masz pieniądze, stały dochód i czego jeszcze szukasz?

A teraz to ja zupełnie nie wiem, co z tobą będzie, co ty będziesz robiła? Dobrze, że było ubezpieczenie ogniowe, ten Reutowicz miał głowę na karku, ale straty są spore, nie wiem, czy odremontują laboratorium. Ale ty i tak tam nie wrócisz. Zabiorę cię do siebie. No i muszę zrobić ci rękawiczki na szydelku, będziesz potrzebowała kilku par. Czarne też zrobię, zawsze mogą się przydać.

Pachniała perfumami fiołkowymi i atramentem.

— Jezusie Nazaretański, ale pani wygląda... O Jezu słodki! Aż strach patrzeć. Jakżem tu szła, to po drodze całą litanię odmówiłam za pani zdrowie — pociągnęła nosem. — Bo tak sobie myślałam, że jak pani, nie daj Boże, by się zmarło, to co się ze mną stanie? A mam takiego narzeczonego, nawet żenić się chce, chudzina taki, nieborak, to jeszcze poczekam, bo może pani z tego się wygrzebie, a mnie może kto lepszy się trafi.

A wie pani, że pogrzeb był na koszt apteki. Same wieńce ze dwadzieścia rubli kosztowały albo i więcej. A mróz taki ścisnął, że dwa dni grób kopali, musieli kuć ziemię kilofami. Ale pięknie było,

splakałam się jak na pogrzebie nieboszczyka pana Klonowskiego. Trzeba czasami wyplakać żal, co człowieka zżera jak robak, lżej się od tego potem robi na sercu. Pani też by płakała, pięknie było i uroczyście, i on taki młody, i za panią poszedł w ogień. O Jezu słodki, jakżem się splakała, jak bóbr.

Pachniała bielidłem i przysmażoną cebulką.

— Lea, Kazimierz jest dobrej myśli, ale mnie serce aż ściska z żalu, kiedy o tobie pomyślę. Boże, jak ty musisz cierpieć. A ja nie mogę sobie darować, że nie powiedziałam ci wszystkiego. Wiesz, chodzi o Sabinę, ona wtedy nie umarła, wywieźli ją gdzieś. Nie wiem gdzie, Kazimierz nie chciał mi powiedzieć, może sam nie wiedział. Miałaś rację, że chciałaś poznać prawdę. Powinnaś ją znać, mąż powinien ci powiedzieć, nie musiałabyś sama szukać odpowiedzi — westchnęła ciężko. — Ale jak się nad tym zastanawiam, to z drugiej strony czasem lepiej o takich sprawach nie wiedzieć. Może twoja ciotka słusznie mówiła, że nie należy oglądać się za siebie. Sama nie wiem.

Pachniała wodą kwiatową werbena firmy Dralle i kawą ze śmietanką.

— Nie przypuszczałem, że cię jeszcze zobaczę, Lea. Gdyby nie twoja przyjaciółka, wyjechałbym bez pożegnania. Nie chcieli mi powiedzieć, gdzie jesteś. Twój kuzyn nie podał mi nawet ręki. Uważa, że to moja wina. Może ma rację, ale nigdy nie chciałem, żeby spotkało cię coś złego. To ja powinienem tam zejść, nie ty, ja miałem zginąć. Zresztą nie wiem, może chodziło im tylko o aptekę. Nie dowiemy się. Ale to nie był wypadek.

On próbował cię wyciągnąć, wtedy wybuchły butle z terpentyną, cały impet poszedł na niego, miałaś więcej szczęścia. Ale nie uwierzę, że to on podłożył ogień. Nie wiem, co tam robił. Ostatnio stanowczo za dużo pił i za dużo mówił, i to niewłaściwym ludziom.

Domyślałem się, że Bekmann stoi za fałszerzami, po tej historii w sądzie miałem pewność. Prosiłem, żebyś dała temu spokój, ale ty musiałaś pokazać, że potrafisz wziąć sprawę w swoje ręce. Gdybyś mi zaufała... W jednym miałaś rację, nie powiedziałem wszystkiego. Nie chciałem, żebyś o mnie źle myślała. Widzisz, ta historia z Sabiną nie skończyła się tak, jak sądzisz. Ona nie popełniła samobójstwa; mówiła, że to zrobi, jak z nią nie wyjadę, ale nie zrobiła. Uciekła, a ja pomagałem Józefowi zatuszować sprawę, stąd ten teatr z Chabrowską. Kiedy Józef umarł, pomyślałem, że sprawa jest zamknięta i mogę zacząć od nowa. A w końcu uwierzyłem nawet, że zależy ci na mnie, że się do mnie przekonałaś, ale tobie bardziej zależało na tym, żeby odkryć prawdę.

Lea, wyjeżdżam do Petersburga, tak będzie lepiej dla ciebie i dla mnie. Cholera, co mam jeszcze powiedzieć? Lea, gdybyś tylko chciała... Mówiłem, żebyś nie przeciągała struny.

Wracaj do zdrowia, Lea, i powodzenia, ale raczej nie w aptecę.

Pachniał oliwanem i piołunem.

Lea przez szparę w bandażach widziała mały kawałek pobielonego sufitu, codziennie obserwowała, jak zmienia się na nim światło, jak przybiera na sile, a potem gaśnie. Spróbowała odwrócić głowę; zobaczyła szybę, kawałek nieba i pajaka, który razem z nią czekał na wiosnę. Snuł nici, przemieszczał się z jednego końca na drugi, powoli i systematycznie. Ona też próbowała odtworzyć sieć z niedomówień i starych sekretów. Na razie pajak był lepszy.

Pachniał tak jak i ona, środkami dezynfekcyjnymi i chorobą.

— Doktor mówi, że robi pani postępy. Bardzo się cieszę, ma-dame Klonowska, w takim razie zarezerwuję miejsce Pod Rakiem. Może nie ma co tak się spieszyć, ale na maj mógłbym zaryzykować. Jak pani uważa? Zapytam jeszcze doktora, okropny z niego pedant.

Pamiętam, jestem winny pani opowieść, ale to później, jak pani wyzdrowieje, teraz nie będę pani

mężczył. A, jeszcze jedno, bardzo jestem ciekawy, gdzie pani naprawdę znalazła notes swojego męża. To cenna rzecz, kolekcje podejrzanych firm, nazwisk. To, co pani wpadło w ręce na temat Palety, to tylko mały wycinek, błahostka. Pani nieodżałowany mąż miał świetne rozeznanie, zawsze miał do tego nosa. Dobrze go znałem, zaczęliśmy współpracować, kiedy wstąpiłem na służbę w policji lekarskiej. Prawdę mówiąc, to nie miałem wyboru, ale to inna sprawa. Pan Klonowski robił dla mnie badania, szybko i bez zbędnych skrupułów, oszust to oszust niezależnie od nazwiska, wyznania, narodowości, chociaż miał pewne uprzedzenia, ale kto ich nie ma, droga pani, kto ich nie ma. Była w nim jakaś zapiekłość, powiedział mi kiedyś, że to przez jego pierwszą żonę, że to było prawdziwe oszustwo. Czasami miał poczucie humoru. Naprawdę dobrze mi się z nim współpracowało. Do czasu tej wybitej szyby; potem to się zmieniło. Już wtedy byliśmy na tropie fałszerzy; mówię „byliśmy”, bo pani mąż bardzo się w to zaangażował, a w końcu zaczął podejrzewać niemal wszystkich, nawet mnie. Oczywiście, każdy ma słabości i swoją cenę, ale nie można przesadzać. Ale pan Klonowski zaczął prowadzić swoje prywatne śledztwo; myślał, że ktoś z jego otoczenia, może nawet ktoś z apteki pracuje dla fałszerzy. Nie zgadzałem się z nim, a teraz uważam, że to bardzo możliwe. Coś w tym musi być; najpierw on, teraz pani, włamanie, pożar, to nie przypadek, chociaż niektórzy chcą w to wierzyć.

Przyniosłem pani podarek; pomyślałem, że musi się tu pani okropnie nudzić. Proszę schować, żeby siostrzyczka albo doktor nie zobaczyli. To książka, *Portret Dorigana Graya*, przeczyta pani do poduszki, jeśli można tak powiedzieć.

Pachniał papierosami Mir i środkami dezynfekcyjnymi.

— Lea, musiałam przyjść, ledwo mi się udało ubłagać doktora, ale musiałam. Ta zakonnica, co to za biedna istota, siedzi tu cały czas i pilnuje cię. Może słucha, ale trudno. Powiedziałam jej, że mam wiadomość, która cię ucieszy. Nie wiem, czy rzeczywiście to jest taka wesoła wiadomość, ale on prosił, żebym ci przekazała. Pozdrawia cię. Uważa, że jesteś silna i uparta i dlatego się w to wplątałaś. Podobno nie chciałaś, żeby dalej prowadził dla ciebie poszukiwania, ale on to zrobił, sam był ciekaw, co się stało. Wygląda na to, że ta osoba, o którą pytałaś, zniknęła. I nie tylko ty jej szukałaś, matka wynajęła kogoś, żeby ją odnalazł. I jeszcze coś; pisze, że jej ojciec dorobił się majątku na podejrzanych interesach.

Pachniała Podwójnym Sekretem z nutą papierosów Mir.

17 maja (4 maja) 1904 roku

— Niechże się pani rozchmurzy, nie ma się czego wstydzić. Ta mała blizna tylko dodaje pani uroku, odrobiny pikanterii. Jeśli mogę odwołać się do kulinarnych porównań, jest jak szczypta cynamonu w szarlotce, podkreśla smak i zaostrza apetyt. — Trichonow z uśmiechem spojrział na Leę. Był to uśmiech zarezerwowany na specjalne okazje, prawdziwy i ciepły, w wersji dla przyjaciół. — Jestem zachwycony, że panią widzę, madame Klonowska. — W jego oczach jeszcze przez chwilę widać było błysk zadowolenia, który szybko jednak przygasał. — Zmieniła się pani, pani spojrzenie stało się dojrzsalsze, cięższe o znajomość brzydkich stron życia, to nieuniknione. Ja to widzę, wiem, że z takich katastrof nie wychodzi się bez uszczerbku na ciele i duszy. Ale wszyscy tracimy złudzenia, opadają z nas jak niepotrzebny balast, dobrze mieć coś oprócz nich w zanadru.

— Proszę tak nie mówić, to dla mnie krępujące — zmieszała się na moment. Przyglądała mu się bacznie, z zaintrygowaniem. Jej oczy w szczupłej, zmienionej chorobą twarzy rzeczywiście zrobiły się większe, jeszcze bardziej czarne i nieruchome jak u ciekawskiego i nad wiek poważnego dziecka.

— Ależ droga pani, więcej wiary w siebie! U kobiet najbardziej cenię subtelne poczucie humoru z odrobiną złośliwości; wiem, że pani to potrafi — ciągnął z miną dobrotliwego wujaszka na bladej twarzy ozdobionej podkręconymi węsami. — Nie każdy to docenia, na przykład Bekmann. Interesująca postać, nie uważa pani? Ale żeby do niego jechać, to już przesada, to było naprawdę niemądre. Trzeba

było z tym przyjść do mnie. Przecież znamy się od lat, może mi pani w pełni zaufać — dodał, jakby mogło to coś zmienić. — Miała pani trzymać się z daleka od fałszerzy i oszustów, prosiłem, żeby nie działała pani na własną rękę. Obiecała mi to pani — wypominał jej z lekką naganą w głosie.

Lea pokręciła głową.

— To nie tak. To był przypadek, nie miałam bladego pojęcia, że on jest zamieszany w fałszerstwa, chciałam zapytać go o Sabinę.

— Przypadek? — Trichonow popatrzył na nią z powątpiewaniem, ale nie skomentował tego, rozsiadł się wygodnie na krześle i sięgnął po kartę win.

Restauracja Pod Rakiem w porównaniu z knajpami, w których Lea dotychczas spotykała się z Trichonowem, była zupełnie inna, można powiedzieć, że była o niebo lepsza pod każdym względem. Serwowano w niej wyborne dania i trunki, a sprawna obsługa robiła wrażenie wyjątkowo dyskretnej, w co oczywiście nie należało wierzyć. Dlaczego Trichonow wybrał właśnie ten lokal, Lea nie próbowała dociec, być może uczynił to ze względu na menu. Zasadniczo to nie miało znaczenia; grunt, że wybrał trafnie i przełamał jej małomówność, stosując kilka dobrze wypróbowanych środków, w tym duże ilości wina.

Po długiej rozmowie, podczas której streściła mu niemal całe swoje życie, czuła się jak po wielkanocnej spowiedzi, oczyszczona i rozgrzeszona z sekretów, prawie niewinna. Trichonow był zaś przy drugim tuzinie szyjek rakowych i miał coraz lepszy humor. W mundurze, który założył tylko po to, żeby pokazać go Lei łącznie z kolekcją błyszczących medali, prezentował się okazale, proporcjonalnie do solidnej tuszy i poczucia samozadowolenia. Lea w liliowej sukni (trzeba było ją zwięzić, żeby nie wisiała na niej jak na kołku) robiła wrażenie eterycznej i kruchej, niemal stojącej nad grobem albo takiej, która właśnie stamtąd wróciła, co było bliższe prawdy. Krótkie włosy, które mimo usilnych starań i dużej ilości brylantyny wystawały niesfornie spod kapelusza, pogłębiały wrażenie, że jest kobietą niebanalną.

Trichonow oderwał wzrok od półmiska z zakąskami i zerknął na nią, unosząc znacząco brwi.

— Pojechała pani, żeby zapytać starego Bekmanna o córkę? Musiał się zdziwić. Szkoda, że tego nie widziałem — był szczerze rozbawiony. — Gdyby powiedziała mu pani, że chce z nim porozmawiać w sprawie interesów, pewnie by na to przystał, ale sentymenty nie zrobiły na nim wrażenia, nie uwierzył w pani czyste intencje — spoważniał, przymrużył oczy, a na twarzy zarysował się grymas zatroskania.

Teraz przypomniał jej tego młodego mężczyznę w miękkim kapeluszu, który kiedyś przysiadł się do niej w kawiarni przy Miodowej. On też się zmienił, pomyślała. Wszyscy się zmienili, i to wcale nie na lepsze. Może tylko Leon pozostał sobą, serdeczny i pogodny jak dawniej, ale on był daleko od oszustów i fałszerzy.

Trichonow wyrwał ją z zamyślenia.

— Naprawdę nie podejrzewała pani Bekmanna o powiązania z fałszerzami?

Lea pokręciła przecząco głową; po chwili zaczęła się zastanawiać, jak to właściwie było. Dwa razy wygładziła nieskalanie białą serwetkę, zanim odparła:

— Coś mi chodziło po głowie, ale nie mogłam uwierzyć, że mąż prowadził interesy z fałszerzem. Byłam pewna, że to w ogóle nie wchodzi w grę. Sprawdzałam w aptece księgi rachunkowe, towary od Bekmanna mąż sprowadzał jeszcze po śmierci Sabinie, to było dla mnie gwarancją, że wszystko musiało być bez zarzutu.

— Nie wiedziała pani, że to był układ, z którego pani mąż nie mógł się wypłatać? Bekmann to stary lis, to on wszystko zorganizował. — Trichonow rozsiadł się na krześle i z lubością popijając wino, przedstawił Lei swoją wersję wypadków.

Małżeństwo z Sabiną to była transakcja wiązana, Bekmann dał jakąś sumkę na aptekę, to była raczej pożyczka, a posag wypłacał w towarach, które przez następne lata dostarczał do apteki. Początkowo wszystko szło dobrze, towary były dobrej jakości; możliwe, że z przemytu, ale nie budziły większych zastrzeżeń, a ceny miał konkurencyjne. Apteka się rozwijała, Bekmann dał kolejną pożyczkę na modernizację i coraz bardziej uzależniał Józefa od siebie. Afera z korą chinową dała Józefowi do myślenia; zrobił się podejrzliwy, ale kiedy się zorientował, że dostaje podróbki, było za późno, żeby

wprost oskarżyć Bekmanna. Sam był zamieszany w sprzedaż podrabianych leków i Bekmann pociągnąłby go za sobą. Józef nie mógł bezpośrednio go zaatakować, próbował wyeliminować jego współników. Wtedy powstała lista, którą zamierzał opublikować, i gdyby nie Reutowicz, pewnie by to zrobił. Reutowicz wykazał się większym instynktem samozachowawczym. Wybita szyba była ostrzeżeniem, potem było kolejne ostrzeżenie, napad. Ale na tym się nie skończyło, bo fałszerstwami zainteresowała się policja, a na dodatek Lea zaczęła niebezpiecznie krążyć wokół sprawy. Pożar miał to załatwić, a że były dodatkowe straty, Bekmann tym się zbytnio nie zmartwił.

— Pani mąż słowem nie pisał o swoich podejrzeniach, ale z Reutowicza w końcu coś wydusiłem. Po pożarze jakby zmiekkł, pewnie sumienie go uwierało, wtedy przyznał, że był pewien układ między pani mężem a Bekmannem. To była dobrze strzeżona tajemnica, a jednak pani coś podejrzewała. Kiedy pani na to wpadła?

Lea spojrzała na Trichonowa i pomyślała, że jest równie brzydki, co inteligentny. Potrafił wyciągnąć z niej nawet to, o czym sama nie wiedziała albo nie chciała wiedzieć. Jakby zbierał małe, niewidoczne dla innych kuleczki rtęci i łączył je w dużą połyskliwą kroplę. Jak alchemik.

— Rozczaruję pana, nie doznałam żadnego olśnienia, proces był długotrwały. Niepokoili mnie różne rzeczy, ale nie potrafiłam ich ze sobą powiązać. Dopiero w Lublinie coś mi zaczęło świtać. Podczas rozmowy z Bekmannem pojęłam, z kim mam do czynienia.

— A jak pani odkryła, kto przekazuje Bekmannowi informacje z apteki?

Uśmiechnęła się skromnie i popatrzyła na miłego oku rydza (podczas rekonwalescencji karmiono ją mdłymi papkami), a potem zerknęła na swojego rozmówcę.

— Pan wybaczy, ale zachowam to dla siebie. Obawiam się, że moje podejście nie było profesjonalne, pan by tego nie aprobował — odpowiedziała trochę przekornie.

— Niebyszała! — błysk wesołości pojawił się w jego oczach. — Teraz mnie pani zaintrygowała. Koniecznie proszę mi powiedzieć o tym nieprofesjonalnym podejściu. Nalegam.

Zrobiła urażoną minę.

— Proszę sobie za dużo nie wyobrażać!

— Nic z tego, droga pani, lubię wyobrażać sobie za dużo, i to rzeczy całkowicie niestosowne. Dopóki nie zdradzi pani swoich sekretów, moja wyobraźnia będzie szaleć jak swawolny wiatr na procesji — powiedział z uśmiechem i wprawnym ruchem nalał jej wino do kieliszka z zielonego szkła.

Patrzyła, jak wino opalizuje, chłonąc refleksy światła przepuszczonego przez szkło. Upiła kilka łyków i odstawiła kieliszek. Osuszyła usta serwetką.

— Znowu pomógł mi przypadek — zapewniła z dziecięcą gorliwością. — Podejrzewałam, że to ktoś, kto dobrze zna aptekę i zwyczaje pracowników. W Lublinie u Bekmanna natknęłam się na pana Emila, wychodził z kantoru, właściwie wymknął się tylnym wyjściem, żebym go nie zobaczyła. To dało mi do myślenia — wyjaśniła, pomijając pewne szczegóły.

Nie mogła przecież przyznać, że podejrzewała pana Emila od dawna, kiedy stojąc pod bramą wytwórni na ulicy Folwarcznej, usłyszała fragment rozmowy i głos jednego z rozmówców wydał jej się znajomy. Wtedy jeszcze nie była pewna, ale latem, kiedy zasiedziała się w kawiarni przy Foksal i wracała wieczorem do domu, zobaczyła go, jak prowadził Tymona, który ledwo trzymał się na nogach, wtedy coś ją tknęło. Tymona nigdy nie podejrzewała, nawet gdy nieudolnie kłamał, że nie widział pana Emila od lat. Ale tamtego wieczoru poszła za nimi i przekonała się, że to był pan Emil. Ten sam, który kilka lat wcześniej z gracją tancerza poruszał się wśród aptecznych szafek, ten, który był zawsze uprzejmy i miły i który tak nagle wyjechał do Brazylii.

— Przypadek? Bekmann to też przypadek? — Trichonow pogroził jej żartobliwie palcem. — Madame Klonowska, dziś mam dobry humor, uwierzę w pani przypadki, ale proszę mnie posłuchać i unikać ich jak ognia (może to nie jest najszcześliwsze porównanie), a najlepiej będzie, jak pani zapomni o tych sprawach. Dobrze?

Uśmiechnęła się przekornie, lekko przekrzywiając głowę.

— Za chwilę zapomnę o wszystkim, ale obiecał mi pan powiedzieć, co się stało z Sabiną.

Zrobił zdziwioną minę.

— Obiecałem? Chyba nie pamiętam.

Nie dała się zbić z tropu.

— W to akurat ja nie uwierzę. Pan ma doskonałą pamięć, po co ją obciążać niespełnionymi obietnicami.

Roześmiał się rozbrajająco.

— Jedna mniej, jedna więcej nie robi różnicy.

— Dla mnie robi — zapewniła, wlepiając w niego oczy. — Proszę mi powiedzieć, co się z nią stało. Mam dość sekretów.

Spowaźniał i odłożył widelec na talerz z niedojedzonym auszpikiem, jakby nagle stracił apetyt.

— Cóż, historia Sabiny nie jest specjalnie ciekawa. Tak jak wspomniałem, Bekmann pożyczył panu Józefowi pieniądze na aptekę, pożyczkę miał umorzyć, gdy małżeństwo córki przetrwa pięć lat, ani dnia krócej. Z pewnością nie spodziewał się, że do tego dojdzie; znał ją jak zły szeląg, a separacja nie wchodziła w grę. Już po roku Sabina chciała unieważnienia małżeństwa, a gdy pan Józef się nie zgodził, zaczęła rozsiewać plotki, że mąż się nad nią znęca i woli męskie towarzystwo. Mogli go za to zamknąć. Udało mi się ukłębcić łeb całej sprawie, to była drobna przysługa. Skończyło się na tym, że zamknięto ją w zakładzie dla nerwowo chorych. Umarła latem dziewięćdziesiątego piątego roku — dodał beznamiętnym głosem.

Lea patrzyła na niego czarnymi oczami, które stawały się jeszcze większe. Nawet nie mrugnęła, nie zakrztusiła się, poczuła tylko nieznaczne przyspieszenie serca.

— To chciała pani wiedzieć. Nie brzmi to dobrze, dlatego pan Klonowski wołał trzymać tę sprawę w tajemnicy. Reutowicz też milczał, prawda? Głowę daję, że pomagał staremu przyjacielowi w kłopotcie. Może miał nawet wyrzuty sumienia.

— A co z Chabrowską?

— Chabrowska to był epizod. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że do pięciu lat małżeństwa zabrakło paru tygodni. Sabina uciekła po tym, jak Reutowicz miał jej dosyć i nie chciał z nią wyjechać. Wtedy zniknęła na jakiś czas, może udałoby się jej wyjechać, gdyby nie próbowała sprzedać koleczyków. Warszawa jest mała, ktoś doniósł o tym panu Józefowi, a on odnalazł żonę i zamknął w takim miejscu, z którego nie ma szansy na ucieczkę — mówił coraz bardziej znużonym głosem, obciążonym nadmiarem doświadczeń. Patrzył na kieliszek z winem, jakby tam było źródło prawdy. — Zamiast niej na kilku przyjęciach pokazała się Chabrowska; robiła wszystko, żeby ją zapamiętano. Gdy minął termin objęty umową, sprawę zakończono efektowną próbą samobójczą, oczywiście to było tylko przedstawienie. Chabrowska dostała za to pewną kwotę i miała zniknąć na zawsze, ale wracała jak zły szeląg i pan Józef od czasu do czasu wspierał ją jakąś drobną sumką. Przy takich przedsięwzięciach zawsze jest ryzyko, trzeba to wliczyć w koszty własne. Ale Bekmann dał się przekonać, że Sabina trafiła do zakładu po pełnych pięciu latach małżeństwa. Mógł to sprawdzić, postarałem się, żeby w dokumentach wszystko się zgadzało, dopiero później zaczął coś podejrzewać — na twarzy Trichonowa zagościł płytki uśmiech. — Sabina i jej ojciec to były osoby, o których pani nieodżałowany małżonek chciał zapomnieć. Chciał, żeby wszyscy o nich zapomnieli, a pani to utrudniała — dodał z westchnieniem, w którym kryło się rozczarowanie i znużenie życiem, zupełnie nie na miejscu i nieprzystające do urokliwego wieczoru.

Przez ściany domku przenikały głosy z zewnątrz, dźwięki muzyki lekkiej i zabawnej, rozmowy i śmiechy gości, toasty i okrzyki, a może i westchnienia, ale w pełni romantyczne, na miarę wesołego majowego wieczoru, jaki można było spędzić w restauracji Pod Rakiem. Od czasu do czasu Lea słyszała szmer wiatru i brzęczenie komarów, i nawoływania poławiaczy raków dobiegające z Wisły, wszystko mieszało się jej w głowie — głosy, zapachy i smaki. Patrzyła w cień za plecami Trichonowa, jakby było w nim coś więcej niż czerń, ale niemal całe jej życie. Zwilżyła wargi winem i przechylając lekko głowę, powiedziała:

— Pan też lubi dużo wiedzieć. Sam pan przyznał, że interesują pana osoby, o których chce się zapomnieć. Ja nie zapytam, o kim pan chce zapomnieć, ale myślę, że był ktoś taki.

— Owszem, droga pani — odparł, a w jego oczach pojawił się stalowy błysk. — Owszem, lubię wiedzieć, ale mam ku temu zupełnie inne powody niż pani, na poły zawodowe — odstawił kieliszek

i znów westchnął głęboko, starając się zniwelować ucisk paska. — Lubię zgłębiać rozstroje duszy, znam je lepiej od niejednego klechy. To dla mnie pasjonujące wyzwanie: obserwować, jak traci się złudzenia. Ale takich beznadziejnych pesymistów i cyników jak ja jest wystarczająco dużo na świecie. Niech pani nie idzie tą drogą, proszę raczej pozwolić sobie na rozsądną dozę naiwności i wiary w lepsze dni — dodał, napełniając ponownie kieliszki. — I jeszcze jedno. Jeśli mógłbym pani coś poradzić, to proszę już nie myśleć o tej przygnębiającej historii i nie jechać tam. Mówię to jako pani przyjaciel. Proszę mi wierzyć, nic dobrego z tego nie wyniknie. Już lepiej będzie, jak pani wybierze się do Monachium albo do Petersburga, to ładne miasta. I zdecydowanie lepszy klimat. A o tej historii proszę zapomnieć i zostawić sobie trochę złudzeń, madame Klonowska — powiedział.

A przy pożegnaniu dodał:

— I mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Odpowiedziała mu nieprzeniknionym uśmiechem. Oczywiście spotkali się jeszcze nie raz.

Nie posłuchała go. Musiała wiedzieć do końca, po to się z nim spotkała Pod Rakiem, dlatego opowiedziała mu o panu Emilu. Potem nie dawało jej to spokoju. A jeśli się pomyliłam? Trichonow wprawdzie obiecał, że dokładnie to sprawdzi, ale czy jemu można ufać? Czy komukolwiek można jeszcze ufać? Z drugiej strony, gdyby tego nie powiedziała, pewnie nie dostałaby od niego pisma polecającego i teraz nie miałyby po co jechać. Tak właśnie myślała dwa dni po spotkaniu z Trichonowem, kiedy wsiadała do pociągu.

Na Dworcu Głównym Kolei Nadwiślańskiej ruch był duży, każdy dokąś się spieszył, prawie każdy. Lea nie spieszyła się tak bardzo, w jej ruchach nie było podniecenia, przytłaczały ją trudne myśli. Jechała do siostry, ale wcześniej chciała załatwić jeszcze jedną sprawę, o której potem zapomni. Musiała się dowiedzieć, co właściwie stało się z Sabiną i który z nich bardziej kłamał, Józef czy Reutowicz. Musiała się przekonać, czy może im wybaczyć.

Zakład dla alkoholików i nerwowo chorych to było ponure miejsce, które może śnić się po nocach, jeśli nie ma się innych koszmarów. W porównaniu z nim piekielne wizje mistrzów gotyku wydawały się niemal niewinne i najwyżej lekko obrzydliwe. Tu wstręt byłby bardziej na miejscu, wstręt i dominujące uczucie grozy, które spływało na wchodzących w mury zakładu wraz z rozproszonym światłem wnikałym przez wysoko umieszczone i zakratowane okna. Lea uświadomiła sobie, że wkracza w strefę cienia, a kiedy szła długim zimnym korytarzem i w odgłosy jej kroków wdarł się przeraźliwy krzyk jednego z pacjentów, włosy zjeżyły się jej na głowie.

Lekarz, młody człowiek o wejrzeniu rybich oczu i dużych, jakby wymoczonych białych dłoniach, zdobył się na niemrawy uśmiech, kiedy Lea podała mu list polecający od Trichonowa. Nie miał wiele do powiedzenia; pacjentów traktował jak pozbawione duszy zwierzęta, kierowane instynktami i odruchami, na dodatek całkiem bezużyteczne. Sabiny nie pamiętał; gdy przebywała w zakładzie, on jeszcze tu nie pracował. Ale starał się odpowiedzieć na pytania Lei. Zaprowadził ją do dawno niewietrzonego pomieszczenia w suterynie, gdzie stały masywne katalogi z dokumentami, i z szuflady oznaczonej literą „K” wyciągnął kartę choroby Sabiny Klonowskiej. Odnotowano w niej, że była przypadkiem trudnym, nierokującym pomyślnie, alkoholicką pozbawioną wszelkiego poczucia przyzwoitości. Spędziła w zakładzie pięć lat i z każdym rokiem pogrążała się coraz bardziej w beznadziejności. Na początku próbowała uciekać, potem już nie. Zmarła na gorączkę nerwową. Nikt jej nie odwiedzał, mąż pojawił się tylko raz, już po jej śmierci, przyjechał załatwić formalności związane z pochówkiem na miejscowym cmentarzu. Taka była historia Sabiny i Lea już nie się dziwiła, dlaczego Józef nie chciał o niej wspominać. Nie próbowała też dociec, dlaczego lekarzem, który wysłał Sabinę do zakładu, był Aleksander Trichonow. Do licha, pomyślała i szybko przymknęła powieki, jakby próbowała zmasać ten obraz, zetrzeć go z oczu. Teraz chciała zapomnieć o tym już na zawsze.

Mieszkanie Maryni nie było ładne; okna wychodziły na dziedziniec szkolny, duży plac otoczony

wysokim murem, wzdłuż którego rosły morwy, a bliżej budynku kilka krzaków sztamowego bzu. Wczesnym rankiem panowały tam gołębie i wróble, nadlatywały wraz ze świtem, niosąc dzień. Potem wychodził woźny i zamiatał dziedziniec, pogwizdywał przy tym głośno i wciąż na jedną nutę. Jego miotła szurała zamasyście, zmiatając z bruku opadłe kwiaty bzu, liście, kurz i niedopałki papierosów wypalanych przez starszych uczniów za załomem muru. O ósmej na dziedziniec wychodzili chłopcy, ich wysokie, cienkie głosy drgały od emocji i mieszały się ze spokojnym gruchaniem gołębi, które przenosiły się na dach. Od czasu do czasu przez tę wrzawę przebijał się karcący głos któregoś z wychowawców. Lea słuchała tego od rana do wieczora, aż wszystko się wyciszało, a zapach bzu i zdeptanej trawy podpływał do okien jak cień minionych dni.

Kiedy wracała Mania, było gorzej. Siostra nie szczędziła jej pouczeń, wypływających zapewne z dobroci serca, ale mało serdecznych.

— Dobrze, że z tego wyszłaś, ale pamiętaj, żeby zasłaniać twarz woalką i zawsze zakładać rękawiczki, gdy idziesz do ludzi. Aż strach patrzeć na ciebie. A te blizny, przecież to się może jątrzyć — mówiła z nutą troski i wyrzutu w głosie, kiedy Lea nakładała opatrunek na stopę. Reszta już się wygoiła, na policzku i dłoniach pozostały niewielkie ślady, ale stopa wciąż wymagała leczenia. — Życie sobie zmarnowałaś przez głupie zachcianki. Mogłaś od razu dogadać się z Reutowiczem, a nie stroić fochy. A tak co? Po co się do tego mieszałaś, po co wtykałaś nos w cudze sprawy? Gdyby nie ten młody mężczyzna, byłoby po tobie, spaliłabyś się jak pochodnia, tak jak on, i nie byłoby czego zbierać. Do końca życia nie zapomnisz, że masz go na sumieniu. A ile to potem kłopotu z pogrzebem! — dodała z ciężkim westchnieniem. Lekko zmarszczyła czoło i zastanawiała się, co by jeszcze można dodać, a gdy nic budującego nie przyszło jej do głowy, poprawiła idealnie ułożoną fryzurę, obciągnęła stanik ciemnej sukni i spojrzała na mały srebrny zegarek. — Muszę już iść, nie mogę się spóźnić, a ty wypoczywaj. Tylko nie wychodź na słońce, i już o tym nie myśl. Co się stało, to się nie odstanie.

Lea wytrzymała z nią tydzień. Niecały. W niedzielę nadarzyła się okazja, zapakowała swój bagaż i zostawiła urażoną Marynię. Chciała zapomnieć o wszystkim, zmyć z siebie zapach dezynfekcji i spalenizny, które przyływały do niej nocą wraz z dusznymi snami. Najczęściej śnił jej się Tymon, który wyniósł ją z laboratorium, gdy eksplodowały butle z chemikaliami i opadł na nich gryzący dym. I ten, który pomagał jej przy robieniu pigułek, uśmiechał się do niej nieśmiało, a potem szedł Pod Zieloną Papugę albo nie wiadomo gdzie i przy kieliszku powierzał Emilowi apteczne sekrety. Tymon, któremu zawsze ufała.

W maju na łąkach rozciągających się wokół Czajek było głośno jak na targu. Słysząc było bezustanne nawoływania ptaków, rechotania żab, brzęczenie pszczoł, much i muszek, które przelatywały nad kwitnącymi grązelami, kaczeńcami, kręciły się koło żabieńców i niezapominajek rosnących w rowach. W olszynach czaiły się komary i gzy. Kwitły turzyce, wichliny, wysmukłe żółte kosańce, jaskry, liliowe mięty i poleje. Lea nie mogła przejść koło nich obojętnie, co chwila przystawała, zrywała gałązki i żdźbła, sprawdzała ich gładką albo kosmatą powierzchnię, dotykała liści i kwiatów, pocierała je palcami, wachała, kładła odrobinę na język, rozgryzała i smakowała. Czuła się niemal szczęśliwa, ozdrowiała, wreszcie mogła odetchnąć pełną piersią, wyzbyć się resztek klinicznych zapachów, popatrzeć wprost w kapryśne wiosenne niebo.

Miała na sobie czarną sukienkę, spłowiałą i spraną, ale tutaj nikomu to nie przeszkadzało. Duży słomkowy kapelusz chronił ją od słońca i zasłaniał włosy, które jeszcze nie zdążyły porządnie odrosnąć, na nogi włożyła za duże buty. Razem z Julią, gospodynią wuja Janusza, i jej wnuczką, Ewką, wybrały się na łąki zbierać zioła.

Dom wuja stał na lekkim wzniesieniu, był stary i rozłożysty, jakby przechylony na jedną stronę. Przydałaby mu się naprawa dachu, który w kilku miejscach przeciekał, schodki na ganek też nie były w najlepszym stanie, ale Lei to nie przeszkadzało, niech wuj rządzi się, jak mu wygodnie; najważniejsze, że przyjął ją bez zbędnych pytań i gadania i że czuła się tu bezpiecznie. Mogła chodzić, gdzie jej się podobało, nie oglądając się, nie nasłuchując, czy ktoś nie czai się w pobliżu. Początkowo męczyły ją

koszmary, noc w noc spadała na nią ściana ognia, czerwona i dławiąca, której nie mogła pokonać. Ale Tymon znikł z jej snów, odszedł, była sama. Budziła się z krzykiem; czuła zapach dymu, palącej się skóry i włosów.

— Czas leczy rany, moje dziecko, ale nie zaszkodzi okurzyć cię od przestachu — stwierdził wuj Janusz po jednej z takich niespokojnych nocy. — Powiem Julisi, ona się na tym zna, okurzy cię i będzie po krzyku.

Lea wybrała się więc z Julisią po zioła, potrzebna im była trawa drżączka, która rosła na łąkach, ziele przestachu i popłochu, które można było znaleźć wzdłuż drogi, jakby ktoś umyślnie je tam zasiał. Od tego się zaczęło, a potem zbierały kwitnące baldachy czarnego bzu, grube i białe jak pajdy chleba ze śmietaną, to znowu zielone pędy skrzypu, wonne kwiaty krwawnika, żółte dziewanny, a nad wodą liście mięty, bobrka i kłącza tataraku. Kiedy zakwitły lipy przy starym dukcie, co biegł wzdłuż strugi, zbierały kwiat lipowy i słuchały uzdrawiającego brzęczenia pszczół. Znosiły kosze i naręcza ziół, rozkładały je na strychu w przewiewie albo rozwieszały w małych wiązках przy krokwi. W domu zapachniało ziołem, złe sny odeszły, Lea cieszyła się latem, słońcem i deszczem. Tylko czasami dopadał ją niepokój, co będzie z nią dalej, czy będzie musiała wrócić do Warszawy, choćby po to, żeby zlikwidować sklep i mieszkanie, a może jednak wróci tam na stałe, albo sprzeda wszystko i wyjedzie gdzieś daleko.

Jeszcze nie wiedziała, nie czuła się jeszcze na siłach decydować, co zrobić z resztą życia. Układała swoje dni i tygodnie jak karty zielnika, wypełniała je liśćmi, kwiatami i pędami ziół, które rozcierała w dłoniach, sprawdzając, czy nie ma wśród nich zdradliwych woni, zapachów fałszu i oszustwa. Na razie wszystko było jak trzeba, po bożemu.

W deszczowe dni czuła się bardziej samotna, jakby deszcz odcinał ją od otaczającego świata, pozostawiając wąski wycinek, w którym mieściła się tylko przeszłość. W takie dni wieczorami, gdy nie słyszała nic oprócz miarowego szumu za oknem, powracała myślami do historii Sabiny, której wyjaśnieniu poświęciła tyle czasu i sił, że jej własne sprawy wymknęły jej się z rąk. Życie toczy się przecież naprzód, a ona przez swoje poszukiwania prawdy wypadła z biegu, zgubiła się w minionych dniach jak odurzona niebezpiecznym eterem.

Od czasu do czasu na Czajki przyjeżdżał Leon; przywoził pudełko prawdziwej rosyjskiej herbaty, paczkę tytoniu dla ojca i nowiny z Warszawy. Cały dom oczekiwał jego odwiedzin; w szeregu jednakowych dni wypełnionych niespiesznym życiem pojawiała się wtedy dodatkowa niedziela, prawdziwe święto. Wuj wyciągał nalewki, Julisia gotowała rosół, Lea wkładała niebieską sukienkę i wyjmowała wiekową zastawę z kredensu, kazała Ewce nakrywać w stołowym. Ale Leon wolał siedzieć na ganku, a najlepiej w ogrodzie pod starym orzechem, gdzie wieczorem grały świerszcze. Po obiedzie rozmawiali, czasami szli na spacer albo na łódkę, a czasem obiad ciągnął się do wieczora, tyle spraw było do omówienia, tyle nowin i wspomnień. Nikt się nie spieszył. Leon opowiadał, co u niego w domu, co w fabryce, przekazywał pozdrowienia od Heleny i dzieci, do pożaru w aptece nie wracał. Raz wspomniał tylko, że dzięki pieniądзом z kasy ogniowej odremontowano laboratorium i że dobrze by było, żeby znów zaczęli wytwarzać Podwójny Sekret, bo on uruchomił produkcję mydła i razem z perfumami to byłby komplet.

Lea zastępną na moment z filiżanką w dłoni.

— Reutowicz nie chce już robić perfum? — zapytała ostrożnie, zerkając na Leona, po czym zbliżyła filiżankę do ust i przelknęła łyk herbaty, nie czując jej smaku.

— Przecież on wyjechał, nie ma go w Warszawie. Teraz pan Andrzej, ten, który pomagał ci w magazynie, jest w aptece, i jakiś nowy pracownik — wyjaśnił, widząc błysk zaciekawienia w jej oczach. — A Reutowicz siedzi w Petersburgu, nie wiem, co on tam tak długo robi. Podobno szuka wspólnika, żeby rozwinąć wytwórnę, może w ogóle tam ją przeniesie.

Zamyśliła się, przypomniała sobie pracę przy Podwójnym Sekrecie. Nie było tak źle, pomyślała. Dał mi szkołę, ale udało się, zrobiłam Podwójny Sekret. I to był mój pomysł, cokolwiek by mówić, ja go do tego namówiłam i ja to zrobiłam. Tylko potem wszystko się popsuło.

Nagle zrobiło się jej żal, że to minęło i nic nie wyszło z jej planów. Przemknęło jej przez głowę, żeby wrócić do apteki, dokończyć praktykę, a może nawet pogodzić się z nim, ale uświadomiła sobie, że to już nieaktualne. Nie ma do kogo wracać.

Leon o nic nie pytał; dopiero gdy przed wieczorem wybrali się na łódkę, zagadnął ją, czy jej się tu nie nudzi i czy nie chce wrócić do Warszawy.

— Nie mam tam już nic do roboty — powiedziała, spuszczać głowę, jakby chciała przeprosić za to, że nic na to nie poradzi. — Wszystko się zmieniło, nikogo już nie znam w aptece. Nie pozwoliliby mi wejść do laboratorium.

Leon milczał, wiosłował, aż minęli drewniany pomost przy olszynach. Wtedy odparł:

— Przesadzasz, nadal jesteś współwłaścicielką, tu nic się nie zmieniło. I jest jeszcze twój magazyn. Tyle wysiłku w to włożyłaś i już koniec, słomiany zapał? Nie poznaję cię. Pomyśl, co by na to powiedziała ciotka Anastazja. Ona wiedziała, czego chce, i tego się trzymała.

Wzruszyła ramionami.

— To nie takie łatwe — westchnęła, obserwując zieloną wodę i lekkie fale, które zostawiła za sobą łódka. — Nie, Leon, tu mi dobrze, tu jest spokojnie — spojrzała na zarośla przy brzegu, szeleszczące przy każdym podmuchu wiatru kępy trzciny, pałki wodnej, szuwarów, które mijali, płynąc po zakolach rzeki. Po chwili, jakby ożywiona nową myślą, podniosła na niego wzrok. — A ty nie myślałeś, żeby założyć tu plantację ziół albo wyrabiać olejki? Zobacz, ile tu tego, można by zrobić z kłęczą tataraku i mięty...

Leon przestał wiosłować i spojrzał na nią z namysłem.

— Ja się na tym nie znam. A nie pomyślałaś o Reutowiczu? Sądziłem, że ci na nim zależy. Sama mówiłaś, że macie wspólne plany. I co? On wyjechał, ty zaszłaś się tutaj.

Znow patrzyła w wodę, jakby pod jej taflą kryła się odpowiedź na te pytania.

— Zmieniło się, i to dużo — przyznała smętnie.

Nie chciała mu mówić o swojej wycieczce do zakładu dla alkoholików, ciągle nie mogła uwierzyć, że tam skończyła Sabina; nie mogła uwierzyć, że Józef mógł tak bezdusznie postąpić, a jego przyjaciel (i Trichonow też) pomagał mu bez mrugnienia okiem. Może potem któryś z nich miał wyrzuty sumienia, ale to nie zmienia faktu, że to było jak więzienie, albo i gorzej. A przecież Józef wcale nie wydawał się złym człowiekiem, Reutowicz też nie, więc może to czas był zły, zła godzina, zły dzień, układ gwiazd i ludzi. Może nikt nie odprawił uroków, nie odmówił stosownej litanii i nie odwrócił złego losu. Tak bywa, z Adasiem też tak było, nic nie pomagało. Nie chciała o tym rozmyślać.

— Było, minęło — niemal słyszała głos ciotki Anastazji. — Chodź, nie oglądaj się za siebie, to nic nie da — powtarzała i ciągnęła ją za rękę. — Chodź, szkoda czasu na próżne rozmyślanie. A co ty tak siedzisz z założonymi rękami, nie masz nic do roboty? Idź zobacz, czy w kuchni już posprzątane, czy do stołu nakryte. No ruszaj się. I nie rób min, bo ci tak zostanie.

— Było, minęło — powiedziała teraz do Leona.

— Nie wiem, co między wami zaszło, ale on nie jest winny, że wybuchł pożar. — Leon patrzył na jej chmurną minę i próbował przekonać kuzynkę, że nie wszystko jeszcze stracone. — Nie chcesz się z nim skontaktować?

Pokręciła przecząco głową, powoli i z namysłem wyjaśniając:

— On wyjechał, a przedtem jasno dał mi do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nie zamierzam się narzucać, nie potrzebuję litości — odparła coraz bardziej rozstrojona. Zdenerwowana skubała krótkie kosmyki, które wystawały jej spod kapelusza.

— Nie musisz się narzucać, ale na pewno się nie obrazi, jak napiszesz do niego kilka uprzejmych słów. Nic nie ryzykujesz — powiedział z przekonaniem. Przez chwilę wiosłował w milczeniu, ale nie mogąc doczekać się odpowiedzi Lei, dodał: — Napisz jakiś liścik, ja zabiorę go i wyślę z Warszawy.

— Nie. Zresztą nie tylko o to chodzi — przyznała ze smutną miną.

— Za łatwo się poddajesz, Lea. Wiem, że on nie jest bez wad i pewnie ma coś na sumieniu, skoro tak twierdzisz. Ale nie oglądaj się za siebie, popatrz na to inaczej, przecież to widać, że wiele by dla ciebie zrobił.

— Ale nie zrobił, wyjechał — powtarzała prawie ze złością. — Nie, Leon, myślę, że nic z tego nie wyjdzie, raczej sprzedam udział w aptece.

— Naprawdę tak uważasz czy chcesz, żeby go zabolalo, bo wyjechał? — dociekał, szukając w jej oczach prawdziwej odpowiedzi. — Nie lepiej spróbować się dogadać? Milczeniem nie rozwiążesz wszystkich problemów.

Zamyśliła się, zanurzając dłoń w wodę; czuła chłodny strumień, który przepływał jej między palcami jak czas, którego nie sposób zatrzymać. Wiedziała, że kuzyn ma rację, ale to była niewygodna racja, z którą trudno było jej się pogodzić.

— Co ty tak za nim obstajesz? — zerknęła na niego podejrzliwie. — Ty też nie chciałeś z nim rozmawiać.

— To prawda. Nie będę się wypierał — zawiesił głos, odgonił komara, który kręcił się mu koło czoła. — Ten pożar to było piekło, nie było wiadomo, co z tobą, czy w ogóle przeżyjesz, a on wyszedł z tego niemal bez zadraśnięcia. Powiedział, że zbiegł na dół, kiedy wyleciały drzwi od laboratorium. To Tymon cię wyciągnął, wiesz. Straż była bardzo szybko i ludzie pomagali, bo apteka poszłaby z dymem i cały dom. Ale wszyscy, nawet ten policjant, Trichonow, obwiniali Reutowicza, że nie dopilnował magazynowania towarów łatwopalnych. Ja też uważałem, że to przez niego. Ktoś musiał być winny, tak mi się wydawało. Tylko doktor nie stracił rozsądku, on wiedział, jaki Reutowicz jest pedantyczny pod względem porządku. Potem, kiedy się okazało, że to było podpalenie, oprzytomniałem. Przed wyjazdem Reutowicza poszliśmy z nim do Bristolu, pomyśl raczej średni, ciebie nie było i tego Tymona, a wcześniej przecież świętowaliśmy tam w czwórkę. Nie muszę mówić, jak to się skończyło, ale atmosfera się oczyściła, widocznie to było potrzebne — przyznał, wnosząc oczy ku niebu na wspomnienie trudów tamtego wieczoru. — Męska solidarność, wspólne interesy, nazywaj to sobie, jak chcesz, ale lepiej się przemóc i pogodzić, niż potem żałować, że się tego nie zrobiło — przekonywał ją z braterską zachętą w głosie. — Lea, do odważnych świat należy. Napisz, wiele nie ryzykujesz, prawdę mówiąc, gorzej być nie może. Najwyżej nie odpisze albo odpowie, że nic z tego, ale przynajmniej będziesz wiedziała, na czym stoisz. Chyba że zupełnie nie masz na to ochoty.

Namyślała się.

— To on pierwszy powinien się odezwać.

Roześmiał się.

— Daj spokój, a gdzie twoja emancypacja? Pokaż, że masz fantazję. Nie musisz przesadzać, wystarczy, jak będzie wiedział, że o nim nie zapomniałaś.

Kiedy wiosłował, grzywka opadła mu na czoło, a w jego oczach Lea dostrzegła podejrzenie łobuzerski błysk. Przez moment wyglądał jak uczeń skłonny do robienia kawałów, a nie jak stateczny ojciec rodziny.

— Ty sobie przypadkiem ze mnie nie kpisz? Może mi jeszcze podyktujesz, co mam napisać? — ofuknęła go. Nie potrafiła jednak długo się na niego złościć, zaraz jej przeszło.

— Listu miłego za ciebie nie napiszę, ale jak chcesz, wspólnie możemy coś wymyślić — odparł żartobliwie, a widząc, że wraca jej poczucie humoru, zaczął energicznie wiosłować, rozpryskując wodę. — Możesz na przykład napisać, że chcesz dokończyć praktykę w aptece albo że tęsknisz za nim ogromnie, bo nie masz się z kim kłócić, a najlepiej że potrzebna jest nowa partia perfum i chciałabyś ją zrobić.

Teraz i ona się roześmiała.

— Już widzę, jak by się ucieszył.

Leon miał rację, powinna napisać, właściwie mogła zrobić to już dawno, ale coś ją wstrzymywało, jakaś niewypowiedziana pretensja, żal, że znów wszystko obróciło się przeciw niej. Zapatrzyła się na zielono-granatowe ważki, śmigające nad wodą swobodnie i z gracją, której jej zawsze brakowało, nawet w pisaniu listów. Zamyśliła się.

— Spróbuję — odparła z westchnieniem, w którym słychać było ulgę związaną z podjęciem trudnej decyzji.

Po kolacji zasiadła przy dużym stole; przysunęła sobie lampę z zielonym kloszem, umoczyła

pióro w wiekowym kałamarzu i napisała do Reutowicza. Nic wielkiego, bez przesady, tylko tyle, że czuje się już dobrze i ma nadzieję, że on cieszy się zdrowiem, a Petersburg spełnił jego oczekiwania. Dodała, że jest jej bardzo przykro, iż sprawy przybrały taki dramatyczny obrót, i że zastanawia się nad powrotem do Warszawy. Wspomniała też o perfumach; gdyby na to przystał, to chciałyby zrobić nową partię. Nie była przy tym zbyt wylewna, ale podpisała się jako szczerze oddana.

Leon, któremu pokazała list, zmarszczył brwi.

— „Szczerze oddana”? Tak piszesz do mężczyzny swojego życia? Dajże spokój, to już nic lepszego nie mogłaś wymyślić! To prawie jak „życzliwa” — nie szczędził jej krytycznych słów.

— On nie jest mężczyzną mojego życia! — zaprotestowała gwałtownie, bo poruszył w niej czułą strunę.

Zmrużył oczy i przeczesał palcami grzywkę.

— Ale może być, daj mu szansę. Chyba że zostawisz „szczerze oddaną”, wtedy klops, wszystko zaprzepaścisz, pomyśli, że przepisałaś to z jakiegoś poradnika dla kucharek i kompletnie brak ci polotu — drażnił się z nią jak dawniej, w dzieciństwie. — Lepiej dodaj coś od siebie, napisz, że chętnie byś się z nim zobaczyła, gdyby był w Warszawie, coś w tym rodzaju. Na tyle chyba możesz się zdobyć. Przecież chcesz się z nim zobaczyć?

— Może. Nie jestem pewna — mruknęła zawstydzona, że tak łatwo ją przejrzał. — On pewnie wcale nie ma ochoty wracać, może ma tam kogoś.

Popatrzył na nią groźnie.

— Lea, nie komplikuj, po prostu napisz tak, żeby wrócił, albo podpisz się i koniec. Może się domyśli, o co ci chodzi.

Przepisała list na czysto i podpisała się *Lea Klonowska*, popatrzyła na te kilka zdań, które wydawały się poprawne i nic więcej. Zastanawiała się, co by mogła takiego szczególnego dodać, wstała, podeszła do okna i uchyliła okiennicę, wyjrzała na ogród rozświetlony blaskiem księżyca. Było spokojnie i cicho, usłyszała szelest skrzydeł przelatującej sowy, słyszała granie świerszczy i skrzypienie starego domu, w którym nawet mrok był przytulny i bezpieczny jak stara dwudrzwiowa szafa, skrytka z jej dzieciństwa. Pięknie tu, pomyślała, najpiękniej na świecie, i tak napisała, że na Czajkach jest pięknie, w ogrodzie pachną floksy, a w domu wiśniowe konfitury i zioła, które suszą się na strychu, i że codzienność pozwala jej zapomnieć o złych chwilach. Gdy tylko postawiła kropkę na końcu zdania, już chciała to wymazać, ale jak by to wyglądało. Zostawiła. Niech wie, że staram się być optymistką, pomyślała. Mimo wszystko.

W sierpniu przyszła pora na robienie marmolady jabłkowej. Trzeba na to było wziąć dobrych kwaśnych jabłek, obrać ze skórek i środków, porozrzynać na ćwiartki, włożyć do garnka i zalać wodą, a garnek oblepić ciastem albo nakryć wilgotną chustą i wstawić do pieca, żeby jabłka się rozdużyły. Było przy tym sporo roboty, ale wiadomo, jak ma być coś dobrego, to trzeba dobrze się narobić albo dobrze zapłacić.

— Za darmo nic nie ma, nawet dobre słowo kosztuje — uważał wuj Janusz i najczęściej milczał, by nie być za bardzo rozrzutnym.

Julisia zaś uważała, że wszystko ma swój czas, na wszystko jest stosowna pora, i na wiśnie, i na smażenie marmolady jabłkowej. Zawijała rękawy kraciastej sukienki aż za łokcie, zakładała fartuch, brała przetak i drewnianą kopystkę i przecierała uparzone jabłka, które Lea wykladała z garnka. A Ewka wtedy wyganiała z kuchni osy (bo się jeszcze potopią, zarazy). Potem, kiedy na kuchni gotował się obiad, Julisia wyciągała ze schowka polewany kociołek, przekładała do niego przetarte jabłka i dodawała miodu.

— Jak ma być bardzo słodko, to miodu tyle co połowa jabłek. A jak mniej słodko, to mniej. Według gustu — mówiła i podawała Lei łyżkę, żeby spróbowała, czy miód dobry, nie kwaśny, dobrze odszumowany. Sama smakowała go niemal z nabożeństwem. — Dobry, lipowy — mówiła, przytykając oczy z rozczuleniem.

W końcu stawiała kociołek na kuchennej blasze, to z boku, to trochę do tyłu, gdzie mniejszy ogień, żeby się nie przypaliło, i mieszała drewnianą łyżką gotującą się masę. W całym domu pachniało jabłkami i korzeniami, które Lea hojną ręką sypała do marmolady; była tam drobno posiekana skórka pomarańczowa, imbir, po trosze goździków i pieprzu angielskiego. A kiedy masa nabrała przyzwoitej gęstości, przekładały ją do mokrej serwety, obwiązywały sznurkiem i formowały serki, przyciskając na noc kamieniem.

— Ot i cała tajemnica jabłkowych serków — mówiła Julisia z dumą gospodyni obeznanej w różnych gospodarskich sekretach. Przecierała ręką spocone czoło i dodawała półgłosem: — Nic więcej nie trzeba dawać, żadnych proszków, żadnych prezerwatyw¹, jak dobrze wysmażone, to się nie popsuje.

A potem się wspólnie zastanawiały, jaka jutro będzie pogoda i czy te małe jabłka, co wyglądają prawie jak dziczki, ale są smaczne jak żadne inne, będą już dobre na przetwory, i czy aby robaki za bardzo ich nie zjadły.

Wieczorami Lea czytała *Portret Doriana Graya* i stare książki wygrzebane w skrzyniach u wuja. Czasem rozmyślała o własnym domu, który dobrze by było mieć, ale jej jakoś nie wychodzi. I coraz częściej dopuszczała do siebie myśli o Reutowiczu. Zastanawiała się, czy dostał jej list i czy na niego odpowie. Zaraz potem pojawiała się pytanie, czy ewentualnie mogłaby się z nim pogodzić. Wciąż miała do niego żal, ale nie o tę starą historię, już nie; o kilku niemiłych słowach, które sobie powiedzieli, też mogła zapomnieć, ale nadal miała żal o to, że wyjechał, zrezygnował z niej, spisał na straty. Często o tym myślała. Potem, gdy kładła się spać, a za przymkniętą okiennicą słychać było szmery sennego ogrodu, przypominała sobie jego słowa, to co powiedział i co przemilczał. Być może, gdyby spróbował ją zrozumieć, gdyby nie był taki sztywny i wyniosły, gdyby zaczęli od początku....

Pod koniec miesiąca niebo coraz częściej zaczynało się chmurzyć, huczały groźne burze, zwiastując koniec lata. Osy były coraz bardziej rozdrażnione, szpaki i drozdy coraz bardziej przejedzone owocami, a mimo to nienasycone. W sadzie dojrzewały śliwki węgierki i jabłka.

Gdy księżyc się obrócił i siedł na pierwszej kwadrę, na Czajkach zbierano jabłka i gruszki do przechowania na zimę. Trzeba było na to owoców nie w pełni dojrzałych, zdrowych i jędrnych. Najlepiej nadawały się do tego gruszki winiówki i jabłka odmiany cesarz Wilhelm albo grochówka, które rosły w sadku za łąką. Zbierało się je po śniadaniu, kiedy rosa obeschła, a słońce nie nagrzało jeszcze skórki. Wybierało się najładniejsze i zanosilo do suchej piwnicy, gdzie leżały na półkach wyłożonych sieczką.

W domu znów pachniało jabłkami, wuj Janusz nastawił nalewkę na jeżynach. Lea zносиła na strych dojrzałe makówki, szyszki chmielu i ostatnie pędy kwitnącej macierzanki, by suszyły się i nabierały mocy. Przed końcem lata czuła jednak coraz większy niepokój, jak ptaki, które szykowały się do odlotu, ale czekały, aż wygoni je chłód i jesienny wiatr. Nie potrafiła usiedzieć spokojnie w domu, musiała stale być w ruchu, żeby nic nie przeoczyć, nie stracić.

W sobotę poszła zobaczyć, jak idzie praca w sadzie. Po drodze rozmyślała nad tym, co powinna zrobić. Postanowiła, że jeśli on nie odezwie się do końca lata, nie będzie się na niego oglądała, wróci do Warszawy i zajmie się sklepem. Leon ma rację, nie powinna ze wszystkiego zrezygnować, nie musi się przed nikim ukrywać. Bekmann zniknął wraz ze swoim oszukańczym przedsięwzięciem, niezłą fortuną i młodą żoną. Lea nie musi już się niczego obawiać. Powinna spotkać się z Ireną, ona trzeźwo patrzy na świat. No i z Marianną. A może pojedzie do Petersburga. Tylko po co? Ale przecież zawsze jest jakiś wybór.

Zamyślona doszła do sadu, kiedy zerwał się wiatr i zagrzmiało. Burza nadciągnęła niespodziewanie, jakby wyskoczyła zza lasu. Lea podniosła głowę i zobaczyła chmury, ciemne i ciężkie jak dojrzałe owoce. Zawołała do Ewki, że muszą wracać. Pobiegły do domu, ale burza złapała je w pół drogi. Dotarły przemoczone do suchej nitki, Lea wpadła na ganek, ściągnęła buty, w których woda aż chlupała, i przystanąła zdziwiona, że nie ma psów, które zwykle po nią wychodziły. Z głębi domu dobiegły męskie głosy. Leon przyjechał, pomyślała. Ale Leon nie był sam, rozmawiał z Reutowiczem. Zatrzymała się w pół kroku i wsłuchiwała się w rozmowę, nie mogąc uwierzyć, że on przyjechał.

Czekali na nią, musieli usłyszeć, że już jest. Leon wyszedł do przedpokoju, a za nim pojawił się Reutowicz. Obaj eleganccy, miastowi, owiani wonią papierosowego dymu. Lei, w przemoczonej sukience i na bosaka, daleko było do miastowego szyku i choć w przedpokoju było dość mroczno, nie miała wątpliwości, że Reutowicz zobaczył jej bosc stopy i bliznę, która wciąż nie chciała się zagoić. Nie mogła wyglądać gorzej.

— Uśmiechnij się — szepnął jej Leon do ucha. — Przywiozłem ci gościa, resztę musisz załatwić sama.

Wcale nie było jej do śmiechu, chciałyby się zapaść pod ziemię.

— Nie mogłeś mnie uprzedzić? — odparła zawstydzona swym wyglądem. Powoli zdjęła ociekający wodą kapelusz. — Muszę się przebrać — dodała i obciągnęła rękawy mokrej sukienki; nie chciała, żeby widział ją taką nieubraną.

— Nic się nie przejmuj, jesteśmy dorośli — Leon próbował dodać jej otuchy, a widząc jej zakłopotanie, zdjął swoją miastową marynarkę i zarzucił jej na ramiona.

Reutowicz wpatrywał się w Leę, jakby nie mógł jej rozpoznać. Podszedł do niej i czekał, aż poda mu rękę, a jej było wstyd, że wygląda jak zmokła kura.

— Cieszę się, że widzę panią w dobrym zdrowiu i pełną fantazji — powiedział z niewielkim uśmiechem w kącikach ust. — Pani kuzyn zapewniał, że nie będzie miała pani nic przeciwko moim odwiedzinom — dodał, udając, że nie dostrzega ani jej dziwnego stroju, ani zmieszania.

— Nie spodziewałam się pana w taką nie pogodę, ale miło mi pana widzieć — odparła sztywno, siłąc się na powitalny uśmiech, który nie wyszedł jej najlepiej. — Przepraszam, muszę włożyć coś suchego — dodała i wyszła z przedpokoju, zostawiając za sobą mokre ślady i zapach deszczu.

Z bijącym sercem pobiegła do pokoju, ściągnęła z siebie przemoczone ubranie i zaczęła wycierać się ręcznikiem. Gorączkowo myślała, jak przyjąć Reutowicza, co mu powiedzieć. I czy ten Leon zwariował, żeby tak bez uprzedzenia... No i co włożyć. Niebieską czy liliową sukienkę? Wybrała skromniejszą, niebieską. Już raz wystroiła się dla niego, a on tego nie docenił. Może teraz nie zauważy moich włosów, pomyślała z nadzieją. Nadal były zbyt krótkie, żeby upiąć je w kok, wilgotne zaczesła więc do tyłu i zapięła spinkami. To musi wystarczyć, pomyślała i pożałowała, że nie ma z nią Agaty, która w takich sytuacjach była niezastąpiona.

Przy obiedzie przyglądała mu się dyskretnie. Wydawał się spokojny, poważny i daleki. Poprosiła, żeby opowiedział o Petersburgu. Chciała posłuchać jego głosu, wyczuć, w jakim jest nastroju, czy jego olimpijski spokój nie jest tylko pozorny, a może wszystko przemyślał i zaplanował, tak jak ona kiedyś wymyśliła sobie słodkie życie z Janem. Tego się obawiała.

Kiedy spojrzała mu w oczy, zaiskrzyło od emocji, dobrych i gorszych. Nic się nie zmienił. Łatwo się z nim nie dogadam, pomyślała. A jednak przyjechał, dopowiedziała sobie w myślach, odruchowo przyglądziła uczesanie i uśmiechnęła się na przekór swoim obawom, niepewności i nieudanym początkom. Nie mogła usiedzieć na miejscu, z trudem dotrwała do końca obiadu. Kiedy wstała od stołu, chciał wyjść za nią, jednak wuj Janusz go zatrzymał.

— Zaczekaj, młody człowieku — powiedział wuj poważnym tonem. — Usiądź na moment, zapalimy, napijemy się czegoś mocniejszego i porozmawiamy — wskazał mu krzesło koło siebie i nalał kieliszek wytrawnej jałowcówki, jaką z dziada pradziada podawano w tym domu przy poważnych rozmowach. — Mówisz, że jesteś z Warszawy, a familia twoja skąd? — odpytał Reutowicza. Kiedy ten wyspowiadał się z rodzinnych koligacji, a potem opowiedział jeszcze, czym się zajmuje, wuj wygładził srebrzyste wąsy, pokiwał łysą głową, uznając, że może być, i w końcu powiedział: — Pięknie, bardzo ładnie, ale coś długo nie przyjeżdżałeś, a teraz tak ci się spieszy? A wiesz ty, co jej powiedzieć, masz jakie dobre usprawiedliwienie, że nie było cię przy niej, kiedy krzyczała po nocach, że się pali? — zapytał surowym tonem. — I co jej powiesz, kiedy zobaczysz bliznę na jej nodze, co powiesz na to, że ma przypalone włosy i kilka szram na rękach? Co odpowiesz na strach, który wciąż w niej jest? Znasz na to właściwe lekarstwo? — wuj zmarszczył czoło i popatrzył na gościa z groźną miną, żeby ten poczuł

wagę jego słów i zważał na to, że Lea jest teraz w domu, w którym znalazła spokój i doszła do siebie po ciężkich przeżyciach, a on czuje się za nią odpowiedzialny i nie pozwoli, żeby ktoś wprowadził tu zamęt i ściągał burze.

Reutowicz poprawił się na krześle, sięgnął po papierosa i zaciągnął się głęboko, a potem powoli wypuszczał dym przez nos. Chciał coś powiedzieć, ale wuj go powstrzymał, pokręcił głową.

— Mnie nie musisz się tłumaczyć — ciągnął tym samym twardym tonem. — Wystarczy, że jej powiesz co trzeba i w miarę możliwości szczerze. Rozumiesz? — A kiedy Reutowicz przytaknął, dodał: — To teraz napij się jeszcze jednego dla kurażu i zdecyduj — nalał mu kieliszek wódki. — Możesz się jeszcze wycofać, spokojnie odjechać, każę cię odwieźć na stację, wrócisz tam, skąd przyjechałeś, zapomnisz, że w ogóle tu byłeś. Ona też w końcu o tobie zapomni. Albo możesz iść do niej, jest pewnie w ogrodzie, i przekonać ją, że jesteś poważnym, odpowiedzialnym człowiekiem, nigdy już jej nie zostawisz i nie zawiedziesz, i zrobisz wszystko, żeby zapomniała o przeszłości — spojrzał czujnie na gościa.

Reutowicz odstawił pusty kieliszek, podziękował i ruszył do drzwi.

— Zaczekaj! — wuj zmierzył go wzrokiem. — Chciała, żebyś przyjechał, masz sprawę ułatwioną, to nie rób miny jak na pogrzeb. Świat się jeszcze nie zawalił. No, to już idź. I powodzenia, synu — powiedział do mężczyzny, którego bardzo dawno nikt nie nazywał synem, ale w tej chwili rzeczywiście czuł się jak niedorostek.

Wuj Janusz nie był gadatliwy, a im mniej mówił, tym większy miał posłuch. Jego słowa ceniono zaś prawie tak jak jego destylaty obywające się bez rządowej akcyzy; dla ścisłości, nie robił ich z pobudek finansowych, ale jako przejaw umiłowania wolności i pewnej lekkości bytu. Siłą rzeczy nie mógł zbyt dużo mówić i dawno nie wygłaszał takiej przemowy. Teraz był bardzo z siebie zadowolony, ale do wieczora nie zamierzał się już odzywać. Wyszedł na ganek, usiadł na ławce, podrapał psa za uchem, nabił fajkę tytoniem multańskim, zapalił i patrzył, czy dym leci prosto do nieba na dobrą wróżbę.

Wincent przełknął gorzkie słowa wuja, ale nie przyjechał tu po to, żeby odejść z kwitkiem. Wprawdzie nie należał do osób, którym łatwo było przyznać się do błędów czy niedoskonałości charakteru, jednak gdy widział, że to konieczne i nie ma innej szansy na porozumienie, mówił po prostu: tak, to moja wina, dodając niekiedy, że nikt nie jest doskonały. Uważał, że niektóre wady świadczą raczej o niepospolitej naturze ich posiadacza i są niezbędne, by nie uchodzić za banalnego typa bez żadnego wyrazu, bez ikry, kośćca czy innych istotnych szczegółów. W dość przekonujący i przystępny sposób potrafił o tym mówić, nie poruszając przy tym tematów ubocznych, takich jak skrusza, pokuta, żal, zadośćuczynienie. Nie był żadnym moralistą. Bez przesady.

Z Leą sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Wręcz odwrotnie, ich wzajemne relacje coraz bardziej się komplikowały. Lea ciągle mu się wymykała, ciągle znajdowała w nim jakiś nowy problem, choć sama nie była jak kryształ. Nie zamierzał więc marnować czasu na zbędne i przydługie gadanie. Kiedy zdecydował się przyjechać na Czajki, pomyślał, że skoro Lea chciała się z nim zobaczyć, dogada się z nią szybko i bezboleśnie, odwołując się bardziej do jej emocji niż do rozsądku. Ale zaraz na wstępie, kiedy zobaczył, jak się waha, czy do niego podejść i podać mu rękę na powitanie, pomyślał, że tak łatwo nie będzie, i zmienił plany. Cień w jej oczach wydawał mu się zbyt niebezpieczny; uznał, że musi być cierpliwy i wyrozumiały, wysłuchać jej, przytakiwać, i wtedy palnąć jakąś płomienną mowę, rozgrzać jej serce. W tym przekonaniu utwierdził go także wuj Janusz.

Po burzy wyjrzało słońce, ucichły rynny, przestało kapać z dachu, psy pobiegły do ogrodu na obchód. Na sznurach przy kuchni powiewały bielone płachty płótna. W ogrodzie ziemia parowała i pachniała tak, jak może pachnieć tylko wilgotna ziemia. W sadzie od czasu do czasu słychać było opadające mirabelki i jabłka, i odgłosy ptaków, które obsiadły śliwę damasceńską. Wszystko było tak jak trzeba.

Lea czekała w altanie; niecierpliwie spoglądała na ganek, czy Wincent nie nadchodzi. Wiedziała, że wuj go przetrzyma i powie mu coś na osobności, ale wydawało się jej, że zbyt długo to trwa. Zaczęła

chodzić koło krzaków mirabelek oddzielających ogród od warzywnika, a niespokojne myśli krążyły po jej głowie jak osy, głodne i nerwowe.

Kiedy go dziś zobaczyła, dawne emocje powróciły, dobre i złe, a kiedy spojrzała mu w oczy, wszystkie przemyślenia, wyważone sądy i założenia co do ewentualnego porozumienia, które ułożyła sobie na tę okoliczność, uleciały jej z głowy niczym przelotne ptaki wymiecione przeciągami. Pozostały pytania i niepewność. Co mu powiedzieć, jak się z nim dogadać i przekonać go, że mi na nim zależy? Mimo wszystko.

Wreszcie się pojawił. Wpatrywała się w plamy światła na jego letnim ubraniu, gdy zbliżał się do niej zdecydowanym krokiem człowieka gotowego przyjąć zaproszenie na bankiet lub pogodzić się z mniej zabawnymi wyrokami losu. Chciałaby być taka spokojna i opanowana jak on, ale nic z tego, ścisnęła ją w dołku, serce drżało jak listek osiki, do tego czuła, że się poci. W ostatniej chwili wygładziła sterczące włosy, które w żaden sposób nie dały się ułożyć, a w końcu bezwiednie zacisnęła dłoń. Pomyślała, że za chwilę wszystko zrobi się czarne albo białe, w cieniu lub w słońcu, z nim albo bez niego, chociaż w głębi duszy wierzyła, że będzie dobrze.

Stał przed nią i czekał na jej słowa albo uśmiech.

Nie uśmiechała się, wpatrywała się w niego bez mrugnięcia, jakby z obawy, że zaraz zniknie.

— Wincent — powiedziała w końcu.

— Lea, chciałaś mnie widzieć, mam nadzieję, że nie tylko po to, żeby mnie pogrzyźć do reszty — powiedział swoim eleganckim głosem, zabarwionym odrobiną niepewności. Potem niepokój w nim narastał, a im dłużej mówił, tym więcej było w nim emocji i coraz wyraźniej zaznaczała się zmarszczka na jego czole. — Oczywiście jestem wszystkiemu winny. Pożar i to, co się stało z tobą, z Tymonem...

— Wcale tak nie myślę — przerwała mu zaskoczona, że on tak uważa.

W jego głosie była ironia i gorycz.

— Nie? To jesteś wyjątkiem. Rozsądek nie podpowiada ci, że to dobre rozwiązanie? Dla mnie to oczywiste, że jestem za to odpowiedzialny. Pozwoliłem ci zbliżyć się do siebie, robiłem plany na przyszłość, a nie spłaciłem starych długów, swoich i Józefa, chociaż mu to obiecałem. Miałem ci pomóc, ale to przerosło moje możliwości i skończyło się fatalnie. Dlatego wyjechałem — teraz popatrzył na nią, szukając w jej oczach zrozumienia. — Chciałem zapomnieć o tobie, ale z tym też mi nie wyszło — przyznał ciężkim głosem. Na jego twarzy znów pojawił się ironiczny uśmiech, jakby próbował odzyskać swój dawny sposób bycia, nabrać dystansu. Po chwili uśmiech znikł jak zdmuchnięty wiatrem, jego twarz wydawała się teraz bez wyrazu.

Milczała; słyszała spadające mirabelki, kilka cichych stuknięć o piasek, jedno po drugim, jak tykanie zegara.

Nie myślała o nim w ten sposób, właściwie nigdy nie starała się go zrozumieć, nie zastanawiała się, co on czuje, na czym mu zależy, czego się obawia. A teraz stał obok niej, wysoki, chmurny i niepewny jej uczuć. Na jego skroniach dostrzegła ślady siwizny, na czole nabrzmiała żyłkę, której pospieszne pulsowanie zdradzało niepokój serca. Chciałaby jej dotknąć, wygładzić, chciałaby, żeby się uśmiechnął, ale miała mu jeszcze kilka ważnych słów do powiedzenia. Odetchnęła głęboko i nabrała powietrza.

— Wincent — zaczęła, ale zdenerwowanie ścisnęło ją w gardle. — Wincent, chciałam... powiem ci, że jesteś zwykłym egoistą, zostawiłeś mnie, zrezygnowałeś, jakbym już do niczego się nie nadawała. I w ogóle dawno powinieneś przyjechać, bo teraz to nie wiem...

Wzdrygnął się, jakby ukłuła go szpilką.

— Potrafisz szybko przejść do sedna, nie ma co. Nic więcej nie dodasz?

Spojrzenie jego czarnych oczu przenikało ją do szpiku kości; wiedziała, że jest w nim i chłód, i żar, od którego wszystko zamiera, taki, jaki latem opadał na sad w Korytnicy, gdzie rosła jabłoń rodzajna, gdzie dojrzewała mięta, lubczyk i piołun, i taki, jaki czasem rozpałał się po sierpniowej burzy.

Dłużej nie potrafiła udawać chłodnej i obojętnej. Odetchnęła głęboko.

— Dobrze, że wreszcie jesteś, Wincent. Tęskniłam, myślałam już, że będę musiała jechać za tobą do Petersburga — powiedziała, a w jej oczach zamigotały wesołe rozbłyski. — Bardzo tęskniłam —

dodała poważnie, tym szczególnym rodzajem szeptu, jakim wyznaje się prawdy najprawdziwsze, do których zasadniczo można przyznać się tylko raz, w chwili niebezpiecznej szczerości naruszającej równowagę ciała i duszy.

Przyjął to z entuzjazmem, podkreślił węża, z galanterią ucałował jej drobną dłoń, a potem spojrzał jej w oczy.

— Nie mogłaś mi tego powiedzieć od razu? — zapytał z uśmiechem, który zmywał z jego twarzy wszelkie objawy poważnego zatroskania i niepewności.

Roześmiała się; lubiła patrzeć w jego oczy, gdy nabierały ciepłej barwy orzechów włoskich, z których opadła łupina. Poczowała od niego znajomy zapach, jakby drobiny olibanum, tkwiące gdzieś w załawkach jego ubrania, we włosach i na skórze, otaczały go mgielką uroku. Za tym zapachem tęskniła od dawna. Nie mogła się oprzeć, żeby znów go dotknąć, poczuć jego ciepło. Wzięła go za rękę i poprowadziła między wysokie kopry, omszałe szatwie, między fasolę pnącą się na tyczkach, słoneczniki i mirabelki. Miała mu tyle do powiedzenia, przecież oprócz ziół zamorskich znała sekrety tych, które rosły na miedzach, w lesie i ogrodzie i dojrzewały na stryżku.

Wincent pomyślał, że może być ciekawie.

Ta przedwieczorna godzina spędzona w pachnącym ogrodzie tak nimi wstrząsnęła, że ich świat, w którym niepokojące i niezdrowe ekscytacje odrzucano jako wstydlive pozostałości zwierzęcej natury, obrócił się w perzynę. Wincent zaczął poważnie zastanawiać się nad kwestią emancypacji kobiet, później zaś nabral podejrzeń, że coś mu zadano, nie wiedział jednak, czy było to w soku z ogórków, którym ratowała go następnego dnia Julisia, czy w nalewce wuja Janusza, a może był to upajający aromat mirabelek i ziół, którymi pachniała Lea. Cokolwiek to było, czuł się poważnie oszołomiony, wyczerpany i głodny i nie chciało mu się wracać do Warszawy, nawet gdy zabrakło mu batumskich papierosów.

Natomiast Lea musiała przyznać, że pod wieloma względami nie doceniała Wincenta i że wiele jeszcze będzie musiała się od niego nauczyć, mając na myśli nie tylko wiedzę aptekarską. Żałowała, że o niektórych sprawach tak trudno zapomnieć, ale może dzięki temu wpadła na pomysł nowej upajającej kompozycji zapachowej, tym razem dla kobiet.

Leon odetchnął z ulgą, dzięki znajomości rzeczy i niewielkim, acz kreatywnym korektom w przekazywaniu informacji między Leą a Reutowiczem udało mu się uniknąć kolejnych poważnych rozmów z kuzynką, którą bardzo lubił i nie mógł patrzeć, jak popada w marazm, zniechęcenie i jałową samotność.

A wuj Janusz? No cóż, on był zadowolony, że jego stary dom, stojący na dalekim uboczu, wśród łąk i rozlewisk Orzyca, znów wypełniają zapachy ze wszystkich stron świata, że gorzki piołun i czarnuszka mieszają się z aromatem dobrego tytoniu i jałowcówki, a podmuchy ciepłego wiatru przynoszą z ogrodu woń winnych jabłek, mirabelek, kopru, mięty i diabli wiedzą, czego tam jeszcze. Pomyślał też, że pora naprawić dach przed zimą.

Wrzesień był gorący, rozgrzany; wtedy się pobrali. Ślub był uroczysty, w katedrze, a przyjęcie weselne eleganckie do pewnego krytycznego momentu, o którym raczej się nie wspomina, przebąkując co najwyżej o nieumiarkowaniu i grubej przesadzie, której ofiarą padła nawet wstrzemięźliwa Marynia. Zdaniem niektórych przyjęcie przypominało nieco owe niezapomniane bankiety, urządzone przez nieboszczyka pana Józefa i Reutowicza w dobrych czasach, suto zakrapiane, żeby nikt z gości nie myślał o sprawach przykrych, fałszywych i brzydkich, które działy się wokół.

Po ślubie Lea przeniosła się z powrotem na Piwną. Agata była z tego bardzo zadowolona, uważała, że bycie gosposią pani aptekarskiej jest znacznie lepsze od bycia gosposią wdowy po aptekarzu.

— Panienska Przenajświętsza wysłuchała moich próśb! Codziennie się za panią do niej modliłam, bo kto jak kto, ale Święta Panienska na sercowych sprawach się zna i kobietom w biedzie pomoże. No i wymodliłam, i to kogo! Samego pana Reutowicza! — gadała podekscytowana. — Pan Jan to i owszem, bardzo był za panią, i nie to, żeby coś nie tak, i wesoły był, i akuraty, ale pan Reutowicz to ktoś

poważny, aptekarz i w katedrze śpiewa, a głos ma taki, że serce o mało z piersi nie wyfrunie. Jak pana Klonowskiego, nieboszczyka, zabrakło, to tak sobie pomyślałam, że pan Reutowicz by się nadał dla pani. I dziękować Bogu, że się pani z nim dogadała — westchnęła z wdzięcznością ku niebu.

Lea podjęła przerwana praktykę aptekarską, a Wincent był jeszcze bardziej wymagający niż dawniej. Uważał, że Lea musi wiedzieć i umieć jeszcze więcej, żeby nie przynieść mu wstydu. Lea zagryzała zęby, ale wytrwale wykonywała polecenia i zadane prace.

W wolnych chwilach przetrząsnęła z Agatą dom od góry do dołu. Musiały w końcu wyrzucić wszystkie zawiązki złego, które, jak podejrzewała, pozostawiła Sabina, chcąc zaszkodzić Józefowi. Rozplotły węzły na sznurach do firanek, spaliły koszyk wyplatany w jakieś dziwne supły (i tak był stary), a haftowaną pościel z monogramami oddały dla ubogich. Lea sprzedawała orzechowe meble. Któregoś dnia pod nieobecność Reutowicza okurzyły dom dymem z wianuszków poświęconych w oktawę Bożego Ciała. Agata wybrała z kuchni żarzące się węgle i położyła je na szufelce, Lea rozkruszyła na nie lipę, macierzankę, bławatki i rozchodnik i z dymiącą szufelką zaczęły obchodzić mieszkanie.

— Na cztery wiatry, na suche korzenie, idź złe do złego — szeptała Agata.

A Lea dopowiadała poważnie:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Skupione na obrządku nie zauważyły, że Reutowicz stanął w drzwiach i przyglądał się im coraz bardziej podejrzliwie.

— Lea, co tu się dzieje? — ton jego głosu był niepokojący.

Drgnęła, obejrzała się na niego i powiedziała:

— Nie przeszkadzaj. Później, teraz idź stąd, proszę.

Wszedł niezadowolony, ale nie wrócił do apteki; poszedł do pokoju stołowego i czekał. Musiały skończyć. Lea z westchnieniem oddała szufelkę Agacie i poszła do męża. Będzie awantura, pomyślała, kiedy zobaczyła go stojącego przy oknie. Wyglądał jak ten Reutowicz sprzed lat, z którym nie chciała mieć do czynienia.

Odwrócił się na odgłos jej kroków.

— Wyjaśnij mi, jeśli łaska, co robiłaś z Agatą w tamtym pokoju?

Wzruszyła ramionami.

— O co ci chodzi? Okadzałyśmy mieszkanie święconym zielem, co w tym złego?

— Okadzałyście mieszkanie święconym zielem? No proszę, jakie pobożne niewiasty — powiedział z ironią i dodał już całkiem poważnym tonem: — Lea, to nie może się powtórzyć, nie pozwolę na takie zabobony w moim domu.

— Co w tym złego?

— A Agata co tam mrucała pod nosem?

— Modlitwę — brnęła dalej z miną pokrzywdzonej niewinności.

— Ty ze mnie nie kpij. Co ty chcesz mi wmówić? Myślisz, że nie słyszałem tych waszych szeptów? Nie pozwolę na takie rzeczy w moim domu. Masz z tym skończyć, rozumiesz?!

Lea odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić i wytłumaczyć mu, że to nie są żadne zabobony, ale on z wyższością w głosie mówił dalej:

— Staraj się zachowywać stosownie, jak przystało na moją żonę. Nie możesz wierzyć w takie brednie, chcesz przecież pracować w aptece. Skończmy już z tym, powiedziałaś wystarczająco dużo — uciał stanowczo. — I nie okłamuj mnie, nie jestem taki łatwowierny jak Józef.

— A ja nie jestem taka głupia jak... jak sobie wyobrażasz — odparła ze złością, odwróciła się i wyszła do drugiego pokoju.

Nie potrafiła usiedzieć w miejscu; stanęła przy oknie i przyglądała się przechodniom idącym ulicą. Ich buty stukwały na kocich łbach, brzęczał wózek śmieciarza, wróble śmigwały koło piekarni, a ona nadal słyszała jego słowa. Co on sobie myśli! Jego dom, jego apteka, jego zdanie, ja też jestem jego, powtarzała w duchu. Sama tego chciałam, to teraz mam, ale nie dam się przerobić na cichą i pokorną! Musi się przyzwyczaić, że mam własne zdanie i rozum, i robię to, co uznaję za stosowne.

Po chwili usłyszała, że wszedł do pokoju. Nie odwróciła się. Podszedł do niej, położył ręce na jej

ramionach; chciał ją uspokoić.

— Mimo wszystko wierzę, że nam się uda — stwierdził z przekonaniem.

Nie odpowiedziała ani na jego gest, ani na słowa. Wieczorem do lampki oliwnej, która wisiała nad łóżkiem koło obrazu Matki Boskiej, dodała drobiny macierzanki, piołunu i olibanum. Kiedy wszedł do sypialni, od razu wyczuł zapach ziół.

— Będzie nam się lepiej spało — powiedziała niewinnym głosem.

Popatrzył na nią niezadowolony.

— Czasami potrafisz być wyjątkowo irytująca.

Nie przejęła się jego słowami, zsunęła z siebie białą płócienną koszulę, a piersi miała posmarowane lipcowym miodem; stanęła przed nim, przyciągnęła do siebie i pocałowała w usta, z których słyszała już tyle różnych słów, dobrych i złych. Potem zaczęła rozpinąć mu koszulę, guzik po guziku, powoli, z namaszczeniem.

Krew do krwi, kostka do kostki, chrząstka do chrząstki, powtarzała w myślach, kładąc się z nim w chłodnej pościeli, na lnianym prześcieradle i poduszkach bez haftów. Kochała go nieprzyzwoicie, mocno, aż zapomniał o goryczy minionych dni, o Sabinie i innych kobietach, i o całym bożym świecie. Patrzyła mu przy tym w oczy, bo gdyby z tego kochania miał być chłopiec, to niech będzie taki jak on, gorący i niepokorny.

Następnego dnia obudziła się wcześniej rano; pokój oświetlała pręga słonecznego światła, wślizgując się między zasłonami. Wincent jeszcze spał, choć dotąd to on budził się pierwszy, zawsze czujny, jakby jej pilnował, a dziś mogła mu się przyjrzeć. Jego twarz wydawała się odmieniona, spokojna i niemal łagodna. Takiego jeszcze cię nie znam, pomyślała. Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, ale się powstrzymała. Niech śpi. Przyglądała mu się i próbowała sobie wyobrazić, jakie będą ich przyszłe dni. Teraz musi być dobrze, pomyślała, teraz spróbuję go zrozumieć.

W kuchni Agata zaczęła krzątać się koło rosołu. Przyniosła ze spiżarki parę młodych gołąbków, włoszczyznę, kalarepę i cebulę. Wyjęła ptaki z kosza i położyła na stole, sięgnęła po pierwszego, wyglądał, jakby spał, sparzyła go wrzątkiem i zaczęła skubać nad wiadrem, piórko po piórku. Za oknem turkotał wózek mleczarza. Stróż, szurając ciężkimi butami, zamiatał podwórze, a pan Andrzej otwierał aptekę. Na Rynku gosposie kręciły się koło straganów z surowizną, jajami i mięsem. W cieniu koło składu win Fukiera ustawiła się stara Estera z koszem pełnym orzechów. Był wrzesień 1904 roku.

1 Prezerwatywa — dawn. środek zapobiegawczy lub ochronny.



PIOŁUN
I NA ZAPOMNIENIE

ANNA TROJANOWSKA